

Rachel Billington

Okazja do grzechu

Tom

Całość w 5 tomach

Polski Związek Niewidomych
Zakład Wydawnictw i Nagrań
Warszawa 1991

Przełożyła Anna Mysłowska

Tłoczono w nakładzie 20 egz.
pismem punktowym dla niewidomych
w Drukarni PZN,
Warszawa, ul. Konwiktorska 9,
pap. kart. 140 g kl. III_Bą1,

Przedruk z Wydawnictwa
"Pax",
Warszawa 1989

Pisał R. Sitarczuk
Korekty dokonały
K. Markiewicz

i K. Kopińska

"- Miłość... - powtórzyła powoli z głębi serca i nagle, w tej właśnie chwili, kiedy wreszcie odczepiła koronkę, dodała: - Dlatego nie lubię tego słowa, że dla mnie znaczy zbyt wiele, znacznie więcej, niż pan może sobie wyobrazić! I popatrzyła na niego badawczo. - Do widzenia!"

(Lew Tolstoj,
"Anna Karenina")

Kevinowi z wyrazem miłości

I

Laura wiedziała, że chwila nie była stosowna na tak radosny nastrój. Ale słońce świeciło, jak gdyby to był maj, nie marzec, a za oknem mknącego pociągu ciągnął się kobierzec dzikich krokusów. Cóż mogła poradzić, że czuła się szczęśliwa? Jechała przecież na wieś. Chociaż była to podróż na spotkanie z cierpieniem i porażką.

Usiadła wygodnie w rogu przedziału i zaczęła poważnie zastanawiać się nad sytuacją. Jechała na prośbę brata, który chciał, żeby odwiodła od opuszczenia domu jego żonę, od dawna udręczoną ich małżeństwem.

Poczuła na twarzy ciepło promieni słonecznych. Przymknęła powieki. Natychmiast przed oczyma pojawiła jej się wesoła buzia wychodzącego do szkoły synka, w chwili gdy na

pożegnanie machała mu ręką. Z
czułością pomyślała o jego
ciemnych oczach i niesfornej
gęstej czuprynie. Nie można
powstrzymać uśmiechu, kiedy się
myśli o Nicku. Musi go
zaprowadzić do fryzjera.

Poczuła wyrzuty sumienia.
Czyżby była całkiem pozbawiona
serca?

Podniosła powieki i usiadła

prosto z surowym wyrazem twarzy.
Biedna Katie. Po sześciu latach
małżeństwa czworo dzieci i mąż,
który nie rozumie, co oznacza
słowo wierność. To zadziwiające,
żeby brat i siostra mieli tak
odmienne postawy życiowe. Dla
niej wierność małżeńska nie
stanowiła najmniejszego
problemu. Przeciwnie, dawała
przyjemne poczucie
bezpieczeństwa. Możliwe nawet,
że poczytywała ją sobie za
zasługę.

Zmarszczyła brwi. Ogarnęło ją
nieprzyjemne uczucie
niezadowolenia z siebie.
Chwilami zdawała sobie sprawę,
że ma skłonność do megalomanii.

Nagle słońce znikło. Pociąg
wjechał w tunel i Laura zaczęła
się przyglądać odbiciu swojej
twarzy w szybie. Nie była
brzydka. Odkąd pamięta, była
zadowolona ze swego wyglądu,
nawet kiedy była małą pulchną
dziewczynką. Teraz mówiono o
niej, że jest piękna. Może to
nie jest takie istotne. Możliwe,
że człowiek potrafi z czasem
polubić własną brzydotę.

Wpatrywała się w swoje
odbicie. Włosy ciemne, wijące

się, takie jak Nicka. Nos wąski, długi. Oczy niebieskie, choć tego oczywiście nie było widać w szybie. Cera jasna, choć tego także nie można było zobaczyć w oknie. Twarz okrągła, zadziwiająco okrągła jak na kobietę w jej wieku. Smukła, długa podobnie jak nos szyja i pełny jak policzki biust.

Cóż za długi tunel. Odsunęła się od okna. Postarzała się, przybrała na wadze. Naprawdę nie miała być z czego dumna.

Usiadła wygodniej i zaczęła się przyglądać paznokciom. W świetle jarzeniowych lamp przedziału wydawały się zielonkawe. Nicki rósł i tylko patrzeć, jak zacznie żyć własnym życiem. Pracowała zawodowo, bo było jej z tym dobrze. Podobnie

traktowała małżeństwo. Stukot kół zmienił się i pociąg wypadł z tunelu na roziskrzone słońce.

W jednej chwili ogarnął ją poprzedni nastrój beztroskiego szczęścia. Było jej dobrze. Nie miała sobie nic do zarzucenia. Dom zostawiła zadbany i zorganizowany. W bawialni stały anemony. Na kuchni spokojnie dogotowywała się kolacja Milesa, Maria, gosposia, gotowa była dogadzać Nickowi od chwili powrotu ze szkoły średniej. Wreszcie jej własna praca starannie uporządkowana, wszystko pospinane spinaczami bądź ułożone w kartotekach. Wszędzie porządek, wszędzie spinacze i kartoteki.

Pociąg zaczął zwalniać. Stoki wzgórz i pola zastąpiły

pastwiska i ogrody. Z rzadka rozrzucone domy stopniowo stały się tarasowato zabudowanym prowincjonalnym miasteczkiem. W jego centrum, na niewielkim wzniesieniu górował nad domami i ulicami okazały kościół. Lśnił i złocił się w słońcu. Harmonia całości robiła na Laurze ogromnie przyjemne wrażenie. Uśmiechnęła się porozumiewawczo do pięknego widoku.

Pociąg wtoczył się na stację. Znowu był osłonięty od słońca, choć tym razem tylko częściowo znajdował się w cieniu. Nad torem przerzucony był pomost. Wagon Laury stanął naprzeciw tego wiaduktu. Po stopniach schodziła starsza pani i młodszy od niej mężczyzna. W jednej ręce niósł walizkę, drugą podtrzymywał za ramię swoją towarzyszkę. W przeciwieństwie do większości osób, które na widok czekającego pociągu przyspieszały kroku, oni szli spokojnie. Byli parą zwracającą na siebie uwagę, oboje słusznego wzrost, postawni i pewni siebie. Matka i syn.

Byli teraz bliżej, na peronie, światło przesączające się przez

szpary wiaty kładło się prążkowanym deseniem na twarzy mężczyzny. Cerę miał ogorzałą, szeroko rozstawione kości policzkowe, wydatny nos, duże oczy, niskie czoło i szczeciniaste, krótko przycięte jasne włosy. Był to ten typ bardzo męskiej twarzy, który nigdy Laury nie pociągał.

Otworzywszy drzwi wagonu o

kilka metrów od przedziału Laury wstawił walizkę do środka. Rozległ się gwizdek i zawiadowca machnął chorągiewką. Powinni się szybko żegnać. Matka nadstawiła twarz do pocałunku.

Syn pochyliwszy się ujął ją za ramiona i zdecydowanym ruchem pocałował w jeden policzek, a potem w drugi. Laura potrafiła sobie wyobrazić, jakim uśmiechem zareagowała matka na ten objaw synowskiej serdeczności.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Jak ona sobie poradzi z walizką? Może syn nie był jednak nazbyt czuły. Może to przez niego przyszła na pociąg tak późno, a teraz została w kłopotliwej sytuacji. Pociąg powoli zaczynał się oddalać. Wyprostowana sylwetka młodego mężczyzny na peronie zmniejszała się coraz bardziej. Miał na sobie krótką narciarską kurtkę. Zapewne opalił się jeżdżąc w słońcu na nartach.

Kobieta weszła głębiej do wagonu, a Laura sięgnęła po książkę.

- Czy to miejsce jest zajęte?

- Bardzo przepraszam. - Laura zabrała swój płaszcz i kobieta usiadła naprzeciw niej. Ubrana była w płaszcz z tweedu, gęsto przeplatanego różową i bladofioletową nicią. Taki sam lekko fioletowy odcień miały jej siwe włosy. Granatowe pantofle, w ręku identycznego koloru torebka. Laura uznała, że był to strój zbyt elegancki jak na podróż z jednego prowincjonalnego miasteczka do

drugiego.

- Kazałam sobie uszyć ten płaszcz w Irlandii.

- Przepraszam. Byłam zbyt bezceremonialna? - Laura czuła, że oblewa się rumieńcem.

- Wybieram zwykle skromniejszy płaszcz na takie małe okazje, ale działa to na mnie ogromnie przygnębiająco.

- Ja też mam jedną suknię, w której zawsze czuję się szczęśliwa - powiedziała Laura z entuzjazmem, który miał być poniekąd zadośćuczynieniem za jej krytyczne myśli.

- Stroje są źródłem wielkiej radości - oświadczyła kobieta z całą powagą.

- Mój mąż twierdzi, że szukam tylko tego, co mi sprawia przyjemność.

- Mężowie zawsze wygłaszają tego rodzaju uwagi - uśmiechnęła się kobieta. - Co prawda nie powinnam sobie rościć pretensji do zbytnej wiedzy na ten temat. Od dwudziestu lat jestem wdową.

Laura pomyślała o młodym mężczyźnie. O pocałunku.

- Mężczyzna, który mnie odprowadzał, to mój syn. Mój jedyny syn.

Zdolność nieznajomej do czytania w jej myślach wprawiła Laurę w zakłopotanie. Miała ponadto uczucie, że jest coś dziwnego w otwartości, z jaką obie z sobą rozmawiają.

Mimo to wyznała: - Ja także mam tylko jednego syna.

- OO.

- Ma siedem lat. Jest, jest... niezwykle udany! - Czuła przebiegający po jej twarzy uśmiech szczęśliwej właścicielki, wiedziała, że może się wydać śmieszna. Nie próbowała go jednak powstrzymać, wyczuwając, że matka jedynaka

musi ją rozumieć.

Na twarzy nieznajomej nie było uśmiechu.

- Jestem bardzo dumna z Martina, ale daleko mu do

doskonałości. Nie jest dobrze być w za bliskich stosunkach z synem. Wytwarza się wtedy nastrój zbyt poufały, odarty z szacunku.

Laurze zrobiło się gorąco z zażenowania. Zdała sobie sprawę, jak zimna i oschła była ta kobieta. Jej głos miał jakąś odpychającą ostrość, której poprzednio nie zauważyła. Zmyliła ją ta rozmowa o płaszczu. Sięgnęła po książkę zdobywając się jednocześnie na uprzejmy uśmiech. - Tak, sądzę, że tak jest, w istocie. Pani ma więcej doświadczenia.

Nieznajoma odwzajemniła uśmiech, biorąc ze stolika "Daili Telegraph", który tam uprzednio położyła. Obie panie zaczęły czytać.

Słońce świeciło nadal, choć jasne chmury zaczynały już zasnuwać błękit nieba. Ale radosny nastrój Laury ulotnił się bezpowrotnie. Oczy utkwione w książce nic nie widziały. Myślała o chaosie i hysterii, jakie ją czekają lada chwila. Chciałaby przekonać Johna, że powinien przyrzec zmianę w swym postępowaniu, a Katie, że nie powinna opuszczać domu. Będzie to jednak wyczerpujące i przykre.

Pociąg zwalniał przed kolejną stacją. Ostatnią przed tą, na której wysiada. Stał tylko przez

chwilę, po czym znowu ruszył dalej, tym razem dokładnie na zachód, prosto w łunę pozostawioną przez zachodzące słońce. Laura nie zauważyła, kiedy zaszło, połykane stopniowo przez pasmo wzgórz. Wkrótce zapadnie mrok. Już teraz w wagonie było na tyle ciemno, że światło lamp jaśniało pełnym blaskiem.

Laura wsunęła książkę do torby i wstała, żeby włożyć płaszcz. Pociąg stopniowo pustoszał, była w nim teraz może czwarta część pierwotnej liczby podróżnych.

Przeszła na drugą stronę wagonu i wyrzała przez okno.

Wjeżdżali na stację Newton Abbot, gdzie stał już John ze zniekanym wyrazem twarzy i krążącą wokół niego dwójką starszych dzieci.

- Jest, przyjechała! Tam! Tam! Nie tam! Och, tatusiu!

- Johnny! - zawołała Laura ze swego okna. Biedny Johnny. Nie było dziś śladu jego zwykłej witalności. Nawet włosy jak gdyby przeredziły mu się na czubku głowy.

- Och! - Maddy, najstarsza córeczka, starając się sięgnąć do drzwi Laury, upadła na peron.

- Uradowali się pani widokiem.
- Starsza pani podeszła, stając za jej plecami.

- Powinny być w łóżku. - Laura rzuciła okiem za siebie, po czym znowu obserwowała, jak jej mała bratanica podnosi się z płaczem, wyraźnie zmęczona. W tej chwili kobieta za plecami była znowu tylko nieznajomą.

Pociąg zatrzymał się.
Wskoczyła tak samo
zadowolona, że go opuszcza, jak
przed godziną, że do niego
wsiada.

John objął ją ramionami. -
Chwała Bogu, jesteś!

Maddy, już uspokojona, i jej
młodsza siostrzyczka Honour
podskakiwały uwieszone u jej
ręki, Laura oswobodziła się z
tych uścisków.

- Czy nie zechciałbyś wziąć
walizki tej...? - Waliza
nieznajomej była ciężka.

- Bardzo panu dziękuję.

Kiedy starsza pani znalazła
się na peronie, dziewczynki
zdążyły się już trochę uspokoić.

- O, widzę bagażowego, nie
chcę pani dłużej przeszkadzać. -
Nieznajoma uśmiechnęła się i
wyciągnęła rękę. - Może się
jeszcze kiedyś spotkamy.

- Może. - Laura szybko
wymieniła uścisk dłoni. Za ich
plecami pociąg już ruszył.

- Czy mogę cię trzymać za
rękę, ciociu Lauro?

John, jedną ręką objął Laurę
za ramiona, w drugiej
niósł jej podróżną torbę.
Dziewczynki walczyły o dostęp do
jej dłoni. Wolnym krokiem
posuwali się wzdłuż peronu.
Laurze przyszło na myśl, że
jakkolwiek źle postąpiłby John,
nie może to mieć wpływu na jej
uczucia dla niego. Na próby
usprawiedliwiania go. Bliższa
ciału koszula niż sukmana. Czy
Katie musiała mieć aż tyle
dzieci? I to w tak krótkim
czasie. Z pewnością niezbyt

zabawne być młodym mężczyzną i mieć żonę, która jest wiecznie zajęta i nie można się z nią nigdzie ruszyć. Odkąd pamiętam, Katie zawsze była w ciąży, od poślubnej nocy, ciągle albo karmiła piersią, albo była w ciąży.

Biedny John! Uśmiechnęła się do niego. Patrzyła w twarz podobną do jej własnej, na ciemne wijące się włosy, rumianą cerę, niebieskie oczy, pełne policzki. Miła, pogodna twarz - naturalnie w zwykłych warunkach.

- Najlepiej będzie, jak ci od razu powiem najgorsze. -
Zażenowany odwrócił wzrok od jej uważnych, przyjaznych oczu.

- Nie może być aż tak źle. Tak czy inaczej ciągle jeszcze jesteś w domu.

- Tylko dlatego, że beze mnie nie dałaby sobie rady. Zastępuję niańką.

- A tamta idiotka już odeszła?

- To właśnie przez nią ten cały kłopot.

- Co masz na myśli? - Paskudne podejrzenie kazało Laurze znowu spojrzeć mu prosto w oczy. Dostrzegła na niej jeszcze większe poczucie winy.

- Och, nie, Johnny! Tylko nie ona! Nie możesz być taki... taki głupi!

Kiedy podchodzili do domu,

wszędzie panowały ciemności. Zgaszone światła nad drzwiami wejściowymi, to samo w kuchni, gdzie nawet firanki nie były zaciągnięte. Normalnie o tej porze Katie krzątałaby się

tutaj, z niemowlęciem na biodrze
podgrzewała mleko dla jednego
dziecka, nalewała kaszkę dla
drugiego, przygotowywała
kolację czy sortowała czystą
bieliznę. Gdzieś w głębi domu
ślamazarnie robiła coś
ostatnio przyjęta do pomocy
dziewczyna.

Laura przypomniała sobie
Hildę, królową tych apatycznych
pomocnic.

- Jakież to pospolite! Z
dziewczyną do pomocy!

Maddy i Honour mrugając stały
oślepięte nagle zapalonym
światłem.

- Widzę, że Katie schodziła na
dół. - John przygnębionym
wzrokiem lustrował elektryczną
kuchnię "Aga" i ronderek z
odrobiną mleka. - Wzięła mleko
dla Tobiego. Nie zwracała sobie
nawet głowy umyciem garnuszka.

- Już nie karmi go piersią?

- Twierdzi, że po tych
wiadomościach straciła pokarm.
Nie znaczy to, że się do mnie
odzywa. Ale z wyrazu jej oczu
doskonale wiem, co myśli. Zawsze
uważałem, że ma piękne oczy.
Chyba właśnie dla tych oczu się
z nią ożeniłem. A teraz są dla
mnie torturą. Smutne, wielkie
czarne oczy!

Laura westchnęła. - Będzie
lepiej, jak położę dzieciaki do
łóżka, zanim się całkiem
rozbudzą.

- I tak ci o tym opowie. Nic
jej nie powstrzyma. Usłyszysz
całą litanię moich nowych
grzechów, poczynając od sposobu,
w jaki jem przy stole.

- A kończąc na tym, jak
uwodzisz służące.

Idąc na górę tylnymi schodami
i co chwila popychając
usypiające na stojąco

dziewczynki, Laura usłyszała na dole otwieranie kredensu. John naleje sobie teraz dużą whisky. Sama nie miałaby nic przeciwko szklaneczce czegoś mocniejszego. Ale nie pora na to.

Łazienka, ubikacja, łóżko. Rozbierając różowe, gładkie ciałka i wciągając piżamy na rączki i nóżki, Laura znów pomyślała o Nicku. Wszystkie dzieci są piękne, kiedy leżą w łóżeczkach. Odgarnęła z czołek długie włosy bratanic i pomyślała, że należy im się mycie. Zapewne myła je ostatnio Hilda, zanim jeszcze ujawniła szczęśliwą nowinę. Prawdopodobnie sama wygadała się z tą wiadomością. A może Katie się domyśliła?

Sypialnia Katie znajdowała się w drugim końcu domu. Laura nie doszła jeszcze do drzwi, kiedy usłyszała płacz dziecka. Zapukała.

- Kto tam? - głos Katie był ochryply od łez.

- To ja, Laura.

- Ach, Laura! - Drzwi się otworzyły i Laura poczuła się ze wszystkich stron osaczona przez krzyk niemowlęcia w ramionach szlochającej matki. - Tak bardzo chciałam, żebyś przyjechała. Nie potrafię ci opowiedzieć, jakie to wszystko okropne. Johnny jest potworem, bydlakiem. W tym domu - miał ją tutaj! Przekradał się chyłkiem tym korytarzem. Tuż obok drzwi pokoiku Maddy i Honour. Każdej chwili któraś z dziewczynek mogła się obudzić i natknąć na nich. Przeróżające, kiedy sobie człowiek to

wyobrazili. Teraz już koniec.
Koniec. Do tej pory mu
wybaczałam. Wiesz, że
przebaczę. Sama mnie do tego
namawiałaś. Kiedy byłam w
zaawansowanej ciąży. Ale tu, w
tym domu... Przy dzieciach!
W końcu własne łzy i płacz
dziecka nie pozwoliły jej dalej
mówić. Laura objęła ją w pół i

zaprowadziła do łóżka.
- Kochanie, usiądź tutaj.
Usiądź, a Tobie daj mnie. Już
nakarmiony?
Laura czuła, że przede
wszystkim trzeba uspokoić
dziecko, ale jej pytanie wołało
w Katie nowy atak płaczu.
- Nie chce tknąć butelki.
Próbuję bez przerwy. Po prostu
nie chce. Wypluwa smoczek.
Płacze, bo jest głodny. Nie ssie
od wczoraj. To wszystko jest
takie okropne! Cii... kochanie,
uspokój się.
- Gdzie jest butelka?
- Nie wiem. Pod łóżkiem. Może
gdzie indziej. Nie znoszę samego
widoku tej butelki. Miałam
zamiar karmić go sama do czasu,
kiedy zacznie pić z kubeczka,
tak jak to robiłam ze wszystkimi
dziećmi, ale po tym, co się
stało, straciłam pokarm. Och...
och...
- Jesteś pewna?
- Czego pewna? - Katie
spojrzała na Laurę. Po jej
mokrej od łez twarzy przemknął
leciutki błysk nadziei.
- Wyglądasz, jakbyś tę bluzkę
miała rozsadzić.
- Są prawdziwą torturą. Jak
kamienie. Nie mogę zasnąć, kiedy

są takie twarde.

- Więc dlaczego nie próbujesz go karmić? Spróbuj jeszcze raz. Połóż się do łóżka, a ja ci go podam.

- Sądzisz, że mogę mieć pokarm? - Twarz Katie rozjaśniła się.

- Jestem tego pewna.

- Cóż, właściwie mogę spróbować.

Katie obróciła się, żeby wejść do łóżka, i dopiero wtedy Laura spostrzegła w nim trzecią dziewczynkę, Harriet, pogrążoną w głębokim śnie.

- Dotrzymuje mi towarzystwa.

Katie ułożyła się wygodnie i rozpięła bluzkę. Wyciągnęła ręce po dziecko. I buzią, i rączkami Toby gwałtownie szukał piersi,

wreszcie przywarł do niej mocno. W jednej chwili rozkrzyczana kruszynka istnego nieszczęścia przemieniła się w miękki kłębuszek zadowolenia. Katie westchnęła głęboko.

- Jak ja uwielbiam niemowlęta.

Laura przyniosła krzesło, żeby usiąść przy łóżku. Cisza była teraz tak samo dojmująca, jak przedtem hałas. Katie znowu zaczęła ładnie wyglądać, długie kasztanowate włosy wiły się spływając po nagich ramionach, z brązowych oczu, dla których Johnny ją poślubił, było ciepło i miłość.

Oby tylko stosunki w ich małżeństwie udało się doprowadzić do ładu równie łatwo, jak to poszło z Tobym. Laura znowu zaczęła myśleć serdeczniej o Johnie. Trudno

sobie wyobrazić osobę bardziej wyobcowaną z kręgu bliskich niż młoda matka. Powinna skłonić Katie, by spojrzała na Johna jak na jeszcze jedno dziecko, także domagające się od niej miłości. Ale cóż, Katie sama była taka młoda, widziała w Johnie mężczyznę dojrzałego i życiowo wyrobionego. Poważała go. Chciała patrzeć na niego jak na męża - a nie matkować mu.

- Gdyby cię Johnny mógł widzieć w tej chwili, jeszcze raz zakochałby się w tobie bez pamięci.

- Nic nie mów o tym łajdaku! On nie ma pojęcia, co to jest miłość. Nigdy nie miał. I nigdy nie będzie miał. Miłość to dla niego tylko seks. Jeżeli chodzi o mnie, to może mieć tego seksu, ile mu się podoba i z kim mu się podoba, byle nie zbliżał się do mnie i do moich dzieci.

Laura uznała, że Katie czuje się znacznie lepiej. Jej oskarżycielska tyrada nie przeszkodziła maleństwu w miarowym ssaniu. Gdyby nabrała przeświadczenia o swojej przewadze w małżeństwie, szanse

na przebaczenie Johnowi znacznie by się zwiększyły.

- Nie chciałabyś mi opowiedzieć, co się stało?

- To bardzo proste. Hilda miała dzień wolny, więc pojechała do Londynu, a kiedy wróciła, zapytałam ją, czy miło spędziła czas. Na co ona wybuchnęła płaczem i wyznała mi, że czuje się bardzo nieszczęśliwa, gdyż między nią a

panem Bowles wydarzyło się coś okropnego. A przecież ona go nie kocha, mnie i dzieci kocha znacznie bardziej od niego, w ogóle nie rozumie, jak to się stało, no i jest bardzo nieszczęśliwa.

W tym momencie Katie zaczęła znowu tracić panowanie nad sobą. Nie chcąc się z tym zdradzić, przełożyła dziecko do drugiej piersi. Czynność ta uspokoiła ją na tyle, że mogła ciągnąć swoją opowieść.

- Z początku nie zrozumiałam, o co chodzi. Myślałam, że urządził jej awanturę i teraz ona chce odejść. Ostatecznie przepracowała cztery miesiące, jak na mnie, to rekord. Wtedy ona powiedziała jaśniej, co się stało - nie będę ci tego powtarzała, bo nie mogę znieść nawet samej myśli o tym - jednak wciąż jej nie wierzyłam.

Powiedziałam, żeby włączyła pralkę czy coś w tym rodzaju, a swoje chore urojenia zachowała dla siebie. Ale potem oczywiście nie mogłam wytrzymać, żeby nie zadzwonić do Johna.

Opowiedziałam o tym w formie żartobliwej. Już w pierwszej chwili, kiedy się odezwał, wiedziałam. Wiedziałam, że to jest prawda. Wtedy zeszałam na dół i nad tymi brudnymi pieluchami skłęłam i zwymyślałam ją od ostatnich. Przynajmniej miała dość wstydu, żeby się natychmiast spakować i ulotnić... Wiedziałam, że Johnny przyjedzie najszybciej, jak

będzie mógł. Zostawiłam mu więc

w kuchni na stole karteczkę, że ma odebrać ze szkoły i zająć się dziewczynkami. Poza tym, że dwoje młodszych dzieci zatrzymuję przy sobie i nie chcę go więcej widzieć ani z nim rozmawiać, że zadzwonię do mojego adwokata, niech rano wnosi pozew rozwodowy. Wszystko to się działo wczoraj, w sobotę, więc adwokata nie było w domu, dzisiaj jest niedziela, ale jutro będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobię. No i widzisz, koniec małżeństwa, po sześciu latach bez dwóch dni - we wtorek jest rocznica naszego ślubu, dzieci przygotowywały piękną laurkę - czwórka dzieci. Mężczyźni to zwierzęta. Samolubne, bezmyślne, zepsute zwierzęta!

Skończyła z nutą tryumfu w głosie. Laura zastanowiła się, czy odpowiada jej pogląd, że mężczyźni to bestie. Odsunęła od siebie te myśli, uznając je za jałowe.

- Ale jak sobie dasz radę sama?

- Co?

Zaskoczona mina Katie uświadomiła Laurze, że wyobraźnia jej bratowej nie wyszła poza sam gest zerwania małżeństwa. Będzie lepiej nie poruszać dalej tego tematu. Zmieniła taktykę.

- A jak się tłumaczył John?

- Wiem, co zaszło. Przespał się z moją służącą. To chyba wystarczy? Nie chcę o tym nic więcej słyszeć. Nie muszę wiedzieć więcej.

- Mówiłaś przedtem, że kochali się ze sobą tutaj, w tym domu. Tuż obok dziewczynek. Skąd o tym wiesz?

- Mogę to sobie chyba łatwo wyobrazić. - Energicznym ruchem wyprostowała się na łóżku,

jednocześnie bardzo delikatnie
odejmując dziecko od piersi. -
Dlaczego mnie urządzasz takie
przesłuchanie? Nie jestem tu

stroną winną.

- Przepraszam cię. - Laura
wyciągnęła ręce do rozkosznie
przeciągającego się, sytego
malucha. - Czy mam go potrzymać,
żebyś się mogła doprowadzić do
porządku?

- Tak, dziękuję. Jeszcze mu
się nie odbiło.

Położywszy dziecko pełnym
brzuskiem na swojej dłoni,
Laura zaryzykowała jeszcze jedną
próbę:

- Pytam cię, bo chciałam
zwrócić ci uwagę na fakt, czy
rozważyłaś możliwość, że był to
przypadek odosobniony? Wtedy w
Londynie, kiedy Johnny był sam w
tamtych mieszkaniu. - Naprawdę
myślała jednak o tym, żeby
ustalić, czy była to wersja
Johna, czy istotnie tak się
zdarzyło.

- Odosobniony przypadek! A czy
to nie wystarczy? - Ale chociaż
w głosie Katie brzmiała
zawziętość, nie uszło uwagi
Laury, że opadła na poduszkę jak
gdyby zrezygnowana lub co
najmniej bardzo wyczerpana.
Ostatecznie zdarzało się to już
przedtem. Wtedy się z tym
godziła.

Laura podniosła się.

- Może trochę poleżysz? Umyj
się, włóż nocną koszulę, a ja
przyniosę ci do łóżka kolację.

- A Toby? Trzeba go przebrać,
przedtem umyć... - Katie
poderwała się zaniepokojona.

- Dobrze. Dobrze. Nie ukradnę ci go.

Katie uśmiechnęła się. Po raz pierwszy szczerze się uśmiechnęła, po czym z powrotem opadła na poduszki. - Lauro! Jesteś wspaniała.

Trzymając w ramionach niemowlę, Laura ruszyła w kierunku drzwi.

- Pomimo że masz okropnego brata! - Katie uśmiechnęła się znowu. Laura także miała uśmiech na twarzy. Zamknęła za sobą drzwi zmęczona, ale z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Teraz do Johna, aplikując mu wyważoną dawkę perswazji, żeby okazał skruchę i umocnił swoje zasady. Może da się złapać w pułapkę na widok swego syna i dziedzica. Toby jest taki słodki. Laura dotknęła małego noska dostając w nagrodę szeroki uśmiech bezzębnych usteczek.

Raz jeszcze pobiegła myślami do własnego synka, otulonego i spokojnie śpiącego w swoim łóżeczku. Pomyślała, że nie ma dla niej nic droższego na świecie nad szczęście jej syna.

II

Laura zamierzała zatrzymać się u Katie dzień czy dwa. Lubiła być u siebie, we własnym domu. Ale we środę ciągle jeszcze była na wsi. John odjechał do Londynu jak zwykle w poniedziałek wczesnym rankiem. Dystans między małżonkami zacznie się teraz zmniejszać.

Wyjazd Laury uzależniony był

od zorganizowania jakiejś pomocy w domu. Lizzie, młodsza siostra Katie, właśnie skończyła szkołę i czekała na rozpoczęcie studiów na uniwersytecie. Lada dzień miała przyjechać.

Tak więc Laura utknęła u Katie. Środa rano: starsze dziewczynki w szkole, Laura na przechadzce po zalanym słońcem ogrodzie. W domu - Harriet jeszcze śpi, a Katie kąpie niemowlę. W ogrodzie wszędzie dokoła ciepłe słońce wczesnej wiosny kładło się na gęsty dywan żonkili i blade kępki pierwiosnków. Trawa buchała witalnością świeżej zieleni.

Powoli nastrój Katie poprawił się, zaczęła nawet jak dawniej krzątać się po domu, zostawiając Laurze więcej czasu dla siebie. dziwne było znaleźć się nagle samej, bez żadnych planów. Niczego nie trzeba organizować. Nikogo się nie widuje.

Uświadomiła sobie, że nie zdarzyło się jej to od bardzo dawna. Chyba od czasów przedmałżeńskich. A w każdym razie nie po urodzeniu Nicka. W przeciwieństwie do brata chełpiła się tym, że potrafi się cieszyć samotnością. Zastanawiała się, dlaczego straciła tę umiejętność.

Przeszła przez ogród i boczną furtką na ścieżkę prowadzącą do pobliskiej wioski. Po drodze mijala kościół. Ktoś grał na organach i ćwicząc hymny uderzał na próbę w klawisze.

Przystanąwszy słuchała, przyglądając się wysokim

kamiennym murom kościoła i jego wąskim gotyckim oknom.

Zdaje się, że potrzebna jej była nie tyle samotność, co raczej pobyt na wsi. Szybkim krokiem wróciła do domu podchodząc wprost do telefonu. Często zdarzała się jej jakaś blokada w mózgu i zupełnie nie mogła sobie przypomnieć numeru telefonu do biura swego męża, dziś jednak pamiętała go doskonale.

- Kochanie, tu Laura.

- Za chwilę mam zebranie. Masz coś pilnego?

- Nie. To znaczy tak. Chcę tu zostać trochę dłużej.

- Przecież spodziewamy się ciebie dzisiaj. Nicki już się nie może doczekać.

- Pomyślałam, że mógłby przyjechać tutaj.

- Dlaczego powiedziałaś, że chcesz zostać? Jakiś nowy kryzys?

- Po prostu wydaje mi się, że dobrze by nam to obojgu zrobiło. I Nickowi, i mnie. Na wsi jest tak pięknie.

- Wzywają mnie. Oczywiście zrobisz, jak zechcesz, wiesz jednak, że nie pochwałam opuszczania szkoły. Chodzi o wdrażanie pewnych nawyków. Jeśli zrobi to raz, będzie uważał, że może tak postępować zawsze. O co

chodzi? Jesteś chora?

- Nie, nie. - Laurę ogarnęło wzburzenie, czuła się starta na proch. Jedyne ciągle żywe wspomnienie wzruszenia, jakiego doznała stojąc pod kościołem zasluchana w organy, wzruszenia,

które umocniło w niej uczucia
żony, pozwoliło jej powstrzymać
gniew. - Maria mogłaby go
przywieźć jutro wieczorem.
Opuściłby tylko jeden dzień.

- Widzę, że już zdecydowałaś
sama. Co prawda muszę pojechać
na kilka dni do Manchesteru.
Mógłbym to zrobić w piątek.

- Dziękuję ci.

- Nie masz mi za co dziękować.

Powiedziałem ci przecież, że
jadę, bo muszę. Do widzenia,
kochanie.

Odkładając słuchawkę Laura
czuła się dziwnie zmieszana, jak
gdyby popełniła coś
niewłaściwego. Policzki ją
paliły, serce waliło jak młotem.
Nie była przyzwyczajona do tego,
żeby krzyżować plany Milesa.
Nawet jeżeli chodziło o takie
głupstwa, cieszyły ją miłe
stosunki z ludźmi, nie znosiła
sprzeczek i nieporozumień. Teraz
czuła się jak dziecko, któremu
się szczęśliwie udało podejść
nauczyciela. Miles nienawidził
kłótni jeszcze bardziej niż ona.
Uważał je za poniżające i
niepoważne. W najgorszym wypadku
okazywał chłodne niezadowolenie.
Ale tutaj, na wsi, nie było ani
jego ani jego chłodu.

Tanecznym krokiem Laura
ponownie wybiegła na
rozświetlone słońcem powietrze.
Zerwie do domu kilka żonkili.

Tuż nad jej głową w górze
otworzyło się okno. Ukazała się
w nim Katie. Twarz miała
zaróżowioną i błyszczącą, włosy
zebrane do góry i spięte na
czubku głowy. Ze zwojów grubego
ręcznika wyglądała tak samo
różowa buźka niemowlęcia, z
dwoma guziczkami błyszczących
oczu.

- Wyglądasz na szesnaście lat!

- zawołała Katie, na co Toby zareagował piskiem.

- I tak samo się czuję! -

Laura zaczęła

podskakiwać zataczając ramionami szerokie koła. - Zostaję do poniedziałku. Jutro przyjeżdża Nicky!

- Cudownie! Wspaniale!

- Prawda? - Laura wirowała po całym trawniku, od końca do końca. Katie z uśmiechem przyglądała się temu z okna.

- Miles jedzie do Manchesteru.

- Laura przystanąła w swoim szalonym tańcu i zadyszana pochyliła się, żeby zerwać żonkila. W skupieniu przyglądała się zmarszczonej jak falbanka kryzie w środku kwiatka.

Zaczęła ich zrywać więcej, starannie wybierając nie te całkiem otwarte, ale jeszcze zwinięte w pąk. Próbowwała odgadnąć, które będą najbledsze. Ogromnie lubiła kolory nienasycone. Chciała znaleźć żonkile najbardziej zbliżone kolorem do bieli, żeby rozjaśnić nimi cały dom. Przystanąła pod starą jabłonią ze wszystkich stron otoczoną kępkami uroczych kwiatów. Miała w nim zanurzone całe stopy.

- Laura! - Przez trawnik pędem biegła młoda dziewczyna w dżinsach i kozaczkach. Długi szalik ciągnął się za nią po trawie jak ogon.

- Lizzie! Jak szybko przyjechałaś! - Laura ruszyła w jej kierunku, nie zauważając w pośpiechu, że przydeptuje ledwie co rozkwitłego narcyza. Leżał na ziemi, biały ze szkarłatnym

środkiem.

- Masz przy sobie jakieś pieniądze? Muszę zapłacić taksówkarzowi. Wydaje z siebie przedziwne pomruki. I pomyśleć tylko, że ktoś trzęsie się o pieniądze, kiedy dzień jest taki piękny! Laura zaczęła się śmiać i razem z Lizzie skierowała się

ku domowi po portmonetkę.

Przemknęło jej przez myśl, jak bardzo Lizzie podobna jest do siostry. Wygląda jak Katie przed ślubem. Ta sama naiwna zdolność kochania bez jakiegokolwiek kontroli wewnętrznej, którą dla własnej ochrony ludzi zazwyczaj starają się w sobie rozwinać. Podejrzewała, że ta właśnie cecha pozwoliła Johnowi tak łatwo uzyskać przewagę nad Katie.

Laura żywiła nadzieję, że Lizzie będzie miała więcej szczęścia. Była inteligentniejsza od swojej siostry. Miała bardziej niezależną naturę. Może to zapobiegnie dominacji mężczyzny w jej życiu.

Westchnęła nie wiedzieć czemu i poszła poszukać wazonu.

- No więc jakie są ostatnie wiadomości? Czy lwica już wyszła ze swojej jaskini?

- Z małymi w paszczy. Ale jeszcze jej mało, szuka następnej ofiary, bądź ostrożna.

Lizzie podała Laurze żonkile. Z podziwem przyglądała się, jak Laura układa je w fontannę spienionej bieli.

- Lizzie, Przestań się we mnie

wpatrywać i weźmy się za obiad.
- Laura dobrze wiedziała, co
Lizzie o niej myśli, i bardziej
jej to pochlebiało, Nie była
jednak aż tak próżna, żeby
przywiązywać do tego szczególną
uwagę.

Teraz skrobały marchewkę,
postawiły wodę na spaghetti i
smażyły siekane kotlety.
Rozmawiały o pracy Laury w
stowarzyszeniu o nazwie Liga
Ochrony Kultury Rolnej - które,
jak mówiła Lizzie, ratowało od
ruiny stare stodoły - i o tym,
że Lizzie ostatecznie
postanowiła studiować w
Oxfordzie nie historię, lecz
filozofię i filologię klasyczną.
W trakcie tej rozmowy Laura

przypomniała sobie o Harriet
śpiącej na górze, zerwała się,
żeby ją znieść na dwór. Harriet,
rozdrażniona tym, że się ją
budzi, objęła rączkami szyję
Laury i przywarła do niej, jak
gdyby ciocia była całą jej
obroną przed groźnym światem.
Laura skierowała się z dzieckiem
na dół. Lizzie nakryła już w
kuchni do stołu. Wazon z
żonkilami ustawiła pośrodku.
Widząc schodzącą Laure podniosła
wzrok.

- Ściągnę tu Katie.

Laura usiadła, trzymając
Harriet na kolanach. Przemknęło
jej przez myśl, że chwila ciszy
w domu rozbrzmiewającym zwykle
okropnym harmiderem nie dawała
się porównać z niczym. Czy
spokój wart jest ceny, jaką się
zań płaci?

Laura zamyśliła się nad

własnym życiem. Zdawało się, że osiągnęła całą podstawę satysfakcji życiowej, zbytnio o to nie zabiegając. Kiedy miała osiemnaście lat, czuła się bardzo nieszczęśliwa. Wychowywana była w duchu katolicyzmu, w internacie prowadzonym przez zakonne siostry. W czasie ostatniego trymestru umarła jej matka. Została na świecie sama, do tego bardzo nieśmiała. Na horyzoncie majaczył seks, plugawy i przerażający. Z trwogą myślała o przyszłości. Pewnego wieczoru wypiwszy za dużo dała się uwieść mężczyźnie o wiele od niej starszemu i żonatemu. Później wmawiała w siebie, że jest w nim zakochana. Przekonanie to bez wątpienia dawało jej namiastkę szczęścia, ale tak naprawdę było swoistym katharsis. Miała na sumieniu jeden z grzechów głównych. Najcięższe przewinienie. Można było myśleć wyłącznie o poprawie samopoczucia. Zdecydowała, że nie będzie się starała dostać na uniwersytet, tylko natychmiast

podejmie jakąś pracę. Istotnie od tej chwili jej nastrój zaczął się poprawiać. Praca uświadomiła jej, że analizowanie swojej osobowości, koncentrowanie się na własnym ja może pomaga innym, ale w jej przypadku przyczynia się jedynie do pogorszenia całej sytuacji.

Uwolnienie się od starszego przyjaciela trwało kilka lat. Przez cały ten czas zerwanie jego małżeństwa nie wchodziło w

rachubę. Wkrótce potem spotkała Milesa. Był adwokatem. Także starszym od niej, o dwanaście lat, ale kawalerem, odznaczającym się rzetelnością, o jakiej jej pierwszy kochanek nie miał najmniejszego pojęcia. Wywarło to na niej bardzo korzystne wrażenie. Mimo że nie był katolikiem, a do tego czasu i z jej religijności niewiele zostało, wzięli ślub w kościele katolickim.

Wysoki, o twarzy bladej, łagodnej, miał gęste szpakowate włosy, z których był dumny, i szczególny sposób trzymania stóp - w pozycji stojącej były lekko zwrócone na zewnątrz. Do czytania używał okularów. Jeżeli z kimś rozmawiał, całą uwagę skupiał na osobie, do której mówił. Laura wiedziała, że w opinii niektórych przypominało to raczej wykład aniżeli rozmowę, ale jej się podobało. Uważała, że nie musi koniecznie wsłuchiwać się w każde jego słowo, i wcale jej ten jego ton nie przeszkadzał, a on po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy.

Pewność siebie, jaką okazywałby w rozmowie, bardzo ją cieszyła, gdyż stopniowo, z biegiem lat spostrzegła u niego jeszcze inny, niepokojący rys. Ujawniał się on w tym, że była Milesowi nieodzownie potrzebna, chciał ją mieć stale przy sobie. W pewnym sensie była od niego silniejsza. Nie lubiła jednak za dużo się nad tym zastanawiać.

Sama myśl, że mógł być mężczyzną słabym, była jej

nienawistną.

- O czym tak rozmyślasz?

Podniosła głowę, głos Katie ją zaskoczył.

- O mężach - odpowiedziała spłoszona.

Harriet zsunąwszy się z jej kolan biegła do matki. - Mama, mama!

- Przepraszam. - Laure zawstydził brak uwagi.

Katie pochyliła się, tuląc córeczkę w ramionach. - Wszystko dobrze - oświadczyła - postanowiłam, że już nigdy nie będę taka głupia. Tylko się ośmieszyłam, robiąc tyle zamieszania. Ostatecznie on od lat postępuje w ten sposób. - Podniosła Harriet usadowiła ją w wysokim dzieciennym krzeselku. - Uważam, że w pewnym sensie to jest nawet w porządku. On ma swoje dziewczyny. Ja mam swoje dzieci.

- Nie! - Żadna z nich nie zauważyła, kiedy weszła Lizzie.

- To wcale nie jest w porządku!

- Lizzie, kochanie. Moje biedactwo. Nic a nic nie rozumiesz.

- Katie już postanowiła. I rzeczywiście tak jest najlepiej.

Lizzie spojrzała na Laure. - Ale ja nie mogę tego znieść, kiedy ją widzę taką zrezygnowaną i wzbudzającą litość! Powinna zażądać rozwodu. Dlaczego nie miałyby się rozwieść?

Teraz obie spotkała niespodzianka. Katie wybuchnęła śmiechem. Wysokim, srebrzystym śmiechem dziecka. Harriet, która na podniesiony głos Lizzie zareagowała pełnym niepokoju ssaniem paluszka, teraz wyjęła go z buzi i zaczęła wesoło klaskać.

Katie przestała się śmiać. - Naturalnie, że mogłabym się

rozwieść. Tysiąc razy. No i co potem? Potem będzie mi lepiej? Pieniądzy będę miała mniej,

ponieważ będziemy je musieli dzielić...

- Ale tu nie chodzi o pieniądze!

- Pozbawiona towarzysza życia...

- Co przez to rozumiesz? Masz mężczyznę, który romansuje z każdą dziewczyną, jaką zobaczy na horyzoncie, a ty rozprawiasz o towarzyszu życia!

- Lizzie, nie mów o nim w ten sposób. Kocham Johna.

- Kochasz! - Lizzie usiadła, kompletnie zniechęcona. - Jak możesz kochać kogoś, kto...? - Laura spojrzała na nią ostrzegawczo, więc urwała.

- Kocham go naprawdę. Nie tak jak przedtem, inaczej. Teraz znam wszystkie jego wady i nienawidzę ich. Ale nie znaczy to, że nienawidzę jego samego. No, może czasem, jak w czasie ostatniego weekendu. Poza tym lubię małżeństwo. Lubię mieć w łóżku mężczyznę. Mieć męża - nawet jeśli nie jest z tych najlepszych.

- Ale przecież jesteś bardzo ładna. Zanim wyszłaś za męża, adoratorzy stali w kolejce. Pamiętam, jak mi to imponowało. Zawsze bez trudu znajdziesz sobie kogoś do łóżka.

- Męża także? Kogoś, kto będzie miał ochotę na czwórkę dzieci, najstarsze poniżej szóstego roku życia? Zresztą im się także coś należy. Johnny jest ich ojcem. Mają do niego

prawo.

- Cóż, dobrze. - Lizzie z irytacją wzruszyła ramionami. - Jeżeli masz ochotę poświęcić własne życie dzieciom, to poświęcaj.

- Lizzie, już ci to tłumaczyłam. - Katie mówiła głosem zdecydowanym, jak gdyby wszystko przemyślała starannie w ciągu tych kilku dni, kiedy nie wychodziła ze swego pokoju. - Tu nie chodzi o to, że chcę mieć kochanka. Ja chcę mieć męża i

mam nadzieję, że nie będziesz mnie namawiała do wyrzeczenia się własnych dzieci!

- Nic już nie wiem - Lizzie siedziała utkwivszy przygnębiony wzrok w leżącą przed nią na stole rogożynową matę. - Musi być jakieś wyjście.

Laura obszedłszy stół dookoła stanęła przy elektrycznej kuchni.

- Co będzie z jedzeniem?

Lizzie podjęła jeszcze jedną próbę. - Słuchaj, Lauro! Chyba nie sądzisz, że Katie musi już do końca życia znosić aż takie upokorzenia?

Laura uniosła pełną łyżkę spaghetti i nałożyła sobie na talerz. Doprawdy nie miała ochoty odpowiadać. W gruncie rzeczy uważała, że Katie sama siebie postawiła w sytuacji, z której nie było wyjścia. Ona, Laura, przede wszystkim nigdy nie wyszłaby za mąż za mężczyznę takiego jak Johnny. Poza tym nigdy nie dałaby się zapędzić w pułapkę rodząc aż tyle dzieci.

- Wierzę w małżeństwo - zaczęła powoli. - Kobiety w nim

dobrze funkcjonują...

- Co masz na myśli mówiąc, że dobrze funkcjonują? -

wykrzyknęła Lizzie. - Spójrz na Katie. Jest wykończona!

- Nie. Wcale nie. - Katie gniewnie spojrzała na siostrę. - Dość już tego, Lizzie. Jak będziesz starsza, zrozumiesz.

Laura skończyła nakładać na talerz marchewkę i mięso. - Przepraszam. "Funkcjonują" to istotnie napuszone określenie. - Uśmiechnęła się. - Ale ja naprawdę wierzę w małżeństwo. Mimo całego tego zmartwienia byłyśmy obie z Katie takie tutaj szczęśliwe dziś rano. Prawda, Katie?

- Bardzo! Kapałam Tobiego. Był taki słodki!

- Ale waszych mężów przy was nie było.

- To nie ma znaczenia. Zawsze czujemy się mężatkami. Mamy

zawsze świadomość, że jesteśmy w związku małżeńskim.

- Obie musicie być zupełnie nieczułe, całkowicie pozbawione serca... Och, poddaję się.

- Tak, proszę cię, kochanie, nic już nie mów - powiedziała Katie, patrząc na nią z promiennym uśmiechem, a Laura postawiła przed nią pełny talerz. Dyskusja była zakończona.

Ale Laura wróciła do niej w myślach. Nie było jej miłe, że Lizzie posądzała ją o nieczułość i brak serca. Ta refleksja uświadomiła jej, że równy rytm szczęścia w jej życiu bardziej uzależniony był od podziwu

przyjaciół i krewnych, aniżeli przyznawała to dotąd przed samą sobą. Pomagali i byli podporą niezbyt olśniewającego uczucia łączącego ją z mężem. Poczula się przygnębiona i dopiero myśl o Nicku i o tym, jak się oboje kochają, podniosła ją na duchu.

Potem już z lekkim sercem wyszła, żeby odebrać ze szkoły Maddy i Honour. A jutro pojedzie na stację odebrać Nicka.

Cieszyła się na tę myśl. I dopiero kiedy za plecami, na tylnym siedzeniu, miała dwie rozchichotane dziewczynki, uświadomiła sobie, że znalazła się w tym samym położeniu co Katie - w położeniu kobiety, dla której głównym źródłem szczęścia jest jej dziecko.

John przyjechał w piątek wieczorem. Mimo że Laura rozmawiała z nim przez telefon i powiedziała mu o zmianie nastrojów Katie, jego potulna postawa wyraźnie zdradzała zdenerwowanie. Laura obserwowała, jak swoim wyglądem wzbudzał litość nawet w Lizzie.

- Jest na gorze, karmi dziecko
- powiedziała Laura.

Lizzie wzięła od niego płaszcz i zaproponowała mu drinka.

- Nie, nie. Nie teraz. Pójdę

od razu na górę.

Zapanowała idylla. Przyjazd Johna wszystko odmienił.

Pierwszy raz od przyjazdu Laury kolacje jedli w pokoju stołowym. Johnny otworzył butelkę wina, a w bawialni rozpałił ogień w kominku. Był

pełen werwy, jak zawsze po powrocie z Londynu. Katie zeszła na dół w długiej haftowanej sukni, którą razem kupili w czasie podróży poślubnej w Egipcie.

Mówiła mało, ale była wyraźnie zadowolona. Laura spostrzegła utkwione w siebie zdumione oczy Lizzie. Zauważywszy to spojrzenie, Katie uśmiechnęła się do siostry łagodnie.

John promieniał szczęściem, nie zostało śladu z posepnego, przytłaczającego poczucia winy. Jak dawniej biło od niego przekonanie, że świat jest piękny, a szczególnie piękny dla niego, Johna Bowlesa.

Oparłszy ręce na poręczy krzesła, powiódł zachwyconym wzrokiem po otaczających go łagodnych kobietach i gromkim głosem oświadczył: - Rozkosznie jest mieć taki harem, ale jak wszystko dobre, i to się musi skończyć. Zaprosiłem do nas Roya, ma przyjechać jutro.

- Och, Johnny - jęknęła Katie z wyrzutem w głosie. Nic jednak nie mogło popsuć jego wspaniałego humoru. - Czy będzie na obiedzie? - Nie udało się jej zachować obojętności. Miała wygląd kobiety obliczającej zapas kotletów.

- Roy nigdy nie jest punktualny. Ale przynajmniej nie musimy myśleć o kolacji.

- Dlaczego?

- Wszyscy jesteśmy zaproszeni na przyjęcie. Dlatego właśnie Roy opuszcza swoją irlandzką kryjówkę. Siedzieliśmy obok siebie przy stole, on po prawej ręce Roya.

- Kto taki? - zadając to

pytanie, Laura pomyślała jednocześnie, jak jej brat lubi zaskakiwać i bawić się w organizatora.

- Martin Keane. To właśnie jego matkę spotkałaś wtedy w pociągu. Dopytała się o nas, wie, kim jesteśmy. Zatrzymała się w pewnym domu niedaleko stąd. A jutro wieczorem wystawiają tam operę buffo, po której ma być bankiet. Chodzi o cele dobroczynne. W jakiś sposób zaangażowany jest w tę akcję także Martin.

- Cóż, ja nie mogę iść - Katie patrzyła w swój talerz. Oczy zaczęły się jej szklić. - Przecież karmię, zresztą nie mam z kim zostawić dziecka.

- Ja mogę zostać! - wykrzyknęła Lizzie.

- Nie, nie, Lizzie. - Katie przełknęła głośno łyżę. - Nie chcę nigdzie wychodzić. Nie chcę się niczym zajmować. Zwyczajnie chcę mieć trochę spokoju. Tak jak dziś rano. A teraz i Roy, i opera, i Bóg wie, co jeszcze.

- Poddaję się! - John z łoskotem odsunął krzesło od stołu i wstał. - Sądziłem, że sprawię wam przyjemność. Przecież lubisz Roya, przynajmniej zawsze tak twierdzisz. Ja, prawdę mówiąc, uważam go za nudziarza. Wiecznie kogoś dopada z tymi swoimi fantastycznymi teoriami. W gruncie rzeczy zaprosiłem go ze względu na ciebie! - Pogrzebał palcami w kieszeni i wyciągnął kilka biletów. Cisnął wszystkie na stół. - Masz. Zrób z nimi, co ci się podoba! Chcesz, spal je! Nic mnie to nie obchodzi. Ostatecznie to tylko sto funtów!

- Sto funtów. Och, Johnny!
Ale Johna już wymiotło z
pokoju. Znacznie lepiej grał
rolę nie docenianego męża
aniżeli skruszonego grzesznika.
Wielkimi krokami przemierzył
kuchnię, wyjął cagaró i nóż do
obcięcia koniuszka, po czym już

spokojniej skierował się do
bawialni, gdzie usadowił się
wygodnie, żeby obejrzeć w
telewizji ostatnie wiadomości.

Nie przestając popłakiwać,
Katie pomagała Laurze i Lizzie
sprzątać ze stołu. - Jestem taką
kulą u nogi. Stałam się nudną.
Ale czuję się bardzo zmęczona.
Pamiętajcie, że muszę się zrywać
w środku nocy. Pod koniec
każdego dnia chcę po prostu
tylko spać.

- Na tym polega chowanie
dzieci - łagodnie powiedziała
Laura. - To całkiem naturalne. -
Odwróciła się jednak przy tych
słowach plecami do swojej
bratowej.

Katie głośno wytarła nos w
papierową chusteczkę. -
Przepraszam. Jestem po porodzie
jak fontanna. Nie trzeba na mnie
zwracać uwagi. Udobrucham jakoś
Johna. Nie martw się. Wy
pójdziecie.

- Opera - odezwała się Lizzie
z pytaniem w głosie, chociaż
jej oczy błyszczały. - To brzmi
strasznie uroczyście, a ja
wzięłam tylko dzinsy.

- Znajdziemy coś dla ciebie -
Katie pozbięrała bilety,
wręczając je Laurze. - Ty je
trzymaj. Jeszcze je wyrzucę
razem z opakowaniem po

pieluszkach.

Laura uśmiechnęła się. Była zadowolona, że Katie postanowiła wziąć się w garść. Pograżanie się w rozpacz do niczego nie prowadzi. Podała Lizzie sól i pieprz, żeby je odniosła na kuchenną półkę.

- Musisz włożyć moją długą wieczorową suknię - powiedziała nagle z zapalem. - Jest kremowa z mnóstwem starej koronki. Będziesz w niej wyglądać ślicznie, a mnie jest naprawdę wszystko jedno, w co się ubiorą.

Obsesją Roya była karma dla świń. Pojawił się wpół do pierwszej i mimo protestów Katie

twierdzącej, że obiad będzie gotów lada chwila, upierał się, że musi natychmiast pójść i zorientować się, czy nie ma w pobliżu hodowli świń wartych obejrzenia.

Rozpadało się, siąpił gęsty kapuśniaczek, który w ciągu kilku godzin potrafił zrównoważyć całe dni słonecznej pogody. Nicki, ciągle jeszcze w wieku, kiedy chłopcy na widok błota wpadają w entuzjazm, wybiegł za Royem. Przyłączyła się także do nich Lizzie, której Roy z podnieceniem tłumaczył, jak kuchenne odpadki wtórnie wprowadzone do produkcji jako pasza dla trzody chlewnej mogą rozwiązać jeden ze największych problemów współczesnej cywilizacji.

Laura wiedziała, że właściwiej byłoby zostać z Katie i pomóc jej w przygotowaniu obiadu, mimo

to podążyła za nimi.
Ostatecznie spędziła tu prawie tydzień, pomagając we wszystkim. Poza tym miała ochotę na spacer w deszczu. Czuła się podniecona, niespokojna, rozsadzała ją energia. Było to całkiem do niej podobne, zazwyczaj bardzo opanowana, potrafiła sprawnie zajmować się tym, czego wymagała chwila.

- Wszystko, co wiem o świniach, pochodzi od P. G. Fodehouse'a. - Lizzie posłała Laurze szeroki uśmiech.

- Zaczekajcie na mnie!
Zaczekajcie na mnie! - wołały na przemian Honour i Maddy, które na widok wychodzącej cioci Laury chciały pójść także.

Roy kroczył przodem. Wysoki jak wieża i szczupły, miał szerokie ramiona i wyniosłe, wypukłe czoło ozdobione pasemkami ciemnych włosów. Okulary trzymały się jakoś dzięki taśmie przylepnej. Przyjechał ubrany w olbrzymie zielone gumowce i tweedowy płaszcz bez guzików, którego

poły trzepotały szeroko niczym skrzydła ptaszyska. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak ktoś niespełna rozumu. W rzeczywistości miał umysł wiecznie zajęty nowymi teoriami, które miały udoskonalić świat. Był farmerem_intelektualistą, co tylko na pozór jest dość cudacznym zestawieniem. Laura poznała go przez brata. Studiowali razem na uniwersytecie. Rozumując logicznie, byli parą raczej

nieoczekiwaną, intelektualista i sensualista. A jednak Roy miał ogromny podziw dla beztrojski, z jaką John podchodził do życia. Dla sposobu, w jaki sobie znalazł ładną dziewczynę i miał z nią czworo dzieci, podczas kiedy on, Roy, był zaledwie na początku drogi w poszukiwaniu odpowiedzi na kwestię miłości i seksu. Skromny i inteligentny, Roy zawsze z góry przyjmował, że inni znajdowali odpowiedzi lepsze od jego własnych. To między innymi wyjaśniało, dlaczego wachlarz jego zainteresowań był tak szeroki i dlaczego tak często je zmieniał. Podczas długich wieczorów na farmie rozważał wielkie problemy i rozczytywał się na ich temat, po czym przyjeżdżał ze swoimi wnioskami do Londynu, żeby je skonfrontować z przemyśleniami innych fachowców.

Zazwyczaj ich wielkowiejski cynizm imponował mu dzięki świetnie skrojonym garniturom i doskonałej znajomości bieżących spraw oglądanych w telewizji (na farmie Roya odbiór był nie najlepszy) oraz publikowanych w czasopiśmie (które dostawał z opóźnieniem). Wszystko to sprawiało, że Roy wydawał się śmieszny nawet sam sobie. Porzucał zatem na pewien czas pasjonujący go temat. Zdarzało się jednak, że ostra krytyka bądź, przeciwnie, czyjeś zainteresowanie powodowało, że

zajmował się jakąś sprawą jeszcze zacieklej.

Stąd chlewnie.

Laura pędziła, żeby dogonić Roya. Lubiła mężczyzn z charakterem. Dlatego wyszła za Milesa. Czowała się bezpieczna w towarzystwie pasjonatów, którzy, jak się nad tym zastanowić, nie interesowali się zbyt wiele kobietami.

- Błotko, błotko. Fantastyczne błotko. - Wyśpiewywały dzieci, brnąc po błocie i rozdeptując je.

- A świadectwem zwycięstwa będzie pierwsza chlewnia, która, wyobraźcie sobie, stanie w ogrodzie od frontu - oświadczył Roy, w podnieceniu chwytając Lizzie za rękę.

Chodźcie wszyscy tutaj,@
zapaćkami buty@

Dzieci goniły jak szalone w kierunku kałuży, do której wpadały strumyki wody płynące po obydwu stronach ścieżki.

W błotku, błotku, błotku,@
fantastycznym błotku!@

Laura spojrzała na Nicka. Normalnie był bladym, drobnym chłopcem o głowie nieproporcjonalnie dużej w stosunku do tułowia, co podkreślały gęste ciemnorude kędziory. Kiedy myślała o jego kurzej klatce piersiowej i ramionkach, chciało jej się płakać. Ale tym razem jego twarzyczka tryskała zdrowiem, a krótka kurtka nadawała całej sylwetce wygląd zuchowaty i pewny siebie. Obrócił się wyraźnie w tym celu, żeby na nią spojrzeć, i kiedy zobaczył, że go obserwuje, kopnął potężnym strumieniem wody prosto na Honour.

- Uuuch, Nicki! Zamoczyłeś

mnie całą!

- Beksa lala! Beksa lala! -

wykrzykując wesoło pobiegł dalej drogą.

- Co za zabijaka! odezwał się Roy, którego entuzjazm dla hodowli trzody chlewnej chwilowo przygasł. W jego głosie brzmiał podziw.

- Nigdy taki nie bywa - powiedziała Laura tonem usprawiedliwienia.

- Agresja jest czymś naturalnym u chłopców tym wieku. Prawdę mówiąc, jest to nawet sympatyczne. - Lizzie nadal obserwowała energicznie maszerującego Nicka, gdy tymczasem Laura zawróciła, żeby pocieszyć dziewczynki. - Przepadam za witalnością u małych chłopców. Problem zaczyna się, kiedy wyrastają na brutalnych nastolatków.

- Albo mężczyzn. - Roy zaczął nagle sprawiać wrażenie przygnębionego, jak gdyby ta dyskusja szczególnie go dotknęła. Kobiety wolą mężczyzn brutalnych.

- Sądzę, że nie masz na myśli brutalności fizycznej, to znaczy mężczyzn, którzy na przykład biją? Lizzie uznała, że jest to temat do dyskusji znacznie bardziej interesujących od trzody chlewnej.

- Brutalność mężczyzn może się przejawiać i w taki sposób.

- Nie mówisz chyba poważnie! - wykrzyknęła Lizzie uszczęśliwiona, że i ona ma szansę apodyktycznie wypowiedzieć się na jakiś temat.

- Nie ma kobiety, która lubiłaby bicie. Jest to czysto męska propaganda dla usprawiedliwienia stosowanych przez nich metod.

- Przede wszystkim nie jest to dosłownie sprawa fizycznej przemocy. Idzie raczej o instynktowne pragnienie każdej kobiety, żeby jej mężczyzna był silny. Wynika to prawdopodobnie z biologicznego układu stosunków między mężczyzną a kobietą...

- Naprawdę, oby! Jak możesz

uznawać takie staroświeckie nonsensy? Już od lat ruch wyzwolenia kobiet dowiódł nieprawdziwości tej bzdurnej biologicznej teorii. Każdy dziś przyznaje, że nie ma absolutnie żadnego wrodzonego czynnika psychologicznego, który miałby przesądzać o przewadze w związku kobiety i mężczyzny. Każdy ci to powie! - Oburzenie Lizzie połączone z jej biegłością w używaniu długich terminów rozśmieszyło Laure. Zapędzanie się w taką dyskusję na deszczowym spacerze wydało się jej zgoła nienaturalne.

- Co? - zastanowiła się Laura nad skierowanym do niej pytaniem Roya. - Czy ja lubię silnych mężczyzn? To zależy, co rozumiesz pod określeniem "silny".

- Nie bądź taka ostrożna! - Lizzie i Roy byli teraz tak samo podnieceni.

- Za silnego uznaję kogoś, kto opiera swoje życie na trwałych zasadach. Nie imponuje mi ten rodzaj siły, który chce na siebie zwrócić uwagę całego

świata.

- Naprawdę? Rzeczywiście tak myślisz?

Roy obrócił się na pięcie i uważnie, z bliska, spojrzał prosto w twarz Laury. Potwierdziło to jej domniemanie, że jego szczególne zainteresowanie się tym tematem wynikało z faktu, że, przynajmniej według potocznych opinii, uważał się za mężczyznę słabego i sądził, że tak ocenia go większość kobiet. Cofnął się.

- Cóż, jeżeli rzeczywiście tak uważasz, to jesteś wyjątkiem. Jesteś kobietą wyjątkową.

- Nie wyjątkową kobietą, lecz wyjątkowym człowiekiem! - wykrzyknęła Lizzie. - Nie wolno ci myśleć w kategoriach rozdziału na płcie.

Jednak tym razem Roy nie dał się złapać na przynętę. Stał

milczący i zamyślony, więc Laura spojrzawszy na zegarek zaproponowała, żeby wracali na obiad.

Kiedy przygotowywali się do wyjścia na operę, Lizzie zaczęła się wykręcać. Oświadczyła, że nie może zostawić siostry samej z wszystkimi dziećmi. Dla Laury było jednak jasne, że Lizzie zwyczajnie nie podoba się sobie w sukni z koronkami. Laura zabrała rozłożoną na łóżku suknię i włożyła na siebie. Lizzie, która stała w oknie zapatrzona w ciemnym już o tej porze ogród, obróciła się zdumiona.

- Nie było ci w niej dobrze -

powiedziała Laura z całym spokojem. - A teraz wkładaj dzinsy, jedwabną bluzkę, i idziemy. - Pamiętała, jak sama czuła się przed wyjściem na każde przyjęcie, kiedy miała osiemnaście lat. Ogarniało ją nerwowe podniecenie, zdawało jej się, że oto los czeka na nią, by włożyć jej na głowę wieniec szczęścia albo ją strącić na dno przygnębieniem, w wyobraźni zawsze widziała kogoś czekającego na nią po drugiej stronie zatłoczonej sali.

Usiadła przy toalecie, zmieniając kolczyki na ametystowe kulki, które lepiej pasowały do koronek. Z zadowoleniem stwierdziła, że wygląda pięknie.

Lizzie nadal kaprysiła. - Kto kiedykolwiek słyszał o operze w prywatnym domu? I potem tańce. To absurd. Anachronizm. Zupełnie jak bal myśliwski czy coś w tym rodzaju. Będę tam zupełnie nie na miejscu.

Laurze nie podobało się myśleć, że można ją posądzać o niedotrzymywanie kroku współczesności. Nie znosiła balów myśliwskich. Jednak opera wydała się jej pomysłem wspaniałym, pełnym romantyzmu, w

duchu musiała przyznać, że cały dzień spędziła w oczekiwaniu na ten wieczór.

- Nie wszyscy będą starzy i żonaci. - zawahała się. - A mężczyzna, którego matkę poznałam w pociągu, z pewnością jest młody.

- Martin Keane. - Lizzie

stała blisko Laury i zebrała włosy w węzeł na czubku głowy. Przyglądała się sobie krytycznym wzrokiem. - Gramy czasami w tenisa.

- Nie wiedziałam, że grasz w tenisa.

- W mieszanym deblu. Nie gram nadzwyczajnie. Zwykle partneruje mu jego dziewczyna. Ale ona też nie jest ode mnie lepsza.

Dlatego lubi, kiedy się do nich przyłączam.

- Nie wiedziałam, że ma dziewczynę.

Lizzie spojrzała zdziwiona i Laura uświadomiła sobie, że ta uwaga była istotnie co najmniej dziwna, zważywszy iż nic o nim nie wiedziała.

Lizzie opuściła włosy i ruszyła w kierunku drzwi. - Jest jego sekretarką czy kimś w tym rodzaju. Martin jest małym potworem.

- Nie brzmi to zabawnie.

- Laura przyglądała się odbiciu swoich oczu w lustrze.

Były szeroko rozwarte.

- Prawdę mówiąc, przypuszczam, że Philippa służy mu za ochronę przed innymi dziewczętami. -

Była już za drzwiami, kiedy nagle znowu wsunęła głowę. - Na przykład przede mną! -

Zaśmiewając się z samej siebie zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Laura nie skwitowała tego uśmiechem i po chwili wahania zawołała za nią. - Więc idziesz z nanmi?

- Oczywiście! - krzyknęła w odpowiedzi głosem radosnym i pewnym siebie, bez śladu poprzedniego niezdecydowania. -

Jak mogłabym się oprzeć takiej
pokusie!

III

Kiedy zajechali przed
Lullington House, deszcz już nie
padał. Dookoła stała czarna,
bezksiężycowa, ale gwiaździsta
noc. Mieszkając stale w
Londynie, Laura przyzwyczajona
była do nieba burego od łuny
miejskich świateł. Ta czysta
czern i srebro poraziły ją. Szła
wzdłuż podjazdu z twarzą
zwróconą ku górze. Powietrze
było chłodne i orzeźwiające.
Wciągając je w płuca głęboko,
czuła, jak całe jej ciało
pograża się w tajemniczym
nastroju - ogarnęła ją tęsknota
za domem, chociaż nie chciałyby
być w tej chwili nigdzie
indziej; nostalgia, chociaż
czekała niecierpliwie na to, co
ją czeka; złudzenie, że tu
kiedyś była, choć nigdy przedtem
tego miejsca nie widziała.

- Lauro, Roy!

Wołanie rozległo się z tyłu,
za jej plecami. Idący przodem
Roy i Lizzie obrócili się
jednocześnie. Chcąc nie chcąc
Laura przystanąła.

- Ugrzązłem w rozmokłej ziemi!
Ktoś musi mnie popchnąć!

John wysadził ich na
podjeździe, a sam pojechał
zaparkować samochód na
wyznaczonej łączce. Przyjechali
późno i mokra trawa była
zupełnie rozjeżdżona przez koła
parkujących wcześniej gości.

Perspektywa pchania samochodu
nie wywołała u Roya
najmniejszego zniecierpliwienia.

- Ja mu pomogę. Wy idźcie do

domu.

- Dobrze, jeśli jesteś pewny,
że sam dasz radę. - Laura była
zwykle solidarna, ale tym razem
wolała raczej znaleźć się w domu
aniżeli grzęznąć w błocie.
Czułaby się zepchnięta do roli

Kopciuszka.

Lullington było
szesnastowieczną wiejską
rezydencją, składającą się z
trzech skrzydeł okalających
obszerny dziedziniec. Dom nie
był specjalnie duży i Laura z
Lizzie, czekając na końcu
kolejki innych gości na okazanie
przy drzwiach biletów, słyszały
dźwięki rozgrzewającej się
niewielkiej orkiestry.

Gdzieś na polach zaryczała
krowa. Laura parsknęła śmiechem.

Bilety odebrała od nich tęga,
zdenerwowana pani domu w sukni w
olbrzymie róże. - O Boże -
westchnęła ciężko, przedzierając
je na pół.

- Zanoszą się na prawdziwy
sukces! - Laura chciała ją
podnieść na duchu. - Przyjechało
tyle osób.

- Co do mnie, wolę konie.
Płaszcz na lewo, proszę
państwa.

Laura i Lizzie oddały płaszcze
innej tęgiej, ale pogodnie
uśmiechniętej pani, po czym
szybkim krokiem przeszły przez
hall. Dźwięki dobiegające z sali
po drugiej stronie już umilkły.
Pani spowita w róże pozostała w
wejściowych drzwiach i wpatrując
się mrok nocy, oczyma wyobraźni
już widziała zapewne swoich
gości, jak zapełniają dziedziniec

przed odjazdem do domu.

W pewnej chwili zmuszona była cofnąć się do hallu. Z ciemności wyłoniły się sylwetki trzech wysokich mężczyzn, pogrążonych w wesołej rozmowie. Twarze mieli ożywione, włosy poskręcane od wilgotnego powietrza nocy.

Strapiona gospodyni położyła palec na ustach. Lizzie ruszyła im naprzeciw. - Szybciej! Szybciej!

Laura obserwowała całą trójkę. Martin Keane stał między Royem i Johnem. Wszyscy mieli zawadiackie miny mężczyzn, którym się udało wyciągnąć samochód z błota. Nie mogła

sobie wyobrazić, że teraz usiądą spokojnie, zasłuchani w dźwięki szpinetu.

Scenę urządzono w końcu ogromnej sali, zawieszając w głębi storę z malowaną na niej dekoracją. Płótno falowało niepewnie. Orkiestra siedziała z boku, publiczność ciasno stłoczona w równych rzędach krzeseł ze złożonymi oparciami wpatrywała się przed siebie jak zahipnotyzowana.

Laura usłyszała za plecami hałas, to trzech panowie pojawili się na sali, kołysząc niesionymi wysoko w górze krzesłami.

- Krzesło dla jaśnie pani. - Martin Keane z ręką na oparciu krzesła skłonił się głęboko przed Laurą. Podeszła łaskawie i usiadła.

- Dziękuję panu.

Usiadł obok. - Czy pani uśmiecha się tylko do osób, które zostały jej przedstawione?

- Szsz. Zaczynają.- Wydał się Laurze bardzo młody.

Odgarnęła znad ucha pukiel włosów, z zadowoleniem myśląc o swoim ładnym profilu.

Przedstawienie się rozpoczęło. Była to opera buffo Pergolesiego "La Serva Padrona", obsada składała się z trzech osób: pana, pani i służącej. Partie wokalne znamionowały wytrawnych wykonawców, orkiestra prowadzona była z werwą.

Laura czuła, że Martin ją obserwuje. Nie patrzyła w jego stronę. Jej twarz płonęła, ale przecież w sali było gorąco. Wpadła w pułapkę.

Wydawało się, że trwa to całe godziny, dni, ba, tygodnie, zanim wreszcie pan oświadczył się swojej służącej i orkiestra postawiła kropkę nad i, kończąc triumfalnym akordem.

Laura poderwała się z krzesła.

- Nie przypuszczałem, że pani jest alkoholiczką. - Martin wciąż jeszcze siedział.

Laura przyłożyła dłonie do policzków. Spojrzawszy na Martina, dostrzegła zachwyt w jego oczach. Ostatecznie, nie było w tym podziwie nic złego. Nie omieszkała w ciągu tych kilku sekund zauważyć, że miał niskie czoło, brzydką cerę, kędzierzawe włosy i nierówne zęby.

Odpowiedziała mu utrzymując się w konwencji.

- Nikt pana jeszcze o tym nie poinformował? Jeżeli w ciągu dwóch sekund nie wypiję drinka,

zrobię coś okropnego.

Roześmiał się.

Pomyślała, że jego śmiech był bardzo charakterystyczny.

Szeroko rozciągał usta, odsłaniając przy tym swoje krzywe zęby. Śmiał się głośno, bez skrepowania, w źrenicach pojawiały mu się żółte smużki.

Była zła na siebie za te zbyt dokładne obserwacje i zadowolona, że pobudziła go do śmiechu.

- Będzie lepiej, jeżeli podam pani ramię, zanim dostanie pani delirium tremens.

Ujął jej rękę i wsunął pod swoje ramię. Laura zauważyła, że mimo pozorów szorstkiej męskości był jednocześnie serdeczny i przyjacielski. Potrafił kobiety nie tylko kochać, ale także je lubić.

Skierowali się do pokoju, gdzie przygotowano kolację. Roy i Johnny kroczyli na przedzie. Lizzie kręcąc się od jednego do drugiego paplała bez przerwy. Co chwila odwracała głowę, szukając wzrokiem Laury i Martina. Laura posyłała jej wtedy łaskawe matczyne uśmiechy. Ręka Martina paliła ją żywym ogniem.

Od tamtej pierwszej chwili na stacji czuła, że tak się stanie. Walczyła z dziwnym impulsem, żeby zarzucić mu ramiona na szyję i pocałować go w same usta.

Szczęściem przyzwyczajona była

do nie ujawniania swoich uczuć. Szła powolnym, harmonijnym krokiem, spokojnie wodząc spojrzeniem dokoła. Wywodów

Martina słuchała z lekko obróconą ku niemu głową.

Mówił o operze, o związkach i pokrewieństwie muzyki Pergolesiego i Mozarta, o miejscu małych orkiestr w cywilizowanym społeczeństwie, o związkach muzyki z komputerami.

Wokół nich tłoczyli się podnieceni inni goście, panie w długich wieczorowych sukniach, panowie w smokingach.

- Czy to nie pana matka? - odezwała się Laura.

Matka Martina wyróżniała się elegancją stroju. Laurze przypomniawszy pikowany płaszcz, który miała w pociągu. Starsza kobieta rozmiłowana w ubiorach robiła na niej wrażenie niezwykle. Uważała, że już od dawna kobiety przeniosły swoje zainteresowania na pracę, dzieci i mężów. Pani Keane była wdową. Pocałunek syna był wtedy bardzo czuły.

Suknia z ciemnoczerwonego jedwabiu miała plisowane rękawy i spódnicę, które falowały przy każdym ruchu.

- Któż mógłby jej nie zauważyć? - Ton Martina był ironiczny, ale zarazem pełen serdeczności. Wypuścił rękę Laury. Odczuła dotkliwie ten nagły, jak jej się zdawało, chłód.

Pani Keane należała do kobiet towarzysko wyrobionych, miała spojrzenie chłodne i pełne krytycyzmu.

Zanim odezwała się do syna, zwróciła się przede wszystkim do Laury:

- Dobry wieczór.

Laura odebrała to jako oznakę przychylności dla siebie, ale jednocześnie jako niezadowolenie okazane synowi. - Więc już poznała go pani sama?

- Zapoznał nas mój brat.

Spotkali się w Londynie i razem
zaaranżowali ten wieczór.

Martin pochylił się i
pocałował matkę. - Królowa balu.

- Cha, cha! - Nie był to miękki
śmiech kobiecy. Raczej szydercze
parsknięcie. Obróciła twarz ku
Laurze. - Jak on może coś
podobnego mówić? I to mając u
boku panią. Wygląda pani jak
panna młoda.

Laura uzanała, że nie jest to
komplement. Rozmawiając o
starych koronkach, ruszyli razem
w stronę bufetu.

Zobaczyła ich stojąca opodal
Lizzie i zaczęła machać do nich
ręką. Laura skierowała się w jej
stronę w nadziei, że uwolni się
w ten sposób od pani Keane. Ta
jednak już ujęła ramię syna.
Laura obrzuciła go szybkim
spojrzeniem, ciekawa jego
reakcji, ale nie mogła się
zorientować, czy jest
niezadowolony. Przyłożyła dłonie
do wciąż jeszcze gorących
policzków.

Cały długi stół zastawiony był
okrągłymi półmiskami. Sztynne
wzory wyciskanego tubką
dekoracyjnego majonezu i równe
porcje sałatek. Przypomniało to
Laurze potrawy z domu lalek,
które można było rąbać tasakiem.
Uznając niestosowność takiej
chętki, pomyślała rozbawiona, co
by było, gdyby rzuciła jednym z
tych półmisków o ścianę.

- Czerwone wydaje się
najbardziej godne zaufania. -
Martin podając jej kieliszek
wina dotknął palcami jej

nadgarstka. Ponad jego ramieniem Laura widziała panią Keane zajętą rozmową z gospodynią domu. Trudno było uwierzyć, że są przyjaciółkami.

Martin spostrzegł, że na nie patrzy. - Chodziły razem do szkoły - wyjaśnił. - Moja matka jest pół_Francuzką. Przyjechała do Anglii mając jedenaście lat. Przywieziono ją do internatu. Robiła wszystko, żeby się

przedzierzgnąć w Angielkę.

- Teraz rozumiem.

- Co?

- Dlaczego jest taka inna.

- Proszę jej tego nie mówić.

Jest przekonana, że się jej to udało.

Martin stał bardzo blisko.

Laura odgadywała, że zawsze stawał bardzo blisko każdej ładnej kobiety.

Nagle pojawiła się Lizzie z Royem i Johnem. Przyprawdzili z sobą jakąś dziewczynę. Była bardzo ładna, miała proste włosy koloru złota. Młoda. Była jakby połączeniem Laury i pani Keane. Bardzo szczupła. Ubrana w coś przypominającego męski garnitur z przedłużoną marynarką.

- Jest modelką, ale chce prowadzić dyskotekę. - Twarz Johna promieniała zadowoleniem mężczyzny, który się czuje w swoim żywiole. Widoczny ponad jego ramieniem Roy, zdjąwszy na tę okazję okulary, dobrotliwie mrugał powiekami. Widać było po nim, że także czuje się doskonale, szczęśliwy w roli satelity krążącego wokół swego

słońca, John. Laura przypuszczała, że to przyjemność obcowania z ludźmi była przyczyną niewierności jej brata. Biedna Katie. Niemowlę może już usnęło.

Martin pociągał dziewczynę za jej złote włosy, przysięgając, że to peruka. Zaśmiewała się. Był to śmiech wyjątkowo sztuczny. Laura obróciła się w drugą stronę.

- Umieram z głodu! -
wykrzyknęła Lizzie.

- Dlaczego ma pani taką minę?
- Poczula czyjeś palce mocno ujmujące jej ramię. Usta Martina były tuż przy jej uchu. Podąła mu swój kieliszek.

- Mam ochotę na następny.
- Och, mamusiu! Szukam wszędzie i nigdzie cię nie mogę znaleźć. - Złotowłosa piękność

miała głos brzydki i piskliwy. Wyciągnęła ramiona w stronę matki, żeby ją uścisnąć. Laura obserwowała tę scenę. Jej matką był obsypany kwiatami krążownik.

Laura obróciła twarz do Martina, uśmiechając się do niego ze szczerą sympatią. - Czy pan także pomagał w zorganizowaniu tego wieczoru z operą?

- Nie. Miałem ją nagrywać. Ale zrezygnowałem. Mama kupiła dla mnie bilet i to mnie skłoniło do przyjazdu. Uważa, że znam zbyt mało przyzwoitych ludzi.

- Nie lubi pan opery?
- Owszem, niekiedy lubię.
Zaprezentuję pani "Zaczarowany flet" na syntetyzatorze.

- Chyba będą jakieś tańce -

powiedziała wysuwając nosek swego pantofelka. W dalszym ciągu Kopciuszek.

Roy przyniósł jej coś ze stołu. Ale nie była głodna. Oddała talerzyk Martinowi. Zajadał łapczywie, spoglądając na nią ponad brzegiem talerza. Z początku nie mogła na to patrzeć, ale po chwili musiała przyznać, że podoba jej się naturalność, z jaką zaspokaja swój apetyt.

Wrócił Roy. Próbował namówić Laurę na następny talerzyk. Stał obok niej, zmuszony sam zjeść to, co przyniósł, mówił przy tym bez przerwy. Bez okularów widział źle, kawałki listków sałaty spadały na podłogę, czego on w ogóle nie zauważał. Chciał, żeby zawodowy muzyk wypowiedział się na temat jego teorii, według której muzyka działa na inną część mózgu niż pozostałe wrażenia zmysłowe. Dowodził, że dźwięki powodują tam zmianę w układzie komórek, wywołując ich odpowiednią wibrację, która jest swoistym rodzajem muzyki. Określał ją jako muzykę umysłu. Muzyka współczesna jest bliższa tej właśnie muzyce aniżeli muzyka

sfer, dlatego nie daje nam takiego zadowolenia. Może to wynikać z tego, że wytrąca ona mózg z jego funkcji.

Laura nie słuchała go dłużej. Nie dlatego, że Roy zupełnie nie miał słuchu, o czym wiedziała. Nie chciała niczym zakłócać radosnego stanu szczęśliwości, jaki jej dawały

czysto fizyczne wrażenia. Niech sobie Martin i Roy dyskutują. Przyjemnie jej było z tym zamętem w myślach, czuła, że wino uderzyło jej do głowy.

- Mam nadzieję, że będą jakieś tańce - powtórzyła jak gdyby do samej siebie.

Rozglądając się dokoła dostrzegła, że Johnny gładzi po rękę Złotowłosą, a Lizzie rozmawia z niskim mężczyzną w bladofioletowej koszuli z żabotem, przy czym bawi się zataczaniem kręgów wina w trzymanym kieliszku. Kiedy spostrzegła, że Laura to obserwuje, wzniosła oczy ku niebu. Laura posłała jej beztroski uśmiech. Miała ochotę zatańczyć. Cóż, kiedy orkiestra tkwiła jeszcze przy stole.

- Gdzie mogą być śpiewacy? - zainteresowała się. - Chciałabym im złożyć gratulacje.

- Poszukamy ich. - Martin ujął ją za rękę, jak gdyby była małym dzieckiem. Właściwie nie miała się czego obawiać. Roy cofnął się, robiąc im przejście.

Martin przepychając się przez cizbę gości ciągnął ją za sobą. Dobili wreszcie do drzwi po przeciwnej stronie głównej sali.

- Przebierają się.

- Może im lepiej nie przeszkadzać?

- Ależ dlaczego?

Znaleźli się w ciemnym korytarzu wyłożonym kamiennymi płytami. Martin trzymał jej dłoń w mocnym uścisku, ale nie zwalniał kroku.

- Jesteśmy na miejscu. -

Pchnął niewielkie, drewniane

drzwi. W środku było bardzo jasno. Dwie twarze obróciły się jednocześnie, żeby spojrzeć, kto przyszedł. Obie były blade, nasmarowane tłustym kremem i zdumione. Jedna błysnęła uśmiechem.

- Martin! Jak śmiesz się tu w ogóle pokazywać?

- Ogarnęłaby was jeszcze większa złość, gdybym zrobił to fatalne nagranie. A byłoby bardzo, bardzo złe.

Laura zauważyła, że cokolwiek Martin robił, był zawsze pewny siebie.

- Ja słuchałam z rozkoszą - odezwała się. Patrzyli teraz na nią.

- To jest Laura, która słuchała z rozkoszą - pokpiwał z niej nieszkodliwie. - Już nas nie ma. - Posłali mu ręką całusa.

Laura i Martin zostali znowu sami w ciemnym korytarzu. Ujął jej dłoń i przycisnąwszy do piersi, lekko pociągnął ją ku sobie. Zesztywniała spłoszona, nerwowo oglądając się przez ramię.

- Nie mam zamiaru pani gwałcić.

Roześmiał się. Laura błysnęła białą zębów w głośnym śmiechu.

- Pokazać pani księżą jaskinię?

- Oczywiście. - Głos miała stłumiony.

Znowu wyszli na zewnątrz. Ręka Martina była ciepła, skóra dłoni sucha i twarda. Już od bardzo dawna nikt nie trzymał Laury za rękę, jeśli nie liczyć miękkiej, zwiniętej w piąstkę rączki dziecka.

Przyszło jej na myśl, że Martin musi być młodszy od niej o jakieś pięć albo sześć lat.

Kiedy była młodsza, wiek
kojarzył się jej z dojrzałością.
Podobnie jak wino czy ser. Miles
był dojrzały.

Uwolniła dłoń z uścisku
Martina. Spojrzał na nią

ironicznym wzrokiem, ale nie
powiedział ani słowa. Zatrzymał
się.

- Jesteśmy na miejscu.
- Ale to tylko jakieś drzwi!
- Kiedyś była tam studnia.

Należało odsunąć potężny kamień
o średnicy około osiemdziesięciu
centymetrów. Dawał się przesuwac
zupełnie bezpiecznie. Całkiem
kunsztowna robota jakiegoś
dawnego majstra.

- Można tam wejść?
- Czemuż by nie.

Laura przekreśliła gałkę furty.

- Uwaga na stopnie! -

wykrzyknął Martin w samą porę.
Laura zachwiała się na krawędzi
pierwszego z trzech stromych
stopni prowadzących w ciemną
czeluść. Martin chwycił ją za
ramię. Palce wpiły się w jej
ciało mocno, ale dzięki temu nie
upadła.

- Tu jest strasznie ciemno -
powiedziała, z trudem łapiąc
oddech.

Pomieszczenie napełniło się
nagle oślepiającym światłem.
Laurę przeniknął chłód, czuła,
że zbladła. Rozejrzała się
dokoła.

- Jaka ta izba obszerna,
prymitywna i odpychająca.

- Spodziewała się pani
romantycznego ustronia?

- Właśnie.

- Tu nie ma okien.

- To nie dlatego odnosi się
wrażenie, że jest to jaskinia.
Stoi tu przecież biurko, leży
dywan i wiszą obrazy.

Laura była wprost wściekła.
Stało się dla niej jasne, że
Martin nie ma najmniejszego
wyczucia sytuacji. Oblewać ją
jaskrawym światłem w takim
ohydnym pokoju!

Strząsnęła palce przytrzymując
jej ręką i obróciwszy się na
pięcie z powrotem pobiegła
korytarzem. Kopciuszek. Zegar
wybił dwunastą.

Czuła się ośmieszona.
Wstydziała się. W równym stopniu

za siebie, jak za niego.
Dlaczego nie wyskoczył z jakąś
szyderczą uwagą, na którą
mogłaby zareagować dowcipnie i w
dobrym tonie? Dlaczego ciągnął
ją przez ten ciemny korytarz po
to tylko, żeby jej pokazać jakiś
okropny pokój? Bawiła się bardzo
dobrze. Po co ją zmusił do
wyjścia?

Co tchu pędziła z powrotem po
ciepło i po wino. Martin nie
poszedł za nią.

Laura słuchała Lizzie z
najwyższą uwagą. Kąciki oczu
nieruchome, wzrok utkwiony przed
siebie. Stuliwszy wargi sączyła
swoje wino. Stała sztywno
wyprosowana.

- I nagle - mówiła Lizzie -
zdział płaszcz, wykrzyknął
"Hejże, ha!" i z pozycji
pionowej znalazł się w poziomej,
obróciwszy się dokładnie o
dziewięćdziesiąt stopni.

Laura nawet się nie

uśmiechnęła.

Zjawił się Johnny. Ciągnął za nim cały sznur rozgadanych mężczyzn i kobiet.

- Laura! Myślałem, że jesteś z tym nicponiem Martinem. Skoro o tym mowa, gdzie może być Roy? Jeśli go nie pilnować na przyjęciu, wymknie się i zrobi coś okropnie głupiego.

- Martin właśnie wchodzi do pokoju - oznajmiła Lizzie - z dziewczyną u każdego ramienia.

Laura nieruchomym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Miała poczucie własnej odrębności i wartości. Zdania takie jak "Niech się młodzi bawią" same układały się w głowie. Wyobraziła sobie karczuszek śpiącego już Nicka i jego cichy miarowy oddech. Pomyślała, że Miles jest teraz w Manchesterze w którymś z wyłożonych marmurem hoteli.

- Idą grać! - wykrzyknęła Lizzie podniecona. - Och, żeby wreszcie zaczęto tańczyć.

Laurze, która miała wielką ochotę zatańczyć, wydało się, że słyszy jej głos gdzieś w oddali. Powiódłszy wzrokiem po opustoszałej jadalni, zauważyła Roya siedzącego na krześle w rogu pokoju. Podeszła do niego. Na prawdziwą rozmowę nie było dotąd szansy. Powinna go zapytać o jego farmę.

- Wyglądasz na... - Urwała. Roy spał.

Orkistra grała walca Straussa. Na początku tego wieczoru tańczący czuliby się zawiedzeni. Ale teraz beztrząsco kręcili się

wkoło.

Lizzie wirowała w walcu. Laura usiadła na połączonym krześle i obserwowała ją krytycznym okiem. Tańczyła z Martinem.

Niespecjalnie dobrze, ale nie najgorzej. Laura zauważyła, że Martin ma długie i wąskie stopy, co było dość niezwykle u tak mocno zbudowanego mężczyzny.

Lizzie kręciła się w kółko roześmiana. Jej nogi w opinających je dzinsach coraz to krzyżowały się z nogami Martina. John ekstrawagancko wywijał ze Złotowłosą. Przerzucał ją sobie z jednej ręki na drugą. To dziwne, ale tańczył z większą gracją niż Martin.

Laura, na wpół przymknawszy oczy, powoli sączyła wino. Prawie zapomniała już o podnieceniu, jakie opanowało ją na początku tego wieczoru. Czowała się kobietą dojrzałą i dobrze było z tą myślą. Krzesło w którym się usadowiła, okazało się bardzo wygodne. Co za ulga, że uciekłam, stwierdziła w duchu. Flirty nigdy jej nie odpowiadały.

Podszedł Roy, żeby przy niej usiąść. - Zasnąłem.

- Wiem. Miałam ochotę cię obudzić, ale oparłam się pokusie. - Siedzieli w milczeniu. W pewnej chwili Laura zapytała wprost: - Dlaczego się nie żenisz?

- Lauro! - W oczach miał niemy wyrzut.

- Myślałam właśnie o małżeństwie, tak ogólnie, jako o pewnym problemie, i

zastanawiałam się, dlaczego niektórzy ludzie opierają się tej oczywistej konieczności. - Umilkła. W istocie rzeczy zastanawiała ją, dlaczego Martin nie jest żonaty.

- Trudno to wytłumaczyć. Sprawa jest ogromnej wagi. Ja wierzę w małżeństwo. Chciałbym mieć dzieci.

Jej twarz wyrażała aprobatę. Martin i Lizzie tańczyli teraz spleceni w uścisku. Ciekawe, czy Lizzie jest dziewicą, pomyślała Laura. Przy całej ich wzajemnej serdeczności nigdy z sobą o tym nie mówiły.

- Popatrz na taką Lizzie - zaczął Roy i po chwili milczenia wybuchnął głośnym śmiechem. - Otóż musisz wiedzieć, że to jest właśnie coś, na co mam w tej chwili ochotę.

Laura utkwiała w nim zdumiony wzrok.

Mówił z coraz większą zapalczywością. - Chciałbym, żeby taka młoda, niewinna Lizzie pojawiła się w moim życiu, ofiarowując mi miłość, dając dzieci, żeby potrafiła chronić mnie od wirujących w mojej głowie pomysłów. - Twarz jego wyrażała głęboki smutek. - Ale to oczywiście tylko marzenia.

- Dlaczego tak mówisz?

- Spójrz na mnie. - Laura przyglądała się, jak Roy zdejmuje okulary i wkłada je do górnej kieszonki marynarki. Miał duże ciemne oczy, którymi teraz mrugał bezradnie. To odsłonięcie się, jakby zdjęcie maski, było zbyt drastyczne. Laura odwróciła wzrok w drugą stronę.

- Czy próbowałeś kiedykolwiek oświadczyć się jakiejś młodej, świeżej dziewczynie?

- Niezależnie od mojego wyglądu trzeba jeszcze brać pod

uwagę miejsce, gdzie mieszkam. Niemal cały rok spędzam w Irlandii, na tonącej w błocie farmie. Do tego to moje usposobienie. Miewam bardzo zmienne nastroje. Jestem bardzo uparty.

- Więc nigdy nikogo nie prosiłeś o rękę?

- Jak mogłem to zrobić?

Laura znowu zaczęła obserwować Martina i Lizzie. Tańczyli teraz nieco wolniej, przyciskając mocno do siebie uda i biodra. Zadowolona ze swej pozycji mężatki, której te sprawy są obojętne i wykluczają uczucie zazdrości, zapytała Roya: - A jak to jest z Martinem? Dlaczego się nie żeni?

- Przypuszczam, że chciałby się za niego wydać mnóstwo dziewcząt.

- Dlaczego się więc nie żeni?

- Zapewne bardziej interesują go przedmioty wydające błyski i dźwięki bip bip.

Laura już miała mu pokazać Martina trzymającego w objęciach Lizzie, kiedy uświadomiła sobie, że bez szkielec i tak ich nie dojrzy. Roy nigdy nie rozumiał motywów postępowania innych ludzi. Była to podstawowa przyczyna, dla której się dotąd nie ożenił.

Podniosła się z krzesła. - Zobacze, moze zostało cos jeszcze w bufecie. Przedtem nie bylam glodna. - Zostawila go samego. Mial troche lepsza mine. Jak gdyby niemoznosc dokladnego widzenia zwalnila go od jakiegoz obowiazku. Krzyzujac

ręce na piersiach, wyciągnął
swoje długie nogi w kierunku
parkietu.

W korytarzu oddzielającym oba
pokoje, ten, w którym tańczono,
drzwi wejściowe były otwarte.
Laura zobaczyła, że niektórzy
goście już wychodzą. Słychać
było szum deszczu na żwirze
podjazdu. Znowu zaczęło padać.
Laura z żalem pomyślała o

roziskrzonym niebie, którym się
zachwyciła po przyjeździe.

W jadalni nie było nikogo, ale
na długim stole stały jeszcze
jakieś potrawy. Laura poszukała
łyżki i zaczęła sobie nabierać
na talerz półpłynne danie o
żółtym zabarwieniu.

- Może chciałaby pani do tego
trochę śmietanki? - Za jej
plecami pojawiła się gospodyni.

Laurze mignął w pamięci obraz
szczupłych ud Lizzie
przyciśniętych do Martina. -
Tak, chętnie.

- Niech pani pójdzie do
kuchni, bardzo proszę. Włożyłam
ją z powrotem do lodówki.

Laura szła po kamiennych
płytkach korytarza bez
pośpiechu. Humor opuszczał ją
coraz bardziej. W kuchni zastała
jakąś kobietę
wyjmującą z filiżanki torebkę
z herbatą. Miała na sobie długi
brązowy szlafrok. Podniosła
głowę i Laura ze zdumieniem
rozpoznała w niej panią Keane.

- Już nie przesiadują do
późnej nocy. Następnego dnia
płaci się za to zbyt dużą cenę.

- Przyszłam tylko po
śmietankę. - Laura otworzyła

lodówkę. - Ale właściwie straciłam na nią ochotę. I na tę babkę ponczową także.

- Szkoda, chciałabym, żeby ją pani zjadła.

- Dlaczego?

- Bo inaczej podadzą ją nam jutro na śniadanie. - Pani Keane wybuchnęła swoim gardłowym śmiechem i nagle Laura z rozczarowaniem uświadomiła sobie, że Martin odziedziczył swój nieopanowany śmiech po matce.

Uznała, że właściwie najlepiej byłoby pojechać do domu. Wróciła do roztańczonych gości i wręczyła Royowi swoją skromną porcję ponczowej babki. Zjadł ją niemal przez sen.

- Gdzie są nasi?

- A nie tańczą?

- Nie.

Roy odstawił talerzyk i poszukał okularów. - Rzeczywiście.

Za ich plecami pojawiła się gospodyni domu. - Kilka osób gra w ping_ponga. - Była zrozpaczona.

- Zaraz ich tu sprowadzę. - Laura wstała, przybierając stanowczą postawę.

- Tamtędy, proszę pani - wskazała jej drogę gospodyni.

Ostro rozgrywali seta. Raketki wypadły im z rąk, jak szaleni biegali dokoła stołu. Postawione z tyłu na półkach kieliszki z winem były w wyraźnym niebezpieczeństwie.

- Wracamy do domu - oświadczyła Laura tonem dyrektorki szkoły. Martin

natychmiast odłożył swoją raketkę. Podeszedł do niej.

- Gdzie się pani podziewała? Nie widziałem pani całe wieki.

Nawet na niego nie spojrzała. Nie da się omamić po raz drugi.

Ujął jej rękę. - W ogóle nie tańczyliśmy z sobą.

- Nie, proszę... - Próbowała uwolnić rękę, ale trzymał ją tak mocno, że jedynie, co mogła zrobić, to odwrócić głowę z chłodnym wyrazem twarzy.

Utwierdziła się w przekonaniu, że nie potrafi zachowywać się normalnie w jego obecności.

Gdyby ją ktoś inny wziął za rękę, nawet by tego nie zauważyła. Rozgniewało ją to jeszcze bardziej.

- Musimy już iść!

Wyszli. Odnaleźli swoje płaszcze. Martin odprowadził ich do drzwi. Pocałował Lizzie, po czym obrócił się do Laury.

- O Boże, pada - powiedziała, rozmyślnie wysuwając głowę na zewnątrz, w mrok nocy.

- Pani pozwoli - Martin w jednej chwili zerwał z siebie marynarkę i rozpostarł nad jej głowę. Ruszyła naprzód, on razem z nią. Reszta ciągnęła się w

tyle.

Był rozgrzany po grze w ping_ponga, biło od niego gorąco. Otaczało ją ze wszystkich stron. Czuła, że musiałyby zrobić scenę, żeby go skłonić do odejścia.

Szła energicznym krokiem. Przez cały czas szeptał jej do ucha. - Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety. Nie spotkałem

nigdy kogoś takiego jak pani.
Jedyne, czego pragnę, to wziąć
panią w ramiona. Całować panią.

Laura poczuła zawrót głowy od
tej bliskości i ciepła jego
ciała. Jednak nie zwalniała
kroku, szła tak szybko, jak
tylko mogła. Trzeba zapomnieć o
wszystkim. Nawet sposób, w jaki
teraz do niej mówił, jest
niepoważny. Żarliwy, ale
niepoważny. Rano oboje nie będą
tego pamiętać. Przynajmniej,
jeśli mu do końca nie ulegnie.
Jego zachowanie w czasie tego
wieczoru było zupełnie
niezrozumiałe. Nie próbowała
nawet myśleć o własnym.

Dotarli do podjazdu, gdzie
ostatecznie John zaparkował
samochód.

- Całkiem pan przemókl -
odezwała się Laura nienaturalnym
wysokim głosem. Tak jakby nie
słyszała słowa z tego, co
powiedział. Zastanawiała się, co
sądzą jej towarzysze o
spontanicznie serdecznym geście
Martina, przywodzącym na myśl
sir Waltera Raleigha. - Dziękuję
panu.

Nic na to nie odpowiedział.
Dopiero gdy się znalazła w
samochodzie, bez pośpiechu
włożył marynarkę. Kiedy
odjeżdżali, Laura obróciwszy
głowę widziała, jak szedł po
podjeździe w kierunku domu.
Krople deszczu wyglądały jak
obsypujący go grad srebrnych
strzał.

Katie miała niedobłą noc.

Kiedy Laura weszła do jej sypialni, dowiedziała się, że już trzeci raz od północy karmi małego. Sądząc, że słoneczny ranek może poprawić jej samopoczucie, Laura odsunęła storę, ale wtedy wystający nad pościelą garb zaczął wydawać protestujące pomruki i zakopywać się jeszcze głębiej.

- Nie rób tego, proszę cię.

Biedny John cierpi tortury, tak go boli głowa. Powinnam przenieść się z karmieniem dziecka do drugiego pokoju.

- Ależ nic podobnego, wcale nie powinnaś. - Laura dała bratu porządnego szturchańca w plecy.

- Sam sobie winien, że boli go głowa. Zabieram waszą trójkę i Nicka do kościoła. Jeżeli oczywiście ten bezbożnik twój mąż powie mi, gdzie są kluczyki.

- W kieszeni płaszcza.

Dzień był słoneczny, powietrze przejrzyste, wiał dość silny wiatr. Laura prowadziła samochód po wąskich wiejskich drogach. Zdecydowanie postanowiła żyć nadal według wzorca, jaki dla siebie obrała.

Uznała, że trudno o lepszy początek tej niedzieli niż jazda z gromadą dzieci do kościoła. Naturze ludzkiej potrzebny jest jakiś obrządek. Nicki protestował, ale dziewczynki z radością rzuciły się do wyciągnięcia swoich najlepszych płaszczków. Niedzielna pieczeń, gazety, niedzielny spacer czy sobotni futbol biorą się z tego samego źródła. Naturalnie religia zaspokaja głębsze potrzeby aniżeli udziec barani. Ale, nie zapuszczając się w głębsze rozważania, można ją także przyrównać do

współczesnych świętych krów i
zakorzenionych nawyków.

Rozgrzana wewnątrz po tym
zonglowaniu metaforami, Laura
spojrzała w lusterko nad

przednią szybą i ujrzała w nim
cztery okrągłe dziecinne
buziaki.

- Sroczo, sroczo, wytych
oczko, poszukaj mi czegoś, co
się zaczyna na... w.

- Wycieraczki.

- Widzieliście, na co patrzę.

Rodzina była jeszcze innym
obrzędkiem. Była zadowolona, że
trafił się jej mąż, który ma
poglądy na rodzinę podobne do
jej własnych. Nerozerwalna
więź. W obecnych czasach było to
zjawisko niespotykane.

Przypuszczała, że jeśli chodzi
o nią, główną rolę odegrało jej
katolickie wychowanie, natomiast
na nim zaważyła głęboka
potrzeba i umiłowanie ładu. Jak
u dziecka. Czując, że zabrnęła
za daleko, gdyż Miles w niczym
nie przypominał dziecka, Laura
oddała się swojej ulubionej
zabawie polegającej na
wyliczaniu wszystkich
przyjaciół, którzy się
rozwiędli. Potem jak zwykle
uczciwie zadała sobie pytanie: -
Czy jest im teraz lepiej? - Po
czym równie uczciwie
odpowiedziała: - Nie.

Słońce stało wysoko. Na
poboczach wesoło falowała trawa.
Dzieci otworzyły okna, włosy
rozwiewał im padający wiatr.
Zdaje się, że mam! - krzyknęła
Laura.

W tej chwili przyszło jej do

głowy, że "norma etyczna" jest absurdalnie złym określeniem tego, co usiłuje sformułować. Jak to mówią katolicy? "Zewnętrzna oznaka wewnętrznej łaski". Chciała, żeby tak właśnie wyglądało jej życie. "Zewnętrzna oznaka". Jeśli czyny są słuszne, wszystko układa się jak należy. Nie jesteśmy z natury istotami idealnymi. Skupienie uwagi na sobie może doprowadzić do egoistycznego roztrząsania stanów własnej duszy w tym samym stopniu co i do głębszego uduchowienia.

Przydarzyło się to wielu jej przyjaciółom. Pychą było sądzić inaczej. Komu potrzebny tu psychiatra?

Na prawo od drogi wyłonił się kościół zbudowany z wiktoriańskich kamiennych bloków, z dzwonem na szczycie. Laura zaparkowała i wyskoczyła z samochodu. Nagłe pulsowanie w skroniach przypomniało jej ubiegłą noc. Zaraz jednak wzięła dwie dziewczynki za rączki i znów wszystko powróciło do normy.

Była w kościele, zadbana, uśmiechnięta, dobra żona i matka. Idąc boczną nawą wiedziała, że wszyscy patrzą na nią z uznaniem.

Zanim wróciła z dziećmi do domu, wysoko na niebie zebrało się trochę chmur. Zauważyła je jeszcze w kościele, kiedy witraże nagle pociemniały.

Wracali z palmami. Była to Niedziela Palmowa i Laura wstydziła się, że o tym nie

pamiętała. Mimo to cieszyła się, że była tam ze swoją gromadką. Zbliżając się do domu jechała coraz wolniej.

- Szybciej! Chcemy się pobawić! - wykrzykiwały dzieci. Kiedy zatrzymała samochód, rozbiegły się na wszystkie strony. Stała i przyglądała się im przez chwilę. Jedną tylko Harriet, najmłodsza, wróciła do niej i trzymała się jej spódnicy.

W drzwiach domu pojawił się Johnny. - Wyglądasz na chodzącą cnotę! - Sam nie był w kościele od szkolnych czasów.

Laura uśmiechnęła się do niego z wyraźną satysfakcją.

- I nią jestem. A ty - no, wyglądasz trochę lepiej.

Johnny wyglądał jak mężczyzna, który w nadziei, że woda spłucze z niego wyczyny przebalowanej nocy, wysiedział się pod prysznicem i istotnie stracił kilka warstw naskórka. Twarz

miął bladą, włosy płasko przylizane, ruchy niepewne.

- Sądysz, że możemy siedzieć na dworze?

- Oczywiście. Jeżeli narzucimy na ramiona płaszcz.

- A co z osobami starszymi?

- Jakimi osobami starszymi?

- Z panią Keane.

Johnny zaczął wnosić leżaki i rozkładać je na trawniku w pobliżu domu.

Laura szybkim ruchem porwała Harriet na ręce i zaniósła ją do domu. - Czas spać, mój skarbie.

Potem podeszła do telefonu, żeby się dowiedzieć, czy Miles

wrócił z Manchesteru. Jeszcze nie wrócił. Telefon dzwonił w pustym domu. Skierowała się wobec tego do pokoju Katie. Po drodze spotkała Lizzie, która miała na nogach czerwone tenisówki.

- Pomyślałam, że może zagramy w tenisa - powiedziała Lizzie, widząc jej wzrok na swoich stopach.

Laura zastała Katie w ciemnoczerwonej sukni, walczącej z szerokim paskiem. Nie mogła go dopiąć.

- Tak też jest bardzo ładna. Jako luźna suknia domowa.

- Po uszy mam tego wyglądaną ładnie w szlafrokach. Wyglądam tak od momentu, kiedy wyszłam za mąż. Chcę mieć wreszcie talię!

Laura nie odpowiedziała. Wymknęła się z pokoju i przecinając korytarz weszła do swojej sypialni. Dom wypełniony był ciszą i rozedrganym słońcem. Z zewnątrz dobiegały głosy bawiących się dzieci.

Wychyliwszy się przez okno spostrzegła, że Johnny ustawił leżaki w staranny krąg. Nagle zza krzaków wybiegły dzieci i rzuciły na leżaki swoje płaszcze. Laurze wydało się to godne podziwu, że ich nie rzuciły na wilgotną trawę, ale Johnny krzyczał za nimi zirytowany.

Na podjeździe pojawiła się

wysoka ciemna postać zmierzająca wielkimi krokami w kierunku domu. Był to Roy. Rzucił się na leżak i z obszernej wewnętrznej kieszeni płaszcza wydobyl plik gazet. Zapewne chodził po nie do

miasta. Laura uświadomiła sobie, że przy całej swojej szlachetności nie pomyślała o tym, żeby oszczędzić innym tej wędrówki i przywieźć gazety.

Jej dobre samopoczucie gdzieś się rozplynęło. Zastąpiło je niezadowolenie z siebie i wewnętrzny niepokój. Nawet ze swego wyglądu nie była dłużej zadowolona. Układana spódnica i żakiet, które wydawały się tak świetnie dobrane, żywe i wesołe w kolorach, teraz robiły wrażenie zupełnie nieciekawych. Zazdrościła Lizzie jej czerwonych tenisówek.

Denerwowały ją krzyki dzieci. Miała ochotę sama na kogoś pokrzyczeć. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie i wsunie pieczeń do piecyka, gdyż Katie z całą pewnością o tym nie pamiętała. Zaczęła doszukiwać się w niej także innych wad.

Laura nie próbowała analizować przyczyn zmiany swego nastroju. Odsuwała wszelką myśl o Martinie.

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Laura właśnie skończyła obierać kartofle. Starannie obłożyła nimi pieczeń. Nasłuchiwała dochodzących głosów. Johnny prowadził gości do leżaków.

- Już są! - W drzwiach ukazała się głowa Katie.

- Czy obudzić Harriet?

- Nie. Nie. Jeszcze nie teraz.

- Katie, która wydawała się przerażona na samą myśl, że można obudzić śpiące dziecko, znikła, jak się pojawiła.

Laura dokładnie wytarła ręce. Mogłaby się nie ruszać z kuchni, ale byłoby to otwarte przyznanie się do porażki. Wyszła na

spotkanie gości, przybierając wyraz spokoju i powagi.

Trawa miała pyszną zieleń. Po ostatnich deszczach była wilgotna i sprężysta. Johnny stojąc pośrodku ustawionych wkoło leżaków rozdawał drinki. Całe grono usadowiło się wygodnie, tylko Lizzie stała. Byli wszyscy w komplecie.

Roy podniósł się na jej widok i Laura znalazła się też obok młodej partnerki Johna, na której wczorajsza zabawa nie pozostawiła najmniejszego śladu. Złote włosy związała z tyłu, ubrała się w kremowe bryczesy i wycięty żakiet. Wychyliwszy się ze swego leżaka poprosiła, żeby jej mówić po imieniu, Bianka.

- Mama nie mogła przyjechać - oświadczyła skrzeczącym głosem.

- Wieczór był cudowny!

- Tak! I Helen Keane. I Martin.

- Martin był niewidoczny, siedział z Bianką. Laura była rozczarowana, ale jednocześnie poczuła pewną ulgę.

Przysłuchiwała się rozmowie o ostatnim wieczorze, ale sama nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Słońce stało zdumiewająco wysoko i świeciło prosto w jej oczy. Poczula się senna. Miała ochotę przymknąć powieki.

Zdawało się jej, że słyszy brzęczenie owadów, jak w środku lata. Kiedy zamknęła oczy, pod powiekami pozostał jej negatyw widzianego przed chwilą świata, czerwone kontury na tle czarnego szala.

- Pani jest zmęczona.

Martin wychylił się do przodu, żeby zagadnąć ją wprost, z

pominięciem Bianki. Nie odpowiadała jej taka ocena jej nastroju. Wyprostowała się sztywno z niezadowoloną miną.

- To słońce tak na mnie działa. Uwielbiam słońce. Lubię się w nim zatracić bez reszty.

Brzmiało to jak absurd. I było absurdalne. Martin miał na twarzy pobłażliwy uśmiech.

Laura z całą świadomością odstąpiła od powziętych postanowień i wróciła myślą do tego, co do niej mówił, kiedy szli ubiegłej nocy w deszczu i ciemności. Miała nadzieję, że jego obecne wypowiedzi pomogą jej wymazać z pamięci tamte gorące wyznania. Potraktowane z ironią przestawały być groźne. Były bez znaczenia.

Nagle pojawił się Nicki. Była to dodatkowa pomoc. Podszedłszy do niej próbował napić się kilka łyków z jej szklanki. Odsunęła lekko na bok główkę chłopca i zwróciła się do Martina.

- To jest Nicky. Bardzo już chce być dorosły.

Martin okazał umiarkowane zainteresowanie. Mniejsze niż Bianka, która powiedziała, że bardzo chciałaby mieć syna, ale tylko wtedy, jeśli byłoby to możliwe bez zachodzenia w ciążę.

Katie spochmurniała, a Roy zapytał grubym głosem: - Nie wspomniła pani o mężu.

- Ach, o to chodzi! - Skrzywiła się Bianka.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Z wyjątkiem Roya. Poczul się zlekceważony.

- Z pewnością jednak potrzebny

byłby mężczyzna. - W uśmiechu Martina wyczuwało się aluzję. Nie była skierowana bezpośrednio do nikogo, ale w Laurze wzbudziła niesmak.

- Czy sztuczne zapłodnienie to coś gorszego? - Wszyscy zwrócili oczy na Laurę. Ona sama była zaskoczona tym, co powiedziała.

Bianka zaskrzeczała triumfująco. W przeciwieństwie do reszty towarzystwa, oto one obie okazały się kobietami nowoczesnymi. Roy i Katie zdradzali największe oburzenie.

- Pójdę zajrzeć do baraniny - oświadczyła Katie wstając.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Laura. - Wstawiłam ją do piecyka.

- Jednak pójdę, zobaczę.

Zapadło milczenie. Słysząc było krzyki dzieci.

- Słyszałem, że strajk już się skończył - przerwał ciszę Johnny.

Zaczęła się dyskusja na temat strajków, tego zakońzonego i tych, których się spodziewano. Nicki uwiesił się u ramienia Laury. Wyczuwając jej podniecenie, drażnił ją jeszcze bardziej, jakby czekając, kiedy wybuchnie.

W końcu krzyknęła na niego: - Och, Nicki, odejdz ode mnie!

Odbiegł od matki, udając obrażonego. Laura poprawiła się na leżaku.

Była zdumiona, że znalazł się mężczyzna, młody człowiek, jakich wielu, który potrafił tak szybko zakłócić jej równowagę wewnętrzną. Przypominała sobie

przeróżne historie opowiadane
jej przez przyjaciółki na temat
miłości i silnego pociągu
fizycznego. Zdarzało się w nich,
że sympatia dla przeciwnej
strony była niemal równa
dezaprobie.

Nie mogła uwierzyć, że oto
siedząc na trawniku przed domem
swojej bratowej doznawała
podobnych uczuć, zupełnie
wymigających się spod jej
kontroli. Ubiegłej nocy miała
niepohamowaną ochotę rzucać
pełnymi talerzami o ścianę.
Teraz z trudem opierała się
pokusie poprzewracania
wszystkich leżaków, niechby całe
to towarzystwo, które z nich,
znalazło się jak długie
rozciągnięte na trawie.
Chwyciłaby wtedy Martina i mocno
do siebie przytuliła. Albo, co
jest równie możliwe,
wymierzyłaby mu policzek.
Przesadnie rozhuśtała
wyobraźnię, ale jednocześnie
wyzwoliła w sobie nowe zasoby
determinacji. Stać ją przecież
na panowanie nad sytuacją.
Trzeba jej wyjść naprzeciw.
Wstała z leżaka. Zwróciła się

do Martina, potem do Bianki,
gdyż inaczej dziwnie by to
wyglądało: - Chodźmy się
przejsć.

- Tylko nie na długo! - Pani
Keane naciągnęła na siebie swój
pikowany płaszcz, jakby poczuła
ogarniający ją chłód.

Laura wyprowadziła ich przez
ogród i otwór w płocie na
rozległe pole. Mimo wszystkich
dobrych chęci nie opuszczało jej

uczucie, że postępuje wbrew sobie. Okazała się, że nie może się zdobyć na naturalny sposób bycia, kiedy Martin jest blisko. Charakteryzujący ją spokój ducha przestał istnieć w jej nowym wcieleniu - w tej napiętej, energicznej i agresywnej kobiecie z trudem rozpoznawała siebie. Dziwiła się, że nikt inny tego nie dostrzega.

- Spójrzcie na te pierwiosnki!
- zawołała Bianka. Zaczęła biec przez pole w dół po długim zboczu.

Laura zastanawiała się, czy chciała w ten sposób pociągnąć za sobą Martina. Jeśli tak, niezbyt się jej powiodło. Ledwo za nią spojrzał, z kamienną twarzą zostając przy Laurze. Przesunął dłonią po jej ramieniu i ujął ją za rękę. Wyrwała dłoń.

- Nie...

Laura uznała, że o to jej właśnie chodziło. O okazję do dania mu wyraźnej odpawy. Niestety, nic stosownego nie przychodziło jej na myśl.

- Co się stało? -

Znieruchomiał i patrzył na nią zdumiony.

Wszystko, co robiła, wypadalo niezręcznie. - Proszę mnie nie trzymać za rękę. - Zabrzmiało to dziwnie śmiesznie.

- Och, przepraszam. Nie wiedziałem, że jest pani jedną z tych osób, które gardzą dotykiem dłoni. Czy mam panią wobec tego pocałować?

Laurze przemknęło przez myśl, że gdyby się potrafiła

rozeźmiać, wszystko dałoby się

uratować. Nie mogła jednak poruszyć żadnym mięśniem twarzy. Nie pozostawało jej nic innego, jak nadal grać rolę oburzonej matrony.

- Mógłby nas ktoś zobaczyć! -

Wyraziła się zupełnie niewłaściwie. Wcale nie to chciała powiedzieć.

Martin roześmiał się z całego serca. - Myślałem, że jest naprawdę jakieś poważniejszy powód. Że może się to nie podobać pani mężowi czy coś w tym rodzaju. Jeżeli chodzi tylko o to, że może nas ktoś zobaczyć, możemy wrócić między rododendrony i nikt nic nie będzie widział.

- Niech pan nie mówi głupstw.

- Osiągnął to, że uniemożliwił jej posłużenie się jakimkolwiek ostrzegawczym słowem nawiązującym do moralnych zasad, którymi powinna kierować się jako mężatka. Sprawił, że wydawała się śmieszna.

Jak gdyby czytając w jej myślach drwił dalej: - Chciałem tylko potrzymać przez chwilę pani ręką.

- Proszę, niech mnie pan zostawi w spokoju. - Próbując uciec zaczęła iść, prawie biec, w dół zbocza. Czują napływające do oczu łzy. Martin szedł z tyłu wielkimi krokami, wydając z siebie jakieś pomruki. Bianka była już u stóp wzgórza; pochylając się co chwila wyglądała jak zbierający pierwiosnki flaming.

Laura pozwoliła się Martinowi dogonić. - Przepraszam za moje zbyt gwałtowne zachowanie - powiedziała. Dlaczego wszystko, co do niego mówiła, brzmiało śmiesznie?

- Wybaczam to pani. Gdzie jest pani mąż?

- W Manchesterze.
- Na długo wyjechał?
- Dlaczego pan o to pyta?
- Chciałbym zaprosić panią na

obiad.

Laura uznała to za swoją szansą. - Jestem pewna, że przyjdzie z ochotą. Wraca dziś wieczorem albo jutro.

Cokolwiek Martin miał na myśli, nie wydał się zbity z tropu. - Zadzwoń do państwa.

Podeszli do Bianki, która wręczyła Laurze bukietik pierwiosnków.

- Kwiaty mogą dotykać dłoni? - Martin parsknął swoim rubasznym śmiechem.

Laura i Nicki wrócili pociągiem odchodzącym z Londynu o czwartej trzydzieści pięć po południu. Pociąg był zatłoczony i niskie popołudniowe słońce wdzierające się do wagonu sprawiało, że wszyscy byli zmęczeni upałem i rozdrażnieniem. Laure rozboleła głowa. Nicki zasnął z otwartymi ustami, jak wtedy, gdy był zaziębiony.

Przez pół godziny stali w kolejce po taksówkę do miasta. Ale kiedy Laura ujrzała wreszcie dom, od razu poczuła się podniesiona na duchu. Niedawno pomalowali go na biało. W czasie nieobecności Laury zakwitła magnolia i blad różowe kwiaty okrywały niemal całą ścianę. Laura nie mogła się doczekać, kiedy się znajdzie w domu. Znowu całkowicie panowała nad sytuacją. Przed nią

korespondencja, urzędowe pisma,
praca i Miles.

Drzwi otworzył Miles. Widać
było, iż rzeczywiście na nich
czekał. Był wyraźnie zadowolony,
nawet odprężony na ich widok,
jak gdyby się spodziewał, że
mogą opóźnić powrót.

- No, więc jesteśmy! -
powiedziała Laura całując męża.

- Nicki, przywitaj tatusia,
wrócił przecież z Manchesteru,
pocałuj go na powitanie.

- To myśmy przyjechali. -
Nicki minął ich szybko i pobiegł

do swojego pokoju.

- Kiedy wróciłeś?

Miles wniósł ich walizki i
szedł teraz z nimi na górę.
Laura pośpieszyła za nim.

- Przed obiadem. Myślałem, że
zadzwonisz.

- Dzwoniłam, ale bez skutku.
Około dwunastej.

- Przyszedłem mniej więcej o
tej porze.

- Musieliśmy się rozminąć w
czasie.

Miles rzucił walizkę Laury na
ich łóżko. Swoją już zdążył
rozpakować. Wszystko było
porządnie ułożone w osobne
stertki: bielizna, koszule,
swetry, rzeczy do prania. Laure
dziwiło, że zadając sobie tyle
trudu, nie zdobył się na
włożenie tego wszystkiego do
swoich szuflad. Wiedziała
jednak, że mówienie na ten temat
nic nie da. Wszystko, co robił,
opierało się na pewnych
zasadach.

Podejrzewała, że w tym wypadku
dotyczą one obowiązków żony.

Byłoby śmieszne denerwować się z tego powodu. Ona sama także uważała, że żona ma swoje obowiązki.

- Miałaś prawdziwy urlop.

- Nie w tym celu jechałam - zaczęła Laura, po chwili jednak złagodniała. - Ale rzeczywiście to był urlop. Pogoda była piękna. Prawie przez cały czas.

- Przypomniała sobie o deszczu, kiedy wychodzili z przyjęcia. - Pojechaliśmy na operę.

- Nadzwyczajne!

- Trzeba przyznać, że była całkiem dobrze wystawiona. W prywatnym domu.

- Był tam ktoś interesujący?

- Johnny wracając z Londynu przywiózł Roy Mcnilla. Dom należy do niejakiej pani Kindsay, która była tym wszystkim przerażona. Ma córkę Biankę, modelkę i kierowniczkę dyskoteki. Był też jakiś pijany producent.

- Nie bardzo to w twoim

guście.

- To prawda.

Laura nie mogła uwierzyć, że nie wspomniała słowem o Martinie i jego matce. Martin ma przecież dzwonić i zaprosić ich na obiad.

Otworzyła usta.

- Mamusiu, mamusiu! Ktoś ruszał mój model.

Laura obejrzała się za siebie.

- Gdzie jest Maria?

- Maria? - Miles przybrał znużoną minę, jak zwykle przy najmniejszej wzmiance o aktualnej pomocy domowej.

Laura poszła do Nicka, który się ciągle awanturował. - Tak czy inaczej, czas do łóżka -

zdecydowała wiedząc, że go nie uspokoi.

Nicki robił się posłuszniejszy, kiedy już udało się go ubrać w piżamę. Chętniej dawał się całować i przytulać. Laura czekała na tą chwilę, próbując ją przyspieszyć.

Usiadł w łóżeczku i razem zmówili modlitwę.

- Nie powinniśmy się modlić w niedzielę.

- Ależ to najważniejszy dzień.

- Przecież modliliśmy się już w kościele.

- Czy wiesz, kogo kocham najbardziej na świecie?

- Mnie.

- Nie mów tego takim znudzonym głosem.

- Ciągle mi to mówisz, tyle razy.

- Naprawdę? - roześmiała się.

Nicki zakopał się głębiej w pościeli.

Laurze przypomniał się brat tak samo chowający się ze swym kocem. Ile w Nicku było z mężczyzny? Miała skłonność do myślenia o chłopcach i mężczyznach jako o odrębnych gatunkach.

Pocałowała swego synka na dobranoc i zeszła na dół przygotować mężowi kolację. Teraz myślała tylko o angielskim pieprzu, pomidorach i baranich

kotletach. Przez kilka minut zastanawiała się, czy podać kartofle całe, czy tłuczone.

Laura i Miles siedzieli w kuchni przy kolacji. Każdy z dużym kieliszkiem wina Roya. Na ich twarzach malowało się

zadowolenie.

- Więc Katie zrozumiała w końcu, co się jej bardziej opłaca?

- Nie bądź taki wulgarny!

Miles był zdumiony porywczością Laury.

Wypiła kilka łyków wina. - Oczywiście masz rację. Ale po prostu nie podoba mi się takie nazywanie rzeczy po imieniu.

- Wydaje mi się, że jesteś zmęczona.

- Sądziłam, że nazwalimy ten pobyt urlopem.

- Przepraszam cię.

Przepraszanie, szczególnie wtedy, kiedy to ona powiedziała coś opryskliwego, nie leżało w zwyczajach Milesa. Laura zdała sobie sprawę, jak bardzo było mu jej brak. Nie wiedziała, dlaczego tak trudno było jej rozmawiać z nim grzecznie. Siedzenie przy stole z kieliszkiem, bez żadnej wymiany zdań, zadowalało ją najzupełniej.

- Zjadłbyś coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Było doskonałe.

- To dobrze. - Cisza. - Bardzo jesteś w tym tygodniu zajęty?

- Przez ten wyjazd do Manchesteru mam zaległości.

Laura wiedziała, że Miles lubi mówić o swojej pracy. Kiedy się spotkali po raz pierwszy, była to jedna z cech, która ją pociągała w nim najbardziej. Mężczyźni w Anglii na ogół nie zapraszają dziewcząt do eleganckiej restauracji, by im opowiadać wyłącznie o słabych stronach angielskiego sądownictwa. Pamiętała wszystkie swoje reakcje w czasie tego pierwszego spotkania: od

urazonej kobiecości przez nudę
do - pod koniec rozmowy -
oczarowania. Jeszcze tego samego
wieczoru skończyła ze swoim
ówczesnym przyjacielem,
oświadczając mu stanowczo, że są
już z sobą za długo. Dopiero
wtedy uderzyło ją, że jej żonaty
kochanek, o tyle od niej
starszy, nigdzie nie mówił o
swojej pracy.

Miles był adwokatem. Miał
tytuł Q. C.: doradcy królowej,
nadawany wybitnym adwokatom.
Otrzymał go w wieku trzydziestu
pięciu lat, wkrótce po ich
ślubie. Teraz chciał zostać
sędzią. Nikt prócz Laury nie
wiedział, jak bardzo tego
pragnął. Jeśliby go ktoś
poklepał po czaszce,
wyskoczyłoby z niej słowo
"sędzia". Sędzia Wydziału
Karnego. Jeden z czterdziestu na
szczyście hierarchii.

Ta wygórowana ambicja
naturalnie wymagała od niego
wielkiego wysiłku. Przynosił
nawet robotę do domu, jak
sądziła Laura, bardziej z
potrzeby nierozstawania się ze
swoją obsesją aniżeli z
konieczności. Mimo że nie
przestawała wypytywać go o te
sprawy, nie sprawiało jej dłużej
przyjemności słuchanie jego
wywodów.

Pamiętała taki wieczór, kiedy
zdała sobie sprawę, iż mówił o
pewnym przypadku nie dlatego, że
go interesował - na przykład
tak, jak Roya frapuje jakaś idea
- ale dlatego, że był cegiełką w
budowanym gmachu, którego
uwieńczenie stanowiła długa do
ramion peruka. Stał się poza tym

niecierpliwy, jeżeli czymkolwiek
zdradziła się, że nie traktuje
jego uwag ze śmiertelną powagą.
Zajęło jej to pięć lat, nim
zaczęła podejrzewać, że wyszła
za mąż za człowieka zupełnie
pozbawionego poczucia humoru.

Kiedy byli sami, godziła się z
tym i zachowywała się wiernie,

śluchając tego, co mówił, z
powagą, bez najmniejszej pokusy,
żeby przekłuć ten nadęty balon.
Ale wśród przyjaciół była na
jego patetyczne zachowanie
bardziej wyczulona i wstydziła
się, za niego i za siebie.

Dziwne, ale rzadko
spozstrzegła u kogoś objawy
irytacji. Wszędzie traktowano go
z takim szacunkiem, jakiego
tylko mógł sobie życzyć. Z
biegiem czasu doszła do wniosku,
że ludzie lubią ważne figury.

Laura postawiła swój pusty
kieliszek. Po przeciwnej stronie
stołu Miles ciągle mówił. Miał
wysoko zarysowane łuki brwi,
wygięte, jak gdyby tylko czekały
na perukę. Pomyślała, że jest
mężczyzną przystojnym. Była
zadowolona, że może o nim tak
myśleć. Może nie urodziwym, ale
przystojnym.

- Jeszcze wina?

Uśmiechnęła się. - Nie,
dziękuję. - Jest przystojniejszy
od Martina. Ale zupełnie nie
pociągający.

Wstała gwałtownie, zdumiewając
tym Milesa. Wydawał się urażony.

- Opowiadałem ci o procesie.

- Słyszałam.

Przerwało im zgrzytanie klucza
w zamku frontowych drzwi.

- Nic dziwnego, że Maria nie może otworzyć drzwi, skoro się nie umie posługiwać kluczami.

- Nie mów jej nic, proszę cię.

- Jak sobie to wyobrażasz? -

Miles podniósł się z krzesła. -

Przecież rujnuje cały zamek. -

Ociężałym krokiem poszedł

otworzyć drzwi.

Laura westchnęła. Czuła się zmęczona. Czuła się tak, jak gdyby w ogóle nie wyjeżdżała na wieś.

Maria była wstrętniejsza,

aniżeli się Laurze zawsze

zdawało, i lekko pijana. -

Dobrze się tam pani bawiła, co?

Laura zastanowiła się, czy poradziłaby sobie z domem bez pomocy. Kłopot polegał na tym,

że tak długo, jak podtrzymywała złudzenie, że jej tydzień jest wypełniony pracą, musiała mieć kogoś, kto odbierałby Nicka ze szkoły i dawał mu drugie śniadanie.

- Uuuh! - rozległ się przeciągły krzyk Marii. Potknęła się na ostatnim stopniu schodów do służbówki, okazało się więc, że jest bardziej pijana, aniżeli się zdawało.

Laura zawołała: - O mój Boże!

- Czy pani się coś stało? - I

pomyślała, że będzie musiała

teraz przez pół godziny

przekonywać Milesa, że Maria

jest wystarczająco

odpowiedzialna, aby się

opiekować Nickiem.

Miles poszedł do gabinetu

jeszcze popracować. Maria

chichocząc położyła się spać.

Laura sprzątała w kuchni. Robiła

to z przyjemnością. Nakryła też do śniadania. Do miseczki Nicka wsypała drobne czekoladowe sucharki, na środku stołu ustawiła flakon z żonkilami, które przywiozła ze wsi.

Rozłożyła żonkile jeszcze do innych wazonów i zaniósła je do saloniku. Wyczuwała przez skórę, że Miles w pokoju obok pracuje pilnie, ale liczy na to, że ona tam wejdzie. Kochał ją. Miłość ta była zawsze żywa, niezachwiana. Weszła do gabinetu. Odwrócił się od biurka.

- Już do łóżka? - Wyciągnął rękę. Laura podeszła i pocałowała go w policzek.

- Najpierw się wykąpię.

- Nie zasypiaj, zanim przyjdę.

Nie było cię bardzo długo.

Ten komunikat o jego zamiarach wywołał w niej uczucia mieszane. Była zadowolona, że wciąż tak pociąga swego męża, i jednocześnie podrażniona jego zachowaniem, tą atencją połączoną z pewnością siebie. Jego niezręczność pozbawiała ją całego miłosego zapału.

- Przrzekam, że nie zasnę - powiedziała uśmiechając się.

Leżała w łóżku.

Na początku ich małżeństwa mogła tak leżeć godzinę, czekając cierpliwie na pieszczoty Milesa. Teraz musiała mobilizować całą świadomość, żeby nie zasnąć. A jednak go kochała. Kiedy przyszedł, całe jej poprzednie rozdrażnienie zniknęło i spojrzała na niego nie tając pożądaniami.

Laura powiodła dłonią po policzkach Milesa. Czowała pod palcami jego zarost. Przesunęła dłoń po ramieniu, potem po plecach aż do pośladków. Skórę miał gładką, jak gdyby było pod nią nieco za dużo tłuszczu, ale nie tak, żeby to było nieprzyjemne. Miles był bardziej niecierpliwy. Wprost rzucił się na nią, na jej piersi i biodra. Lubiała, kiedy dawał się porywać temperamentowi, nie czekając na jej inicjatywę. Czasem, kiedy ją zachęcał do zamiany ról, czowała, że odpływa z niej cała energia. Pragnęła go, nie na tyle jednak, żeby zdobywać rozkosz, wołała ją biernie otrzymywać.

Miles przykrył ją sobą. Laura sama czowała delikatną miękkość swego ciała, przypominało jej stulone płatki kwiatu. Było jej dobrze, kiedy ją wziął, krzyknęła z rozkoszy. Tylko na ułamek sekundy mignęła jej pod powiekami tamta, inna twarz. Tylko na ułamek sekundy. Mogła mieć czyste sumienie.

Leżeli objąwszy się ramionami. Upojeni i szczęśliwi. Ona myślała o śpiącym w pokoju obok Nicku. On o Amadeuszu Bagleyu, którego miał jutro bronić.

V

Poniedziałek rano. Laura usiadła przy swoim biurku.

Pracowała w małym pokoju, jednym z wielu w dużym biurku.

mieszczącym różne urzędy. Właściwie wolała wykonywać swoją pracę w domu, gdzie naprawdę czuła, że panuje nad wszystkimi swoimi obowiązkami. W biurze czuła się ciągle czymś zagrożona. Niemal w pojedynkę prowadziła stowarzyszenie pod nazwą "Liga Ochrony Kultury Rolnej". Ciągle było dla niej niejasne, jak się w to zaplątała. Chodziło, zdaje się, o posadę z płynnymi godzinami pracy, której długo, wytrwale szukała. Obecnie przygotowywała apel w sprawie ocalenia krytej strzechą stodoły, której groziło zastąpienie blokiem mieszkalnym. W poprzednim tygodniu całe dnie pochłonęło jej układanie stosownego listu do pięćdziesięciu osobistości. Teraz miała zrobić fotokopie, zaadresować koperty, nalepić znaczki i wysłać pocztą.

Siedziała przy biurku zastanawiając się, czy nie pójść na lunch. Przed sobą miała stos pięćdziesięciu listów. Zadzwoił telefon.

- Liga Ochrony Kultury Rolnej.
- Co za pompa!
- Kto mówi?
- Martin Keane. Poznaliśmy się w czasie weekendu.

- Przepraszam. Nie poznałam pana po głosie.

- To normalne. Dlaczego miałyby pani poznać?

Rzeczywiście, dlaczego? Zachowała się całkiem prawidłowo. Dlaczego więc go przepraszała?

Instynkt jej mówił, żeby rzuciła słuchawkę. Byłoby to jednak głupie i tchórzliwe. Za tym oficjalnym tonem zapytała: - Czym mogę panu służyć?

- Niczym z dziedziny kultury rolnej, jeśli o to pani chodzi.

- Nie myślałam o działalności ligi. Telefon służy nie tylko do tego celu.

- Pani głos był dokładnie w stylu tej ligi.

Laura już prawie kładła słuchawkę na widełki. Kiedy ją jednak ponownie przyłożyła do ucha, usłyszała wyjaśnienie Martina: - Dzwonię, tak jak przyrzekłem, żeby państwa zaprosić na obiad.

- Sądziłam, że pan zadzwoni pod mój numer prywatny.

- A więc pani pamiętała.

Laura usilnie starała się nadać głosowi naturalne brzmienie, nie wyrażające nic poza towarzyskim zainteresowaniem. - Lubię obiady na mieście.

- Świetnie. Czy czternasty kwietnia odpowiada pani?

Było to za dwa tygodnie. Laura nie chciała zdradzić głosem swego rozczarowania.

Powiedziała: - Cóż, doprawdy nie wiem.

- Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie.

- Będę musiała zajrzeć do kalendarzyka - przełknęła ślinę - i zapytać Milesa.

- Wobec tego może zostawię pani swój numer telefonu.

- Dobrze. - Czuła, że głos jej słabnie. Serce waliło jak młotem. Policzki płonęły. Jednak udało jej się zapisać numer jego telefonu.

- A zatem mam nadzieję, że panią usłyszę.

- Tak, dobrze.

Odłożył słuchawkę. Opadła na

krzesło. Serce z wolną się
uspokajało, policzki stopniowo
bladły.

Uświadomiła sobie, że
właściwie nie powiedział nic.
Dosłownie nic. Zaprosił ją i jej
męża na obiad. Otrzymywała takie
zaproszenia każdego tygodnia.
Jego zachowanie w czasie
weekendu także nie miało żadnego
znaczenia. Za pierwszym razem
był pijany. Za drugim żartował.
Droczył się z nią. Przywiązywała
do tego zbyt dużą wagę, ponieważ

nie była przyzwyczajona do tak
przewrotnego postępowania.
Dlatego wywarło ono na niej
takie wrażenie. Dla niego nie
znaczyło nic.

Wyszła z biura, żeby coś
zjeść. Chodząc po dużym domu
towarowym, gdzie często kupowała
różne rzeczy, szukała jakiejś
wieczorowej sukni. Zdjąwszy
wreszcie jedną z ramiączka,
poszła do przymierzalni.
Ściągnęła z siebie zieloną
dżersejową suknię i upuściła na
podłogę. Stwierdziła, że jej
dessous jest bardzo stare.
Jeśliby ją ktoś, ubraną,
zapytał, jaką ma na sobie
bieliznę, nie wiedziałaby, co
odpowiedzieć. Dużo czasu
upłynęło, odkąd to, co nosi pod
spodem, miało dla niej
szczególne znaczenie.

Przymierzalnia była mała, z
lustrem na każdej z trzech
ścianek. Siłą rzeczy Laura
musiała na siebie patrzeć.
Neonowe oświetlenie nadawało jej
twarzy szczególną bladość.

Rzadko niepokoiła ją myśl, że

może się zestarzeć. Teraz uderzyło ją, że to jednak dziwne. Przyjrzała się sobie i nie zobaczyła ani jednego siwego włosa, prawie zupełnie nie miała zmarszczek, a cerę tak jasną i gładką jak zawsze. Przygotowana była na to, że zobaczy twarz kobiety w średnim wieku.

Z twarzy przeniosła wzrok na ciało i stwierdziła, że jest szczuplejsza, aniżeli się spodziewała. Piersi miała duże jak dawniej, ale biodra, o których była zdania, że są za szerokie, nieeleganckie, teraz wydawały się całkiem w normie, także ramiona i ręce były szczuplejsze.

Włożyła suknię, którą wypatrzyła na wieszakach. Uszyta była z białego szyfonu w wytłaczany rzucik z pąsowych goździków, przy szyi zaś wykończona krezą, obrzuconą taką

samą pąsową nitką. Biała po zimie cera Laury i jej ciemne włosy pięknie od tego tła odbijały.

- No i jak, proszę pani, nie może jej pani nie kupić. - Zbliżyła się do niej ekspedientka, głośno zachwalając suknię. Laura czuła się w niejasny sposób urażona tym wtargnięciem w jej intymny świat jej myśli, ale musiała przyznać ekspedientce rację. Nie mogła nie kupić tej sukni.

- Nawet nie sprawdziłam, jaka jest jej cena.

- Przepraszam, że jest dość droga. - Ekspedientka wyciągnęła metkę przytwierdzoną z tyłu do

krezy. - Ale przy tak wyjątkowej sukni trzeba się tego spodziewać.

Laura, która nie miała w swoich planach kupna żadnej sukni, wiedziała, że tę kupi za każdą cenę.

Wracała do biura. Trochę padało, ale nie zwracała na to uwagi.

Nie miała skłonności do analizowania własnych przeżyć. Zasady, jakimi się kierowała w swoim postępowaniu, mało różniły się od tych, których ją uczono w dzieciństwie. Niepokoje i rozterki nie trapiły jej w tym stopniu, co przed laty. Poczucie winy, które wtedy głównie zaprzętało jej wyobraźnię, obecnie nie stanowiło żadnego problemu. Osądzała siebie dość łagodnie, uważając, że wprawdzie nie była tak dobra, jak myśleli o niej inni, ale także nie była z gruntu zła.

Ten spokój sumienia sprawiał, że robiła wrażenie bardzo zrównoważonej, co się wszystkim tak w niej podobało. Wewnętrzny spokój pozwalał jej również pomagać innym bez denerwowania się i zbytniego brania sobie wszystkiego do serca. Doprowadziła do ładu problemy Katie, ponieważ wierzyła w

małżeństwo. Żadnemu z nich nie pozwoliła się zapędzić w psychologiczne rozważania. Nie widziała do tego powodu.

To podejście do życia sprawiło, że stała się kobietą silną. Nie twardą, gdyż była życzliwa dla ludzi i obchodziły

ją ich zmartwienia, jeżeli nawet nie względy które je wywoływały. Miała wielu przyjaciół, którzy byli do niej przywiązani, liczyli się z nią, czasem bywali zazdrośni. Wiedziała o tym wszystkim. Była to jedna z przyczyn, powodująca, że nie odczuwała potrzeby analizowania samej siebie. Miała dobre samopoczucie i bez tego.

Teraz jednak, idąc zatłoczonymi ulicami Londynu z torbą na zakupy potrącaną przez przechodniów i objającą się jej o nogi, próbowała się nad sobą zastanowić. Przypomniało jej to rachunek sumienia, który zwykła robić, kiedy jeszcze była lepszą katoliczką i regularnie chodziła do spowiedzi. Nie było to łatwe. Trudno się było skupić, kiedy co chwila jej uwagę odrywała wystawa sklepowa, reklama na miejskim autobusie czy przechodzień. Zdecydowana była jednak wytrwać w postanowieniu, mówiąc sobie, że wydanie stu osiemdziesięciu funtów na suknię musi przecież odzwierciedlać ważną utratą równowagi wewnętrznej. Nie zdarzyło się do tej pory, by w ten sposób wydała pieniądze na własną garderobę.

Jak wytłumaczy to Milesowi? Nie musi mu, oczywiście, o tym mówić. Każde z nich miało osobny rachunek bankowy. Zauważy, że ma nową suknię, ale nie będzie miał najmniejszego pojęcia, ile mogła kosztować, i w ogóle ją o to nie zapyta. Miał do niej zaufanie. Ufał jej we wszystkim. Nie miał powodu, żeby jej nie wierzyć. Niczego przed nim nie ukrywała. Nie miała co ukrywać.

Zaczęła obliczać w myśli

pieniądze. Zdawała sobie sprawę, że było to oszukiwanie samej siebie, odwrócenie uwagi od tego, co się z nią działo. Ale ostatecznie i ta sprawa nie była bez znaczenia. Zarabiała dwa tysiące funtów rocznie. Miles ponad trzydzieści tysięcy. Takie były fakty. Byli zamożni. Stać ich było na to, żeby od czasu do czasu wydać na ubranie sto osiemdziesiąt funtów. Nie powinna sobie robić wyrzutów. Miles, mimo skrupulatności w wydatkach bieżących, kochał ją dostatecznie, by wybaczyć jej jakieś nagle małe szaleństwo.

Wybaczyć? Dlaczego miałby wybaczać? Dlatego, że on zarabia trzydzieści pięć tysięcy funtów, a ona dwa? Uświadomiła sobie, że jej tok rozumowania jest typowo kobiecy, że nasłuchiwała się podobnych historii w rozmowach z przyjaciółkami aż nazbyt często, nigdy jednak nie przyszło jej do głowy samej myśleć w ten sposób. Zawsze miała wszystko, czego zapragnęła, dlaczego zatem nagle miałyby się zadręczać czy robić sobie wyrzuty?

Wracając do samego przebaczenia - nie chciała, żeby jej wybaczano coś, co nie było żadną winą. Miała pełne prawo wydać nawet całe swoje dwa tysiące na jedną suknię, jeśli miała na to ochotę. Miała prawo decydować, na co wydaje własne pieniądze. I obowiązek wydawania ich w sposób rozsądny.

Obowiązek. Było to całe odrębne zagadnienie. Zauważyła, że prawie żadna z jej przyjaciółek nigdy na ten temat nic nie mówiła. Rozmawiały o swoich prawach, o osobistej

wolności. Laura nie lekceważyła obowiązków. Przede wszystkim ogromnie ułatwiały życie. Jej obowiązkiem żony było dbanie o męża, dziecko i dom. Jego - opieka nad nią. Dokąd ją te wszystkie rozmyślenia z powodu sukni za sto osiemdziesiąt

funtów doprowadziły? Do nadziei, że Miles jej wybaczy. Miała ochotę tupnąć nogą jak dziecko. Całe jej rozumowanie było kręceniem się w kółko. Zupełnie bez sensu.

Laura zauważyła, że zmokła. Nie padało równomiernie. Doprawdy, co za dziwna pogoda. Raz świeciło jaskrawe słońce, a za chwilę lało jak z cebra. Stała pod markizą i wspominała tamten deszcz i Martina szepczącego jej do ucha pod zaimprovizowanym parasolem. Nie próbowała wyłuskać z pamięci poszczególnych słów, wystarczyło jej wspomnienie jego oddechu i bliskości.

Podniecona i przerażona, jednocześnie starała się wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała w nowej różowej kreacji. Poprzednie rozmyślenia, które okrężną drogą miały doprowadzić do wniosku, że suknię powinna zwrócić, poszły w całkowite zapomnienie. Przycisnęła do siebie torbę z zakupem.

Miles i Laura siedzieli w swoim saloniku. Miles postawił filiżankę z kawą i wyłączył telewizor, w którym podawano wieczorne wiadomości. Była

dziesiąta.

- Sam nie wiem, dlaczego to oglądam. Banda pasożytów żerująca na prasie.

- Trzeba jednak przyznać, że obraz uzupełnia te wiadomości.

- Raczej odciąga od nich uwagę.

- Przecież w sądzie także oglądasz twarze, świadków, całe sceny.

- Nie odnosiłem tego do sądów, ale skoro o tym wspominasz, powiem ci, że świadkowie, nawet sam przewód, sędziowie i cała ta maskarada przynosi więcej szkody aniżeli korzyści. Wszystko to teatr. Tylko przeszkadza w orzeczeniu sprawiedliwego

wyroku. Najlepszą drogą do wydania obiektywnego werdyktu byłoby przekazanie całego materiału dowodowego do osądzenia jednemu sędziemu. Materiału udokumentowanego na piśmie.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. - Dla Laury był to szok.

- Owszem, wierzę.

- Mogę zrozumieć sędziów...

- Sugerujesz, że myślę o własnej wygodzie. - Miles przerwał jej porywczo. - Sędzia reprezentuje w procesie stronę całkowicie neutralną. Występuje poniekąd w roli Boga.

- Trudno sobie jednak wyobrazić, żeby zapomniał o różnych swoich przekonaniach czy uprzedzeniach... - Umilkła. Twarz Milesa przybrała wyraz surowej powagi. Sama myśl, że jego żona może z nim dyskutować o

roli sędziego w procesie, była dla niego nieznośna. Słuszność bądź nie jej punktu widzenia nie miała tu żadnego znaczenia. Wiedziała o tym. Rozumiała go, nawet się z nim zgadzała. Podziwiała go za to, że się potrafił tak czymś pasjonować.

- Chyba zrobię sobie kąpiel.
- Nie możesz tak ni stąd, ni z owąd odchodzić w środku dyskusji
- powiedział podniesionym tonem, ale Laura wiedziała, że najlepiej zrobi wychodząc z pokoju.

- Problem polega na tym, że świat znalazł się w niewoli absurdu, jakim jest działanie na ludzkie uczucia, przez środki masowego przekazu. Odkąd telewizja zastąpiła słowo pisane, poziom umysłowy sędziów staje się coraz niższy. Przestali myśleć racjonalnie, po prostu zaczęli wzruszająco grać swoją rolę. Ten najsubtelniejszy z aparatów, jakim jest mózg człowieka, przekształcony został w reaktor. Funkcjonujący w taki sam sposób, jak zwierzę reaguje na zapach swego wroga.

- Albo samca czy samicy! - Laura wybuchnęła śmiechem. Była już przy drzwiach, więc nie mogła się oprzeć pokusie podrażnienia go w jakiś sposób. Biegając schodami na górę słyszała, jak Miles miota się wściekły po pokoju.

Musiła przyznać, że zgadzała się prawie ze wszystkim, co powiedział. Nie mogła tylko znieść jego cierpkiego tonu. Jak gdyby proces tej generacji naszego gatunku był atakiem

wyłącznie na jego osobę. Jej własne zachowanie było zapewne oznaką wygodnictwa i skłonności do powierzchownego traktowania spraw. Nie potrafiła z takim zaangażowaniem przejmować się losami świata. Przed sypialnią zwolniła kroku. Zebrała rzeczy potrzebne do kąpieli. Myślała o tym, że ten jej śmiech może dokonać rozłamu pomiędzy nią a Milesem.

Spojrzała na wiszącą w szafie nową suknię.

Dwie sprawy miała poruszyć z Milesem tego wieczoru: powiedzieć mu o kupnie sukni i o zaproszeniu na obiad czternastego kwietnia. Zamiast tego doprowadziła do kłótni. Cóż, musi to na razie odłożyć.

Wyjawszy nową suknię z szafy, uśmiechnęła się na jej widok. Potem poszła do łazienki, gdzie za chwilę rozkoszowała się gorącą kąpielą.

Udobrucha Milesa, kiedy przyjdzie i położy się do łóżka.

Był Wielki Piątek. Laura i Nicky wrócili z kościoła, gdzie uczestniczyli w odprawianiu Drogi Krzyżowej. Przygotowywała mu podwieczorek. Sprawiało jej to przyjemność, starannie wygładzała masło na kromkach chleba, z kolei rozsmarowując na nich przepisową warstwę leczniczych drożdży.

- Mamusiu, posmaruj masłem orzechowym - prosił Nicky.

- Potem, Nicky, jak zjesz te z drożdżami.

Zadzwoił telefon. Był to Roy.

Dzwonił z Irlandii. -
Spodziewałem się, że
przyjedziecie do mnie na Święta.
- Laura poznała po jego głosie,
że jest urażony, samotny i
przygnębiony.

Zatrwożyła się. - Ależ Roy,
kiedy nas zaprosiłeś?

- Chyba nie zapomniałaś?

Laura zastanowiła się, czy
istotnie to ona nie pamiętała,
czy może Roy zapomniał ich
zaprosić. Tak zawsze tonął w
swoich myślach, że czasem
zacierało mu się w pamięci, czy
wypowiedział to, co pomyślał.

- Było to wtedy, kiedy
siedzieliśmy i przyglądaliśmy
się tańczącym parom. W czasie
tego operowego wieczoru.
Powiedziałaś, że nie możesz
sobie wyobrazić lepszego
spędzenia Wielkanocy.

- Rzeczywiście, to prawda. -
Okropne pomieszanie wspomnień z
tamtego wieczoru sprawiło, że
Laura zaczęła się wahać, czy
mogła być pewna czegokolwiek, co
się wtedy zdarzyło? Kątem oka
zobaczyła, że Nicky wygarnął już
pół słoika masła orzechowego.
Chwyciła go za rękę, a w
słuchawkę rzuciła: - To
straszne, Roy! Przepraszam cię,
tak mi przykro.

- Puść, mamusiu! - wykrzykiwał
Nicky, wrywając rączkę.

- Nie ma w tym twojej winy -
ponuro odparł Roy. - Człowiek
nie ma wpływu na własną pamięć.
Inni przed tobą też zapominali.
Zwyczajnie, nie wyobrażałem
sobie, że i ty zapomnisz.

- Może jutro... - powiedziała
niepewnym głosem. Oboje
wiedzieli, że to niemożliwe. Po
wielu przeprosinach i
przyrzeczeniach rychłego
przyjazdu odłożyła słuchawkę.

- Czy mogę zjeść trochę lodów?

- Dzisiaj obowiązuje ścisły
post.

Osądziła siebie bardzo surowo.
Samopoczucie miała fatalne.
Zostawiwszy Nicka w kuchni, choć
wiedziała, że się objada,
szybko poszła na górę napisać do
Roya czuły list. Znalazła swoją
fotografię z bardzo smutną miną
i także włożyła do koperty.
Potem natychmiast poszła na
pocztę. Po powrocie czuła się
znacznie lepiej.

Nicky oglądał telewizję.
Usiadła obok niego. Położyła
dłonie na jego rączce. Czasem
się przed tym bronił, ale tym
razem oparł się wygodnie o jej
ramię. Program wydał się jej
nudny.

Laura nigdy nie nabrała
zwyczaju wysiadania przed
telewizorem. W przekazywanym
obrazie było coś takiego, że nie
mogła się do telewizji
przekonać.

Nicky oglądał film o węzach.
Duży paluszek trzymał w buzi.

Mimo że był to Wielki Piątek,
Miles poszedł do biura. Ale
resztą wielkanocnego weekendu
spędzi z nimi, będą wszyscy
razem. Tak jak inne rodziny będą
szukać po całym domu
czekoladowych jajeczek. Nicky
zje ich oczywiście za dużo i
będzie miał nudności.

Nie trudno czuć się
szczęśliwym, rozmyślała Laura,
przyglądając się, jak podobna do
sznurowadła samica_wąż parzyła
się z co najmniej setką
mniejszych od niej samców.

W saloniku Laura siadywała zwykle na tym samym miejscu. Miała stamtąd najlepszy widok z okna, a telewizor i telefon znajdowały się w znacznym oddaleniu. Ale po kolacji we wtorek wieczorem nie wiadomo dlaczego usiadła w kącie kanapy tuż przy telefonie. Miles w drugim kącie pokoju zajęty był czytaniem "Sunday Timesa". Do lektury pism, podobnie jak do innych spraw, podchodził

metodycznie. Jeśli nie dokończył jakiejś gazety jednego dnia, wracał do niej następnego. U jego stóp czekał porządnie ułożony stos nie przeczytanych gazet. Laura położyła na kolanach kolorowy dodatek. Myślała jednak o czym innym, o swoim pomysle, który zamierzała zrealizować w ramach działalności jej biura, o letnim zjeździe połączonym z festynem na jednej z najlepiej zachowanych piętnastowiecznych farm z kompletem zabudowań.

Zaterkotał telefon. Nieczęsto dzwonek telefonu odzywał się po dziewiątej wieczorem. Miles zamruczał coś z dezaprobatą. Laura podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Przepraszam, czy mogę mówić z panią Knight?

Oficjalny ton zawiódł ją.

- Jestem przy telefonie.

- Tu Martin Keane. Miałem nadzieję, że pani do mnie zadzwoni.

- A tak, tak. W sprawie obiadu.

- Była tak zmieszana, że instynktownie podniosła magazyn,

próbując ukryć za nim twarz.

Milesa, który naturalnie nie zaprzętałby sobie głowy tym telefonem, zaintrygowało jej zachowanie.

- Kto dzwoni?

Nazwisko Martina Keane było by dla Milesa pustym dźwiękiem.

Laura dotąd nie znalazła stosownej chwili, żeby mu odpowiednio obojętnym tonem powiedzieć o zaproszeniu na obiad. Teraz znalazła się w pułapce. Miała ochotę zemdleć, krzyknąć, wybiec z pokoju. Była jednak dostatecznie opanowana, żeby uznać wszystkie tego rodzaju środki za niepotrzebne. Miles miał do niej bezgraniczne zaufanie. Nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, co się z nią dzieje. Jeśli jej zachowanie wydało mu się dziwne, będzie upatrywał powodów wszędzie,

tylko nie w takim szalonym, zapierającym dech uczuciu...

Nie domyśla się niczego także Martin. Zwyczajnie zaprasza ją i jej męża na obiad. Jest zdziwiony, że nie zatelefonowała w tej sprawie. Odsunęła trzymany magazyn i zamiast odpowiedzieć Milesowi, obróciła się wygodniej w kierunku telefonu.

- Ogromnie mi przykro.

Wydawało mi się, że jest jeszcze dużo czasu. Do tego były jeszcze święta.

- To znaczy, że pani zapomniała. - Wyglądało na to, że jest zdziwiony, ale skłonny jej uwierzyć. Laura nieco ochłonęła.

- A więc?

- Kto to jest? - ponownie zapytał Miles; nie był zniecierpliwiony, jedynie ciekaw, o co chodzi.

- Proszę zaczekać - powiedziała Laura. - Miles jest tutaj obok mnie. Zaraz go zapytam.

Obróciła się do Milesa, patrząc mu prosto w twarz. Chcąc jakoś usprawiedliwić swoje podniecenie, gdyż ciągle jeszcze z trudem, chwytając oddech, powiedziała: - Kochanie! Okropność! Przyjaciel Johna, którego spotkałam w czasie weekendu, zaprasza nas na obiad. Czternastego kwietnia.

- Kto to jest? - Z pewnym zainteresowaniem indagował Miles, lubił takie okazje.

- Martin Keane. Zajmuje się programowaniem komputerów.

- Boże! Żonaty?

- Zdaje się, że nie.

- Więc kto ten obiad ugotuje? Nie mam zamiaru iść do jakiejś kawalerki, siedzieć na podłodze i jeść spaghetti.

- On tam czeka. Nie mogę go tak trzymać.

- Wydaje się, że już i tak kazałaś mu długo czekać.

- Ależ ja go prawie nie znam!

- zachnęła się Laura.

Przynajmniej to było prawdą. W tym momencie miała ochotę rzucić w słuchawkę: "Nie". "Nie" na wszystko, cokolwiek by zaproponował. - Przepraszam - powiedziała - Miles nie może znaleźć kalendarzyka, a wydaje mu się, że tego dnia ma obiad w gronie kolegów, adwokatów.

- Muszę wiedzieć wcześniej, gdyż zapraszam państwa do Garricka, * a tam kelnerzy są już w tym wieku, że na dziesięć dni naprzód muszą wiedzieć, ile osób przychodzi, inaczej popadają w ciężkie omdlenie.

Garrick Club - Klub Aktorów, ludzi z ich środowiska i (dziś) innych przy Covent Garden w Londynie, założony w 1831 r. (Przyp. tłum.)

- Czy to pana urodziny? - zapytała, sama nie wiedząc czemu. Miles, teraz już wściekły, robił do niej jakieś miny.

- Ależ nie, chodzi mi o czystą przyjemność.

- Jeszcze chwila. Zdaje się, że Miles znalazł kalendarzyk. - Przysłoniła tubkę słuchawki. - Obiad ma być w jego klubie - oznajmiła Milesowi - u Garricka.

Miles także był członkiem klubu Garrick. - Ciekawy programista komputerów.

- Przyjdziemy z największą przyjemnością - odpowiedziała Martinowi, nie tyle z ożywieniem, co z ulgą. Dopiero teraz przestały jej drżeć ręce.

- Między siódmą a wpół do ósmej, i jeśli się państwo spóźnią choćby o sekundę, kelnerka wleje wam na głowy garnek gęstej zupy.

Laura siedziała przed lustrem. Miała na sobie nową różową suknię. Na szyję założyła sznur kryształów, w uszach zawiesiła kryształowe kolczyki i obróciła się do Nicka, oczekując jego zachwyty.

Leżał wygodnie na jej łóżku,

opierając się wszystkimi siłami
wszystkim wysiłkom Marii, która
próbowała położyć go do
łóżeczka. Jego obecność była dla
Laury wyraźnie kojąca.
Przypominała jej stale, jak
dobrą jest matką. Dlaczego nie
mogła być dobrą matką i
jednocześnie piękną kobietą?
Kobietą podziwianą?

Wszedł Miles. Był już gotowy
do wyjścia.

- Nicky jeszcze nie w łóżku?

- To moja wina. Przepraszam. -

Laura wstała.

Miles spojrział na nią
zdumiony. - Wyglądasz wspaniale!
Nicky, popatrz, jaką masz piękną
mamę!

Rozmyślnie odniosła ten
komplement do sukni. - Cieszę
się, że ci się podoba. Kupiłam
ją niedawno. - Zdażyła już
uspokoić sumienie z powodu jej
ceny i teraz bez poczucia winy
cieszyła się, że Miles patrzy z
takim podziwem. - Mam nadzieję,
że nie jest za elegancka na
obiad w klubie.

- Nie sądzę. - Miles obrócił
się plecami. Zainteresowanie jej
wyglądem już minęło. Na ogół
czyjaś powierzchowność budziła
jego zaciekawienie nie tyle ze
względów estetycznych, co z
rzeczowych, informacyjnych.
Laura pomyślała, że musi
wyglądać naprawdę pięknie, skoro
się zdobył na pochwałę.

Pojechali do klubu taksówką.
Miles nie przepadał za
prowadzeniem samochodu.
Zazwyczaj Laura godziła się
usiąść za kierownicą, ale tego
wieczoru nie miała na to ochoty.

- Musi mieć pieniądze - ocknął
się z zadumy Miles - ten Martin
Keane. Nasz gospodarz. Nie

zaprasza się do Garricka, jeżeli kogoś na to nie stać.

Laura patrzyła przez okno na przejeżdżające obok samochody. Dobrze jej było w otulającym ją jak kokon nastroju wewnętrznego zadowolenia.

- Nie wiem. Prawdopodobnie tak jest, jak mówisz.

- W jakim jest wieku?

- Młodszy od ciebie. Ode mnie także.

- Musi mieć wobec tego jakiś osobisty kapitał, może rodzinny. Niemożliwe, by w tym wieku zbił już fortunę. Chociaż mówi się, że ludzie, których trudno byłoby o to posądzać, robią majątki na tej eksplozji komputerowej. Zapewne zręcznie prowadzi swoje interesy, przynajmniej tak przypuszczam. Dzisiejszy obiad jest niewątpliwie wkalkulowany w jego wydatki. Obiad w takim klubie jak Garrick robi wrażenie na partnerach ze świata biznesu.

- Spodziewam się, że ich nie będzie.

- Co mówisz?

- Że nie będzie na nim wielu biznesmenów czy handlowców, czy jak ich tam nazywasz.

- Musisz się pozbyć uprzedzeń. Stosunki ze światem biznesu zawsze się mogą przydać. Sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby poznać tam kilka osób z tego kręgu. - Miles wrócił do swoich refleksji na temat obiadu, więc obróciła głowę w kierunku okna, starając się za wszelką cenę nie słuchać tego, co mówi.

- Ciekawy jestem, kto tam będzie. Mówisz, że jest

przyjacielem Johna. Zapewne więc będzie Johnny.

Laura w ogóle o tym nie pomyślała. Prawdę mówiąc, nie brała także pod uwagę innych gości. Dla niej było to spotkanie z Martinem. Teraz przyszło jej na myśl, że może jak na każdym proszonym obiedzie będzie musiała rozmawiać z różnymi osobami. Może nawet nie będzie siedziała obok Martina.

- Kiedy o tym myślę, wydaje mi się interesujące, dlaczego nas zaprosił. Ty go prawie nie znasz, a ja nawet nie wiem, jak on wygląda. Musi mieć jednak jakiś powód.

Laura czuła bicie swego serca. Dobrze wiedziała, co było tym powodem. Mimo wszystko, choć brakowało jej tchu, powiedziała takim tonem: - Jest prawdopodobnie bardzo towarzyski, tak mi się przynajmniej wydaje. Poza tym bardzo się przyjaźni i z Johnem, i z Royem. Naprawdę nie widzę w tym nic dziwnego.

- Mówisz, że bardzo się przyjaźnią. Sądysz, że to przyjaźń z czasów uniwersyteckich?

- Och, nie wiem! - zdobyła się na irytację. - Co to właściwie jest, prokuratorskie przesłuchanie? Powiedziałam ci, że go prawie nie znam.

Wiedziała, że zdradza się ze swym podnieceniem. Metodyczna indagacja Milesa o wszystko, co dotyczyło Martina, była bardzo przebiegła. Zastanawiała się, czy kierował nim instynkt. Z

drugiej strony - zawsze lubił wszystko analizować. Był urodzonym adwokatem. W innej sytuacji nie zwróciłaby na to uwagi i nic by ją to nie obchodziło.

- Przepraszam. - Miles uśmiechnął się i lekko ucisnął jej rękę. Z przykrością spostrzegła, że ją odruchowo cofnęła. Szybko naprawiła swój błąd. Przeciwwstawianie się Milesowi było niezgodne z jej wyobrażeniami o sobie.

- Ja także cię przepraszam. To dlatego, że jestem zdenerwowana. Zawsze jestem zdenerwowana przed oficjalnym obiadem, kiedy nie znam dobrze ludzi, z którymi mam się spotkać.

- Nikt, kto wygląda tak jak ty, nie powinien się denerwować.

- Znowu ścisnął jej dłoń, ale tym razem Laura spojrzała mu śmiało prosto w oczy, ciepło się uśmiechając.

Widziała, jakie to zrobiło na nim wrażenie. Zachwyt, miłość, wreszcie pożądanie. Jej ciało

nie pozostało bez reakcji. cieszyła ją moc, jaką dawała jej własna uroda.

- Prawdopodobnie zakochał się w tobie. Dlatego nas zaprosił - odezwał się niespodziewanie Miles. I wybuchnął śmiechem.

VI

Laura siedzi po lewej ręce

Martina. Po przeciwnej stronie dużego stołu ma męża i brata.

Promienieje radością. Niepotrzebne są między nimi żadne słowa. Niepotrzebne żadne sprawdziany ich wzajemnego działania na siebie. Od pierwszej chwili, kiedy na niego spojrzała, wiedziała, że on doznaje tych samych uczuć.

Martin zaabsorbowany jest czuwaniem nad sprawnym podawaniem win i potraw, a także zabawieniem siedzącej po prawej stronie dystygowanej starszej pani. Od czasu do czasu obraca się ku Laurze. Robi jakieś zwykłe uwagi na błahe tematy, ale Laura wtedy niemal omdlewa, jak tamtego wieczoru, kiedy zatelefonował.

Nie może jeść. Nawet nie próbuje. Nakłada sobie maleńkie porcje, którymi potem bawi się na talerzu.

- Pani nic nie je - spostrzega Martin przy drugim daniu. - Żle się pani czuje? Czy odchudza się pani? A może nie lubi pani kaczki?

- Każdy zajada z apetytem - mówi Laura - Więc to nie jest sprawa kaczki? Niech się pan o mnie nie troszczy. Za to piję. - Podnosi swój kieliszek.

- Muszę przyznać, że lepsze to niż nic. Niech pani jednak weźmie pod uwagę urażoną dumę starej kelnerki. Nie mówiąc już o kucharzach.

Laura podnosi do ust widelec z kawałkiem kartofla. Nie chce ze swego braku apetytu robić całego zagadnienia.

Martin znowu obraca się w drugą stronę.

Jej sąsiad po lewej zagaduje:
- Wydaje mi się, że myśmy się już kiedyś spotkali.

Laura próbuje się skupić.

Odkłada z powrotem widelec z
kartoflem. - Nie. Nie

przypominam sobie. - Stwierdza,
że nieznajomy jest grubasem o
czerwonej, zadowolonej z siebie
twarzy. Nie chce jego zachwyków.

- Skąd pan zna naszego
gospodarza?

- Poznałam go przez mojego
brata, Johna Bowlesa.

- Ach, więc pani jest siostrą
Johna! Cóż, teraz to zrozumiałe!

- Z satysfakcją trzęsie się ze
śmiechu na swoim krześle.

- Co pan ma na myśli?

- Po prostu jesteście bardzo
podobni, co tam, tacy sami. Jest
pani oczywiście tylko damskim
odpowiednikiem. Cha! Cha!

Czyżby ten idiota naprawdę był
jednym z przyjaciół Martina? Jej
różowy humor nieco przygasł. -
Czym się pan zajmuje? - pyta.

Jest zaskoczony. - To bardzo
bezpośrednie pytanie.

- Jest panu nie na rękę? -

Patrzy na niego wyzywająco.

Sąsiad kapituluje, wiedziała,
że tak będzie. - No cóż, może
pani uważać, że rozmawia z
biznesmenem.

- Biznesmen. - Uśmiecha się do
niego z aprobatą. Jest więc
jednym ze znajomych Martina z
kręgu biznesu, o których
wspominał Miles. Nie jest
przyjacielem w prawdziwym
znaczeniu tego słowa. - Sądzi
pan, że to zajęcie nie
przysparza panu chluby?

- Kto to powiedział?

- Przecież pan przed chwilą
nie chciał go ujawnić.

Nieznajomy dochodzi do

wniosku, że Laura go kokietuje.
- Proszę bardzo, mogę mówić o wszystkim. Wystarczy mnie tylko zaprogramować i nacisnąć guzik.

Laura spostrzega, że mimo tej zdawkowej rozmowy ani na chwilę nie przestaje myśleć o bliskości Martina. Każde jego spojrzenie odczuwa jak dotknięcie. Prowadząc głupi flirt z odpychającym sąsiadem z jednej strony i czując obecność Martina z drugiej, zupełnie traci

rozeznanie w sytuacji przy stole, nie wie, co się dzieje z resztą gości.

Nie ma pojęcia, co za chwilę podadzą do stołu. Nie wie, czy siedzą tam już od wielu godzin, czy tylko od kilku minut.

Nagle pojawia się przed nią na stole filiżanka kawy i Laura zdaje sobie sprawę, że ten wieczór, do którego przygotowywała się w takim podnieceniu i przerażeniu, właściwie się kończy. Martin prawie z nią nie rozmawiał. Pewność, że ich uczucia są takie same, którą miała na początku obiadu, zaczyna ją opuszczać.

Przestaje rozmawiać z nieokrzesanym sąsiadem, zapada w milczenie. Poprzednie ożywienie ulatuje z niej jak powietrze z balonu. Czuje, że to samo dzieje się z jej pięknym wyglądem.

- Świetnie pani sobie radzi z Timem.

- Ach, z tym... - Laura jest zbyt przygnębiona, żeby ukrywać swoje wrażenia.

Martin wybucha śmiechem. - Nie przypadł pani do gustu? Za to po

nim widać wyraźnie, że jest
panią bardziej niż
zainteresowany.

- Straszny nudziarz. Ale
przepraszam, zdaje się, że to
pana przyjaciel.

- Od wieków. Z czasów naszego
dzieciństwa. Moja przeszłość
jest bardzo stereotypowa. -
Laura przekonuje się, jak błędne
były jej przypuszczenia co do
ich zawodowych kontaktów, ale w
tej chwili nic ją to nie
obchodzi. Wystarczy, że Martin
pochyla się ku niej mówiąc coś
zupełnie banalnego, ale pochyla
się bardzo blisko, i już cała
promienieje radością, jej uroda
znowu rozkwita jak pod ciepłym
podmuchem wiatru. Opuszcza lekko
głowę, żeby Martin nie mógł jej
dokładnie obserwować. Ma cichą
nadzieję, że zacznie jej szeptać
do ucha, jak wtedy, kiedy szli w

deszczu, ale on mówi jedynie: -
Kiedyś próbowałem nawet zostać
agentem ubezpieczeniowym.

Odpowiada sama nie wie co i
dziwi się bardzo, że Martin
odwraca się w drugą stronę.
Zdobywa się na wysiłek, żeby nie
przechylić się w jego kierunku.

- Nie sądzi pani, że kelnerki
już nie czują nóg?

Laura nie rozumie, o co mu
chodzi, dopóki Martin nie odsuwa
do tyłu swego krzesła. Dopiero
wtedy uświadamia sobie
przeżona, że jest to sygnał do
zakończenia obiadu.

- Takie obiady mają jedną
zaletę - rzuca Martin ogólną
uwagę - że ich uczestnikami są
ludzie pracujący.

Słowom tym gorliwie potakuje jego elegancka sąsiadka po prawej. Czyżby już myślała o wyspaniu się przed czekającym ją jutro z samego rana eleganckim zajęciem?

Mimo rozpaczy Laura znajduje odpowiednie słowa: - Nie lubi pan wydawać obiadów?

- Doprawdy nie wiem. Łatwiej byłoby mi odpowiedzieć, gdyby się to zdarzało częściej. Ta sporadyczność wynika zapewne stąd, że nie jestem żonaty. - Umilkli. Wpatruje się w jej twarz tak poważnie, że Laura próbuje lekko przymrużyć oczy, które, wie o tym, są teraz szeroko otwarte i smutne. - Gdyby to ja był pani mężem, nie chciałbym się w ogóle z nikim spotykać. I naturalnie nie pozwoliłbym pani widywać kogolwiek poza mną. Pani mąż jest bardzo odważny.

Mimo lekkiego tonu, jakim to zostało powiedziane, od pierwszego słowa Laura wie, że Martin mówi prawdę. Ponowna fala radości rozpiera jej serce.

Miles wstał i podchodzi do Johna. Johnny z cagarem w ustach obejmuje ramieniem jakąś dziewczynę, to Biana. Miles ma na twarzy uśmiech, co wskazuje,

że uważa wieczór za udany. Laura ma ochotę zapytać Martina, kogo wybrał na jego sąsiadów, ale nawet z tak błahego powodu nie chce z nim mówić o mężu.

Zaledwie to postanowiła, kiedy słyszy własny głos: - Miles jest doprawdy nadzwyczajny! - Jest to raczej stwierdzenie i Laura nie

spodziewa się reakcji Martina.

- Jestem tego pewny, skoro
poślubił panią.

Jest na siebie zła. O ile
poprzednia wypowiedź była
niewątpliwie szczerą, ta była
banałem, jaki się mówi każdej
ładnej buzi.

Na dodatek nie mieli szansy
zamienić ani słowa więcej, gdyż
już zaczęli podchodzić goście,
żeby się pożegnać i podziękować.
Laura spostrzegła, że Miles
patrząc na nią daje jednocześnie
Johnowi znaki głową. Jego twarz
wyraża męzowską stanowczość,
która zdaje się mówić, że miło
spędziliśmy wieczór, ale czas
iść do domu, zaraz, teraz,
natychmiast.

Odpowiada Milesowi posłusznym
skinieniem. Jest to małżeński
kodeks, któremu podporządkowują
się wszystkie pary obecne w
klubowej sali. Pewność i
zaufanie, ściągnięcie lejców.

- Kochana siostrzyczko. Gdybyś
ty była moją żoną, czyż
kiedykolwiek schodziłbym na
manowce? - Laura czuje, że
znalazła się w chmurze
tytoniowego dymu. Ktoś ujmuje ją
za rękę i podnosi dłoń do ust. -
Czy kazirodztwo jest zbrodnią,
jak twierdzą legaliści, oschli
starcy w rodzaju twojego męża?

- Johnny, jesteś pijany!

- Oczywiście, że jestem! Byłoby
zniewagą dla wina naszego
gospodarza, gdyby było inaczej!
Idziecie potańczyć, mam
nadzieję?

Nigdy nie chodzili z Milesem
na dansingi. Nie przychodziło im
to w ogóle na myśl. Laura miała
mgliste przecucie, że za kilka

lat może Nicky uzna ją za dobrą zabawę. W tej chwili mogła tylko zazdrościć swemu bratu.

- Dokąd idziecie?

- Do każdego klubu, który mnie wpuści. Więc jak, idziesz? -

Laura orientuje się, że w rzeczywistości Johnny wcale nie chce, żeby z nim szła. Jest stateczną mężatką, zachowującą się przyzwoicie. Czułby się stary w jej towarzystwie. I winny wobec Katie pozostawionej na wsi.

- Nie, nie idę, to przecież oczywiste. Miles byłby wściekły.

- Tym większa szkoda! - Tym większa szkoda! - Oddala się, jak Laura widzi wyraźnie, z prawdziwą ulgą. Nie może opanować swego zdenerwowania i niezadowolenia. Kiedy Miles ujmie jej rękę, niecierpliwie odpycha jego dłoń. Udaje, że chce zabrać ze stołu torebkę.

- Na nas już czas.

- Przede wszystkim czas podziękować gospodarzowi.

Miles ze zdziwieniem patrzy na jej wzburzoną twarz.

- Jesteś niezadowolona?

Zdawało mi się, że się dobrze bawiłaś.

- Dlatego właśnie nie mam ochoty iść do domu. Dlaczego mamy być zawsze takimi nudziarzami? Wiecznie się troszczyć, jak będziemy się czuć rano? Johnny idzie na dansing!

Wszystko, co mówi, jest tak wyraźnym objawem złego humoru i bezsensu, że Miles nawet nie próbuje z nią dyskutować.

- Przykro mi, że się źle bawiłaś. - Próbuje wziąć ją za rękę.

- Nieprawda! Powiedziałam ci to przed chwilą!

Miles jest zniechęcony tą dziecinadą. Uznaje, że Laura za dużo piła. Wprawdzie zupełnie wyjątkowo, ale to się zdarza. Pozwala sobie na niewinny żart:
- Czasem masz dokładnie taki sam wyraz twarzy jak twój brat.

- To świetnie. On przynajmniej ma werwę.

Miles znowu nie odpowiada. Przywary Johna są tak oczywiste, że nawet nie warto o nich mówić. On sam miał miły wieczór, wywarł wrażenie na wydawcy jednego z magazynów i teraz nie chce, żeby ktoś widział, jak sprzecza się z żoną.

Podchodzi do Martina. - Chciałbym panu podziękować za przemiły wieczór.

- Więc jednak Johnny nie namówił państwa na dansing?

- Niestety. Mam jutro sprawę w sądzie.

- A pana żona nie mogłaby pójść?

Laura przyłącza się do nich w samą porę, żeby to usłyszeć. Zdażyła ochłonąć w ciągu tych kilku sekund po odejściu Milesa i wstydzi się swego zachowania. Ale teraz, kiedy słyszy prośbę Martina, żeby jej pozwolił pójść na dansing, przynajmniej tak to brzmi w jej uszach, czuje nowy przypływ irytacji. Postanawia, że Miles jak wiktoriańska głowa rodziny orzeknie: "Nie, nie pójdzie!", wtedy się zbuntuje i głośno oświadczy: "Właśnie, że pójdę! Ciągle jeszcze dysponuję wolną wolą. Nie wyrzekłam się jej wychodząc za ciebie za mąż.

Zdecydowałam, że pójdą!"

Wszystko to przebiega jej przez myśl, gdy tymczasem Miles się zastanawia, a Martin uprzejmie czeka na to, co od niego usłyszy. Wreszcie Miles się uśmiecha: - Będzie pan musiał sam ją o to zapytać.

Laura wciąga powietrze do płuc. Doznaje uczucia ulgi pomieszanej z rozczarowaniem. Nie pójdzie na dancing. Myśl o tym, że musi wcześniej wstać, żeby wyprawić do szkoły Nicka i przygotować się do wyznaczonego na dziesiątą spotkania z wiceministrem rolnictwa.

Wrócił jej zwykły spokój,

patrzy Martinowi prosto w oczy.

- Popsułamby Johnowi całą przyjemność - oświadcza i jest w tym sporo prawdy. - Starsze siostry okropnie psują humor.

- Nie może pani być starsza od Johna!

- Owszem. - Świadomie chce to wyjaśnić. - Jestem od niego starsza o trzy lata. Oznacza to, zdaje mi się, że jestem również starsza od pana.

- Całkiem inne pokolenie.

- Musimy iść - przypomina Miles.

Nastrój Laury ponownie ulega zmianie. Nie może odejść tak natychmiast. Nie może tak nagle rozstać się z Martinem. Chociaż nic nie mówi, nawet na niego nie patrzy, Martin coś wyczuwa, gdyż w pewnej chwili pochyla się i całuje ją w policzek.

Jest to jedynie muśnięcie wargami. Czysto konwencjonalny pocałunek w policzek, ale dla

Laury jednak ma wystarczającą wymowę.

Miles i Laura wychodzą z klubu. Taksówkę znajdują dość łatwo, gdyż pora nie jest jeszcze późna, i teraz Laura słucha, co Miles opowiada jej o wydawcy magazynu. - Dopóki nie jestem sędzią - mówi - nic się nie stanie, jeśli będę opisywał ciekawe przypadki, naturalnie pod pseudonimem.

Po powrocie do domu idą do łóżka, kochają się. Poczytując sobie za zasługę zrezygnowania z dansingu, Laura czuje się tylko trochę winna wyobrażając sobie Martina na miejscu Milesa.

W ciągu kilku następnych dni Laura nie ustawała w wysiłkach, by wniknąć w istotę swego stosunku do Martina.

Przyznawała, że ten prawie nieznamy mężczyzna budzi w niej gwałtowne pożądanie. Podobało jej się to biblijne określenie. Nie mogła nazwać tego, co czuła, miłością. Było

to właśnie pożądanie. Rodziło się pytanie, jak się ma w tej sytuacji zachować.

To, że ta sprawa miała dla niej zupełnie inną wagę niż małżeństwo, nie wymagało podkreślenia. W tym momencie przypomniała sobie wszystkie nadzwyczajne wskazówki, jakich udzielała swoim spragnionym miłości przyjaciółkom, a które teraz mogły mieć zastosowanie w jej przypadku. Jednakże uznała, że nie było potrzeby po nie sięgać, nigdy nie zrobi nic

takiego, co mogłoby zagrażać jej małżeństwu. Chodziło przy tym zarówno o zasady moralne, jak względy praktyczne. Z punktu widzenia tych ostatnich, czy nie byłoby najlepiej odciąć się całkowicie od wszelkich niebezpieczeństw, jakie z sobą niesie znajomość z Martinem, przez zaprzestanie jakichkolwiek z nim kontaktów? Może to być co prawda nieco kłopotliwe, czy nawet trochę dziwne, gdyż Miles wyraźnie uznał tę znajomość za pozytywną. (Czyżby to właśnie była strategia Martina?) Było to jednak do przeprowadzenia.

Wszyscy byli bardzo zaabsorbowani pracą. Możliwości znalezienia takiego czy innego wytłumaczenia było mnóstwo.

Upłynęło sporo czasu, zanim Laura zdecydowała się na tę linię postępowania. Było to absolutnie sprzeczne z jej pragnieniami. Na samą myśl o tym czuła się nieszczęśliwa. Zresztą sam fakt, że analizowała własne procesy psychiczne, do czego zupełnie nie była przyzwyczajona, odebrał jej całą radość i zadowolenie z życia. Nawet Nicky zapytał raz, dlaczego chodzi ze zwieszoną głową.

Przez trzy dni Laura trwała w nieodwołalnej decyzji wyeliminowania Martina ze swego życia. Na weekend wyjechała do przyjaciółki, która miała wielki

dom w Dartmoor. Przejściówka ta rozwiodła się przed dwoma laty, a ponieważ obu synów umieściła w internacie, mieszkała właściwie

samotnie.

Miała kochanków, ale nie dopuszczała, aby pozostawali z nią na dłużej. Postanowiła przekonać się, czy da sobie w życiu radę sama. Za mąż wyszła mając lat dziewiętnaście. Teraz próbowała sił w ceramice artystycznej. Miles nie traktował jej poważnie, a nawet z niej kpił. Twierdził, że to zwykła poza, na którą sobie może pozwolić dzięki alimentom wypłacanym przez męża. Laura podejrzewała jednak, że Miles po prostu uważał Nell za osobę wywierającą na nią zły wpływ. Ze swego punktu widzenia miał zapewne rację. Tak długo jednak były przyjaciółkami, że Nell zasłużyła sobie na nietykalność.

Poza tym Laura nie uznawała poglądów, że przyjaźnić można się tylko z osobami kierującymi się w życiu normami moralnymi takimi samymi jak nasze. Uważała, że rzeczą bardzo ważną jest nie dopuścić do ograniczenia swoich horyzontów myślowych, do ciasnego dogmatyzmu, co niekiedy, tak się im przynajmniej zdawało, obserwowała u Milesa.

Weekend, na który wyjechała, znowu okazał się słoneczny. Nicky był zaproszony do swojego przyjaciela, a Miles w sobotę rano miał zebranie, po południu zaś golfa. Obiecała wrócić w niedzielę wczesnym popołudniem. Mieli między sobą cichą umowę co do jednej czy dwóch nocy na rok spędzanych u Nell.

Już w chwili, gdy dostrzega Nell, przykucniętą przed domem i sprawdzającą swoje ustawione rzędem garnuszki, Laura pragnie opowiedzieć jej o Martinie. Nell ma na sobie czarne

błyszczące spodnie i opięta

trykotową bluzeczkę, wyzywający uniform, w którym od czasu rozwodu pozuje na artystkę. Laura przypuszcza, że jest to tylko maniera, zupełnie bowiem nie może pogodzić obrazu obecnej Nell z niepozorną i nieśmiałą uczennicą, a później dorastającą dziewczyną, którą tak dobrze znała.

Wie, że wiele osób sądzi, iż ten nowy styl jest odbiciem prawdziwej natury Nell. Może przekonana jest o tym także ona sama, lubi bowiem przechwalać się swoimi romansami.

Ledwie wysiadła z samochodu, usłyszała okrzyk przyjaciółki: - Wszystko pęknięte! W tym samym miejscu, wzdłuż warstwy gliny. Cholera, muszę się napić!

Od czasu rozwodu Nell zaczęła także kłąć. Razi to Laurę bardziej niż jej ubiór i swoboda obyczajów. Przypuszcza, że jest to reakcja wywołana klasztornym wychowaniem. Laura jest nawet lekko zażenowana z tego powodu, próbuje ukryć pojawiającą się na twarzy surowość, której nie może opanować. Całują się na powitanie. Nell ma burzę rudych, farbowanych henną włosów. Małe okrągłe czarne oczy i zadarty nos. Nie maluje się. Jej twarz niewiele się zmieniła od czasów szkolnych. W czasie trwania małżeństwa przez jakiś czas ubierała się i zachowywała jak kobieta dystygowana, nawet jak matrona.

Obecnie rzadko używa

grzebienia i przestała golić nogi. Laura toleruje to wszystko, łącznie z obcisłymi spodniami, uważa, że jest to rodzaj pantomimy.

- Jak cudownie znowu znaleźć się tutaj! Jaka swoboda! - Z głębokim westchnieniem Laura zrzuca płaszcz i bierze z rąk Nell kieliszek czerwonego wina.

- Zawsze ci to powtarzam - oświadcza Nell wyprowadzając

Laure przed dom - że ze wszystkich osób, jakie znam, najbardziej więzienny tryb życia pędzisz ty.

Jest to prawda, ale normalnie Laura albo puszcza takie uwagi mimo uszu, albo podejrzewa, że Nell wygłasza je z zazdrości o jej udane małżeństwo. Nigdy nie przykładała wagi do buntowniczych kazań Nell na temat wolności osobistej. Obecnie jednak stwierdza, że sama już patrzy na swoje życie jak na rodzaj więzienia i zaczyna się nad nim zastanawiać. Uprzedzając domyślność Nell, wyjaśnia: - Praca Milesa przesądza sprawę, musimy mieszkać w Londynie.

- Nie tylko Londyn miałam na myśli - mówi Nell. Nie rozwija jednak tego tematu. Leży na trawie i przygląda się niebu. Laura chciałaby zrobić to samo, ale ma na sobie jasną bluzkę, a trawa jest wilgotna.

- Zdumiewające, jak ważne wydają się obowiązki, dopóki się nie machnie na nie ręką - mówi Nell, ciągle zapatrzona w niebo.

Laurze przechodzi przez myśl,

że jest to ten rodzaj uwagi,
który Milesa doprowadza do
furii. Zwyczajnie świadczy o
głupocie. - Swoje obowiązki
wybierałam sama - oświadcza. -
Lubię, kiedy Nicky jest w domu.
Nie chcę posyłać go do
internatu.

- Docinki, docinki. - Nell
siada i przygląda się szeregowi
garnków. - Wiesz, gram zucha, ale
tak naprawdę czuję się bardzo
przygnębiona. Po pierwsze,
tworzą mi się żylaki. Wyobrażasz
sobie coś podobnego? Trzydzieści
pięć lat i żylaki. Po drugie,
Lyndon - pamiętasz Lyndona, to
ten młody chłopak, właściciel
pola kempingowego, z którym
miałam romans - rzucił mnie dla
innej. Po trzecie, i to jest
najgorsze, popękały wszystkie
moje garnki!

- Jesteś pewna, że to nie
twoje nogi popękały, a żylaków
dostały garnki? - Laura śmieje
się z nieszczęśliwej miny Nell.
W końcu decyduje się także
rozciągnąć na trawie. Teraz ich
rozmowa wchodzi na normalne
tory. Nell, mimo że układa sobie
życie dbając wyłącznie o własną
wygodą (jak to widzi Miles),
zawsze ma co najmniej tuzin
fascynujących problemów zarówno
z dziedziny duchowej, jak
zdrowotnej, z których lubi
zwierzać się przyjaciołom. Mimo
ich długoletniej przyjaźni Laura
wcale nie pochlebia sobie, że
jest jedyną powiernicą Nell;
wie, iż Nell bardzo rzadko
bierze sobie jej rady do serca.
Ta świadomość pozwala jej nie

przejmować się zbyt głęboko tym, co w opowiadaniu Nell zdaje się najbardziej rozdzierać duszę.

- Kiedy odszedł Lyndon? - pyta beztrioskim tonem.

- O dziesiątej.

- Masz na myśli dziesiątą rano? Dzisiaj?

- Właśnie.

- Więc może wróci.

- Nie o to chodzi. Spotkał mnie z jego strony afront.

Powiedział mi o tej dziewczynie, którą u siebie zatrudnia, a której biust nie mieści się nawet w przyczepie kempingowej.

Po raz pierwszy Laura zastanawia się, co właściwie Nell czuje do Lyndona czy innych kochanków. Czy na jego widok drżą pod nią nogi i dostaje wypieków na twarzy?

- Kochasz Lyndona? - Demaskuje się sama przed sobą, jednocześnie przerywając potok słów Nell.

Nell wydaje się zachwycona, że może zająć się roztrząsaniem takiego emocjonującego pytania.

- Moja miłość do Lyndona jest czysto fizyczna. Wszystko zaczęło się od eksperymentu.

Nigdy dotąd nie uprawiałam miłości czysto zmysłowej.

- Czy... czy... - Laura próbuje opisać swoją reakcję na każdy kontakt z Martinem tak, żeby nie zdradzić się przed Nell. - Czy w jego obecności masz świadomość samej siebie? - Brzmi to blade nawet dla uszu Laury. Dodaje zatem: - To

znaczy, świadomość własnego ciała.

Nell nie słucha jej zbyt uważnie. - Co do mnie, uważam, że eksperyment udał się znakomicie, na nieszczęście jednak on uznał za stosowne wprowadzić do gry tamtą dziewczynę. Po dziecinnemu chce wywołać we mnie zazdrość.

Laura przestaje słuchać zastanawiając się, czy mogłaby poważnie mówić z Nell o Martinie. Uświadamia sobie, że zorganizowała ten weekend wyłącznie z tego powodu. Wyobrażała sobie, że będzie jej bardzo łatwo napomknąć o nim w rozmowie. Może później, wieczorem, kiedy przeholują trochę w picciu wina, mogłaby powrócić do tej wzmianki, rozbudować ją i zapytać Nell o zdanie.

Teraz jednak, kiedy jest sam na sam z Nell i jej romansami, widzi, jaka przepaść otworzyła się między nimi. Przyzwyczała się traktować Nell pobłażliwie, podkreślając własną wyższość. Uważała siebie za kobietę silną, która osiągnęła w życiu sukces, Nell zaś była w jej oczach kimś dzielnym, ale zagubionym i przegranym. Jeśli ujawni przed Nell obecne rozterki, zrobi to kosztem swojej pozycji, zniżając się do jej poziomu.

Nadal jednak nie może uwierzyć, żeby można było było porównywać to, co czuje do Martina, ze stosunkiem Nell do Lyndona. Duma. Czy musi wyrzec się dumy? Czy z szacunku do samej siebie?

- Umieram z głodu - mówi Nell. - Zrobiłam ogromną porcję baraniego gulaszu z kartoflami i cebulą. Pomyślałam, że możemy go jeść przez cały weekend. Odgrzewany ma smak jeszcze lepszy.

Laura wybucha śmiechem. Właśnie na tej płaszczyźnie zazdrościła Nell jej swobodnego życia.

Jest późno. Laura i Nell śpią w tym samym pokoju, zupełnie jak dwadzieścia lat temu w internacie. Nell siedzi na łóżku z nogami skrzyżowanymi po turecku. Ma na sobie długą trykotową koszulę w paski z krótkimi rękawkami, na nosie okulary w za dużej oprawce. Nowością są u niej te okulary i kształt opadniętego niżej biustu rysujący się pod cienką dzianiną. Laura stojąc w maleńkiej łazience rozsmarowuje krem po twarzy i szyi. Ma na sobie białą nocną koszulę. Woła: - Zawsze cię chciałam o to zapytać. Jak się czułaś, kiedy zdradziłaś Joego po raz pierwszy?

Nell odkłada broszury Ligi Ochrony Kultury Rolnej gestem świadczącym, że nie ma zamiaru znowu po nie sięgać.

- Nie był to jakiś nagły skok w rozpustę. Dziwne było raczej to wszystko, że tak długo byłam Joemu wierna. Przypuszczam, że to z powodu dzieci. Kiedy za niego wychodziłam, byłam w ciąży, po dwóch latach urodziłam Setha, a potem zaczęłam się źle czuć. Poroniłam. Prawdę mówiąc, poczułam pociąg fizyczny do Joego, czy w ogóle do mężczyzn, dopiero po jakichś czterech, może pięciu latach małżeństwa.

Joe był zadowolony, kiedy się z kimś przyjaźniłam, również z mężczyznami. Nie chodziło mu pewnie o to, żeby to był zaraz romans, ale zażyłość o podobnych cechach. Dużo czasu upłynęło,

całe lata, zanim się zorientowałam, że Joe zawsze miał kogoś poza mną. Pewnego razu uświadomiłam sobie, że byłabym całkiem śmieszna mówiąc "nie". W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie miałam skrupułów religijnych. Często wychodziłam z domu, umawiając się na lunch z jakimś młodym, interesującym znajomym; bywało, że z nieco starszym. Zawsze piliśmy, zdarzało się, że za dużo, i łóżko było pewnego rodzaju zakończeniem zabawy. Naprawdę nikt tego nie brał poważnie. Po prostu było przyjemnie. Miałam potem lekki nastrój i wobec dzieci, i dla Joego. Nie pamiętam, jak to się stało po raz pierwszy. Nawet nie pamiętam, kto to był. Zapamiętałam ich razem, jako grupę pięciu, sześciu, może siedmiu. Naprawdę świetnie się bawiłam.

- Dlaczego się więc rozwiodłaś?

- Przez te wszystkie kłamstwa. Hipokryzję. Znienawidziłam to w końcu. Ale trwało to kilka lat. Kiedyś przychodzę na przyjęcie, a tam czterech moich kochanków. Z jednym z nich byłam w łóżku zaledwie kilka godzin wcześniej. A ja wchodzę wsparta na ramieniu męża, rozmawiam z nimi jak ze zwykłymi przyjaciółmi.

Istotnie byli właściwie tylko przyjaciółmi. Wiedziałam, że Joe musi się w podobnych sytuacjach czuć tak samo jak ja. Nagle zaczęło się we mnie wszystko buntować. No, może to za mocne określenie. Ale czułam się głupio, jak pionek w nic nie znaczącej grze. Przestało mnie to bawić. Ogarnęło mnie okropne przygnębienie. Nie wstydziłam się. Byłam zwyczajnie smutna. Przygnębiona. I wtedy postanowiłam się rozwieść. Kiedy to powiedziałam Joemu, wcale się nie zdziwił. Oczywiście musiał już wiedzieć o moich

romansach. Może nie wiedział, kim byli moi kochankowie, ale wystarczyło, że wiedział o ich istnieniu. Oświadczył, że tak czy inaczej nie ma nic przeciwko rozwodowi. Na zakończenie powiedział, że ma kogoś, z kim się prawdopodobnie ożeni. Ta jego obojętność przygnębiła mnie jeszcze bardziej, chociaż była dla mnie dowodem, że postępuję słusznie. Oczywiście małżeństwo się nie utrzymało. Znasz całą resztę. Ta wojna między nami i histeria. O dzieci. I o pieniądze. Przynajmniej okazało się, że nadal kochamy dzieci. I znów o pieniądze. Ale w rezultacie okazał się dość wspaniałomyślny. Tak czy owak mówię to usiłując uświadomić ci w odpowiedzi na twoje pytanie, że w życiu nie ma sytuacji jednoznacznych, czarnych lub białych. Człowiek się zwyczajnie ześlizguje. W małżeństwie także. Kiedy go pierwszy raz

zdradziłam? Kto to wie? I kogo to obchodzi?

Kiedy Nell przestaje mówić, Laura wychodzi z łazienki. Próbuje znaleźć w losach przyjaciółki jakieś analogie do życia własnego. Ale nie może doszukać się żadnego odpowiednika. Siada obok Nell na łóżku.

- Czy chcesz powiedzieć, że nigdy nie miałaś poczucia winy? Kiedy wychodziłaś za Joego, z pewnością chciałaś pozostać mu wierna. Bez względu na to, że, jak mówisz, byłaś w ciąży. Pamiętam, że miałaś do małżeństwa stosunek idealistyczny, wierzyłaś w jakieś zasady.

Nell obraca się do niej plecami.

- Chyba tak. Miałam wtedy głowę nabitą naiwnymi romantycznymi ideałami.

Laura widzi, że nie doprowadzi do rozmowy, która coś wniesie do jej własnych przeżyć, jeśli się

nie zdobędzie na większą otwartość.

- Musiał jednak zaistnieć taki moment, kiedy zdając sobie sprawę z pokusy wiedziałaś, że albo się jej musisz świadomie oprzeć, albo zdecydować się na ryzyko stopniowego, jak to określasz, ześlizgiwania się w grzech.

Słowo to wymyka się jej zupełnie nieświadomie. Grzech. Jest zdumiona sobą. Nikt z jej przyjaciół, nawet spośród grona katolików, nie posługuje się dzisiaj tym słowem. Może jedynie

w rozmowach z dziećmi. I to nieczęsto. Pozwala jej to z jeszcze większą jasnością pojąć, że jej miłość, pożądanie, jakie w niej wzbudził Martin, jest prawdziwym grzechem w dawnym rozumieniu. Grzechem śmiertelnym, czystym złem prowadzącym ją do zguby. W świetle moralności lat osiemdziesiątych może to być błahostka, coś, o czym mówiła Nell, ale dla niej samej zawsze pozostanie grzechem. Pamięta lekcje katechizmu z dzieciństwa. "Unikać okazji do grzechu". Szukać okazji do grzechu znaczyło tyle, co ten grzech popełnić. Nie wolno jej już spotykać się z Martinem.

Tymczasem reakcja Nell na "grzech" jest zupełnie inna, niż się Laura spodziewała. Nie jest ani zdumiona, ani speszona, po prostu zamilkła. W końcu dobiega jej szept: - Są takie chwile, kiedy chciałabym wierzyć we wszystkie prawdy głoszone przez Kościół katolicki. Życie stałoby się znacznie łatwiejsze. Jesteś naprawdę szczęśliwa, zapewniam cię.

- Niestety, tak nie jest. -

Laura podnosi się z łóżka.

- Mam na myśli to, że jestem bardzo marną katoliczką. Z bardzo giętkim sumieniem. Od lat używam środków antykoncepcyjnych, a u spowiedzi

nie byłam od czasu ślubu. Do Kościoła chodzę tylko w niedzielę i tylko dlatego, że to lubię. Mówiąc szczerze, też nie zawsze.

- Wydaje mi się jednak, że jesteś katoliczką - upiera się Nell. - Nie jesteś jak inni, którzy trzymają się zasady, że wszystko wolno.

- Nie wiem, jakich zasad ja się trzymam - Laura jest do głębi zakłopotana. - Wiem tylko, że w tej chwili niemal dramatycznie opieram się pokusie, by pójść do łóżka z młodym człowiekiem, zupełnie przeciętnym i nawet niezbyt przystojnym.

No więc nareszcie bomba pękła. Ta przerażająca bomba, z którą nosiła się z takim drżeniem serca. Lecz teraz, gdy już wybucha, okazała się, bladym fajerwerkiem.

- Więc jednak! - Nell wybucha śmiechem. Jest wyraźnie odprężona zmianą - tak Laura przynajmniej sądzi - tonu tej poważnej rozmowy. - Czy to ktoś, kogo znam?

- Zrozum. To sprawa poważna - oponuje Laura. - Na sam jego widok drzę na całym ciele.

- Z radością widzę, że cię przynajmniej stać na ludzkie uczucia.

- Mogłaś w to wątpić?

- Nie chcesz mi powiedzieć, kto to jest?

- Oczywiście, że nie. Za dużo papłasz na prawo i lewo. Pamiętasz, jak nam nakazywały zakonnice, żeby unikać okazji do grzechu? Tak właśnie robię. Utrwałam się w postanowieniu, że go więcej nie zobaczę.

- Co ty mówisz! Jesteś jak dziecko. Jeśli masz zacząć stronić od każdego pociągającego mężczyzny, to idź do klasztoru albo może noś czarczaf.

Laura dobrze wie, że nie chodzi tu o każdego pociągającego mężczyznę, ale

uwaga ją rozśmiesza. Śmieje się swobodnie. - A jednak było coś w tym, co mówiły zakonnice.

Posłuchaj, jeżeli on zaprasza mnie na obiad, a ja to zaproszenie przyjmuję, to tak, jak gdybym mu powiedziała, że się z nim chcę przespać. No, nie tak?

- Jesteś niemożliwa! Nie wiesz, o co uporczywie walczy Ruch Kobiet? Kobieta może przy mężczyźnie robić, co jej się podoba, nawet strip_tease, co wcale nie oznacza, że się z nim przespać.

Laura czuje, że próba przekazania Nell, o co jej chodzi, spełzła na niczym. Nie chciała powiedzieć, że przez przyjęcie zaproszenia na obiad czułaby się zobowiązana do pójścia z kimś do łóżka, ale że to by nieuchronnie do tego doprowadziło. Natomiast spostrzega, że cały problem wydaje się mniej groźny, odkąd ujrział światło dzienne.

- Tak czy inaczej - dodaje Nell - nie mam wielkiego szacunku dla zasad moralnych, które nie wytrzymują próby przygodnego obiadu z podniecającym mężczyzną. Za to widzę, że w Lidze Ochrony Kultury Rolnej spotykasz stuprocentowych mężczyzn. Zwalistych, zdrowych rolników, nie zepsutych przez wielkomiejski tryb życia.

Laura spostrzega, że przez jej niechęć do opowiedzenia całej prawdy rozmowa znowu schodzi na niewłaściwe tory. Naturalnie, że

często w czasie dziesięciu lat trwania swego małżeństwa spotykała ciekawych mężczyzn, orientowała się, że budzi zainteresowanie, i nawet do pewnego stopnia odwzajemniała te sympatie, zanim je całkowicie w sobie przewyciężyła. Ale nigdy dotąd nie doznawała takich uczuć, jakie wzbudził w niej Martin. Ogarnięta wewnętrzną

paniką widzi, że to, co do niego czuje, nie jest zmysłowym pociągiem. Przypomina raczej wszechogarniającą miłość, jaką żywi do syna.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, instynktownie czuje, że musi zmienić temat rozmowy. Co Nell może wiedzieć o miłości?

- Jestem zmęczona - oświadcza, usiłując zewnąć. - Mówienie o mojej sympatii, której trudno się oprzeć, doprowadziło do tego, że on wydaje mi się wręcz nieciekawym. Czy można traktować serio kogoś, kto mówi "super" i nosi półbuty ze sznurowadłami?

Nell wybucha śmiechem. - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że mówisz poważnie - odpowiada i Laura wie, że to jest prawda. Nell patrzy na nią jak na posąg Madonny. - Idziemy spać. Zaplanowałam na rano czterogodzinny spacer.

Wracając do Londynu, Laura prowadzi samochód powoli. Jest zmęczona włóczęgą po wrzosowiskach, ale istotniejsze jest to, że czuje lęk przed przybyciem do miasta. Dawniej zazwyczaj cieszyła się z każdego

powrotu do domu, była szczęśliwa,
że przytuli Nicka, zobaczy
Milesa i wróci znowu do swego
uporządkowanego trybu życia.
Teraz jednak patrzy na swój dom
jak na pole bitwy. Zwrot "okazja
do grzechu" ciągle zaprzęta jej
umysł. Przychodzą jej do głowy
szalone pomysły, takie jak
wyjazd na urlop czy
przeprowadzenie się do innego
domu. Zastanawia się nawet, czy
nie rzucić pracy. Pamięta, że
Martin dzwonił do jej biura.
Pamięta wszystko, co
kiedykolwiek o niej mówił, i
odtwarza w pamięci każde przez
niego wypowiedziane słowo.
W czasie tej długiej jazdy
przechodzi przez rozmaite stadia
stanów emocjonalnych. Od
gorączkowego podniecenia na

wspomnienie jego szeptu w ucho
w czasie deszczu i potem na
polu, kiedy ją chciał pocałować,
do żalostnego przygnębienia na
myśl, że w czasie obiadu
zajmował się nią tak mało. Tutaj
przypomniała sobie nagle, że
przecież nie wysłała do niego
podziękowania. Dla takiej osoby
jak ona, która skrupulatnie
przestrzega punktualnej
grzecznościowej korespondencji,
jest to rzecz niesłychana,
wykazująca aż nazbyt jasno, jaki
zamęt spowodowała w jej
obyczajach fascynacja Martinem.
Co gorsza, stwarza to sytuację
dającą jej okazję do ponownego
nawiązania z nim kontaktu.
Okazję do grzechu. Okazję do
grzechu. Nie, przynajmniej tu
okaże stanowczość. Żadnych

bilecików z podziękowaniami.
Postanowione.

Ta decyzja pozwala jej w nieco lepszym nastroju podjechać pod dom. Dopiero teraz zauważa kwitnące wzdłuż ulicy goździki i drzewa ciągle jeszcze w wiosennej szacie świeżej zieleni. Pojawia się właściwa jej usposobieniu radość życia i kiedy otwiera frontowe drzwi, stać ją już na okrzyk "Nicky! Nicky!" Całkiem naturalnym, swobodnym tonem.

- Jeszcze nie wrócił. - Na schodach pojawia się Miles. Jest blady, wygląda na zmęczonego. Ociera oczy i odchrząkuje. - Zdaje się, że mam lekką grypę.

Laura czuje nagły przypływ odrazy. - Biedaczek. Kiedy to się zaczęło?

- Wczoraj. Nie telefonowałem, bo nie chciałem ci psuć dobrego nastroju.

Laura niesie walizkę na górę. RzUCA okiem na ubranego Milesa.

- Nie położyłeś się do łóżka?

- Wstałem, żeby pójść po gazety. Potem położyłem się na łóżku nie rozbierając się.

Laura nie może powstrzymać cisnących się myśli. Pierwsza,

jaka się nasuwa, to że lepiej przeżywać męki nie spełnionego uczucia, aniżeli ugrzęznąć w marazmie zacnej starości. Miles wygląda bardzo staro. Teraz przypomina sobie, że często zastaje go w złym stanie właśnie wtedy, kiedy wraca od Nell.

- Wyglądasz cudownie.
Miałyście tam słońce? - Miles już zaczyna wyglądać lepiej.

Laurze przebiega przez głowę następna myśl, coś, na co nigdy dotąd nie wpadła. Czyżby źródłem jego sił żywotnych była ona, jej optymizm, i energia? Czyżby przywarł do niej jak zgorzkniały bluszcz oplatający silne drzewo o zdrowych liściach? Ależ to wprost śmieszne. Jest silnym, apodyktycznym mężczyzną, mającym wzięcie adwokatem. Zarabiającym na dom. Inteligentnym, interesującym. Coraz bardziej apatycznym.

- Tak. Spaceorwałyśmy dziś rano przez cztery godziny i przez cały czas świeciło słońce. Gdzie jest Nicky?

- Przyprawdzą go o szóstej. Laura zabiera się do rozpakowania walizki, starając się jakoś odbudować kruchą powłokę swego szczęścia. Miles siedzi na łóżku i przez pewien czas ją obserwuje. Normalnie jego obecność przy niej, jego podziw i miłość działają na nią kojąco, ale dzisiaj chce być sama. W pewnej chwili, wyczuwając zapewne jej niezadowolenie, Miles schodzi na dół.

Wkrótce potem wraca Nicky, więc Laura biegnie do niego i czule huśta go w ramionach.

- Jeździliśmy dżipem i pozwolono mi usiąść za kierownicą, i wtedy wjechaliśmy do strumienia.

Przy kolacji Miles, który nie objawia braku apetytu, wyraża oburzenie, że Nicky ciągle jeszcze ssie palec. - Jest już po prostu za dużym chłopcem!

Laura uśmiecha się nie podejmując dyskusji. Z wyjątkiem wyboru szkoły, Miles pozostawił wychowanie Nicka całkowicie w jej rękach, nie widzi zatem powodu, dlaczego miałby się nagle wtrącać. Musi sobie na to przynajmniej zasłużyć. - Powinieneś go czasem zabrać do sądu. Pokazać mu, gdzie pracujesz. Starać się poznać go lepiej.

Miles chłodnym wzrokiem wpatruje się w swój kieliszek. - Osobom poniżej lat trzynastu wejście na salę sądową jest wzbronione.

Laura czuje się jak nie mający o niczym pojęcia głuptas. Po dłuższej ciszy, w czasie której kończą jeść, podchodzi do Milesa i całuje go. - Przepraszam - mówi. - Przecież wiem, że nie masz czasu dla Nicka. Będę się musiała zabrać do tego paluszka.

Miles wydaje się zadowolony. Otacza ją ramieniem, przyciąga bliżej i sadza na kolana. Wsunąwszy dłoń pod spódniczkę, kładzie ją na jej udzie. - Zostawmy to zmywanie Marii.

Laura czuje, jak gorąca jest ta dłoń, czuje jej ciężar i przymyka oczy. Ręka wędruje w górę nogi. Przytuleni, objęci ramionami, idą na górę do sypialni.

Vii

Następny dzień jest pochmurny i ponury. Laura wstaje z przeświadczeniem, że jest chora, chociaż nie może określić, co jej dolega. Może Miles rzeczywiście przechodził jakąś infekcję i zaraził z kolei ją? Po śniadaniu bierze prysznic i

wkłada swoją ulubioną sukienkę.
Nie ma siły upiąć włosów jak
zwykle z tyłu i zostawia je
opadające na policzki. Nie ma
siły zastanawiać się nad

możliwością popełnienia grzechu
i przynajmniej to stanowi pewną
ulgę.

Laura wierzy w przewagę ducha
nad materią. Jeśli ciało jest
słabe, duch musi być podwójnie
silny. Wobec tego pracuje w
biurze ze zwiększoną energią.

Wychodzi z pracy, zanim
dobiega pierwsza. Wprawdzie ból
głowy nie ustępuje, ale
rekompensuje go zadowolenie z
wykonanej roboty. Po kilku
godzinach koncentracji czuje się
jednak słaba i dziwnie nieswoja.
Idzie chodnikiem nie zważając na
padający kapuśniaczek, prawie
nie zdając sobie sprawy, dokąd
właściwie zmierza. Wie, że
powinna coś zjeść. Z drugiej
strony, skoro udowodniła sobie,
że stać ją na przeciwstawienie
się chorobie, mogłaby sobie
pozwolić na pójście do domu i
do łóżka. Tylko musi jeszcze
kupić płatki kukurydziane,
papier toaletowy i kawę.

Mimo deszczu idzie przed
siebie, nie zastanawiając się,
dokąd. Dochodzi do miejsca,
gdzie dwie duże ulice krzyżują
się naprzeciw parku. Co teraz
robić, przejść przez targ do
domu czy skręcić w lewo, pójść
na lunch i wrócić do biura? A
może skręcić w prawo, tam gdzie
jest sklep obok sklepu, i kupić
sobie sandałki na lato? Jej
dziwny stan pogłębia się z każdą

chwilą.

Ulice w tym miejscu nie są zatłoczone. Znalazła się w pasażu między handlowymi pawilonami, w których panuje ożywiony ruch. Mija ją kilka osób. Ktoś zbliża się długim męskim krokiem. Dobiega ją głos:
- Przystanek na skrzyżowaniu ulic? Laura podnosi wzrok na stojącego przed nią Martina. Widzi jego szeroki uśmiech i parasol ze złamaną rączką, który trzyma nad głową. - Często się pani zatrzymuje spacerując w deszczu?

- Nawet nie zauważyłam - Laura próbuje otrząsnąć się z odrętwienia. Oto stoi przed nią mężczyzna, który opanował jej myśli od momentu, kiedy go poznała. Stoi tu, w tej chwili naprzeciw niej. Pyta, dlaczego zatrzymała się, mimo że pada. Jest wiele możliwych odpowiedzi.

Przypatrując się mu zauważa, że jest bardzo starannie ubrany, ma na sobie garnitur i krawat w szerokie pasy. Nie ma płaszcz. Laura stwierdza, że wygląda jak przedsiębiorczy amerykański handlowiec. Nie przestaje się uśmiechać, odsłaniając zachodzące na siebie, nierówne zęby.

Laura sprawdza swój puls, bicie serca, ale nie wyczuwa zmiany rytmu. Przynajmniej pod tym względem skutki jej odrętwienia okazują się błogosławione. A może jej nieprzytomna fascynacja zaczyna już mijać.

- Zastanawiam się, w którą

stronę mam pójść - odpowiada bez pośpiechu.

- To może ulituje się pani nade mną i pójdziemy na drinka?

- proponuje Martin. - Nie wierzę, żeby moknięcie na deszczu było jedną z pani przyjemności.

- A pan, dokąd pan idzie?

- Do domu. Wskoczyłem tylko na lunch. Lunch biznesmena. Mój samolot ma opóźnienie.

Dom. Laura rozgląda się. Szuka w pamięci, jak wyglądał jego dom. Zaraz jednak przypomina sobie, że na obiad zaproszeni byli do klubu. Przebiega po niej dreszcz na wspomnienie wzruszeń tamtego wieczoru. - Cudowny był obiad, na który nas pan zaprosił - mówi nadając głosowi oficjalne brzmienie.

- Niech pani pójdzie ze mną na drinka, dobrze?

- Gdzie? - Przychodzi jej na myśl, że przecież postanowiła go więcej nie widywać. Dlaczego

uznała to za takie ważne? Przecież jej drugie śniadanie czy drinki z mężczyznami są niemal codziennością? Pomimo to, jeśli on odpowie: "do mnie", odmówi. Nie analizuje motywów.

- Do Garden Hotelu.

- Zgoda.

Ruszają przed siebie. Deszcz przestał padać i Martin składa parasol. Laura nie ma ochoty rozmawiać. Nie czuje się ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa. Czuje się po prostu daleka od tego, co się dzieje.

Martin mówi akurat tyle, żeby zapadające milczenie nie

stwarzało napięcia. Raz, przy przechodzeniu przez boczną uliczkę, podtrzymuje ją za ramię. Laurze robi się gorąco pod tym dotknięciem, stwierdza jednak, że opanowanie jej nie opuszcza.

Dochodzą do Garden Hotelu. Jest to nowoczesny budynek na skraju parku. Martin obrzuca wzrokiem frontową elewację. - Może powinniśmy raczej pójść na lunch. Ale jeśli miałby to być lunch, to nie tutaj.

- Nie mam dużo czasu - mówi Laura. Chociaż naprawdę nie widzi wielkiej różnicy pomiędzy lunchem a drinkiem.

Martin obraca się i patrzy na nią. Bez słowa unosi dłonie do jej twarzy i odgarnia do tyłu mokre kosmyki włosów, które opadły jej na policzki. - Wygląda pani prześlicznie. Z tymi kroplami deszczu na włosach i zaróżowionymi policzkami.

Chociaż trwało to tylko chwilę, Laura nadal czuje delikatne, dotknięcie jego dłoni. Odgarnięte przez niego włosy nie opadają ponownie. Jednym gestem usunął na bok ochronny pancierz, jakim był jej poprzedni nastrój. Czuje, że dostaje wypieków, że krew szybko płynie w żyłach, ból głowy tętni w skroniach, a ręce drżą. Pójście na lunch czy choćby na

drinka jest teraz niemożliwe.

Patrzy na niego przestraszonym, błagalnym wzrokiem. - Nie mam ochoty na drinka. Robi się późno. Nie powinnam w ogóle nic pić.

- Jest pani dzhisiaj drugą osobą, która mi odmówiła swego towarzystwa. Nie może pani tego zrobić.

Laura waha się. Jeśli odmówi, mógłby się domyślić istotnego powodu. Dlaczego dopuściła do tego, by sprawy zaszły tak daleko? Przypomina sobie, że jest przecież chora.

- Niezbyt dobrze się czuję! - wykrzykuje resztkami sił.

Martin podchodzi bliżej. Obejmuje ją w pól i prowadzi do hotelu. Opuściwszy głowę, Laura przestaje się bronić. Zastanawia ją, jakim cudem on nie odgaduje, co się z nią dzieje.

- Stanowczo potrzebny pani drink.

Idą do małego baru, dyskretnie oświetlonego i wyłożonego grubym dywanem. Martin przynosi dla niej kieliszek sherry. Jej samopoczucie poprawia się natychmiast. Zdejmuje przemoczony płaszcz, szczęśliwa, że ma na sobie ładną suknię. Oddycha głęboko, zakładając nogę na nogę.

- Czuję się fatalnie - mówi.

- Bardzo się napracowałam od rana.

- Ale teraz jest już pani lepiej. - Martin siedzi troskliwie w nią wpatrzony, w taktownej odległości. Laura zaczyna się odprężyć. Potrafi nawet patrzeć na Martina i widzieć w nim młodego mężczyznę, jakich wielu. Znowu głęboki wdech.

- Czy ta praca to dla Ligi Ochrony Kultury Rolnej? - pyta.

- Szczęśliwe traktory.

Laura zaczyna mu szczegółowo tłumaczyć problem starych spichlerzy i obór.

- Przyniosę pani jeszcze jeden

kieliszek sherry. - Wstaje.

Laura pochyla się do przodu z zaczepnym wyrazem twarzy. Uznaje, że agresywna mina dobrze maskuje jej stan emocjonalny. - Te sprawy nie powinny być panu obojętne.

- Ależ ogromnie mnie to wszystko obchodzi, niech mi pani pokaże jakąś robotę ziemną, zobaczy pani, że się rozplączę.

Wbrew chęci Laura rozchmurza się nieco. Martin wraca z drugim piwem dla siebie i sherry dla niej. Laura nie ma na ten kieliszek ochoty, ale nic nie mówi. Martin rzuca okiem na zegarek. Spostrzeżenie to nieoczekiwanie przeszywa ją bólem. Czyżby go nudziła?

- Muszę koniecznie coś zjeść - oświadcza Martin. - Jeśli do drugiej moje usta nie dostaną porcji węglowodanów, zamieniam się w wilkołaka.

Laura śmieje się z uczuciem ulgi, ale na nowo przerażona. Postanawia, że nie pójdzie z nim na lunch. - Piwo zawiera bardzo dużo węglowodanów.

- Spodziewam się, że pani wie, czym się żywią wilkołaki? Pięknymi kobietami, których mokre włosy pięknie się wiją.

Pomimo zamętu w głowie Laura dostrzega śmieszny kokietyjny ton tej odpowiedzi. Nie panuje dłużej nad swoim ciałem.

Pozbawiona wsparcia w postaci bojowniczej obrony rolniczej schedy, która rozładowywała emocje, nie może powstrzymać rosnącego w niej napięcia. Ma dreszcze. Poca się jej dłonie.

"Okazja do grzechu". Zdanie to

pojawia się znowu w jej myślach.

- Zdaje się, że zemdleję. -

Nie jest to bynajmniej symulowanie. W oczach robi jej się coraz ciemniej i cały bar zdaje się pływać dokoła.

- Niech pani położy głowę między kolana. - Martin zrywa się na równe nogi. Staje nad nią.

Laura próbuje podnieść głowę.

- Pójdę lepiej do domu.

- Dobrze. - Martin obejmuje ją w pół i pomaga jej się podnieść. Wszystko w porządku. Choroba rozstrzygnęła problem.

Wychodzą z hotelu i szukają taksówki. Laura zaczyna się czuć nieco lepiej, ale nie zdradza się z tym. "Źle się czułam, wpadłam na ulicy na Martina, który mi pomógł dostać się do domu". Sytuacja miała całkiem racjonalne wytłumaczenie. W wyobraźni już widzi, jak powie o tym Milesowi wieczorem przy kolacji.

Podjeżdżają pod dom. Myślała, że kiedy jej dom się zmaterializuje, Martin rozplynie się jak we mgle. Nie mogła wyobrazić sobie domu i Martina jednocześnie. Ale nie, on ciągle jeszcze jest, pomaga jej wysiąść z taksówki i odprowadza pod same frontowe drzwi.

Laura szuka klucza. Znajduje go w końcu i wyjmuje jak królika z cylindra. Pomoc Martina nie jest jej dłużej potrzebna. Po jego twarzy przebiega skurcz żalu. Laura to spostrzega, jest zakłopotana. Skrepowana. Szczęśliwa. Odwraca

twarz w drugą stronę.

Martin ujmuje ją za ramiona. Nie patrzy na niego i kierując spojrzenie dalej, w bok, widzi, że pokazało się słońce. Smuga światła kładzie się w poprzek drogi, ale nie dosięga miejsca, gdzie stoją.

- Dziękuję panu i za drinka, i za odprowadzenie mnie do domu - ciągle nie patrząc w oczy wygłasza greznościową formułkę.

- Nie może pani tak po prostu zniknąć. - Jego głos brzmi inaczej. Jest zdławiony, wyższy niż zwykle. Laura słyszy zawarte w nim błaganie. Nie wolno jej się z tym zdradzić.

- Cóż, przepraszam - odpowiada z całym spokojem.

Martin nie zdejmuje rąk z jej ramion. Możliwość ucieczki jest tak łatwa, że może mu na to pozwolić.

Nagle on pochyla się i bez pośpiechu całuje ją. Gdyby to się stało w jakimkolwiek innym miejscu, zerwałaby się do ucieczki. Ale właśnie się rozstają, i to przed jej domem, bezpiecznym schronieniem, które czeka tuż za plecami.

Nie oddaje pocałunku, ale jednak pozwala się całować. Przychodzi jej na myśl, że oto po raz pierwszy od czasu ślubu pozwala się jakiemuś mężczyźnie całować w usta. Ogarnia ją przejmujący smutek. Jak tęsknota dziecka za rodzinnym domem. Mimo to nie odpycha go. Chce jej się płakać, czuje napływające do oczu łzy.

Jednocześnie delikatny napór jego warg na jej zamknięte usta sprawia, że ogarnia ją spokój, doznaje uczucia błogości. On ją kocha.

Kiedy Martin się odsuwa, patrzy na niego i cicho mówi: - Do widzenia.

Teraz on nie ma dość siły, żeby na nią spojrzeć. Próbuje się uśmiechnąć, ale to mu się nie udaje. Odwraca się i śpiesznym krokiem odchodzi.

Laura patrzy na niego, dopóki nie znika jej z oczu, potem wchodzi do domu i idzie na górę, żeby się położyć.

Jest już w łóżku. Czuje ponowny atak choroby. Jest jej gorąco, boli ją głowa, po kończynach przebiegają dreszcze. Próbuje czytać, próbuje zasnąć. Obraca się z boku na bok. W końcu kładzie się na brzuchu i zanurza twarz w poduszce.

Maria puka do drzwi i wchodzi, nim Laura zdążyłaby otworzyć usta. Słysząc rozrywanie i szelest papieru. Potem podniecony głos Marii: - Niech pani spojrzy, proszę popatrzeć. Kwiaty, jakich nigdy... Róże.

Tak dużo.

Laura nie chce na nie spojrzeć. To przekracza jej siły. Maria jednak nalega, podsuwa jej ten gigantyczny bukiet pod nos.

- Jest karteczka. Tyle ich jest, kto by je zliczył!

Laura czyta kartkę, chociaż wie doskonale, od kogo pochodzi. Myśli, że oto po raz pierwszy do niej napisał. Cała jej treść to:

"Proszę szybko wracać do zdrowia, Martin". Nic więcej. Konwencjonalna formułka. Pomimo to - jak wytłumaczy Milesowi te trzy tuziny czerwonych róż? Zbiera jej się na płacz i śmiech równocześnie.

Pocziwa Maria jest zaniepokojona. - Pani się chyba źle czuje.

- Nic. Nic. Proszę przyprowadzić Nicka.

Laura czuje, że ma coraz większą gorączkę. Chce, żeby Maria odsunęła wazon z różami nieco dalej. Nigdy nie lubiła kwaciarnianych róż, ich długich łodyg i ciemnych, sztywnych liści. Smutnych, odpychających, złowrogich. Ma wrażenie, że objęły panowanie nad jej jasną, przytulną sypialnią.

Przybiera sztywną pozycję siedzącą i mówi: - Bez smaku. Zupełnie bez poczucia smaku. - Śmieje się na tę myśl i Nicky, który wchodzi, żeby zapytać, czy może oglądać telewizję, staje zdziwiony.

Patrzy na nią, jakby dostała pomieszania zmysłów.

- Jestem chora - oświadcza Laura opadając na poduszkę.

Miles przychodzi do domu późno. Natychmiast idzie do niej na górę. Siada na łóżku i bierze ją za rękę. Laura odsuwa jego dłoń.

- Jestem taka rozpalona.

- Może ci przynieść coś do picia? Brałaś jakieś lekarstwa?

- Nie. Nic. Nic mi nie jest.

Potrzebny mi tylko odpoczynek. -

W jej głosie jest irytacja. Wie

o tym, wściekła na siebie. Czuje się z tego powodu jeszcze bardziej chora i rozpalona. - Coś do picia świetnie by mi zrobiło. Coś bardzo zimnego. Przepraszam cię.

Miles wie, jak ona nie znosi chorować, i pomyśli, że jest zła z tego powodu. Właśnie wstaje. Wchodząc do pokoju nie widzi nic poza Laurą zwinietą w kłębek pod kocami. Teraz patrzy zdumiony na piętrzącą się górę róż. Laura często kupuje kwiaty dla siebie, ale nigdy w takich ilościach.

Bierze do rąk leżącą obok kopertę, ale koperta jest pusta.

- Kto ci to przysłał? - pyta.

- Co? - Laura otuliła głowę kocem.

- Róże.

- Martin Keane.

- Kto?

- Martin Keane. Byliśmy u niego na obiedzie.

- Bardzo dziwne.

Miles wpatruje się w róże. -

Trzydzieści sześć. Trzy tuziny.

- Odprowadził mnie do domu.

Wpadliśmy na siebie na ulicy. -

Laura ma twarz całkiem schowaną i jej głos brzmi jeszcze bardziej niewyraźnie. - Jest tam gdzieś karteczka.

- Jakie to dziwne - powtarza Miles. - Musi być bardzo zamożny.

Laura lekko unosi głowę. -

Sądzę, że to już taki typ człowieka - oświadcza. Jej samej wydaje się to prawdopodobne, więc z pewnością i Miles osądzi go w ten sposób.

On jednak nie rusza się z miejsca. Laura ma oczy zamknięte, młoty w głowie, odgaduje wahanie Milesa. Czuje w sobie nagłe pragnienie, żeby wyskoczyć z łóżka i krzyknąć: "Ratuj mnie! Ratuj mnie! Zapytaj

mnie o niego! Pytaj, o co chcesz! Doprowadź mnie do ładu i spraw, żebym ci wyznała wszystko, co przeżywam. Zniszcz

tę idiotyczną miłość, zanim ona zniszczy nas!" Nie mówi jednak nic, bo w końcu całkiem możliwe, że prawdą jest właśnie to, co mu przed chwilą powiedziała. Spotkali się przypadkowo. Odprowadził ją do domu. Rozstali się. Ale pocałunek. Ten pocałunek. I jego wygląd pełen żalu, kiedy się żegnali.

Miles odwraca się od róż. Zdecydował się pogodzić z tym faktem.

Niemniej dochodząc do drzwi rzuca krytycznie: - Sądziłem, że nie znosisz kwiaciarnianych róż.

- Nie cierpię. Są wstrętne. -
Laura niemal krzyczy. - Mówiłam ci, że przysłał je Martin Keane. Skąd może mnie znać? Nie wie, że nie znoszę takich kwiatów. Zabierz je stąd. Po prostu je wyrzuć.

Miles naturalnie tego nie zrobił. Spokojnie zamyka za sobą drzwi.

Laura zaczyna płakać. Wyobraża sobie, z jaką czułością Martin wybierał te róże. Jeszcze brzmi jej w uszach własny okrzyk, że są wstrętne i że nie może na nie patrzeć. Oczyma wyobraźni już widzi na sztucznie sztywnych łodygach opadające pąsowe główki. Ciemnozielone liście zwisające bezwładnie, wszystko przemienione w pośmiewisko z piękna i szczęścia.

Kiedy Miles wraca ze szklanką soku cytrynowego, błaga go o

zabranie kwiatów i wyrzucenie ich do kosza na śmieci.

- Przyrzeknij, że to zrobisz!

- szlocha spazmatycznie. -

Przyrzeknij!

Laura miała gorączkę przez kilka dni. Jeszcze przez jakiś czas po jej ustąpieniu czuła się osłabiona. Miles był dla niej bardzo dobry. Wyglądało na to, że jej przymusowe uwięzienie w domu sprawia mu szczególną przyjemność. Nie zachęca jej do szybkiego powrotu do zdrowia.

Bez słowa skargi godził się na gotowanie i towarzystwo Marii. Kilka razy odprowadzał Nicka do szkoły bądź po niego wychodził. Przynosił kolację na górę, gdzie jadł razem z Laurą. Bez końca opowiadał jej o swojej ostatniej sprawie. Jego głęboki głos, powagą i harmonią zdradzający adwokata, kojąco wibrował nad jej głową. W nocy trzymał ją w ramionach.

Kiedy gorączka ustąpiła, Laura nie pozwalała sobie na świadome myślenie o Martinie. Nie mogła jednak panować nad swymi snami. Były tak długie i intensywne, że drżała, by się kiedyś nie oddać Milesowi, by wymawiając głośno imię Martina.

W szóstym dniu jej choroby kochali się z Milesem. Laura przyjęła inicjatywę Milesa, przepelniona wdzięcznością za dobroć, jaką jej na każdym kroku okazywał. Nie dopuściła do tego, by dla wzbudzenia w sobie większej namiętności posłużyć się obrazem Martina. Wiedziała,

że Miles był uszczęśliwiony.
Często podejrzewała go o to, że
woli, kiedy ona jest stroną
całkowicie bierną.

Na czas rekonwalescencji
pojechała do Katie. Wzięła z
sobą Nicka, gdyż był to okres
ferii szkolnych. Zastali tam
także Lizzie, która ciągle
jeszcze nie miała pracy. Byli
więc całą gromadką, taką samą
jak wcześniej tego roku.

Żonkile przekwitły, ale były
tulipany i róże, które zaczynały
pokrywać stare mury domu
różowymi i żółtymi plamami. Z
okna swojej sypialni Laura miała
widok na dach szopy, przykryty
pnąciami klematisu niby welonem
usianym kwiatami. Stała i
patrzyła na nie każdego ranka
przy ubieraniu. Zdumiewało ją to
zjawisko. Takie piękno i
doskonałość rzucone na zwykłą
szopę, beztrosko obojętne na to,
czy je ktoś zauważy, czy doceni.

Czasem robiło jej się smutno,
niekiedy jednak myślała, że to
wspaniałe.

- Dlaczego tak troszczymy się
o nasze stosunki z innymi? -
powiedziała do Katie pewnego
wieczoru. - Dlaczego nie możemy
po prostu być sobą, żyć?!

- Właśnie to jest w tobie
takie niezwykle - westchnęła
Katie. - Wszyscy wpadają w
jakieś tarapaty z wyjątkiem
ciebie. Ty jesteś zawsze taka
zdecydowana, wiesz, czego
chcesz.

- Naprawdę robię takie
wrażenie? - Spojrzała na swoje
stopy. Miała na nogach sandałki,

z których wystawały jej długie palce, starannie pomalowane różowym lakierem.

- Masz wszystko. Męża, pracę, dziecko, urodę i pieniądze. Trzeba być w życiu zdecydowanym, żeby to wszystko mieć.

- A może mam po prostu szczęście? - Laura pomyślała, że przeżywa największy kryzys w swoim życiu i nikt tego nie zauważa. Jednocześnie nie omieszkała stwierdzić z satysfakcją, że paznokcie pokryte są lakierem z największą pedanterią. Może to jest właśnie definicja mocnego charakteru. Umiejętność pokrycia paznokci równą warstwą lakieru mimo silnego napięcia nerwowego.

W piątek dotychczasowa chłodna pogoda zmieniła się nagle, przynosząc falę majowego upału. Laura i Lizzie przygotowały, co trzeba, i wyruszyły z dziećmi na jednodniową wycieczkę nad morze.

Na miejsce dojechały około południa, odległość wynosiła bowiem dwadzieścia mil. Plaża pokryta była kamykami, ciemna zieleń morza zdradzała, że jest głębokie. Białe grzywy fal rozpryskiwał północno_wschodni wiatr, którego przedtem nie odczuwały. Ale w górze na bezchmurnym niebie jaskrawo świeciło słońce. Dzieci

zrzuciwszy z siebie ubranka błagały, żeby zaprowadzić je do wody.

Laurze było zimno. Ciągłe od czasu choroby trzęsła się z zimna. Nie potrafiła się rozgrzać nawet na

najenergiczniejszym spacerze.
Toteż z ulgą i wdzięcznością
zobaczyła, że Lizzie ściąga
ubranie i biegnie w kierunku
morza.

Wszyscy wydawali się
bezgranicznie szczęśliwi,
podskakiwali odbijając się od
dna, rozpryskiwali wodę na
wszystkie strony. Jacy niewinni.
Laura zrobiła sobie z ręcznika
poduszkę pod głowę i okręciwszy
się swetrami wcisnęła się między
gładkie kamyczki plaży. Było
zaskakująco przyjemnie. Huk wody
i ludzkie głosy dochodziły z
wystarczająco dużej odległości,
by raczej koić nerwy, aniżeli na
nie działać.

Teraz, kiedy była osłonięta od
wiatru, nareszcie wydało jej
się, że słońce przygrzewa mocno.
Zamknęła oczy.

Kiedy je znowu otwiera, jest
pewna, że roi we śnie. Stoi nad
nią Martin, pod słońce trudno
dostrzec wyraz jego twarzy.
Ponieważ jest to sen, leży
nieporuszona, jedynie uśmiecha
się leniwie.

- Musi pani być tęższa, niż
można sądzić z pani wyglądu. A
może te kamyki ugięły się, może
są z gumy?

Do świadomości Laury dochodzi,
że to nie sen. Patrząc pod
słońce mruży oczy i trzepocze
powiekami.

- Jakim cudem pan się tu
znalazł?

- Przyjechałem z Johnem. Dzień
był taki piękny. Zdecydowaliśmy,
że darujemy sobie Londyn. Katie
wysłała nas tutaj. - Przykucnął.

Laura widzi teraz jego twarz
wyraźnie. Nie przybiera pozycji
siedzącej, czując, że nie
podjęła gry właściwie, więc

utrzymuje swoje zachowanie w konwencji snu. - Jest pan szczęśliwy, mogąc sobą swobodnie dysponować. - Prawie szepcze.

- Prawdę mówiąc zabiegam o potencjalnego klienta, który mieszka w tej okolicy. Mógłbym połączyć przyjemne z pożytecznym.

- To znaczy, że chce go pan odwiedzić?

- Tak. - Martin wyciąga rękę i delikatnie gładzi ją po rozgrzanej twarzy. - Moglibyśmy pojechać razem.

Laura podrywa się. - Jest tu mój syn - mówi szybko. - Nicky. Zdaje się, że nie widział pan Nicka...

- Widziałem. W tamtą niedzielę w ogrodzie u Johna.

- Tak, rzeczywiście. - Laura poprawia na sobie ubranie i przygląda włosy, ale nie wstaje, jak zamierzała. Widzi Johna na skraju wody. Johnny rozśmiesza dzieci udając, że zamoczy buty, i w ostatnim momencie ucieka przed falą.

- Nie możemy tak dalej postępować. - Napięty głos Martina ma to samo wysokie brzmienie, które Laura pamiętała z ich pożegnania przed domem.

- To znaczy jak? - pyta szeptem, czując, że robi jej się słabo.

- Myślę o tobie bezustannie. Dlatego właśnie przyjechałem z Johnem. Zadzwoiłem do niego z tą propozycją. Wiedziałem, że tu jesteś. Szpieguję cię. Chodzę za tobą. Kiedy byłaś chora, nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Bardzo cierpiałem.

Musisz być moja. Muszę być blisko ciebie. Musisz mi pozwolić tulić cię w ramionach. Nie mogę tego znieść, że mi nie wolno ciebie dotknąć.

Laura patrzy prosto przed siebie, ale poza tym nie robi nic, żeby powstrzymać potok tych słów. Wraca uczucie, że to sen.

Są to słowa, których najbardziej chce słuchać i których się najbardziej boi. Ma ochotę uśmiechać się, śmiać na cały głos, tańczyć dokoła z rękami wzniesionymi nad głową, rozpiera ją radość. Ale ma także ochotę cisnąć ręczniki, ściągnąć z siebie swetry i zagrzebać się głęboko w kamykach.

Kiedy Martin przestaje mówić, Zapada cisza. Wreszcie ona spokojnie oświadcza: - Ale ja jestem mężatką.

Martin chwyta jej dłonie. - Wiem. Wiem. Pojedź ze mną, ten jeden raz. Daj mi być z tobą choć przez godzinę, dwie. To wszystko. Pojedź ze mną. Teraz. Proszę cię. Proszę. To tak niewiele. Nie będę natrętny. Nikomu nie wyda się to dziwne. Z dziećmi zostają Johnny i Lizzie. Zwyczajnie jedź ze mną do wytwórni. Co w tym złego? Proszę cię, Lauro. Proszę.

Laura milczy. Nie spuszcza wzroku z idącego w ich kierunku Johna. Martin słyszy zgrzyt jego kroków na kamykach i puszcza jej rękę. Podnosi się.

- Namawiałem Laure, żeby pojechała ze mną do tego okropnego Leatherheada i oczarowała go w moim interesie.

Nie zajmie to dużo czasu. - Dla Laury głos Martina brzmi bardzo dziwnie, ale Johnny zdaje się tego nie zauważać.

- Założę się, że sprawiliśmy wam niespodziankę. - Szpera w stojącej obok torbie. - Jeśli oboje mnie opuszczacie, sam wypiję pierwszą szklaneczkę tego dnia. - Wyciąga butelkę białego wina i korkociąg.

Nieoczekiwanie dla samej siebie Laura wstaje. Nie patrzy na Martina. Idzie w kierunku morza i woła Nicka. - Odjeżdżam na chwilę. Będziesz grzeczny? Pamiętaj.

Nicky nawet się nie ogląda. Ochlapuje wodą piszczącą ze szczęścia Maddy.

Martin i Laura idą przez plażę do miejsca, gdzie Martin zaparkował samochód. Marsz po kamykach, powolny i niezdamny, następcza Laurze łatwą sposobność wycofania się. Ale mimo że pozostaje w tyle, jak dziecko nie chce się przed sobą przyznać, za kim idzie, i równym krokiem brnie naprzód z oczyma utkwionymi w umykające spod stóp kamyki.

Woli skupić uwagę na żwirze, aniżeli myśleć o tym, co robi.

Samochód Martina okazuje się kosztowny. Laura nie zna się na samochodach, ale poznaje to od razu. Ciemnozielony, sportowy, ale cztery siedzenia. Martin otwiera dla niej drzwi.

- Bardzo nagrany od słońca - stwierdza. - Opuszczę szyby.

Pochyla się obok niej. Laura czeka nie wchodząc do środka.

Ogląda się na plażę, ale sylwetki są za małe, żeby móc je rozpoznać. Przybyło tam teraz więcej osób. Wiatr się uspokoił i jest prawdziwy upał.

Martin usuwa się na bok i Laura wsiada do samochodu. Wsiada także Martin. Kładzie na jej kolanach złożoną mapę. - Jesteśmy w tym miejscu. - Wskazuje palcem. - A chcemy się znaleźć tam. Radzisz sobie jakoś z mapami?

Laura wychodzi ze swego transu. Oddycha z ulgą. Jadą w interesie. Kiedy stała przed chwilą w gorącym słońcu, doszła do wniosku, że nie ma żadnego pana Leatherheada. Pomimo to wsiadła do samochodu.

Cofając rękę znad mapy, Martin przelotnie dotyka jej dłoni. Przekręca kluczyki i samochód rusza.

Laura wraca do swych myśli i uznaje, że każda kolejna chwila to nowy krok na drodze małżeńskiej zdrady. Pochyla głowę nad mapą. Okazja do grzechu.

- Masz ochotę napić się

czegoś?

- Och, myślałam, że Johnny... Martin wskazuje ręką na torbę na tylnym siedzeniu. - Białe wino. Z lodu. Zawsze je wożę.

Teraz Laura myśli, że zaplanował to wszystko. A jednak kiedy na plaży wyznał jej miłość, wydawał się szczerze niepewny siebie, niemal przerażony, że ona może nie pojechać. Nie mogła to być przecież tylko gra. To

niemożliwe.

- Zdawało mi się, że masz dziewczynę? - odzywa się nagle.

- Mam - potwierdza Martin. -
Całe mnóstwo.

- Miałam na myśli jedną,
szczególną.

- Philippa. Nie jest tą jedną,
szczególną.

- Ach, tak.

- Związek z nią to rezultat
mojego lenistwa.

Laura zdaje sobie sprawę, że
pytając go dziewczyny, o tę
Philippę, stawia siebie na równi
z nimi. Podciąga się próbując
wyprostować plecy, co nie jest
zbyt łatwe na lotniczym
siedzeniu, i z uwagą przygląda
się mapie.

- Już niedaleko - oświadcza. -
Około pięciu, sześciu mil. Czym
się zajmuje pan Leatherhead?

- Robi podłogi sceniczne.
Koniecznie chce, żebym mu pomógł
przebić się z ofertą. Właśnie o
tym mam zamiar z nim rozmawiać.

- Nie mogę się zorientować,
czym się zajmujesz.

- Nikt z waszego pokolenia
tego nie rozumie. Zwłaszcza
kobiety.

- Dziękuję.

- To przecież przekomarzanie.

Przez następną milę czy dwie
jadą w milczeniu. Słońce piecze
Laurę w lewe ramię. Promienie
padają od strony morza, Widzi je
przez cały czas wzdłuż drogi,
zielone i połyskujące w słońcu.
Laura odczuwa pragnienie.

- Teraz napiłabym się z

rozkoszą.

- Czy mam się zatrzymać?

Patrzy na Martina. Po raz pierwszy, odkąd zgodziła się z nim pojechać. Wygląda, jakby mu było gorąco. Twarz ma czerwoną. Na czole pot. Ma na sobie dżinsy i trykotową koszulkę w kolorze khaki. Uderza ją nagle, że nie jest to strój, który może zrobić wrażenie na bogatym kliencie.

- Nie stawaj. Johnny nauczył mnie otwierać butelki z winem, kiedy miałam osiem lat. On miał sześć.

Martin zwalnia. Laura obraca się do tyłu, znajduje butelkę, korkociąg i dwa kieliszki.

Już ma nalewać, gdy Martin zatrzymuje samochód.

- Nie zatrzymuj się.

- Wydaje mi się, że przejechaliśmy naszą boczną drogę.

Laura podnosi z podłogi mapę.

- Ostrzegłam cię, że jeśli chodzi o mapy, jestem beznadziejna.

- Możemy przynajmniej spokojnie napić się wina.

Martin wychodzi z samochodu i czeka, aż Laura zrobi to samo, z kieliszkami i butelką. Dużymi krokami rusza w kierunku morza. Za szerokim pasem przydrożnej zieleni widać ścieżkę na plażę biegnącą przez zarośla i łąkę.

Laura waha się. Martin ogląda się za siebie. - Chodź, Chodź! Jest tu ścieżka!

Laura idzie za nim. Wmawia w siebie, że byłoby niegrzecznością i mogłaby go urazić, gdyby odmówiła. Idzie powoli i czuje, że mimo wszystko jak dziecko cieszy ją i słońce, i powietrze, i perspektywa napicia się zimnego białego wina. Co w tym może być złego? Jeśli Miles spadłby tu nagle z jakiegoś drzewa, uśmiechnęłyby się, pomachałyby mu ręką i

zachęciła, żeby się do nich
przyłączył.
Idzie teraz szybciej, wesoło

kołysząc butelką. Dogania
Martina na skraju ostatniego
poletka przed plażą.
- Tu będzie dobrze, prawda?
Na plaży nie ma żywego ducha,
mimo to Laura godzi się usiąść.
Trawa, morze i białe wino.
Ciągle trwa w przeświadczeniu,
że wszystko to jest całkiem
niewinne.

Siadają obok siebie. Trawa
jest wysoka i trochę wilgotna.
Laurze przypomina się, że tak
samo siedziała na trawniku u
Nell. Wtedy piła czerwone wino.

- Czy pan Leatherhead czeka
na ciebie?

- Nie umawialiśmy się
dokładnie. Mogę przyjechać o
jakiegokolwiek porze. Na przykład
o pierwszej.

- Zawsze planujesz dzień tak,
jak chcesz?

- Nie, nie zawsze.

- Kiedy zaprzyjaźniliście się
z Royem?

- W Cambridge. Przywykł do
wygłaszania swoich teorii
najpierw przede mną, a ja się
przyzwyczaiłem do ich
wysłuchiwania.

- Ogromnie go lubię i
podziwiam.

- Ja także. Jeszcze trochę
wina?

I tak, siedząc dosyć blisko
siebie, w sposób najzupełniej
naturalny prowadzą banalną
rozmowę. Lada chwila podniosą
się i pojedą dalej do tego
producenta podestów.

Laura czuje się bardzo dorosła. Tchórzostwem byłoby tu nie przyjść. Niemal promiennie uśmiecha się do Martina. Już widzi czekającą ją w przyszłości całą serię takich śniadań na trawie w słoneczne dni.

Nagle Martin kłeka. Wygląda śmiesznie o tej odwiecznej postawie pokornego błagania. - Lauro, proszę!

Wali się świat niewinnego szczęścia Laury. Oczy wzbierają łzami. Mocno zaciska dłonie na

pustej szklance. - Co mam robić? - wybucha. - Mam przecież męża! Kocham go. Kocham mego synka. Obaj mi ufają. Wierzę w małżeństwo. Nie powinnam była tu przychodzić. Nie powinnam była w ogóle z tobą jechać!

Martin sunie na kolanach po trawie. Absurdalność tej pozy nadaje jego napiętej twarzy wyraz jeszcze intensywniejszego cierpienia. Bliska paniki Laura myśli o zielonych plamach od trawy i, zaraz, o dzieciach.

- Nic nie rozumiesz. Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. Nigdy nikogo do tej pory nie kochałem. Nigdy. I ty mnie kochasz. Wiem, że tak jest. Kochasz mnie. Mnie. Musisz się do tego przyznać. Musisz!

Laura patrzy na niego w oszołomieniu. Przez ten ułamek chwili, kiedy jej jeszcze nie dosięgnął, myśli, że żaden z opisów wielkiej namiętności, jakie zdarzyło się jej słyszeć czy czytać, nie był prawdziwy. Nie oddawał intensywności tego kategorycznego żądania, by się

poddać czyjejś woli.

Wszystko teraz wygląda inaczej, niż przewidywała. Za późno na wszelkie analizy czy wycofanie się. Nie może już zawrócić z drogi, na której się znalazła. Byłby to krok niegodziwy. Byłoby to tchórzostwo i dziecinada. Niegodziwość. Ma przed sobą mężczyznę ofiarowującego jej całego siebie. I ona go kocha. Zresztą on o tym wie. Czy jest zatem sens, by mu nie ulec? Ona kocha jego. On ją.

Delikatnie dotyka twarzy Martina. Zastygł w bezruchu. Przeciąga palcami po jego włosach, ramionach. Zsuwa dłonie niżej, wodzi po jego piersi. Czuje, jak wzbiera w nim podniecenie, rośnie pożądanie. Nadal jednak nie przysuwa się bliżej.

Ta krótka chwila, kiedy Martin

trwał w zabawnej pozie, na kolanach, podczas gdy ona delikatnie wodziła dłońmi po jego ciele, w górze jasno świeciło słońce, za nimi w jego promieniach lśniło morze, pod nimi bujna trawa, ciągle wilgotna - ta chwila na zawsze pozostała w pamięci Laury jako najczystszy, najwierniejszy obraz ich miłości.

Kochali się, potem spleceni ramionami leżeli bez słowa.

Chociaż jedynym człowiekiem na świecie, o którym Laura nie chciała myśleć, był Miles, nie mogła nie porównywać jego miękkiego, bladego, ciemnoowosionego ciała z ciałem

Martina: mocnym, twardym, jasnowłosym. Jest oczywiście młodszy o czternaście lat, ale ona nie myśli o tym. Po prostu kocha w nim wszystko. Dotyk, zapach, całą postać. Kochając tak bardzo, nic nie mogła poradzić na to, że wynik był niekorzystny dla Milesa.

Przedtem nie myślała o ciebie Milesa, nie przychodziło jej do głowy oceniać je tak czy inaczej. Było to po prostu ciało jej męża. To wszystko. Teraz inaczej. Stał się odtąd innym mężczyzną. Ciemnowłosym mężczyzną o bladym pulchnym ciele.

Laura i Martin znowu się kochają. Oboje zrani potem wydają z siebie głośne krzyki i jęki. Jak ludzie przeżywający agonię. Kiedy ciągle spleceni ramionami rozluźniają nieco uścisk, patrzą na siebie po tym namiętym wybuchu z niezwykłą czułością.

Martin ociera łzy płynące z oczu Laury. - Jesteś smutna?

- Wiesz, że nie.

- To dlaczego płaczesz?

- Wiesz, dlaczego.

- Powiedz mi.

- Bo cię kocham. Bo nigdy nie myślałam, że to możliwe.

- Możliwe, co?

- Żeby tak to przeżywać.

Martin z dumą kołysze ją w ramionach. Słońce spływa zarem na kochanków. Zupełnie nie mogą zebrać myśli. Oboje czują w głowach kompletną pustkę. Nie widzą, nie słyszą. Jedyne, na co ich stać, to sen.

Oboje budzą się w tej samej

chwili. Spłoszeni przytomnieją
natychmiast. Szukają swoich rąk
i nie są w stanie ich rozłączyć.
Teraz słyszą już szum morza,
ptaki i nawet przejeżdżające
drogą samochody.

Stwierdzają, że słońce jeszcze
ciągle stoi wysoko.

Martin całuje Laureę. - Kocham
cię. - Patrzy na zegarek.

Laura całuje Martina. - Kocham
cię. - Macając palcami po trawie
szuka halki.

Niespiesznie podnoszą się i
siadają. Widok zielonego morza
podsuwa Laurze pomysł. - Pójdę
się wykapać.

- Woda może być zimna. -
Martin patrzy na nią z
podziwem. Zapina guziki koszuli
jeden po drugim.

- Jeśli się nie wykapię, nie
będę mogła ani wrócić, ani
normalnie rozmawiać.

Przemierzając szeroki pas
wybrzeża pokryty kamykami, Laura
z całych sił stara się nie
myśleć. Nogi trzęsą się pod nią
do tego stopnia, że w pewnej
chwili jest niemal zdecydowana
zrezygnować z kąpieli.

Szok, jakim jest zetknięcie z
lodowato zimną wodą, sprawia, że
wydaje głośny okrzyk. Uświadamia
sobie jednocześnie, że ta kąpiel
jest jakby próbą zmycia z siebie
grzechu. Żałuje, że weszła do
morza, i bez tchu pędzi z
powrotem do Martina. Zarzuca mu
ręce na szyję. - To nie był
tylko epizod, nie robiliśmy tego
dla zabawy! To coś o wiele
poważniejszego. Prawda, że to
dla nas ma znaczenie?

Martin przestaje się czesać.
Przytula ją mocno. - Kocham cię
- mówi poważnym głosem. - A ty

kochasz mnie. Miłość jest najważniejszą sprawą na tym świecie.

Laura, teraz już całkiem spokojna, doprowadza się do porządku. Dopóki on jest przy niej, wszystko będzie dobrze.

Ramię przy ramieniu wracają do samochodu, Martin bierze do ręki mapę.

- Czy przejechałeś tamten zakręt rozmyślnie? - pyta go z uśmiechem.

- Nie - odpowiada Martin z wyrazem twarzy, który mówi dokładnie co innego.

Włącza stacyjkę.

VIII

Jeszcze tego samego wieczoru Martin wraca do Londynu, a Miles przyjeżdża na wieś do Laury. Spotykają się na stacji kolejowej. Laura zjawia się trochę spóźniona i Miles czeka samotnie w przejściu obok kasy biletowej. Jest blady, wygląda na śmiertelnie zmęczonego. Zamiast mu współczuć, co do tej pory było u niej odruchem normalnym, Laura patrzy na niego niemal z odrazą. Dlaczego on musi wyglądać właśnie tak, nosić ten uroczysty ciemny garnitur w prążki i białą koszulę, dlaczego jego ciemne włosy są coraz rzadsze, a cera taka blada? Ma nieprzepartą chęć powiedzenia mu o wszystkim, opisania każdej minuty, jaką spędziła między godziną dwunastą a pierwszą w południe. Bładość jego twarzy miałaby przynajmniej konkretną przyczynę.

Zamiast tego jednak biegnie ku

niemu uśmiechnięta i skruszona.

- Och, mój Boże! Czyżby pociąg przyszedł przed czasem? A może to ja się spóźniłam?

- Myślę, że to drugie.

Co za pompatyczny ton! Laura uważa, że ta napuszoność jest nie tylko śmieszna, ale ją w

pewien sposób poniża. Mimo to całuje go serdecznie, a nawet sprawia jej przyjemność, kiedy Miles obejmuje ją swoim wolnym od walizki ramieniem. Jakież on jest zadowolony, kiedy ją widzi, nieodmiennie pełen podziwu. Nie gniewa go jej spóźnienie. Kocha ją.

Ostatecznie czy to jego wina, że ma na sobie ten ciemny garnitur i że jest taki blady? Dowodzi to przecież, jak wziętym jest adwokatem.

-Wyglądasz znowu doskonale - mówił uradowany. - Promieniejesz. Byliście nad morzem?

Wyjeżdżając Laura wspomniała, że może pojadą samochodem nad morze. Jego czułość i to pytanie są już naprawdę ponad jej siły. Wzruszenie, które wzięło górę nad odrazą, tonie teraz w tak nękającym poczuciu winy, że Laura wprost nie może wydobyć głosu.

Są już przy samochodzie, więc bez słowa wręcza mu kluczyki. Wsiadają. Miles nie zauważa jej milczenia i zdaje jej relację z tego, co robił w ciągu całego tygodnia. Nie zdradza większego zainteresowania ich wycieczką nad morze.

Świadomość winy nie opuszcza

Laury. Przychodzi jej na myśl,
że doznaje tego uczucia po raz
pierwszy od czasu swego
dzieństwa. Uczucia
obezwładniającego - smutku
grzechu. Pamięta ten pierwszy
raz, kiedy skłamała. Wyparła
się, że z pudełka na herbatniki
wzięła jedno ciasteczko. Nie
zwierzyła się nigdy nikomu ze
swego przygnębienia i minęły
całe dni, a nawet tygodnie,
zanim się z niego otrząsnęła. Od
tego czasu wiele razy
dopuszczała się kłamstw,
kłamstewek, kłamliwych słów
dyktowanych uprzejmością czy
chęcią załagodzenia sytuacji,
kłamstw, które mówi każdy. Były

to grzechy wciąż jeszcze nie
cięższe od kradzieży herbatnika.
I już nie pojawiał się po nich
tamten bezbrzeżny smutek.

Z mieszanym uczuciem ulgi i
zawstydzenia Laura zdaje sobie
sprawę, że to porażające ją
teraz poczucie winy stopniowo
osłabnie. Przywyknie do niego i
smutek minie.

- Spędziliśmy nad morzem
wspaniały dzień. Pojawił się
także Johnny z Martinem. - Już
zdobyła się na to, żeby mówić. I
to mówić o nim.

- Czy Johnowi zdarza się
kiedyś pracować? - Uderzeniem
dłońmi o kierownicę Miles daje
wyraz swojej dezaprobachie.

Laurze przypomina się
sędziowski młotek. Zwykle w
takiej sytuacji stanęłaby w
obronie brata, ale dzisiaj jest
po prostu zadowolona, że Miles
nie powiedział nic na temat

Martina.

Po przyjeździe do domu Miles idzie na górę wziąć kąpiel, Laura zaś błąka się po ogrodzie. Próbuje rozsądnie zastanowić się nad tym, co zaszło. Cóż, kiedy wspomnienie namiętności, która ich poniosła, zalewa jej umysł uniemożliwiając sensowne rozumowanie.

Kiedy jak koń trzymany na lonży okrążyła ogród niezliczoną ilość razy, zdała sobie nagle sprawę, że nie umówili się na następne spotkanie. Wprawilo ją to w stan takiego przerażenia, że spokojne rozważenie sytuacji stało się jeszcze bardziej utrudnione. Właściwie nic o Martinie nie wie. Mężczyźni uroczyście przysięgają dozgonną miłość, nie przywiązując do tego większego znaczenia. Wraca pamięcią do swoich panieńskich lat, do żonatego kochanka z tamtego czasu. Nie myślała o nim co najmniej od dziesięciu lat, ale teraz próbuje sobie przypomnieć, co do niej mówił, czy to samo, co Martin. Potem

zawsze jednak wracał do żony.

Przygnębienie, w jakie wtrąciła ją nagła rozpacz - gdyż doszła do przekonania, że Martin nie zamierza się z nią więcej spotykać - usunęło w cień dręczące poczucie winy. Wszystko, na czym jej obecnie zależy, to żeby być znowu razem z nim. Nisko opuściwszy głowę, decyduje się wejść do domu.

- Obawiam się, że ten dzień był dla ciebie za ciężki - mówi Katie, podnoszą wzrok znad

siekanej pietruszki. - Byłoby dobrze, gdybyś się wcześniej położyła do łóżka.

Role się odwróciły. Teraz Katie jest mocniejsza, teraz ona roztacza opiekę nad Laurą.

- Pozwól, niech ja to zrobię.
- Laura staje przy stole na miejscu Katie. Monotonnie siekanie nożem działa na nią uspokajająco. Lubi przyglądać się, jak spod noża wypryskują zielone skrawki liści pietruszki.

Katie obraca się do kuchni, żeby przyrządzić sos. Przestała karmić dziecko i Laura spostrzega, że jej bratowa gwałtownie wyszczuplała.

Pyta ją: - Czy pamiętasz, kiedy zakochałaś w Johnnie? Jak to było?

Katie nie przestaje mieszać sosu, ale odpowiada bez chwili wahania. - Naturalnie, często tę chwilę wspominam. Pojechałam do Cambridge odwiedzić przyjaciółkę. Była niedziela, około dwunastej w południe. Johnny wpadł do pokoju pożyczyć trochę kawy. Był w piżamie. Powiedział, że ma kaca i jest półżywy. Ja jednak pomyślałam, że nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać kogoś tak pełnego temperamentu. Zapragnęłam być z nim ciągle, blisko, najlepiej zawsze. Na myśl mi jednak nie przyszło, że mogę mieć jakieś szanse. Był niesłychanie popularny. Otaczało go zawsze

mnóstwo ludzi i łatwo było odgadnąć, że czują to samo co ja. Byłam zaskoczona, kiedy mi

zapropował, żebyśmy się
gdzieś razem wybrali. Uznałam,
że to przypadek, że nie znalazł
nikogo bardziej interesującego i
nie wie, co zrobić z wieczorem.
Poza tym musiał zauważyć, jaka
jestem w nim zakochana. Musiało
to schlebiać jego próżności.
Bardzo lubi czuć, że jest
kochany. Lubi też sam być
zakochany. Wiesz, że miłość to
jego żywioł. Kocha mnie. Kocha
dzieci. Kocha nas bardzo. Ale
równocześnie, w sposób
najzupełniej naturalny, kocha
mnóstwo innych osób.

Katie ani na chwilę nie
przestaje mieszać sosu. Teraz
jednak odkłada łyżką i obraca
się twarzą do Laury. - Wiem, że
twoje pytanie nie dotyczyło
wszystkich tych szczegółów,
prawda? Daruj mi. Ale widzisz,
niezależnie od tego, że pamiętam
jak dziś chwilę, kiedy się
zakochałam w Johnnie, kiedy ci
opowiadam o tym, nie mogę się
powstrzymać przed powiedzeniem
wszystkiego do końca. Bo moje
uczucie jest ciągle żywe,
zupełnie takie jak wtedy. Kiedy
Johnny jest tutaj, odżywam. To
jest zrozumiałe samo przez się.
Dlatego właśnie wszystko mu
wybaczam. Naprawdę nie chodzi tu
o dzieci. One mają pierszeństwo
tylko wtedy, kiedy Johna nie ma
w domu.

Laura podaje Katie pietruszkę.
Zmusza się, by głos jej brzmiał
jak najnaturalniej i uspokoił
bratową: - Ależ nie mam
wątpliwości, że Johnny kocha i
ciebie, i dzieci.

- No, właśnie. - Katie
uśmiecha się. - Nie ma sensu
dręczyć się bez powodu. Dzisiaj
wieczorem jestem całkiem
spokojna. Johnny jest
zadowolony, bo przestałam

karmić. - Milknie i leciutko
wzdycha. - Jakie to musi być

dziwne uczucie, kiedy się ma
kogoś, kto prócz nas nie kocha
nikogo innego.

Laura wstrzymuje oddech,
serce jej bije przyspieszonym
rytmem, ale spojrzawszy na
spokojną, zadumaną twarz Katie
przytomnieje. Przez ułamek
sekundy sądziła, że uwaga Katie
jest aluzją do Martina. To
szalone przypuszczenie
uświadamia jej, jak oddaliła się
od normalnego stanu umysłu.
Katie nie może przecież wiedzieć
o Martinie i nie robiłaby w ten
sposób aluzji, jeśli to w ogóle
była aluzja. To Miles jest tym
mężczyzną, który kocha wyłącznie
ją. Miles, jej mąż, który dzieli
z nią małżeńskie łóżko. Który za
chwilę zasiądzie wspólnie do
kolacji z nią, jej bratem, i
bratową. Wieczór w serdecznym
gronie rodzinnym.

Laura ma ochotę krzyknąć i
uciec daleko stąd. Zamiast tego
jednak bierze z wyciągniętych
rąk Katie rondel z duszonym
mięsem i stawia go na stole.

- Kolacja - oznajmia donośnym,
stanowczym głosem kobiety, która
od dziesięciu lat zwołuje
domowników na posiłki. Katie
podchodzi bliźniutko i całuje ją
w policzek.

- Nie myśl, że jestem
zazdrosna - mówi szeptem, gdyż
słyszy zbliżające się kroki
mężczyzn. - Patrząc na twoje
szczęście i ja się czuję
szczęśliwa.

Laura śpi fatalnie. Ma sny

zbyt niespokojne, by mogły
przynieść jakąś ulgę w tej
matni, w jakiej się znalazła.
Kilkakrotnie wstaje z łóżka. Za
pierwszym razem idzie do
małego niczym spiżarnia
pokoiku, gdzie śpi Nicky.
Wyobraziła sobie, że może na nią
spaść kara w postaci choroby Nicka, że
mógł się zarazić jej grypą. Jest
przeświadczona, że leży tam z
rozpalonym czołkiem i pocącymi
się dłońmi. Ale okazuje się, że

jest chłodny i śpi smacznie z
rozchylonymi usteczkami, lekko
pochrapując. Później, prawie o
brzasku, Laura podchodzi do okna
i przez szparę w zasłonie
wygląda na ogród. Słońce się
jeszcze nie podniosło. Wszystko
dokoła spowija sina mgła, żywe
odbicie jej snów. Nagle zupełnie
nieoczekiwanie zaczyna śpiewać
jakiś ptak. Za nim następny, i
jeszcze jeden. Wrzawa ptasich
głosów wydaje się tak
ogłuszająca, że Laura nie może
zrozumieć, jak domownicy mogą
 spać.

Szczelniej zaciąga kotarę i
wślizguje się z powrotem do
łóżka. Miles chrapie, zupełnie
jak jego syn. Normalnie,
zniecierpliwiona, starałaby się
zepchnąć go na jego stronę
łóżka, ale dzisiaj chce uniknąć
dotykania go. Leży sztywno
wyprężona, czekając nadejścia
dnia. O zaśnięciu nie ma mowy.

Upłynęła może godzina, kiedy
po raz drugi ogarnia ją
przemożna chęć powiedzenia o
wszystkim Milesowi. Jest tuż
przy niej, mrok w pokoju

przypomina konfesjonał. Czuje się na siłach powiedzieć całą prawdę, on jej wybaczy i wszystko się skończy jak zły sen. Przywołuje na pamięć słowa wypowiedane przy konfesjonale: "Ojcze duchowny, proszę cię o rozgrzeszenie, gdyż szczerze żałuję za popełnione grzechy. Ostatni raz... - ile to lat temu? Nie pamięta, piętnaście, dwadzieścia? - spowiadałam się..." Nie może przecież, to jasne, w ten sposób zaczynać rozmowy z Milesem. Nie jest księdzem. Nie przyszło jej na myśl zastanowić się nad jego reakcją jako mężczyzny na to wyznanie. Całą uwagę skoncentrowała na sobie i na tym, w jaki sposób mu to powie. "Bardzo zgrzeszyłam myślą, mową i uczynkiem..."
Wyciąga rękę i mówi: - Miles,

wysłuchaj mnie. - Wydaje się jej, że mówi dość głośno, ale Miles nie reaguje.

Od sąsiednich drzwi dochodzą do jej uszu szmery. To Nicky wstaje, wcześniej jak zwykle. Laura słyszy, jak biegnie do łazienki, a potem do pokoju dziewczynek. Z czułością myśli o tym, jak Nicky ją kocha.

Miles niespokojnie przewraca się w jej stronę i przytula twarz do jej policzka. Ciągłe na wpół pogrążony we śnie obejmuje ją ramieniem, kładzie nogę na jej udach. Laura domyśla się, o co mu chodzi.

Leży sztywna. W pewnej chwili przychodzi jej na myśl, że kochać się z nim teraz jest

czymś bez porównania gorszym od wyznania mu całej prawdy. Ze swego grzechu może zresztą wyspowiadać się jak należy księdzu, jeszcze tego samego ranka, trochę później. Obejmuje Milesa ramionami, ułatwiając mu położenie się na niej.

- Taki jestem zadowolony, że czujesz się lepiej - szepcze potem Miles, zsuwając się na swoją stronę łóżka.

Tego dnia Laura nie idzie do kościoła. Wybieranie się do kościoła w sobotę wydałoby się wszystkim dziwne. Poza tym dzień mija jak wszystkie soboty. Dzieci, gotowanie, spacer. Męki ubiegłej nocy zajmują jak gdyby wydzieloną część jej mózgu, tymczasem wyłączoną. Udaje jej się nawet szczerze cieszyć lunchem na trawniku przed domem i widokiem Nicka goniącego po polu Maddy. Zdaje sobie sprawę, że marnie wygląda, ale można to przypisać przebytej przez nią chorobie. Dzień mija bez konieczności powiedzenia choćby jednego kłamstwa i mimo że Martin jest bezustannie obecny w jej pamięci, nie poświęca mu zbyt wiele myśli. To tak jakby dzień urlopu.

W niedzielę wymyśla coś, żeby nie zabrać z sobą Nicka, i sama wyrusza do kościoła wcześniej niż zazwyczaj.

Konfesjonał okazuje się staromodny, bardzo mały i ciemny, z grubą kratą oddzielającą ją od księdza. Wyobraża go sobie jako staruszkę

o wrażliwości przytępionej przez całe lata godzenia się z brzemieniem grzechów znacznie cięższych od popełnionego przez nią.

- Ojciec duchowny, proszę cię o łaskę, od wielu lat nie byłam u spowiedzi. - Przerywa.

- Tak, mów dalej. - Głos księdza jest ciepły, zachęcający, ani młody, ani stary.

- Kocham mężczyznę, który nie jest moim mężem. Mieliśmy z sobą stosunek. On mnie także kocha. - Urywa nagle. Uważa, że nie ma tu nic więcej do powiedzenia.

Czeka.

Wyczuwa, że ksiądz pochyla się ku niej. - To wszystko?

- Tak.

- Dobrze. Twierdzisz, że go kochasz?

- Tak.

- Miłość to piękna rzecz. Może największy z darów, jakimi Bóg obdarzył człowieka. - przerywa.

- Czy masz dzieci?

- Mam syna.

- Kochasz go?

- Oczywiście, że go kocham! - Laura nabiera świadomości, że ksiądz nie jest staruszkiem, który pogodzi się z jej grzechem i udzieli rozgrzeszenia. Jest to młody, dociekliwy ksiądz, który pragnie jej pomóc w obrachunku z własnym sumieniem. Tego się nie spodziewała. Nie była na to przygotowana. Nie chce tego. - Męża kocham także! - oświadcza buntowniczym tonem.

Ksiądz odsuwa się od kraty. Jak gdyby sprawiło mu satysfakcję, że ją sprowokował do tego odważnego oświadczenia.

- Miłość... - szepcze swoim miękkim głosem, którego Laura teraz nienawidzi. - W dzisiejszych czasach dużo się rozprawia o miłości.

- To nie jest rozprawianie. Naprawdę kocham mojego syna. Kocham mojego męża. Kocham mojego... Jego także kocham.

- Tak, rozumiem. I nie przeczę. Ludzka zdolność kochania jest nieograniczona. To zgodne z wolą Boga. On sam kocha wszystkich, każdego z nas.

Laura przestaje słuchać. Myśli o tym, że wszędzie w okolicy są sędziwi księża, prawdziwe podpory kościoła, którzy bez wątpienia daliby jej rozgrzeszenie, a wraz z nim siły do zwalczania pokusy grzechu. Tymczasem ona musiała trafić na księdza młodego, nastawionego na dyskusje, który za przebaczenie żąda wysokiej ceny - jej duszy. Podeszła do konfesjonału z pokorą - przynajmniej tak sądziła - żałując za grzechy, teraz zaś miotają ją zdecydowanie buntownicze uczucia.

- Musisz zapytać sama siebie - słyszy spokojny głos - jaka jest ta miłość, którą czujesz do tamtego mężczyzny. Czy jest to ten sam rodzaj miłości, jaką obdarzasz swego syna?

- Ależ nie, to oczywiste! - wybucha Laura. - Żadna kobieta nie kocha małego chłopca w taki sposób jak dorosłego mężczyznę. Jak kochanka! - Ma nadzieję, że zgorszyła spowiednika.

Ale po chwili przerwy słyszy jego głos, spokojny jak przedtem. - Czy jest to ten rodzaj miłości, którą czujesz do swojego męża?

Pytanie osacza ją, jest jak pułapka, w którą wpadła po szyję. A ponieważ jest to pułapka, walczy, żeby się z niej wydostać. - Każdy rodzaj miłości jest pewnym dobrem. Ksiądz sam powiedział, że to najwartościowszy dar Boga

dla ludzi. Istnieje wiele odmian, różnych rodzajów miłości. Miłość nigdy nie jest złem. Miłość nigdy nie jest grzechem.

Tym razem cisza trwa dłużej.

W pewnym momencie Laura słyszy, że ksiądz poruszył się na krześle. Wyglądało na to, że ma zamiar wstać.

- Muszę się teraz przygotować do mszy - oświadcza. - Może msza pomoże ci przysposobić się do prawdziwej spowiedzi i wzbudzi w tobie skruchę.

- Słucham? - Laura nie może zrozumieć. Przyszła do tego księdza po odpuszczenie grzechów, po nową czystą duszę. To niemożliwe, żeby jej tego odmawiał.

- Nie jesteś jeszcze gotowa na przyjęcie sakramentu pokuty. Bardzo mi przykro. Będę się za ciebie modlił. Ty także musisz się modlić. Zastanów się także nad uczuciem, jakim jest miłość. Nad różnymi jej rodzajami.

- Ależ ojciec duchowny, ojciec nie może mnie w ten sposób odprawiać!

- Udzielę ci teraz błogosławieństwa. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Ksiądz podnosi się i wychodzi z konfesjonału. Laura idzie za nim niepewnym krokiem. Klęka w

tylnej części nawy. Jest zirytowana i upokorzona. Jeszcze raz myśli z żalem, że nie trafiła na łagodnego księdza starszka, który zrobiłby wszystko, by jej raczej pomóc aniżeli zrazić do Kościoła.

Wierni wstają, wchodzi bowiem ksiądz z ministrantami. Laura spogląda na postać w ornacie i ku swemu zdumieniu widzi, że ksiądz jest stary. Zupełnie siwy, o łagodnym wyglądzie jednego z kanonizowanych świętych. Szybko podnosi się i wybiega z kościoła.

Laura wyglądała tak mizernie,

że Miles próbował namówić ją do pozostania przez jakiś czas na wsi. Sprzeciwiła się temu jednak, powołując się na swoją pracę i obowiązki matki. Starła się być uczciwa przytaczając te argumenty, ale w głębi serca myślała wyłącznie o spotkaniu z Martinem.

Padał deszcz, kiedy wyszła do ogrodu.

Punktualnie o wpół do dziesiątej Laura siedzi przy biurku. Ubrała się starannie, w skromną, ciemną suknię. Po dwóch nie przespanych nocach straciła na wadze.

W czasie jej nieobecności zebrało się mnóstwo listów, więc zaczyna je machinalnie otwierać. Te, które wymagają odpowiedzi natychmiastowej, kładzie po jednej stronie biurka, mniej pilne po drugiej. Ma głęboką świadomość, że nie jest w stanie

odpowiedzieć na żaden z nich.

Odzywa się telefon. Laura pozornie jest spokojna. Czeka, kiedy skończy się drugi sygnał i zacznie trzeci.

- Halo. - Głos ma lekko ochrypły.

- Świetnie. Wróciłaś już.

Zaproszenia wydrukowane. Wstąp po nie o dwunastej, będziemy mogli porozmawiać.

A więc telefon dotyczący pracy. Mężczyzna na linii nazywa się Ben Casey, chodzi mu o wielką letnią imprezę Ligi Ochrony Kultury Rolnej. Laura milczy.

- Halo? Jesteś tam?

- Tak, jestem. Przepraszam.

Będę o dwunastej.

W momencie kiedy odkłada słuchawkę, telefon dzwoni znowu.

- Halo?

- Laura? - Tym razem to Martin.

Upłynęły trzy dni od ich ostatniej rozmowy. Pod wrażeniem spotkania, mimo że na dwu krańcach linii, nie mogą złapać

tchu, nie mogą mówić.

- Ukochana.

Laura reaguje śmiechem, histerycznym śmiechem ze szczęścia. Jest jego ukochaną. Wszystko inne nie ma najmniejszego znaczenia.

- Tak, już jestem. Całkiem zdrowa. - Nagle uświadamia sobie, że nie wolno jej się z nim więcej widywać. Przestaje się śmiać.

Słyszy jego głos. - Przyjdę po ciebie o wpół do pierwszej.

- Nie. To niemożliwe.

- Dlaczego? O co chodzi? -
Brzmi to tak, jakby jej nie
wierzył. Przecież przed chwilą
przyjął jego telefon śmiechem.
- Mam spotkanie o dwunastej.
Poza biurem. - Z trudem sama w
to wierzy.
- Odwołaj je.
- Nie mogę.
- Lauro, muszę cię zobaczyć. -
Jego głos przybiera zduszone,
namiętne brzmienie, któremu nie
jest w stanie się oprzeć.
- Wiem, wiem. Ale co mogę
zrobić? - Nie wiadomo, czy
chodzi jej o umówione spotkanie,
czy całą sytuację uważa za
niemożliwą.
Martin decyduje się wierzyć,
że Laura ma na myśli spotkanie.
- Przyjadę po ciebie, jak
skończysz. Gdzie będziesz?
Laura postanawia, że musi
zerwać z nim w pełnym świetle
dziennym, w centrum miasta,
teraz, kiedy jest taka szczupła
i ma na sobie zgrabną
bezpretensjonalną suknię. Po
biurowym spotkaniu, kiedy jej
umysł będzie miał przewagę nad
ciałem.
- Na Inverness Terrace. W bok
od Bayswater Road. Powinnam
załatwić tę sprawę do pierwszej.
- A więc cię zobaczę. Kochana,
kochana Lauro.
Kończy się przedpołudnie i
Laura uzmysławia sobie, wielce
zdumiona, że nie wiedząc kiedy
odpowiedziała na mnóstwo listów.

Spotkanie okazuje się wcale
niełatwe. Ben Casey zauważa jej
roztargnienie i nie kryje
irytacji. Wpada w jeszcze gorszy

humor, kiedy się dowiaduje, że nie pójda razem na lunch. Jest młody i pewny siebie, nie dopuszcza myśli, że może się spotkać z odmową.

- Nie mogę.

- Jak to? Musisz teraz jeść.

Bardzo zeszcupłałaś. -

Podchodzi do okna i wygląda na ulicę. Biuro mieści się na piątym piętrze. - Na chodniku widzę jakiegoś mężczyznę.

Wyraźnie na kogoś czeka. Może to on zaprosił cię na lunch?

- Nie wiem. - Nie chce wyjrzeć przez okno. Nie może zrozumieć, dlaczego Ben nagle się nią interesuje. Współpracują z sobą, kilka razy jedli razem lunch, ale poza tym ledwo się znają. Zachowuje się, jak gdyby miał do niej jakieś prawa.

W głębi duszy spłoszona domyśla się, że wyczuł w niej jakąś zmianę. Może po stosunku z Martinem, przez fakt, że jest w nim zakochana, utraciła najeżoną kolcami barierę otaczającą każdą solidną i wierną żonę.

- Muszę iść - oświadcza, podnosząc się najspokojniej, jak może. Zabiera opakowany plik zaproszeń.

- Zajmę się nimi jutro.

- Uważam, że jest całkiem interesujący - mówi Ben, ciągle wyglądając przez okno. - Jeśli ktoś lubi ten typ "mógłbym wyglądać na kogoś ze Szwedzkich Linii Lotniczych, ale wybrałem styl londyński". Jak na mój gust, zbyt arogancki.

Laura zdobywa się na reakcję przypominającą sarkastyczny chichot, choć w opisie Bena natychmiast rozpoznaje Martina.

- Zobaczmy się jutro lub pojutrze. Nie dzwoń do biura. Prawdopodobnie uda mi się większość roboty wykonać w domu.

Nie wie, dlaczego to mówi,

dlaczego coś zmyśla dla
usprawiedliwienia swojej
nieobecności w biurze. Szybko
wychodzi, oczyma duszy już widzi
Martina stojącego na chodniku i
pragnie znaleźć się przy nim.

Martin rusza naprzeciw niej.
Ona także kieruje się prosto na
niego. Chce go zatrzymać,
ostrzec przed obserwowującym z
góry Benem.

Mam iść do domu - powtarza w
myślach bezradnie, kiedy Martin
trzyma ją w mocnym uścisku. -
Mam iść do domu.

Wsiadają do samochodu. Laura
kocha nawet jego samochód. Znowu
splatają ręce w uścisku,
patrząc sobie w oczy bez słowa.
Laura pamięta, że przecież musi
położyć kres tym spotkaniom.

- Zabieram cię do mojego
mieszkania - oświadcza Martin. -
Jesteś blada. Ktoś musi o ciebie
zadbać. Wyglądasz na zmęczoną.

Laura jest zatrwożona, że nie
wygląda tak ładnie, jak ją
zapamiętał.

- Pocałuj mnie - mówi wbrew
wszystkiemu, co postanowiła.

Kiedy się od siebie odrywają,
uśmiecha się i pyta: - Czy teraz
wyglądam lepiej?

- Och, o sto procent.

Laura wybucha śmiechem,
podczas gdy Martin włącza
stacyjkę.

Jest pora lunchu, więc na
jezdniach korki pozwalają Laurze
jeszcze raz zastanowić się nad
tym, co robi. Z każdą chwilą
Martin staje się coraz bardziej
obcy. Nadal go kocha, ale

właściwie prawie go nie zna.
Jego profil, ręce na kierownicy,
drażek do zmiany biegów,
wszystko wydaje się jej obce.
Koncentrując się na prowadzeniu
samochodu, Martin milczy.

Kiedy podjeżdżają pod jego
blok, Laura mówi chłodnym
tonem: - Muszę odejść, naprawdę.
Przepraszam cię. Nie powinnam
była w ogóle z tobą przyjeżdżać.
Przepraszam.

- To niemożliwe! - Martin
obraca się do niej twarzą. - Nie
możesz tak zmieniać zdania.
Idziesz ze mną na górę. Na cały
weekend zostawiłem cię samą.
Teraz cię potrzebuję.

Laura jest przestraszona. Martin
wydaje się bardzo zirytowany. Z
całych sił próbuje powstrzymać
cisnące się jej do oczu łzy. -
Przepraszam. - Głos ma bardzo
cichy.

- Przepraszanie nie ma tu
żadnego sensu. - Chwyta ją za
rękę i wyciąga z samochodu. -
Kocham cię! Nie widzisz tego?
Jeszcze nikt nikogo tak nie
kochał, jak ja ciebie. Nie
obchodzi mnie twój mąż. Nie jest
moim zamiarem sprawianie mu
ból, ale on ciebie nie może
kochać tak jak ja. Ty także mnie
kochasz. Nie jego.

Stoi na chodniku i krzyczy na
nią. Laura uznaje, że musi
jednak pójść z nim na górę. Nie
mogą rozstać się w ten sposób.
Potulnie daje mu się objąć
ramionami. Martin przestaje
krzyczeć i wchodzi do domu.

Mieszkanie Martina jest
obstawione aparatami. Stoją na

wszystkich płaskich
powierzchniach patrząc czujnymi
oczyma telewizyjnych monitorów.

- Oczywiście, mam gabinet, ale
w niepojęty sposób te aparaty
nieodmiennie zjawiają się tutaj.

Laura postanawia nie
rezygnować ze spędzenia tu kilku
ostatnich chwil, nie wie
jeszcze, jak długich, zanim
odejdzie na zawsze. Oznacza to,
że nie będzie się broniła przed
pocałunkami Martina i postara
się go w jakiś sposób ułagodzić.
Przypomina sobie własnego synka,
kiedy był jeszcze mały. Była to,
jeśli dobrze pamięta, jedyna
sytuacja, kiedy dała się
podobnie uwikłać w tak czuły i
kapryśny związek. Łzy i śmiech
na przemian, nigdy nie można było
przewidzieć, co kiedy nastąpi.
Bardzo ją to wtedy wyprowadzało

z równowagi jako coś zupełnie
przeciwego jej naturze, gdyż
czuła się szczęśliwa jedynie w
atmosferze spokoju.

Całują się i obejmują, ale w
pewnej chwili Martin wyzwoliwszy
się z uścisku ciągnie ją w
kierunku sypialni. Jest to
odpowiednia chwila, żeby mu
gestem ręki dać sygnał, że muszą
na tym poprzestać. Niestety
Laura nie może dobrać głosu, jak
tu myśleć o zdobyciu się na
stanowczość!

Za chwilę jest w sypialni.
Martin nawet nie zauważył jej
wahania.

W pokoju jest ciepło, nie do
końca odsłonięte kotary
sprawiają, że panuje w nim mrok.
Łóżko, znacznie szersze od jej

własnego, nakryte jest nieco krzywo pluszową narzutą. Laura przestaje się już opierać. Martin mówi: - Nigdy się tego nie spodziewałem. Nigdy nie przypuszczałem, że się potrafię zakochać. Wszystko gotów jestem poświęcić dla ciebie.

- Wierzę, wierzę. Ja także ciebie kocham. - Poddając się jego woli, Laura czuje się tak odprężona, że nie może powstrzymać śmiechu.

Ma wrażenie, że jej głowa jest unoszącym się balonem. Ciało natomiast ma rozpalone i ociężałe. W pośpiechu zrzucają z siebie ubranie.

Odzywa się dzwonek stojącego w sypialni aparatu. Martin i Laura, odurzeni, leżą w półśnie. PO chwili telefon dzwoni znowu. Budzą się z odrętwienia. Martin mamrocze:

- Nie odbiorę go.

Aparat nie przestaje terkotać. Laura odsuwa się. - Może jednak odbierz.

- Halo.

Kiedy Martin obraca się, żeby podnieść słuchawkę, Laura otwiera oczy. Wpatruje się w sufit, próbując nie słyszeć, że głos na drugim końcu linii

należy do kobiety.

Martin odpowiada krótko: - Nie - potem: - Tak - następnie: - Nie wiem. - Głos ma zirytowany i oziębły. Kobieta jest wyraźnie podniecona. - Nie trzeba było - mówi Martin rozwścieczony. - Prosiłem cię, żebyś je zostawiła tutaj.

Głos staje się tak donośny, że

kilka słów dochodzi do uszu Laury: -
obchodzi mnie, że, jak
twierdzisz, zakochałeś się...
dbam o ciebie...

Laura ma ochotę zagrzebać
głowę pod poduszkę. Czuje się
do głębi upokorzona, chociaż nie
zastanawia się, dlaczego zajęcie
miejsca rywalki miałyby
spowodować ten stan. Jeszcze
przed chwilą nie pamiętała o
istnieniu tamtej dziewczyny. Czy
dobrze sobie przypomina, że
według relacji Lizzie mieszkała
razem z Martinem? Wodząc
wzrokiem po pokoju spostrzega
leżącą na komodzie damską
szczotkę do włosów. Uzmysławia
sobie, że także pluszowa narzuta
ozdobiona jest kwiecistym
wzorem, na który żaden mężczyzna
nie byłby się zdecydował.

Martin z trzaskiem rzuca
słuchawkę. Nie odwraca się.
Napięci leżą obok siebie. Laura
chciałaby pójść do łazienki, ale
wyobraża ją sobie obwieszoną
różnymi plastikowymi torebkami
we wzorki kwiatowe, nie mówiąc
już o szlafrokach.

Martin ujmuje ją za rękę. -
Przepraszam.

- Nic tu nie zawiniłeś.

- Powiedziałem jej wczoraj,
żeby wszystko zabrała. Ale
oczywiście musiała sobie zrobić
tę przyjemność i zostawić
niektóre rzeczy.

- Biedna dziewczyna.

- Nic podobnego! - Martina
znowu ogarnia irytacja. - Nigdy
niczego jej nie obiecywałem.
Sprowadziła się tu, bo sama
chciała. Ja jej nie zapraszałem.
Zawsze jej powtarzałem, że

pewnego dnia będzie musiała odejść.

- Nie sądzę, żeby to brała poważnie.

- To już jej sprawa.

Jego chłód, mimo że nie skierowany do niej, przeraża Laurę. Bez słowa wstaje i idzie do łazienki. Nie znajduje kwiecistych ozdóbek, w powietrzu jednak unosi się zapach perfum. Odkręca gałkę prysznica i stojąc w strugach raptownie spadającej wody cofa się pamięcią do ich pierwszego stosunku nad morzem. Wydaje się, że było to bardzo dawno. Coś, co zdarzyło się w zupełnie innym świecie i w zupełnie innym życiu. Była w tym wydarzeniu niewinność, której pozbawione jest ich dzisiejsze spotkanie. Słusznie się stało, że im przeszkodzono.

Czuje, że zbiera jej się na mdłości. Wraca do sypialni, gdzie Martin ciągle jeszcze leży w łóżku, i szybko się ubiera. Martin nie mówi ani słowa. Jeśli nadal będzie milczał, znajdzie w sobie siłę, aby odejść. Doprowadza włosy do porządku, po czym idzie w kierunku drzwi. Już na progu odwraca się. Takie rozstanie w ciszy byłoby zbyt okrutnym okrucieństwem. Ale właściwie o czym tu mówić? Stoi patrząc na niego bezradnie.

- No więc powiedz teraz "do widzenia", czekam. - Wpatruje się w nią nieruchomym wzrokiem, ponury, wie, że przegrał.

- Do widzenia. - Biegnie do wyjścia. Uciec z tego mieszkania, z tego bloku, znaleźć się na ulicy.

Zegar w witrynie apteki pokazuje pół do czwartej, więc Laura błyskawicznie decyduje się pojechać po Nicka do szkoły.

Zatrzymuje taksówkę.

Jej pojawienie się jest dla Nicka niespodzianką. Podniecony ciągnie ją za rękę.

- Wracajmy przez plac zabaw.

Nicky nic o tym nie

wspomniał, a Laura zapomniała, że Maria przyjdzie do szkoły i nie zastanie go tam.

Siedzi na ławce i przygląda się, jak jej synek buja się na linie, lądując to na jednej drewnianej platformie, to na drugiej. Stwierdza, że przeżywa dziwne rozdwojenie jaźni, zupełnie jak przed weekendem. Jedna jej część cieszy się widokiem tego zdrowego chłopczyka, odważnie huśtającego się w słońcu późnego popołudnia, natomiast druga krzyczy pogrążona w bezbrzeżnej rozpacz. Ta druga nie może się nadziwić, że stać ją na takie opanowanie, że potrafi tu siedzieć, a nawet się uśmiechać.

Po upływie pół godziny czuje chłód, więc woła Nicka. Przychodzi ociągając się, zwabiony obietnicą porcji lodów.

W domu dowiadują się, że Maria rozpaczliwie poszukuje Laury. Zdążyła już sobie wyobrazić, że Nicky nie żyje, że go ktoś porwał albo sam uciekł. Laura, która normalnie wykazuje duże zrozumienie dla zdenerwowania innych, zwłaszcza jeśli to ona jest tego zdenerwowania przyczyną - tym razem zachowuje się obojętnie. Mówi, że ją boli głowa, i idzie do swego pokoju.

Kładzie się na łóżku, wyłączając przedtem telefon.

Wyłączyła go po raz pierwszy w życiu.

Po dwóch czy trzech godzinach wrywa ją ze snu głos Milesa.

- Dowiaduję się, że się dziś przemęczyłaś.

Laura powoli podnosi głowę. - Wcześniej wróciłaś.

Miles patrzy na zegarek. - Niespecjalnie.

- Czyżby? Która godzina?

- Pół do ósmej. - Podchodzi do telefonu. - Nie wyciągaj nigdy wtyczki.

- Dlaczego?

Patrzy na nią zdziwiony. Jego uwagi Laura zwykle przyjmuje bez

zastrzeżeń. Zawsze stara się być dla niego miła, zwłaszcza w chwili, kiedy po całym dniu wraca do domu. - Kilka razy próbowałem się do ciebie dodzwonić. Byłem zaniepokojony.

- Bardzo mi przykro. Pójdę przygotować kolację.

- Jeśli nie czujesz się dobrze... - Zostawia zdanie nie dokończone.

Laura wie, że Miles lubi ich wspólne kolacje, że je niewiele w porze lunchu, aby mieć większą przyjemność wieczorem. Że wstaje wcześniej i ciężko pracuje przez cały dzień. W jej nieszczęściu poczucie winy wybija się na plan pierwszy.

Spuszcza nogi i siada na brzegu łóżka. Miles podchodzi bliżej. Kładzie dłoń na jej kolanie. - Maria mi opowiada, że zabrałaś Nicka ze szkoły i zniknęliście gdzieś razem bez śladu. Płacze na samo wspomnienie tego, co przeżyła.

Laura szybko wstaje, uwalniając się w ten sposób od ręki Milesa. - U niej nie trudno o łzy.

Głos Milesa traci swoją łagodność: - Uważam, że powinnaś ją przeprosić.

- Nie jestem już dzieckiem! - Laura idzie do łazienki. Wybuch gniewu pomaga jej na chwilę zapomnieć o winie i o swoim nieszczęściu.

- Ale zachowujesz się jak dziecko, to pewne!

Laura z hukiem zatrzaskuje drzwi do łazienki. W czasie trwania ich małżeństwa zdarza jej się to może po raz trzeci.

Miles stoi nieporuszony. Laura wyczuwa, że próbuje zrozumieć, co to wszystko znaczy. Ma nadzieję, że się zdenerwuje, krzyknie jakieś przekleństwo czy też weźmie winę na siebie. Ale chociaż Miles lubi strofować i bywa sarkastyczny, nigdy nie traci panowania nad sobą. Uważa, że to uwłacza ludzkiej godności.

Laura, której się zdawało, że podziela jego pogląd, i podziwiała go za to, teraz uważa taką postawę za niewybaczalną.

Jeśliby na nią krzyknął, prawdopodobnie by się załamała i powiedziała mu o wszystkim. Wykrzyczeliby się oboje i wszystko wróciłoby znowu do normy.

Rojenia te przerywa spokojny głos Milesa:

- Uważam, że powinnaś się położyć do łóżka. Przyślę Marię na górę z aspiryną i będziesz miała okazję ją przeprosić.

- Och, odwal się! - Laura z zasady nie przeklina. Uśmiecha się wyobraziwszy sobie osłupienie Milesa. On sam zaklnie od czasu do czasu, ze świadomą emfazą, dla pikanterii, kiedy sytuacja sama się o to prosi. Natomiast ona nie robi tego nigdy.

Ze złością energicznie myje zęby, twarz i ręce. Wreszcie schodzi za Milesem na dół. Jest zdecydowana zrobić mu kolację i siedzieć przy nim, póki nie zje. Jeśli nie chce z nią awantury, niech już lepiej zapanuje lodowate milczenie aniżeli obłudna zgoda.

To wojownicze postanowienie sprawia, że zdobywa się nawet na szeroki, przepaszający uśmiech do Marii. Ich stosunki zawsze układały się nienagannie bez najmniejszego udziału Milesa.

Dopiero na widok stojącej na kuchennym stole pustej po kaszce miseczki Nicka drgnęło w niej stwardniałe serce na myśl, że poszedł spać bez pożegnania.

- Czy Nicky odmówił pacierz? - pyta Maria.

- A jakże! Chociaż był okropnie zmęczony.

- Kiedy jestem w domu, chciałabym zawsze być przy tym.

- Ale pani spała.

Laure znowu ogarnia gniew, ale udaje się jej pohamować. Myśli o Nicku. O tym, jak się zwinął w

kłębek w łóżeczku. Walczy z ogarniającym ją smutkiem na myśl, że musi kiedyś dorosnąć i pewnego dnia odejść od niej. Zdaje sobie sprawę, że jej

nastroje są irracjonalne, cóż,
kiedy się pogłębiają z coraz
innej przyczyny: a to kwiat
wygląda żałośnie, nie podlewany
w czasie jej wyjazdu, to znowu
razi ją brzydota Marii, a na
dodatek mrówka spaceruje w
najlepsze po zlewozmywaku. Złość
na Milesa przemienia się w
smutek, którego jedynym powodem
- nie ma co do tego wątpliwości
- jest Nicky. Idzie na górę po
Milesa. Jest trochę speszona
widząc go cicho pochylonego nad
tomem prawa międzynarodowego,
ale nie rezygnuje z pierwotnego
zamiaru.

- Przepraszam, Miles - mówi
pokornie, całując go w policzek.

Miles nie podnosi wzroku, ale
Laura czuje, że jest zadowolony
i znowu pewny siebie. Poklepuje
ją po dłoni. - Wiem, że nie
jesteś jeszcze całkiem zdrowa.
Powinienem mieć więcej taktu.

Należy to rozumieć jako jego
przeprosiny. Laura stara się
okazać radość. Cóż, kiedy
wyczuwa protekcyjny ton w
jego wypowiedzi. Mimo to zdobywa
się na uśmiech.

- Nastawiłam kolację. Powinna
być gotowa za pięć minut.

- Świetnie. - Podnosi na nią
wzrok znad książki. - Co jemy?

Laura wybucha śmiechem. - Nie
wiem. - Jest to szczerą prawdą.
Dzień był wyjątkowo długi. Cały
wypełniony namiętnością. W tym
wszystkim najdziwniejsze jest
dla niej to, że ona, Laura,
znakomicie radząca sobie z
organizacją domu, z małżeństwem,
macierzyństwem i pracą zawodową,
nie może sobie przypomnieć, co
gotuje na kolację.

Ponownie chwyta ją atak
śmiechu. Miles patrzy na nią
zdumiony. Za chwilę uśmiecha
się. Cieszy go, że wrócił jej

dawny dobry humor.

- Pójdę zobaczyć - ciągle śmieje się Laura. - Cokolwiek to jest, nie chcemy przecież, żeby się spaliło.

IX

Do Laury zjechała Lizzie. Ciągłe starając się w jakiś sposób wypełnić czas dzielący ją od studiów uniwersyteckich, znalazła pracę w jednym z domów towarowych w dziale sprzedaży guzików. Upierała się, że będzie Laurze oddawała część pensji, dokładając się do wydatków związanych z jej utrzymaniem.

Jej obecność sprawiła, że Laura zaczęła się sobie wydawać stara. Miała wrażenie, że w domu jest dorosła córka. Rano trzeba ją było siłą wyciągać z łóżka, tłumaczyć, że do pracy nie powinna nosić rzucających się w oczy sztucznych rzęs, a wieczorem namawiać, żeby zjadła coś rozsądnego.

- Jesteś gorsza od mamy - żartobliwie utyskiwała Lizzie. - Przedtem taka nie byłaś.

To prawda. Laura przesadzała w matkowaniu Lizzie, chwyciwszy się tej roli jako narzędzia walki z miłością do Martina. Nie widziała go od tego dnia, kiedy była w jego mieszkaniu. Przestała chodzić do biura, całą pracę wykonywała w domu, rozumując, że Martin nie odważy się zadzwonić. Próbując patrzeć na siebie z zewnątrz jako na matkę dorastającej córki, chciała uzmysłwić sobie bezsens

romansu z mężczyzną niewiele od Lizzie starszym.

Ale Lizzie wychodziła z domu pół do dziewiątej, co oznaczało, że Laura miała przed sobą cały długi dzień samotności. Co gorsza odkryła, że Maria, ta gruba, brzydka Maria, miała kochanka, którego zwykła przyjmować w swoim pokoju zaraz po lunchu. Któregoś dnia

pojawił się i tym razem nie dał się odprawić z kwitkiem. Widocznie nie mógł dłużej znieść przymusowej abstynencji spowodowanej codzienną obecnością Laury. Po długich szeptach i wahaniach Maria pozwoliła mu zostać, po czym przez pół godziny dobywały się z jej pokoju przytłumione chichoty i inne dźwięki.

Mimo że Laura uznała wybraną przez nich porę za rozsądną ze względu na nieobecność Nicka, sama myśl o tym budziła w niej niesmak. Oczywiście wyobraźni widziała Marię i jej kochanka w najintymniejszych pozach. Obrazy zbliżenia cielesnego wywoływały w niej obrzydzenie. Nie tylko ze wstydem przypominała sobie, co robili z Martinem, ale nie do zniesienia była dla niej także myśl o zbliżeniu z Milesem. Wymawiała się kobiecą niedyspozycją, bólem głowy, wreszcie ogólnym osłabieniem. Miles przyjmował to ze zrozumieniem. Wypytywał, czy nie przemęcza się z powodu Lizzie. Zaprzeczyła stanowczo.

Tak minęło dziesięć dni.

W saloniku Lizzie leży na kanapie. Laura próbuje czytać. Miles przyszedł przed chwilą, chociaż pora jest późna, i je kolację podaną na tacy.

Nagle Lizzie niedbałym tonem mówi: - Zgadnijcie, kto dzisiaj przyszedł kupować guziki.

- Kto? - Laura odkłada książkę. Miles nie przerywa jedzenia.

- Zgaduj.

- Twoja mama.

- Po guziki, aż z Cirencester?

- Kto jeszcze może wiedzieć, że sprzedajesz guziki?

- Chyba pół Londynu. Czy mówiłam ci, że któregoś dnia zjawiała się Philippa, dziewczyna Martina?

Laura szybko wstaje. - Dla kogo kawa?

- Kto więc przyszedł po te guziki? - chce wiedzieć Miles.
- Martin! - wykrzykuje Lizzie.
- Kupował guziki do koszuli. Zapytał mnie potem, czy nie zagrałabym z nim w tenisa. Więc pytam, czy szuka czwartego gracza, przypuszczając, że Philippa ma grać jako druga, a ja jako trzecia. Na to on, że brak mu prócz mnie trzeciego i czwartego partnera, ponieważ Philippy nie ma w Londynie. Powiedziałam, że jest z całą pewnością, gdyż poprzedniego dnia kupiła u mnie cztery żółte guziki. Nic mi na to nie odpowiedział. Czy to lnie dziwne?

Miles odsuwa tacę. - Mógłbym grać w ten weekend.

Laura jest już przy drzwiach.

Chce wyjść, ale musi wysłuchać tej rozmowy do końca.

- Mówił, że moglibyśmy zagrać w sobotę rano. W jego klubie.

- Zabiorę Nicka na basen! - krzyczy Laura.

Miles i Lizzie patrzą na nią zaskoczeni. - Niech idzie razem z nami. Może podawać piłki.

Laura wychodzi zaparzyć kawę. Zdaje sobie sprawę, że nie może słowem odezwać się w sprawie tego tenisa z Martinem, żeby nie naturalnym głosem nie zdradzić swego napięcia emocjonalnego. Nie może znieść nawet myśli, że Miles mógłby zacząć coś podejrzewać. Od tygodni nalegała, żeby się wybrali na korty. Byłoby bardzo zastanawiające, gdyby teraz nie skorzystała z okazji. Idąc z kawą na górę decyduje, że najlepiej będzie nic nie mówić, umówić się na partię i postarać się odejść tuż po jej zakończeniu.

Później, odtwarzając w pamięci miniony wieczór, z satysfakcją odnotowuje, że Philippa nie wróciła na swoje miejsce przy Martinie.

Obudziwszy się w nocy

uświadamia sobie, że to Philippa musiała powiedzieć Martinowi, gdzie pracuje Lizzie.

Przed świtaniem jest już przekonana, że Martin zamierza ją upokorzyć, wykorzystując do tego celu Lizzie. Bez względu na to, o co tu chodzi, trzeba tę partię odwołać.

Ale rano, kiedy razem z Milesem i Nickiem siedzi przy

śniadaniu i nagle wpada Lizzie, żeby łyknąć trochę kawy, odwaga ją opuszcza. Uważa, że może tylko spokojnie wyrazić zgodę.

Laura gra dobrze, ale strój do tenisa nie jest stworzony dla jej figury, jej dużych piersi i raczej masywnych długich ud. Nigdy jej to specjalnie nie przeszkadzało. Jednak kiedy zjawia się Lizzie w krótkich szortach i trykotowej koszulce, widzi, że porównanie wypada zdecydowanie na jej niekorzyść.

Wciąż jeszcze przebiega w myślach różne możliwe wymówki, jednak nie mówi nic. Już schylając się, żeby wejść do samochodu, pojmując nagle, że im poważniej wygląda, tym dla niej lepiej.

Ta myśl dodaje jej odwagi i już raźniej kroczy za Milesem w kierunku klubu. Miles wygląda jak półtora nieszczęścia. Szczególne obrzydzenie budzą w niej jego nogi, blade pulchne ciało i niemal pozbawione mięśni uda. Pasują do siebie, są przygnębiająco nieestetyczną parą mieszczuchów w średnim wieku. Dziwi się, że Nicky, śliczny i żywy chłopiec, może takich rodziców kochać. Idąc tuż obok Lizzie o smukłych, długich nogach, oczyma wyobraźni widzi rujnujące zmiany, jakie ją czekają w miarę upływu lat.

Aż do obecnej chwili Laura nigdy nie odczuwała potrzeby powszechnie obserwowanych starań o prześciganie się w dobrym

wyglądzie. Nie sądziła także,
żeby Milesowi na tym zależało.
Natomiast mając trzydzieści pięć
lat, zachowywała się jak
lekkomyślna osiemnastolatka.

O świcie niebo pokrywały
chmury. Teraz z nieskazitelnego
błękitu świeci słońce. W lokalu
klubowym jest duszno i ciemno.
Znajduje się w nim barek oraz
mnóstwo stolików i krzeseł.

Z jednego z nich jak sprężyna
wyskakuje Martin. - Jesteście
punktualni!

- Jak się miewają aparaty? -
pyta Miles równie wesołym tonem.

- Buczą. Sądziłem, że będzie
miał pan kłopot z wyciągnięciem
wszystkich z łóżka o tej porze.

- Wiem, że masz na myśli mnie!

- wykrzykuje figlarnie Lizzie.

- Naturalnie, tylko ciebie. -

Martin pochyla się, żeby ją
pocałować w policzek.

Laura trzyma się z boku,
czeka, co z tej szarady
wyniknie, ograniczając się do
obserwacji i wysiłków, by miłość
przekształcić w nienawiść. Po
sposobie bycia Martina poznaje,
że jest zdenerwowany. Mimo że
nie patrzy na niego wprost,
doskonale wie, iż on także unika
jej wzroku. Kiedy całuje Lizzie,
jest pewna, że robi to, by
zrobić jej przykrość. Jeszcze
bardziej usuwa się z pola
widzenia.

- Wyjdźmy na kort - proponuje
Martin. Do tej pory jeszcze się
z nią nie przywitał. Laura
wychodzi za wszystkimi.

Kort jest czerwony, wysypany
tłuczoną cegłą i już rozpalony
jak pustynia. Martin kręci
rączką rakiety. - Losujemy.

Wszyscy energicznie obracają
rakiety, po czym sprawdzają.
Laura i Martin mają grać razem.
Będziemy musieli rozmawiać,

myśli Laura.

Idą obok siebie na koniec kortu. Zupełnie nagle Martin wybucha: - Nie mogę żyć dłużej bez ciebie!

- Nie mów w ten sposób -
odpowiada Laura.

Po drugiej stronie kortu Miles robi zamach ręką. Woła: - Gramy!
- Piłka przechodzi nisko nad siatką.

Martin i Laura patrzą na nią półprzymkniętymi oczami. Lizzie śmieje się na cały głos. Posyła swoją piłkę.

- Odbijaj! - woła Laura.

Martin patrzy na nią i uśmiecha się. Odbija piłkę tak mocno, że Lizzie nawet jej nie próbuje odebrać.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy rozegrać tej partii - mówi Laura nie spuszczać oka z Milesa, który przygotowuje się do następnego serwisu.

- Dokładnie to samo myślałem - uśmiecha się Martin szeroko, elastycznie podskakując na korcie. - Jeśli się już gra, warto rozgromić przeciwników.

Miles gra w tenisa w dobrym stylu, ale stracił formę i brak mu wprawy.

Lizzie jest bardzo aktywna, jednak ma słaby serw. Na Laurę można liczyć, mimo że nie jest zbyt szybka, Martin zaś koniecznie chce wygrać.

Laura zdaje sobie sprawę, że cała ta gra jest komedią, jednak w miarę jak akcja się rozkręca, słońce jest coraz wyżej i nawet Miles dostał kolorów, mimo woli

zaczyna na nią patrzeć inaczej,
jak na odwieczny rytuał,
pojedynek dwóch mężczyzn. Jest
pewna, że Miles nie podejrzewa
jej o żadne związki z Martinem.
Jednak demonstracyjnie agresywna
postawa Martina sprawia, że
Miles najchętniej by go
rozdeptał. Przyjaźnie był do
niego nastawiony wtedy w klubie,
na obiedzie, kiedy on, Miles, w
eleganckim wizytowym garniturze
występował jako wzięty adwokat.
Ale teraz, na tym rozpalonym
czerwonym żwirze, gdzie Martin
jest jego młodym, dynamicznym i

zdecydowanym zwyciężyć rywalem,
nie ma dla niego sympatii ani za
grosz.

Lizzie także pragnie go
pokonać. Z właściwym młodości
 optymizmem ludzi się, że
traktowałby ją wtedy bardziej
serio.

Laurze wydaje się, że jest
tylko obserwatorką, że nie
zależy jej na tym, kto wygra, że
czeka jedynie na koniec tej
partii. Ale kiedy Nicky, który
podaje piłki odrzucając je do
graczy, nie trafia piłką przy
jej serwie, krzyczy na niego
ostro: - Jak nie potrafisz
rzucić celnie, przestań w ogóle
podawać! - Nie czuje się winna,
że obiecała pójść z nim na
basen.

Na szczęście przestała myśleć.
Fizyczny wysiłek ogranicza pracę
szarych komórek do koncentracji
na nieskomplikowanym zadaniu
odbijania piłki. Stać ją na
traktowanie Martina jako
partnera, Milesa i Lizzie jako

przeciwników. Więzy małżeńskie nie obowiązują.

Laura zaczyna grać coraz lepiej. Wszyscy grają powyżej konwencji poziomu charakterystycznego dla towarzyskich partii, kiedy zagrania poszczególnych partnerów ustawicznie zawodzą oczekiwania. Własna sprawność jest dla nich prawdziwą niespodzianką.

Laura czuje, jak krew tętni jej w żyłach. Bola ją płuca i po plecach spływa pot. Takiego uczucia szczęścia nie doznawała od tamtego dnia, kiedy leżeli z Martinem nad brzegiem morza. Jedyna trudność, o której nie może zapomnieć, to żeby się powstrzymać przed rzuceniem się w ramiona Martinowi za każdym razem, kiedy zdobywają punkt. Mijają się przy podawaniu sobie piłek, przez ułamek sekundy muskając się wtedy dłońmi.

Każda z par wygrała po jednym

secie, trzy do czterech w gemach dla Martina i Laury. Serwuje Miles. Laura robi wszystko, żeby na niego nie patrzeć. Nagle Miles, podbiegając po serwie do siatki, wydaje stłumiony okrzyk i pada na kort.

Natychmiast przebiega jej przez myśl, że mógł dostać zawału serca. Brak treningu, upał, wiek. Między nim a nimi wszystkimi jest różnica dziesięciu lat. Zbyt nagle, by ją zatrzymać, przychodzi następna myśl: Jeśli umrze, mogłabym wyjść za Martina.

Rzuca się naprzód, wołając

głośno: - Szybko! Dostał ataku serca!

Ale Miles ani nie leży, ani nie stracił przytomności, tylko zgięty wpół przykucnął na korcie. Na widok okrążającej siatkę i zbliżającej się Laury podnosi głowę i przez zaciśnięte zęby syczy: - Nie dostałem żadnego ataku, idiotko.

Zwyczajnie naciągnąłem mięsień w nodze. Co za głupia sprawa!

Zapanowała cisza. Podbiega Lizzie, za nią Nicky. Martin podchodzi bliżej, ale zostaje po drugiej stronie siatki. Miles siedzi na korcie podtrzymując nogę. - Głupiec ze mnie. Grać w ten sposób, kiedy od całych tygodni nie trenowałem.

Według odwiecznych reguł rządzących rytualnym pojedynkiem w takiej chwili ogłasza się zwycięstwo. Miles został pokonany, jeśli nie wyeliminowany w ogóle. Lecz jego słowa, rozsądne przyznanie się do dziecinnej lekkomyślności, która go doprowadziła do klęski, ustawiło znowu grę we właściwej perspektywie.

Wszyscy czworo zachowywali się co najmniej nierozsądnie. Cenę za to zapłacił on, wybitny adwokat. - W poniedziałek mam poważną sprawę - uznaje za stosowne oznajmić.

- Czy chce pan, żebym wezwał

karetkę pogotowia? - pyta Martin matowym głosem.

- Nie. Jeśli mi pan poda ramię, będę mógł skakać na jednej nodze. Wystarczy ją spokojnie ułożyć i zabandażować.

Laura to potrafi. Nicky, weź
moją raketę.

Zachowuje się jak prawdziwy
mąż, bardziej niż kiedykolwiek.
Laura czeka, aż Martin okrąży
siatkę i pomoże podnieść się
Milesowi. Ich mały pochód rusza
naprzód.

Laurze tłucze się po
głowie myśl: Nie można żyć z
mężczyzną, jeśli się pragnie
jego śmierci.

Laura nie miała skłonności do
tragizowania. Nie lubiła
dramatycznych sytuacji. Jeśli
wydawało jej się, że ktoś zaraz
zacznie płakać, krzyczeć czy w
inny sposób zakłóci spokój,
instynktownie starała się gdzieś
wycofać, lub gdy to było
niemożliwe, próbowała nie
zwracać na całe wydarzenie
uwagi, w nadziei, że wkrótce nie
zostanie po nim śladu. Nie
dowierzała dramatom, uważając,
że tak jak ich nazwa, również
treść przywodzi na myśl
literacką fikcję. Rozumując w
ten sposób nie wyolbrzymiała
własnych przeżyć w trudnych
chwilach. Zachowywała się w
sposób naturalny.

Tak więc, kiedy skończył się
incydent związany z tenisem i
Miles wściekły, z obandażowaną
nogą, kuśtykał po mieszkaniu,
wymazała z pamięci tamtą myśl:
"Nie można żyć z mężczyzną,
jeśli się pragnie jego śmierci".

Zwyczajnie wyrzuciła z
pamięci, nie rozważając jej
głębiej. W obecnej w
rzeczywistości liczył się Miles
- jego służbowe obowiązki i jej
obowiązki wobec niego. Słowo
"obowiązek" stało się dla niej
znowu najważniejsze. Zauważyła,
że w umysłach współczesnych

pisarzy i dziennikarzy przestało ono jak gdyby funkcjonować. Będąc szczególnie wrażliwa na to, co się pisze na temat roli kobiety, a było tego bardzo dużo, doszła do przekonania, że wszystko wywodzi się z potrzeby samorealizacji, przesłanki czysto egoistycznej.

Nie mogąc rozmawiać o tym z Milesem, od którego ogromnie się oddaliła i który całkowicie jej zobojętniał, napisała długi list do Nell.

Był to raczej traktat aniżeli list. Odpowiedź Nell, pisana z pozycji obronnej, była niezwykle surowa: "Jedną z najładniejszych cech twojego charakteru było to, że nigdy nie osądzałaś drugich. Niektórym jest łatwiej niż innym wywiązywać się ze swoich obowiązków..."

Laura nie mogła jej jasno powiedzieć, że osądzała siebie samą.

W tym stanie ducha, w mniej więcej po tygodniu od gry w tenisa, Laura ponownie idzie do spowiedzi. Tym razem wybiera kościół w dzielnicy Londynu zamieszkałej w większości przez Irlandczyków. Czuje, że tutaj raczej zostanie potępiona, aniżeli zmuszona do dyskusji. Szczęśliwym zrzędzeniem losu trafia na długą kolejkę czekających na rozgrzeszenie starszych pań. Nie wytrzymałyby jej długiej rozmowy z księdzem.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Ostatni raz byłam u spowiedzi cztery

tygodnie temu. Od tego czasu
dopuściłam się zdrady
małżeńskiej i bardzo za ten
grzech żałuję. - Mówi to tonem
zdecydowanym, po czym w
napięciu, z głową opuszczoną,
czeka. W razie konieczności
ucieknie z kościoła jak
poprzednio. Laura słyszy
świszczący oddech księdza.

- Moje dziecko, dopuściłaś się
jednego z najcięższych grzechów,
twierdzisz jednak, że żałujesz.
Żal za grzechy jest cudowną
radością daną nam od Boga. Módl
się, abyś nigdy więcej nie
upadła i żeby ten sakrament mógł
ci dać siłę do podążania ścieżką
prawości. Za pokutą odmów jeden
raz "Zdrowaś Maria", na chwałę i
cześć Świętej Dziewicy.

Laura wychodzi z kościoła z
dziecinnym uczuciem, że jej
dusza jest czysta. Czy jest to
oczyszczenie pozorne, przez
sakrament, czy istotnie może
mieć czyste sumienie, tego nie
dochodzi i nawet nie ma na to
ochoty. Wyznała swój grzech i
udzielono jej rozgrzeszenia.
Wszystko ma swoje dobre strony.
Zdrada wróciła ją na łono
Kościoła. Zagubiona owca wraca
do owczarni. Będzie co niedziela
chodziła do kościoła, będzie się
regularnie spowiadała, będzie
osobą lepszą, czystsza, nie tak
egoistyczną.

Przede wszystkim ta
odmieniona, wewnętrznie silna,
wypełniona łaską Boską osoba
zabierze się do pracy, i to w
biurze. Nie ma teraz potrzeby
chować się, zaszywać w domu.

Czuje w sobie obecność Ducha Świętego i nie obawia się żadnej pokusy.

Laura siedzi przy biurku. Napływają do niej odpowiedzi na wysłane zaproszenia do wzięcia udziału w festynie z okazji Dnia Ochrony Kultury Rolnej. Patrzy na kalendarz i widzi, że zostało jeszcze tylko trzy tygodnie. Jeden z listów przyszedł od ministra rolnictwa, który obiecuje przyjechać i wygłosić mowę. Wiadomo, już także, że będzie minister ochrony środowiska. Nagle festyn staje się ważnym wydarzeniem. Obecnie nie ma się co martwić o szerokie echo prasowe.

Laura jest zadowolona i podniecona. Jest prawie pewna, że minister zgodził się na swój

udział tylko dlatego, że stała się tym nowym człowiekiem o czystym sumieniu. Poza tym dowiedziała się, że wiejska rezydencja ministra znajduje się w odległości zaledwie pięciu mil od miejsca, gdzie ma się odbyć festyn. Telefonuje do Bena Caseya, żeby mu przekazać dobre wiadomości. Ben jest zachwycony, ale nieco zaniepokojony z powodu ceremoniału, jaki trzeba będzie ustalić przy podejmowaniu dwóch ministrów.

- Politycy są gorsi od książąt.

- Przynajmniej obaj należą do tej samej partii.

- Wiesz co, zjedźmy razem lunch, żeby uczcić te wiadomości i ułożyć jakiś plan.

Dlaczegoż by nie? Laura nie widzi przeszkód. Kiedy się żyje

w zgodzie z moralnością, życie staje się naprawdę łatwe. Nie może sobie wyobrazić, że mogła kiedykolwiek chcieć czegoś więcej poza interesującą pracą i szczęśliwą rodziną. W swoim nowym stanie ducha, myśląc o Milesie, którego przy niej obecnie nie ma, jest przeświadczona, że polubi go tak samo jak dawniej.

Myśli przelotnie o tym, ilu ciężkich dni wypełnionych cierpieniem i poczuciem winy uniknęłyby, gdyby za pierwszym razem natrafiła na takiego księdza jak ostatnio.

Laura i Ben siedzą we włoskiej restauracji popijając białe wino. Ben rzuca uwagę:

- Naturalnie w ostatniej chwili najprawdopodobniej odwoła swój przyjazd.

- Bardzo możliwe. Ale przedtem zapewnimy sobie obecność wszystkich, na których nam zależy.

- To prawda. Szafuj jego nazwiskiem, jak tylko możesz. Mam nadzieję, że namiot jest wystarczająco obszerny.

- Pojadę tam w tygodniu

sprawdzić stan stodoły i ekspozyty na wystawę. Oczywiście stare traktory trzeba będzie dostarczyć dopiero w dniu festynu.

- Jak wyszły fotografie?

- Zupełnie nieźle. Potrzeba nam więcej powiększeń. Postaram się zanieść je dzisiaj do zakładu fotograficznego.

Laura kończy sałatkę z karczochów, myśląc jednocześnie

z satysfakcją, że jest kobietą pracującą zawodowo. To nic, że pensję ma niemal symboliczną, skoro jej praca jest potrzebna i wykonuje ją dobrze. Uważa, że zbyt popadła w rutynę. Kto wie, czy nie nadeszła odpowiednia chwila, żeby pokusić się o rozwinięcie swoich możliwości zawodowych. Przygotowywany festyn nastrecza jej sposobność kontaktu z wpływowymi osobistościami z wielu dziedzin życia publicznego. Nawet, na przykład, młodszy od niej Ben, który teraz układa na melonie parmeńską szynkę, mógłby się okazać przydatny, jeśli chciałaby otworzyć filię towarzystwa.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczyna Ben, wycierając swoje pełne, czerwone usta. Ma okrągłą, sympatyczną twarz i gęste, wijące się włosy. - Nigdy nie staniesz się urzędnikiem państwowym.

Laura czuje się dotknięta.

Ben wybucha śmiechem. - Nigdy nie mów, że możesz coś zrobić dzisiaj, czy nawet w tym tygodniu. Ktoś może odnieść wrażenie, że nie masz nic do roboty.

Laura uśmiecha się. - Już mi się udało. Uważam, że jestem bardzo dobrym urzędnikiem. Dobrze sobie radzę zarówno z ludźmi, jak z pracą biurową.

- Rozpacz! Błędów możesz uniknąć tylko wtedy, kiedy nic nie robisz.

- Chyba nie wierzysz w to, co

mówisz.

- Jestem przekonany, że to bardzo rozsądna taktyka.

- To jest niemoralne!

- Co to ma wspólnego z moralnością?

- Istnieje jednak zespół norm moralnych dotyczący wszystkich zachowań.

- Dla urzędników państwowych będziesz prawdziwą normą.

Laura nic sobie teraz nie robi z jego żartobliwego tonu.

Zainteresowała ją ta rozmowa. -

Ale ty przecież tak się nie zachowujesz. Ten cały zjazd farmerów jest niesłychanie ryzykownym przedsięwzięciem.

- Powiedziałem tylko, że jest to bardzo rozsądny sposób postępowania. Nie mówiłem, że ja tak postępuję. Można to odnieść do pracy we wszystkich urzędach państwowych. Zupełnie jakby się nosiło czapkę kominiarkę tyłem do przodu. Często zastanawiam się, czy nie porzucić tej pracy.

- I co dalej?

- Myślałem o pracy w kinematografii. Dopóki mi jeden ze znajomych nie odradził opowiadając, jak to u nich każdy jeszcze bardziej boi się wykazać inicjatywę aniżeli my. Wobec tego zanoszą się na to, że jednak zestarzeją się w służbie jej królewskiej mości.

Laura śmieje się z kwaśnej miny, jaką przybrała jego twarz.

- Wyglądasz o wiele za młodo, żeby myśleć o starości. - Od dawna nie była w takim beztroskim nastroju. Przychodzi jej na myśl, że rozmowa między kolegami z pracy, może nawet przyjaciółmi, jest rzeczywistością w tym samym stopniu, co Miles, Nicky, jej dom. Mimo miłości, jaką czuje do Martina, i mimo ich fizycznego zbliżenia nigdy nie rozmawiała z

nim normalnie. Napięcie
emocjonalne, jakie się
wytworzyło między nimi od samego
początku, wyeliminowało

jakąkolwiek rozsądną wymianę
myśli.

Fantazja, powtarza w duchu,
pijąc następny łyk wina. To coś
fantastycznego. Natomiast
rzeczywistość to ciekawa
dyskusja z przystojnym młodym
człowiekiem, który może się
okazać pomocny w mojej karierze,
i który, mimo że mu się podobam,
potrafi zachować granice, innymi
słowy, nie upadnie na kolana
wyznając mi dozgonną miłość.

Za chwilę, podczas gdy kelner
nakłada im na talerze
wyrafinowane przyrządzoną
cielęcinę z rusztu, Laura
stwierdza, że im dłużej siedzą
przy wspólnym stoliku, tym
bardziej Ben Casey wydaje się
jej pociągający. Co więcej,
jeśli przy kawie zaproponowałby
jej łóżko, czuje, że pokusa
byłaby wielka. Oparłaby się jej
naturalnie bez większych
trudności, ale pokusa
pozostałaby pokusą.

Laura jest przerażona. Kilka
razy jadła lunch z Benem, co
prawda nie w takich dobrych
restauracjach, ale nigdy do tej
pory nie przychodziło jej nawet
na myśl, że miałaby ochotę
zdradzić z nim męża. Dlaczego
zatem ten pociąg odezwał się w
chwili, gdy po pierwsze, jest
nieprzytomnie zakochana w innym
mężczyźnie, po drugie zaś,
zaledwie kilka godzin temu
wyrzekła się go na zawsze,

wybierając życie uczciwej
kobiety? To chyba wystarczy,
żeby uwierzyć w diabła. Uśmiecha
się do swoich myśli.

Istnienie diabła jest nawet
wy tłumaczeniem względnie
pocieszającym. W rzeczywistości
wydaje się, patrząc na to z
psychologicznego punktu
widzenia, że jej świeżo włożony
pancerz cnoty jeszcze nie chroni
jej dostatecznie przed wzmożonym
popędem seksualnym, wywołanym
miłością do Martina. Przychodzi
jej na myśl suka w okresie rui.

Patrzy na usta Bena i wyobraża
sobie, że je całuje. Na
szczęście wizję tą przesłania
potężny kęs cielęciny.

- Jesteś bardzo milcząca -
mówi Ben w przerwach między
żuciem. - Nie smakuje ci to
danie?

- Jest wyborne.

- Co podamy naszym znakomitym
gościom?

Laura przychodzi do siebie. -
Coś taniego. Kurczaki z różną i
frytki.

- To brzmi bardzo po
amerykańsku. Może raczej wół z
różną.

- Za duży koszt. Chyba, że
kupimy mrożonego, z importu z
Nowej Zelandii. To także trochę
się mija z tradycją angielską.

Lunch trwa. Laura stwierdza,
że nie dała się zdegradować do
poziomu zwierzęcia w czasie rui.
Nielatwo jest jednak dojrzalej
kobiecie przejść ze stanu
podniecenia seksualnego w
absolutny celibat. Rozwiązaniem
byłby powrót do Milesa. Jeszcze

przed godziną wydawało się to łatwe. Teraz zawstydzającą prawdą jest, że poszłaby do łóżka raczej z tym prawie nieznanym, który zaczął się jej podobać za ledwie pół godziny temu, aniżeli z własnym mężem.

- Kawa?

- Tak, proszę.

Od tej chwili jej twarz jest chłodną maską. Peszy to Bena, który, odkąd zobaczył czekającego na nią na chodniku Martina, sam uczął mieć pewne nadzieje. Nie spuszcza z niej oka, podczas gdy ona powoli kończy kawę.

- Powinam już iść. - Odstawia filiżankę.

Ben pochyla się do przodu. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Ale rezygnuje i zamiast tego jowialnie ujmuje jej rękę.

- Bardzo się cieszę z tego lunchu.

- Dziękuję ci bardzo - mówi Laura z westchnieniem ulgi pomieszanej z rozczarowaniem. Wie, co miał zamiar powiedzieć. Zdecydował się jednak uznać ją za żonę wierną.

Wstaje, jeszcze raz dziękując za lunch. - Wkrótce się zobaczymy.

Ben przeciągle patrzy jej prosto w oczy. - Jak najszybciej.

Ale odpowiednia chwila już minęła. Laura niecierpliwie obraca się plecami. Jest przeświadczona, że nigdy więcej nie da się opanować zmysłowym nastrojom. W pamięci staje jej niedawna spowiedź, w myśli robi

znak krzyża.

Czekając na rachunek, Ben z żalem patrzy, jak Laura pośpiesznie wychodzi z restauracji.

Od czasu naciągnięcia mięśnia Miles był bezustannie podrażniony. Miał dużo spraw, noga go bolała, a nie mógł sobie pozwolić na wypoczynek. Laura nie przejmowała się jego humorami, przeciwnie, odnosiła się do nich pogodnie, traktując je jako odpowiednią karę za swą niewierność. Poza tym były one doskonałą wymówką, żeby się trzymać od niego z daleka. Nie było sensu prowokować go miłym i zachęcającym wyrazem twarzy, kiedy burczał i gderał o byle co.

Ale po spowiedzi, z głową pełną teorii na temat obowiązków idących w parze z czystością serca, postanowiła zrobić pierwszy krok. Mógł ją odtrącić, miał do tego prawo. Z całych sił łudziła się nadzieją, że to zrobi. Niemniej uważała za swój obowiązek próbować się do niego zbliżyć.

Laura i Miles siedzą naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Maria wsuwa głowę w drzwi, by się pożegnać. - Miłego weekendu - mówi Laura ciepłym głosem.

Z kolei ukazuje się głowa Nicka, zapomniał odrobić lekcje. - Odrobisz rano - decyduje Laura pocieszająco.

- Może ci dam stołek, żebyś mógł położyć nogę? - pyta Milesa, który patrzy w talerz,

to zamyślony, to ponury na przemian. Szybko przysuwa stołek, mając nadzieję, że zauważy, iż przebrała się w sukienkę i wyszczotkowała włosy.

Nakłada mu na talerz potężną porcję risotta, biorąc dla siebie znacznie mniej. Straciła kilka kilogramów i nie chce ponownie przybrać na wadze. Ze skurczem serca myśli, że jedyny człowiek, na którym jej zależy, któremu chciałaby pokazywać swoje ciało, nigdy więcej się do niej nie zbliży.

- Jak twoja noga? - pyta z promiennym uśmiechem.

- W następnym tygodniu mogę sobie pozwolić na pięć wolnych dni. Wyjedźmy gdzieś. Tylko we dwoje.

Laura jest zaskoczona. Przecież to ona występuje z próbą pojednania. Machinalnie odpowiada: - Wspaniały pomysł! Już nie pamiętam, kiedyśmy ostatni raz wyjeżdżali razem.

- Muszę tę nogę doprowadzić do porządku. Trzeba pojechać gdzieś, gdzie mógłbym naprawdę wypocząć.

- Co powiesz na Irlandię? Może pojechalibyśmy do Roya? - Podsuwając mu ten pomysł przypomina sobie festyn i swoje postanowienie, że będzie traktowała pracę bardziej serio. Jakże może wyjechać i zostawić wszystko na pięć dni?

Milesowi podoba się perspektywa spędzenia tego czasu u Roya. Jest tam dobra biblioteka, a Roy na szczęście nie jest zbyt towarzyski. - Mógłbym wyjechać we wtorek wieczorem - decyduje. - I wrócić w niedzielę. Nicky zostanie z Marią i Lizzie, nic mu się nie

stanie. Lizzie może z nim pojechać w piątek na wieś do Johna.

Laura milczy.

W czasie ich pobytu w Irlandii padało. Nie były to deszcze ulewne. Zwyczajnie drobny kapuśniaczek, bardziej przypominający mgłę aniżeli deszcz. Od czasu do czasu pojawiała się słońce i przeświecało przez ten deszczyk jak światła rampy przez muślinową kurtynę. Wobec tego, że Miles nie ruszał się z fotela, otoczony górą książek, i prawniczych czasopism, Laura chodziła na długie spacery.

W tym samym czasie z niesamowitą, nasyconą wilgocą zielenią przychodziła jej do głowy przeróżne myśli. Uznała, że Miles przechodzi kryzys psychiczny. Naciągnięty mięsień, nogi nie dokuczały mu w tym stopniu, by doprowadzić go do takiej depresji. Było to sprzeczne z jego naturą. Zapewne przechodzi kryzys związany z przemianą hormonów właściwą dla jego wieku. Przypuszczała, że ma to związek raczej z pracą aniżeli z innymi czynnikami. Zbiegiem okoliczności nastąpiło to dokładnie w tym samym czasie, kiedy i ona stoi przed największym kryzysem swojego życia. Refleksje te wzmogły jej przyjazny stosunek do Milesa, nie na tyle jednak, by miała ochotę rozmawiać z nim na ten temat czy próbować mu pomóc. Jej życzliwość nie wychodziła poza abstrakcyjne rozmyślenia podczas spacerów po polach. Odwrotną

stroną medalu było to, że Miles stawał się w swoim obecnym stanie coraz mniej interesujący. Ona zaś zawsze stroniła od wszelkiej słabości.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że niezwykle jak na niego pomysł, by wyjechali razem gdzieś na odludzie, mógł

wyniknąć stąd, iż odgadywał, co się z nią dzieje. Nie posądzała go o taką przenikliwość.

Dużo także myślała o Nicku. Do macierzyństwa podchodziła w sposób naturalny, widząc w nim wyzbyte egoizmu doświadczenie w życiu kobiety, zaspokajające jej instynkty. Obecnie jednak przyłapała się na tym, że zaczyna się zastanawiać, jakie właściwie znaczenie ma jej osoba w życiu Nicka. Nie wyglądało na to, żeby ich wyjazd wywarł na nim jakieś wrażenie. Chciał być jedynie pewny, że będzie mógł oglądać swój ulubiony program telewizyjny i że dostanie swoje kieszonkowe jak zwykle. Uderzyło ją także, iż rzadko teraz o czymś jej opowiada. Jak gdyby uważał, że jej to nie będzie interesowało. W pewnym sensie miał rację. Znacznie łatwiej było słuchać z przyjemnością bezładnego szczebiotu cztero_ czy pięcio_latka aniżeli opowiadania siedmioletniego chłopca o futbolu czy o działaniu motoru spalinowego. Mając z sobą coraz mniej wspólnego, oddalali się od siebie nieuchronnie.

Laura wzdycha i tupie otrząsając błoto z gumowych

butów. Wybiera zwykle tę samą
trasę, biegnącą przez pola.
Pokonawszy mniej więcej trzy
czwarte drogi, dochodzi do kępy
potężnych dębów. Tu zatrzymuje
się na krótko, by odsapnąć i
nacieszyć oczy pięknem skapanego
w deszczu sielankowego
krajobrazu. Jest to chwila,
kiedy nie może dłużej odsuwać
myśli o Martinie.

Po bujnej, soczystej trawie
pastwiska powoli stają krowy,
biało_czarne holenderki. Leniwie
machają ogonami, oganiając się
od much, które roją się w
cieplej wilgoci. Miłość.
Dlaczego sądzi, że kocha
Martina? Albo on ją? Kochać to
stawiać kogoś na pierwszym

miejscu, przed sobą. Miłość nie
jest tą obsesją, którą powzięła
w stosunku do niego. Kiedy go
sobie wyobraża, wysokiego,
silnego, kochającego,
natychmiast widzi także siebie,
rozpromienioną, poświęcającą dla
niego wszystko, kochającą. Czuje
się podniecona na samą myśl, że
mogłaby być przy nim, jej ciało
tuż obok niego. Bardziej myślała
o własnym. Była to obsesja, nie
miłość.

A jednak to właśnie miłość
sprawiła, że stali się
organiczną całością. Kiedy była
razem z nim, czuła, jak są
zespoleni w jedność, była
spokojna, łagodna, bezpieczna,
szczęśliwa, była sobą.

Oczy Laury napływają łzami.
Kiedy jest od niego daleko,
czuje się całkowicie samotna,
opuszczona. Wychodzi spod koron

drzew i zaczyna się wspinać po stromym zboczu ścieżką, która prowadzi do domu. Walka ze stromizną zazwyczaj na tyle odciąga jej myśli od rozczulania się nad sobą, że może się pojawić w domu zarumieniona i w nastroju wystarczająco pogodnym, żeby podać Milesowi herbatę i ciasteczka. Ale dzisiaj skręca w lewo i schodzi do zabudowań gospodarczych, stojących w pewnym oddaleniu od domu.

Co rano udaje się tam Roy, wracając na lunch, a czasem nawet później, na podwieczorek. Nigdy dotąd nie przyszło jej na myśl, by pójść razem z nim. Większość zabudowań to budynki stare, wzniesione z kamienia, kryte dachówką, ale z tyłu za nimi, Laura dostrzega dużą nowoczesną stodołę i coś okrągłego, jakby silos. Całość robi wrażenie gospodarstwa nowoczesnego i dobrze prosperującego. Cieszy ją, że pomyślne rezultaty pracy łagodzą udreki spekulacji myślowych Roya. Jeszcze ma w oczach tamte tłuste holenderki i rozległe

pola, którym wkrótce dojrzewające zboże nada złocistą barwę. Pełna entuzjazmu szuka Roya, żeby mu pogratulować porządku i zasobnego wyglądu gospodarstwa. Jej własny dramat nabrał także innego wymiaru, jak gdyby podporządkowując się prawom natury.

Roy wychodzi z wozowni. Za nim idzie jego pracownik. Twarze mają zasepione. Laura macha ręką. Roy uśmiecha się, mówi coś

do swego towarzysza, który wraca
do szopy, i dopiero wtedy
podchodzi do Laury.

- Miałam właśnie zamiar
pogratulować ci, no,
wszystkiego. - Zatacza szeroki
łuk ręką. - Tymczasem widzę, że
nie masz najlepszej miny.

- To taktyka stosowana przez
farmerów. Na wypadek, gdyby ktoś
podejrzewał, że zarabiają zbyt
dużo pieniędzy. Rzeczywiście
jest mały kłopot. Odpadła pewna
niewielka część nowej,
piekielnie drogiej maszyny, bez
której nie można jej uruchomić.
Właśnie idę w pole w nadziei, że
może ją znajdę. Chcesz pójść ze
mną?

Laura bierze Roya pod rękę.
Trudno wyrazić, jak bardzo lubi
tego wysokiego mężczyznę o
niezgrabnych ruchach, którego
zna od niepamiętnych czasów.
Dotąd prawie z sobą nie
rozmawiali, skrępowani
obecnością przykutego do fotela
Milesa.

Przez chmury prześwieca
słońce. Idą energicznym krokiem
tą samą drogą, którą Laura przed
chwilą przyszła.

- Pomodłę się do świętego
Antoniego - mówi do Roya.

- Co to za święty?

- Opiekun zgubionych rzeczy.
Tylko raz mnie zawiódł, i to
wtedy, kiedy zapomniałam zanieść
funta do skrzynki z ofiarami na
biednych po tym, jak znalazł mój
zaręczynowy pierścionek.

- Nie wiedziałem, że jesteś

tym typem katoliczki. - Roy
patrzy na nią poważnym wzrokiem.

- Wierzę w świętego Antoniego.
Ostatnio dużo myślałam na temat
katolicyzmu. Byłam nawet u
spowiedzi.

- Poszłaś do jednej z tych
ponurych trumienek?

- Obecnie, jeśli kto chce,
może się spowiadać z pominięciem
konfesjonału, ustanowiono nową
formę wspólnej spowiedzi i
rozgrzeszenia. Ja wolę
konfesjonał. Ale ja należę do
ludzi starej daty.

- Dlatego mi się podobasz. -
Roy zatrzymuje się, żeby
otworzyć bramę. Szczeka rygłem,
poruszając go to w górę, to w
dół, po czym, jakby nie zdając
sobie sprawy z tego, co robi,
zaczyna wspinać się na bramę.

Laura już ma wybuchnąć
śmiechem, kiedy spostrzega jego
napięty wyraz twarzy. -

Chciałbym móc wierzyć -
oświadcza siedząc już okrakiem
na bramie.

To ją peszy, jednocześnie
bardzo pragnie kontynuować tę
rozmowę. Tak niewiele jej
przyjaciół chce poważnie
rozmawiać na temat religii. Roy
siedzi na kołyszącej się
otwartej teraz bramie,
kopnięciami swoich gigantycznych
zielonych gumiaków odbijając
się od sztachet.

- Jeśli będziesz bardzo
chciał, uwierzysz. To bardzo
proste.

- Nonsens! Przede wszystkim
pytanie, dlaczego chcę wierzyć.

- No właśnie, dlaczego?

- Ponieważ chcę być
szczęśliwy.

- Co w tym złego?

- Och, Lauro! - Na jego twarzy
maluje się wyrzut.

- Przepraszam. Wiem, że to
żaden powód, naturalnie dla
ciebie - gdyż większość ludzi go

uznaje. Ty jednak reprezentujesz
wyjątkowo wysoki poziom
umysłowy. - Marszczy brwi. - Nie

potrafię myśleć, kiedy siedzisz
na tej bramie. Zejdź, postaram
się wtedy błysnąć inteligencją.

Roy ze zdziwieniem spostrzega,
na czym siedzi, i szybko schodzi
na drugą stronę bramy.

Przytrzymuje ją, żeby Laura
mogła przejść. - Gdybym był
katolikiem od kołyski, tak jak
ty, wtedy nie potrzebowałbym dla
swojej wiary żadnego
uzasadnienia. Po prostu bym
wierzył. Ty jesteś bardzo
szczęśliwa.

Teraz nie idą już ramię przy
ramieniu. Laura obserwuje, jak
Roy myśli całym ciałem. Idąc
przed nią wykręca je i obraca w
przedziwny sposób.

- Dla mnie wiara nie
przedstawia trudności - oświadcza
Laura. - Wierzę w Boga, w
Kościół, w kochanego,
pocziwego świętego Antoniego.
Nie przychodzi mi natomiast
łatwo realizować zasady wiary w
codziennych czynach. Mój
stosunek do wiary jest
emocjonalny. W co byłoby ci
trudno uwierzyć?

- We wszystko. - Roy jest
całkiem zniechęcony. Czubkiem
butów kopie ziemię jak dziecko,
targa włosy. - Powiem ci, jakie
jest w tej chwili moje
stanowisko. - Szarpie rękaw
swojej kurtki. - Nie widzę
pośredniego wyjścia - albo się
jest ateistą, albo księdzem. -
Zatrzymuje się i patrzy na Laurę
przejmująco smutnym wzrokiem.

- Więc jesteś ateistą?

- Tak.

Laura nie czuje się na siłach
dyskutować w tym błyskawicznym
kapryśnym stylu. Zastanawia się,
czy mu nie poddać myśli, aby
porozmawiał z jakimś księdzem.
Nie zna jednak księdza, którego
by mu mogła polecić. Zresztą,
jeśli chciałby znaleźć
odpowiedniego duchownego,
najlepiej rozejrzeć się tu, w
tym kraju księży, gdzie Roy
właśnie mieszka. Laura spogląda

w dal, na rozległe, otwarte
pole.

- Czy już czas pomodlić się do
świętego Antoniego?

Roy stopniowo ustępuje ze
swego nieprzejednanego
stanowiska. Laura zastanawia
się, czy zupełnie nie udało się
jej go przekonać. Zaraz jednak
pociesza ją myśl, że sam fakt
rozmowy z miłym i uważnym
słuchaczem ma często większą
wagę dla dialektycznych
argumentów. Może je zresztą
znaleźć w książkach.

- To jest nasze pole. - Roy
rozgląda się dokoła. - Teraz
rozumiesz, dlaczego się nie
żenię.

- Chcesz być teraz ateistą, a
potem księdzem?

- Nie wiem, nie wiem.

Laura odwraca się. - Pomodłę
się do świętego Antoniego.

- Na kolanach?

- Nie - uśmiecha się w
odpowiedzi. - Jest za mokro.

Powinieneś równocześnie pomyśleć
o jakiejś nagrodzie.

- Odzywa się chciwość

Kościół.

- Kościół nie wie, co to дума.

- Дума? Uważasz, że można tu mówić o dumie? - Widząc, że Roy wpada znowu w stan podniecenia, Laura klaszcze w dłonie. - Szsz. Zaczynam.

- Będziesz się modlić na głos?

- Nie mogłabym się skoncentrować, czując na sobie twój wzrok i wiedząc, że słuchasz.

Laura się modli. Modli się nie tylko do świętego Antoniego, ale także do Jezusa i Jego Matki, Maryi, prosząc ich o wstawiennictwo. Zanim kończy, jej prośba o znalezienie kawałka stali przemienia się w żarliwą modlitwę za nią samą i za nieśmiertelność jej duszy. Żarliwość przepelnia jej serce w stopniu, jakiego nie zaznała od czasu, kiedy jako dziewczynka w zakładzie klasztornym modliła

się podczas rannej mszy codziennie przed śniadaniem. Stoi nieporuszona przez kilka minut, aż wreszcie Roy przestaje ją obserwować i oddala się.

Słońce znowu chowa się za chmurami i powietrze staje się bezbarwne i parne.

Laura poddaje się wrażeniu, że jeżeli ta modlitwa zostanie wysłuchana, jej życie odzyska czystość i szczęśliwość utracone przez poznanie Martina. Prócz tego będzie wewnętrznie mocniejsza, poznała bowiem, co to pokusa, i oparła się jej.

Roy doszedł przez ten czas do połowy pola. Krzyczy do niej: - Znalazłem! Znalazłem! Niech żyje

święty Antoni i jeden święty
powszechny Kościół!
Biegnie w jej kierunku
trzymając w górze żelazne
kółeczko.

X

Następnego dnia po powrocie
Laury do Londynu Martin dzwoni
do niej rano do biura. Tego
samego dnia po południu odlatują
razem do Nowego Jorku.

Laura nie bierze z sobą nic i
z nikim się nie żegna, nawet z
Nickiem. Wyjazd jest takim
szaleństwem, że można by go
uważać za urojenie, gdyby nie
promienne rozsadzające
szczęście, które każdy szczegół
tętniącego wokół życia czyni
wyraźniejszym, przeistacza w
przeżycie i intensywniejsze od
kiedykolwiek doznawanych.
Obecność Martina przemienia
każdą chwilę, jazdę taksówką na
lotnisko, czekanie na odlot,
filiżankę herbaty dla
wzmocnienia, przejazd autobusem
przez płytę lotniska i wreszcie
sam lot. Laurze nie chce się
wierzyć, że to samo, w tej samej
kolejności, robiła zaledwie
kilka dni temu z Milesem. Nic z
tego nie pamięta. Tamto było
senną marą. To obecne jest samą

prawdą, rzeczywistością życia.

Obejmująca ją ręka Martina
daje jej uczucie intymnej
bliskości. Jak gdyby leżeli
razem w łóżku. Nie może pojąć,
jak potrafili przeżyć tyle dni tak
daleko od siebie. Chciałaby,
żeby ten lot trwał nie siedem,

ale co najmniej dwadzieścia siedem godzin. Nie myśli o tym, co zostawiła za sobą.

Jeszcze tego dnia rano wyprawiła Nicka do szkoły. Kaprysił, awanturował się o nie uprasowaną koszulkę do futbolu. Uparł się, że wyjdzie do szkoły wcześniej niż zwykle i złościł się, że Laura go wstrzymuje. Zastanawiała się nawet, czy nie jest to odwet za to, że nie zabrała go z sobą do Irlandii. Uznała, że nie. Zwyczajnie, po dłuższej nieobecności wyraźniej rzuciły jej się w oczy jego wady. Wchodził w trudny okres rozwoju, niezbyt sympatyczny. Ponieważ nie miała pojęcia, że nie będzie jej w domu, kiedy wróci ze szkoły, nie zadała sobie trudu, by się serdeczniej z nim pożegnać.

Także Miles był nieswój w ten poniedziałkowy rano. Wczesnie się obudził, wiercił się w łóżku i przewracał z boku na bok, chrząkał i choć robił to dyskretnie, niemniej zbudził Laurę. Potem chciał się kochać. Odsunęła go jednak, udając, że śpi mocniej, niż to było naprawdę. Włożył więc szlafrok i zszedłszy na dół do gabinetu, zabrał się do pracy. O siódmej był już całkowicie ubrany i wpół do ósmej wyszedł z domu. Laura pocałowała go na pożegnanie, nie wstając z łóżka. Nie miała pojęcia, że wyjedzie.

Lizzie była znacznie miłsza. Przyniosła Laurze filiżankę herbaty i przysiadła na brzegu łóżka. - Smutno było bez ciebie. Dom zrobił się dziwnie ponury. Miałam tylko jeden przyjemny

wieczór.

- Jaki?

- Martin wyciągnął mnie z domu. Poszliśmy najpierw do kina, potem na pizzę i na koniec do nocnego lokalu.

Laura pojechała do biura, wysadziwszy po drodze Nicka. Nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego widok biura podziałał na nią przygnębiająco. Wydało jej się małe, zimne i brzydkie.

Od czasu tamtego lunchu z Benem uważała siebie za kobietę mocno osadzoną w zawodzie. To przeświadczenie bardzo ją podtrzymywało na duchu. Teraz jednak nie była tego zbyt pewna i nie bardzo ją to pociągało.

Zadzwoiła do Bena, by powiadomić go o swoim powrocie, ale jego sekretarka oświadczyła, że Bena nie będzie tego dnia w biurze. Zostawił dla niej wiadomość. Minister ochrony środowiska odwołał swój udział w festynie. Przyśle jednego ze swoich zastępców.

Laura usiadła przy biurku i spojrzała przez okno. Zobaczyła tylną ścianę ogromnego betonowego budynku, stojącego po przeciwnej stronie ulicy.

Postanowiła wyjść z biura i przynieść więcej powiększeń zdjęć, które zamówiła w zakładzie fotograficznym.

Kiedy wróciła, dzwonił telefon. Młoda urzędniczka z sąsiedniego biura wsunęła głowę do pokoju. - Dzwoni bez przerwy, ale ponieważ prosiłaś mnie, żeby nie odbierać, nie reagowałam.

- Przepraszam cię bardzo. -

Laura podniosła słuchawkę. - Halo.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Martin? - Laura usiadła na krześle. Drżała na całym ciele. Próbowała sobie przypomnieć, jak długo z sobą nie rozmawiali. Od czasu gry w tenisa.

- Muszę się z tobą zobaczyć, zaraz.

- Nie, Martin. Nie. -

Przypomniała sobie Lizzie. -
Dlaczego umawiałeś się z Lizzie?
Jak mogłeś?

- To jedyny sposób, żeby być bliżej ciebie.

- Nie powinieneś.

- W takim razie pozwól mi się widywać z tobą.

- To szantaż.

- Kocham cię, Lauro.

- Tak - odpowiedziała szeptem.

- Za dwie godziny odlatuję do Nowego Jorku.

- Och. - Więc od niej odjeżdża. Zadzwoił, żeby jej o tym powiedzieć. Przestał ją kochać.

- Nie wytrzymuję dłużej, nie mogę bez ciebie żyć. Kocham cię.

- Ja też ciebie kocham - szepcze Laura.

Zapadła cisza. Laura słyszy w słuchawce jego oddech. Wyznała mu, że go kocha.

- Lauro?

- Tak. - Jego głos wibrował ciepłem. Był jej bardzo potrzebny.

- Polecisz ze mną do Nowego Jorku?

- Tak - powiedziała bez wahania. Powiedziała po prostu "tak", jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Teraz siedzą w samolocie, lecą

do Nowego Jorku.

Martin zamawia drinki. Wyjmuje z neseseru gazety i czasopisma.

Laura przygląda się temu i mówi:

- Nie wzięłam nawet szczotki do zębów.

- Za pięć godzin będziemy w Nowym Jorku. Niedługo pohulamy po sklepach. - Kiedy się uśmiecha i pochyla nad nią, Laura nie może o niczym myśleć.

- Będę używała twojej! - wykrzykuje śmiejąc się.

- Jesteś piękna.

- To dlatego, że jestem szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa. Właściwie nigdy nie byłam szczęśliwa.

- Nigdy?

- Nigdy! - Laura przytula policzek do jego twarzy, wymazując z pamięci męża i syna.

Czas upływa niezwykle szybko. Nie mają czasu na przejrzenie prasy ani na rozmowę. Oboje są na rauszu i pochłonięci wyłącznie sobą.

Kiedy lądują na lotnisku Kennedy'ego, okazuje się, że jest tam jeszcze popołudnie i o kilka stopni więcej aniżeli w Anglii. Laura raptownie zatrzymuje się. - Nie mam wizy!

Ogarnięta paniką patrzy na krępego kontrolera w szarej koszuli, zajętego paszportową odprawą pasażerów. Co ona tu robi? W jakim celu przyjechała, bez walizki, bez wizy?

Martin obejmuje ją ramieniem.

- Daj mi swój paszport. - Otwiera go i uśmiecha się na widok fotografii. - Przynajmniej fotografia nie jest

przedawniona. - Błyskawicznie
przerzuca kartki. Zatrzymuje
się. - Dlaczego twierdzisz, że
nie masz wizy? Jest wiza, tutaj.
Ważna bezterminowo.

- Ależ nie byłam w Ameryce od
wieków. Sześć czy siedem lat. -
Nie mówi: "przed urodzeniem
Nicka", ale tak myśli.

- Dobrze, ale wtedy dostałaś
wizę bezterminową. Bogowie są
po naszej stronie.

Laura stara się opanować
drżenie. Nie będą jej o nic
wypytywać ani nie odeślą z
powrotem. Ale po raz pierwszy po
opuszczeniu Anglii pomyślała o
Nicku. O tej porze przyszedł już
ze szkoły i pewnie zastanawia
się, gdzie jest mama.

- Muszę wysłać telegram.

- Dobrze, zaraz po odprawie
celnej. - Słowa Martina działają
kojąco. - Celnicy zawsze lubią
się dokładnie przyjrzeć
poszczególnym częściom mojego
komputera. - Laura się uspokaja.
Stoją w kolejce w hali
oświetlonej neonami.

Laura układa telegram. "Jestem

z Martinem w Nowym Jorku.
Doleciałam szczęśliwie. Napiszę.
Powiedz Nickowi, że wyjechałam
na urlop." Zastanawia się, czy
wymienić nazwisko Martina. Może
to zabrzmie zbyt oficjalnie. Ale
jeśli tego nie zrobi, Miles nie
będzie wiedział, z kim
wyjechała.

Kiedy Laura przyleciała
ostatnim razem do Nowego Jorku,
była w ciąży jeszcze o tym nie
wiedząc. Swoje złe samopoczucie
przypisywała reakcji na lot

odrzuć i obcości tego
niezwykłego miasta. Miles ciągle
był zajęty konferencją, więc
spędzała czas samotnie albo w
towarzystwie innych żon, które
ją onieśmiały swoją energią i
ambicjami.

Obecnie widok żółtych taksówek
stojących przed portem lotniczym
wywołuje w niej wspomnienie
ówczesnego przygnębienia i
ciągłych nudności. Kiedy Martin
powiedział: "Leć ze mną do
Nowego Jorku", wyobraźnia
podsunęła jej obraz miasta
innego, skrzętego się od
wielkomiejskich świateł.

Martin otwiera drzwi taksówki,
pomagając jej przy wsiadaniu.

- Często bywasz w Nowym Jorku?
- pyta Laura, kiedy już siedzą
blisko siebie.

- Tak - stwierdza krótko.
Patrzy na nią z powagą. - Tu
zdobyłem zawód. - Przybliżyła
twarz, żeby ją pocałować. - Nie
wiedziałem, że byłaś tu już
kiedyś.

- Nie mówmy o tym.
- Dobrze. - Siedzą w
milczeniu, starając się
przywrócić ciepły, pełen
czułości i podniecenia nastrój
sprzed kilku chwil.

Zbliżają się do Manhattanu.
Taksówkarz pędzi jak szalony,
jezdnie są prawie puste. Rogatki
i mosty przelatują jedne za
drugimi i wtem, zupełnie nagle,
poszarpaną linią na tle nieba
wyłaniają się strzeliste bloki

i smukłe wieże.

Laura krzyczy: - Spójrz! Och,
spójrz! - Jej ożywienie potęguje

się z każdą chwilą. Trasa szybkiego ruchu, którą jadą, prowadzi przez miasto, spada w dół i ciągnie się wzdłuż rzeki.

- Zatrzymamy się w śródmieściu - mówi Martin. - W środku nieznanego, wszystko jedno gdzie.

- Czy zamieszkamy razem? - Laura stara się nie zdradzić głosem niepokoju.

- Oczywiście. Będę przy tobie przez cały czas. Nie będziemy się w ogóle rozstawać. Możesz chodzić ze mną na wszystkie spotkania. Jeśli się to komuś nie spodoba, nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Patrzą na siebie uśmiechnięci. Wszystko znowu wydaje się takie proste.

Martin jeszcze nigdy nie zatrzymywał się w hotelu Downtown. Hotel stoi w starej dzielnicy, zaprojektowanej na wzór londyński w formie czworoboku, w odległości kilku kroków od zaplecza handlowego. Dostali pokój duży, ale ciemny. Laurę uderza myśl, że oto ona, która zawsze znajdowała tak wielkie oparcie w przedmiotach, posiadanych rzeczach, znalazła się tu kompletnie bez niczego.

Ten fakt ją ośmiela. Właściwie co ma do stracenia? Obejmuje Martina ramionami, tuląc się do niego.

- Zdawało mi się, że chciałaś kupić szczoteczkę do zębów.

- Jest tylko jedna rzecz, której teraz bardzo chcę.

Idą do łóżka.

Laura leży, po głowie snują się jej strzępy myśli. "Wyzuta ze wszystkiego". "Opętana". "Wolna". Dziwi się, że ma nogi tak naturalnie splecione z nogami Martina. Czyżby jej ciało wyzwoliło się tak jak jej dusza?

Czy po to właśnie leciała do
Nowego Jorku?

Leżą razem w łóżku. Jeszcze
serca im biją głośno i nie
obeschła skóra. Z czułością tulą
się do siebie.

- Kocham cię.

- Kocham cię. - Miłość? Laurze
przypomina się spowiedź, jedna
chwila i zapomina.

Zapadają w sen.

Kiedy się budzą, czują
pragnienie, głód, są szczęśliwi.

- Wszystko mi jedno, gdzie
jesteśmy i która godzina! -
Radośnie ogłasza Laura.

Biorą prysznic i wychodzą na
miasto. Ogarnia ich delikatne
ciepło wieczoru. Idą trzymając
się za ręce jak dzieci. Laura,
zwykle wymagająca, jeśli chodzi
o strój, z dumą idzie w sukni
wygniecionej w podróży.

Martin nalega, żeby weszli do
sklepu z damską garderobą.

Siada, a Laura zaczyna
przymierzać grające kolorami
jedwabne stroje. Martin wybiera
trzy suknie i pastelowy żakiet,
prócz tego bieliznę.

Ekspedientki, którym
obsługiwanie ich wyraźnie
sprawia przyjemność, starają się
to i owo doradzić, dyskretnie
kokietując Martina.

Wychodzą ze sklepu obładowani
torbami. - Moja ślubna wyprawa -
śmieje się Laura.

- Mój Boże! - Martin patrzy na
zegarek. - Mieliśmy tam być o
ósmej.

- Gdzie?

- W restauracji. - Robi
zdziwioną minę. - Nie mówiłem ci

o tym?

- Nie mówiłeś.

- Jeannie i Hal Gluckman chcą zjeść z nami obiad. Zwykle zatrzymuję się u nich.

- Och! - Odkąd tu są, Martin nigdzie nie telefonował. Dla tych przyjaciół jej pojawienie się będzie całkowitą niespodzianką. Duma nie pozwala jej jednak na żadne uwagi.

Martin przyciska ją do siebie, obejmuje w talii. - Nic się nie

martw. Upadną ci do nóg jak wszyscy.

Laura odsuwa się nieco. Nie o to przecież chodzi. Rzecz polega na tym, że ma niejasne uczucie urażonej godności. Nadal nic nie mówi. Idą dalej. Duże firmowe torby objają się im o nogi.

Martin chwyta ją za rękę i przytrzymuje. - Co się stało?

- Nic.

- Nie mów w ten sposób.

Powiedz mi prawdę. Nie wolno ci mieć prede mną sekretów.

Laura siłą wyzwala rękę, unikając jego oczu. Jest to ich pierwsza sprzeczka. Tak szybko. Nie zwykła robić czegokolwiek pod przymusem. Miles jest zadowolony, ile razy uda mu się uniknąć spornych kwestii czy ostrej wymiany zdań. Przywykła do jego dyskrecji. Szczerłość. Domaga się szczerości, tu? Na środku ulicy? Jest jej gorąco i czuje się zmęczona. Stawia torby. Patrzy mu prosto w twarz.

- Zanim coś postanowisz, musisz mnie uprzedzić. - Oczy nabiegają jej niepotrzebnymi łzami. Mruga powiekami.

- Kochanie. - Obejmuje ją.
Kilku gapiów przystaje,
obserwując, co się dzieje. - Nie
pomyślałem o tym. Przepraszam.
Nie pójdziemy na ten obiad, to
jasne. Nie zależy mi na nich.
Naprawdę. Są dla mnie niczym.
Niczym w porównaniu z choćby
chwilą twojego niezadowolenia.
Umówiłem się, bo chciałem się po
prostu tobą pochwalić. Nie
myślałem, że sprawię ci
przykrość.

Widząc jego poruszenie, Laura
się uspokaja. Wyciąga do niego
rękę. Po każdym dotknięciu
odnajdują się na nowo.
Dotknięcie jako podstawa
miłości. - Już dobrze. Chciałbym
poznać twoich przyjaciół. Pozwól
mi tylko pójść najpierw do
hotelu.

- Naturalnie. Zadzwoń z
hotelu do restauracji,

wytłumaczę, że przyleciałeś ze
mną i że się trochę spóźnimy.

X (c.d.)

Po Jeannie i Halu nie widać,
żeby byli niespokojni z powodu
ich późnego pojawienia się. Piją
wino i dyskutują o udziale
Rosjan w konflikcie
bliskowschodnim. On wyklada
historię Japonii na
uniwersytecie nowojorskim.
Jeannie jest lekarką. Są do
siebie podobni. Oboje szczupli,
ciemni i wysocy. Dla Laury

niespodzianką jest odkrycie, że są to najbliżsi przyjaciele Martina w Ameryce. Pamięta, co pomyślała o nim, widząc go po raz pierwszy. Stał wtedy na wiejskiej stacyjce w krótkiej narciarskiej kurtce. Oceniała go jako niezbyt inteligentnego potomka angielskiej arystokracji. Spodziewała się, że jego znajomi to raczej ułożeni, dobrze wyglądający panowie, którzy tylko trochę bardziej interesują się pracą niż tenisem.

- Miło nam panią poznać. -
Jeannie wyciąga rękę. - Nie powiem, żebym o pani słyszała, gdyż dowiedziałam się o pani istnieniu dopiero przed dziesięcioma minutami. -
Uśmiecha się szeroko, pokazując długie żółtawe zęby. - Ale bardzo się cieszę, że się poznajemy.

Domyśla się, że są kochankami. Laura słyszała rozmowę telefoniczną Martina. Powiedział o niej tylko to, że się przyjaźnią i że przyjechała zobaczyć Nowy Jork. Mimo to Jeannie i Hal domyślają się, co ich łączy. Okazują to w niezwykle miły sposób. Naturalnie nie wiedzą, że Laura jest mężatką i ma syna. Ale nawet gdyby wiedzieli, Laura nie ma wątpliwości, że skłonni byłiby ją polubić. Jest przecież w kraju, gdzie zjawisko odchodzenia żon jest powszechne,

w jej postępowaniu nie dostrzegliby więc nic skandalicznego czy karygodnego.

Właśnie to jest dla niej
najgorsze. Ponieważ jej zasady
są inne. Wierzy w małżeństwo.
Dochowała swemu mężowi wierności
przez dziesięć lat.

Laura odwzajemnia miłe
powitanie Jeannie i podaje rękę
Halowi. Jest zmieszana i
niepewna siebie. Dlaczego
właściwie siedzi w tej źle
oświetlonej restauracji przy
stoliku nakrytym obrusem w
kratkę? Hal nalewa jej kieliszek
czerwonego wina, które Laura
wypija niemal natychmiast. Jest
kochanką Martina. Oto dlaczego
znalazła się tutaj.

- Wpadłeś tylko na dzień, dwa,
czy pobędziesz dłużej? - pyta
Hal Martina.

- Nie wiem. Nbc chce ze mną
rozmawiać na temat programów
komputerowych. Nie mam pojęcia,
jak długo tu będziemy. - Martin
spogląda na Laurę. Nie
rozmawiali ze sobą na ten temat.
Ich pobyt nie jest ograniczony
żadnym terminem. Ustalenie go
oznaczałoby konieczność
zastanowienia się nad
przyszłością. Na razie nic
jeszcze nie potrafiliby
zdecydować. Laura spostrzega, że
Martin jak gdyby tracił pewność
siebie w trakcie tego obiadu.
Może jednak nie był to
najszcześniejszy pomysł. Laura
postanawia ratować sytuację.
Wino dobrze na nią działało.
Ma świetne samopoczucie. Jest
przekonana, że wystarczy jedno
jej spojrzenie, aby Martin
odzyskał pewność siebie i dobry
humor. Szuka pod stołem jego
ręki i zaciska na niej dłoń.

- Za kilka dni wybieram się do
Anglii - oznajmia Hal. - Mam
wygłosić odczyt.

- Stał się teraz taki wielki -
mówi Jeannie - że go prawie nie

widuję. Studenci w ogóle go nie oglądają.

- Jeannie wie, że nie mam obecnie zajęć ze studentami. Ostatnia rzecz, o jakiej myślą absolwenci, to ciągle obcowanie z ulubionym profesorem.

- O niczym więcej nie marzę, jak o ciągłym obcowaniu z ukochanym mężem.

Hal zwraca się do Laury. - Jeannie postanowiła zerwać z pracą teoretyczną i przejść do lecznictwa otwartego. Wystarczy jednak pół butelki wina i już żałuje tej decyzji.

- Tylko wtedy, kiedy wyfruwasz w obce kraje zostawiając mnie z Samem, którego czeka wiercenie zęba, i z Eleonorą w pierwszym dniu egzaminu w szkole.

- Mój... - zaczyna Laura. Nie kończy zdania. Chciała powiedzieć: "Mój syn ma zły zgryz i musi nosić aparat korekcyjny". - Moja praca polega na zajmowaniu się zabłoconymi ciągnikami i oborami - mówi zamiast tego, pijąc następny łyk wina.

- Laura prowadzi coś o nazwie Liga Ochrony Kultury Rolnej - wyjaśnia Martin. - W dziedzinie zabytkowych obór jest wielkim autorytetem.

Laura jest zadowolona, że powstrzymała się od wyjaśnienia, że ma syna. Ma prawo być sobą. Dlaczego ma na wszystko reagować jak typowa matka? Żona i matka. Z wolna zaczyna w niej kiełkować uczucie żalu nad sobą. Narasta powoli, ledwo uchwytnie, myśli o tym z dystansem. Miles

wyszkolił ją na pokorną żonę i matkę.

Wieczór zaczyna Laurze sprawiać przyjemność. Zasłużyła na urlop. Czuje się otulona miłością Martina jak pancerzem chroniącym ją od nękających wątpliwości. Nie zależy jej na tym, co sobie pomyślą Jeannie i Hal. To mądrzy ludzie. Niech sobie dochodzą do własnych wniosków. Nie ma w stosunku do nich żadnych zobowiązań. Tutaj w

ogóle nie ma żadnych zobowiązań.

Martin i Laura kochają się przez całą noc. Śpią, budzą się, rozmawiają. Opowiadają o sobie, o swoim dzieciństwie, o rzeczach, które działy się tak dawno, że o nich niemal zapomnieli.

Laura opowiada mu o koniach, szkole i śmierci matki.

Martin o pierwszych latach nauki, nudzie i o chwili, kiedy po raz pierwszy dotknął komputera. - Drżałem na całym ciele, zrobiło mi się gorąco. Nareszcie poczułem, że wstępuje we mnie życie.

- Jak wtedy, kiedy się człowiek zakocha.

- Żebyś wiedziała.

W tym odsłanianiu przeszłości Laura zatrzymuje się tylko przed swoim małżeństwem. Żadne z nich nie mówi na ten temat ani słowa, oboje wiedzą, że jest to teren niebezpieczny.

Kochają się, śpią, rozmawiają, kompletnie zatracili poczucie czasu, szczególnie Laura, wytrącona z równowagi nie tylko

z powodu geograficznej różnicy w porach dnia i nocy, ale również przez skok z jednego życia w drugie.

Budzą się, kiedy słońce świeci przez ażurowe story jasnym blaskiem. Martin szybko wyskakuje z łóżka. - Która może być godzina? Mam spotkanie w pół do jedenastej.

Laura wodzi za nim leniwym spojrzeniem. Martin pochyla się nad walizką pełną różnych sworzni i śrub. Jest nagi. Ciało ma jędrne, mocne, złote w blasku słońca. Kocha go tak bardzo, że serce w niej taje. Krzyżuje ręce na piersiach i uśmiecha się.

- Z czego się śmiejesz?

- Czy kochasz mnie tak jak te swoje komputery?

- Co za pytanie! Kiedy pomyślę, ile mnie kosztowałaś energii! Wystarczyłaby na

ogrzanie dużego miasta przez cały rok.

Laura przygląda się, jak Martin szybko biegnie pod prysznic. Nie, ona nie ruszy się z łóżka do południa. Będzie sobie leżała, skulona jak teraz. Potem zjedzą razem lunch i pójdą rzucić okiem na miasto. Kiedy wrócą, znów będą się kochać. Na tę myśl czuje na całym ciele rozkoszny dreszcz. Zwija się mocno w kłębek i zamyka oczy.

Martin chodzi po pokoju tu i tam, dopełniając toalety. Teraz Laura na niego nie patrzy. Pochyla się nad nią. - Wychodzę. Tu jest mój numer telefonu, na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała. Zadzwoń koło

wpół do pierwszej i powiem ci,
gdzie jemy lunch. - Całuje ją. -
Instynkt mi mówi, że nie mam
sobie co po tym spotkaniu
obiecować.

Laura całuje go i z powrotem
układa się wygodnie w pościeli.
Martin zamyka za sobą drzwi.

Przez jakąś godzinę Laura
leży, drzemie i znów się budzi,
nasłuchując obcych odgłosów
nieznajomego miasta. W hotelu
panuje cisza, jak gdyby wszyscy
gdzieś wyszli na cały dzień.
Jest zadowolona z tego, że
została sama, czuje się
zmęczona. Ciało dominuje nad jej
myślami, szczęście okazuje się
sprawą całkiem nieskomplikowaną.

Stopniowo wraca do stanu
pełnej świadomości i przewagę
zyskuje umysł. Zastanawia się,
która godzina może być teraz w
Anglii. Piąta. Pora
podwieczorku. Z nagłym uczuciem
żalu, że coś traci, widzi
siedzącego w kuchni przy stole
Nicka, zjadającego grzanekę
przypaloną przez brzydką Marię.

Wyskakuje z łóżka i biegnie do
łazienki. Bierze prysznic,
mocząc także włosy, i bez końca
stoi pod strumieniem lejącej się
wody. Kiedy wreszcie zakręca
gałkę, dygocze i szczęka zębami.

Energicznie wyciera się
ręcznikiem, uwalniając się
przynajmniej od zewnętrznych
objawów całkowitego
roztrzęsienia.

Ożywia się nieco przy
wkładaniu nowej bielizny i
wyborze sukni. Wprawdzie słońce
straciło poprzednią jaskrawość,

ale nawet przez okno czuje, że dzień jest upalny. Decyduje się na suknię turkusową.

Siedzi przy toalecie. Włosy zostawiają na ramionach mokre plamy niczym epolety. Wpatruje się w odbicie swej twarzy w lustrze, czekając, czy jeszcze raz pojawi się na niej przerażenie na myśl o tym, co utraciła. Zastanawia się, która może być godzina. Co Martin mówił? Że o której zadzwonił? Między dwunastą a wpół do pierwszej. Biegnie spojrzeć na zegarek. Dopiero dwadzieścia po jedenastej. To niemożliwe. Ciska zegarek, potrącając telefon.

Wolnym krokiem wraca do toaletki. W tym samym momencie, kiedy siada, odzywa się dzwonek telefonu, podrywając ją natychmiast z krzesła. Podnosi słuchawkę.

- Halo. - Cisza. Trzyma słuchawkę w nadziei, że w końcu odezwie się przyjazny głos. Już ma położyć ją na widelki, kiedy ktoś się odzywa.

- Tu centralka.

- Och.

- Czy pani chce zamówić rozmowę?

- Nie. Ja... Przepraszam. -

Szybko kładzie słuchawkę. Niemal w tej samej chwili zdaje sobie sprawę, że mogłaby zadzwonić do Nicka. Milesa nie będzie jeszcze w domu. Byłoby to najprostsze, czułaby się najmniej skrępowana. Mogłaby go w jakiś sposób uspokoić. Potem Nicky uspokoiłby Milesa. Z pewnością nie zapyta, skąd dzwoni. Znowu podnosi słuchawkę.

- Halo.

- Jest do pani telefon.
- Słucham? - Laura nie rozumie, o co chodzi. To ona chce zamówić rozmowę.
- Halo, Laura?
- Jestem przy telefonie.
- Tu Jeannie. Jak się czujesz?
- Doskonale. Jestem...
- Martin poddał myśl, żebyśmy poszły razem na lunch.
- Mam się przecież z nim spotkać. Umówiliśmy się.
- To znaczy, że się jeszcze z tobą nie zdążył porozumieć. Ugrzązł na lunchu ze swoimi kontrahentami.

Laura milczy.

- Mogłybyśmy pójść do jakiejś naprawdę dobrej restauracji. Dobrej i eleganckiej. Albo dobrej i oryginalnej. Lub jeśli wolisz, możesz po prostu przyjść do mnie.

Laurze nie odpowiada żadna z tych propozycji. Chodzi jej tylko o Martina. Bezpośredniość i energia Jeannie ją przeraża. Chce być z Martinem. Chce być z Nickiem. Ze swoim synkiem. Czuje, że zaraz wybuchnie niepowstrzymanym płaczem. Musi skończyć tę rozmowę.

- Przepraszam cię bardzo i dziękuję. Ale jeżeli Martin nie może zostawić swoich interesów, wolałabym może odnaleźć dawną przyjaciółkę.

- Ależ naturalnie. Dzwonię na wypadek, gdybyś nie miała nic lepszego...

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Laura kładzie słuchawkę. Łzy płyną jej po policzkach. Jak może, panuje nad sobą, żeby nie krzyknąć i nie tłuc głową o ścianę.

Znowu odzywa się telefon.

Martin. Nie odbiera telefonu.
Nienawidzi go. Przestaje płakać
i już ma podnieść słuchawkę,
kiedy telefon milknie. Łzy na
nowo zaczynają napływać do oczu.
Kładzie się na łóżku. Tarza się
po nim z bólu i z żalu nad sobą.

Nie szlochała tak od czasu,
kiedy miała szesnaście lat.
Gardzi ludźmi, którzy płaczą.
Ponownie dzwoni telefon. Ku
własnemu zdumieniu natychmiast
przestaje płakać i podnosi
słuchawkę.

- Laura.

- Tak - Nie powiedział do niej
"kochanie". Ogarnia ją gniew.
Zawsze uważała, że nie należy do
osób impulsywnych.

- Mówię z pokoju, gdzie toczą
się rozmowy. - A więc z tego
powodu nie powiedział do niej
"kochanie". Laura stara się
zapanować nad uczuciami. - Boję
się, że nie skończą się przed
lunchem. Tak mi przykro.

- Dzwoniła Jeannie. Nie mogłam
zrozumieć, o czym ona mówi.

- To ja ją o to prosiłem.
Chciałem zadzwonić najpierw do
ciebie, ale telefon był zajęty.
Z kim rozmawiałaś?

- Z nikim.

- Och. - W jego głosie Laura
wyczuwa niepokój. Sprawia jej
to przyjemność. - Nie mogę teraz
rozmawiać. Będę w hotelu o wpół
do czwartej. Baw się dobrze z
Jeannie.

- Nie zobaczę się z Jeannie.

- Jak to? Posłuchaj, muszę już
kończyć. Dlaczego mówisz, że nie
będziesz... - Przysłania
mikrofon słuchawki. Laura

słyszy, jak kogoś przeprasza.

- Do zobaczenia! - rzuca mu głośno w słuchawkę i odkłada ją na widełki.

Przemierza pokój wielkimi krokami tam i z powrotem, głośno szlochając. Zostawiła dla niego męża i ukochanego syna, a on nie może przerwać handlowych pertraktacji. Lunch.

Rozlega się pukanie do drzwi. Stoi zupełnie nieruchomo. Jest pewna, że to Martin. Jest nagle niewymownie szczęśliwa. Tak szybko przyjechał, żeby ją uspokoić.

Drzwi się otwierają. Ukazuje się w nich głowa pokojowej. Na

widok twarzy Laury prędko się wycofuje.

- Nie będę przeszkadzać!
Proszę się nie śpieszyć!

Laura siada na łóżku. Jest już opanowana. Twarz ma spokojną. Po chwili podnosi słuchawkę.

- Proszę recepcję... Czy mogę prosić o podanie mi rozkładu lotów do Londynu?... Dzisiaj.

Laura wychodzi z hotelu. Jest w Nowym Jorku niecałą dobę. Pierwszy raz znalazła się na zalanej słońcem ulicy. Hałas i upał przyprawiają ją o zawrót głowy. Przejeżdża żółta taksówka. Zatrzymuje ją i szybko wchodzi do środka.

- Dokąd mam jechać?
Dokąd? Laura próbuje zastanowić się nad jakimś miejscem, gdzie choć na chwilę mogłaby zapomnieć o swym nieszczęściu. - Do Metropolitan Museum, proszę.

- Pani z Anglii?

- Nie. - Laura wtula się w kąt tylnego siedzenia.

Kierowca obraca się, żeby się jej lepiej przyjrzeć. - Zle się pani czuje?

- Nie.

- Nie lubię w taksówce chorych pasażerów. Szczególnie kobiet. Mają dziwną skłonność do poronień i plamią mi czystą tapicerkę.

Laura wyprostowuje się i oświadcza podniesionym głosem: - Nie jestem chora, miałam kłopoty i zwyczajnie jestem wściekła. Nie wiedziałam, że przed wejściem do taksówki trzeba okazać świadectwo zdrowia.

- Okay. Okay. - Taksówkarz potulnie pochyla się nad kierownicą. - Nie jest pani chora. - Chwila ciszy. - Ale jest pani Angielką.

Laura poddaje się. - Jestem.

- Z jakiej części Anglii? Z samego wspaniałego Londynu?

- Tak.

Jazda do Metropolitan Museum jest długa. Podczas gdy kierowca

opowiada jej swoje wrażenia z wycieczki taksówkarzy po miastach europejskich, Laura rozmyśla nad swoją sytuacją. Ostatecznie jest dumna, że głośno wyznała przed chwilą, co się w niej dzieje. Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby przed kimkolwiek przyznała się do niemiłych przeżyć. Uśmiecha się nawet na myśl, jaka uradowana byłaby Nell, gdyby to słyszała. A więc dołączyła do potężnej armii cierpiących kobiet. Wzbierająca w sercu gorycz

przeciw mężowi teraz obejmuje również Martina. Mimo to nie poddaje się depresji. Określiła swój stan zgodnie z rzeczywistością. Jest przygnębiona i wściekła. Tkwi to w niej głęboko. Ale nadal sądzi, że sprawy przyjmą pomyślny obrót. Podtrzymuje ją na duchu pamięć o szczęściu dopisującym jej w życiu i ufność, że nadal jej nie opuści.

Laura przemierza sale muzealne niczego nie dostrzegając. Próbuje skupić uwagę na oglądanych płótnach, ale treść ich ciągle jej się wymyka. Pomimo to czuje się spokojniejsza, pozbawione dla niej treści obrazy nawet pomagają w pewnym stopniu uzyskać dystans wobec własnych przeżyć. Długie piękne sale, zawieszane zgromadzonymi tu dziełami sztuki, ciągną się jedna po drugiej. Jej niemal godzinna wędrówka po muzeum przypomina spacer wiejską drogą. Od czasu do czasu przystaje, żeby nasycić oczy malowniczym krajobrazem.

Wychodząc z muzeum Laura czuje, że jest bardzo głodna. Zastanawia się, gdzie pójść coś zjeść, i decyduje się na drogą restaurację. Wczoraj wieczorem, kiedy robili zakupy, dostała od Martina pieniądze, które teraz wyda z prawdziwą satysfakcją. Kupuje numer "New York Timesa" i

wchodzi do pierwszej napotkanej restauracji z czystą markizą nad wejściem.

Okazuje się, że jest bardzo

droga. Starszy kelner z niskim ukłonem wskazuje jej stolik w rogu sali. Większość osób kończy już swój posiłek. Laura spostrzega, że zwraca powszechną uwagę, i sprawia jej to prawdziwą przyjemność. Otrząsnęła się z przygnębienia. Jest wolna jak ptak, sama w wielkiej metropolii. Za kilka godzin odlatuje do domu. Zjawia się kelner podający wina, Laura zamawia butelkę Pouilly Faiss~e. Z karty wybiera najdroższe dania. Krem ze szkockiego wędzonego łososia i jagnię z rusztu po angielsku. Kłopot sprawia jej tylko "New York Times", który zajmuje dużo miejsca i wygląda okropnie niechlujnie. Wsuwa gazetę na półeczkę pod blatem stolika, po czym usadawia się wygodnie, delektując się winem.

Znowu wyrasta przed nią starszy kelner. Niski ukłon. Wręcza jej małą karteczkę. Laura patrzy na nią ze zdumieniem. Przez chwilę przebiega jej przez myśl, że to rachunek oznaczający, iż została potraktowana jak prostytutka i wyprasza się ją z lokalu. Okazuje się, że jest to krótki list.

- Od pana w drugiej sali - objaśnia uprzejmie starszy kelner.

- W drugiej sali. Skąd może wiedzieć, że tu jestem?

- Lustra. Widział w lustrze, jak pani wchodziła.

Laura czyta, co zawiera kartka: "Jak się tu znalazłaś? Za godzinę będę w hotelu". Laura nie może tego zrozumieć. Martin tutaj? Jest poruszona. Zachwiał jej zaufanie. Zastanawia się, czy w ogóle coś napisać w odpowiedzi. Denerwujące jest to,

że on ją może obserwować, a ona

go nie widzi. Odsuwa krem z łososia.

- Nie smakuje, madame?

- Nie. Nie. Jest wspaniały. - Z urażoną miną kelner zabiera talerz.

Laura opuszcza wzrok, wpatrując się w obrus stolika. Zastanawia się, czy nie lepiej będzie wyjść z restauracji.

W pewnej chwili staje przed nią ktoś wysoki. Nie zatrzymuje się, raczej jak gdyby przechodził obok jej stolika. Laura podnosi oczy.

- Och! - wyrywa się jej ciche westchnienie. Ku własnemu zdumieniu jest to westchnienie nieklamane szczęścia. Okazuje się, że to Martin. Wystarczy sam jego widok, żeby wszystko rozplynęło się w szczęściu i radości. Czuje wyraźnie, że on ją kocha.

- Witaj, Lauro - mówi Martin i lekko obraca się do tyłu. - Pat, to jest pani Knight. Odwieczna przyjaciółka z odwiecznej Anglii. - Na powrót zwraca się do Laury. - Co za niespodzianka, że cię tu spotykam!

Laura prawie nie patrzy na Pat. Spostrzega, że jest młoda i atrakcyjna, jednak zupełnie jej to nie peszy. Wiąż między nią a Martinem jest zbyt silna. Nie czuje zazdrości.

- Na długo pani przyjechała? - pyta Pat.

- Nie. Nie na długo.

- Mam pełne uszy różnych dziwolągów językowych Martina: Goto, Gosub, Gcol, Himem. Czy

on w ogóle potrafi mówić normalnie?

- Oo, tak. - Za godzinę zobaczą się w hotelu.

Kończy lunch, teraz już spokojna i szczęśliwa. Waży w myślach pytanie, czy Martin mógł ją posądzić, że go śledziła.

Dzięki klimatyzacji w sali restauracyjnej jest chłodno. Po wyjściu na zewnątrz, Laura czuje, jak bardzo nagrzane są

ulice. Zdaje sobie sprawę, że wypła może nieco za dużo wina, ale jest z tego zadowolona. Mimo łaskotania potu pod pachami idzie wzdłuż Piątej Alei, próbując jakoś się ratować przed upałem. Zatrzymuje się co chwila, oglądając wystawy sklepowe, tak jak zatrzymywała się przed obrazami w muzeum, tyle że tym razem widzi wszystko, najmniejsze szczegóły, zwraca uwagę na kolory, kształty i styl oglądanych rzeczy, zupełnie jak gdyby przyglądała się własnej twarzy czy dłoni.

Zatrzymuje taksówkę, ale nie dlatego, że jest jej gorąco i czuje się zmęczona. Nie chce, żeby Martin długo na nią czekał.

Martin jednak już czeka, stojąc z niespokojnym wyrazem twarzy na środku ich sypialni.

Biegnie prosto w jego ramiona. Martin robi gest, jak gdyby ją chciał zatrzymać, ale twarz mu łagodnieje i tuli ją mocno w ramionach. Nie całują się, chociaż ich ciała przylgnęły do siebie szczelnie.

Odsuwa ją lekko, mówiąc: - Ależ jesteś zgrzana!

- Szłam pieszo. Martin. Bardzo cię pragnę.

Nawet w tej chwili, kiedy cała jest pożądaniem, Laura nie może wyjść ze zdumienia, że stać ją na takie otwarte wyznanie. Nigdy żadnemu mężczyźnie nie powiedziała, że go pragnie.

Martin marszczy brwi. - Skąd się dowiedziałas, gdzie jestem?

- Nigdzie się nie dowiadywałam. O co ci chodzi? Laura jest niecierpliwa.

Przyciąga go do siebie.

- Nie chcesz się dowiedzieć czegoś o Pat?

- Nie. Nie. Nie teraz. Proszę cię, mój kochany.

Martin nie wie, że Laura odlatuje wieczorem do Londynu. Nie zmieniła swego postanowienia. Ale on nic nie wie i nie może zrozumieć jej

niecierpliwości.

- Przepraszam cię za ten lunch. Jakkolwiek to wyglądało, było to naprawdę spotkanie w sprawie interesów. Pat jest kierowniczką działu w Nbc.

- Martin, to nie wyglądało na nic. Kocham cię! - Laura uświadamia sobie, że bezwstydnie błaga mężczyznę o pójście z nią do łóżka. Błaga go, bo za kilka godzin go opuszcza. Nie chciała mu jednak o tym powiedzieć teraz, kiedy ma głowę zajętą tylko Pat. Czy nie zrozumiał jej? Pat jej nie obchodziła. Jak wyjaśnić, dlaczego go w takim razie opuszcza? Otóż dlatego, że dalszy wspólny pobyt w Nowym Jorku stracił rację bytu. Nie była to próżnia, jak sobie

wyobrażała. Musi wrócić do domu.
Przemyśleć całą sytuację. Jest
przecież Nicky.

W końcu Martin zdejmuje
marynarkę i kładą się obok
siebie. Z początku leżą
nieruchomo, ale za chwilę Martin
zaczyna delikatnie rozbierać
Laure, ona zaś jego.

Potem Laura płacze ze
szczęścia, a Martin całuje
miejsca, gdzie padają jej łzy.
Wtedy mówi mu, że leci wieczorem
do Anglii.

Ciało Martina natychmiast
tężeje, staje się chłodny,
sztywny i ciężkie, jak gdyby
umierał. Laura jest
przestraszona. Jak szalona
zaczyna mu tłumaczyć. Jak
szalona szepcze mu do ucha: -
Zbyt nagle, zbyt gwałtownie.
Muszę to przemyśleć. Muszę
przemyśleć...

Słyszy nieprzyjemny, chrapliwy
głos Martina. - Jeżeli to nie
Pat i nie twój syn, w takim
razie to tchórzostwo.

Martin prawdopodobnie zdaje
sobie sprawę, że Laura nie
odejdzie wtedy, kiedy
przypuszcza, że ją znienawidził.
Nie mogłaby go opuścić, czując
jego nienawiść. Chce mu

powiedzieć, że przecież nie
opuszcza go na zawsze. Byłoby to
jednak nieuczciwe. Musi się nad
wszystkim zastanowić nie
skrępowana żadnym
przyrzeczeniem.

- Kocham cię! - szepcze bez
końca, jak gdyby chciała sobie
powetować wszystkie lata, kiedy
nigdy nie wypowiedziała tych słów.

W końcu Martin godzi się z tym faktem. - Więc dlaczego ode mnie odchodzisz?

- Powtarzałam ci nieskończoną ilość razy, że nie odchodzę od ciebie. Nigdy bym nie potrafiła z tobą zerwać. Zrywam z samą sytuacją. Teraz wiem na pewno. Wiem, jak bardzo cię kocham, i muszę się nad wszystkim zastanowić.

- Jedziesz do domu - mówi Martin z goryczą w głosie. - Jedziesz do domu, do twojego męża i syna. Dlaczego uważasz, że przy nich będziesz mogła wszystko przemyśleć? - Jego gorycz ma posmak rezygnacji. Laura wychwytuje ten ton i całuje go czule.

- Jeżeli pojechałabym do Johna czy do Roya, byłoby to przecież bardziej skomplikowane, pociągnęłyby za sobą udział większej liczby osób.

- A gdybyś pojechała do swojej przyjaciółki?

Nell. Nell byłaby po stronie Martina. Trudno, żeby lubiła Milesa za demonstracyjną krytykę jej osoby. Istotnie mogłaby pojechać do Nell.

- Nie. - Laura wie, że nie mogłaby być w Anglii i nie widywać Nicka. Nie mówi tego Martinowi. Nie ma przecież dzieci i trudno oczekiwać, żeby to zrozumiał.

Wstaje bez pośpiechu i idzie do łazienki. Martin odprowadza ją wzrokiem. Przypomina sobie, jak kilka godzin temu przyglądała się tak samo jego rannej toalecie.

XI

Na londyńskim lotnisku
znalazła się we wczesnych
godzinach rannych. Wsiadła do
taksówki. Dzień był szary i
zimny, a wrażenie to potęgował
jeszcze jej smutek, poczucie
winy i strach przed tym, co ją
czeka. Nie mogła się doczekać
chwili, kiedy zobaczy Nicka.
Chociaż nie było jej w domu
zaledwie dwa dni, mniej aniżeli
w czasie pobytu w Irlandii, to
przecież decydując się na
wyjazd, brała pod uwagę odejście
na zawsze. Marzyła o tym, żeby
go już zobaczyć, zdrowego,
wesołego, takiego samego, jaki
był przed jej zdradą. Kiedy
taksówka była coraz bliżej domu
i uzmysłowiła sobie, że to pora
śniadania, jej strach przemienił
się niemal w przerażenie. Nicky,
Lizzie, Maria, Miles, ze
zmęczeniem na twarzach
wpatrujący się w nią pełnym
niepokoju wzrokiem. Co im ma
powiedzieć?

- Proszę się zatrzymać tutaj.

Przez ostatnie pięć minut
postanowiła iść pieszo. Nie była
zbyt obciążona, mimo iż
postanowiła zabrać z sobą
nowojorskie zakupy. Było jej
zimno, wprost dygotała z zimna,
kurcz zwarł jej szczęki.
Zatrzymała się cztery domy dalej
i postawiła torbę na trotuarze.
Zatoczyła rękoma kilka kręgów,
zrobiła kilka głębokich skłonów,
dotykając czubków palców u stóp.
Przechodzący obok listonosz
spojrzał na nią dziwnym
wzrokiem. Był to listonosz od
dziesięciu lat obsługujący ich
rejon. Nie poznał jej. Była
kimś obcym. Wystarczyły dwa dni,
żeby postawić się poza nawiasem

utartych kontaktów z otoczeniem.
Zakłóciła poczucie szczęśliwej
stabilizacji.

Nie tędy droga. Jeżeli nadal
będzie tonąć w tych
dramatycznych rozmyślaniach,

nigdy nie dojrzy do domu. Było
już pół do dziewiątej. Podniosła
torbę i podeszła bliżej. Z tego
miejsca mogła już dostrzec
frontowe drzwi swego domu. Co za
niesłychana rzecz! Zawsze
uważała, że mają drzwi
pomalowane na kolor
ciemnoczerwony, tymczasem jej
nowe wcielenie wyraźnie widzi,
że jest to kolor różowy.

Drzwi się otwierają. Laura
błyskawicznie chowa się za
drzewem. Wychodzą Miles i Nicky.
Laura okrążając drzewo, cały
czas ich obserwuje. Nicky
opowiada coś z ożywieniem,
gestykulując rączkami. Laura
zapomniała, że jest taki wysoki
i dobrze rozwinięty, jest tym
zaskoczona. Również Miles wydaje
się jej wyższy i
przystojniejszy, bardziej
dystyngowany. Kiedy już są
prawie przy samochodzie, Miles
mówi coś ostro do Nicka, który
potrząsa przecząco głową i
szybko biegnie z powrotem do
domu. Miles wsiada do samochodu.
Laura nie wie, co robić. Miles
ma twarz odwróconą w drugą
stronę. Czy ma pobiec za
Nickiem? Ale Nicky już jest
znowu przed domem, wymachując
zapomnianym tornistrem. Laura
nie może dłużej się oprzeć.

Woła: - Nicky! - Chłopiec nie
słyszy. Jeszcze raz woła, Tym

razem głośniej: - Nicky!

Nie zatrzymując się Nicky szuka jej wzrokiem. Zobaczył, uśmiecha się od ucha do ucha, macha do niej ręką. - Hej! Mamusiu! - Wskakuje do samochodu. Odjeżdżają.

Laura wychodzi zza drzewa i patrzy za nimi. Przechodzi jej przez myśl, że Miles może ją widzieć w tylnym lusterku, ale nie ma to w tej chwili znaczenia. Zresztą Nicky powie mu prawdopodobnie, że wróciła, chociaż z drugiej strony, może nie uzna tego za takie ważne. Laura jest wyprowadzona z

równowagi. Opuszcza syna, a kiedy wraca, on zdobywa się jedynie na uśmiech i machanie ręką.

Podchodzi do frontowych drzwi i otwiera je własnym kluczem. Maria stoi z ręką przyciśniętą do serca.

- Ojej! Myślałam, że to włamywacz.

- A to tylko ja.

Laura, której zawsze zależało na tym, żeby wszyscy dokoła byli zadowoleni, tym razem nie zadaje sobie trudu, by powiedzieć coś Marii na temat swojej nieobecności. Idzie do siebie na górę. W pokoju panuje bałagan, łóżko nie zaścielone, wszędzie porozrzucone części męskiej garderoby. Również powietrze przepełnione zapachem samotnego mężczyzny. Nareszcie jakaś zauważalna zmiana. Zabiera się do porządków.

Przy składaniu piżamy Mileśa uzmysławia sobie najoczywistszy

fakt, że Nicky mógł w ogóle nie wiedzieć, że został przez nią opuszczony. Przecież sama podsunęła myśl, żeby mu powiedzieć, iż wyjechała na urlop. Chował się w ciepłej atmosferze rodzinnej, miał całkowite poczucie bezpieczeństwa. Dlaczego miałby coś podejrzewać? Jeśli o to chodzi, łatwo mógł uwierzyć, że nawet kilka nocy spędziła poza domem w związku ze swoją pracą.

To jej przypomina, że zaledwie tydzień pozostał do wielkiego letniego zlotu. Zupełnie beztrąsko opuściła także swoją pracę, ale przecież wszystko na nią czeka. Powinna zadzwonić do Bena Caseya.

Myśli o tym z niedowierzaniem. Czyżby naprawdę po to wróciła? Aby podjąć wszystko dawne od nowa? Błędem byłoby dzwonić do Bena Caseya przed rozmową z Milesem. Czyżby? Czy były jakieś reguły postępowania dla powracających żon? Czy może

siebie uważać za powracającą żonę?

Kończy porządkować pokój i schodzi do kuchni. Oschłym tonem zwraca się do Marii: - Proszę się zająć pokojem Nicka. Tutaj sama posprzątam.

Nie ma wątpliwości, że jest żoną, która powróciła. Ale nie ma w niej skruchy. O, nie. Tylko nie to. Żadnych zapędów, żeby pójść do spowiedzi. Przyjechała, bo chce wszystko przemyśleć. Widząc, że w misce nie ma owoców, a w pojemniku na chleb pieczywa, uznaje, że na listę

czekających ją tego dnia spraw do załatwienia powinna wpisać zakupy. Włącza do prądu czajnik i w tym momencie dzwoni telefon.

- Halo. - Tak, jest w domu, u siebie w domu. Nie ma zamiaru tego ukrywać. Pyta o nią głos kobiety. Nie ma akcentu amerykańskiego, to nie jest telefonistka amerykańska.

- Jestem przy telefonie.

- A więc wróciłaś. - To Miles.

- Tak.

- W tym tygodniu mam bardzo dużo pracy. - Brzmi to bez związku z sytuacją.

- Cóż - przerywa i ponieważ Miles nic nie mówi, dodaje: - Bardzo mi przykro.

- Jestem ogromnie zajęty. Nie zostaje mi zbyt dużo czasu na dom.

Laura ma ochotę powiedzieć "dobrze", ale jednak czeka, żeby Miles skończył to, co ma do powiedzenia.

- Nie życzę sobie, żebyś czymś wystraszyła Nicka.

Wystraszyła Nicka! Przez siedem lat zajmuje się Nickiem, a dzisiaj Miles ją poucza, żeby go nie wystraszyła. TAK jakby w ogóle miał pojęcie, co mogłoby zakłócić spokój chłopca. Przecież prawie nie zna własnego dziecka. Laura z trudem panuje nad swoim głosem.

- Nie zamierzam w jakikolwiek sposób mącić jego spokoju. Kiedy

go widziałam dziś rano, wydał mi się niezwykle pogodny.

- Pytał mnie, co robiłaś za tym drzewem, dlaczego się za nim chowałaś.

- Tak? - Na to nie była przygotowana.

- Istotnie, dlaczego czaiłaś się za tym drzewem?

Laura czuje, że za chwilę dostanie ataku hysterii. - Staralam się nie nadebrać na psią kupę - chichocze. Dobrze jej robi ten śmiech, kpiący z uroczystego, apodyktycznego tonu Milesa. - Będiesz wspaniałym sędzią! - rzuca wściekłym głosem.

Miles milczy przez chwilę, po czym odzywa się jeszcze bardziej oschłym tonem: - Nie jest to odpowiedni moment na dyskusje. Chciałem się jedynie upewnić, że nie będziesz wciągała Nicka w swoje sprawy, ponieważ nie będzie mnie w domu, kiedy wróci ze szkoły.

- Czego ode mnie oczekujesz? Że ci przyrzeknę nie ranić własnego dziecka?

- Mógłby to być dla niego wstrząs.

Laura jest rozwścieczona. Zaczyna krzyczeć. - Dlaczego nie mówisz o sobie, o własnych nerwach? Nie chcesz wiedzieć, gdzie byłam, z kim, i co robiłam?

- Wiem, z kim byłaś. Poinformowałaś mnie. Odgaduję także, co robiłaś. Nie ma w tym nic niezwykłego. Kobiety postępują tak od wieków. Zawsze sądziłem, że ty jesteś inna. Że jesteś kobietą wyjątkową. Omyliłem się. Zobaczymy się wieczorem. Między dziewiątą a dziesiątą. Do widzenia.

Laura stoi ze słuchawką w ręku. Drży na całym ciele. Miles ma całkowitą rację. Pochłania ją bez reszty tylko jedna myśl, że Miles ma absolutną, całkowitą, stuprocentową rację. Powiększyła szeregi upadłych kobiet.

Utraciła to, co było w niej
wyjątkowe. Rani wszystkich nie
wyłączając siebie. Kuli się w
fotelu, na domiar złego czując
coraz większe nudności.

Biegnie do łazienki i
wymiotuje. Kiedy stamtąd
wychodzi, znowu ktoś dzwoni. Nie
podnosi słuchawki, ale ten ktoś
nie rezygnuje. W końcu słyszy,
że Maria odbiera telefon. Puka
do drzwi.

- Pani Lyons do pani.

Laura podnosi słuchawkę. -
Nell?

- Co się dzieje z twoim
cudownie funkcjonującym domem?

- Przepraszam cię.

- Źle się czujesz?

- Sama nie wiem.

- Chciałam ci tylko
powiedzieć, że jestem w drodze
do Londynu. Czy zjadłabyś ze
mną lunch?

- Doskonale - krzyczy Laura do
telefonu. Chwyta się tej
propozycji jak koła ratunkowego.

- No, już trochę lepiej.

Nell miała coś do załatwienia
na West Endzie, umówiły się więc
na spotkanie w pewnej
restauracji w Soho. Laura jest
zadowolona, że wychodzi z domu.
Wygląda na to, że Martin miał
rację. Nie jest to miejsce, w
którym mogłaby zastanowić się
nad sobą. Wydaje się, że nie ma
w ogóle miejsca, w którym
zdobyłaby się na jakiś kompromis
między normalnym życiem a
bezpardonowym buntem.

- Byłam u swojego adwokata -
zaczyna Nell, nim jeszcze Laura
zdążyła usiąść. - Co za łobuz

ten mężulek, ten mój były mąż!

- Co ty powiesz.

Nell rozwija pełną goryczy opowieść, tymczasem Laura zastanawia się, czy będzie miała siłę tego wszystkiego wysłuchać.

- Ktoś, i bardzo chciałabym wiedzieć, kto to był, opowiedział mu po pierwsze, że zbijam majątek na swoich garnkach, po drugie, że mieszkam

z innym mężczyzną; wobec tego on nie zamierza dawać mi na utrzymanie pieniędzy, które mi się należą. Pytam, kto ma u siebie dzieci niemal przez całe wakacje? Gdybyś zobaczyła, ile one jedzą! Bardziej przypominają wilkołaki niż ludzi. I żąda ode mnie, żebym pokrywała połowę kosztów ich pobytu z jakichś wyimaginowanych dochodów. Wszystko przez to, że dostałam nagrodę. Chyba wiesz, że dostałam nagrodę? Dlatego mnie o tym powiadomił, mogę się założyć. No dobrze, ale za nagrodę nie kupię im masła orzechowego. Czy wiesz, że jedno opakowanie orzechowego masła, które dla Jacka starcza za ledwie na przekąskę, kosztuje sześćdziesiąt pięć pensów?

- Nie wiedziałam - zgodnie z prawdą odpowiada Laura. Kiedy Nell studiuje menu, Laura decyduje się skorzystać z okazji. - Muszę cię prosić o radę.

- Problemy, problemy - mówi Nell, nie odkładając karty. Problemy Laury są z reguły błahe. - Czy mężczyźni też mają jakieś problemy?

Laura nie rezygnuje, nie wie tylko, jakich dobrać słów.

Nell, która już zaczyna roztrząsać kwestię jedzenia czosnku w porze lunchu, zauważa w końcu, że Laura jest bardzo przygnębiona.

- O co chodzi? Powiedz mi. Spróbuję ci pomóc. - Zachęcająco pochyla się nad stolikiem.

- Nikt nie może mi pomóc. - Laura wybucha płaczem.

Nell patrzy zdumiona. Jeszcze nigdy nie widziała Laury płaczącej. Nie przypuszczała, iż kiedykolwiek zobaczy ją taką brzydką, z twarzą wykrzywioną, całą w plamach i mokrą od toczących się strumieniem łez. Przede wszystkim jej współczuje, ale obok tego nie może pohamować przeblysku

satysfakcji. Laura także jest tylko istotą ludzką.

- Och, Nell. Nie powinnam płakać tutaj. - Laura połyka łzy.

- Bzdura! Wszyscy lubią patrzeć na kobietę doprowadzoną do łez. Szczególnie mężczyźni. To bardzo pomaga w interesach. Prawdopodobnie nie wezmą od ciebie ani pensa za lunch.

Laura uśmiecha się niepewnie i stopniowo przestaje płakać. Wyciera nos w serwetkę podaną przez Nelly.

- No więc?

- Zakochałam się w pewnym mężczyźnie i uciekłam z nim do Nowego Jorku, dopiero co wróciłam.

Nelly patrzy na nią głęboko wstrząśnięta. Zdaje sobie jednak

sprawę, że Laura nie powinna tego po niej poznać, więc z miejsca niemal szorstko pyta: - Jest żonaty?

- Co mówisz? Nie. - Laura nie rozumie, jak Nelly mogła jej zadać takie głupie pytanie o fakt, który się tu w ogóle nie liczy. Śmiało ujawnienie całego zdarzenia przygnębiło ją tak, że nie ma siły płakać. Wpatruje się w menu i postanawia zamówić kurczaka. Nie przepada za drobiem. Czeka na to, co powie Nelly.

- Przynajmniej to jest dobre.

- Co?

- Że nie jest żonaty.

- Ale czyż nie rozumiesz - odkłada na bok menu - że rujnę całe swoje dotychczasowe życie i według wszelkiego prawdopodobieństwa także życie Milesa i Nicka. I po co? Dlaczego? Ponieważ się zakochałam. Przynajmniej sądzę, że się zakochałam. - Patrzy na Nell błagalnym wzrokiem. Czy istnieje inne, lepsze usprawiedliwienie?

Nell unika jej wzroku. Zawsze podziwiała małżeństwo Laury, wierzyła, że będzie trwać

wiecznie. Mimo iż nie lubiła Milesa, musiała przyznać, że kochał Laurę i w granicach swoich możliwości zrobiłby wszystko dla jej szczęścia.

Pyta: - Nadal go kochasz? - Niezbyt wierzy, żeby Laurę stać było na prawdziwą miłość. Może dlatego, że nigdy nie była narażona na piekło cierpienia.

- Kochasz! Kochasz! - wybucha

Laura. - Skąd mogę wiedzieć?
Myślałam, że kocham Milesa. Ale to! To uczucie zawładnęło mną całkowicie. Jest dla mnie wszystkim. Przekreśla wszystko inne. Nawet Nicka. - Gwałtownym ruchem, zrzucając na podłogę nóż, opiera ręce na stole i składa na nich głowę.

Nell przygląda się kosmykowi włosów, który wpadł do solniczki. Wzdycha.

- Co na to mówi Miles?

- Miles? - Laura patrzy nieprzytomnym wzrokiem, jak gdyby Miles się w tej sprawie także nie liczył. - Nie wiem.

Nie rozmawialiśmy o tym.

- Jak to?

- Telefonował do mnie dziś rano, ale rozmawialiśmy tylko o Nicku. - Nagle przerywa.

Uświadamia sobie, że to nieprawda. Miles powiedział, że przestał w niej widzieć kobietę "wyjątkową". To ją zabolalo najbardziej. Zrozumiała, że próbowała wymazać ten fakt z pamięci. Czyżby ten szczególny ból, który sprawiło wyznanie Milesa, był wynikiem jej zranionej dumy?

Ale Nell zapaliła się do wzmianki Laury o Nicku. - Mówił tylko o chłopcu. To jest typowe. Prawdopodobnie całą winą próbuje obarczyć tylko ciebie. Jest to klasyczny brudny chwyt wszystkich mężów. Jak gdyby miłość do mężczyzny mogła mieć coś wspólnego z miłością do syna! - Rola obrończyni Laury przed krzywdzącym postępowaniem Milesa bardzo Nell odpowiada. -

Nie wolno dopuścić do tego, żeby cię terroryzował. I nie zgadzaj się rozmawiać z nim na temat Nicka bez świadków. - Nell staje się coraz napastliwsza. - Nie zapominaj o tym, że kochasz Nicka tak samo jak on.

Laura jest oszołomiona. - Kogo masz na myśli mówiąc "bez świadków"?

- Adwokata. Czy kogokolwiek.

Laura zapada w milczenie.

Spostrzegłszy to, Nell zdaje sobie sprawę, że w swym słusznym oburzeniu posunęła się za daleko. - Ale ty może wcale jeszcze nie myślałaś o rozwodzie.

- Rzeczywiście - przyznaje Laura niemal szeptem. Ma wrażenie, że wszystko to nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Czy możliwe, że naprawdę siedzi w jakiejś restauracji i roztrząsa sprawę rozwodu, swojego rozwodu, z Nell? Zjawia się kelner z zamówionymi daniami.

Laura dłubie w kurczaku.

- Wygląda na to, że nie masz ochoty wyjawić mi, kto to jest - odzywa się Nell.

Laura uważa, że istotnie powinna to Nell powiedzieć. Zaczyna jednak żałować, że w ogóle wdała się z nią w dyskusję na ten temat. Przed ich rozmową był to dla niej problem miłości, etyki i grzechu. Obecnie widzi, że powinna popatrzeć na to, co robi, z punktu widzenia ogólnie przyjętych norm postępowania.

Szybkim ruchem pochyla głowę.

- Nie jest to nikt z twoich znajomych. Może by ci się nawet nie podobał. - Urywa. Próbuje zjeść kilka kęsów.

- Co zatem zamierzasz dalej robić? Jeżeli potrzebny ci spokojny dach nad głową, możesz zawsze przyjechać do mnie. Nawet

z nim, jeśli chcesz.

Ta przyjacielska oferta napawa
Laure niesmakiem. Stara się nie
zdradzić tego wyrazem twarzy. -
Muszę nad tym pomyśleć -

odpowiada.

- Zawsze uważałam, że myślenie
niewiele daje. - Nell z apetytem
zabiera się do swojego dania.
Widzi, że Laura się wycofuje,
więc nie chce być natrętna.
Biedna Laura. Twarz ma jak
dawniej spokojną i piękną, ale
to teraz tylko pozory. Już nic
nie będzie jak dawniej, ze
smutkiem myśli Nell. Można
niemal uwierzyć w skutki zerwania
jabłka i w ogród Edenu.

Laura w pośpiechu opuszcza
restaurację. Ma odebrać ze
szkoły Nicka, a jest już
spóźniona co najmniej o
kwadrans. I to właśnie w tym
niezwykłym dniu. Kiedy wszystko,
co robi, sprowadza się do
płaskiego obnażania własnej
duszy. Dwie panie niemal w
średnim wieku, nad butelką wina
zwierzające sobie wzajem swoje
miłosne przeżycia i
doświadczenia życiowe. Obraz ten
wzbudza w niej obrzydzenie.
Takie samo jak propozycja Nell,
żeby przyjechała do niej razem z
Martinem.

Laura przywołuje taksówkę,
prosząc kierowcę o szczególny
pośpiech. - Słyszała pani
przypowieść o żółwiu i zającu? -
pyta ignorując jej prośbę.

Nicky siedzi w szkolnej
szatni. Jest zupełnie sam, nawet
światła są wygaszone. W
przeciwieństwie do wrażenia z

ich rannego spotkania, kiedy ją zdumiał swoim wzrostem i tężyzną, tym razem wydał jej się mały i mizerny.

- Bardzo, ale to bardzo się spóźniłaś - mówi z wyrzutem. Mimo buńczucznej miny Laura widzi, że zbiera mu się na płacz. - Nawet nasza pani musiała już pójść do domu. Próbowwała się do nas dodzwonić, ale nikt nie odpowiadał.

Laura podbiega i długo tuli go w ramionach. - Tak mi przykro, mój skarbie. Byłam na lunchu z Nell, a potem utknęłam w korku

ulicznym.

Nicky sztywnieje. - Nie lubię Nell.

- Lubisz ją, lubisz, moje ty szczęście! Na Gwiazdkę daje ci zawsze piękne prezenty.

- Ale na urodziny nic od niej nie dostaję.

Idą razem ulicą. Nicky już jej trochę wybaczył i pozwala się prowadzić za rączkę. Laura przekupuje go porcją lodów w waflu i nawleczonymi na nitkę lukrowanymi pierniczkami. Zawiązując nitkę na kokardkę, Nicky mówi z rozdrażnieniem w głosie: - Tatuś mnie okłamał. Powiedział, że dostałaś urlop i poleciałaś do Ameryki. Ale przecież nie mogłabyś tak szybko polecieć tam i już być z powrotem. - Urywa i nagle zapomina o lodach i słodyczach, jego buzia rozjaśnia się. - Chyba że poleciałaś Concordem. - Z nadzieją szarpie ją za rękę. - Leciałaś Concordem? Musiałaś lecieć Concordem!

Nie chcąc skłamać Laura
pociąga go do przodu. - Szybko.
Kto pierwszy będzie w domu! -
Wie, że jeśli z nią pobiegnie,
to jej wybaczy, zapomni o
wszystkim. Nie zawiodła się.
Nicky wesoło i z dumą
wykrzykuje, że biegnie z
prędkością ponaddźwiękową. Kiedy
ją już raz zapytał, prawie na
pewno więcej nie będzie
próbował. Pozwala mu wygrać i
dogania go, kiedy chłopiec
dobija się już do drzwi.

Zanim zdążyła wyjąć klucz,
drzwi się otwierają. Stoi w nich
Miles.

- Późno przyszlście.

- Późno? - Laura ustępuje z
drogi Nickowi, który pędem
biegnie do kuchni. -

Zatrzymaliśmy się w sklepie ze
słodzami.

- Nie powinnaś go przekupywać.

- Dlaczego nie?

Miles mierzy ją pogardliwym
wzrokiem. - Chcę z tobą

porozmawiać.

- Okay. - Laura stoi nie
okazując ani zmieszania, ani
skruchy. Dobrze, będą rozmawiać,
ale na równych prawach, nie jak
sędzia z oskarżonym czy ucziwy
z winnym.

- Chodźmy do gabinetu.

- Okay. - Laura nigdy tak nie
mówi. Wie, że go to zirytuje.
Idą przez hall, on pierwszy, ona
za nim. - Nie miałam pojęcia, że
możesz być w domu o tej porze.

- Powinienem być w pracy.

Laura postanawia także i za to
nie brać na siebie winy. Jednak
ten dowód całkowitego wytrącenia

go z równowagi napawa ją lękiem, uświadamia jej bowiem znaczenie tego, co zrobiła. Z drugiej strony patrzy na to z zadowoleniem. Najbardziej bała się, że będzie próbował udawać, jakoby to, co się stało, nie miało żadnego znaczenia. Przynajmniej wie, że ją traktuje poważnie.

- Więc? - Stoi na środku gabinetu. - Czy mam ci wszystko opowiedzieć?

- Lauro! - Jest to apel do jej serca, który, chociaż nie ośmiela się do tego przyznać, dociera do niej mimo wyzywającej postawy, jaką przyjęła. Decyduje się jednak usiąść.

- Zdaje się, że powinnam coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie.

Miles także siada. Wygląda na zmęczonego. Wydaje jej się stary. Nienawidzi go. Wzrok utkwiał w nosku swojego buta. Laura przerywa milczenie: - Co masz zamiar zrobić?

Podnosi na nią oczy z wyrazem zdumienia. - Nic. O niczym nie myślałem. Nie mam żadnych planów.

Laura wierzy w prawdziwość tego stwierdzenia. Stał się w jej życiu nie liczącym się zerem. - Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać. Chciałam cię przeprosić.

- Więc zostajesz? - Miles z trudem zdobywa się na te słowa. Stula wargi.

- Nie wiem. - Laura zakłada nogę na nogę. Przez ułamek sekundy szokuje ją własne

zachowanie. Zdecydowanym tonem oświadcza: - Tak czy inaczej jestem w domu.

Miles podnosi się. Stoi sztywno wyprostowany. - Ta rozmowa nie ma sensu. - Waha się przez chwilę, nie odrywając od niej wzroku. - Myślę, że oszalałaś. Nie potrafię rozmawiać z kobietą, która postradala rozum. Wracam do kancelarii.

Widząc, że Miles zamierza wyjść z pokoju, Laura doznaje nagle uczucia lęku. - Nie chcesz ze mną o tym porozmawiać?

Miles idzie w kierunku drzwi. - Nie. Jesteś osobą dorosłą. Wybór należy do ciebie. Ale jeżeli znowu opuścisz Nicka i mnie choćby na jedną noc, zapewniam cię, że tu już nie wrócisz. Pożegnasz się z Nickiem na zawsze.

Wychodzi z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Laura została na krześle, otoczona atmosferą jego gabinetu. Drży na całym ciele. Przed spotkaniem Martina nigdy jej się to nie przytrafiło. Ta nie znana jej dotąd zdolność organizmu napawa ją zdumieniem. Jak gdyby całe ciało uległo tajemniczej przemianie. Może istotnie dostała pomieszania zmysłów.

Drzwi frontowe zamykają się i zaraz potem dochodzi ją z kuchni krzyk Nicka: - Mamusiu! Mamusiu! Rozlałem sok cytrynowy!

Laura chciałaby znowu porozmawiać z Nell. Czy rzeczywiście Miles może jej zabronić widywać dziecko? Wydaje się to nieprawdopodobne. A jednak rośnie w niej nieznane dotychczas uczucie przerażenia. Przez cały wieczór gra z Nickiem w różne gry, aż wreszcie

chłopiec ma tego całkiem dosyć i drażni go nadmiar uwagi z jej strony.

Potem Laura kładzie się do łóżka. Leżąc, po raz pierwszy myśli o Martinie, o tym, jak wyglądał w ich hotelowym pokoju w NOWym Jorku. Niemal w tym samym momencie dzwoni telefon. Laura czuje, że to Martin.

- Kochana siostrzyczko! Co to wszystko znaczy? Nie ruszaj się z domu. Natychmiast jadę do ciebie.

Johnny. Laura nie ma już siły na nic. Johnny ma niewyczerpane zasoby energii. Laura wymawia się, jak może, ale on jest nieugięty. Jest bardzo blisko, tuż za rogiem. Za sekundę u niej będzie.

Po trzech kwadransach pojawia się wymachując butelką wina. - Nie ma sensu z tego powodu wpadać w ponury nastrój. Spróbujmy wszystko jakoś uporządkować. - Laura widzi, że Johnny jest mocno wstawiony.

- Johnny, nie mam ochoty na rozmowę. Nie mam nic do powiedzenia.

- Nie masz nic do powiedzenia? Uciekasz do Nowego Jorku z najstarszym przyjacielem brata i twierdzisz, że nie masz nic do powiedzenia. Czuję się za ciebie odpowiedzialny. O ile pamiętam, to ja was z sobą poznałem. Gdyby nie ja, nigdy byś się w to nie uwikłała. Brat odpowiedzialny za upadek siostry. Jakież to wstrząsające. Jakże tragiczne! Przypomina mi to grecki cytat, jeszcze ze szkoły:

Bella, horrida bella, @ Et
Thybrim multo spumantem sanguine
cerno. @ (Wergiliusz, "Eneida",
ks. VI: "... wojny, wojny
straszne, i Tybr krwią
spieniony". Tłum. Wandy
Markowskiej, Warszawa 1987.
Przyp. tłum.).

- To brzmi jak łacina.

- Greka, łacina, jest to tak
samo tragiczne i mądre.
- Nie ma żadnej tragedii.
Jestem przecież w domu, prawda?
Johna zatkało. - Prawda.
Rzeczywiście. Jesteś.
Laura nie przestaje być w
ofensywie. - Kto ci naopowiadał
o moim "upadku"? - Udaje się jej
przybrać na twarz szydery
uśmiech, przynajmniej ma
nadzieję, że tak go widzi
Johnny.
- Nikt tego nie określił
dokładnie w ten sposób. - Johnny
odstawia kieliszek, żeby sobie
lepiej przypomnieć. - Philippa,
dawna dziewczyna Martina,
powiedziała mi, że wyjechał do
Nowego Jorku, a potem Lizzie, że
ty wyjechałaś, i w końcu Miles
omal mi nie urwał głowy, kiedy
go zapytałem, gdzie się
podziewasz, więc nie było zbyt
trudno do dwóch dodać dwa. Poza
tym nie jestem ślepy, zwłaszcza
w tych sprawach. Obserwowałem
waszą reakcję na siebie, ilekroć
znaleźliście się o sto metrów
jedno od drugiego.
- Jesteś pijany. - Laura nadal
atakuje. Zabiera mu butelkę,
mimo że nie próbował sobie nalać
następnego kieliszka. - Cierpisz

na przerost wyobraźni. Jestem,
jak widzisz. Tak, byłam w Nowym
Jorku. Był tam także Martin. -
Wymówiła odważnie to imię. - Co
w tym dziwnego. Mnóstwo ludzi
wyjeżdża do Nowego Jorku.
Przepróż mnie teraz i idź do
domu. - Stara się nie rozczulać
nad Johnem i jego zmieszaniem.
Przyszedł, co prawda, wypiwszy
trochę za dużo, ale przyszedł,
żeby ją pocieszyć i udzielić
jakiejs rady. Nie spodziewał się
z jej strony takiej napaści.
Laura widzi, że obudziła w nim
wątpliwości. Z pewnością zawsze
uważał swoją siostrę za kobietę,
może nawet jedyną kobietę,
odporną na pokusy ciała. Kto
wie, czy nie czuł do niej z tego
powodu niechęci i może cieszyło

go, że po tylu jej kazaniach,
jakie mu się dostały, jest
świadkiem jej upadku.

Laura stawia go przed sobą na
bacność. - Przepraszam cię.

Ja...

- Daj spokój. Dobrze. Proszę
cię, idź już. Jestem zmęczona.

Johnny potulnie wychodzi.
Całuje Laurę w rękę i zapewnia,
iż cieszy się, że się mylił i że
wszystko jest w porządku. -
Kiedy się raz zacznie, ciągnie
się to bez końca. Po raz
pierwszy człowiek ulega pokusie
z powodu wielkiej miłości.
Potem, kiedy następuje jej kres,
przychodzi następna fascynacja,
za nią jeszcze inna i tak dalej.
Nie ma końca. Nie można tak żyć.
Często ogromnie żałuję, że nie
byłem Katie bezwzględnie wierny od
samego początku. Mimo wszystko

czymże jest miłość? "Procul
hinc, procul este, severae!"
(Owidiusz, "Amores", ks. II.
Przyp. tłum.), co znaczy: "Precz
stąd, precz, świętoszki!".

Odchodząc jeszcze raz ją
przeprasza. Laura podejrzewa
jednak, że nie wyszedł
całkowicie przekonany. Był tu,
żeby ją ostrzec. Laura nie
próbuje nawet położyć się do
łóżka, czeka na Milesa.

Kiedy tak siedzi i rozmyśla o
tym i owym, o swojej pracy i o
tym, że nie porozumiała się
dotąd z Benem Caseyem, uderza ją
sposstrzeżenie, o ile bardziej
atrakcyjny wydał jej się Ben po
jej fizycznym zbliżeniu z
Martinem. Czyżby o tym właśnie
mówił Johnny? Czy to miał na
myśli? Nie mylił się.

Można mieć tylko nadzieję, że
się swymi podejrzeniami z nikim
nie podzieli. Plotka, dotąd
uważana za całkiem godziwe
zajęcie dla ludzi, którzy nic
innego nie mają do roboty, nagle
jawi się przed nią jako budzące
grozę niebezpieczeństwo.

Nalewając sobie kieliszek
wina, próbuje nie myśleć o jej

konsekwencjach.

Mniej więcej po godzinie
słyszy zgrzyt klucza w drzwiach
wejściowych. Miles. Szybkim
krokiem wychodzi mu naprzeciw.
W hallu, biorąc od niego
płaszcz, oświadcza: - Nigdy
więcej się z nim nie spotkam.

Miles nie odpowiada, ale lekko
dotyka ustami jej policzka.

- Jadłeś coś?

- Nie, wystarczyłoby mi

kanapka.

- Zaraz ci zrobię.

Z ulgą oddała się od niego. Z ulgą podejmuje swoje obowiązki żony. Dramatyzując swoją sytuację dochodzi do przekonania, że znakomicie rozumie, dlaczego ludzie zmuszeni do wyrzeczenia się swojej wielkiej miłości zamykają się w klasztorach. Dlaczego oddają życie w służbę tych, których nie potrafią kochać. Robi świetne kanapki, starannie okrawając skórkę z kromek i delikatnie posypując mięso solą. Z Martinem nigdy nie byli z sobą dość długo, by się mogła przekonać, czy ich miłość była właśnie tą "miłością wielką", czy może tandetnym pozorem.

Tej nocy jest tak zmęczona, że niemal zapomina o obecności Milesa w tym samym łóżku.

XII

Jest piękny letni poranek. Laura stoi pośrodku opadającego w dół pola obserwując, jak maszyny rolnicze powoli wjeżdżają przez główną bramę i ustawiają się na wyznaczonym dla nich miejscu. Nad żywopłotem sąsiadującego pola pojawia się szczyt wielkiego namiotu. Z dużą szybkością zbliża się do niej furgonetka z megafonem. Obok kierowcy siedzi Ben Casey. Wskakuje i zrozpaczonym głosem oświadcza: - Wykluczone, żebyśmy byli gotowi za dwie godziny!

Laura patrzy na niego ze

spokojem. Nigdy dotąd nie widziała go tak zaaferowanego. Pamięta, jakich rad jej udzielał w sprawie służby państwowej. Dziwne jest tak nagle zobaczyć go na otwartej przestrzeni. Niekorzystnie wygląda w porównaniu z Royem, który prezentuje się najlepiej na tle bezkresnego pola. I znowu jak zawsze myślami wraca do Martina. Na jakiś czas jej uwagę bez reszty pochłonęły traktory.

- Będziemy gotowi - stwierdza pewnym głosem. - A jeżeli nie, no to nie będziemy.

- Gdzie pani chce, żebym umieścił głośniki? - Kierowca nie zadaje sobie trudu i nie wychodzi z szoferki.

Laura przygląda się jego znudzonej twarzy w oknie furgonetki. Jest pewna, że dawniej ludzie nie byli tacy pospolici. Czy może ocenia ich inaczej dlatego, że nie ma obecnie tego przyjaznego stosunku do świata co dawniej? Dlatego że bez Martina każdy jej gest, każde słowo jest świadomym wysiłkiem. Stara się przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy człowieka roznosi szczęście, ale nie udaje się jej. Poucza kierowcę, gdzie umieścić głośniki, i idzie z Benem Caseyem do namiotu.

- Zaraz, jak tylko go postawią, bierzemy się do rozłożenia eksponatów i urządzenia bufetu - mówi stanowczym, rozkazującym tonem, który ją samą zdumiewa.

Sprawdzają ruszt, który już działa, i idą zobaczyć teren przeznaczony na parking. - Mamy szczęście, pogoda nam sprzyja - mówi Laura. - Prawdopodobnie będziemy tu mieli tłumy ludzi.

Ben Casey nieco się

rozchmurza. - Dzięki Bogu minister będzie dopiero o pół do pierwszej.

- Nie denerwuj się. Znosi się

na prawdziwy sukces. - Laura wierzy w to, co mówi; chciałaby tylko, żeby ją to bardziej obchodziło. O dziewiątej rano ma nieprzeparłą ochotę napić się czegoś mocnego. Dzień, który ma przed sobą, wydaje się nieskończenie długi. Kiedy już będzie po wszystkim, wieczorem, chyba się upije.

W ostatniej chwili zdecydowali, że po siódmej zamienią namiot w dyskotekę. Za wejście ludzie będą musieli płacić. Mogą nawet sporo zarobić. Laura zapraszała każdego, z kim rozmawiała w ubiegłym tygodniu. Skrycie ludzi się nadzieją, która ją przeraża, że zjawi się także Martin. Nie widziała go, odkąd się rozstali w Nowym Jorku, nie wspominał o nim również nikt ze znajomych. Czuje jednak, że musiał już wrócić do Anglii. Wmawia w siebie, że nie chce go więcej widywać.

Tuż przed jedenastą, kiedy Laura jest niemal w panice, gdyż pierwsi goście już przybywają, a wystawa jeszcze nie ukończona, podjeżdża Katie samochodem pełnym dzieci. Trąbi wesoło klaksonem.

- Samochody tu nie wjeżdżają - woła do niej Laura.

- Powiedziałam, że dzieci nie mają siły tak daleko iść, i dyżurujący przy bramie dał mi znak ręką, że mogę wjechać.

Maddy ma nudności.

Patrząc na rumianą i
szczęśliwą twarz Katie w
otoczeniu dzieci wesoło
machających rączkami i coś tam
wykrzykujących, Laura zastanawia
się, dlaczego przyzwyczaiła się
mówić o niej "biedna Katie".
Przypuszcza, że to z powodu
ustawicznych zdrad Johna. A
jednak Katie nie rozczuła się
nad sobą. Jest kobietą
zdecydowaną i wie, czego chce od
życia. Dyżurujący przy bramie
dostał ściśle instrukcje, że

nikogo prócz ministra nie wolno
mu przepuścić przez bramę.

- Zaparkuj za namiotem.

Traktory są na sąsiednim polu.
Mniej więcej za pół godziny
przyjdę do was.

W samochodzie Katie ma także
Nicka, Lizzie i nową niańkę.
Woła na odjezdnym: - Jechaliśmy
tylko godzinę. Co ty na to?

Laura, która spała tej nocy u
Katie, woli nie wierzyć zbytnio w
ten wyczyn. Przyglądając się,
jak Katie omal nie najeżdża na
linkę namiotową, Laura cofa się
pamięcią do jej obrazu sprzed
małżeństwa. Była wtedy beztrąsko
roześmianą uczennicą.

Minister podoba się Laurze.
Poznała go już wcześniej, przy
bufecie w Izbie Gmin. Jest
niski, otyły, przypomina
baryłkę, ma ostre rysy twarzy i
żywe oczy zdradzające ambicję.
Rolnictwem się specjalnie nie
interesuje, ale lubi dobrze
wywiązywać się ze swych zadań.
Mimo niepociągającej
powierzchności mówi się o nim,

że lubi kobiety, szczególnie pewną panią z opozycji w Izbie Gmin. Nie stroni także od trunków. Połączenie tych cech sprawia, że okazuje się przyjemnym współuczestnikiem zabawy w tak niecodziennej scenerii jak namiot na polach hrabstwa Somerset. Laura w kokieteryjny sposób przeprosza go, że będzie musiał wygłosić mowę stojąc na chwiejącej się skrzyni.

- Z przyjemnością, jeśli pani będzie stała obok z otwartymi ramionami.

Laura przyłapuje się na myśli, że jednak życie ma swoje uroki. Przedstawia ministrowi Nicka, który wygląda bardzo ładnie i jest ogromnie wszystkim przejęty..

Zaczynają pojawiać się dziennikarze.

Ona ma na głowie ministra, więc Ben Casey niech się zajmie

prasą. Spostrzega, że Ben przygląda się jej z rosnącym zachwytem. Tymczasem wokół chwiejącej się skrzyni zbierają się tłumnie ludzie. Megafony ogłaszają, że po przemówieniu ministra, który będzie mówił już za pięć minut, przewidziany jest dziecięcy korowód przebierańców. Katie poświęciła wiele godzin, żeby przeistoczyć swe dzieci w wiejską rodzinę z połowy osiemnastego wieku. Nicky nie dał się w to wciągnąć.

Minister kończy drinka i staje na skrzyni. Rozlega się trzask całkiem imponującej liczby aparatów fotograficznych.

Prywatny sekretarz ministra, trzymający się dotąd dyskretnie z boku, teraz podchodzi i staje tuż przy Laurze. - Jest doskonały w takich sytuacjach - mówi szeptem. - Będzie mówił dokładnie dziesięć minut, co do sekundy. Na początek wszystkich rozśmieszy, a na zakończenie wzruszy. - Mówi to z dumą i Laurze znowu przechodzi przez myśl, że to, czego jej brakuje, to "satysfakcja zawodowa". Właśnie tym Miles - tak niesłusznie - nad nią góruje.

Minister wywołał już śmiech zgromadzonych słuchaczy. Uśmiecha się z zadowoleniem i teraz zniża głos. Laura zastanawia się, jak wygląda jego związek z posłanką siedzącą po drugiej stronie Izby. Oboje nie zerwali swoich małżeństw. Oboje są ambitnymi, odnoszącymi sukcesy politykami. Czy to się nazywa "związek partnerski", coś pokrewnego z "satysfakcją zawodową"? Czy przed pójściem do łóżka mówią o polityce?

Miles opowiada jej o swojej pracy tylko po to, żeby wzbudzić jej podziw. Nie wtajemnicza jej do końca w swoje sprawy. Gdyby to robił, zapewne mogłaby go lepiej zrozumieć i nawet mu pomóc. Ale wtedy nie wydawałby się może taki wspinały. On nie

chce rozmawiać, on chce przemawiać do podziwiających go słuchaczy.

Uwagę Laury odciąga Ben Casey, który próbuje powstrzymać jakiegoś fotografa od robienia zdjęć podczas przemówienia

ministra. Ciekawe, że jeśli się już miała zakochać, nie wybrała kogoś, kto traktowałby ją jak partnera w pracy zawodowej. Kogoś takiego jak Ben Casey. O życiu Martina, o jego życiu zawodowym nie wiedziała prawie nic. "Półprzewodniki" było dla niej słowem równie obcym, jak prawniczy żargon Milesa. Może był to z jej strony błąd. Nigdy się nie zastanawiała nad tymi sprawami w czasie trwania swego małżeństwa, dopóki się nie zakochała w Martinie. Uważała, że jest szczęśliwa. I była szczęśliwa. Z jej piersi dobywa się westchnienie. Nie. Nie ma zamiaru brać winy na siebie. Dała się złapać Martinowi w pułapkę, przeistoczył ją w osobę, jaką w niej pragnął widzieć, i teraz jest za późno, żeby to zmienić.

Nigdy nie osiągnie "satysfakcji zawodowej". Zabawne określenie. Laura przygląda się ministrowi zmierzającemu teraz do wzruszenia słuchaczy, wydaje się jej śmieszny, z przejęciem wygłaszając myśli, którymi łyżką dzisiaj rano nakarmił go jego sekretarz. Jest zawstydzona, że jeszcze przed chwilą schlebiała mu kokieteryjnie.

Miles jest przynajmniej prawdziwym człowiekiem. Próbuje pomyśleć o jego bladej, zmęczonej twarzy ze stosowną dumą, jak dobra żona, i w pewnym stopniu to się jej udaje. Odkąd oświadczyła, że zostaje przy nim, jest dla niej bardzo dobry. Wyraził nawet chęć złożenia wizyty jej "staruszkom traktorom".

Pojawia się krótko po

odjeździe ministra, około piątej. Mimo soboty ma tak zaplanowaną pracę, że może sobie pozwolić na pozostanie tylko około godziny. Laurze wydaje się, że jego serdeczność i aprobata zabarwione są protekcyjnością, że daje się w nich wyczuć nutę poświęcenia. Staje się to dla niej zupełnie pewne, kiedy Miles rozglądając się mówi: - Minister w końcu nie dopisał?

- Owszem, był tu kilka godzin. Wygłosił świetne przemówienie. - Nie pije proponowanego przez Milesa jabłeczniaka i z obrzydzeniem patrzy, jak on sam sący jasne piwo. Miałaby ochotę na wódkę z tonikiem.

Zdecydowanym głosem mówi: - Będę musiała zostać na tańcach.

Podchodzi Ben Casey. Laura zapoznaje go z Milesem. Ben Casey wygłasza kilka pochlebnych uwag na temat jej zmysłu organizacyjnego. Jak jakiś szkolny wychowawca na wywiadówce do ojca dziecka, ze złością myśli Laura. Na urzędniku radca jej królewskiej mości w ciemnym garniturze wyraźnie robi wrażenie, zaczynają rozmowę, która obraca się wokół prawa i środowiska.

Laura zostawia ich razem, z satysfakcją stwierdzając, że w chwili, kiedy wstała, zaczęli się jąkać i każdy dyskretnie obserwuje ją kątem oka.

- Spróbuję odszukać Nicka.

Miles nie pozostał dłużej na festiwalu. Pokazał się jednak, manifestując swą życzliwość i poparcie dla poczynań żony. Laura chce, żeby odjechał, ale

jednocześnie odczuwa dziwny
niepokój. Szybko całuje go w
policzek, prosząc, żeby
ostrożnie jechał i odmroził rybę
w cieście, zanim ją wstawi do
piecyka.

Tuż po jego wyjeździe żałuje,
że prócz tych błahostek nie
miała mu nic więcej do

powiedzenia. Przejechał przecież
ponad sto mil, żeby pokrzepić ją
swoją obecnością. Gdyby tylko
mogła uwierzyć, że zrobił to z
miłości, nie z poczucia
obowiązku. Ta myśl każe jej się
przez chwilę zastanowić,
uzmysławia sobie bowiem, że
wszystko byłoby jeszcze bardziej
nieznośne, gdyby istotnie
uwierzyła w jego miłość. Jej
szorstkie zachowanie należałoby
wtedy uznać za niegodziwe. Kiedy
go nie ma, potrafi być naprawdę
dobrą żoną.

Laura wzdycha i nagle ogromnie
podnosi ją na duchu widok Nell,
zmierającej w jej kierunku w
towarzystwie dwóch
kilkunastoletnich synów i
trzeciego młodzieńca, którego
Laura nie zna. Biegnie im na
spotkanie wołając: - Hej, hej!
Chyba zostajecie na dyskotecę?

Trzeci chłopiec okazuje się
amantem Nell. Jest to ten sam
młody człowiek, który pracuje na
polu kempingowym. Laura pamięta,
że Nell opowiadała jej o nim
jeszcze w tamtych zamierzchłych
czasach, kiedy Laura nie znała
Martina. Wówczas wszystkie
romansowe opowieści Nell
brzmiały dla niej jak fantazje.
Teraz w nie wierzy i z uwagą

przygląda się chłopcu. Jest niepokojąco piękny, nieco podobny do synów Nell, którzy są obaj wysokimi blondynami o niskich głosach. Jest opalony, na szyi nosi sznur turkusowych koralików. Ma także dyskretne złote kółeczko w uchu. Jeszcze kilka tygodni temu Laura nigdy nie pomyślałaby, że można poważnie traktować mężczyznę ze złotym kolczykiem w uchu. Teraz patrzy na niego jak na złote jabłko na paterze i miałaby ochotę go dotknąć.

On pyta: - Widzę, że nie macie stanowiska dla przyczep samochodowych? - Ma na imię Lyndon.

- Obawiam się, że całe to

przedsięwzięcie nie uwzględnia istnienia przyczep - usprawiedliwia ich nieobecność Laura. - Dotyczy ono raczej przeszłości. Rozumie pan, zachowanie i konserwacja starych typów maszyn i temu podobne sprawy.

- Ludzie uwielbiają przyczepy kempingowe - mówi Lyndon, przyglądając się ustawionym po drugiej stronie żywopłotu ogromnym starym maszynom rolniczym. - Na przykład chłopcy Nell na pewno woleliby mieszkać w przyczepie aniżeli w domu. Prawda, chłopaki? - Zwraca się do nich, na co oni, zmieszani, odpowiadają szuraniem nóg i coś tam niewyraźnie mamrocą pod nosem.

- Nie mam nic przeciwko przyczepom kempingowym - mówi Laura, co nie jest prawdą, bo

ich nie znosi. Podobnie jak
wszystkich martwych przedmiotów.
- Tłumaczyłam tylko, dlaczego
ich tu nie mamy. Po prostu to
nie jest kiermasz. - Przerywa,
zbita z tropu pustym wyrazem
pięknych niebieskich oczu
Lyndona.

Spogląda na Nell, która stoi z
uśmiechem aprobaty na twarzy i
ujmuje Lyndona za rękę. - Lyndon
postanowił zrobić swój pierwszy
milion przed trzydziestką.
Chodźmy, dobrze ci zrobi
przyjrzenie się przeszłości.

- Zanim skończę dwadzieścia
pięć - mówi Lyndon, rzucając jej
zimne spojrzenie. Dostrzegłszy
je także, Laura czerwieni się,
jak gdyby było przeznaczone dla
niej.

Kiedy ruszają w czwórkę w
kierunku traktorów, Laura
zastanawia się, czy chłopcom
łatwo przychodzi godzić się z tą
sytuacją. Nie można nic po nich
poznać, wydają się obojętni.
Skupione jasnoniebieskie oczy
patrzają inteligentnie. Nell
powiedziała jej kiedyś, że obaj
wykazują duże zdolności w

dziedzinie nauk humanistycznych.
Możliwe, że studiowanie antyku,
greki i łaciny, szczególnie
greckich tragedii, nauczyło ich
patrzeć na wszystko z dystansem.
Zgodnie z cytatem Johna: "Procul
hinc, procul este, severae!"
Zaczyna niemal wierzyć, że
dzieci nie tak szybko stają się
pełnymi poświęcenia ofiarami.

Słońce stopniowo przybiera
barwę coraz ciemniejszego złota
i nie grzeje już tak mocno.

Rodziny z dziećmi rozjeżdżają się do domów. Ustawione na terenie wystawy bańki po oleju pełne są resztek jedzenia i papierosów. Rożen, bez końca obracający kielbaski, nareszcie może się zatrzymać. Laura żegna się z Katie, Nickiem i resztą dzieci, po czym wraca do namiotu, żeby chwilę odpocząć. Niedługo musi się zabrać do zorganizowania wieczornej zabawy.

Siedzi na składanym krześle, pijąc z plastikowego kubka herbatę. Zjawia się Ben Casey i kuca obok niej. - Wydajesz się smutna.

- Nie, nie jestem smutna - odpowiada ostro.

- Zmęczona?

- Nie tak bardzo. - Chce być sama. Kto wie, może tego wieczoru przyjedzie Martin.

- Odnieśliśmy prawdziwy sukces.

- Jak dotąd.

- Ten dansing to już tylko lukier na torcie.

Laura podnosi się. - Pójdę, poszukam sobie spokojnego skrawka na trawie, żeby chwilę odpocząć.

Ben Casey również wstaje.

- Coś mi się zdaje, że jesteś wykończona.

- Nie jestem wykończona. -

Wolnym krokiem wychodzi z namiotu.

Ben Casey odprowadza ją ciepłym spojrzeniem. Jeszcze jej nigdy takiej nie widział. Pewna siebie, niemal arogancka. Jest obecnie szczuplejsza, Nogi ma

nierówny opalone, łydki zostały białe. Uważał ją zawsze za

chodzącą doskonałość.

Laura leży w długiej trawie na wzgórzu, powyżej terenu wystawowego. Jest tu za stromo, żeby uprawiać ziemię, a nawet kosić trawę, pełno więc dokoła polnych kwiatów, maków, bławatków, dzikich goździków, stokrotek. Czerwone, żółte, pomarańczowe, fiołkoworóżowe, niebieskie i białe. Rozpływają się przed oczyma Laury, która leży w półśnie, odtwarzając w wyobraźni to twarz Martina, to znów uczucie, jakiego doznaje, kiedy ją dotyka. "Kim jest anioł, który mnie budzi z marzeń?"

Laura siada i rozgląda się dokoła. Czuje się lepiej, bardziej rześka. Otwiera torebkę i wyjmuje lusterko. Oczy ma błyszczące, twarz rozpaloną po całodziennym przebywaniu na słońcu. Tarczę słoneczną ma teraz z tyłu, obejrzawszy się widzi, że jeszcze chwila i słońce zapadnie się za wzgórze, na którym się usadowiła.

Szczotkuje i układa włosy, poprawia makijaż i wygładza jedwabną suknię. Jedną z tych, które kupiła w Nowym Jorku. Podnosi się i uznaje, że jest wypoczęta i pełna nowych sił. Przed nią noc.

Zawieszono wokół namiotu kolorowe lampy świecą jaskrawym światłem. Ktoś robi próby z dźwiękiem.

- Gdzie się podziewałaś?
Szukaliśmy cię wszędzie.

- Musiałam odpocząć.

- To samo powiedział, jak mu tam, Casey. Ale ty jakbyś się nagle stała niewidzialna. Jest John z jakąś dziewczyną i kilka innych osób, które twierdzą, że je zaprosiłaś.

Laura uśmiecha się do Nell. -

Mam nadzieję, że John przywiózł skrzynkę wina, tak jak obiecywał.
Johnny przywiózł nie tylko

skrzynkę wina, ale również dziewczynę Martina, Philippe.
Zanim Laura zdążyła w odpowiedni sposób zareagować na tę wiadomość, zjawia się Ben Casey, jest podniecony.

- Człowiek dyżurujący przy bramie i ten drugi, z parkingu, poszli sobie. Oświadczyli, że zapłacono im za jeden dzień, nie za dwadzieścia cztery godziny. Każdy będzie chciał się dostać bez biletu. Zrobi się jedno wielkie zamieszanie.

- Nic się nie martwicie. Trzeba kogoś posadzić przy napojach. Będą musieli wykupić bilet, żeby się dostać do bufetu. - Johna rozsadza energia, jak zwykle, kiedy się może zabawić.

- To całkiem dobry pomysł. - Laura ofiarowuje się usiąść przy stoliku.

Ben Casey oddycha z ulgą. - Wydaje mi się, że można machnąć ręką na parking. I tak większość ludzi przyjedzie na motocyklach.

Nowi goście są młodzi. Nagle trzech towarzysze Nell okazują się całkiem na miejscu. Tak jak sama Nell ze swymi długimi rudymi włosami, ubrana w roboczy kombinezon. Laura siedzi przy stoliku sprzedając bilety i sama nie wie, czy jednak nie czuje się stara i trochę smutna. Pije kilka łyków wina.

Philippa jest młoda. Johnny zawsze czuje się młodszy od najmłodszego uczestnika zabawy. Inni przyjaciele Laury są jakby

trochę zagubieni. Trzy
małżeńskie pary, które same nie
wiedzą, w jaki sposób znalazły
się w tym namiocie pod
ciemniejącym niebem.

Rozlegają się pierwsze takty
muzyki. Natężenie dźwięku jest
wprost niesłychane. Muzyka
wypełnia całą przestrzeń, nic
poza nią nie istnieje,
jakikolwiek porozumiewanie się
jest wykluczone. Do stolika
podchodzi Ben Casey z jakimś
młodym człowiekiem. Wyciąga

Laurę z krzesła i sadza go na
jej miejsce. Prowadzi ją na
zbitą z desek podłogę do tańca.

Laura uświadamia sobie, że
Ben jest od niej niższy.
Trzymając się jego wyciągniętej
ręki, próbuje tańczyć tak jak
on, kołysząc się do przodu i do
tyłu. W pewnej chwili Ben
zwiększa tempo, starając się
przekrzyczeć hałas. - Jeszcze
się nie zestarzałaś! - Laura
nienawidzi go w tej chwili.

Nienawidzi go za tę poufałość,
nienawidzi go przede wszystkim
za to, że nie jest Martinem. Ben
szarpie ją za rękę na wszystkie
strony, próbując skłonić ją do
obrotu. Dokoła tańczące pary
skaczą i objijają się o siebie,
ich twarze w tym ogłuszającym
hałasie zapadły się w nicość.
Przesuwa się twarz Philippy.
Laura przypomina sobie, że
widziała ją na przyjęciu, które
Martin wydał w swoim klubie.
Wtedy także była to dla niej pusta
twarz po drugiej stronie stołu,
nieznajoma i nie wiedząca nic o
niej.

Ciekawe, czy podejdzie do niej
tego wieczoru z jakimiś
pretensjami, zastanawia się
Laura. W czasie jazdy musieli w
samochodzie rozmawiać z Johnem
na jej temat. Jest ładną
dziewczyną, ma drobne rysy i
proste jedwabiste włosy. Kiedy
się mijają w tańcu, twarz
Philippy kurczy się nagle w
maskę pekińczyka i dziewczyna
kicha. Nie wygląda na osobę
zdolną do wielkich namiętności.
Laura przypomina sobie brzmienie
jej głosu w słuchawce, kiedy
oboje z Martinem leżeli w łóżku.

Tańczy obok i jej oczy
natrafiają na Laurę. Laura
zastanawia się, kogo widzą.
Pewnie zmęczoną, apatycznie
kołyszącą się kobietę w średnim
wieku. Tak samo zachowywałby się
Miles.

Laura zaczyna tańczyć,
rzucając ciałem energiczniej od

wszystkich dokoła, wygina się i
przytupuje, kręci piruety. Robi
to dla Philippy i dla
udowodnienia, że nie jest taka
jak Miles. Nie czuje, żeby to
było śmieszne, widzi bowiem
zachwyty w oczach Bena, który
próbuję tańczyć tak samo. Poza
tym jest mrok i dziki hałas,
melodia grzmi za melodią, nie ma
żadnych przerw, zaciera się
świadomość samego siebie.

Zatrzymują się tylko po to,
żeby się czegoś napić i
zaczerpnąć oddechu. Laurę
stopniowo wypełnia radosne
przeświadczenie, że nic poza tym
tańcem się nie liczy. Pływa,
unosi się w powietrzu, zanurza

się w morzu dźwięków. Kręcąc się
i krążąc wokół Bena Caseya
zauważa, że Ben zaczyna dotykać
jej ciała. Prawdopodobnie sądzi,
że tańczy dla niego. Ale ona
tańczy dla samego tańca. Jest w
ekstazie. Nie czuje własnego
ciała. Czysta ekstaza. Zaledwie
uświadamia sobie dotyk jego
palców. Niech dotyka, nie ma to
dla niej żadnego znaczenia.

Nie obchodzi ją nawet
przeptywająca obok twarz
Philippy. Biedna Philippa, niech
tańczy, jeśli potrafi. Znowu
maska pekińczyka, następne
kichnięcie. Zbliża się Nell z
Lyndonem. Lyndon zdjął koszulę.
Laura przypomina sobie, że jest
dla niej złotym jabłkiem i ma
ochotę go dotknąć, tak jak Ben
jej dotyka. Nagle zamieniają się
partnerami. Nell i Ben zwierają
się w konwulsyjnym uścisku,
Lyndon i Laura krążą wokół
siebie, z początku ostrożnie,
tańcząc w pewnym oddaleniu,
potem, w miarę jak ich ciała
przy obrotach ocierają się o
siebie, zbliżają się coraz
bardziej. Laura osądza, że to
przemyknięcie obok, ocieranie się
o siebie, czasem dotyk, jest
istotą tego tańca. Świadome
zetsknięcie się ciał byłoby zbyt
banalne, zbyt spodziewane,

zepsułoby całą przyjemność.

Ocierają się i prześlizgują
jedno obok drugiego. Ciało Laury
płonie, czuje, jak serce
jej bije młotem, mimo to nie
traci wewnętrznego chłodu i
dystansu do samej siebie. W
przebłyску pamięci przypomina

sobie, że ostatni raz znajdowała się w podobnym stanie na korcie tenisowym, kiedy grała w deblu, nie dokończonym, gdyż Miles naderwał sobie wtedy ścięgno Achillesa. Wówczas blisko był Martin, jednakże Lyndon, z nagim ciałem błyszczącym od potu i kolczykiem w uchu, jest realniejszy. Martin jest mrzonką. Przestało jej zależeć na tym, czy jeszcze przyjedzie.

- Muszę wyjść na powietrze - mówi Lyndon z dziwnym grymasem ust, chwytając ją jednocześnie za rękę.

Zanim zdążyła się zorientować, już stoją przed namiotem. Lyndon ciągnie ją trochę dalej i zaczyna całować.

Laura jest wyczerpana, próbuje zebrać resztki sił, żeby go od siebie odepchnąć. Nie chce tego. To, co się może teraz wydawać niewinnym kaprysem, rano przemieni się w kompromitującą rzeczywistość. Nie chce jednak tak zupełnie wracać do trzeźwej rzeczywistości. Odpycha go. - Chodźmy tańczyć.

- Mam dosyć tańca.

- Ale ja chcę tańczyć.

Lyndon ponownie chwyta ją, obejmuje i zaczyna całować.

- Nie.

- Tak - prześlizguje ręką po jej piersiach i obejmuje za szyję.

Laura drży na całym ciele.

- Nell - mówi słabym głosem.

- Co się o nią martwisz?

Poszła z twoim facetem, więc o co chodzi?

Laura odpycha go z taką siłą, że niemal zwała go z nóg. Pędem rusza do namiotu i widząc jednego z synów Nell, który stoi

przy parkiecie i przygląda się tańczącym, bierze go za rękę. Idzie za nią posłusznie, cichy i nieśmiały jak zwykle.

Zaczynają tańczyć. Tańczy lepiej, aniżeli Laura mogłaby oczekiwać. Już po kilku minutach traci sztywność ruchów wynikającą z zakłopotania. Laura bez trudu wraca do swego poprzedniego żywiołowego tempa. Zdziwiała ją własne postępowanie. Czyżby się stała tak bezwzględna, że przeszła do porządku dziennego po próbie uwiedzenia jej przez oszałamiająco pięknego młodego człowieka, noszącego koleczyk i obnażonego do pasa?

Seth. Przypomniała sobie jego imię, tańczy z nią twarzą w twarz. Przymknęła powieki. Jaka jest właściwie różnica, zastanawia się, między ciałem jednego młodego człowieka a ciałem drugiego? Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na moralność? Moralność przykuła ją do męża. Do coraz bledszego z wiekiem Milesa i jego wysokiej pozycji zawodowej. Na miejscu Martina mógłby być Lyndon i Ben Casey, i nawet ten chłopiec, Seth.

Laura zaczyna odczuwać zmęczenie, ale jest w dobrym nastroju. Martin jest nadal postacią nierealną. Laura teraz wie, że wieczór się skończy i on nie przyjedzie, ale już jej jest wszystko jedno. Jest panią swojego ciała. Jest żoną i matką. Ale jej ciało należy tylko do niej. Myśli jej się płaczą, co jej uświadamia, że osiągnęła szczytowy punkt wyczerpania.

Nagle wyrasta przed nią
Johnny. - Cała londyńska paczka
już odjeżdża. Jestem gotów
zabrać cię do domu. Kiedy tylko
zechcesz.

- Jedźmy zaraz. - Puszcza
rękę chłopca. Nikogo o nic nie
pyta, z nikim się nie żegna.

Domyśla się, że do londyńskiej
paczki należy także Philippa.

- Jestem wykończona i pijana -
oświadcza, kiedy już siedzą z
Johnem w samochodzie. Są tylko
we dwoje.

- Widzę - Johnny,
przyzwyczajony do podobnych
stanów u siebie, mówi to z
pogodnym zrozumieniem.

- Odnieśliśmy wielki sukces -
stwierdza Laura, układając głowę
na oparciu siedzenia i
przymykając oczy.

- O, tak, bez wątpienia. -
Johnny prowadzi samochód, ale
usta mu się nie zamykają. Laura
przypomina sobie, jak jeździli
razem na różne dziecinne zabawy
i Johnny przez całą powrotną
drogę do domu szczebiotał,
doprowadzając matkę do szału. -

...więc ani nie zauważyłaś
nieobeności Lizzie, ani nie
zapytałaś, co się z nią dzieje.

Coś tam dochodzi do uszu
Laury z jego gadaniny, ale nie
czuje się w obowiązku
odpowiadać.

- ...nie wiem, co na to
powiesz, ale wtedy, kiedy u
ciebie byłem, przekonałaś mnie,
a on nie mówi na ten temat ani
słowa. Tyle tylko ci powiem, że
wydaje się kompletnie załamany.
Kompletnie załamany. Gdyby

istotnie nic między wami nie
było, dlaczego miałby
kategorycznie nie zgodzić się na
przyjazd na festyn? To nie leży
w jego naturze. Nie wiem, co
sobie Lizzie wyobraża, ale ona z
pewnością mu się nie podoba.
Najpewniej lubi ją, bo jest miłą
dziewczyną, ale nie czuje do
niej nic ponadto. Coś mi się
zdaje, że tylko udajesz śpiącą.
Mogę cię zapewnić, że nigdy
jeszcze nie widziałem tak
przygnębionego mężczyzny.
Przestał tańczyć. Cokolwiek
wydarzyło się w Nowym Jorku...
Powinnaś się z nim przynajmniej
zobaczyć i coś wyjaśnić...
albo, czy ja wiem... biedny

Martin. Zawsze myślałem, że ma
więcej rozumu. A ty! Kiedy sobie
przypomnę twoje wszystkie
kazania... Mogę cię zapewnić, że
słowa nie pisałem Katie, co
jest, przyznasz, bardzo
wspaniałomyślne z mojej strony,
biorąc pod uwagę...

Laura gwałtownie prostuje się.
Tego już za wiele. - Biorąc pod
uwagę co? - wykrzykuje z
gniewem.

Johnny jest zbity z tropu. -
Chciałem ci tylko o tym
powiedzieć. Żal mi go. Biedny
Martin...

- Biorąc pod uwagę co? Biorąc
pod uwagę co? - krzyczy Laura.

- Nic. Nic nie miałem na
myśli.

- To się zamknij.

Zapada cisza. Laura znowu
kładzie głowę na oparciu. I o
dziwo, zasypia niemal w tym
samym momencie. Ale słowa Johna

znajdują odbicie w jej sennych
majakach, utrwalając w jej
podświadomości nastrój smutku i
żału. Kiedy dojeżdżają do domu,
Laura całuje Johna i ciężkim
krokiem udaje się na górę, do
sypialni.

Marzy teraz tylko o jednym, o
spokoju, spokój.

Laura napisała do Martina.

"Drogi Martinie!

Moim obowiązkiem jest postawić
sprawę jasno. Nie mogę, nigdy
nie opuszczę Milesa. Chociaż
kocham tylko ciebie. Wierzę w
małżeństwo. Bardzo ważny jest
dla mnie Nicky. Nie potrafiłabym
go unieszczęśliwić.

Unieszczęśliwiłabym wtedy samą
siebie. Może nawet ciebie.

Kocham cię bardzo.

Laura."

Chciała napisać coś więcej,
ale za każdym razem, kiedy
dochodziła do zdania, w którym
go zapewniała o swojej miłości,
dostawała ataku płaczu. Czowała
się jak stara kobieta oplakująca

śmierć dziecka. Ogarnęła ją
całkowita apatia. W końcu jednak
wysłała ten list. Kiedy go
wrzucała do skrzynki na rogu
ulicy, pomyślała, że odtąd to
miejsce będzie dla niej zawsze
synonimem nieszczęścia. Nawet
taka absurdalna myśl jak ta nie
potrafiła wywołać uśmiechu na
jej ustach.

Po powrocie do domu uczyła
Nicka grać w warcaby. Kiedy nie
mogąc czegoś pojąć zaczął
popłakiwać, dała mu porządnego

klapsa. Cztery dni później przyszedł list od Martina. Wręczył go jej Miles przy śniadaniu. Laura poznała po nim, że się natychmiast domyślił, od kogo jest ten list. Była tym zaskoczona. Nie posądzała go o taką intuicję. Nie poczuwała się do winy i spokojnie wytrzymała jego spojrzenie. Napisała przecież: "Nigdy nie opuszczę Milesa". Staroświecka forma tego oświadczenia wydała się jej najodpowiedniejsza.

Pomimo to nie odważyła się otworzyć listu przy stole.

Odsunęła go na bok, między pudełka z płatkami zbożowymi, podkreślając tym gestem, że nie jest dla niej ważny.

W rezultacie zabrała ten list, ciągle nie otwarty, do biura i dopiero tam drżącymi rękoma rozcięła kopertę.

"Kochanie!

Muszę cię zobaczyć. Musisz mi na to pozwolić. Martin."

Laura nerwowo wstaje z krzesła. Przemierza pokój tam i z powrotem. Uważa, że ton tego listu jest zupełnie niestosowny. Nie ma w nim nic o jego uczuciach do niej. Ani jednego czułego słowa, będącego dowodem miłości, którym mogłaby się pocieszyć w czekających ją latach. Co to znaczy "muszę"? "Muszę cię zobaczyć. Musisz mi na to pozwolić." Czy stało się coś poważnego? To pewne, że wszystko jest poważne. Ale czy

zaistniało coś takiego, że Martin "musi" ją zobaczyć? Może jest chory? Może zostawiła coś w

hotelu, w Nowym Jorku? Albo może postanowił na zawsze opuścić Anglię?

Dlaczego nie wymienił nawet jej imienia? Tylko to "Kochanie". Przynajmniej jest jego "kochaniem". Ale ludzie piszą tak do swoich matek. Nie napisał: "Kocham cię". Może jej chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że to wszystko było pomyłką. Że jej nigdy naprawdę nie kochał? Że z ulgą zwraca ją mężowi i dziecku? Może jej list wydał mu się śmieszny, melodramatyczny? Może dla niego była to przygoda, miłośćka, może zawsze był pewny, że ona wróci do Milesa?

"Muszę cię zobaczyć. Musisz mi na to pozwolić". Teraz Laura uważnie bada charakter pisma, próbując wywnioskować, czy wyraża ono miłość, czy determinację, czy może rozpacz. Przypomina sobie słowa Johna... "Wydaje się kompletnie załamany. Kompletnie załamany".

Laura ponownie siada na krześle. Zdaje sobie sprawę, że chciała okłamać samą siebie. Nie można kończyć z miłością jednym takim listem, jaki napisała. Gdyby nawet Johnny się mylił, gdyby jego skłonność do wzruszeń doprowadziła do tego, że przesadzał, pomimo to powinna się z nim spotkać. "Musi" się z nim zobaczyć.

Z całkowicie mieszanymi uczuciami, na przemian zrozpaczona, niezdolna do powzięcia decyzji, to znów niezmiernie szczęśliwa, postanawia ostatecznie zobaczyć się z Martinem, jeszcze tylko jeden raz.

Dziwiąc się, jakie to proste, podnosi słuchawkę i wykręca jego numer.

Martin odpowiada natychmiast.

- Och, kochanie, kochanie. -

Słyszając jego głos, Laura
uzmysławia sobie własną
hipokryzję. Nie było żadnego
rozsądnego powodu, dla którego
zdecydowała się z nim spotkać.
Nawet jej list był tylko
podstępem, żeby go skłonić do
odpowiedzi.

Powinna położyć słuchawkę.
Słyszy jego słowa: - Kochanie,
kochanie, Lauro - ale to za
mało. Dlaczego nie powie, że ją
kocha?

- Tak bardzo za tobą tęsknię.

- Te niemal absurdalnie banalne
słowa wydają się Laurze
upajające.

- Kochanie. Kocham cię. Kocham
cię. Kocham cię.

Teraz powinna położyć
słuchawkę. Teraz traci wszelkie
preteksty do zerwania. Trzy
razy. Kocham cię. Kocham cię.
Kocham cię.

- I ja ciebie kocham. - Jak
można odłożyć słuchawkę w
momencie, kiedy mężczyzna oddaje
się w nasze ręce?

- Przyjedź do mnie, teraz,
zaraz. Musimy się wreszcie
spotkać. Upłynęły prawie dwa
tygodnie. Nigdy się nie dowiesz,
jakie były dla mnie. Nie mogę
pracować. Nie mogę myśleć.

Laura nie ma odwagi się
odezwać. Nie pamięta już,
dlaczego nie wolno im się
spotkać. - Kocham cię! - mówi
szepem. W głębi duszy nadal
żywi przekonanie, że jeśli
kochają się naprawdę szczerze i
zapewniają sobie wzajem

otwarcie o swej miłości, to spotkanie przestaje być istotne.

- Nie mogłabyś przyjść teraz?
- pyta Martin gorączkowo. - Ja naprawdę nie mogę, nie powinienem, ale przyjdę do ciebie, jeżeli ty nie chcesz. I tak nie ma sensu siedzieć w gabinecie, kiedy nie mogę pracować! - Echo wspomnienia pojawia się w pamięci Laury jak przestroga. W Nowym Jorku nie mógł dla niej przerwać lunchu.

- Teraz nie mogę przyjść - oświadcza. I natychmiast wstydzi się za siebie, rozumiejąc, jak niskie jest takie obliczanie na punkty jego uczucia.

- Więc kiedy?

- Nie wiem. Nie mogę zaczynać wszystkiego od początku. Po moim liście czułam się fatalnie. Nie mogłam znieść myśli, że w ten sposób ma się skończyć to, co było między nami.

- Och - Martin milknie. Gdyby usłyszała trzask, pomyślałaby, że odłożył słuchawkę.

- Martin?

- Tak?

- Tak mi przykro. Ale to, co ci napisałam w liście, jest prawdą.

- Dlaczego więc do mnie zadzwoniłaś? - brzmi to jak oskarżenie.

- Chciałam się upewnić, że się dobrze czujesz.

Laura postanawia grać w otwarte karty.

- I że mnie ciągle kochasz.

- Teraz się tego wszystkiego dowiedziałas.

- Tak. Przepraszam cię. To

było bardzo egoistyczne z mojej strony.

- Istotnie - potwierdza chłodno, podejmując uprzejmy ton Laury.

Laura rozumie, że niczego nie osiągnęła. W tej chwili nie kocha jej. Znienawidził ją. Może nawet nią pogardza.

- Nie możesz tego, co było między nami, włożyć do pudełka, przewiązać różową satynową wstążeczką i napisać na wieczku "Miłość". - W głosie Martina jest teraz znużenie. Przemawia do niej jak do dziecka. - Cokolwiek zrobisz, nie będzie to zakończenie szczęśliwe.

Laura zdaje sobie sprawę, że aż do tej chwili liczyła na szczęśliwe zakończenie. Myślała o spowiedzi i katharsis, oczyszczeniu płynącym z aktu przebaczenia.

- Szczęście to w życiu jeszcze nie wszystko.

- Święta racja. Żałuję, że zadzwoniłaś.

- Martin. Nie mów w ten sposób.

- Więc co mam mówić, czego ode mnie oczekujesz? Ty masz męża i dziecko, do których wracasz. A ja kogo mam?

Laura odpowiada w myślach: Masz swoją pracę. Komputery. A jednak jest pewna racja w tym, co Martin mówi. Nie uwzględniała jego punktu widzenia. Przynajmniej w odniesieniu do niej. Do jej szczęścia.

- Właściwie wcale ciebie nie znam.

- Ty mnie nie znasz! - Martin

nagle wydaje się wściekły.

Laura próbuje to wytłumaczyć.

- Nie wiem, jak żyjesz, jak pracujesz, co było dla ciebie ważne, zanim spotkałeś mnie. -
Chce jej się płakać. Przedtem często myślała w ten sposób, ale nigdy nie sądziła, że mu to kiedykolwiek powie, zwłaszcza w czasie sprzeczki.

- Ja też nic o tobie nie wiem.

- To prawda.

Laura myśli ze smutkiem, że to już koniec. Po tym przyznaniu się pod wpływem gniewu, że nic o sobie nie wiedzą.

Zapadła długa cisza. Laurze wydaje się, że trwa już całe godziny, w czasie których ona coraz bardziej pogrąża się w rozpacz.

- Ale ja ciebie kocham! - Głos Martina jest zdecydowany i pełen ciepła.

- Och, Martin. Ja też ciebie kocham! - Ujęta jego wielkodusznością, Laura wybucha płaczem.

Umawiają się, że w ciągu godziny spotkają się w jego mieszkaniu.

Miles natychmiast wiedział, że Laura zaczęła się spotykać z Martinem. Poznała to po sposobie, w jaki na nią patrzył.

Było to gorsze aniżeli wtedy, kiedy go okłamywała, gdyż ani przez chwilę nie mogła zapomnieć o jego obecności. Nawet kiedy była z Martinem w łóżku, czuła na sobie jego baczne spojrzenie. Miles nie próbował się do niej zbliżyć, nie upominał się o męzowskie prawa i odzywał się do

niej tylko w razie potrzeby.

Czekała na jego atak.
Powiedział, że jeżeli
kiedykolwiek znowu go opuści,
nie pozwoli jej ani wrócić do
domu, ani widywać Nicka. Nie
opuściła wprawdzie domu, ale
opuściła jego. Miles musi sobie
przecież zdawać sprawę, że ona
tego dłużej nie wytrzyma.

Zaczęła go nienawidzić.

Któregoś popołudnia Laura
odbiera telefon od Katie. Ma być
nazajutrz u dentysty i chciałaby
wiedzieć, czy Laura może z nią
pójść na lunch. Laura zaprasza
ją do domu, ale Katie twierdzi,
że już zamówiła stolik w jednej
z restauracji. Wydaje się bardzo
zdeenerwowana, bardziej aniżeli
usprawiedliwiałaby to czekająca
ją wizyta u dentysty.

Laura przystaje na jej
propozycję, chociaż dziwi ją ta
niezwykła u Katie
przedsiębiorczość.

Laura jest trochę spóźniona.
Idąc szybko zatłoczonymi
chodnikami Soho, dostrzega przed
sobą znajomą postać. Dogania ją
tuż przed restauracją.

- Roy! Co porabiasz w
Londynie? Dlaczego do mnie nie
zatelefonowałeś?

- Przed chwilą wysiadłem z
samolotu. Ja...

- Co za szczęśliwy traf!
Właśnie idę na lunch z Katie.
Koniecznie musisz pójść razem ze
mną!

- Jeżeli o to chodzi, to...

- Rozumiem, i tak szedłeś na
lunch. To wspaniale! - W tym
momencie Laura nareszcie zwraca
uwagę na jego niczym nie

usprawiedliwione zakłopotanie. -
Czy coś ci dolega?

- Nie. Nie.

- Więc idziemy. Będzie
prawdziwa uczta! - Bierze go pod
rękę i wesoło wciąga do
restauracji. Nie może się jednak
pozbyć uczucia, że coś jest nie
w porządku.

Całkowitej pewności nabiera na
widok Katie, która jest tak
podniecona, że niemal nie
reaguje na powitalny pocałunek
Laury.

Zasiadają przy stoliku i
zamawiają upatrzone dania. Kiedy
odszedł już kelner z kartą i
przyniesiono wino, Katie
spogląda na Roya i wyraźnym,
dźwięcznym głosem, jak uczennica
czytająca na głos wypracowanie,
zaczyna mówić: - Myślę, że
powinnam ci powiedzieć, że jest
szczególny powód, dla którego
zaprosiłam na ten lunch ciebie i
jednocześnie Roya.

Już przy pierwszych słowach
Laura wie, o co chodzi. Nie może
zrozumieć, dlaczego od razu się
tego nie domyśliła. Zapewne
dlatego, że dotąd ona była tą
osobą, która udzielała rad
oboju, i Katie, i Royowi.

- Chcecie mówić o moich
prywatnych sprawach - mówi
dźwięcznym, nieswoim głosem. -
Mogłam się domyślić, że Johnny
nie wytrzyma i powie wam.

- To nie tylko Johnny. Każdy
już wie - wybucha Katie ze łzami
w oczach. - Lauro! Jak mogłaś?
Zawsze uważałam cię za prawdziwy
wzór. Przynajmniej, miałam
dla ciebie ogromny szacunek. Tak
cię podziwiałam. Tymczasem ta
sprawa! To straszne!

Roy chrząka głośno i Katie
natychmiast się opanowuje. - Mój

Boże - ciągnie prawie szeptem. -
Chciałam powiedzieć zupełnie co
innego.

- Nie martw się - Laura nadal
ma ten dźwięczny, chłodny głos.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Zwracamy się z tym do

ciebie, ponieważ łączą nas węzły
przyjaźni. Ponieważ jesteś nam
bardzo droga - zaczyna Roy,
bohatersko próbując opanować
wzruszenie. - Pragniemy ci
pomóc.

W tym momencie Katie
energicznie potakuje głową. Cała
ta scena wydaje się Laurze
nieodparcie komiczna. Stara się
powstrzymać uśmiech, ale nie
udaje jej się uniknąć skrzywienia
ust.

Roy to zauważył i wydaje się
urazony. - Naturalnie, gdybyś
zamierzała poślubić tego
mężczyznę, nie mielibyśmy nic do
powiedzenia. - To oczywiste, że
i on także, podobnie jak Katie,
nie to chciał powiedzieć. Wypija
łyk wina.

Katie od czasu do czasu
pojękuje: - Nie, nie!

Laura uważa, że Katie
przestała być śmieszna, że jest
teraz irytująca. Zwraca się do
obojga: - Wiecie chyba, że w
naszym kraju rozwody są
przewidziane prawem. Ludzie
rozwodzą się bez przerwy.

Z piersi Katie wydobywa się
następny jęk. Laura popija wino.
Nigdy dotąd w ich rozmowach z
Martinem nie padło słowo
"rozwód" ani "małżeństwo".

- Zdawało mi się, że jesteś
katoliczką. - Roy patrzy na nią

z nagłym, niemal intelektualnym zainteresowaniem. - Zdawało mi się, że uznajesz istnienie norm moralnych i że te normy obejmują również małżeństwo.

Laura nie znajduje odpowiedzi. Spuszcza wzrok. - Tak, wszystko to prawda - mówi rezygnując tym razem z twardego, pewnego siebie tonu. - Jeszcze nie podjęłam żadnej decyzji. - Katie wydaje ciężkie westchnienie ulgi. - Wiedziałam, że wszystko będzie tak, jak trzeba. Cóż, jeśli nawet nie całkiem, jak trzeba, to w każdym razie nie najgorzej.

Laura nie zwraca na nią uwagi, patrzy na Roya. - Czy uważasz,

że miłość jest w życiu człowieka czymś ważnym?

- Miłość. Co to jest?

- Mówisz jak ksiądz.

Przyjechałeś tu specjalnie, żeby mi prawić kazania?

- Coś w tym rodzaju. Chciałem zobaczyć, jak wyglądasz jako kobieta upadła.

- Więc jak wyglądam?

- Jesteś piękna. I smutna.

Laura potrząsa głową i popija następny łyk wina. - No cóż, teraz kiedy mamy to już za sobą, możemy się spokojnie oddać rozkoszom podniebienia.

- Tyle jeszcze mam ci do powiedzenia. - Katie ma w oczach niepokój, jak gdyby dręczyło ją, że nie wywiązała się należycie ze swej misji.

- Trzymaj to wszystko w pamięci. Będziemy miały pretekst do umówienia się na następny lunch.

- Laura, naprawdę to nie pora

na żarty. Problem polega na tym, że Martin nie jest dla ciebie odpowiednim partnerem. Nigdy się nim nie stanie. Jest od ciebie młodszy.

Laura wybucha gniewem. - Nie chcę więcej o tym mówić. Rozumiesz? Nie mam do ciebie żalu, że mnie tu zwabiłaś pod fałszywym pretekstem. Ale jeżeli nadal będziesz próbowała coś mówić, nie zniosę tego i wyjdę z restauracji. Tak czy inaczej niczego nie wskórasz.

Katie siedzi kompletnie zdruzgotana. Nie ma odwagi tknąć czegokolwiek czy napić się wina. Laura, spostrzegłszy, że ręce jej drżą, szybko chowa je pod stół. Zawsze była bardzo do Katie przywiązana, opiekowała się nią jak młodszą siostrą. Nie zdarzyło się, żeby się tak na nią zdenerwowała, nawet kiedy była wyjątkowo irytująca.

Kelner, który przynosi zamówione dania, zastaje przy stoliku ponurą ciszę.

Laura zastanawiała się, dlaczego ludzi obchodzi to, co jest wyłącznie jej sprawą. Nie przyszło jej na myśl, że o to samo mógłby ją zapytać Johnny, kiedy go namawiała, żeby wrócił do Katie. Choć byli bratem i siostrą, nigdy nie pomyślała o tym, że ich sytuacja może być pod jakimkolwiek względem podobna. Nie uważała siebie za żonę niewierną.

- Kocham cię - mówi Laura do Martina pewnego popołudnia. -

Czuję się lepsza przez to, że cię kocham.

- Lepsza, szczęśliwsza, czy w ogóle lepsza? - Krzyżuje pasma jej włosów pod brodą, jakby zawiązywał muszkę.

- Nie wiem. Jestem jakby napelniona miłością. Miłością do całego świata.

- Muszka i cycuszki. - Pociąga ją za włosy. - Mam nadzieję, że wstęp do tego całego świata przed mężami jest zamknięty - szczególnie przed twoim mężem.

Nigdy dotąd nawet nie wspomniał o Milesie. Laura zachowuje milczenie.

- A może broda i cycuszki? - Proponuje, wyciągając więcej kędziorów.

Laura ma ochotę krzyknąć: "Nienawidzę go! Nienawidzę go!" Zaciska usta i zamyka oczy. Jak zareagowałby Martin, gdyby mu to powiedziała? Czy odparłby: "Przyjdź do mnie i zamieszkajmy razem, chcę, żebyś była moja na zawsze?" Tych dwóch słów, "rozwód" i "małżeństwo", Laura nie wymienia nawet w myślach. Robi to świadomie, gdyż nie potrafiłaby zostawić Nicka, a poza tym wierzy w małżeństwo. W swoich poglądach nie widzi nic śmiesznego. Kocha, grzeszy, ale nie straciła wiary w małżeństwo. Z drugiej strony, jeśli Martin nie odpowiedziałby "przyjdź do mnie i już nie odchodź, bo jesteś moją miłością", byłaby w

rozpaczy, gdyż mogłaby to zrozumieć tylko w jeden sposób: że jej nie kocha.

Jak może jej pozwalać żyć u

boku człowieka, którego ona nienawidzi?

XIII

Wieczorami, kiedy Nicky był już w łóżku, Laura lubiła przesiadywać w saloniku, w zupełnej ciszy, nie zajęta niczym. Od lat przywykła do tej przyjemności. Zazwyczaj zabierała z sobą gazetę lub książkę, czasem zamierzała zająć się szyciem albo oglądać telewizję. Wiedziała jednak, że tak naprawdę nic nie będzie robiła. Przepadała za atmosferą tego pokoju, lubiła wiszące w nim obrazy, kwiaty, bibeloty, cienie liści platanów tańczące na oświetlonych słońcem ścianach. Mogła w nim siedzieć godzinę i dłużej, póki Miles nie wrócił do domu.

Miles przychodził tam do niej z wyraźną przyjemnością. Wyczuwał, że te chwile odprężenia, trwania w bezruchu są dla niej źródłem energii i dobrego nastroju w następnym dniu. Zawsze mówił żartem, że jest jego buddą, jego medytującą mistyczką. I rzeczywiście był to rodzaj medytacji.

Obecnie utraciła tę swoją ulubioną godzinę. Drżąc na myśl o powrocie męża, pełna niepokoju, Laura miota się po całym domu. Gotuje, sprząta, telefonuje do Nell.

- Nie możesz żyć w ten sposób
- mówi Nell. Często wygłasza podobne uwagi, które Laura zazwyczaj puszcza mimo uszu, uważając je za nierealne. Trudno, musi być, jak jest. Tym razem z jakiegoś powodu słucha Nell nieco uważniej. Ta rozmowa podsuwa jej pewien pomysł.

- Pojadę do Włoch - oświadcza.

- Za niecałe dwa tygodnie Nicky zaczyna wakacje.

- Wiesz, to chyba dobra myśl. -
Reakcja Nell jest entuzjastyczna, jak zawsze, kiedy się coś zaczyna dziać. Laura jednak nie zdradza jej wszystkiego. Nagle wyobraźnia podsuwa jej serię wspaniałych obrazów: Włoska plaża, Sorrento, oszałamiające barwami bugenwile, słońce, lazurowe morze rozbijające swe fale o ściany skalnego brzegu, na którym wznoszą się ledwo dostrzegalne z dołu kapliczki. Kościoły, place, galerie obrazów, Pompeje. REstauracje, freski, białe obrusy, grissini, butelka Verdiccio z lodu, Martin.

Martin mógłby do niej przyjechać, kiedy tam będzie z Nickiem. Później jego miejsce mógłby zająć Miles, oczywiście jeśli udałoby się jej namówić go, żeby choć na trochę oderwał się od pracy.

Laura już widzi, jak sobie poradzi z mężem i kochankiem.

Z głębi pamięci, nie przywołane, wyłania się wspomnienie jej ostatniego pobytu we Włoszech. Wtedy była tam ze swoim żonatym kochankiem. Dopiero tam przestało ją nękać poczucie winy. Jeszcze wcześniej pojechała do Włoch jako uczennica. Całe godziny spędzała w galerii Uffizi, zapatrzona w czternastowieczne Madonny, które przy bogactwie palety i detalu w połączeniu ze szlachetnością

wyrazu były jak gdyby
kwintesencją tego, co zawsze
budziło w niej największy
podziw. Pamięta swój pierwszy
pocałunek na Ponte Vecchio.
Kiedy tamten mężczyzna, którego
imienia nigdy nie mogła
zapamiętać, ale którego twarzy
nie zapomni do końca życia,
pochylił się nad nią, miała
wrażenie, że jak za dotknięciem
różdżki czarodziejskiej schodzi

z piedestału, wylaniając się z
ram obrazu. Utożsamiała się z
Madonną, wyobrażając sobie, że
mogłaby urodzić pozostając nadal
dziewicą, całować się, a mimo to
pozostać nietknięta. Dotąd nie
pozbyła się całkowicie tego
wewnętrznego przekonania.

Włochy. Laura odkłada
słuchawkę po rozmowie z Nell i
szybko idzie do kuchni. Miles
wróci lada chwila. Powie mu o
tym natychmiast. Kłamstwo nie
przedstawiało teraz dla niej
większej trudności. Przynajmniej
wtedy, kiedy popełniając je,
mogła być jednocześnie zajęta
jakąś robotą. Czasem wydaje się
jej wprost nieprawdopodobne, że
kiedy pochyla się nagle, by
wygładzić poduszkę, albo uniesie
wyżej książkę pod pozorem
wygładzenia miękkiej okładki,
Miles nie odgaduje, czemu te
gesty służą. Woli nie myśleć o
tym, że on może nie chce nic
wiedzieć.

Laura rzuca okiem na zegarek.
Marzy o tym, żeby zadzwonić do
Martina. Jednak myśl, że Miles
mógłby przyjść w czasie ich
rozmowy, każe jej zrezygnować z

telefonu. Byłoby to zbyt okrutne, a nawet w złym guście. W jej pojęciach zaczyna się już zacierać granica między tym, co jest kwestią dobrego smaku, a co sprawą moralności.

Starannie nakrywa do kolacji. Z przyjemnością stwierdza, że beszamel jej się udał, jest idealnie gładki. Otwierają się frontowe drzwi. Miles zgodnie ze swym zwyczajem zawiadamia o przyjściu. - Już jestem.

Laura wychodzi mu na spotkanie, czego ostatnio nie robiła. Myśl o podróży do Włoch dodaje jej skrzydeł. -

Powierzyli ci tę głośną sprawę o szantaż, na którą miałeś ochotę? - pyta nie siląc się zbyt na okazanie zainteresowania.

- Wyobraź sobie, że tak. - Miles z miejsca dostraja się do

jej tonu. - Otwórzmy butelkę dobrego wina, trzeba to uczcić.

- Świetny pomysł! - Laurze przychodzi na myśl, że znakomicie jej to ułatwi powiedzenie o wakacyjnych planach. Przede wszystkim musi mu zwrócić specjalną uwagę na mizerną, typowo londyńską buzię Nicka, któremu koniecznie potrzeba słońca i pobytu nad morzem.

Laura i Martin, trzymając się za ręce, przechadzają się po Hyde Parku. Wiedzą, że nie spotkają tu nikogo ze znajomych, dlatego wybrali się na spacer do Hyde. Jest cudowny letni dzień - drzewa stoją w ciemnozielonym listowiu, przejrzyste niebo,

rozśpiewane ptaki, nagrzana trawa. Gdyby nie było tak pięknie, nie wychodziliby z mieszkania Martina, wtuleni w siebie, wynagradzając sobie czas rozstania i czerpiąc siły na następne. Nawet teraz, kiedy spacerują ramię przy ramieniu, oddzieleni zaledwie smużką powietrza, wydaje im się, że są niezdalnie od siebie daleko.

Siadają na ławce. Tutaj Martin może ją otoczyć ramieniem, na którym ona położy głowę. Zamknawszy oczy może sobie wyobrazić, że są razem w łóżku.

- Jak mogę mieć wyniki w pracy? - mówi Martin z ustami w jej włosach. - Muszę się starać o podtrzymywanie reputacji, jaką sobie wyrobiłem.

- Co to znaczy?

- Uchodzę za człowieka wyjątkowo energicznego i ambitnego. Dzięki temu zapewniam sobie egzystencję. Jeśli się usuwam w cień, nie pokazuję się, nic się nie dzieje. Jeśli się nic nie dzieje, w interesach panuje zastój. Zastój w interesach, koniec z zarobkami.

Laura nie bierze tego poważnie. - Jak to usuwasz się? Jesteś przecież wolny jak ptak.

Martin uśmiecha się. - Wolny?

- Przecież jesteś mnie zupełnie pewny. Nie musisz myśleć, co robię.

- Tak, wiem o tym. - W głosie Martina pobrzmiewa ironia: prosto od niego Laura idzie do męża. Ale ona tego nie rozumie. Wie, że bez reszty należy do Martina, w dzień i w nocy, czy

są razem, czy osobno.

Odsuwa się od niego i otwiera torebkę. Wyjmuje z niej bilety na samolot. Otwiera pierwszy leżący na wierzchu. - Mój - oświadcza. Otwiera następny. - Nicka. Więc ten musi być twój. - Z radosną miną wręcza mu bilet. - Dokładnie ten sam lot, co nasz, o tej samej porze, tyle że o dzień później.

Martin przygląda się biletowi. - Ile lat ma Nicky?

Laura jest zaskoczona, oblewa się szkarłatem. Pytanie Martina popsuło jej całą przyjemność. Nicky tak bardzo jest częścią jej samej, że nie wiedzieć nic o nim to tak, jak nie wiedzieć nic o niej. To, że prawie o nim nic nie mówi, nie zmienia tego faktu, gdyż właśnie z niego wynika. Jak może opowiadać o czymś, co stanowi część jej samej. Martin powinien rozumieć to instynktownie. Nieoczekiwana przykrość sprawia, że jej odpowiedź jest szorstka.

- Siedem.

- Myślałem, że jest młodszy.

Laura próbuje opanować skrępowanie. Odmładzanie synów to zwykłe praktyki matek. - Nieoczekiwanie przypomina sobie matkę Martina, kobietę elegancką, o nieprzeciętnej osobowości. Chciałaby zmienić temat i porozmawiać o niej, ale Martin ma dalsze pytania.

- Co on będzie robił wieczorami?

- Wynajmie się kogoś, jakąś kobietę, żeby go pilnowała. Jest do tego przyzwyczajony. - Laura mówi to tonem beztroskim, ale

obudził się w niej nowy
niepokój. Co Nicky będzie robił
przez cały dzień? W ułamku
sekundy zrozumiała, że używa
swego ukochanego syna jako
parawanu przed podejrzeniami
Milesa. Że wcale nie organizuje
tego wyjazdu dla jego dobra, w
ogóle o tym nie pomyślała.

Ale Martin, jak każdy kawaler
przekonany, że dla dopełnienia
obowiązku wobec dziecka
wystarczy zdecydowana postawa,
aby utrzymać je w karbach, jest
uspokojony. - Idziemy do domu?

W jednej chwili Laura zapomina
o wszystkim i pragnie tylko
jednego, żeby go dotknąć, objąć
ramionami. - Nie mogę być długo
- mówi, daremnie starając się
nadać głosowi ton trzeźwy i
zdecydowany.

Walizka Nicka leży otwarta na
łóżku. Wypchana okularami do
nurkowania, płetwami, różnymi
grami, zabawkami i książkami,
jest większa od walizki Laury.
Niedługo obaj wrócą do domu.
Nicky ze szkoły, Miles z sądu.
Miels odwiezie ich na lotnisko.
W ciasnym pokoiku Laura stoi
sztywno wyprostowana, zapatrzona
przed siebie. Do tej pory
wszystko, co robiła, wydawało
się nieuniknione, jak gdyby
kierowała nią jakaś niewidzialna
ręka. Nie miała w sobie dość
siły, by się oprzeć. Teraz jest
to jej pierwszy krok
samodzielny, stawia go z pełną
świadomością, cały pomysł jest
wyłącznie jej, przy czym wciąga
w swoją grę jedyną istotę, za
którą się czuje całkowicie
odpowiedzialna, własnego syna.

Z zamyślenia wyrywa ją dzwonek
telefonu. To Katie, chce jej
życzyć miłego urlopu. - Zapomnij

o wszystkim - powtarza kilka razy. - Niech te wakacje będą naprawdę udanym wypoczynkiem. Bardzo ci jest potrzebny. Zbyt eksploatowaliśmy cię wszyscy do tej pory. Myśl przede wszystkim

o sobie, zobaczysz, że po powrocie poczujesz się całkiem inną osobą.

Laura widzi, że Katie, do pewnego stopnia kierując się chrześcijańską miłością bliźniego, po części zaś nie mogąc pogodzić się z myślą, że jej ideał mógł ulec profanacji, postanowiła uznać, że ona, Laura, przeszła coś w rodzaju załamania nerwowego, z czego uleczy ją niewątpliwie słońce i nadmorski klimat. Laura, która przez całe życie do tego stopnia liczyła się z ludźmi, że wolą raczej kupić paczkę rybnych paluszków, których nie znosiła, aniżeli zrobić przykrość sprzedawcy, ma teraz niecną ochotę powiedzieć Katie: "Wiesz, przyjedź do mnie Martin! Rozumiesz? Tylko dlatego tam jadę. Będziemy się mogli razem wygrzewać na słońcu. Z dala od podpatrywaczy. Od takich wścibskich jak ty!".

Zamiast tego mówi: - Dziękuję - i przyrzeka przysłać kartkę. Kiedy odkłada słuchawkę, przychodzi jej na myśl, że wszystko byłoby o niebo łatwiejsze, gdyby Nicky pojechał do Katie. Mogłaby wtedy spędzić ten urlop sama tylko z kochankiem. Nie podchodzi jednak serio do tego przelotnego pomysłu.

Miles, Nicky i Laura zaglądają do kolejnych sklepów na londyńskim lotnisku. Nicky trzyma za rękę Milesa. Mały chłopiec o promiennej buzi i śmiertelnie poważny, na ciemno ubrany pan stanowią dziwny kontrast. Laura z trudem opanowuje chęć oderwania ich od siebie. Ma ochotę rozłączyć ich dłonie. Kiedy zatrzymali się, żeby kupić gazety, podchodzi do nich jakiś mężczyzna.

- Miles - mówi nieznajomy. -
Wszyscy troje zatrzymują się uprzejmie. Miles przedstawia

swoją żonę i syna. Popycha Nicka nieco do przodu i z dumą obserwuje, jak chłopiec podaje rękę. Laura chwyta spojrzenie mężczyzny. W jego uśmiechu wyczytuje zachwyty dla rodzinnej sceny, której stał się świadkiem.

- Wyjeżdżacie państwo na wakacje? - pyta.

- Ja polecę nieco później - wyjaśnia Miles. Odchodzi ze znajomym kilka kroków dalej. -
Prawdę mówiąc, chodziło mi o to, że chciałbym zasięgnąć pana rady. Powierzono mi tę wielką aferę o szantaż...

Okazuje się, że podszedł do nich adwokat wracający właśnie z Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. Obu mężczyzn pochłonęła rozmowa. Nicky ciągnie Laurę do kiosku, żeby mu kupiła komiks.

Chłopiec jest coraz bardziej podniecony. Kiedy zbliżają się do lady przy odprawie celnej,

wybiega do przodu. Miles chwyta go za rękę, żeby go ucałować na pożegnanie.

- Nie zapomnij! Kiedy przyjadę, masz pływać jak wydra.

Laura zastanawia się, czy ją także pocałuje, i puszczając Nicka przodem, uprzejmie podnosi ku niemu twarz. Miles widzi to, ale stoi nieporuszony. A więc doszło do tego, czego unikała od dawna, że z tak bezpośredniej odległości patrzy mu prosto w twarz. Wryty na niej bolesny grymas cierpienia jest tak przejmujący, że w pierwszym odruchu Laura cofa się. Szybko mruga powiekami, pod którymi zbierają się łzy. Nisko opuszcza głowę.

- Szczęśliwej podróży - słyszy nad sobą zdecydowany głos Milesa.

- Tak, tak. Wszystko będzie dobrze. Uważaj na siebie. - Nie odwracając głowy bierze za rączkę Nicka i niemal biegnie do odprawy celnej.

- Jesteśmy we Włoszech. - Laura stoi na płycie lotniska, głęboko wciągając w płuca powietrze.

- Skąd wiesz?

Laura spogląda na Nicka i sama nie wie, czy się ma uśmiechnąć, czy rozgniewać. Od momentu, kiedy opuściła samolot, czuje się w zupełnie innym świecie. W nozdrza uderza ją charakterystyczny u schyłku upalnego dnia zapach nagrzanego powietrza. Słyszy, zdaje się jej, że słyszy, cykady, wszyscy dokoła są opaleni. Znikło jej

wewnętrzne napięcie. Poczła się szczęśliwa.

- Zobacz tamten napis: "Pisa Aeroporto", to znaczy Dworzec Lotniczy w Pizie. Piza jest we Włoszech.

- Włoski język jest bardzo łatwy, prawda? - Zaspokoiwszy ciekawość, Nicky wsiada do autobusu przewożącego pasażerów do hali dla przylatujących podróżnych.

Laura z satysfakcją myśli, jakie to szczęście dla niej, że jej synek jest takim rozważnym dzieckiem. Uważa, że jedynacy to dzieci jak gdyby zawieszony w próżni - nie do zniesienia przez to, że nie są ani dość dorosłe, ani dość dziecinne - albo rozwijają się jak Nicky. Są wrażliwe, samodzielne i pełne wdzięku. W nowej marynarce, którą mu kupiła na podróż, Nicky wygląda zaskakująco dorośle. Laura wie dobrze, że byłoby bardzo przyjemnie spędzić wakacje tylko z nim, we dwoje. Niemal żałuje, że tak nie będzie.

W czasie jazdy na wybrzeże małym białym samochodem, który Laura wynajęła na czas ich pobytu, Nicky szczebioce bez przerwy.

- Jaki będzie nasz pokój? Czy zaraz pójdziemy się kąpać? Dlaczego każdy tu nosi słoneczne okulary? Dlaczego musisz,

mamusiu, płacić, żeby jechać tą szosą? Te drzewa wyglądają, jakby były wycięte z kartonu. Dlaczego ich jest tak mało?

Zaraz po przyjeździe poszli się kąpać, załatwili też sprawę swojego stałego miejsca na plaży, stolik z parasolem.

Morze, zielone i chłodne, opływa ciało Laury przywodząc na myśl wirujące zwierciadła. Promienie słońca, coraz niżej chylącego się ku horyzontowi, pokrywają piaszczysty brzeg smugami cieni, biegnącymi od najmniejszej grudki piachu. Kiedy przed odejściem oboje z Nickiem brodzą w płytkiej wodzie, ich nogi i ręce są tak po angielsku blade, że skóra ma niemal odcień zieleni.

Laura spogląda na Nicka. Jest mały i chudy, włosy przylepiły mu się do czaszki. - Chyba się nie będziesz tu czuł samotny, jak myślisz? Nie widzę innych dzieci.

Nicky patrzy na nią jakby urażony. - Będę całymi dniami pływał. Nie będę miał czasu, żeby się nudzić. Zresztą w hotelu widziałem dużo dzieci.

Tego się Laura nie spodziewała. - To świetnie. Zaraz jutro ich poszukamy.

- Są także Anglikami.

Ich hotel jest okazały, ale niezbyt wysokiej klasy. Sporo bardzo przystojnych chłopców kręcących się w pobliżu recepcji, może pracujących tutaj, przywołuje sentymentalne wspomnienia. Jeden z nich stoi przy wejściu na schody i na widok przechodzących obok Laury i Nicka rusza w ich kierunku. Patrzy prosto w jej oczy, wobec czego Laura zatrzymuje się.

- Czy pani Knight?

- Tak, to ja. - Myśli, że za chwilę młody człowiek przypomni się jej jako znajomy z minionych arkadyjskich czasów, o którym zapomniała.

- W recepcji czeka na panią depesza. - Laura śmieje się. Z trudem panuje nad sobą, niemal biegnie do recepcji, intuicyjnie wyczuwając, kim może być nadawca telegramu. Nicky czeka, bawiąc się wleczeniem mokrego ręcznika po wzorach dywanu.

- Ach - wrywa się Laurze w trakcie czytania depeszy. Udało mu się dostać na wcześniejszy samolot. Kurczowo ściska w dłoni otrzymany kawałek papieru.

- Co się stało, mamusiu?

- Nic, nic, syneczku.

- To od tatusia?

- Nie. - Patrzy na niego, idąc po wyłożonych grubym dywanem schodach. - Od jednego z przyjaciół. Możliwe, że przyjedzie jutro, więc się z nim zobaczymy.

Nicky nie interesuje się tym dłużej, odwraca główkę.

- Pozwalam ci zjeść dzisiaj kolację ze mną, w restauracji. Zapraszam cię. - Mówiąc to, widzi siebie i Martina siedzących jutro wieczorem przy wspólnym stole. Nie zdarzyło im się dotąd jeść kolacji tylko we dwoje.

Laura i Nicky śpią razem. Miles uznał, że tak będzie dobrze, i Laura nie znalazła argumentu dość przekonującego, żeby zamówić dwa pokoje. Tej pierwszej nocy leży obok niego nie mogąc zasnąć. Zaplątany w prześcieradła, zwinięty w kłębek Nicky lekko pochrapuje. Powietrze w pokoju jest gęste od gorąca włoskiej nocy. Laura czuje, że oblewa ją pot, gładzi

rękoma skórę. Odnosi wrażenie, że pod dotykiem palców jej ciało nabrzmięwa. Jutro pójdzie na noc do Martina.

- Mamusiu! Mamusiu! Patrz na mnie! - Twarzyczka Nicka, paskudnie zniekształcona maską do nurkowania, wyłania się na chwilę na powierzchnię zielonej fali i natychmiast zanurza się

ponownie, zostawiając po sobie kilka lśniących baniek powietrza. Laura siedzi na plaży. Ma ciemne okulary, w rękę trzyma książkę.

- Doskonale! - wykrzykuje. W hotelu zostawiła wiadomość, gdzie można ją znaleźć. Siedzi i czeka, ma na sobie fioletoworóżowy kostium i słomkowy kapelusz z dużym rondem, chroniący ją przed prażącym słońcem. Czuje w sobie ogromne napięcie, ale na zewnątrz robi wrażenie całkiem odprężonej.

- Jeszcze raz! Spróbuj znowu! Patrzę na ciebie!

Wspomina, jak doszło do ich pierwszego zbliżenia. Na angielskiej plaży, pod chłodnym angielskim słońcem. Przypomina sobie poprzedzającą ich stosunek chwilę ekstazy, poczucie winy i świadomość pierwszego upadku niby snop porażającego światła rzucony na ich niepohamowaną namiętność. Pobieгла potem zmyć z siebie zimną morską wodą popełniony grzech. Tutaj woda, ciepła i gęsta, będzie jedynie uzupełnieniem grzesznego uczynku. Za późno już rozmyślać

o grzechu. Zatraciła poczucie
tego, co jest moralne, a co nie.
Poczucie odpowiedzialności
ograniczyła wyłącznie do
własnego syna. Oto ma go przed
oczyma, fikającego koziołki i
wydającego okrzyki radości. Lada
chwila będzie miała przy sobie
ich obu, dwie istoty, które
kocha ponad wszystko w świecie.

- Gelati, gelati, Motta!

W chwilach wielkiego szczęścia
Laura, odkąd pamięta, miała
uczucie, że zapada w sen.

Słyszac komicznie
przedrzeźniający przekupniów
głos Martina, zamyka oczy.
Martin kuca obok niej.

- Vanilla, arancia, limone,
cioccolata?

Nie widzieli się od trzech
dni. Martin ma na sobie

kapielówki i bawełnianą
koszulkę. Jego nogi pokrywa
gęsty jasny zarost. Ich nagość
kojarzy jej się ze stosunkiem,
jej twarz oblewa się szkarłatem.
Odsuwa się nieco od niego,
choć nie przestaje mu się
uważnie przyglądać.

- Jest tu Nicky. W morzu.

- Ach. Twój syn.

W jego głosie brzmi nuta,
której nie rozumie. Martin
podnosi się i idzie w kierunku
wody. Po chwili Laura decyduje
się pójść za nim.

- Nicky! Przyjechał mój
przyjaciół. Chodź się przywitać.

Rozbryzgując wodę, wyłania się
z morza Nicky. - Nie może się
pan kąpać w tej koszulce -
zwraca się do Martina. -
Oczywiście, jeśli pan w ogóle

chce się kąpać.

- Nie mogę? Zobaczmy! -
Rozpryskując fontanny lśniącej w
słońcu wody, Martin wbiega do
morza. Po kilkunastu krokach
całym ciężarem ciała rzuca się
na wodę, padając na klatkę
piersiową. Nicky jest
zachwycony. Biegnie za nim,
wołając: - Umie pan nurkować?
Cały czas uczę się nurkować!

Ale po tym popisie nastrój
Martina jakby się nagle zmienił.
Obrócony plecami do plaży, z
wysiłkiem brnie na głęboką wodę.
Znalazłszy się na odpowiedniej
głębokości potężnym zamachem
ramion płynie wprost na pełne
morze.

- Niech pan poczeka! Niech pan
na mnie poczeka! Nie mogę iść na
taką głęboką wodę.

- Zaraz wróci! - woła Laura do
syna. - Chodź, Nicky. Kupię ci
coś do picia.

Siedzą oboje na wybetonowanym
tarasie, sącząc lemoniadę w
cieniu markizy z materiału w
paski. Laurze wydaje się, że
rozumie, dlaczego Martin oddalił
się od nich. Gdyby była na jego
miejscu, zrobiłaby pewnie to
samo. Obserwuje, jak teraz mokry

i uśmiechnięty idzie w ich
kierunku przez plażę.

- Czuję się teraz zupełnie
inaczej. Cudownie. Co pijecie?
Bacardi z rumem?

- Och, Martin!

- Gdzie właściwie będziemy
jadać? Umieram z głodu. Taka
podróż skoro świt szalenie
człowieka wyczerpuje.

- Do tej pory nie ruszaliśmy

się z hotelu. Ja jadłem kurczaka z frytkami.

Laura rzuca okiem na Nicka, nieco zdziwiona tym, że tak łatwo podporządkowuje się woli kogoś nieznajomego.

- Przypadkiem kupiłem przewodnik po najlepszych restauracjach w Viareggio.

Laura dopiero teraz ośmiela się spojrzeć na Martina. Ciągłe jeszcze mokre włosy leżą przylizane do tyłu jak ciemny plaster. Odsłonięte blade czoło nad zaczerwienionym nosem i policzkami niekorzystnie burzy harmonię rysów twarzy. Oczy wydają się małe i osadzone za blisko siebie. Lekko uchylone usta odsłaniają zachodzące na siebie krzywe przednie zęby. Przypomina sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy na stacji kolejowej. Wydał się jej wtedy aż zanadto przystojny tą szczególną, prawdziwie męską urodą. Teraz jest niemal brzydki. Teraz ona go kocha.

Martin wstaje ze zgrzytem metalowego krzesła na betonie. - Muszę pójść do hotelu po spodnie.

- My także powinniśmy się przebrać.

Jest bardzo gorąco. Plaża jest prawie pusta. Widać na niej tylko kilku nierozsądnych cudzoziemców rozciągniętych na brzuchu pod prażącym słońcem. Laura czuje, że się cała lepi, ma lekkie nudności. Przechodzą przez drogę i już zanurzają się w chłodnym mroku wnętrza hotelowego. Laura zauważa nagle,

że Nicky ma spalone słońcem ramionka. Kładzie na nich dłoń, ale Nicky nie daje się dotknąć.

Był samym szczęściem, kiedy szalał w wodzie. Nie przypilnowała go tak, jak powinna.

- Syneczku, bardzo cię to boli?

Wzrusza ramionami. - Czy mogę pić do lunchu coca_colę?

Kiedy się znaleźli na piętrze, Martin pokazuje im swój pokój. Jest dokładnie taki sam jak ich. Laura wysyła Nicka, żeby poszukał i włożył białą płócienną koszulkę. I jeśli chce pić coca_colę, niech się pośpieszy.

Martin i Laura obejmują się ramionami. W jednej chwili znika upał, znika skrępowanie. Tulą się do siebie, stojąc na środku pokoju. - Tak mi przykro, przepraszam - szepcze Laura.

- Co masz na myśli?

- Nicka. - Ponad jego ramieniem patrzy na łóżko.

- Nie możesz tłumaczyć się z tego, że masz syna.

- Istotnie. - Odsuwa się. - Dziś wieczorem.

- Dobrze.

Wnętrze restauracji utrzymane jest w kolorze pastelowym z zielonym odcieniem, tylko przez opuszczone żaluzje prześlizgują się nikłe smużki słońca. Odnosi się wrażenie, jakby się było pod wodą, głosy są stłumione, ruchy zwolnione. Nagle przerywa tę ciszę dziecięcy głosik Nicka.

- Długo pan tu będzie?

- To zależy. - Martin nie traci pewności siebie. - Ile to jest dla ciebie "długo"?

- My tu będziemy dwa tygodnie. Tatuś przyjedzie na kilka ostatnich dni. Może nawet na tydzień. Ma bardzo dużo pracy.

Czy pan pracuje?

- Ja bawię się różnymi maszynami.

- Więc pan nie pracuje.

- Ale ludzie mi za to płacą.

- Widział pan maszynę elektroniczną Acorn?

- Mam ją w domu.

- Dużo pieniędzy pan zarabia?

- Dużo.

- Mój tatuś też dużo zarabia.

Nicky milknie równie nagle, jak się odezwał, i z zapalem zabiera się do jedzenia. Laura zastanawia się, czy zauważył, że Martin nie odpowiedział na pytanie, na jak długo przyjechał. Zaniepokoiło ją to, że Nicky mówił o Milesie, jak gdyby wyczuwał w Martinie rywala ojca, ale nie zastanawia się nad tym dłużej.

- Kiedy będziemy mieli dosyć plaży - przerywa ciszę - musimy się wybrać do Sieny.

- Ja już mam dosyć. - Martin odgryza kawałek chrupkiego grissini. - Czy mam przez to rozumieć, że chcesz jeszcze wrócić na plażę?

Laura się śmieje. - Nicky ułożył sobie taki plan. Chce pływać codziennie, i to przez cały dzień.

- Na pływanie zgoda, ale kręcenie się po plaży z piaskiem między palcami stóp zupełnie mi nie odpowiada.

Laura zwraca się do Nicka. - Chciałbyś zwiedzić jedno z najpiękniejszych miast w Europie?

Nicky ma pełną buzię jedzenia. Starannie żuje, przetyka i

wreszcie grzecznie odpowiada: -
Nie, dziękuję.

Martin parska śmiechem
przypominającym beczenie owcy.
Laura myśli, jak długo nie
słyszała takiego śmiechu i jak
kiedyś, dawno, odkryła, że
identycznie śmieje się matka
Martina.

- Wobec tego będziemy musieli
coś dla ciebie wymyślić -
oświadcza Martin.

Nicky prostuje się na krześle,
wykazując większe
zainteresowanie rozmową. -
Mówiłem mamusi, że w hotelu jest

angielska rodzina.

Laure uderza rzeczowość w ich
postępowaniu. Ona sama zupełnie
traci normalny zmysł
organizacyjny, kiedy dochodzi do
zderzenia dwóch skrajnych
osobowości.

Kiedy są już z powrotem w
hotelu, Martin pyta Nicka
zdecydowanym głosem: - Wiesz, co
to jest siesta?

Nicky czujnie nastawia uszu.
Zatrzymuje się dopiero po
wejściu na imponujące schody. -
Co to jest?

- Poobiednia drzemka.

- Co to znaczy?

- To, że się odpoczywa. Po
lunchu. Kiedy upał jest
największy. Mama posmaruje ci
ramiona kremem i będziesz leżał.
Dokładnie przez godzinę. Pożyczę
ci mój zegarek.

- Mam zegarek.

- Mój ma dzwonek alarmowy ze
skoczną melodyjką.

- A co wy będziecie robić?

- Nic, co by cię interesowało.

Ale możesz być pewny, że mama wróci do ciebie punktualnie za godzinę.

Nicky patrzy na Laurę, która się zdobywa na nikły uśmiech. Boi się rozwiać czary Martina, którym uległ Nicky. Myśli o tym, jaki świetny byłby z Martina wychowawca dzieci w pierwszych szkolnych latach.

Mówi mu to później, kiedy siedzą obok siebie na jego łóżku. Teraz kiedy nareszcie są razem, sami, Laura dostrzega w swoim zachowaniu dziwną nerwowość.

- Przez pewien czas naprawdę byłem nauczycielem. Zaraz po studiach. Zanim postanowiłem zbić fortunę. Mama chciała naturalnie, żebyśmy robili karierę uniwersytecką.

- Dostojny profesor!

Martin parska śmiechem. - Ktoś skromniejszy ode mnie mógłby się poczuć urażony twoim tonem.

- Po prostu wydaje mi się, że jesteś na wskroś nowoczesny. Jesteś typowym ekstrawertykiem.

- Moja matka jest snobką, snobuje się na elitę intelektualną. Społeczną także. Ojciec do samej śmierci prowadził Ośrodek Badań Międzynarodowych. Zawsze uważała mnie za wybitnie zdolnego. Rzeczywiście byłem zdolny, przyznawano mi stypendia i różne nagrody. Mama uważa, że to, co robię, jest degradacją. Że spadłem do roli zwykłego inżyniera. Z drugiej strony podoba się jej to, że zarabiam

dużo pieniędzy. Kupuję jej kosztowne prezenty. Moja matka jest wielką materialistką, łatwo ją można przekupić. Ma przecież w żyłach francuską krew.

Laura uśmiecha się, ale czuje, że to bardzo prawdopodobne. Zapada milczenie. Laura przypuszcza, że Martin myśli o matce. Nieoczekiwanie ogarnia ją okropne przygnębienie. Martin ma własne, osobne życie, do którego ona nie ma najmniejszego dostępu. Zresztą nie chce mieć.

- Kocham cię i chcę cię pocałować. - Laura jest tak daleko, że nienaturalnie oficjalny ton Martina ledwo do niej dociera. - Oczywiście, jeśli ty także chcesz?

- Która godzina? - pytanie zabrzmiało dziwnie nieprzyjemnie.

Martin patrzy na zegarek. - Trzecia.

- Muszę zaraz wracać do Nicka. - Jest unieruchomiona w łóżku.

Martin wstaje. - Chyba żałujesz, że przyjechałem.

- Nie mów tak. Tak mi przykro.

Martin patrzy na nią bez słowa. Chciałaby, żeby coś zrobił. Żeby ją na przykład uderzył w twarz. Przejął na siebie odpowiedzialność.

Zdobywa się wreszcie na to, żeby wstać, i ociężale podchodzi do okna. Rozsuwa story.

Drgnąwszy pod uderzeniem jaskrawego światła, odskakuje na bok. Próbuje pogłaskać rękę Martina, on jednak pozostaje nieporuszony. Laura odsuwa się i opiera plecami o ścianę, jakby

szukając w niej podpory.
Wyczuwając słabą wibrację muru orientuje się, że powoduje ją dzwonek telefonu w przyległym pokoju.

Dopiero po dłuższej chwili zdaje sobie sprawę, że przyległy pokój to przecież jej hotelowy numer.

- Dzwoni mój telefon.
- Sądzę, że Nicky go odbierze.
- To pewnie Miles.

Nie patrząc na Martina, Laura wychodzi z pokoju. Delikatnie zamyka za sobą drzwi i wchodzi do siebie. Nicky z zarumienioną buzią, mówi coś z ożywieniem.

- Przez cały ranek. Od kiedy wstaliśmy, aż do lunchu. W ogóle nie odpoczywałem. Ale jutro muszę włożyć trykotową koszulkę, nawet kiedy będę w wodzie, bo bardzo praży słońce.

Przerywa, Laura słyszy głos Milesa, który mu zadaje jakieś pytanie.

- Oo, tak. Bardzo dużo.
Jedliśmy spaghetti, prawdziwe włoskie spaghetti...

Laura nie słyszy nic więcej, gdyż na dźwięk słowa "jedliśmy" czuje, że jej głowa i całe ciało zapadają się w nicość.

"Jedliśmy", to ich troje,
Nicky, ona i Martin.

Po raz pierwszy uświadamia sobie: Nicky bez wątpienia powie Milesowi, że jest z nimi Martin.

Siada w nogach łóżka. Dlaczego wcześniej nie pomyślała o tej możliwości? Wydaje się to przecież tak przerażająco oczywiste. Nie może powiedzieć Nickowi, żeby o tym nie wspominał. Jest zupełnie bezradna. Jeżeli Miles się o tym dowie, będzie to koniec ich małżeństwa.

- Może się gdzieś wybierzemy,

żeby zwiedzić jakieś miasto.
Chcesz mówić z mamusią? -
Niewyraźne mamrotanie, z którego
wynika, że nie. - No dobrze.
Powiem jej. Pojutrze. Do
widzenia, tatusiu.

Nicky kładzie słuchawkę. - To
był tatuś. - Zadowolenie i duma,
z jaką to mówi, mimo wszystko
wywołuje uśmiech na twarzy
Laury.

- Domyślałam się tego.

- Zadzwoni pojutrze o tej
samej porze.

Dwa dni. Jeszcze dwa dni.
Nicky nic nie powiedział. Laura
czuje, że wstępuje w nią nowe
życie. Z energią, szybko wstaje
i w tym momencie przypomina
sobie scenę, która przed chwilą
miała miejsce w pokoju obok. W
obliczu katastrofy, jakiej
niemal cudem uniknęła,
niedorzecznością, wprost
dziecinadą byłoby marnowanie ich
drogocennego czasu.

- Już! Ubieraj się. - Rzuca
Nickowi spodenki. - Za chwilę
wracam.

Martin leży na łóżku
przeglądając czasopisma.
Speszył ją jego spokój, mimo to
wrywa mu z rąk gazetę i z
ożywieniem proponuje: - Wstań,
pojedziemy do Sieny!

- Czy to był Miles?

- Tak. On. - Niecierpliwie,
jak dziecko, wyciąga go z łóżka.

- Byłam wprost przerażona, że
Nicky mu powie o tobie. Ale nie
powiedział. Teraz musimy coś
wymyślić, żeby jak
najprzyjemniej spędzić czas.

Martin podnosi się bez
pośpiechu. - Sądziłem, że brałaś

to pod uwagę. Liczyłeś się z tym, że się dowie.

- Nie. Ja...

Martin nie pozwala jej dokończyć. - Przytul się do mnie.

Nareszcie się całują. Po chwili odrywają się od siebie. Laura czuje napływające łzy. Uśmiechają się jednocześnie.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Na pewno Nicky. Zejdę z nim na dół. - Spogląda na Martina. - Kocham cię.

Nicky wpadł w zły nastrój. Trykotowa koszulka uraża jego spalone ramiona. - Czy naprawdę musimy siedzieć w nagrzanym samochodzie? Wczoraj jechaliśmy przez cały dzień.

Kiedy schodzą na dół, zaczyna się czepiać sukni Laury i marudzić.

- W samochodzie zrobi mi się niedobrze, wiem, że będzie mnie mdlić.

- Nigdy nie masz w samochodzie nudności. Musisz postępować uczciwie. Całe rano robiłeś, co chciałeś.

- Tobie też się podobało na plaży.

W hallu pełno ludzi, kończy się sješta i goście hotelowi wyjeżdżają na zaplanowane wycieczki. Kilka małżeństw, kilka liczniejszych rodzin. Laura zwraca uwagę na inny wysoki dziecięcy głos, natarczywie wpadający w ucho. Łatwo go wyróżnić, ponieważ dziecko także mówi po angielsku.

- Dlaczego nie miałbym zapytać? Chociaż zapytać?

- Ponieważ ich nie znamy.

Laura słyszy przytłumiony głos matki i patrząc wprost na nią uśmiecha się.

- A widzisz - triumfuje głosik. - Uśmiechnęła się.

Teraz już możesz ją zapytać.

- To oni - szepcze Nicky, mocno trącając Laurę łokciem.

Laura się waha. W dawnym życiu poczucie własnej godności skłaniało ją do pewnego dystansu. Nie rozmawiała z nieznajomymi. W dawnym życiu odwróciłyby się. Teraz skierowuje się w stronę matki chłopca.

Chłopcy pierwsi zawierają znajomość. Podają sobie ręce jak para przyjaciół po długiej rozłące. - Wybieramy się do

wesołego miasteczka. Chcesz pojechać z nami? Moja siostra to jeszcze niemowlak, wiesz, tam są samochodziki, które się mogą zderzać!

Pertraktacje dobiegły końca, zanim jeszcze Martin wszedł do hallu. Nicky zostanie z nowymi znajomymi do końca dnia. Widać wyraźnie, że matka chłopca jest osobą odpowiedzialną, chwilowo nie ma tu jej męża. Ma przylepiony do ust pełen gorliwości charakterystyczny uśmiech mieszczyki, bawełnianą przepaskę na głowie i czerwony nos posmarowany kremem Nivea.

Nawet zakłopotanie, z jakim próbuje stworzyć pozory, że są z Martinem małżeństwem, nie może przyćmić zadowolenia Laury. Ona, dla której przez siedem lat, od urodzenia, Nicky był w życiu

wszystkim, potrafi teraz bez
najmniejszych obaw oddać go w
ręce całkiem obcej osoby.

XIV

Samochód jest ciasny i
nagrzany. Autostrada do Sieny
zatłoczona. Zgiełk i oślepiające
słońce wciskają się do wnętrza.
Ale nie psują nastroju Laury,
przeciwnie, jeszcze potęgują w
niej uczucie radości i swobody.
Należy do osób, które najlepiej
czują się na powietrzu i
otwartej przestrzeni, zaś w
miejscach zatłoczonych i
ograniczonych mają skłonność do
klaustrofobii, teraz jednak ma
wrażenie, że unosi się w
bezkresnej, olśniewającej
jasności. Spokojnie czeka, aż
Martin, któremu już pot rosi
czoło, upora się z kłopotem
zaparkowania w obcym mieście.
Jednym susem wyskakuje z
samochodu - nawet jej ruchy
nabrały innego charakteru,
straciły pełną opanowania
harmonijność - i energicznie
komenderuje: - Teraz spacer na
piazza i przy dużym dobrym drinku

lustracja przechadzających się
tłumów aż do zachodu słońca!
- Koniecznie muszę się czegoś
napić - mówi Martin ocierając
twarz chusteczką. W
przeciwieństwie do wylewności
Laury jest spokojny i
skoncentrowany, czeka, żeby
swoje podniecenie przeniosła z
własnych przeżyć także na niego.
Na razie ledwo go dostrzega.
Docierają nareszcie do

głównego placu, który ma
harmonijny kształt wachlarza i
wybrukowany jest polnymi
kamieniami; odbywają się na nim
doroczne pokazy koni z Palio.
Wybierają kawiarenkę, zasiadają
przy stoliku i zamawiają drinki.
Spełniają się wszystkie
wyobrażenia Laury o Włoszech.
Martin zabrał na drogę angielską
gazetę. Kiedy ją teraz otwiera,
Laura dziwi się w duchu, że może
go interesować cokolwiek ze
świata zewnętrznego. Daleka od
krytycyzmu, stwierdza jednak, że
mężczyźni nie poddają się
uczuciom z taką pasją jak
kobiety.

Tymczasem Martin składa
gazetę uśmiechając się. -
Przeczytałem ją rano. W
samolocie. Wprost trudno w to
uwierzyć. Jeszcze rano byłem w
Anglii.

Laurze sprawiło przyjemność,
że on także traci poczucie
czasu.

- Nie sądzisz, że niezbyt
gorliwie zwiedzamy Sienę?

Laura robi szeroki gest ręką.

- Czy może być piękniejszy
widok?

- Zastanawia mnie, czy
cudzoziemcy podobnie reagują na
Trafalgar Square.

- Nigdzie nie jest tak jak we
Włoszech. Oni od wieków
przyswoili sobie wysoką
umiejętność korzystania z życia,
własny styl. Równie dawno
zaczęli tu przyjeżdżać Anglicy.

- Dolce far niente. - Martin
sączy swojego drinka. - To jest

naprawdę dobre. - Patrzy na

szklankę zastanawiając się nad czymś. - Oczywiście myślę o nas, o tym, że tu jesteśmy. Ale jest także inne miejsce, które, jak sądzę, byłoby dla nas jeszcze lepsze. - Kładzie swoją gorącą, ciężką dłoń na dłoni Laury.

Przez ułamek sekundy w Laurze budzi się niechęć, nie mająca jednak nic wspólnego z niechęcią do fizycznego zbliżenia. Po prostu było to krótkotrwałe poczucie zniewagi wobec jej romantycznego rozmarzenia. Widząc, że Martin wstaje, podnosi się także i zbliża do niego pragnąc się znaleźć w jego ramionach. Oczywiście Martin ma rację. Dlaczego mają się zachowywać jak turyści, kiedy mogą być kochankami?

- Tuż przed wejściem na plac zauważyłem jakiś solidny, ale nie przesadnie solidny hotel.

Pod każdym względem było lepiej kochać się tutaj, w mieście jakby zawieszonym w czasie i przestrzeni, niż w pokoju, za którego ścianą znajdował się jej syn. Syn, który rozmawia przez telefon ze swoim ojcem, a jej mężem. Spogląda na Martina, na jego oczy bardziej niebieskie, aniżeli myślała, włosy już rozjaśnione słońcem, czerwone suche wargi, lekko odsłaniające krzywe zęby. Szybkim krokiem idą w kierunku hotelu.

Po godzinie wychodzą chichocząc jak dzieci, które coś spsociły.

- Ta mina recepcjonistki! - śmieje się Laura uczepiona ramienia Martina. - Myślałam, że wezwie policję.

- Może nawet samego papieża.

Bez chwili wahania Laura dodaje: - W krajach katolickich ludzie oszukują bardziej niż

gdzie indziej. Wiesz, wydaje mi się, że się w tym rozsmakuję.

- Jeżeli nie znajdziemy tego rudego samochodu, będziesz się

mogła rozsmakować w marszach.

Nie mogą sobie przypomnieć ulicy, na której zaparkowali samochód, nie pamiętają nawet, jak ten samochód wyglądał.

Przemierzają nierówne bruki różnych ulic, przepychając się przez tłumy ludzi wystrojonych na wieczorną paradę. Mijają ciężkie otwarte na wieczór odrzwia kościołów, przez które widać wewnątrz świece. Przez ułamek sekundy Laura czuje ukłucie w sercu na myśl, że przecież jest katoliczką. Ale ciemne wnętrza tutejszych świątyń, przeładowanych ozdobami, są tak odmienne od angielskich, że szybko przestaje się tym przejmować.

Niemal jednocześnie podnoszą wzrok na ciemniejące z każdą chwilą niebo, po którym wysoko przeciągają nieliczne różowe obłoki. Uśmiechnięci trącają się łokciami na widok staruszki, która stoi obok źródła wypływającego wprost z muru i śpiewa arię z jakiejś opery Verdiego. Laura zsuwa się z krawężnika, ale Martin błyskawicznie mocnym uściskiem chwyta ją wpół. Wydaje się teraz, że wtedy, w kawiarence, popijało dwoje obcych sobie ludzi.

- Jako staruszka będziesz się musiała ubierać wyłącznie w czerwony aksamit.

- Czerwony aksamit?

- Przyszło mi to do głowy
zupełnie nagle, że nosząc
wszystkie stroje uszyte z
czerwonego aksamitu, będziesz
kiedyś wspaniałą starszą panią.

- Jak poduszka na kanapę. Będę
przypominała poduszkę albo samą
kanapę - kpi z jego pomysłu
Laura.

- Zawsze przepadałem za
kanapami. Może to mnie
zainspirowało do wizji ciebie w
czerwonym aksamicie. Kanapy ze
złotymi chwastami. Wszędzie
złote frędzle i kity chwastów.

- Teraz mnie zamieniasz w
pluszową serwetę na stół.

Przekomarzając się tak,
niespodzianie odnajdują
samochód. Okazuje się, że
przechodzili obok niego już
dwukrotnie. Bardzo się ściemniło
i Martin pochyla się próbując
odnaleźć przełącznik do świateł.

Po raz pierwszy Laura myśli o
Nicku, kiedy są już na drodze,
jadąc w bladym trójkącie
krzyżujących się świateł
samochodu.

- Musi być późno.

Martin patrzy na zegarek. -
Dochodzi ósma.

- Mój Boże. Będziemy na
miejscu nie wcześniej niż po
dziewiątej.

- Mniej więcej.

Kiedy podjeżdżają pod hotel,
jest już zupełnie ciemno. Hall
opustoszał, ale z jasno
oświetlonej jadalni dochodzą
wesołe odgłosy rozmów. Laura
staje w drzwiach i nie widząc
nikogo z gromadki angielskiej
rodziny szybko idzie na górę.

Martin, którego zostawia w tyle,
staje przy ladzie recepcji, o
coś pyta, z rąk recepcjonistki
bierze wąski pasek papieru.

Z takim obrazem w oczach Laura
pędzi przez korytarz, gnana
paniką. Dopiero przed samym
pokojem uświadamia sobie, że nie
wzięła klucza. Stoi przed
drzwiami, nie mogąc złapać tchu.
Pośpiech i jej klaustrofobia
spotęgowana strachem i upałem
panującym w pozbawionym okien
korytarzu sprawiają, że z trudem
chwyta powietrze. Ma ochotę
usiąść na podłodze i oprzeć się
plecami o gładką ścianę.

Co będzie, jeśli Nickowi coś
się stało?

Będzie to dla niej słuszna
kara. Sama będzie tego
przyczyną. Wina. Czarne skrzydła
winy.

Miarowym krokiem zbliża się
Martin. Wręcza jej małą kartkę i
klucz. Nie patrząc na nią

otwiera swoje drzwi i wchodzi do
pokoju.

Laura rozkłada kartkę, ale nie
jest w stanie skoncentrować się
na tyle, żeby ją odczytać.
Otwiera drzwi do swego pokoju. W
pierwszym momencie panujący w
nim mrok jest nieprzenikniony.
Stoi nieporuszona i już po
kilku sekundach dostrzega
delikatną linię między
zsuniętymi storami. Przez tych
kilka sekund jej serce zaczęło
się uspokajać i bije już
wolniej.

Odzyskała zdolność widzenia,
dochodzą ją także dźwięki. Na
łóżku Nicka dostrzega biały

garb, co więcej - ten garb
oddycha. Rzuca się na niego
śmiejąc się w głos.

- Mama. Nie. Odejdź. Jesteś
taka gorąca. - Nicky odpycha ją
z irytacją.

- Och. Jak było w wesołym
miasteczku? Dobrze się bawiłeś?
Było przyjemnie?

- Ummm. - Nicky nie chce nic mówić
i odsuwa się, naciągając na
siebie prześcieradło.

Laura całuje go i wstaje z
łóżka. Z uśmiechem głęboko
wciąga w płuca powietrze.
Dopiero teraz przypomina sobie o
istnieniu Martina i nie
przeczytanej kartki. Nie chcąc
zapalaniem światła przeszkadzać
synowi, idzie z nią do łazienki.

Siada na brzegu wanny,
starając się przez chwilę
zebrać myśli. Z trudem
przyzwyczajają się do nagłych i
nieustannych zmian swojego
nastroju. Czyżby jej zwykły
spokój i równowaga miały być
fasadą, kruchą sceną, na której
grała narzuconą sobie rolę,
osłaniając i odwracając uwagę od
swego drugiego ja, kobiety
miotanej uczuciami? Wzrok jej
pada na trzymaną w rękach
karteczkę, nie spiesząc się
rozkłada ją i czyta.

"Mieliśmy wspaniałe
popołudnie. Nicky zachowywał się

nadzwyczajnie. Spodziewamy się,
że będzie mu wolno jeszcze nie
raz dotrzymać nam towarzystwa.
Kiedy go kładłam do łóżka,
zadzwoił pani mąż. Prosił, żeby
pani po powrocie do niego
zatelefonowała. Mam nadzieję, że

pani miło spędziła czas. Mary Stevenson".

A więc stało się. Laura doświadcza ciekawego uczucia ulgi, a jednocześnie przerażenia. Wstaje i scenicznym gestem wrzuca karteczkę do muszli klozetowej. Pociąga za rączkę. Skojarzenie z bohaterami filmowymi odciąga jej uwagę od własnej sytuacji. Wychodząc z pokoju rusza w kierunku drzwi tak energicznie, że w ciemnościach wpada na łóżko Nicka, uderzając się w kolano. To także pozwala jej na chwilę zapomnieć o wszystkim. Podskakuje na jednej nodze, trzymając się za kolano.

Nicky porusza się i mruczy przez sen.

Laura wychodzi z pokoju i idzie korytarzem, nawet nie spojrzawszy na drzwi Martina. Po wyjściu z hotelu kieruje się w stronę czarnego teraz morza i oświetlonej nadmorskiej promenady. Nie zastanawia się nad tym, dokąd idzie, kieruje się instynktem, co najmniej dziesięć minut maszerując tym samym zdecydowanym krokiem. Wreszcie zatrzymuje się i rozgląda, szukając budki telefonicznej. Nie wzięła torebki, ale to jej nie peszy. Włoska centralka obciąży rachunkiem ich telefoniczne konto w Anglii. Jest to jedyna świadoma myśl, na jaką się zdobyła, nadal nie stać jej na żadną decyzję.

W budce jest tak gorąco, że stopą przytrzymuje otwarte drzwi, żeby wpuścić trochę słonego powietrza. Czekając na połączenie, przez brudne szklane ścianki wpatruje się w morze. W

bezkresną czern, niedostrzegalną
linią łączącą się z niebem.

- Halo!

- Pronto, signora. Zamówiona
rozmowa.

Słyszy "halo", ale to nie
Miles. Trzeba było kilku chwil,
żeby się zorientowała, że to
Maria.

- Mario, czy jest w domu mój
mąż? Mówi Laura Knight.

- Ach, to pani. Nie, pana nie
ma. Wyjechał godzinę temu, może
dwie. Dobrze się pani czuje?

- Wszystko w porządku -
odpowiada Laura niecierpliwie. -
Czy mówił, kiedy wraca?

- W przyszłym tygodniu. Za
tydzień. - Maria się śmieje. -
Zobaczy go pani jeszcze przede
mną. Zakończył sprawę w sądzie
wcześniej i jedzie do pani.

Powrotną drogę Laura przebywa
biegiem. Co Mary Stevenson mogła
powiedzieć? "Pani Knight?
Pojechała z mężem do Sieny." A
może powiedział mu Nicky? "Mama
pojechała do Sieny z Martinem."
Tak. Z pewnością jedno z nich
powiedziało w ten sposób.

Dobiega do hotelu zgrzana, z
bijącym sercem. Martin siedzi w
repcji czytając gazetę. Jest
spokojny, bardzo przystojny.
Wygląda prawie tak jak wtedy,
kiedy go zobaczyła po raz
pierwszy. Ma na sobie białą
kurtkę w niebieskie paski.
Patrzy na niego z czułością
pomieszana ze smutkiem. Już
odchodzi w przeszłość.
Teraźniejszość, od której nie ma
ucieczki, to jej mąż
przyjeżdżający na jego
miejsce.

Martin szybko zbliża się,

ujmuje ją za rękę.

- Co się dzieje?

- Przylatuje Miles.

- Co takiego?

- Sprawa, którą prowadzi,
wcześniej się skończyła.

Przyjeżdża tutaj. - Wpatruje się
w jego twarz.

- Jesteś zgrzana. Zmęczona. -

Prowadzi ją przez hall. - Musisz
teraz koniecznie coś zjeść.

Laura jest zdumiona. - Nic nie
rozumiesz? Przylatuje Miles.

Są już przy wejściu do
restauracji. Martin obraca się,
stając do niej twarzą. - Czego
ode mnie oczekujesz, co mam
zrobić? Rozpaść się na kawałki?
Wybuchnąć? Zapaść się pod
ziemię?

- Och! - Laura próbuje zebrać
myśli. Zdaje sobie sprawę, że
spodziewała się czegoś w tym
rodzaju.

- Z pewnością każdy się
domyśla, że go do tej pory nie
zdradzałaś.

Laura pozwala się zaprowadzić
do stolika w rogu ogromnej sali.
Kelner usadza ich naprzeciw
sobie i rozpościera im na
kolanach różowe serwetki. Laura
czuje się jak w pułapce. Zupełnie
jakby siedziała w samolocie.
Czuje w żołądku mdlące
ściskanie, jak gdyby samolot
dostał się w dziurę powietrzną i
opadł kilkanaście metrów. Czyżby
wszystko sprowadzało się do
tego, że po raz pierwszy
zdradziła męża?

- Czy to nie ta pani
opiekowała się Nickiem?

Laura rozgląda się i w pewnej

odległości widzi panią
Stevenson. Siedzi sama, obrócona
do nich plecami.

- Napisała do mnie kartkę.

- Wiem. Czytałem ją. Twój mąż
będzie tu nieprędko. Telefonował
o ósmej. Jedz, pij i baw się, bo
jutro masz przecież umrzeć!

Laura chce powiedzieć: "Sama
nie wiem, co tu robię. To nie
mogę być ja. To jakaś straszna
pomyłka. Nie poznaję siebie."
Ale w tym momencie podchodzi
kelner z koszyczkiem pieczywa.
Martin odbiera od niego koszyk i
wyciągając rękę podaje Laurze
pieczywo. Ten gest, jego ręka
trzymająca pleciony koszyczek,
opiekuńczy, a przy tym
zdecydowany wyraz twarzy Martina

uświadamiają jej na nowo, że to
jest mężczyzna, którego kocha.
Ten jedyny mężczyzna, którego
pokochała, bez którego jej życie
było i będzie puste.

Ciągle nie mogąc wydobyć z
siebie słowa, sięga po bagietkę.

Martin z zadowoleniem kiwa
głową.

- Zaczynasz się zachowywać
rozsądniej. Teraz możemy
porozmawiać. Jak myślisz? Może
uciekniemy w ciemną noc, zanim
Miles tu się pokaże?

Laura ma ochotę się roześmiać,
bierze to za żart, jednak nie
jest całkiem pewna. Uświadamia
sobie kolejny raz, że kiedy jest
z Martinem, Nicky jak gdyby dla
niej nie istniał. - Uciec w
ciemną noc - powtarza szeptem,
bezmyślnie.

- Więc się zgadzasz? - Martin
kładzie rękę na jej dłoni,

zaciskając na niej palce. Laura czeka, kiedy je wzniesie w górę nad jej głową, jak to robią zwycięzcy bokserzy na ringu. Patrząc w bok, żeby uniknąć jego wzroku, spostrzega, że pani Stevenson podnosi się i kieruje do wyjścia.

Laura uwalnia swoją dłoń i z pośpiechem wstaje. - Muszę jej podziękować. - Dogania ją przy drzwiach. - To było takie uprzejme z pani strony. Takie miłe. - Zawahała się. Dostrzega chłód w twarzy pani Stevenson, która teraz wydaje jej się całkiem inna aniżeli przy poprzednim spotkaniu. Zdaje sobie sprawę, że podbiegła do niej, by wytłumaczyć się, że nie jest taka, jak można by sądzić z pozoru. Co prawda, przysłała tu na kolację z kochankiem, w drodze jest mąż, który przyjeżdża, żeby ją ukarać, ale sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Znowu odnosi wrażenie, że wszystko jest jakąś straszną grą. Kiedy wróci do stolika, prawdopodobnie okaże się, że

Martin znikł, że go nie ma. Przerzywa pani Stevenson, która opowiada o przyjemnym popołudniu, wtrącając tonem niecierpiącym zwłoki:

- Niedługo będzie tu mój mąż.

Nie czeka na jej odpowiedź, wraca do stolika. Sama nie wie, skąd się w niej wzięła ta niezwykła potrzeba zaprezentowania się w oczach pani Stevenson jako kobieta uczciwa.

Martin czeka, skubiąc po kawałku bagietkę.

- No i co, zdecydowałaś się?

- Na co się miałam zdecydować?

O czym ty mówisz? - Laura czuje, że za chwilę wybuchnie łzami.

Dlaczego on się tak nad nią zęca?

- Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek w życiu podjąć samodzielną decyzję? - pyta Martin donośnym, gniewnym głosem.

- Nie. Istotnie. Zdaje się, że nie.

Martin patrzy na zegarek.

- Daję ci godzinę czasu.

Powiesz mi po kolacji.

- Nie mogę nic jeść.

- To pij.

Zamówił dla niej to samo co sobie, i kelner przynosi właśnie w dwóch oziębionych srebrnych czarkach szynkę z melonem. Z miną bardzo serio Martin zabiera się do swojej porcji. Laura kładzie do ust kostkę melona i czuje, jakby miała na języku kulkę szkła. Przełyka ją z trudem.

- Nigdy nie pomyślisz o mnie, jeszcze się to nie zdarzyło.

- Ależ ja cię kocham! - gwałtownie protestuje Laura.

- Właśnie. Znowu ja. To wszystko, co masz do powiedzenia. Ja się nie liczę. - mówi rzeczowym, spokojnym tonem.

- Jak sądzisz, co ja mogę przeżywać?

- Nie wiem.

- Jestem takim samym mężczyzną

jak inni.

- Nie mów tak. Proszę cię! -

Nie wie, dlaczego jej to
sprawia taki ból. Patrzy na
niego błagalnym wzrokiem. -
Proszę cię, chodźmy na górę.
- Nie skończyliśmy jeść.
Zamówiłem spaghetti con le
vongole, moje ulubione danie.
- Proszę cię. - Martin
gwałtownym ruchem odsuwa
krzesło. Kelner, który
podchodzi do stolika, by zabrać
miseczki po melonie, odskakuje
nerwowo do tyłu. Martin
spokojnie mierzy go wzrokiem. -
Pani poczuła się niedobrze.

Kiedy śpiesznie idą schodami
na górę i potem korytarzem,
Laura czuje, że się stopniowo
odpręża. Za chwilę będą leżeli
spłeceni uściskiem. Martin nie
może od niej wymagać, żeby
myślała leżąc w jego ramionach.

- No więc, co teraz powiesz? -
Ujmuje ją za ręce i siłą sadza
na łóżku, z napięciem wpatrując
się w jej twarz.

- Martin, nie.

- Musisz wybierać. - Przeszywa
ją bezlitosnym wzrokiem. Jego
spojrzenie jest tak twarde, że
równie dobrze może wyrażać
miłość jak nienawiść.

- Nie mogę. Jestem taka
zmęczona. - Z tęsknotą spogląda
na łóżko. - Chcę teraz tylko
spać.

- Nie. Nie będziesz spać.

- Proszę cię - broni się.

Szepcze: - Pozwól mi.

Równie gwałtownie, jak przed
chwilą w restauracji, kiedy
nieoczekiwanie zabrał ją na
górną, Martin poddaje się znowu.
Chwyta ją w objęcia.

Laurę podnosi na duchu to
zwycięstwo, ale jednocześnie
budzi pewien niepokój. Nie
powinien jej ulegać, przecież
widzi, jak słaby ma charakter.
Całują się nieprzytomnie,

szaleją, pociągają za włosy,
szczypią, kuksają. Splątani
przewracają się na łóżku z

jednego krańca na drugi,
poduszki, narzuta, koce,
wszystko na podłodze. W pewnej
chwili i oni tam lądują, ciągle
spłeceni ramionami, bezradni w
ciemnościach. Z trudem wspinają
się z powrotem na łóżko i jakby
czegoś szukając, od początku
zaczynają te miłosne zapasy.

Mimo całego wysiłku Laurze
nie udaje się zapomnieć pytania
Martina. Kiedy wreszcie dysząc
ze zmęczenia rozluźniają uścisk
i mokrzy od stóp do głów
odpadają od siebie. Laura czuje
napięcie w całym ciele.

Leży z szeroko otwartymi
oczyma. Patrząc w górę dostrzega
zarysy wyjątkowo brzydkiej lampy
przytwierdzonej do sufitu.
Połączana oprawa i okrągły
plastyczny abażur wpatrują się w
nią jak oko jakiegoś
przeróżającego olbrzymia.
Zalękniona przypomina sobie
wiktoriańskie oko Opatrzności,
nieodstępny towarzysza zarówno
grzeszników, jak ludzi
uczciwych. Właśnie zamierza
pokazać to straszne oko
Martinowi, kiedy dobiega ją
jakiś szmer. W ich pokoju panuje
teraz taka martwa cisza, że
Laura natychmiast myśli o
śpiącym obok Nicku, który albo
przewraca się na łóżku, bo mu się
coś śni, albo się przebudził i
szuka mamy.

Siada składając ręce na
piersiach gestem Madonny z
niezliczonych obrazów. Martin

leży bez ruchu. Dźwięk się
powtarza. Tym razem głośniejszy.
Tuż pod jej łokciem. W jednej
chwili Laura zdaje sobie sprawę,
że to chrapanie Martina. Jest
ono tak śmieszne i tak nie
pasujące do jej napięcia,
dramatycznych myśli i sytuacji,
że parska śmiechem, starając się
go stłumić, żeby nie obudzić
Martina.

Martin ma za sobą długi ciężki
dzień. Poza tym to nie jego mąż
przylatuje, powodowany chęcią

zemsty. Martin jest wolny od
wszelkich przesądów,
odpowiedzialności i obowiązków.
Oko Opatrzności go nie obchodzi.
Dlaczego nie miałby spać
spokojnie?

Laura układa się u jego boku.
Nieoczekiwanie spływa na nią
spokój. Przypomina sobie, że
Martin zarzucił jej
niezdecydowanie, i uznaje ten
zarzut za słuszny. Radzi sobie
całkiem dobrze z każdą sytuacją,
byle nie żądano od niej żadnego
działania. Nawet teraz, w
obliczu najbardziej dla niej
przerażających zdarzeń, czuje
potrzebę fizycznego odpoczynku.
Z przyjemnością myśli o
zaśnięciu. Natomiast czuje, że
gdyby próbowała się tej
potrzebie snu oprzeć, wyjść z
łóżka i położyć się w swoim
pokoju - co bez wątplenia byłoby
jedynym słusznym działaniem -
natychmiast wróciłby jej
uprzedni nastrój i histeria,
znowu plotłaby rozmaite
głupstwa.

Niech Miles znajdzie ją tu, w

tym łóżku, taką spokojną. Zamyka powieki i oko Opatrzności znika natychmiast.

Po kilku godzinach do jej świadomości dochodzą jakieś hałasy. Mieszają się z jej snami, zacierając granice między snem a jawą. Z początku głosy przeplatają się jak w duecie, odzwierciedlając się w jej śnie w postaci bezustannego przypływu i odpływu drobnych fal na brzegu morza. W pewnej chwili wybija się nad nie ostry nieprzyjemny dźwięk, który wywołując nastrój grozy wtargnął jak nagle wbity nóż. Potem słyhać przeciąganie rzeczy, szuranie, jakby łomot upadku martwego ciała, obrazy się rwać. W końcu świszczący oddech, ciężki, zwierzęcy, obejmujące ją kosmate łapy, i majaki przechodzą w głęboki sen.

O świcie budzi się od razu trzeźwa. Idzie do łazienki,

dokładnie się myje, zęby czyści szczoteczką Martina. Okazuje się, że Martin używa pasty miętowej, której ona nigdy nie lubiła. Wraca do pokoju i ze zdumieniem widzi, że jej suknia leży na krześle porządnie złożona. Wkłada ją szybko, nie patrząc na Martina, który leży wygodnie owinięty rogiem prześcieradła. Szczotkuje włosy i stwierdziwszy, że ma twarz zaczerwienioną od słońca, wraca do łazienki i delikatnie przypudrowuje się kosmetycznym talkiem.

Potem podchodzi do łóżka. Martin patrzy zdziwiony.

- Co ty robisz?

- Ubrałam się.
- Po co? - Ujmuje ją za rękę.
Laura siada obok niego na łóżku.
- Pomyślałam, że już powinnam być gotowa.
Martin milczy.
- Przede wszystkim chcę się przywitać z Nickiem. Nie mogę chyba pójść do niego naga?
Milczenie się przeciąga.
Martin podnosi się z łóżka i okręca prześcieradłem. Staje na wprost Laury. Laura mimochodem zauważa, jaki jest przystojny, śmigły i młody. Przez sekundę doznaje niesamowitego wrażenia, że to ona go urodziła. Że wyskoczył jak złota strzała z jej ociążałych, zwiotczałych łądzwi.
- Wiesz, w nocy przyjechał twój mąż.
- Coś mi się śniło... - wtrąca Laura.
- Jest tam w tej chwili. Tuż obok. Z twoim synem. Swoim synem.
- Skąd wiesz?
- Przebudziłem się. Wstałem. Wszystko słyszałem.
- Nie wiedziałam...
- Idę wziąć prysznic. - Martin obraca się, prześcieradło faluje jak toga, znika w łazience.
W pierwszym odruchu Laura ma ochotę wrócić do łóżka, ale nie,

schyla się, żeby podnieść z podłogi poduszki i porozrzucaną pościel. Nadeszła chwila ostatecznej decyzji, a ona ciągle nie jest gotowa, by ją podjąć.

Wkrótce w pokoju obok zacznie się ruch. Usłyszy cienki,

dziecięcy głos Nicka na przemian z głosem Milesa. Bo Nicky będzie mu zadawał pytania.

Ciągle jeszcze jest czas, żeby się wycofać.

Nagle ze zdumieniem słyszy głośne pukanie do drzwi. Zrywa się i idzie przez pokój, niemal zadowolona, że zmusza ją to do oderwania myśli od tego, co się dzieje w przyległym pokoju. Przed drzwiami stoi goniec hotelowy, chłopiec, który mimo swoich zaledwie dwunastu czy trzynastu lat, ma już gładką buzię naznaczoną zmysłowością południowców. Wyciąga do Laury rękę, w której trzyma karteczkę.

- To dla pani na siódmą trzydzieści.

- Siódma trzydzieści! - Laura jest zaskoczona. - Czy to możliwe, żeby była siódma trzydzieści?

- Tak jest. Pan wyjechał godzinę temu.

Laura szybko wyciąga rękę po kartkę, tymczasem widzi, że chłopiec wchodzi z nią do pokoju. Stoi z wyczekującą miną, ale Laura dopiero po pewnej chwili domyśla się, że chodzi mu o napiwek. Z pośpiechem idzie do marynarki Martina i drżącymi palcami przeszukuje kieszenie. Wsuwa kilka lirów w dłoń chłopca, ledwo uniknąwszy zetknięcia z drobnymi chudymi palcami, które miałyby ochotę zacisnąć się na jej dłoni.

- Dziękuję. Dziękuję pani. - Laura wypycha go z pokoju.

Nie musi nawet czytać tej kartki. Wszystko jest teraz jasne. Także jej sen. Przebudził ją nie przyjazd, lecz odjazd

Milesa. Odjazd z Nickiem,
dlatego słyszała dwa głosy,
kojarzące się ze szmerem fal na
plaży.

Laura otwiera drzwi,
spoglądając w lewo. Drzwi do jej
pokoju stoją otworem,
roziskrzone słońce rzuca przez
okno smugę światła, dochodzącą
aż na korytarz. W pokoju Martina
panuje półmrok, gdyż story
jeszcze są zaciągnięte.

- Buon giorno - odzywa się
stojąca w drzwiach do łazienki
pokojówka.

Laura wchodzi do pokoju i
rozgląda się. Z wyjątkiem jej
walizki pokój jest opróżniony,
nie ma nawet buteleczek z
kosmetykami, które stały na
toaletce, tylko pasek zwisa z
krzesła. Musiała przecież
rozłożyć w pokoju trochę swojej
garderoby? Podchodzi do walizki
i podnosi wieko. Wszystkie swoje
rzeczy widzi bezładnie wrzucone,
jeszcze ciepłe i nie otrząśnięte
z piasku. Jak to było? Czy
Miles wrzucił je z wściekłością,
zatraskując na koniec wieko?
Czy Nicky wtedy spał, czy
obserwował to przerażony nic nie
rozumiejąc?

Siada na łóżku, gardło ma
zaciśnięte aż do bólu.

- Mi scusi, signora... -

Pokojówka podchodzi do walizki i
zaczyna wyjmować z kieszeni
buteleczki. - Pensato... scusi.

- Stoi przed Laurą patrząc na
nią przepaszająco.

Więc Miles nie włożył ich do
walizki.

- Nic się nie stało.

Niewielka pociecha. Co myśli
ta dziewczyna? Mały chłopiec
opuszczony przez matkę?

Opuszczony. To niemożliwe. Żadna
matka nie zdobyłaby się na
opuszczenie syna, takiego syna.
Może myślała, że matka utonęła.
A więc tragedia. Ojciec
przyjechał zabrać biedne
osierocone dziecko do domu.
Laura wstaje, bierze z rąk

pokojówki kosmetyki, następnie
dłonią robi gest, żeby wyszła z
pokoju. Dziewczyna szybkim
krokiem idzie do drzwi, ale
zamyka je bardzo delikatnie. Jak
gdyby w pokoju leżał chory.

Laura wchodzi do łazienki i na
rurce prysznicowej widzi kostium
kapielowy Nicka. Nie ona go tam
rozwiesiła, Nicka kładła
przecież do łóżka pani
Stevenson. Sięga ręką po wciąż
jeszcze mokre kąpielówki i tuli
je gwałtownym ruchem do piersi.
Biegnie do pokoju, rzuca się na
łóżko i spazmatycznie szlocha.
Ogarnia ją poczucie
przygnębiającej klęski.

Płacze jeszcze, kiedy do
pokoju wchodzi Martin.

- Niepodejmowanie decyzji jest
decyzją samą w sobie - oświadcza
Martin.

Laura nie odpowiada, jej płacz
przechodzi w ciche łkanie.

- Czy zamierzasz popędzić za
nimi? Czy raczej zejść na dół i
zjeść rumianki, chrupiący
francuski rogalik?

- Martin! Gdyby...

- Co? Gdybyśmy się spotkali
wcześniej?

- Nie. Tak. Nicky...

- Chcesz powiedzieć, gdybyśmy
się nie spotkali?

- Nie! Nie! - Zrywa się i z

całej siły obejmuje go ramionami. - Dopóki ciebie nie spotkałam, nie miałam pojęcia o niczym. W ogóle nie żyłam!

Martin delikatnie poklepuje ją po plecach z zamyślonym wyrazem twarzy. Wreszcie mówi łagodnie:

- Oczywiście nie może się całkiem odsunąć od Nicka.

- Prawda?... Prawda? - Szybko budzi się w niej nadzieja. Miles nie jest sądem. Nie może jej ukarać. Żadna matka nie zasługuje na to, żeby jej odebrać dziecko.

- Z pewnością. Będziesz go miała, kiedy tylko zechcesz. Zostaje teraz tylko jedno pytanie: czy chcesz teraz na

gwałt ich gonić, czy zostać ze mną i zjeść chrupiący rożek?

Laura podnosi oczy na Martina i spostrzega, że leciutko odsunął się od niej. Jeżeli nie będzie ostrożna, straci męża, dziecko i kochankę. Naturalnie Martin ma rację. Żadnej matce nie można zabrać dziecka. Czasy tak pojmowanej winy i kary dawno zostały skompromitowane jako niehumanitarne. Osądza się teraz nie według Starego Testamentu, oko za oko, ale raczej w chrześcijańskim duchu Nowego Testamentu. Przeszedł po niej dreszcz na wspomnienie plastikowego oka Opatrzności, odgarnia włosy do tyłu. - Daj mi trochę czasu, żebym mogła umyć twarz, zaraz będę gotowa. Pościg samochodem przez całe Włochy byłby zbyt melodramatyczny. Poza tym jest taki upał!

Udaje jej się nawet lekko

uśmiechnąć.

XV

Później Laura doszła do wniosku, że jedną z istotnych przyczyn, które wpłynęły na jej zgodę rozstania się z Nickiem, były panujące we Włoszech pod koniec lipca i w sierpniu ogromne upały. Natychmiast przenieśli się z hotelu w Viareggio do domku, który Martin znalazł w małej wiosce położonej wśród wzgórz, wysoko nad morzem. Co rano budziło ich pianie koguta na farmie w dole i słońce, które wdzierało się do pokoju pocięte na paski przez zapuszczone żaluzje.

Śniadanie mimo wczesnej pory jadali w cieniu winorośli obsypanej kiśćmi czerwieniejących winogron. - Towarzyszył im widok na dolinę i ciągnące się za nią zbocza pokryte ciemnymi plamami lasów, nad którymi wstawało słońce, żarząc się triumfalnie dzień po dniu. Poniżej ich domku wioska tętniła gwarem, rozbrzmiewała głosami ludzi i beczaniem owiec. Po śniadaniu jechali na plażę, większość czasu spędzając w wodzie. Wypływali daleko w morze, urządzali sobie zawody albo wyznaczali jakiś odległy punkt, płynąc wzdłuż brzegu. Dawało im to satysfakcję i dumni ze swoich możliwości w nagrodę zajadali lody albo rzuciwszy się na piach, rozleniwieni leżeli pod parasolem.

Tuż po dwunastej, kiedy nawet morze przybierało migotliwą barwę roziskrzonego słońca,

opuszczali plażę, nie śpiesząc
się jechali do siebie na górę,
zjadali sałatę w mrocznej,
wyłożonej kamiennymi płytkami
kuchni, a kiedy dochodzące
zewsząd dźwięki zmożone upalną
sennością umilkły i wszechwładnie
zapanowała siesta, oni także
zapadali w drzemkę. Leżeli
rozciągnąwszy na łóżku ciała tak

znużone, jak gdyby całe
przedpołudnie przepracowali na
rolu. Często po godzinie czy
dwóch, kiedy się budzili,
kochali się, szczęśliwi, że
minął szczyt upału i mają przed
sobą przyjemny ciepły wieczór.

Brali prysznic, ubierali się
starannie i bądź czytali
siedząc pod winnym krzewem, bądź
wybierali się na zakupy po
pękate brzoskwinie i soczystą
zieloną fasolę. Czasem jechali
do Viareggio, Camaiore, Sieny
czy nawet do Florencji. Nie
spieszyli się z powrotem, pod
roziskrzonym gwiazdami niebem
popijali stregas z miłym
uczuciem, że spędzili jeszcze
jeden udany dzień. Wreszcie
nieco zamroczeni alkoholem znowu
zapadali w sen, gotowi, nawet w
podświadomości, śpiąc kamiennym
snem, stawić czoło spiekocie
nowego dnia.

Rozmawiali. O Włoszech, o
historii tego państwa, o
prowadzonej przez rząd polityce.
Martin kupił kilka książek o
Toskanii, które tak pobudziły
jego wyobraźnię, że do późnej
nocy układał plany długich
wypadów samochodem, które rano,
w konfrontacji z tarczą słońca,

okazywały się niepodobieństwem.
Laura rozczytywała się w
powieści Elisabeth Gaskell "Żony
i córki". Znajdowała w tej
lekturze ukojenie. Koleje życia
i perypetie miłosne
wiktoriańskiej rodziny, tak
odległe pod każdym względem od
jej obecnej sytuacji, dawały
jej, na zasadzie kontrastu,
poczucie bezpieczeństwa i
świadomość odwieczności ludzkich
problemów. Martin pokpiwał z
przejęcia, z jakim czytała tę
książkę, uważając, że to ekliwy
melodramat. Żal jej było
rozstawać się z powieścią,
czytała ją zatem coraz wolniej,
do dnia, kiedy Martin
najzupełniej niespodziewanie
dostrzegł w sklepiku na plaży

trzy tomy sagi rodu Palliserów,
napisane kwiecistym stylem
Trollope'a. Wręczył je Laurze,
mówiąc: - A oto następna
opowieść bogata w wydarzenia,
które zawsze wszystkich
interesują.

Z wdzięcznością przyjęła
prezent i już bez żalu
dokończyła powieść Elisabeth
Gaskell. Od czasów, kiedy była
jeszcze uczennicą, nie zdarzyło
jej się czytać tak żarliwie i z
takim pragnieniem zatracenia się
w lekturze.

Zaraz po zainstalowaniu się w
wynajętym domku Martin zlecił
urzędowi pocztowemu w Viareggio
zatrzymywanie jego listów na
poste restante. Chodził po nie
co dwa, trzy dni i chociaż Laura
nie pytała go o to, domyślała
się, że dotyczą one jego pracy.

Wiedziała, że zanim się poznali, praca była najważniejszą, jeżeli nie jedyną ważną sprawą w jego życiu, ale nie pytała go, jak to się dzieje, że mógł sobie pozwolić na kilkutygodniowy wyjazd. Wynikało to prawdopodobnie z jej wewnętrznego przekonania, że ostatecznie była to pewnego rodzaju kompensata za jej rozłąkę z Nickiem.

Laura nie wyrzuciła wręczonej jej tamtego dnia karteczki od Milesa. Napisał krótko: "Będzie lepiej dla Nicka, jeśli go zabiorę z sobą - Miles". Miles nigdy nie miał daru pisania listów. W pierwszych latach ich małżeństwa dość często bywał poza domem, biorąc udział w sesjach wyjazdowych sądu. Zawsze do niej pisał, używając do tego celu urzędowych blankietów sądu rejonowego. Listy te nieodmiennie zaczynały się od słowa "Najdroższa" i kończyły się po prostu "Miles", tak samo jak ta ostatnia kartka. Poza tym żadnych czułych słów. Mimo to nawet ona musiała przyznać, że te krótkie wiadomości przepojone

były miłością. Była jego słońcem, jedyną i prawdziwą miłością. Pisał: "Jackson kontra Jackson okazało się zwykłą jatką", ale jego serce przepełniała miłość. Nie miał zaufania do słów, może dlatego, że jako adwokat używał ich na co dzień dla wyrażenia prawdy w rozumieniu prawa, co tylko niekiedy pokrywało się z rzeczywistością.

Przed laty Laura często
chodziła do sądu, tak jak się
chodzi do teatru, aby go
zobaczyć przy pracy. Z początku
wielkie wrażenie robił na niej
majestatyczny ceremoniał,
peruki, togi, a także
pompatyczny, uświęcony tradycją
prawniczy język. Podniecała ją
bliskość tego teatru: sędziego,
prokuratora, adwokatów,
oskarżonych i świadków, ciasno
zgrupowanych na przestrzeni
niewiele większej od jej
saloniku. Czuła się, jak gdyby
była na scenie.

Ale kiedyś trafił się proces
karny, w którym Miles występując
w roli prokuratora, oskarżał
czterech mężczyzn podejrzanych o
zabójstwo w nocnym klubie
ubranego po cywilnemu
policjanta. Laura siedziała tak
blisko ławy oskarżonych, że
mogłaby ich dotknąć - byli to
trzej jeszcze młodzi mężczyźni,
niczym się nie wyróżniający,
oraz czwarty, potwornie gruby,
niemal kwadratowy. Było już
ciemno, kiedy wyszła z sądu.
Pojechała do domu metrem.
Wysiadłszy na swojej stacji,
nadal wzbudzona, mając jeszcze
przed oczyma tamtych gangsterów,
którym według Milesa należało
się co najmniej po dwanaście lat
więzienia, skierowała się z
wagonu prosto do windy. Tuż
przed ciemnym małym pudłem windy
zobaczyła wchodzącą do środka
osobliwą sylwetkę potwornego
grubasa. Dostrzegła także
towarzyszących mu trzech

pozostałych przestępców.

Było za późno, żeby nie wejść do windy. Wślizgnąwszy się w kąt, odwróciła wzrok mając nadzieję - jak struś chowający głowę w piasek - że kiedy nie będzie na nich patrzyła, oni jej także nie dostrzegą. Zaskoczona i ogarnięta paniką, wyobrażała sobie, że prawdopodobnie zaraz wyciągną nóż i potną ją na kawałki, jak to zrobili z nieszczęsnym policjantem. Była przecież osobą, która wiedziała o ich zbrodni, siedziała na widowni, z zapartym tchem i satysfakcją śledząc przebieg procesu. Tam chroniło ją prawo, tu znalazła się teraz sama z nimi czterema, odcięta od świata. Była przerażona, zaskoczona, nie mogła pojąć, jak to się stało.

Kiedy później opowiedziała o tym Milesowi, był zdumiony jej reakcją. - Ależ z pewnością słyszałaś o zwolnieniu za kaucją - uspokajał ją. - Podejrzani mają pełną swobodę poruszania się do czasu, kiedy zapadnie skazujący wyrok.

- Tak. Ale... - Argument Milesa niezbyt trafił Laurze do przekonania, w dalszym ciągu uważała, że jej reakcja była usprawiedliwiona. Zrozumiała, że proces jest pewną grą, szaradą, w której prokurator i adwokat grają swoje role z taką samą przebiegłością jak oskarżeni. Miles nie jest rzecznikiem prawdy obiektywnej, ale jedną ze stron prezentującą swoją wersję sprawy. Uświadomienie sobie tego faktu, który pomniejszył Milesa w jej oczach, wkrótce jeszcze bardziej się pogłębiło.

Po pewnym czasie znowu poszła do sądu. Tym razem Miles występował jako obrońca. Jego - co za śmieszne słowo - klient

był niskim, modnie ubranym
młodym człowiekiem o wygolonej,
pokrytej krostami twarzy.
Płomienna mowa Milesa, którą

nadzwyczaj starannie
przygotował, miała zakończyć
toczący się proces i dlatego ją
poprosił, żeby przysłała. Miles
istotnie robił wrażenie, twarz
mu płonęła, peruka spływała na
ramiona, z ust płynął potok
przeważnie długich słów i
terminów łacińskich.

Później, kiedy usiedli w
korytarzu, czekając na
orzeczenie sądu, wyraziła mu
swoje uznanie. Uśmiechnął się z
zadowoleniem i ściskając jej
rękę powiedział zupełnie
bezceremonialnie: - I tak
pójdzie do więzienia.

- Jak to? - spytała Laura ze
współczuciem.

- Jego wina jest oczywista.

- Ale to wszystko, co
mówiłeś... Udowadniałeś, że go
tam nie było. Że nie mógł tego
zrobić.

- Robiłem, co mogłem. - Miles
zaczął zdradzać niecierpliwość i
wtedy Laura pojęła, że jej
ustawiczna niemożność
zrozumienia tego, co się dzieje
na sali sądowej, głęboko go
niepokoiła. W rzeczywistości nie
chodziło o to, że nie stać jej
było na zrozumienie
czegokolwiek, ale że nie
godziło się to z jej własnym
kodeksem moralnym. Doszła do
przekonania, że wszyscy prawnicy
są krętaczami.

Po tamtej sprawie nie chodziła
już do sądu i jej wiara w

przewagę intelektualną Milesa zaczęła słabnąć. W jego obecności traciła pewność siebie. Przestała mu się zwierzać ze swych najtajniejszych myśli. I właśnie wtedy zaszła w ciążę.

W ciemnościach gorącej włoskiej nocy zrozumiała, że wyszła za mąż za Milesa wcale nie dlatego, że go kochała, lecz dlatego, że go podziwiała. Że kiedy ten podziw stracił intensywność, zastąpiło go przywiązanie, uczucie, jakie

rodzi się między przyjaciółmi w czasie długotrwałego bliskiego związku. Chodziło o podtrzymanie pozorów. W żadnym przypadku nie o miłość.

Na ogół jednak starała się unikać analizowania samej siebie z obawy przed koniecznością konfrontacji z głęboko w niej zakorzenionymi przekonaniem, że żona nie opuszcza męża, a matka nie opuszcza dziecka.

Była wdzięczna Martinowi, że nie zadawał jej więcej pytań. Nie zależało jej nawet na tym, żeby wiedzieć, czy kieruje się wrodzonym taktem, czy obojętnością. Była ciągle jeszcze zbyt zaślepiona miłością, by widzieć coś poza nią.

Pewnego ranka siedzą na tarasie swego domku jedząc śniadanie. Laura wyciąga rękę, badając dotykiem winogrona. - Są prawie dojrzałe.

- Szkoda, że ich nie skosztujemy.

Laura patrzy na Martina

zaskoczona.

- Wynajęliśmy ten domek tylko na trzy tygodnie.

- Och. - Czas jest odwiecznym wrogiem. Nieubłaganie przypomina o rzeczywistości. - Straciłam rachubę czasu.

- Spójrz na to. - Martin
wyjmuje z kieszeni list i wręcza go Laurze. Sam odwraca wzrok. List napisany jest na eleganckim papierze, wyrobionym, zamasztywnym pismem.

"Cóż, mój drogi, zaskoczyłeś nas wszystkich tą szaleńczą eskapadą z żoną wybitnego adwokata z tytułem Doradcy Królowej. Każdy, muszę przyznać, że ja także, kto powątpiewa w romantyczne uniesienia, nie dopatruje się w tym wielkiego rozumu. Nie chę na ten temat dyskutować, wszystko, co mam do powiedzenia, sprowadza się do tego, że przykro odczuwam twoją

nieobecność, że ona jest od ciebie starsza, ma dziecko i dobrego męża. Bon voyage, ale jej nie przeciągaj. Podobnie jak większość matek o staroświeckich poglądach (mimo że do nich nie należę), ja także z radością czekam na synową i gromadkę czarujących dzieci, podobnych do mojego czarującego, choć czasem nierozważnego syna.

F~elicitations - ta maman."

Laura kończąc list podnosi wzrok na odległą linię drzew na tle niebywale błękitnego nieba. O ile treść listu wydaje się jej wręcz niewiarygodna, to na

myśl, że Martin dał jej go do przeczytania, dostaje gęziej skórki. Czuje wzbierające pod powiekami łzy, więc zanim się stanie to najgorsze i wybuchnie niepohamowanym płaczem, szybko wyciąga rękę oddając list Martinowi. Nie wie, co powiedzieć, a gdyby nawet wiedziała, nic nie przeszłoby przez jej zaciśnięte gardło, więc milczy.

Martin niemal machinalnie odbiera list i spojrzawszy na złożoną kartkę wybuch swoim rehotliwym śmiechem. - To jest list od mojej matki!

- Widzę. Nie wydaje się zbyt z ciebie zadowolona.

- To nie ten list zamierzałem ci pokazać. - Nie przestaje się śmiać.

Ten śmiech mimo ogromnej ulgi, jaką przynosi, wywołuje w Laurze jeszcze większą ochotę do płaczu, łzy są niebezpiecznie blisko. Martin, jak gdyby tego nie dostrzegając, mówi wzburzony: - Mama powinna już wiedzieć, na co może sobie pozwolić. Chciała mnie ożenić, kiedy miałem osiemnaście lat. Z córką pewnej rosyjskiej księżnej, którą uwielbiała. List, który ci chciałem pokazać, jest zupełnie inny. - Szuka po kieszeniach i nie mogąc go

znaleźć, wstaje. - Musiałem go położyć gdzieś w domu.

Korzystając z tego, że została sama, Laura wraca myślami do listu matki Martina. "Jest od ciebie starsza, ma dziecko i dobrego męża... Ja także z

radością czekam na synową i
gromadkę czarujących dzieci,
podobnych do mojego czarującego,
choć czasem nierozważnego
syna". Śmiech Martina, mimo
brzmiającej w nim szczerzej nuty,
nie jest w stanie zatrzeć
wrażenia tych słów, ich żądło
jest zbyt jadowite. Jeśli nawet
Martin nie traktuje ich serio,
ona przywiązuje do nich dużą
wagę.

Wraca Martin, powiewając
kartką papieru. - Posłuchaj.
Przeczytam ci go: "Drogi panie
Keane, w odniesieniu... tra ra
ra, tra, ra ra, tram ta tam...
Miło nam wobec tego poinformować
pana, że pana oferta w sprawie
kontraktu, tra ra... Jedynym
słowem, ten pompatyczny osioł
chce powiedzieć, że chcą
doprowadzić do porządku cały
swój system komputerowy,
cholernie zabałaganiony... I
podpis. Z poważaniem, Herbert C.
Craddock - prokurent firmy
Mathieson, Craddock i Humbert,
San Francisco, Boston i New
York".

Martin rzuca list Laurze. - To
jest na Brooklynie. Ale co
za różnica. Dwa albo trzy
miesiące w Nowym Jorku. Za dobre
pieniądze. To prawdziwy sukces
przy niewielkiej fatydze.

Jego uniesienie z powodu
korzystnej transakcji jest dla
Laury niespodzianką. Tuż po
rozmowie na temat listu matki,
Laura jest zdumiona, nie umie
sobie z tym poradzić. - Jaki z
tego wniosek?

Martin przestaje puszyć się
jak kogut - obserwując go Laura
miała przed oczyma budzącego ich
rano koguta sąsiadów - i
stwierdza po prostu: - Wniosek

jest taki, że musimy wracać do domu.

- Do domu?

- Właśnie to chciałem ci przede wszystkim powiedzieć. Ale najpierw - znowu porywa go entuzjazm - na początek pojedziemy do Petry.

- Do Petry? - Laura sama nie wie, jak to się stało, że stoi z rękoma przyciśniętymi do piersi, jak dziewczyna, która się zrywa do ucieczki. "Petra" brzmi w jej uszach jak imię. Kojarzy jej się z rumianą pięknnością o kruczych lokach. Córka rosyjskiej księżnej.

- "Miasto czerwonych róż, stare jak świat". Kupiłem bilety na samolot na jutro. Tym razem ja funduję.

- Ostatni raz. Na pożegnanie - szepcze cicho Laura. Tymczasem Martin rozentuzjasmowany rzuca się na nią i kołysze w ramionach, co ze względu na upał nie zdarzało im się zbyt często. Laura nie wie, czy słusznie wyczuwa w tej euforii fałszywą nutę. Czyżby zwyczajnie zamierzał rozkochać ją w sobie? A później porzucić? "Ona jest od ciebie starsza, ma dziecko i dobrego męża".

- Posprzątam po śniadaniu.

- Dobrze. - Martin wypuszcza ją z uścisku, nie dając po sobie poznać, rozczarowania jej reakcją.

Dokładnie tak samo jak przed godziną Laura nie mogła sobie wyobrazić końca tego rajy miłości, tak teraz myśli wyłącznie o tym, że to koniec. Koniec z filiżankami, błyszczącymi swojsko na

drewnianej półce teraz już dla
kogo innego, koniec z zielonymi
kafelkami, czekającymi, żeby dać
ochłodę innym zmęczonym upałem
stopom, koniec z szerokim
kwadratowym łóżem z szorstkimi
jasnoniebieskimi
prześcieradłami, które będzie
musiała rano ściągnąć.

- Co ci jest? - Czuje za
plecami szczodre, krzepiące
ciepło obecności Martina i wbrew
sobie przywiera do niego, z ulgą
czując oplatające ją ramiona.

- Nic mi nie jest. Smutno mi.

- Dlatego, że wyjeżdżamy?

- Tak - odpowiada szeptem.

Niech sam odgadnie, co się pod
tym "tak" kryje.

- Na tym właśnie polega cały
pomysł z Petrą. Żebyś się
rozerwała, nie czuła się smutna.
To nie jest koniec wszystkiego.

- Tak, wiem. - Kiedy padły te
słowa, powiedziane głośno i
otwarcie, Laura czuje się na
siłach udawać, że nigdy nie
budziły jej niepokoju. Z wesołą
miną zbiera wszystkie rzeczy
potrzebne do kąpieli,
jednocześnie słuchając uważnie
Martina, który opowiada, że był
w Petrze jeszcze jako student i
że zawsze chciał tam kiedyś
wrócić.

Zanim przyszli na plażę pełną
ludzi i nad sam brzeg morza,
gdzie jeszcze nie było wielu
chętnych do kąpieli, Laura
zaczęła naprawdę myśleć, że
niekoniecznie musi to być koniec.
Czas znowu płynie, tak samo
łatwo odgarnąć go na bok jak tę
przejrzystą wodą, którą jej

ciało przecina robiąc sobie ścieżkę. Wyływa daleko od brzegu i w pewnej chwili jak strzała zdecydowanie nurkuje, póki nie czuje pod stopami piaszczystego dna.

Wyływa na powierzchnię i widzi w pobliżu unoszącą się na wodzie głowę Martina, który patrzy na nią uważnie. - Dlaczego to robisz? - krzyczy do niej.

Jest w tej chwili szczęśliwsza niż kiedykolwiek dzisiejszego dnia, uśmiecha się. - Jak to, co robię? - Kiedy tak idą po dnie i tylko im głowy wystają nad wodą, wyobraża sobie, że muszą wyglądać jak dwie wydry ze zmokłymi pyszczkami, mrugające

zalanymi wodą powiekami.

- Zapadasz się w wodę jak kamień. Bardzo się wtedy denerwuję.

- Ani trochę nie czuję się jak kamień. Czuję się cudownie. To trudno wytłumaczyć. Cały świat gdzieś przepada. No, teraz płyniemy.

- Ale ty to robisz często. Nagle znikasz.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy. - W duchu jest zachwycona, że go to tak obchodzi.

Ostatni lunch we Włoszech postanawiają zjeść w restauracji. Okazuje się, że podjeżdżają do tego samego lokalu, w którym byli na lunchu z Nickiem, gdyż jest to najlepsza restauracja w Viareggio. Laura nic nie mówi, ale jest trochę zdziwiona, że

Martin wybrał właśnie to miejsce.

Martin zaczyna znowu mówić o Petrze, o kolorycie tego miasta, jego architekturze i atmosferze tajemniczości. Agatha Christie umieściła tam akcję jednej ze swych opowieści, którą wypatrzył w tym samym sklepiku, gdzie znalazł powieść Trollope'a.

Laure uderza nagle myśl, że wybierają się w podróż w odwrotnym kierunku, jeszcze dalej od Anglii, gdzie chyba powinien być Nicky. Czuje straszliwy szarpiący ból, gorszy od wszystkiego, co przeżyła od chwili ich rozstania. Nicky wyjeżdżając zostawił ją tutaj, we Włoszech, gdzie - nawet przy całym nieprawdopodobieństwie tej myśli - mógł w każdej chwili do niej wrócić. Teraz jednak opuszczała miejsce, z którego wyruszył, wybierając się jeszcze dalej. Teraz nie on ją, lecz ona jego opuszcza. Widzi jego twarzyczkę, bladą, mizerną, przestraszoną, całą we łzach. Opuszczoną.

Zamówione danie, delikatna i

smakowita ryba z rusztu, zamienia się wnet w stertkę mięsa i ości. Na widok sosu sporządzonego z ubitych jajek z dodatkiem ziół robi jej się niedobrze.

- Dlaczego nic nie jesz?

Znowu chodzi o czas, wiecznie obezwładniający ją lękami, jakie z sobą niesie. Martin nie powiedział jej, na jak długo ją. - Nie mogę. To zanadto sycące. - Odsuwa talerz.

- To prawda. Wolę nasze sałatki.

Nasze sałatki. Przeszły już do wspólnej przeszłości. Musi jechać do Petry, bo nie ma innego wyboru.

Tej nocy układa się w ramionach Martina z dziecięcym zaufaniem, dając mu poczucie siły zaspokajające jego męską dumę.

- Czuję się bardzo samotna. - Wyjawia jak zwykle tylko część prawdy.

- Nie wolno ci tak mówić.

- Dobrze.

- Chcę, żebyś była przy mnie zawsze.

Laura stara się usłyszeć w tych słowach spełnienie wszystkich swoich pragnień, podnosi ku niemu twarz.

Stopniowo z dziecka przemienia się w kobietę, przytulając się do niego całą długością swego ciała.

Na lotnisku w Pizie zdobywa się na krok, który ją ogromnie podnosi na duchu. Wysyła kartkę do Nicka. Pisze na ich domowy adres w Londynie, z pełną wiarą, że Nicky tę kartkę otrzyma, dziwi się, że jej to nie przyszło na myśl wcześniej. Obserwując ją, Martin mówi z uśmiechem: - Chyba nie powinienem postawić krzyżyka z dopiskiem "nasza sypialnia".

- Bardzo marny dowcip i w złym guście. To jest zdjęcie krzywej wieży w Pizie. - Mówi to także

z uśmiechem. U dołu kartki rysuje mnóstwo

krzyżyków_calusów. Kontakt z Nickiem został przywrócony.

W Jordanii pada. Strugi lodowatego deszczu z sykiem rozbryzgują się o dach małego zajazdu w pobliżu Petry. Wyczerpani długą podróżą Laura i Martin wyciągają z dna walizek zmięte swetry.

- Przeważnie podobnie - mówi właściciel, ze zmartwienia kalecząc angielski.

- Na moje marzenia pada deszcz - mówi Martin, podnosząc do ust szklanekę piwa. Wina nie ma.

Laura nie odwzajemnia jego uśmiechu. Chłód przenika ją do kości. Do wąskiego łóżka idzie nie rozbierając się. Nie może zrozumieć, co właściwie robi pośrodku tej mokrej i skalistej pustyni.

Rano budzi ich odgłos padających kropli. Martin idzie sprawdzić, gdzie tak kapie. Okazuje się, że z kranu.

- Spójrz! Jutrzenka! - Martin szeroko otwiera drzwi. Laura widzi przejrzyste światło nieśmiało migocące za welonem różu i fioletu. - POspieszmy się! Musimy być w mieście, zanim się ukaże słońce.

Jadą konno. Wierzchowce jeden za drugim stąpają po piaszczystej ścieżce, zwązającej się coraz bardziej wśród głazów.

- Wyglądasz jak harcerz! - krzyczy z tyłu Laura. Przyjaciel na dobrą pogodę, rozmyśla. Przyjaciel i kochanek na dobrą pogodę.

Koń Martina jest szybszy od konia Laury i przez całą drogę wysuwa się do przodu. Martin obraca się, przysłaniając ręką oczy przed już widocznym między skałami słońcem. - Nie umiem ci określić, jak ty wyglądasz.

Laura wybucha śmiechem. Ma na
sobie jego spodnie, zenująco
obcisłe w biodrach i na

siedzeniu, ale beznadziejnie
luźne w talii, nogawki wiszą jak
worki. - Nic na to nie poradzę,
jestem kobietą.

Ich przewodnik, mały chłopak
jadący na największym koniu,
obraca się i bezczelnie szczyrzy
zęby. Laura już chce go zmrozić
spojrzeniem, ale nagle uśmiecha
się niefrasobliwie. Ostatecznie
nie musi niczego ukrywać.
Określiła samą siebie doskonale.
Jest kobietą, od stóp do głów.

Z obu stron coraz bardziej
napierają przedziwnych kształtów
głazy. Podłużne głębokie
szczeliny są świadectwem, że w
dawnych czasach chowano tu
zmarłych.

Pokaż mi w naszych stronach
taki cud, @ jak to wschodnie
miasto czerwonych róż, @ stare
jak sam czas! @ (John William
Burgon, 1813_#1888, "Petra".
Przekład Anny Mysłowskiej.
Przyp. tłum.)

recytuje Martin. Echo powtarza
słowa wiersza odbite od gładkich
ścian tunelu utworzonego przez
głazy, które teraz zamknęły się
nad ich głowami w sklepieniu.
Stopniowo cienka świecąca kreska
widoczna na jego końcu rozszerza
się coraz bardziej.

- Chciałabym, żeby ta chwila
trwała wiecznie! - wrywa się
okrzyk z piersi Laury. Ale
szpara rozwiera się szeroko,
ukazując ich oczom swój skarb.

Wjeżdżają do miasta
wyrzeźbionego w żywej skale
przed setkami lat i dawno
opuszczonego. Tajemniczego,
zaledwie w połowie odkrytego
sennego widziadła. Po obu
stronach głównej drogi ciągną
się koronkowe pałace i
świątynie, natomiast liczne
węższe ścieżki prowadzą pod górę
do części miasta o bardziej
chaotycznej zabudowie.

Zsuwają się z koni, umawiając
się z przewodnikiem, że je

przyprowdzi na godzinę przed
zachodem słońca.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że
coś takiego istnieje, mimo że na
to patrzę. - Martin stoi
nieruchomo, rozglądając się na
wszystkie strony. - Mogłaby to
być ilustracja do "Mojego
przyjaciela Meaulnes" * z czasów
mojej szalonej młodości. -

Obraca się do Laury. -

Przypomina mi to siebie.

(Henri Alban Fournier, zwany
Alain Fournier (1886_#1914?), "Le
Grand Meaulnes", 1913, powieść,
polski przekład: "Mój przyjaciel
Meaulnes", tłum. Anna
Iwaszkiewiczowa, pseud. Adam
Podkowiński, Warszawa, 1938.
Przyp. tłum.)

- Co takiego? Czyżbym była
stara? I z kamienia? - Stoi
patrząc mu prosto w twarz, która
w świetle wschodzącego słońca
jest dokładnie tego samego
koloru co skały za jego plecami.

- Nie wierzyłem, że może
istnieć na świecie taka kobieta
jak ty. A potem, kiedy cię
zobaczyłem, taką łagodną, skupioną

i piękną, nie wierzyłem, że
możesz być kiedykolwiek moja.
Wymarzyłem sobie ciebie. Jesteś
moim marzeniem.

Słońce tego dnia różniło się
od ostrego blasku, do którego
przywykli w Italii. Nie było tak
roziskrzane, lecz żarzyło się,
doprowadzając opływające ich
ciała powietrze do bardzo
wysokiej temperatury. Jedyne
stopy były chłodne i pozwalały
na wspinaczkę po krętych
uliczkach i zagłębienie do
ciemnych wnętrz piaskowych
domów. Tonacja światła
słonecznego przypominała barwę
skały o rzeźbie złagodzonej
przez czas. Laura czuła, że
tutaj czas jest jej
sprzymierzeńcem.

W południe usiedli pod czarną
markizą Beduinów, żeby się napić
słodkiej herbaty. Potem wspięli
się pod górę do najwyższego

punktu, skąd mieli widok na całe
miasto. Wiał lekki wiatr, tak
przyjemny, że Laura miała ochotę
rozpostrzeć ramiona i
zatrzepotać nimi jak ptak.

- POzostań ze mną na zawsze i
bądź moim szczęściem -
wyśpiewuje biegnąc podskokami w
dół. - To prawdziwy grzech być
tak szczęśliwym! - Woła do
Martina, czując się tak czysta i
wolna od grzechu jak ptak.

Następnego dnia wracają do
Londynu, zatrzymując się na tyłu
lotniskach, że Laura traci ich
rachubę. Dziwi ją, dlaczego
Martin nie uprzytomnił jej, że
będzie w Londynie wcześniej od

wysłanej do Nicka kartki.
Zaczyna rozumieć, że Martin
traktuje wszystko, co ona robi,
na innym planie. Cóż, jest
przecież jego marzeniem.

Podróż jest długa i forsowna,
na całej trasie niezgodna z
rozkładem lotów, jest jak
koszmar, w którym stopy mamy
zlepione klejem. Kiedy wreszcie
lądują po raz ostatni i samolot
z szarpiącym nerwy łoskotem,
odbijając się kilka razy, toczy
się po płycie lotniska, Laura
zaczyna się zastanawiać, czy ich
podróż nie była urojeniem.

Jedynym dowodem, że te wakacje w
słońcu i szczęściu nie były
snem, jest jej ogorzała twarz i
brązowe ciało. Nie zadbała o to,
żeby chronić skórę przed
słońcem, i teraz spostrzega, że
ręce ma wysuszone i pomarszczone
jak stara kobieta. Przygląda się
Martinowi, który w Ammanie
natknął się na tygodnik "The
Economist" i jakimś cudem nie
zgubił go po drodze. Wygląda
jeszcze młodziej, spłowiałe
od słońca włosy nabrały barwy
żółtawej ze złotymi pasmami, na
ich tle ciemna twarz wydaje się
znacznie przystojniejsza, a oczy
jeszcze intensywniej niebieskie.
Zakochał się w niej, bo była
"taka łagodna, skupiona i piękna".

Jaka była teraz?

Natychmiast po odprawie celnej
Laura rozgląda się za telefonem.

- Gdzie tak pędzisz? - pyta
Martin z uśmiechem.

- Chcę zadzwonić do domu.

- Do domu? - dziwi się, nie
przestając się uśmiechać.

- Chciałabym porozmawiać z Nickiem.

- No tak. - Milczy przez chwilę. - Tearaz mój dom jest twoim domem.

Pewną pociechą przy wykręcaniu numeru telefonu jest uczucie, że ma w Martinie oparcie. Zgłasza się Maria. Laura nie pamięta, żeby kogoś nienawidziła bardziej od tej grubej, poczciwej dziewczyny. - Tu Laura Knight. Czy jest w domu Nicky?

- Nie. Nikogo nie ma.

Wyjechali na kilka tygodni.

- Jak to na kilka tygodni? -

Irytację Laury wzmagają wyczuwalne zdenerwowanie Marii. - Gdzie on właściwie jest?

W słuchawce słychać głośne przetykanie śliny, które każe się Laurze domyślać, że Maria zachowuje się tak, jak jej nakazano. Ostрым tonem pyta ponownie: - Gdzie jest Nicky? Chcę, żebyś mi powiedziała. Rozmawiasz z jego matką!

Jedyną reakcją jest spazmatyczny płacz Marii. Wszelka próba porozumienia się z nią jest nie do pomyślenia. Laura kładzie słuchawkę.

Obraca się i widzi Martina stojącego przy kontuarze Twa. (Trans World Airlines. Przyp. tłum.) Podnosi na nią wzrok, ale nie zadaje żadnych pytań.

- Co tutaj robisz?

- Pytam o loty do Nowego Jorku.

Na Laurę spada nagle świadomość, jak lekkomyślne jest jej postępowanie. - Kiedy lecisz?

- Razem z tobą, mam nadzieję.

Widziałas przecież list.

- Tak, oczywiście.... - "Jest

od ciebie starsza, ma dziecko i dobrego męża".

- Muszę być dzisiaj w biurze, ale mógłbym cię najpierw odwiedzić do mieszkania.

- Nie rób tego. Mogę przecież sama wziąć nasze walizki.

Zostać sam na sam ze swymi myślami jest jedyną nadzieją na pozostanie przy zdrowych zmysłach. W jej głowie kłębią się myśli o rodzinie, o domu, o pracy. Nie ma pojęcia jak to się wszystko poukłada w jej nowym życiu. Zastanawia się, czy właśnie nie lęk przed takim stanem rzeczy był przyczyną, że była dotąd wierną żoną i dobrą matką. Teraz pogrąża się w ciemnościach. Wydaje jej się, że gdyby pojawił się Miles, w ciemnym garniturze i siwej peruce w loki, posepny i osądający jej postępowanie, poszłaby z nim posłuszna jak dziecko. Czy świadczyłoby to o sile charakteru? Czy o tchórzostwie?

Ale Milesa nie ma i nikt od niej nie wymaga decyzji. Czuje natomiast falę ciepła ogarniającą ją w chwili, kiedy Martin ujmuje ją za rękę.

- Pojedziemy razem taksówką aż do Cromwell Road i tam szybko wyskoczę. Nie bądź taka napięta. Wiadomo było, że to nie będzie łatwe.

Czy jeśli przezwycięży swoje niepokoje, będzie to świadczyło o jej odwadze? Dlaczego traci wiarę w siebie w tej samej chwili, kiedy rozstaje się z Martinem?

- Ja także muszę zadzwonić do biura. Może nawet dobrze byłoby pójść tam i pochwalić się

opalenizną. - Ciągle jeszcze ma w uszach wybuch płaczu Marii. - Mogłabym także pójść do domu po swoje rzeczy.

- Jak chcesz.

Laura spostrzegła już, że powściągliwość Martina w wypowiedaniu się na temat jej

rodzinnych problemów nie oznacza, że go te sprawy nie obchodzą.

- Wygląda na to, że Nicky gdzieś wyjechał.

- Odpocznij przez dzisiejszy dzień. Stanowczo ci się to należy. - Martin ściska ją za rękę i już myślami jest gdzie indziej. Każde z nich ma teraz swoje własne sprawy, są przecież w Londynie.

Laura odpoczywa. Leży na łóżku Martina, obok niej nie tknięte walizki. Dzień za oknem jest tak szary i zamglony w porównaniu z oślepiającym światłem nad Morzem Śródziemnym, że wydaje się, jak gdyby były zaciągnięte story. Zasnęła, ale niebawem drgnąwszy nerwowo budzi się, wyciąga rękę po telefon.

Wykręca numer Nell. Prawie natychmiast słyszy jej głos, jak zwykle energiczny i pełen entuzjazmu. Laura czuje, jak ulotniło się natychmiast jej zmęczenie. O ile głos Marii wzbudził w niej zupełnie nie uzasadnioną nienawiść, tak teraz nie posiada się z radości. I czułości. Przekonuje się, że przyjaźń jest jednym z najistotniejszych doznań w życiu człowieka. Jest ogromnie zadowolona, że podtrzymywała tę

przyjaźń, walcząc z dezaprobatą Milesa i przewyciężając różnice światopoglądowe jej i Nell.

Laura snuje refleksje, a Nell mówi bez przerwy o nowym adoratorze, z którego jest bardzo zadowolona.

- Jest ode mnie o wiele starszy i wcale nie w moim typie: codziennie jeździ do biura i uważa, że się ubieram jak kokota. Ale świetnie prowadzi swoje interesy, jest bardzo bogaty i przysięga, że mnie kocha do szaleństwa. -
Laura nie bierze zbyt serio ani jednego słowa monologu Nell. Czeka, żeby skończyła, wiedząc, że przynajmniej raz ma więcej do

opowiadania. Nell nabiera powietrza do płuc. - No, a ty, co u ciebie?

- Myślałam, że już nigdy nie zapytasz. - Obie wybuchają śmiechem. Jaką ulgą jest taki beztroski śmiech. - Nie. Tak. Cudownie. To okropne, że trzeba było wracać. Straszne. Wspaniale. Nie wybierasz się do Londynu?

- Dlaczego pytasz? Jestem ci potrzebna?

- Muszę pójść do domu.

- I chcesz, żebym z tobą poszła.

- Nicka nie ma. Tak przynajmniej twierdzi Maria.

- Oczywiście, że z tobą pójdę.

Umawiają się na następne popołudnie. Nell podsuwa myśl, żeby dla nabrania większej odwagi zjadły przedtem lunch zakrapiany alkoholem.

Nell ubrała się w kostium safari i słomkowy kapelusz, włożyła też ciemne okulary.

- Wyglądasz jak szpieg - mówi Laura, kiedy trochę wstawione i trochę w histerycznym nastroju zbliżają się do domu.

- Och, jestem przyzwyczajona do zakradania się do cudzych domów - odpowiada beztrąsko. - Lubię się przebierać odpowiednio do roli.

- Ale to nie jest cudzy dom, tylko mój własny - mówi Laura.

- Na jedno wychodzi. - Wydaje im się to nagle szalenie śmieszne i kiedy stają przed pomalowanymi na czerwono drzwiami, chichoczą jak uczennice w kościele. Laura wkłada klucz do zamka, zaś Nell teatralnym gestem przyłożywszy palec do ust, skulona chowa się za jej plecami.

Drzwi otwierają się i ukazują się ciasne wnętrza o niskich sufitach. Laure zaskakuje jego szarzyzna, tak różna od zachowanego w pamięci kolorowego obrazu. Idzie do

saloniku. Jest wysprzątny, nie ma w nim kwiatów, całkiem zatracił swój charakter. Wydaje się wypełniony szarym światłem przedostającym się przez okno od ulicy. Nell weszła do pokoju obok.

- No, w każdym razie widać, że tu mieszka.

Laura przechodzi do gabinetu Milesa, skąd dochodzi głos Nell. Piętrzą się w nim stosy gazet, książek i notatek.

- Jego pokój wygląda tak

zawsze. - Dowody pracowitości męża napawają Laurę obrzydzeniem. Cofa się w kierunku drzwi.

Prawdopodobnie spostrzegłszy jej wyraz twarzy, Nell rozochociona proponuje: - Więc co z tym robimy? Wyrzucamy przez okno? Drzemy na kawałki?! Robimy papierowe kule! Depczemy wszystko, co się da! - Chwyta kilkadziesiąt stron maszynopisu, jak gdyby zamierzała wprowadzić w czyn swoje groźby.

- Nie, nie. Zostaw! -

Protestuje rozbawiona Laura. Myśli o tym, że jej odejście od męża, od rodziny, odbyło się inaczej niż w przypadku Nell. Nie był to krok przemyślany, ona się po prostu zakochała. Nie czuje się wyzwolona. Jednak odezwało się w niej jakieś echo słów Nell, które jej podszeptuje, że te cienkie kartki papieru i ciężkie księgi rządziły jej życiem przez dziesięć lat i jeśli ma się poczuć naprawdę od nich wyzwolona, musi zrobić to, na co ją namawia Nell, musi zrobić z nich pośmiewisko, porzucić je po całym pokoju.

- Chodźmy na górę. - Miles jest dobrym, zapracowanym człowiekiem. Nie zrobił jej żadnej krzywdy.

Pierwszy pokój, do którego wchodzi, to sypialnia Nicka. Laura, która starała się zmobilizować spokój sprzed spotkaniem ze zmiętą piżamką, z

nadgryzionymi biszkoptami i fragmentami układanek lego, doznaje ulgi na widok porządku

i bezduszości dorównującej salonikowi. - Rzeczywiście nie ma Nicka.

Zagląda do szafy i widzi, że większość garderoby została zabrana, tylko szkolny mundurek, wyprasowany, wisi porządnie na ramiączku, czekając na nowy rok szkolny. Nawet książki, ustawione szeregiem, wydają się obce, nigdzie śladu intymności i osobistego stosunku do rzeczy.

Laura idzie do własnej sypialni. Niemal traci oddech ze zdziwienia. Łóżko nie pościelone, koce i prześcieradła zwisają do samej podłogi, jej śliczna kapa leży zgnieciona pod ich ciężarem.

- Zdaje się, że tu potrzeba ręki kobiety - mówi Nell z satysfakcją.

- Nie zdarzyło się, żeby Miles zaścielił kiedyś łóżko, przez cały okres naszego małżeństwa - przyznaje Laura, której dotąd nigdy nie przyszło na myśl, żeby zwrócić na to uwagę.

Teraz, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, schyla się, jakby miała zamiar zacząć ścielić.

- Zdawało mi się, że masz dziewczynę do pomocy, Hiszpankę - mówi Nell.

- I ja tak sądziłam.

- Prawdopodobnie wyjechała z Nickiem.

- Kiedy tu zatelefonowałam.

- Zgadza się, doktorze Watsonie. - Próby Nell, żeby stworzyć pogodniejszą atmosferę, spelzły na niczym. Laura czuje nagle, że załamuje się, ma ochotę wybuchnąć płaczem.

Wyciąga wielką walizkę i zaczyna biegać po pokoju, gromadząc swoją garderobę i różne potrzebne przedmioty. - Co mam właściwie zabrać? - pyta

płaczliwym głosem, próbując
sprowadzić swoje tragiczne

przeżycia do praktycznych
problemów.

- Zabierz tylko te rzeczy,
które kochasz.

Laura uważa, że kocha tylko
Nicka, wrzuca jednak do walizki
kilka sznurów różnych koralików,
mimo że ich nie tylko nie kocha,
ale nie lubi.

- Ten pokój czymś czuć -
oświadcza Nell. - Dlaczego
pokoje mężczyźni zawsze czymś
cuchną, kiedy nie ma przy nich
kobiety?

- Może nie otwierają okien na
całą szerokość.

- Ale w tym pokoju okno jest
otwarte. Sądzę, że chodzi raczej
o hormony. Po której stronie śpi
Miles?

Laura spogląda znad stosu
rajstop. - Obok telefonu. -
Wrzuca rajstopy do kosza na
śmieci.

- Hm. Więc jednak wziął na
siebie pewne obowiązki. - Rusza
przez pokój. - Zobaczymy, co
czyta. Agatha Christie. Jakies
stare prawnicze czasopismo czy
coś w tym rodzaju i - oo! - a to
co? "Radość..." No nie, co za
rozczarowanie, "Radość
biwakowania".

- Nell! - Laura zauważa, co
zresztą wielokrotnie stwierdzała
w przeszłości, że Nell
przekracza granice dobrego
smaku. Jak jednak określić te
granice w sytuacji, kiedy się
odchodzi od męża?

- Myślę, że jednak zaścielę
łóżko. - Laura zaczyna z wielką

energiją podciągać prześcieradła i koce. Nell przygląda się temu, ostentacyjnie wzdychając.

- Nie czuję do niego nienawiści - mówi Laura, chociaż w rzeczywistości mija się to z prawdą.

- Wydaje mi się, że byłaś zawsze lepiej wychowana ode mnie. - Nell bez przekonania podchodzi do łóżka z drugiej strony, żeby pomóc Laurze wygładzić pościel.

Tak właśnie zastaje je Miles, skrzywdzony, spragniony zemsty mąż. Przyjaciółki, każda z przeciwnej strony jego łóżka, podwijające przybrudzone prześcieradła w tradycyjny angielski sposób.

Jak było do przewidzenia, Nell się śmieje. Jest to zapewne śmiech nerwowy, ale przy jej kostiumie safari, kapeluszu i ciemnych okularach, które z całą powagą nosi, wrażenie jest dość niezwykle. Laura uznaje, że ostatecznie w każdej sytuacji obowiązują jakieś formy. - Przepraszam - szepcze stojąc jak zahipnotyzowana, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Milesa.

Kiedy ukazał się w drzwiach, jego twarz wyrażała powagę i spokój, teraz nabiegła krwią, wystąpiły na niej bruzdy, które zaczynają się układać w grymas straszego gniewu. Laura jeszcze go nigdy takim nie widziała.

Kiedy udaje mu się wreszcie otworzyć usta, zaczyna krzyczeć: - Nicky jest poza domem. Nie myśl, że ci powiem, gdzie! Nie chcę, żeby cię w ogóle widywał.

Jesteś zwykłą dziwką! Wstyd mi,
że cię nazywałem swoją żoną! Nie
chcę, żebyś mu się pokazywała na
oczy!

- Mój Boże, przepraszam,
będzie lepiej, jak stąd odejdę.
- Nie wiadomo dlaczego
przytrzymując kapelusz, jakby
huraganowy atak wściekłości
Milesa miał jej go zerwać z
głowy, Nell stara się
prześliznąć chyłkiem w kierunku
drzwi, musi się jednak
zatrzymać, gdyż barykaduje je
stojący w przejściu Miles.
Zupełnie nieoczekiwanie w tym
krytycznym momencie życia,
Laurze przypomina się scena z
jej lektur, kiedy ubrani na
czarno członkowie rady
parafialnej zabraniają
grzesznikom wstępu do kościoła.
- A ty - Miles kieruje
oskarżycielsko palec na Nell -

jesteś najgorsza z najgorszych,
bo urągasz przyzwoitości, nie
mając po temu żadnej innej
przyczyny prócz chęci używania
życia!

TEn nagły przeskok na osobę
Nell trafia w próżnię, gdyż
wywołuje w niej tylko gwałtowny
wybuch jakiegoś dziwnego
prychania, po którym dosłownie
odpycha Milesa i zbiega ze
schodów. Dopiero, kiedy się
nieco oddaliła, Laura orientuje
się, że to nie wybuch śmiechu,
lecz płaczu.

Rozlega się trzask zamykanych
drzwi frontowych, po czym
następuje cisza. Laura, nadal
odsuwając od siebie konieczność
poważnego zastanowienia się nad

sytuacją, zaczyna się czuć
nieswojo wobec uporczywie
sztywnej postawy Milesa.
Przekonywającym, niemal
towarzyskim tonem odważa się
zapropionować: - Dlaczego nie
mielibyśmy zejść na dół i
podyskutować? - W trakcie
mówienia spostrzega, że drży
konwulsyjnie na całym ciele.
Szybko siada na łóżku.

Jej słowa musiały jednak
dotrzeć do świadomości Milesa,
robi bowiem krok w jej kierunku,
po czym ciągle tym samym
napiętym, ostrym tonem sędziego
oświadcza: - Nie. Nie mamy o
czym dyskutować. Nie ma z kim i
nie ma o czym! - Powiedziawszy
to, z trudem trafia do drzwi i
schodzi ze schodów. Rozlega się
jeszcze jedno trzaśnięcie drzwi
frontowych.

Laura jest w głębokim szoku,
nie może płakać, siedzi tak, jak
ją zostawiono, sama na nie
zaścielonym do końca łóżku.

XVI

Laura wyolbrzymia doznana od
Milesa dotkliwą zniewagę. Nie
uspokaja jej reakcja Martina: -
Biedaczysko, tak stanąć twarzą w

twarz z wami dwiema nad brudną
pościelą. Nic dziwnego, że się
wściekł. - Incydent ten stał się
ostateczną przeszkodą
uniemożliwiającą jej powrót.
Uświadomił jej, że aż do tej
chwili uważała pokorne
przyznanie się do winy i
pojednanie z Milesem za sprawę

otwartą.

Laura zawsze uważała
umiejętność przebaczenia za
jedną z naczelnych cnót dobrego
chrześcijanina. Nie mogła
zrozumieć ludzi, którzy byli
zdania, że Kościół jest zbyt
nieprzejednany w stosowaniu
zasady chwaleń sprawiedliwych
i potępienia grzeszników.
Ostatecznie doszła do wniosku,
że czarna gwardia kościelna z
wycelowanym w nią
oskarżycielskim palcem nie
pozwoli jej nigdy na
przestąpienie progu świątyni.

Dzwoni Nell, żeby przeprosić
za swoje zachowanie. - Uważałam,
że będzie lepiej, jeśli wyjdę,
zwłaszcza że wiem, jakie ma o
mnie zdanie, ale kiedy wskazując
na mnie powiedział to na głos,
wszystko wydało mi się nagle po
prostu straszne. Mam oczywiście
na myśli własne życie. Dlatego
tak płakałam.

Wyjaśnia to Laurze dokładnie,
opowiadając, jak to jej młodzian
ze złotym kolczykiem,
wynajmujący domki kempingowe,
nalega, aby się wybrali na
dłuższy pobyt do Tunezji,
podczas gdy jej były mąż chce,
żeby wzięła do siebie chłopców
na resztę wakacji; natomiast
bogaty wielbiciel zaprasza ją z
chłopcami do swojej daczki, jeśli
ma na to ochotę, ale to takie
nudne, a tymczasem dostała
ogromne zamówienie na swoją
ceramikę. Gdyby się tylko czuła
na siłach podołać temu
zamówieniu!

Laura siedząc przy swoim
biurku, gdyż podjęła już pracę,
nie słucha zbyt uważnie, ale

zdobywa się na gratulacje z powodu zamówienia. Praca, tak, prawdopodobnie praca jest odpowiedzią na wszystkie problemy. Mężczyźni zawsze z niej czerpali swą siłę.

- Gdyby mi tylko na tym tak naprawdę zależało - wzdycha Nell. - Szczerze zależało. Nie żebym się tylko czuła bezmyślnie dumna czy zadowolona, że zarobiłam dużo pieniędzy.

- To dlatego, że masz takie wysokie alimenty i nie potrzebujesz dodatkowych pieniędzy.

Z piersi Nell znowu dobywa się westchnienie. - Nie jest to styl życia, do jakiego jestem przyzwyczajona. Mówię o stopie, na jakiej żyłam do czasu rozvodu. Teraz Peter... - przynajmniej raz sama przerywa swój potok słów, nie ma widocznie ochoty mówić o swym bogatym wielbicielu. Wraca do spraw Laury. - Tobie to dobrze. Jesteś taka zdecydowana. Czy jako mężatka, kiedy jesteś najprawdziwszą mężatką ze wszystkich, czy jako całkowicie niezależna partnerka w wolnym związku z mężczyzną, o którym tylko marzyć można, a który jest w tobie bez pamięci zakochany. Nigdy się w nic nie zapłaczesz tak jak większość z nas.

To, co Nell mówi, tak bardzo nie ma związku z rzeczywistością, że Laura nie widzi sensu w kontynuowaniu tej rozmowy. Czy to możliwe, żeby Nell nie zdawała sobie sprawy, iż odchodząc od Milesa Laura także należy do tej większości?

Odkłada słuchawkę. Nagle, kierując się impulsem, szybko jeszcze raz ją podnosi i wykręca

numer Katie.

Od kiedy nie znalazła Nicka w domu, była zupełnie pewna, że jest u Katie i Johna. Nawet przy swojej dezaprobie dla stylu życia jej brata i bałaganiarstwa Katie Miles niewątpliwie zdawał

sobie sprawę, że u nich Nicky może się czuć najszcześliwszy. Z drugiej strony, jeśli go tam nie ma, będzie to dla niej prawdziwe nieszczęście, zupełnie bowiem nie umie sobie wyobrazić, gdzie go wobec tego szukać. Na dodatek przeraża ją perspektywa rozmowy z Johnem i Katie.

Telefon dzwoni długo. Oczyma wyobraźni Laura widzi, jak Katie uspokaja jedno dziecko, krzyczy na drugie i zsuwa z kuchni ronderek. Mimo wszystko sygnał brzmi bardzo długo. Kiedy już ma położyć słuchawkę, ktoś odbiera telefon.

- Halo - odzywa się dziecięcy głosik. Laura cała roztapia się w tęsknocie. Szepcze: - Nicky.

Głos pyta głośniej: - Halo, kto mówi? Mamusia jest w ogrodzie. Mówi Maddy.

Laura przytomnieje. Uświadamia sobie, że trafia się jej cudowna okazja. - Czy jest Nicky?

- Jest. Gdzieś tu jest. Ale nie wiem, gdzie. - Maddy ma już dość rozmowy, pyta bezceremonialnie: - Czy mam go poszukać?

- Nie, nie trzeba. - Jeszcze nie jest psychicznie przygotowana, byłoby to dla niej zbyt szokiem. Na razie to jej wystarcza. Jest u Katie, bezpieczny i szczęśliwy.

- Jak się Nicky czuje?
- Słucham? - Maddy nie może sobie poradzić z tym pytaniem. - Może pani chce porozmawiać z mamusią? Zdaje się, że już idzie.

- Nie, dziękuję. - Laura, spłoszona, znowu szybko się wycofuje. Jeszcze nie dojrzała do tej rozmowy. - Zadzwoń później. Dziękuję ci.

- Dobrze. Do widzenia. - Dziewczynka nawet nie zapytała, kto dzwoni.

Laura siedzi wpatrzona w aparat telefoniczny, uśmiecha się. Nocne koszmary odpłynęły na koniec świata. Nicky jest

zdrowy. W normalnym wesołym otoczeniu, do którego jest przyzwyczajony. Jeszcze jeden z bandy dzieciaków. Maddy powiedziałaby coś, jeśli byłyby jakieś kłopoty. Laura ma ochotę tańczyć po pokoju z radości i ulgi. Dzwoni do Martina.

- Nicky jest u Katie. Dobrze się czuje.

- Wobec tego polecisz chyba do Nowego Jorku? Ostatecznie to tylko kilka dni.

Ciągle na fali optymizmu, Laura się godzi. Później dziwi ją własna decyzja, kiedy spotkawszy się z Benem Caseyem słyszy od niego cierpką uwagę: - Zdawało mi się, że postanowiłaś zrobić w swoim zawodzie karierę, w ścisłym znaczeniu tego słowa.

- Owszem, mam takie zamiary - odpowiada niecierpliwie.

Istotnie, po powrocie nie powiedziała o rozstaniu z MIllesem, była przekonana, że się

o tym dowiedział, i dla zachowania jego szacunku uważała za bardzo ważne podkreślenie, że jest kobietą silną, o zdecydowanych ambicjach zawodowych.

Obecnie zmieniło się jej nastawienie. Wie, gdzie jest jej syn, wie, że jest zdrowy i cały. Leci do Nowego Jorku ze swym uwielbianym i uwielbiającym kochankiem.

- To tylko kwestia kilku dni. A nawet, kto wie, może mi się uda zwerbować klientów i zebrać trochę pieniędzy dla naszej akcji ochrony starej wiejskiej kultury. Festyny organizowane na farmach są o wiele atrakcyjniejsze niż samo oglądanie stodół i traktorów.

Pomysł wykorzystania pobytu w Nowym Jorku do agitacji różnych ludzi dla jej nowego planu całkiem opanowuje wyobraźnię Laury. Martin z rozbawieniem obserwuje, jak zbiera listy polecające do bogaczy dobrze usposobionych do Anglii i do

ochrony wiejskich zabytków. - Ktoś może na przykład kupić gołębnik - z ożywieniem tłumaczy mu przy jakimś nazwisku. - Jak dobrze zapłaci, możemy mu nawet wymalować na nim jego inicjały. Tylko pomyśl, mieć na własność osiemnastowieczny gołębnik.

Z początku z trudem zdobywała się na telefon do kogoś znajomego, bojąc się wyjawienia prawdy, tej chwili, kiedy padnie pytanie: - A co słyhać u pani znakomitego małżonka? - Odpowiedziałyby wtedy, właśnie,

co odpowiedziałyby? Ale okazuje się, że nikt jej nie zadaje takich pytań i podając swój biurowy numer telefonu, czuje się niezależną panią siebie.

Martin mówi: - Mając własne plany, będziesz się tym razem lepiej czuła w Nowym Jorku. - Laura błyskawicznie zdaje sobie sprawę z przenikliwości tej uwagi, podświadomie broni się przed wspomnieniem ich ostatniej wizyty. Poprzednio była tam nikim, ani żoną, ani oficjalną przyjaciółką, ani kobietą czynną zawodowo. Tym razem nie będzie mogła rozkosznie wylegiwać się w łóżku i jak dziewczyna z haremu obserwować ubierającego się Martina, a potem czekać bezczynnie, kiedy ją zabierze na lunch czy kolację. Wskoczy z łóżka wcześniej od niego, wywijając kartkę z listą ludzi bogatych i znanych.

To wyobrażenie o sobie w nowym wcieleniu kobiety przedsiębiorczej nie odstępuje Laury aż do wylądowania w Nowym Jorku. Nad miastem nieruchomo stoi sierpniowy upał. Kiedy ich taksówka przecinając East River pędzi na zachód w kierunku Drugiej i Trzeciej Alei, Laura na próżno starając się wpuścić przez okno choć trochę powietrza uznaje, że ulice przypominają akwarium z leniwie poruszającymi się w nim rybkami.

- Duża dziś wilgotność powietrza - mówi Martin, ocierając chustką twarz i rękę.

- Jak oni to wytrzymują?

- Jak my wytrzymamy?

Ulegając prośbie Laury, Martin zamówił pokój w innym hotelu. Jest to niewielki, położony w centrum hotel z wystrojem wnętrza określanym tu jako angielski. Oznacza to, że ściany obite są perkalem. Wśród kłębowiska różowych i pomarańczowych róż Laurze udaje się wytropić klimatyzator.

- Ach - rozkoszuje się, unosząc spódnicę nad strumieniem chłodnego powietrza. - Znalazłam źródło życia.

Martin śmieje się. - Sądziłem, że nie ma upału, który by ciebie wreszcie zadowolił.

- Plaża to całkiem co innego. Co ludzie tutaj noszą?

- Zwyczajne rzeczy. Bluzki, spódnice, spodnie. - Podchodzi do niej i zaczyna ją rozbierać.

- A także robią to co zwykle. - Przyciąga ją w stronę łóżka. - I w taki sam sposób.

Potem, kiedy leżą razem w półmroku, który może być równie dobrze świtem, jak zmierzchem, Laurze przychodzi na myśl, że główną dla niej trudnością w zachowaniu niezależności jest fizyczne uzależnienie się od Martina. Zastanawia się, czy dotyczy to także mężczyzn. I czy jest to problem wszystkich kobiet.

Wstaje i na drżących nogach podchodzi do okna. Jest zmrok, przylecieli w sam upał, w południe.

Zapala światło i sprawdza, czy ma w torebce notes z nowojorskimi adresami. Jutro rano nie będą się kochać, pewnym siebie krokiem śmiało wyjdzie z hotelu. Łatwiej może to sobie wyobrazić, kiedy w pokoju jest tak chłodno.

Martin porusza się

niespokojnie i nagle, swoim

zwyczajem, szybkim ruchem siada na łóżku. Laura biegnie do niego w tej samej chwili. Gdzieś w pamięci kołaczą się takie zwroty jak "praktyczne postanowienie". Czy dlatego właśnie tak go kocha? Staje z jego strony łóżka. Martin patrzy na zegarek.

- Najwyższy czas, żeby się ubierać. Jesteśmy umówieni na kolację. - Wstaje i włącza telewizor. Pokój napęlnia się gadającymi twarzami w nienaturalnym technicolorze.

- Mógłbym mieszkać w Ameryce, gdyby nie ich fatalna telewizja.

- W Anglii też nie często oglądasz telewizję.

- Bo mam ciebie. Za to gazety są tu na bardzo dobrym poziomie. Lepsze niż w Anglii.

Martin, nagi, kuca przed telewizorem. Laura patrzy z przyjemnością na jego proste plecy i muskularne uda. - Gdzie mamy tę kolację, jeśli mogę wiedzieć?

- Naturalnie, że możesz. U jednego z moich przyjaciół, ma mieszkanie na dachu wieżowca. Związał się z nową dziewczyną i chce, żebym się jej przyjrzał. - Podchodzi do Laury, daje jej całusa i idzie pod prysznic.

Czekając na swoją kolej Laura wieszka na ramiączku sukienkę i stwierdza, że nigdy dotąd jej życie nie było takie bogate. Wyobraźnia podsuwa jej obraz Nicka leżącego w łóżeczku. Przez chwilę ból rozstania jest tak nieznośny, że zgiąwszy się wpół przytula twarz do miękkich

fałdów sukni. Niebawem
przychodzi do siebie.

Mieszkanie na dachu wieżowca
wychodzi na rzekę Hudson. Nie
jest duże, ale może się
poszczycić ogromnym balkonem.
Przyjaciel Martina, Eddy, nakrył
do stołu na powietrzu, pod
eleganckim parasolem w prążki.
Siedzą popijając białe wino i
podziwiając widok. Po jednej
stronie mają rzekę z oświetlonym

żółtymi latarniami mostem, po
drugiej miasto mieniące się
światłami wieżowców.

Martin mówi niewiele.
Przyjaciółka Eddy.ego jest, co
tu ukrywać, trochę zbyt mocno
zbudowana, twarz ma tępą, bladą,
włosy żółte. Mówi równie mało
jak Martin. Przy tym wszystkim
ma pełen wdzięku sposób bycia i
uprzejmie uśmiecha się,
częstując ich oliwkami i
paluszkami z sera domowej
roboty. Nazywa się Ellen. Laura
potrafi zrozumieć, że w tak
niesłychanym mieście jak Nowy
Jork można ją sobie wyobrazić
jako ostoję poczciwości i
spokoju. Możliwe też, że jej
uroda jasnej blondynki kojarzy
się z ideałem piękności dawnej
Ameryki. Eddy, który także jest
masywny, włosy ma ciemne i
ruchy szybkie i nerwowe, jak
gdyby był ciągle podniecony.
Jest starszy od Martina, może
mieć czterdzieści, może nawet
pięćdziesiąt lat; mimo wszystko
Laura jest zaskoczona, kiedy
nagle mówi coś o swojej trzeciej
żonie. Sądzi, że to żarty, ale
nie, jest to prawda.

- Moja mama uważa, że Eddy jest Sinobrodym - mówi Ellen. - Ale ja zapewniam ją, że to romantyk.

- Albo głupiec - śmieje się Eddy. - Dopiero Martin równoważy sytuację. W ogóle się nie żeni.

Laura pragnie, żeby ta szczególna rozmowa wreszcie się skończyła. Tym, co ją wyjątkowo denerwuje, jest brak uczuciowego zaangażowania i poufały ton, w jakim jest prowadzona.

- No, więc. Ja mam za sobą trzy małżeństwa. Teraz zanosi się na czwarte - tu ciepłe spojrzenie na Ellen. - Ellen ma jedno, przed nią drugie. - Dostaje mu się za to zadowolony uśmiech. - Martin, wiadomo... a Laura... Ile razy do tej pory wyplątywałaś się z krępujących więzów?

Laura ze skupionym i sztucznym wyrazem twarzy utkwiała wzrok w talerzyku. Ciekawe, czy Martin podziela taki stosunek do małżeństwa? Czy to możliwe, żeby się nie domyślał, jak bardzo wszystko to jest dla niej wstrętne? - Raz - odpowiada na pytanie, podnosząc oczy na granatowe niebo. Jest zamglone od upału, ale mimo to widać przecinające je ostrą kreską migotliwe czerwone światelko. Laura próbuje sobie wyobrazić, jak by to było - siedzieć w mknącym samolocie i móc spoglądać w dół na tę scenę pod prążkowanym parasolem. Jak osądziłaby ich rozmowę taka Bogu podobna osoba? Przenosząc wzrok niżej, zatrzymuje go na

złocistym sznurze świateł
zaznaczającym linię mostu.

Przysięga w duchu, że jeżeli
Martin zrobi jakąś głupią uwagę
na temat małżeństwa, rzuci się z
tego niezbyt bezpiecznego
balkonu i nawet nie chwyci
kolorowego parasola, żeby jej
zastąpił spadochron...

Uśmiechając się do swych
niemądrych myśli, pije następny
łyk wina. Martin nie mówi ani
słowa.

Temat rozmowy się zmienia.
Schodzi na politykę władz
miejskich NOwego Jorku, w której
Martin jest zadziwiająco
zorientowany, ale Laura nie ma o
niej pojęcia. Wtrąca jakąś uwagę
tylko raz, kiedy pada nazwisko
jednego z przygotowanej przez
nią listy bogatych i sławnych.
Stwarza jej to okazję do
wyjaśnienia powodów, dla których
się znalazła w Nowym Jorku, i
jednocześnie zaprezentowania się
jako ktoś poważnie zaangażowany
w pracę zawodową. Daje jej to
pewną satysfakcję do chwili,
kiedy spostrzegłszy, że Eddy
uważnie na nią patrzy, zdaje
sobie sprawę, że zostali tu
zaproszeni nie tylko po to, by
Martin przyjrzał się Ellen, ale

także, by Eddy zobaczył ją.

Znowu popada w milczenie.
Jeszcze raz przygląda się niebu,
rzece, nawet obraca się, chcąc
popatrzeć na wieżowce, i
stwierdza na koniec, że przy
takim widoku wiele przemawia za
tym, by milczeć. Poczowała nawet
większą sympatię do Ellen, która
chociaż przed chwilą ujawniła,

że jest nauczycielką, nadal zachowuje się biernie.

Tylko mężczyźni dyskutują zawzięcie, przechodząc z polityki na interesy. Eddy jest reporterem działu biznesu "New York Timesa". W pewnej chwili Ellen podnosi się. - Przyniosę kawę. - Laura idzie za nią.

W małej, oświetlonej neonową lampą kuchni Ellen natychmiast zaczyna rozmawiać, jak gdyby obecność mężczyzn, czy może ogromnej kopuły nieba, nastrajała ją przedtem tak milcząco. Zadaje mnóstwo pytań, jakich się każdy gość może spodziewać i które dotąd, co było dziwne, nie padły. Występuje z gotowością namówienia Eddy'ego do pomocy w nawiązaniu kontaktów z kilkoma bogatymi i znanymi finansistami. Pyta, czy Laura ma dzieci, i w tym obcym miejscu okazuje się, że nie czuje ona żadnych oporów w opisaniu Nicka jako chodzącej doskonałości.

- Widać, jak bardzo go kochasz
- mówi Ellen, starannie układając łyżeczki do kawy.

- Oczywiście! - wykrzykuje Laura zaskoczona. Dostrzega spojrzenie Ellen. Na jej policzki wypływa rumieniec gniewu. - Mieszka z rodziną mojego brata. Przepada za nimi - kończy tym samym dobitnym, twardym głosem.

Ellen oświadcza, że ma dwoje dzieci, ale chce mieć jeszcze jedno z Eddym i to jak najszybciej. Małżeństwo nie jest takie ważne, dojdzie do niego wcześniej czy później.

Wychodzą z kuchni na balkon.

Laura, która nie potrafi odgrodzić się od głęboko w niej tkwiących zapatrywań na kwestie winy i poczucia obowiązku, widzi, że Ellen ma inne, ale równie poważne zasady jak jej własne.

Ellen rozlewa kawę do filiżanek i okazuje się przy tej czynności, że jak na tak mocne ramiona ma nieoczekiwanie delikatne palce. Kiedy Laura podnosi swoją filiżankę, na sam środek czarnego krążka kawy spada maleńka kropla wody.

- Zaczyna padać - oznajmia głośno.

Deszcz bardziej przypomina maleńkie okruszki srebra aniżeli kropelki wody, jest to raczej skraplająca się podniebna mgielka. Rteć strącana z gwiazd, myśli Laura. Nie chcąc przenosić się do pokoju, przysuwają się z krzesłami bliżej parasola. Laura czuje ciężar przyciskającego się do niej uda Martina. Za chwilę jego dłoń zaciska się na jej własnej spoczywającej na stole. Uśmiecha się w nagrodę za tę publiczną manifestację jego praw do niej.

Siedzą gawędząc, delikatny deszczyk przez jakiś czas podzwania o parasol. Słowa, niemal tak lekkie jak jego krople, zlewają się dokoła Laury w jeden szum.

- Zdaje mi się, że usnęła.

- Według naszego czasu jest piąta rano. - Rozlega się śmiech. Laura się budzi.

W hotelu Martin pyta: - Co o niej sądzisz?

- Uważam, że jest miła.

- Może przy niej Eddy stanie się mniej nerwowy.

- Bardzo możliwe.

Wygląda na to, że będą mogli

się przyjaźnić całą czwórka.
KOńczy się ich sam na sam z
wielką miłością. Laura jest
raczej zadowolona z tej odmiany.
- Ellen powiedziała, że pomoże
mi rozszerzyć moją listę rekinów

finansjery.

Następnego rana lista staje
się rzeczywistością. Martin
wychodzi wcześniej, przy czym
wbrew postanowieniom Laury scena
się powtarza - energicznie
ubierający się mężczyzna,
wygodnie leżąca w łóżku kobieta.
Ma nudności. Jest jej niedobrze
i słabo. Myśl, że musi wyjść na
rozprażone upałem miasto, napawa
ją przerażeniem. W porównaniu z
tą perspektywą mniejszym złem
wydaje się konieczność
zatelefonowania do nieznanych
osób.

Łatwość, z jaką udaje jej się
ustalić terminy spotkań,
wprawia ją w zdumienie,
utwierdzając w przekonaniu o
odmienności tego świata od
starej, powolnej Anglii.
Satysfakcja z własnej sprawności
w rozmowach wyciąga ją z łóżka.
Ubiera się w gustowny kostium.
Dopiero kiedy jest gotowa,
wracają mdłości, przyprawiając
ją o zawrót głowy.

Podchodzi do okna i staje przy
dmuchającym chłodnym powietrzem
klimatyzatorze, spoglądając w
dół na ruchliwą ulicę. Jest już
prawie jedenasta, wszyscy którzy
pracują, zajęci są swoją robotą
w różnych biurach, widzi więc
tylko posłańców z brązowymi
papierowymi torbami uwijających

się między kawiarnią a urzędnikami, turystów albo takich śpiochów jak ona. Słaba i niewyspana z powodu zmiany czasu.

Równym krokiem, w zgrabnym, biało_czerwonym kostiumie Laura idzie chodnikiem Piątej Alei. Skręca do pięknego nowoczesnego budynku i po zasięgnięciu informacji u portiera wybiera windę, która ma ją dowieźć na trzydzieste ósme piętro. Jadąc w górę powtarza sobie wyuczoną na pamięć wstępną formułkę: "Lady Southey, z którą mnie łączy długoletnia przyjaźń (wszystko

to nieprawda), powiedziała mi, że interesuje się pan kulturalnym dziedzictwem angielskiej wsi, zarówno architekturą, jak rękodziełem..." Na niej samej ten występ wywiera pewne wrażenie. Kto wie, czy nie powinna spróbować swych sił na lepiej płatym, bardziej eksponowanym stanowisku. Musi naturalnie od razu podkreślić, że chodzi o akcję dobroczynną i względy jakichkolwiek korzyści materialnych dla stowarzyszenia, które reprezentuje, nie wchodzi w rachubę. "Zajmujemy się ochroną i konserwacją (czy jest między tymi pojęciami jakaś różnica?) zasługujących na to obiektów, działając z pobudek wyłącznie niematerialnych".

Winda zatrzymuje się. Laura wysiada, przechodzi przez szereg szklanych drzwi ze złożonymi literami napisów i podchodzi do wyświetzonej i

uśMiechniętej sekretarki. Szybko
rzuca okiem na trzymaną w ręku
karteczkę.

- Jestem umówiona z panem
Jamesem Hatfieldem III...

Laura i Martin spotykają się
ponownie w japońskiej
restauracji "Robato". Laura,
przyszedłszy pierwsza, siedzi w
półmroku i rozmyślając dochodzi
do wniosku, że na ułożenie sobie
planu działania chyba nie
wystarczą jej cztery dni. James
Hatfield III nie tylko przyrzekł
życzliwie odnieść się do jej
sprawy, ale poddał myśl, by
poznała jeszcze dwóch innych
"przyzwoitych ludzi" - pod
słowem "przyzwoitych" zrozumiała
poważnych i hojnych - i aby jej
to ułatwić, zaprosił ją na
weekend do Cape Cod. Wszystko
to stało się w ciągu piętnastu
minut. Idąc na lunch wstąpiła do
hotelu, gdzie zastała kilka
wiadomości, jedna z nich
potwierdzała jej spotkanie z

Arthurem Hellmanem, druga była
od Ellen, z jakimś nazwiskiem i
wskazówką, że się ma powołać na
Eddy'ego, trzecia od Jamesa
Hatfielda III, który, jak
sądziła, musiał dzwonić niemal
natychmiast po jej wyjściu z
biura. Kiedy odpowiadając na ten
telefon zadzwoniła do niego
jeszcze raz, sekretarka
powiedziała jej, że pan James
Hatfield wyszedł na lunch,
ale zostawił dwa polecenia.
Jedno z informacją, że widzi
możliwość wyasygnowania pewnej
kwoty dla Ligi Ochrony Kultury

Rolnej, drugie to prośba, żeby -
jeśli ma zamiar przylecieć do
Cape - powiedziała sekretarce,
na jaki samolot ma zrobić
rezerwację, gdyż o tej porze
roku samoloty są zazwyczaj
przepełnione, a jego prywatny
samolot jest chwilowo
unieruchomiony.

Wszystkie te myśli wirują w
głowie Laury, kiedy popijając
białe wino z wodą sodową, czeka.
Czeka, żeby je ofiarować
Martinowi. Wyobraża sobie, z
jaką je przyjmie dumą, a nawet
ulgą, że wyrwana ze swego
środowiska potrafi rozkwitnąć na
nowo. Przypomina sobie, co o
niej mówił opowiadając, jak się
w niej zakochał - "łagodna,
skupiona, piękna". Taka sama
będzie teraz, gdy ustanie ten
nieopisany zamęt w myślach,
który był jej zmorą od chwili,
kiedy utraciła Nicka i
ostatecznie opuściła Milesa.

Przychodzi Martin. Jest bardzo
zgrzany. Czoło ma mokre od potu.
Kiedy ją całuje, Laura czuje
kropelki potu na jego górnej
wardze.

- Boże! - mówi. - Co
za koszmar. Muszę się czegoś
napić. Do Brooklynu i z powrotem
w taki dzień. Wolałbym
przepląnąć Atlantyck.

- Biedactwo - Laura śmieje się
ze współczuciem, próbując nie
zdradzać się na razie z tym, że

jej jest chłodno i roznosi ją
satisfakcja. Niech on najpierw
zaspokoi pragnienie.

- Ale przynajmniej nie muszę
jeszcze raz iść po południu.

Przepraszam cię za spóźnienie,
ale tak się złożyło. Dwie
godziny zajęło mi znalezienie
kogoś, kto zrozumiałby chociaż
słowo z tego, co mówię.

- Ależ to głupstwo. Nigdy nie
czułam się szczęśliwsza.

Trochę dochodząc już do siebie
Martin spogląda na Laurę i śmieje
się. - Rzeczywiście. Widzę to.
Piękna Laura. Zawsze taka
piękna. Zasnęłaś po moim wyjściu?

Laura jest zaskoczona. - Nie.
Ja...

Zjawiają się napoje. - Duża
whisky z wodą sodową. - Martin
pije przechyliwszy do tyłu
głowę. - Z autorytatywnego
źródła dowiedziałem się, że jest
to jedyny znany środek na wilgoć
nizin południowych Indii. -
Laurze przemyka przez głowę
nielojalna myśl, o ile lepiej
ona sama znosi wysokie
temperatury.

- Wyobraź sobie, że miałam
bardzo pracowite przedpołudnie -
zaczyna skromnie.

- Ten pan Hatfield - widzi, że
Martin bierze do rąk menu - kto
wie, czy nie sypnie pieniędzmi.

- To wspaniale. Natychmiast
poprosiłbym, żeby wypisał czek.
Co będziesz jadła?

- Wybierz sam. - Zastanawia
się, skąd się bierze ta jego
obojętność, i dochodzi do
wniosku, że to wina upału i jego
niezbyt dobrego przedpołudnia.

- Załatwiłeś coś dzisiaj rano?

- Wszystko. Wszystko omówione
do końca. Żadnych zobowiązań z
mojej strony. Naturalnie zawsze
są jakieś problemy. Nie ma nic
za darmo. - Przez cały czas
lustruje wzrokiem kartę,
najwidoczniej nie ma ochoty
rozmawiać na ten temat.

- Pan Hatfield zaprosił także
nas do Cape Cod. - Zawahała się

przez chwilę mówiąc "nas", ale powiedziała to ostatecznie zdecydowanym tonem. Odnosi wrażenie, iż w Nowym Jorku z góry zakłada się, iż każda kobieta ma partnera.

TA wiadomość bardziej zainteresowała Martina. - Co? JUż propozycja?

- Nic podobnego. Nie o to chodzi. To starszy pan.

- Oni zawsze są starzy. Nabrałaś ochoty?

- Ależ skąd. O czym ty właściwie mówisz?

- NO cóż, nie jesteś już solidną mężatką. Nie krępują cię żadne więzy. Słońce, morze, eleganckie towarzystwo...

- Miałam dosyć słońca i morza.

- Mimo pewnego tonu, jakim to mówi, Laura czuje się oszołomiona. Więc on tak na nią patrzy? Nie krępują jej żadne więzy. Czy do tego się sprowadza wszystko, co się stało?

Przypomina sobie, że w podświadomości chyba podobnie oceniała swoją sytuację, kiedy podchodziła do zadbanej, uśmiechniętej sekretarki. - TAK czy owak przyjechałam tu załatwić konkretną sprawę.

- Naprawdę? - Dopiero teraz Martin wydaje się zaskoczony. W tym momencie podchodzi kelner i Martin zamawia wybrane potrawy, co daje Laurze czas na chwilę zastanowienia. Jednak nie ciągnie rozważań przerwanych nadejściem kelenra.

- Po południu mam następne spotkanie.

- Hm. - Martin zabiera się do

drugiej szklanki whisky. -
Winszuję. Ja mam popołudnie
wolne.

Laura jest do głębi zdumiona.
Dopiero teraz zrozumiała, że jej
praca nie daje Martinowi ani
satisfakcji, ani zadowolenia,
jakich się spodziewała. Wygląda
nawet, jak gdyby był zazdrosny.
Tak ją ta myśl śmieszy, że
miałaby ochotę z niego

pożartować. Zamiast tego ze
skrucą zaczyna się
usprawiedliwiać.

- Mogłabym to spotkanie
odwołać.

- Nie rób tego. I tak
chciałbym się jeszcze z kimś
zobaczyć. Z tamtą kierowniczką
produkcji Nbc. Ciągle jest
niezdecydowana, czy chce, żebym
był jej konsultantem. Jeśli się
z nią spotkam po południu,
moglibyśmy wrócić do Londynu
wcześniej.

- Wyjechać z Nowego Jorku?

- Oczywiście. Przypuszczam, że
nie masz ochoty siedzieć w tym
piekle? Chyba że Cape Cod jest
zbyt wielką pokusą... - Wybucho
śmiechem.

Laura zdobywa się na uśmiech.

Jednak po lunchu Martin wcale
nie próbuje powstrzymać Laury od
spotkania z ważnym rekinem
finansjery, który ma z okien
biura cały Manhattan jak na
dłoni. Wydaje się nawet, że ją
do tego spotkania lekko zachęca
tłumacząc, jak się najlepiej tam
dostać.

Wkrótce Laura pojmuję, że więcej
zdziałałaby w swojej sprawie w
Cape Cod, Southampton, czy na

modnej wyspie Martha's Vineyard, gdzie milionerzy uciekają przed letnim skwarem. Nie mówi tego jednak Martinowi, obiecując sobie, że może jej się to uda w następnym roku.

Tak przyzwyczała się żyć chwilą bieżącą, że każda myśl o przyszłości budzi w niej przerażenie. Planować coś na przyszłość to jakby grzeszyć z całą premedytacją. Kiedy po trzech dniach Martin oświadcza:
- Udało mi się zmienić rezerwację i możemy lecieć jutro rano - zgadza się bez jednego słowa. Nie znaczy to, że rozstaje się z wizerunkiem siebie w nowej postaci - pracującej zawodowo kobiety w biało_czerwonym kostiumie załatwiającej sprawy swego biura.

- Sądzę, że to wina pogody - mówi, kiedy niebywale wcześnie rano jadą z hotelu na lotnisko Kennedy'ego. - Ale nie udawało mi się tutaj przewyciężyć dziwnej ociężałości. A już w każdym razie nigdy z rana.

- Zanoszą się na zmianę. - Martin jak zwykle rozkłada nieodłączną angielską gazetę. - Na południu mgła i deszcze. Zderzenie frontów atmosferycznych, pisze synoptyk Roy Hidegeley.

- Trudno w to uwierzyć - mówi Laura patrząc przez tylną szybę taksówki. Za nimi wieżowce i wieże pozostającego coraz bardziej w tyle Manhattanu już spowija złocista mgiełka nadchodzącego upału.

To samo przychodzi jej na

myśl, kiedy samolot wznosi się wprost w przejrzyste niebieskie niebo. Jak łatwo zamienić każdą chwilę w doskonałość, zastanawia się w duchu.

Podróż do domu zawsze wydaje się krótsza. Ale ten lot trwa jeszcze krócej niż zazwyczaj. Pilot, Amerykanin, gdyż linia należy do Trans World Airlines, zawiadamia, że wobec złych warunków atmosferycznych na lotnisku Heathrow w Londynie zmuszony jest lądować w Shannon.

- Gdzie to jest? - pyta bardzo spokojnie w tych okolicznościach, jak ocenia Laura, siedząca po jej lewej stronie Amerykanka.

- W Irlandii.

- Irlandia, Irlandia? - W głosie pojawia się niedowierzanie. - IRA. Irlandia.

- Niestety tak - odpowiada Laura i dostrzegłszy przerażoną twarz sąsiadki dodaje: - Nie ma jednak żadnego niebezpieczeństwa.

- Cóż, ale to niestety nie Londyn. - Martin rozdrażniony patrzy przez okno na ciągle jeszcze błękitne niebo. Ale kiedy to mówi, samolot już podchodzi do lądowania i

wytracając szybkość przedziera się przez coraz gęstsze zwały chmur. Wydostają się z nich lecąc teraz przez zacinający przejrzystymi kroplami deszcz. Pod nimi morze, ujście rzeki Shannon i w niedużej odległości od nadbrzeżnej trzciny niewielkie lotnisko.

- Przylecieliśmy donikąd - komentuje ponuro Martin.

Laura, która zawsze miała szczególny sentyment do Irlandii, stara się dostrzec pozytywne strony zaistniałej sytuacji. Przelot przez szarość chmur jak gdyby rozładował jej uzależnienie od czasu, które tak wyraźnie odczuwała w Nowym Jorku. W tym rozlewisku rzeki, w podmokłych zielonych łąkach czeka na nią szansa. Z wyjątkowo pustego lotniska autobus przewozi ich do jeszcze bardziej opustoszałego hotelu. Dopiero tam im mówią, że odlot nastąpi najwcześniej następnego dnia rano. Laura natychmiast odgaduje, co podpowiadała jej podświadomość.

- Musimy pojechać do Roya i spędzić tę noc u niego!

Martin z uśmiechem przyjmuje jej stanowczą decyzję, ale oświadcza chłodnym tonem:

- Jutro rano mam umówione spotkanie.

Dostają pokój. Jest okropnie zimny, do tego ściany ma obwieszane akwarelami przedstawiającymi wilgotne szare zamczyska. Deszcz bije zaciekle o szyby. Laura siada na łóżku nakrytym cienkim kocem i patrzy na telefon.

- Może przynajmniej do niego zadzwonię.

Martin siada obok niej. Obejmuje ją w pół.

Roy jest nadzwyczaj uradowany słysząc głos Laury. Według lokalnego czasu jest siódma trzydzieści wieczorem. Odkorkuje butelkę, wsunie do pieca barani udziec, wykopie kilka kartofli.

Będą mieli ucztę, przy której zapomną o wszystkich przykrych chwilach.

Ostatnie słowa Roya zaskakują Laurę, ale zaraz niechętnie, z nerwowym wstrząsem przypomina sobie ich ostatnie spotkanie w rybnej restauracji w Soho, gdy razem z Katie próbował wpłynąć na nią, by zerwała z Martinem.

Uświadamia sobie dopiero teraz, że nie wspomniała, iż jest w podróży razem z Martinem.

- Oczywiście jest ze mną Martin
- oznajmia chłodnym tonem.

Chwila ciszy, po której jeszcze serdeczniej niż poprzednio Roy odpowiada: -
Łóżek u mnie nie brakuje. -
Następna pauza, spowodowana zapewne nagłym uświadomieniem sobie, że zabrzmiało to jak aluzja. - Kartofli też mam pod dostatkiem.

Laura wybucha śmiechem. - Ależ to tylko jedna krótka noc. -
Uderza ją moralna czystość Roya. Nie ma wielu mężczyzn, którzy w wieku czterdziestu lat potrafią się zmieszać na wzmiankę o łóżku. W tym momencie przychodzi jej na myśl, jakie to dziwne, że nie uzmysłowiła sobie wcześniej, czego od niego żąda. Sama nie wie, czy ma się w tym dopatrywać rezultatu nowych, oderwanych od rzeczywistości standardów, według których żyje, czy może właśnie z całą premedytacją chciała Roya zaszokować. Zapomniała, że jeszcze kilka miesięcy temu zachowałyby się dokładnie tak samo jak on.

Kiedy wreszcie jadąc wynajętym samochodem, w deszczu, pokonują kręte drogi i podjeżdżają pod dom Roya, niezwykłość sytuacji znika w kojącej atmosferze ciepła i pojednania.

Roy naturalnie rozprawia jak

zwykle. Deszcz, który dla Laury i Martina jest tylko irytujący, dla niego jest katastrofą. Przed dwoma dniami zaczął zwozić zboże. Teraz wynajęty za ogromne

pieniądze na czas żniw kombajn stoi bezużyteczny, ustawione na polu snopy jak gąbka nasiąkają wodą, a zboże jeszcze nie zżęte zupełnie się pokładło. -
Niebiosy mi was zsyłają, gdyby nie wy, popełniłbym samobójstwo albo postradał zmysły. - Jego oczy zza okularów z nieodmiennie zbitym szkłem przenoszą się na chwilę z Laury na Martina. -
Komputery nie mają takich problemów, co?

- Mają za to inne. - Nareszcie Roy i Martin zwracają się do siebie bezpośrednio. Laura, zupełnie wyczerpana, zostawia ich samych i idzie na górę położyć się. Ponieważ Roy nie wspomniał w rozmowie, gdzie kto śpi, Laura wybiera pokój z podwójnym łóżkiem, nie wątpiąc, że Martin ją tam znajdzie.

Następną świadomą myślą jest ta, że ktoś nią brutalnie potrząsa.

- Musimy wstawać.

- Nie czuję się dobrze.

Potrząsanie ustaje.

- Sądzę, że powinnaś tu zostać.

- Co mówisz?

- Żebyś została u Roya. Będzie zachwycony.

- Została? - Laura próbuje zrozumieć, ale trudno jej zebrać myśli. - Czy chodzi ci o ten deszcz?

- O deszcz także. Chociaż Roy twierdzi, że do wieczora się

rozjaśni. Przez całą noc
sprawdzał igłę barometru.

- Lubię Roya.

- Powinnaś była wyjść za niego
za męż.

- Co takiego?

- Jesteście zupełnie do siebie
podobni. Jeśli się nie
decydujesz zostać, musisz
wstawać.

- Nie bądź taki okrutny.

Zostaje.

Około jedenastej wkłada
szlafrok i schodzi poszukać
czegoś na śniadanie. Na dole Roy
przygotowuje sobie kawę.

- Przestał! - Wita ją
okrzykiem, chwytając ją za to
samo ramię, które szarpał nieco
wcześniej Martin.

- Co? Ach, deszcz.

- Tak, tak. Ustał zupełnie.

Może nawet pokaże się słońce.

- Bardzo się cieszę. Chyba nie
przeszkadza ci to, że zostałam.

- Nic podobnego. - Roy może
teraz myśleć wyłącznie o
pogodzie. - Przyniosłaś z sobą
słońce. - Z niecierpliwością
wygląda przez okno.

Bardzo już wygłodniała, Laura
z taką samą niecierpliwością
rozgląda się za jedzeniem. Roy
odwraca się od okna. - Razowiec.
Gdzieś powinien być kawałek
razowca. Chociaż boję się, że
jest okropnie czerstwy. Pani
O'Dwyer nie pojawia się
wcześniej niż w południe i w
ogóle niewiele może zrobić, taka
jest przygnębiona. Już dziesiąty
raz jest w ciąży, naprawdę
biedna kobieta. Jeśli zwilżysz
wodą ten kawałek i na chwilę

włóżysz go do piecyka, będzie całkiem niezły. - Mówi coś jeszcze, ale Laura nie słucha. Nie bierze także zaofiarowanego jej kawałka szarej cętkowanej skały.

Siada na krześle. W chwili, kiedy Roy z beztronską życzliwością powiedział "w ciąży", wiedziała od razu bez cienia wątpliwości. Mimo stosowania najnowszych środków antykoncepcyjnych będzie miała dziecko.

XVII

Laura ubiera się w pokoju, w którym spała. Ściany pomalowano w nim farbą w żywym niebieskim odcieniu, jak gdyby w nadziei, że ich kolor siłą magii przywoła błękit nieba. Na dole niecierpliwie czeka na nią Roy. Laura słyszy, jak w swoich wielkich gumowcach przemierza

hall tam i z powrotem. Co jakiś czas dochodzi ją energiczne stukanie, w którym łatwo się domyślić jego ataku na barometr.

Przypominając sobie uwagę Martina, że Roy byłby dla niej odpowiednim mężem, Laura zastanawia się, jak wyglądałoby ich małżeństwo. Był z gruntu dobrym człowiekiem, który w swoim postępowaniu kierował się raczej zasadami niż instynktem. Nie często spotyka się takich ludzi. Doprowadziło to do pewnej jego izolacji i uczyniło go nieszczęśliwym. Ciekawe, co by pomyślał, gdyby wiedział, że

jest w ciąży.

- Dobrze się zastanowiłaś?

Masz ochotę ze mną wyjść?

- Ależ tak. Już jestem gotowa.

- Zbiega po wypolerowanych
dębowych schodach.

Chcąc dotrzymać tempa szybkim
krokom Roya, musi biec przez
całą drogę do gospodarskich
budynków. Kopała nieba usiana
jest cętkami jak jajo drozda. Z
każdą jednak chwilą białe cętki
rozsuwają się coraz szerzej
ukazując czysty błękit.

- To prawdziwy cud! - woła Roy.

Jego radość jest zaraźliwa.

Laura także przeżywa chwilę
uniesienia na myśl, że nosi
dziecko Martina.

Na ogromnym podwórzu
gospodarskim dwa wielkie
kombajny, jak gdyby przystępując
do natarcia, już suną naprzód w
kierunku traktu prowadzącego na
pola.

Wymachując ręką jak dziecko,
Roy zatrzymuje kombajn jadący na
przedzie i każe kierowcy
wysiąść. Sam wskakuje do
szoferki, niezgrabnie, ale bez
wahania, i procesja rusza dalej.
Za kombajnami jadą dwa traktory
z przyczepami do zwożenia
wymłóconego ziarna. Hałas, jaki
robią te wielkie maszyny, jest
okropny.

Nikt nie myśli o Laurze. Stoi
pośrodku błotnistego podwórza i

przygląda się odjeżdżającej
karawanie. Hałas cichnie, ale nie
milknie, wkrótce oddała się,
tylko ziemia dudni głucho. Laura
błąka się od obory do stajni i
różnych szop. Podziwiając te

najstarsze, wyłożone pięknymi
kafelkami, widzi też kilka
nowych, aluminiowych, będących
widowym znakiem zapobiegliwości
i dobrobytu osiągniętego przez
Roya.

Siada na wysypisku gruzu,
wszystkim, co pozostało z
jakiegoś zwałonego kamiennego
muru. Słońce przebiło się
ostatecznie przez chmury, czuje
jego ciepło na twarzy i na
rękach. Podciąga w górę
spódnicę, żeby padało również na
jej brązowe nogi.

Cape Cod. Nazwa kąpieliska
wiruje jej w głowie, aż wreszcie
Laura wybucha śmiechem. Nie
można wprost uwierzyć w jego
istnienie. Przynajmniej w jego
istnienie dla niej. Czy naprawdę
myślała o tym, żeby tam
pojechać? Czy to możliwe, że
mogłaby tam być teraz, w tej
chwili? Czy tamta pewna siebie
kobieta w gustownym
biało_czerwonym
kostiumie, krocząca Piątą Aleją,
jest tą samą osobą, która teraz
siedzi pośrodku błotnistego
irlandzkiego gumna? I do tego w
ciąży. Nie, to niemożliwe. To
wszystko jest niepodobieństwem.
Pozostaje tylko się śmiać.

Oto jaka jest rzeczywistość.
Druga strona grzechu. Zna to
każda kobieta. Nawet te, które
mają szafy wypchane gustownymi
kostiumami. Cięża z mężczyzną,
który nie jest mężem i który nie
zdradza szczególnej ochoty do
małżeństwa. Cięża i tkwienie w
błocie. Gorzej niż w błocie.
Wśród nawozu. Nawozu i gnojówki.
Przy dochodzących z daleka
odgłosach cudzej pracy.

Znów wyrzało słońce i Laura
podciąga spódniczkę powyżej
kolan. Co ona zrobi z dzieckiem?

Biedna pani O'Dwyer ma już dziewięcioro. I dziesiąte w drodze. Cóż, jej sytuacja jest inna. Ma tylko jednego ukochanego syna.

Laure zaczyna ogarniać nastrój sentymentalny, chce jej się płakać. Nigdy szczególnie nie pragnęła drugiego dziecka. Próbowali z MIllesem przez rok czy dwa i kiedy nic z tego nie wychodziło, dziwne, ale z ulgą wróciła do swego znakomitego środka antykoncepcyjnego, który teraz tak ją zawiódł. Dzieci rodzą się z wielkiej namiętności.

Drży na całym ciele. Gdzie jest teraz Nicky? Właśnie w tej chwili. Co robi? Co czuje? Kto się nim opiekuje? Ciemność i chłód aż do bólu.

Słońce znowu się pokazuje, grzejąc jeszcze mocniej. Tak długo przebywała w słońcu Południa i Ameryki, że prawie zapomniała, jak może być zmienne w tutejszym klimacie. Jak można cokolwiek planować przy takich kapryśkach pogody? Czy ma to także wpływ na ciągłe niesnaski między współmieszkańcami tej wyspy? Życie z bezustannym patrzeniem przez palce.

- Czy miałaby pani ochotę na filiżankę kawy?

Przed Laurą stoi młoda kobieta. Ma krótko obcięte ciemnorude włosy i jasną piegowatą skórę. Ubrana jest w niezgrabny sfilcowany sweter i spodnie, które są na nią za luźne wszędzie z wyjątkiem brzucha. W przyjaźnie wyciągniętej ręce trzyma błyszczący termos. - Niosę tę kawę mężczyznom w pole, ale jest

jej tyle, że może się pani napić pierwsza.

Laura podnosi się. - Dzień dobry, pani O'Dwyer. Pójdę razem z panią i tam się napiję. Ten termos wygląda na ciężki.

- I jest ciężki. - Pani O'Dwyer jest żoną jednego z rolników, którzy pracują u Roya. Mają chałupę, w której ledwo

mogą pomieścić swoje dzieci, utrzymują się zaś głównie z produktów ogrodu Roya. Prowadzą życie zupełnie nie nadążające za dwudziestym wiekiem, rozmyśla Laura.

Obie kobiety idą drogą wiodącą na pola, trzymając termos wspólnie, między sobą.

- Słyszę, że znowu się pani spodziewa dziecka.

- Niestety, to prawda. - Głos pani O'Dwyer, jakkolwiek daleki od entuzjazmu, nie ma jednak tak gorzkiej nuty, jak tego oczekiwała Laura.

- Myślałam, że tamto ostatnie miało być naprawdę ostatnim.

- Nie, to było przedostatnie. Nigdy nie czuję się marnie przy parzystych ciężach. Przynoszą szczęście w rodzinie.

Przygnębiają mnie tylko nieparzyste. To tak, jak by się wszystko zaczynało od początku.

Wiem, że potem będę miała jeszcze jedno. - Pani O'Dwyer śmieje się z własnej głupoty, ale Laura wie, że mówi to z głębokiego przekonania. Myśli o tym, jaki szczególny dar mają kobiety, że potrafią bezsens zamieniać w coś mądrego. Ale dlaczego ta kobieta bierze na

siebie taki ciężar, troskę aż o
dziesięć ludzkich istnień?

- Zdaje się, że ktoś mówił o
nowym księdzu na plebanii, który
ma bardziej postępowe poglądy -
dyplomatycznie zaczyna Laura.

- Ojciec Gorman. O, tak. To
bardzo dobry człowiek.

Przyszedł do nas na herbatę i
mówiliśmy na ten temat.

Wszystkie dzieci były w domu,
ale i tak postanowiłam go
zapytać. Więc powiedziałam, że
podobno w Anglii ludzie już
myślą inaczej. O kontroli
urodzin. Oj, mówię pani, ciężko
było to słowo wypowiedzieć do
księdza. Ale on się tylko
współczująco uśmiechał. Zapytał
mnie, czy próbowałam metody
kalendarzyka. Powiedziałam, że

tak - odkąd wyszłam za męża. Na
to wybuchnął śmiechem. Śmiał
się ze wszystkimi dziećmi, które
stały dokoła nas. Wreszcie pyta,
czy próbowałam się
powstrzymywać. Więc ja, że ja to
tak, ale Patowi to się nie
uśmiecha. Znowu zaczął się
śmiać i powiedział, że Pat to
prawdziwy twardy mężczyzna i co
prawda, to prawda. Potem wziął
następny jęczmienny herbatnik,
co je specjalnie upiekłam, i
rozsiadł się wygodniej. -
"Macie bardzo miły dom -
powiedział - prawdziwa rodzina".

No, musiałam mu przyznać
rację, bo dzieciaki udane, a
jeszcze je wszystkie pomyłam,
wyszczotkowałam i ubrałam w
najlepsze ubranie na przyjście
księdza. - "I tacy wszyscy
zdrowi".

Na to się nie mogłam zgodzić,
bo Jo, piąty z kolei, urodził
się ze słabymi płucami. Wciąż
jest zaziębiony i chyba przez to
gorzej się rozwija na umyśle.
Więc ksiądz kazał Jo podejść
bliżej, specjalnie go
pobłogosławił i powiedział, że
Pan Bóg zawsze każe dźwigać
krzyż tym, których szczególnie
umiłował.

Potem obrócił się do mnie. "No
i czy ma pani czego żałować,
pani O'Dwyer? Nie mogłaby pani
mieć ich wszystkich, gdyby pani
naśladowała tamtych w Anglii".

Ale mu się nie dałam złapać,
bo powiedziałam, że mi nie
chodzi o te, które mam, same
niebiosa mi je zesłały - tak
zaczęłam mówić jak on - ale się
martwię o to, co będzie. Jak
mogę dobrze o nie dbać, kiedy
jestem zawsze w ciąży i słabsza
za każdym razem? A co będzie,
jak się urodzi taki drugi Jo?
Albo jeszcze gorszy? Czy
podołam go wychować?

To go zbiło z tropu. Poznałam
to po jego oczach. Przez jakiś
czas nie mówił nic. Popatrzył na
mnie, potem na dzieci. Elsie,

wtedy najmłodsza, wspięła mi się
na kolana. Troje zaczęło się
objadać herbatnikami, wiedząc,
że przy ojcu duchownym nic im
nie powiem. Dwie najstarsze
dziewczynki poszły do kuchni
udając, że będą sprzątać,
chłopcy zaczęli grać w ogrodzie
w piłkę.

"Pani ma bardzo dużo roboty,
pani O'Dwyer?"

"To prawda, ojcze". Czekałam

co powie dalej.

Westchnął, było to ciężkie i tak smutne westchnienie, że odwróciłam oczy. Człowiek jest taki zmieszany, kiedy widzi, że ksiądz myśli o sobie.

"Nigdy nie czuje się pani samotna".

"Za dużo mam roboty, proszę ojca, żeby myśleć o samotności".

"A wieczorem dzieci odmawiają pacierz, żeby podziękować Bogu za dobry dzień, który minął".

"Tak, ojczy". Zmieszałam się, nie o modlitwach mieliśmy mówić.

"Pani powinna robić tak samo, pani O'Dwyer. Każdego wieczoru powinna pani dziękować Bogu za łaski, jakimi panią obsypuje. Bo nie do człowieka należy osądzać dary Boże".

I tak zostało. Nic się nie zmieniło.

"To okropne! - Laura przystaje i bierze za rękę panią O'Dwyer.

- Nie ma w tym nic okropnego. Widzi pani, z początku byłam zła i rozżalona. Ale potem zrobiłam, co mi nakazał. Co wieczór się modliłam. Dziękowałam Panu Bogu za wszystkie łaski. I stopniowo zaczęłam rozumieć, jaka jestem szczęśliwa i że na wszystko patrzyłam na opak. Nie umiałam pojąć, że jestem częścią tego wzoru rodziny, który Bóg przeznaczył dla nas, i że rola, jaka mi przypadła, jest cudowna i błogosławiona, bo noszę w sobie nowe ludzkie życie. Więc nawet jak urodziłam Patricka, który jest trochę dziwny, i teraz, kiedy mam urodzić to

nowe, czuję w sercu wielką

radość. Jeśli pani mnie potrafi zrozumieć. Chodzi o to, że jestem całkiem spokojna. I naprawdę nie zazdroszczę kobietom, które tak samo zastanawiają się, czy mają mieć nowe dziecko, jakby wybierały nową sukienkę. Tak myślę, że dla nich mieć dziecko nie znaczy nic - one tego nie przeżywają, jakby ich nie dotyczyło. A dla mnie to jest część mojego życia, część wszystkiego.

Podejmują przerwany marsz. Laura nie może się zdobyć na żadne słowa. Przez te wszystkie lata, kiedy przyjeżdżała do Roya, pani O'Dwyer nigdy do niej w ten sposób nie mówiła. Robiło to wrażenie, jak gdyby wyczuwała, że Laurze jest to potrzebne. Laura widywała ją raz tęgą, raz szczupłą - częściej tęgą niż szczupłą - i nigdy nie myślała o niej inaczej niż "biedna pani O'Dwyer", a potem jeszcze "biedna, nieszczęśliwa pani O'Dwyer", kiedy się urodził Jo.

Obecnie, czy chleb w domu czerstwieje na kamień, czy nie, ta kobieta wydaje się najbliższa jej wyobrażeniu o świętej. Co prawda wie, że wszędzie w Irlandii żyją kobiety, które myślą dokładnie tak samo jak pani O'Dwyer.

Zbliżają się już do pola kukurydzy i szum jadących gęsiego kombajnów, które zataczają coraz mniejsze kręgi, jest tak głośny, że trudno rozmawiać.

Tuż przed wrotami pani O'Dwyer ujmuje Laur' za rękę. -
Przepraszam, że tyle pani naplotłam - usprawiedliwia się.
- To taka ulga, kiedy człowiek może czasem powiedzieć, co mu

chodzi po głowie. Pomaga nie upadać na duchu.

Laura rozumie nagle, że

wyznanie wiary uczynione przez świętą miało w równej mierze przekonać ją samą, co jej słuchaczkę. Uświadomienie sobie tego faktu przydaje realizmu niezbyt zręcznej w robocie, skłonnej do irytacji, bardzo niepodobnej do świętej osobie, zajmującej się kuchnią Roya. - Bardzo mi pani pomogła - mówi ciepło pani O.Dwyer i pochyla się, żeby odsunąć haczyk furtki. Każdą z nich nurtują jednak jakieś wątpliwości.

Obie kobiety stoją razem na skraju rozległego, opadającego w dół pola. Wielkie czerwone pojazdy suną powoli i ociężale jeden za drugim jak dwa słonie na arenie. Teraz Laura nie dopatruje się w nich podobieństwa do machin wojennych. Ścinając zboże zdążyły do tej pory zrobić kilka okrążeń i są dość daleko, wydają się więc mniejsze, chociaż hałas, jaki robią, jest ciągle przytłaczający.

- Chodźmy do traktorów - mówi pani O.Dwyer. - Tam są kubki.

Laura zastanawia się, czy istotnie historia jej towarzyski, będąca ilustracją irlandzkiego katolicyzmu, może jej w czymś pomóc. Jaką wartość przedstawia dla kobiety tak inteligentnej jak ona, która potrafi brać udział w dyskusjach na temat polityki, siedząc oko w oko z Empire State Building?

Traktory ciągną pod górę w cieniu trzech rozłożystych dębów, jeden obok drugiego. Ich przyczepy są już do połowy napelnione płynnym złotem ziarna. Kiedy tak obie obserwują pracę na polu, pierwszy kombajn prowadzony przez Roya zawraca i zdąża w kierunku traktorów. Znalazłszy się na wysokości pierwszej przyczepy, długa rura przypominająca trąbę słonia obraca się na bok i ziarno zaczyna z niej płynąć strumieniem niczym woda z kranu.

- Jaki to piękny widok! -
wrywa się okrzyk z ust pani O.Dwyer. Teraz oczy wszystkich pracujących na polu zwrócone są na traktory.

- Mój Pat jedzie na drugim -
mówi pani O.Dwyer. - Nasz najstarszy prosił go, żeby mu pozwolił trochę poprowadzić, i może mu pozwoli, ale muszą najpierw pojeździć razem. Z początku nie jest to takie łatwe. Przy takiej pogodzie i w ogóle. - Niespokojnie spogląda na czyste niebo i robi znak krzyża.

Laura patrzy na jej gest z pobłażaniem, ale za chwilę przychodzi refleksja, czy ma prawo zachowywać się w stosunku do tej kobiety protekcyjnie.

Strumień zboża jest coraz powolniejszy. Zsuwają się ostatnie ziarna, Roy wyłącza motor i wyskakuje zza kierownicy. Wielkimi krokami podchodzi do mężczyzn i wskazuje na jednego z nich, po czym kierowca szybko chwyta swój kask

i natychmiast rusza w kierunku wielkiej maszyny.

Roy podchodzi do Laury. Zdejmuje okulary i dużą turkusową chusteczką przeciera najpierw szkła, potem oczy. Włosy ma sztywne od zbożowych plew, całą twarz grubą warstwą pokrywa mu kurz.

- Dlaczego nie wkładasz kasku?

- Nie mogę dopasować okularów do maski. - Szeroko uśmiecha się do Laury. - A poza tym lubię sobie wyobrażać, że z odkrytą głową prowadzę swój oddział do walki. Dziękuję pani. - Bierze z rąk pani O.Dwyer kubek z kawą.

Za ich plecami zaczyna wysypywać ziarno drugi kombajn. Roy odruchowo obraca się, żeby to obserwować. - Będziemy pracowali bez przerwy, póki będzie widno.

- Bez lunchu?

- Pani O.Dwyer przyniesie nam kanapki.

- A co z dziećmi?

- Dzieci! - Roy jest tak zaskoczony, że Laura wybucha śmiechem. Dla niego dzieci tyle mają wspólnego z rzeczywistością co Empire State Building. Laura umyśliła sobie, że powie Royowi o swojej ciąży. Ale teraz się zastanawia. Wobec tych wspaniałych żniw, jakimi go obdarzyła hojna natura, wyda mu się ta wiadomość nie tyle szokująca, ile nieważna.

- Chcę sprawdzić jak wygląda dojrzewanie na innych łąkach.

Chcesz pójść ze mną?

- Naturalnie.

Najpierw idą skrajem złotych

zagonów już naznaczonych do zżęcia, potem przecinają pasma łąki porosłej długą soczystą trawą. Na jednym z zagonów Roy przystaje.

- Pamiętasz?

- Co?

- To poletko.

Laura uważnie patrzy na wszystkie strony. Dostrzega pole, gdzie dzisiaj wre praca, zmniejszone przez odległość do skali modelu. Dom Roya, na wpół ukryty za wspaniałym czerwonym bukiem, którego z bezpośredniej odległości prawie nie zauważyła. Widzi gościniec prowadzący z farmy do zagajnika i wznoszący się potem zakosami na różnych poziomach wzgórza. Zielone poletko, na którym stoją, ma kształt kwadratu.

- Nie mogę sobie przypomnieć, nic mi się z tym miejscem nie kojarzy.

- Tutaj twój święty Antoni znalazł mi stalową podkładkę.

Teraz Laura sobie przypomina. Cała scena niezwykle jasno odżywa w jej pamięci. Pamięta blade słońce przebijające się przez mgiełkę mżawki. Pamięta także prośbę Roya, żeby mu wytłumaczyła, na czym opiera się jej wiara. "Naprawdę chciałbym móc wierzyć" - wyznał.

Odpowiedziała: "Jeśli chcesz

wzbudzić w sobie wiarę, będziesz ją miał. To jest naprawdę aż takie proste i zależy tylko od ciebie". Nie przekonała go, uznała więc, że jej pogląd jest zapewne odbiciem faktu, że urodziła się w katolickiej

rodzinie, a jej wiara ma wobec tego charakter emocjonalny. Co chciała przez to wyrazić? Zdobyła się potem na modlitwę, w którą włożyła całą duszę, żarliwość zdawała się ją unosić przed oblicze samego Boga. I mimo że celem jej modlitwy, modlitwy do świętego Antoniego, było ubłaganie go, żeby pomógł znaleźć krążek zardzewiałego metalu, w rzeczywistości było to wołanie o łaskę - o siłę przeciwstawienia się pokusie i dochowania przysięgi złożonej przy ślubie. Cała zatraciła się w tej modlitwie, w wierze, że istnieje coś, czego nie ogarnia rozumem. A potem, niemal w momencie powrotu do Londynu, uciekła z Martinem.

- Tak, istotnie, teraz przypominam sobie to pole - powiedziała obojętnym tonem.

Roy zapuścił rękę w czeluść kieszeni spodni. - Wiesz, nie dałem przykręcić tej podkładki do brony. Zachowałem ją dla siebie. Jako symbol, choć właściwie sam nie wiem, czego. Nadziei. Wiary. Może zwyczajnie na szczęście.

Laura patrzy na mały metalowy krążek i mimo woli porównuje go z innym krążkiem metalu, jej własnym, który ją zawiódł na całej linii. W tej refleksji widzi jakby obraz degradacji wzniosłych myśli do absurdałnej rzeczywistości.

- Bardzo mnie to cieszy - mówi łagodnie. O ciąży powie mu kiedy indziej.

W Irlandii czas oblicza się raczej na dni aniżeli na godziny jak w Anglii czy minuty jak na Manhattanie. Laura rozmawia z

Martinem przez telefon, ale nie mówi nic o dziecku. Martin wydaje się zadowolony z jej pobytu w Irlandii i proponuje, że przyjedzie po nią dopiero w czasie weekendu, gdyż przez najbliższe dni prawie go nie będzie w Londynie.

Dopiero po tej rozmowie Laura przypomina sobie, że przecież Ben Casey na pewno pali się do tego, żeby się dowiedzieć, jak jej się powiodło w Nowym Jorku. Wyciąga notes i wykręca jego numer z mocnym postanowieniem, że nada swemu sprawozdaniu ton rzeczowy, ale jednocześnie pełen entuzjazmu. Okazuje się jednak, że Ben wyszedł na lunch, po którym ma się z kimś spotkać, i kiedy wreszcie udaje jej się go zastać w biurze, jego zainteresowanie rozmową okazuje się zaledwie umiarkowane. Może to i dobrze. Nie może przecież opowiadać z zapałem o potrzebie szybkiego wykorzystania cudownych źródeł wsparcia finansowego w Nowym Jorku i jednocześnie oznajmiać mu, że zostaje w Irlandii do końca tygodnia. Przyrzeka, że za tydzień będzie na pewno w biurze, czuje jednak, że przyrzeka nie Benowi, lecz sobie.

- Kto wie, czy nie jestem już za stara, żeby zaczynać prawdziwą karierę zawodową. Nie widzę odpowiedniej drabiny służbowej dla kobiet w moim wieku. Przynajmniej w Anglii.

- Tak, chyba masz rację. - Roy pogodnie przyświadcza jej skinieniem głowy, nie widząc w tym stwierdzeniu żadnej

tragedii.

Powie mu o dziecku pod koniec weekendu, najpierw musi powiedzieć Martinowi.

Wraz z przybyciem Martina znika towarzyszące dotąd Laurze uczucie zawieszenia w próżni. Zapomniała, jaką siłą jest jego fizyczna obecność. Było to ich

pierwsze rozstanie od czasu pobytu we Włoszech. Świeżym okiem patrzy na jego młodość, męską urodę blondyna, pewność siebie i zupełnie niezwykłą miłość, jaką jej okazuje. Zawładnął nią całkowicie, przekreślając wszystkie jej przemyślenia, które teraz wydają się kobiecym bredzeniem. Stara się dla niego ładnie wyglądać, sama robi barszcz z buraków ćwikłowych i jeszcze raz sprawdza pracę pani O.Dwyer.

- Będziemy mieli dziecko.

Jest to druga noc Martina w Irlandii. Laura leży w jego ramionach w podwójnym łóżku, w sypialni o niebieskich ścianach. Przed chwilą kochali się. Laura szepcze cichym, zadowolonym głosem.

- Będziemy mieli dziecko.

Martin pochrapuje, już na pograniczu snu, ale jednak przyciska usta do jej policzka.

- Czy powiedziałaś "dziecko"?

- Tak. - Uśmiecha się. To dziecko jest częścią ich miłości, ich romansu.

Upamiętnieniem Viareggio, Petry, może mniej Nowego Jorku. Chociaż nie zapomniała Ellen. Ellen będzie się cieszyła. - Tak, dziecko.

- Dobrze. - Martin delikatnie przesuwa wargi po jej twarzy i całuje ją w usta. Nie mówi nic więcej. Zdaje się, że już śpi. Laura, otulona jego ramionami i sama własnym ciałem otulając ich dziecko, jest zadowolona.

Następnego dnia mają miejsce trzy wydarzenia, nie powiązane ze sobą, ale wszystkie równie dla Laury nieoczekiwane. Przyjeżdża siostra Katie, Lizzie, w drodze powrotnej do Londynu z wakacji spędzonych w zachodniej Irlandii. Telefonuje matka Martina, która przyjechała na tygodniowy pobyt i mieszka w domu odległym zaledwie o dwadzieścia mil. I wreszcie Martin z zatroskanym i czułym

wyrazem twarzy pyta Laurę, czy brała pod uwagę możliwość usunięcia ciąży.

Laura jest przyjemnie zdziwiona własną reakcją na te wszystkie trzy wydarzenia. Zamiast krzyżeć i rwać włosy z głowy, do czego ma wystarczające powody, zdobywa się na niezwykle spokojny i rozsądny. Nie tylko ciepło wita Lizzie całując ją w oba policzki, ale nawet proponuje, żeby zrzuciła ze schodów na dół wszystko, co ma do prania.

Lizzie odwzajemnia naturalnie zachowanie Laury, mimo że z pewnością wielkim dla niej szokiem było spotkanie z ongiś nieskazitelną, a dziś upadłą szwagierką jej starszej siostry, z tą podziwianą Laurą, która obiera kartofle, podczas gdy jej kochanek siedząc w ogrodzie

rozwiązuje krzyżówkę w "The Telegraph". Nie mniejsze wrażenie robi także na Laurze niewinna, o różowych policzkach twarzyczka Lizzie.

Martin, wyraźnie uradowany na jej widok (ostatecznie kimże jest, jeśli nie bohaterskim uwodzicielem?), rozkłada dla niej drugi leżak, pytając ją o wrażenia z hrabstwa Kerry.

Roy, wróciwszy właśnie na lunch, namawia ją na słodkie sherry i stoi wodząc po swoich gościach wzrokiem hojnego gospodarza, który pamięta, że ma w spichrzu bezpiecznie zwiezione dwieście ton pszenicy i pogoda zapowiada się dobrze dla pięciu pozostałych na polu.

Właśnie wtedy dzwoni telefon. W domu jest tylko Laura. Podnosi słuchawkę.

- Inchcape 213.

- Ach. - Przez chwilę cisza. -

Czy mogę mówić z panem Keane.

Laura rozpoznaje natychmiast głos matki Martina i jest pewna, że ona także poznała ją po głosie. Odpowiada: - Proszę poczekać. Spróbuję go poszukać.

- Odkłada na bok słuchawkę i podchodzi do okna. - Martin! - woła spokojnym głosem. - Dzwoni twoja mama. - W buntowniczym nastroju wraca do telefonu.

- Już podchodzi - mówi, żeby mieć pretekst do rozmowy. - Jak się pani czuje?

- Ach - powtarza pani Keane, co Laura uznaje za irytującą afektację - przytrafił mi się katar sienny.

- Współczuję pani - uprzejmie

odpowiada Laura. - Bardzo trudno jest pozbyć się takiego kataru.

Następuje przerwa, której Laura postanawia nie przerywać, chociaż zdaje sobie sprawę, że pani Keane musi słyszeć jej dość głośny oddech.

- A jak się pani miewa?

Laura ma ochotę odpowiedzieć jej jednym miażdżącym zdaniem. "Jestem w ciąży, pani Keane".

W tym właśnie momencie pojawia się Martin i z nieco zniecierpliwioną miną bierze słuchawkę. - Halo, mam, mówiłem, że do ciebie zadzwonię.

Laura odchodzi. A więc rozmawiał z matką w Londynie. Wiedziała, że pojedzie do Irlandii. Może nawet wiedziała, że ona jest tu także. Laura wychodzi do ogrodu. Lizzie siedzi z promiennym, wyczekującym wyrazem twarzy. Koło się zamyka.

- Masz tremę przed uniwersytetem? - Nalewa Lizzie następny kieliszek sherry.

- Niezbyt wielką. Tak długo na to czekałam. Zdaje się, że straciłam trochę zapal. Doprawdy już nie pamiętam, dlaczego się tak do tych studiów paliłam.

- Prawdopodobnie dlatego, że chciałaś się czegoś nauczyć. - Laura słyszy w swoim głosie pewną szorstkość, której nigdy przedtem nie miała. Dawniej była gipsową figurą, którą każdy podziwiał i przyznawał, że promieniuje niezwykłą mądrością. Obecnie Lizzie ocenia ją inaczej

i nie ma wątpliwości, że musiała się zmienić.

Roy siedzi i przygląda im się
w czasie tej rozmowy,
uśmiechając się do Lizzie z
ledwo powściąganym podnieceniem.
W końcu nie wytrzymuje, zrywa
się, podbiega do niej i tonem,
który brzmi niemal jak apel,
mówi z przejęciem: - Pomyśl,
cały świat stoi przed tobą
otworem! Jesteś taka bystra,
inteligentna, nie zepsuta, masz
przed sobą tyle czasu! Powinnaś
czuć się wspaniale!

- Bo ja wiem. - Lizzie
zmieszana za niego i za siebie
pochyla głowę, żeby ukryć
zarumienione policzki. Ciężkie
kasztanowate włosy rozdzielają
się na karku, zwisając ruchliwą
falą po obu stronach twarzy.
Laura przygląda się Royowi,
gestykulującemu dziko nad Lizzie
ze wzrokiem utkwionym w
dziewczynę. Z kolei przenosi
oczy na Lizzie, spłoszoną tym
żarliwym wybuchem uczucia i
próbującą się cofnąć. Przypomina
jej się widziany kiedyś
wiktoriański sztych, na którym
zakochany młodzian zaleca się
przyciskając rękę do serca,
podczas gdy jego ukochana z
dziewczęcą skromnością odchyła
się do tyłu.

Już dawno spostrzegła, z
jakim zachwytem Roy patrzy na
Lizzie, obserwowała to z
sympatią dla nich obojga. Ale
również zdawała sobie sprawę z
tego, że Roy podkochuje się i w
niej samej. Teraz, kiedy stała
się kobietą upadłą, uważa jego
gorące spojrzenia rzucane Lizzie
za ekscentryczne, a nawet
zupełnie śmieszne. Musi być
przecież starszy od Lizzie co
najmniej o dwadzieścia lat.

Z domu wychodzi Martin. Jest
nadal zachmurzony. - Przyrzekłem
mamie, że przyjadę do niej

dzisiaj na podwieczorek. - Rzuca
spojrzenie w kierunku Laury, ale
unika jej oczu. - Kto nie ma

ochoty, nie musi ze mną jechać.

- Ja mam ochotę - szybko
oświadcza Lizzie. - Uwielbiam
oglądanie domów, których jeszcze
nie znam.

- Ja niestety muszę wracać do
roboty - mówi Roy. Idzie na
skraj ogrodu i z pogodną miną
przygląda się dużej kępie
pokrzyw. Może je bierze za
ostróżki, zastanawia się Laura,
myśląc o jego krótkowzroczności.
Tylko ona nie mówi nic.

Martin wypija kilka łyków
sherry. - Boję się, że to będzie
straszna nuda. I to w ostatnim
dniu mego pobytu. - Uśmiecha się
do wszystkich, ogólnie.

- Trzeba pomyśleć o lunchu. -
Laura wstaje i energicznie rusza
w stronę domu. Wyciąga z piecyka
pieczeń i stawia na kuchni
rondel, żeby zrobić sos. Słyszy
za plecami zbliżające się kroki,
ale nie odwraca głowy
przypuszczając, że to Martin.

- Chcesz, żebym z tobą
pojechała? - pyta z godnym
podziwu spokojem. Jego matka
napisała: "Jest od ciebie
starsza, ma syna i dobrego
męża".

- To ja.

- Ach, Lizzie.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Jeśli masz ochotę, nakryj do
stołu. - Lizzie niezręcznie to
wchodzi, to wychodzi, przynosząc
widelce i noże. Tak jak Martin i
wszyscy mężczyźni, Lizzie w
przeciwieństwie do ogółu okobiet

ma irytujący zwyczaj przynoszenia kolejno po jednej rzeczy. Laura spostrzega ponadto, że dziewczyna ma na nogach takie same tenisówki jak Martin, co ją zmyliło: myślała, że to on wchodzi do kuchni. Nosi też takie same dzinsy. Wydaje się, że znacznie bardziej należą oboje do tej samej generacji niż ona. Czuje, że stanowiłaby raczej parę z Royem, z jego połataną na łokciach marynarką i dziwacznymi jak połatany tweed

ideałami.

Czuje, że od unoszących się nad sosem zapachów robi jej się niedobrze. Szybko siada na krześle.

- Czy nic ci nie jest?

- Nie, czuję się doskonale.

Dziękuję.

- Mogę ci coś powiedzieć?

Lizzie nerwowo krąży po kuchni.

- Zazwyczaj takie pytanie oznacza, że i tak coś powiesz. - Laura próbuje się uśmiechnąć.

- Chciałam ci po prostu powiedzieć, jak się cieszę, że jesteś szczęśliwa. W moim przekonaniu tylko to jest naprawdę ważne, nie sądzisz? Żeby być uczciwym, wiernym sobie, żeby być szczęśliwym. Muszę przyznać, że z początku nie mogłam cię zrozumieć. Po tym, co zrobiłaś, żeby Johnny i Katie się nie rozeszli. Przypominasz sobie tamten weekend? Kiedy chciała odejść, a ty ją od tego odwiodłaś. Rozmawialiśmy wtedy o małżeństwie, o jego znaczeniu w

życiu człowieka. O obowiązkach,
jakie z sobą niesie. I o
odpowiedzialności. Nieprędko to
zrozumiałam. Spostrzegłam wtedy,
jak zupełnie jesteście inne, ty
i Katie. Ona nie jest taka mocna
jak ty. Całe jej życie obraca
się wokół dzieci i domu, a
przede wszystkim wokół męża, bez
względu na to, jak ten mąż się
zachowuje. Natomiast ty,
gdziekolwiek się pojawisz,
stwarzasz sobie własny świat.
Wszystko zmieniasz w
doskonałość, zwyczajnie
pozostając sobą. Nie
potrafiłabyś żyć wśród kłamstwa
i hipokryzji. Kiedy przestałaś
kochać Milesa, po prostu nie
mogłaś z nim żyć dłużej. To tak,
jak gdyby ktoś w czasie
wykonywania "Cossi fan tutte"
zaśpiewał piosenkę z "My Fair
Lady".

Lizzie przerywa, śmiejąc się

ze swojego pomysłu, ale za
chwilę podejmuje z jeszcze
większą żarliwością: - Wszystko,
co robisz, ma cechy
doskonałości. Kiedy się
zakochałaś w Martinie - znowu na
chwilę przerywa, przetyka ślinę
i mówi dalej - nie mogło to być
uczucie zwyczajne, powszechnie
spotykane, jak u innych ludzi.
Dopiero teraz to rozumiem. -
Patrzy na Laurę, która słucha
bez słowa. - Chyba widzisz, że
jestem po twojej stronie?

Laura uśmiecha się. Jest
zakłopotana. Oczywiście, że jest
wzruszona i zdumiona tym
wyznaniem miłości i
przywiązania, wyrecytowanym

niemal jednym tchem, kiedy sądziła, że Lizzie nie żywi już dla niej dawnych uczuć. A jednak jest w dziwny sposób obojętna i przygnębiona. Argumenty Lizzie nie brzmią w jej uszach zbyt przekonująco. Z tęsknotą myśli o tamtym pogodnym tygodniu, w czasie którego spacerowały - bez mężczyzn - wśród żonkili. Wszystko wtedy wydawało się takie proste.

- Jest jeszcze jedna rzecz. - Lizzie ma w oczach żarliwość penitentki, obraz zapamiętany przez Laurę jeszcze z czasów dzieciństwa. - Zapewne się domyślałaś, że podkochałam się w Martinie. No cóż, chciałam, żebyś wiedziała, że mi to całkiem przeszło i naprawdę wierzę w wasze małżeństwo i we wspaniałe zakończenie tak szybko, jak tylko to jest możliwe.

Skończyła. Gwałtownym ruchem obraca się do kuchni i z energią zaczyna mieszać w Rondelku, co uwalnia Laurę od odpowiedzi.

- No, teraz kiedy już to mamy za sobą - odzywa się po chwili - dlaczego nie miałybyśmy zawołać mężczyzn i zabrać się do lunchu?
- Zrzuciwszy ciężar z serca, Lizzie rusza ku drzwiom lekkim krokiem. Laura widzi, że Lizzie

zupełnie nie bierze w rachubę Nicka. Chyba że myślała także o nim mówiąc: "Wierzę w wasze małżeństwo i we wspaniałe zakończenie". Przelewa sos do dzbanuszka.

O czwartej Martin, Lizzie i Laura odjeżdżają na podwieczorek

do matki Martina. Samochód Roya jest stary, cuchnie nawozem i płynem do odchwaszczania. Po przejechaniu kilku mil Laura cicho mówi do Martina: - Zdaje się, że będę miała torsje.

Równie spokojnie Martin pyta:
- Czy brałaś pod uwagę możliwość usunięcia ciąży?

Zamiast chwycić kierownicę i skrócić w kierunku biegnącego tuż przy drodze ogrodzenia, Laura odpowiada: - Nie, o czym ty mówisz? - Trzecia próba powstrzymania się od torsji okazuje się ostatnią i Laura niepohamowanie wymiotuje na cały samochód.

- O Boże. - Martin zatrzymuje motor. Wszyscy troje wysiadają. Laura nie może opanować drżenia.

- Bardzo was przepraszam.

- Nie bądź niemądra - Martin zdejmuje sweter i podaje jej.

- Będzie go czuć.

- Kocham cię.

Laura wybucha płaczem. Martin obejmuje ją w pół, całą zawałaną.

Lizzie idzie do bagażnika i z hałasem przeszukuje jakieś stare pudła. - Może się tu znajdzie coś z ubrania?

W końcu zjawiają się w uroczym domu w mieszanym stylu angielsko_irländzkim, gdzie zatrzymała się pani Keane. Laura ma na sobie stary luźny płaszcz i na nim marynarkę Martina. Do podwieczorku nakryto w małym ciemnym pokoju, przygotowane są eleganckie kanapki, ciężkie ciasto, herbata i mnóstwo porcelany. Okna są upchane gazetami, widać, że nie da się ich otworzyć. W miarę jak temperatura w pokoju rośnie,

wokół Laury zaczyna się
rozchodzić woń obory,
rozprzestrzeniając się coraz
dalej. Obie z Lizzie wymieniają
konspiracyjne spojrzenia.

Ich gospodarz, major Drummond,
emerytowany oficer armii
angielskiej, odchrząkuje. Jego
żona, zaaferowana i spocona w
obszernej kretonowej sukni,
proponuje więcej herbaty.

Pani Keane ze swą piękną
twarzą o regularnych rysach,
pokrytą zmarszczkami w sposób,
którego mogłaby jej pozazdrościć
nawet Petra, siedzi obok syna.

Ma na sobie jasnoniebieską
plisowaną spódnicę i śliczny
niebieskofioletowy, robiony na
drutach sweter. Mówi do Martina:

- Kiedy będziesz następnym razem
w Nowym Jorku, musisz odwiedzić
moich przyjaciół, Partridge.ów.

- Pije kilka łyków herbaty. -
Ułatwią ci poznanie wielu
ciekawych ludzi.

Martin wyswobadza się spod
spoczywającego na nim wzroku
matki i zwraca się do Laury. -
Mama miała zwyczaj wyjeżdżać
zawsze na lato na Martha.s
Vineyard.

- Nie bawi mnie to tak bardzo,
odkąd przestało się tam
podróżować statkiem. - Pani
Keane mówi to do majora, który
znowu odchrząkuje, ale nie
zabiera głosu. Wygląda, jakby
się czuł dość nieswojo w
towarzystwie swego eleganckiego
gościa. Wolałby zapewne, żeby
pani Keane nadal jeździła na
Martha.s Vineyard, zamiast
zaszczycać swoją obecnością jego
skromny dom.

- Pamiętam. Każdego roku.
Można było poznać, że to 26

lipca, po wyjeździe Heleny - z entuzjazmem opowiada pani Drummond.

- Moja droga. Naprawdę pamiętasz? Jestem wzruszona.

- Pamiętam wszystko, co dotyczy ciebie. Podczas gdy ja jeździłam do różnych obskurnych

hotelików w Bulawayo czy na Borneo, gdzie dostawałam wysypki od parnego powietrza, ty zawsze udawałaś się do takich fascynujących miejsc. I Martin także. Co za cudowne dzieciństwo miał Martin!

Pani Keane mięknie na wspomnienie wspaniałych miejsc, a w Laurze rodzi się dla niej życzliwe współczucie. Z pewnością to smutne, kiedy się jest starą i przy tym wdową. Trudno uwierzyć, że przebywanie z Drummondami może jej sprawiać przyjemność. Nawet przy widocznym lęku i podziwieniu, jakie wzbudza w pani Drummond.

Mimo parujących z niej dziwnych woni, Laura zaczyna się czuć doskonale. Ciężkie ciasto, ciemne i nadziane owocami, zdaje się odpowiadać jej zboczonemu smakowi. Marynarka Martina, ciepła i bardzo osobista jego cząstka, daje jej złudzenie, że otulają ją jego ramiona. Poza tym demonstracyjnie świadczy o łączących ich stosunkach. Biedna, elegancka, szczupła pani Keane nie je ani kawałeczka ciasta. Już miała swoją Martha.s Vineyard. Teraz przyszła kolej na jej syna. I na Laurę.

Po podwieczorku wychodzą na przechadzkę po ogrodzie, "dla

zdrowia". Wyznaczono w nim dużo
alejek, które wysypano żwirem,
wąskie rabaty jednorocznych
kwiatów są starannie utrzymane.
Major ożywia się przy rozmowie
o kwiatach, tłumacząc utratę
Imperium i upadek Kolei
Brytyjskich niedocenianiem
roślin jednorocznych.

Laura i Lizzie starają się
stłumić śmiech, dusząc się i
wpadając jedna na drugą jak
pensjonarki. Ulga po wyrwaniu
się z dusznego pokoju i stary
płaszcz Laury z szelestem
objijający się o jej nogi
wprawiają je w świetny nastrój.
Idący przodem razem z matką
Martin także ogląda się z

uśmiechem.

Na szczęście zaczyna padać.
Krople spadają powoli, zdają się
wisieć w powietrzu, zanim spadną
na drzewa. Są jednak
wystarczającym pretekstem dla
pani Keane, która głośno
oznajmia, że jest deszcz i rusza
w kierunku domu. I dla Laury,
która przez cały czas prawie się
nie odzywała, a teraz mówi, że
jej zdaniem pora wracać.

Teatr, a potem obiad. Laura
słyszy, jak Martin przyrzeka to
matce po powrocie do Londynu.
Cóż, nie jest to wiele. "Jest od
ciebie starsza, ma syna i
dobrego męża".

Kiedy są już w samochodzie,
Laura całuje Martina. -
Przepraszam cię za nasze
zachowanie - mówi. - Jeszcze
trochę i puszcę w niepamięć
tamten list twojej mamy.

Martin patrzy na nią

zaskoczony. - Jaki list?

Lizzie siada na tylnym siedzeniu i zatrząskuje drzwiami. Laura zniża głos. - Tamten we Włoszech. Pełen nienawiści.

- Kochanie, mama jest stara. Kocha mnie. Jest o mnie zazdrosna.

- Kto jest zazdrosny? - Z ciekawością pyta Lizzie.

- Ja.

- Co takiego? - Nic sobie nie robiąc z obecności Lizzie, Martin wybucha swoim gromkim śmiechem. - Jak sądzisz, ile mam lat? Od dwudziestu lat nie obchodzi mnie, co o mnie myśli moja matka. Zwyczajnie staram się być dla niej miły. I tego samego oczekuję od ciebie.

Wieczorem grają w brydża. Tylko Martin i Lizzie zgarniają punkty. Roy był bardzo dobrym graczem dwadzieścia lat temu. Opowiada Lizzie, że zdobył mistrzostwo szkoły. Lizzie śmieje się z niedowierzaniem.

- Mielście tu deszcz? - pyta Laura sennym głosem. Jest tak śpiąca, że piki i kiery

wychodzą z kart i tańczą jej przed oczyma.

- Bardzo mały, nie ma powodu do niepokoju. Zresztą i tak zostało do ścięcia zaledwie kilka zagonów. Potem będzie palenie.

- Palenie?

- Wielki pożar, który obejmie wszystkie pola.

- Jak to rozumieć?

- Słoma jest obecnie bardzo tania - tłumaczy Roy z ożywieniem. - Niemal bez

wartości. Więc ją palimy. To
użyźnia glebę. Słoma jest
wysuszona, będzie płonąć jak
sztuczne ognie, z rykiem i
trzaskiem, wygląda to jak koniec
świata. Staniemy na skraju i
pozwolimy płomieniom podchodzić
aż do nas. Przepadam za tym. To
jest wstrząsające przeżycie!

- Przestań, Roy. Próbujemy
zrobić partię. - Donośny i
drwiący głos Lizzie natychmiast
przywraca porządek, kiery i piki
wracają na swoje miejsca. Laura
prostuje plecy.

- Trzy trefle.

- No, nie, Martin, już dość.

Jak można mieć tyle szczęścia!

TEj nocy Laura budzi się z
krzykiem. Martin podnosi ją,
żeby przybrała pozycję siedzącą,
próbując otrzeźwić, wyrwać z
sennego koszmaru.

- Szz. Szz.

Szy szy. Co takiego? Powiesz mi?

- Nie. Nie mogę. - Laura drży
przerażona. Nie może tego
opowiedzieć Martinowi. Nie
zrozumiałby. Śnił jej się ogień.
Wielki ogień, który
błyskawicznie ogarniał całe
pole. Był coraz bliżej Nicka.
Nicky stał samotnie w swojej
piżamie. Za ścianą płomieni
biegał Roy podpalając pochodnią
rżysko wokół Nicka, otaczając
chłopca ścianą ognia. A ona była
razem z Royem.

- Nic, nic - odpowiada. - Sen
się ulotnił. Nic nie pamiętam.

Martin słyszał jednak, jak

powiedziała coś przez sen.

"Dziecko". - Słyszałem, że
powiedziałaś "dziecko". Śniło ci

się dziecko, tak?

Laura nie może mu tego wytłumaczyć. Jej dziecko to Nicky. Jej jedyne prawdziwe dziecko. - To nic ważnego.

Martin nie ustępuje. Całuje jej twarz i kark. - Bardzo pragniesz tego dziecka, prawda?

Laura mamrocze coś niezrozumiale. Ten sen jest ciągle tak żywy w jej pamięci, że może myśleć tylko o Nicku, samotnie stojącym synku, takim małym i drobnym w swojej piżamce. Dopóki nie będzie mogła do niego przemówić, utulić go, będzie go widziała zawsze takim, jaki jej się przyśnił.

- Musisz je wobec tego mieć.

- Mm. - Czym jest dla niej to drugie dziecko? Niczym. Robaczkiem rosnącym w jej ciele. Owocem namiętności. Nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Jest bez znaczenia. Nie istnieje. "Chcę mieć przy sobie Nicka!" krzyczy w niej wszystko rozpaczliwie.

Tymczasem Martin zaczyna ją pieścić, pragnąc w jakiś sposób uczcić tę odważną decyzję wydania na świat nowego życia. Delikatnie przesuwa rękę po jej ramionach i piersiach, zsuwa ją po jej ciele coraz niżej. -

Jaka jesteś napięta - szepcze.

- Tak, tak. Przepraszam.

Martin uśmiecha się. - Nie przepraszaj. Ja tylko chcę odpędzić od ciebie nocne koszmary.

Laura jest mu za to wdzięczna, stara się go pocałować. Wargi ma jednak zupełnie drętwe, pozbawione czucia. Mimo to Martin reaguje na jej pocałunki, pociąga ją i układa na sobie. Lepiej stworzyć pozory, że wszystko jest w porządku.

Łzy po utracie dziecka nie

różnią się od łez namiętności.

XVIII

Laura telefonuje do Katie.
Trzy dni temu wróciła z
Irlandii. Nie rozumie, dlaczego
czekała tak długo. Natychmiast
słyszy głos swojej bratowej.

- Katie. To ja, Laura.

- Laura. Jak się czujesz? - W
głosie Katie brzmi nuta
przerażenia.

- Bardzo dobrze. Chcę jutro
przyjechać, zobaczyć się z
Nickiem.

- Nie możesz!

- Co to znaczy: nie mogę?

Jestem jego matką. Nie wspominam
już o twoim udziale w tym
porwaniu dziecka. - Laure
ogarnia gniew i podniesionym
tonem zaczyna robić Katie
wymówki.

Po drugiej stronie drutu
słyszą głośne przetykanie śliny
i wreszcie Katie wybucha
płaczem. - Bardzo cię
przepraszam - mówi dławiąc się.

- Chciałam przecież jak
najlepiej, dla niego, dla
ciebie, dla każdego.

Laura opanowuje się. - Bardzo
cię przepraszam, Katie. To
wszystko moja wina. Wiem, że
chciałaś tylko pomóc. Powiedz
mi, o jakiej porze mogę jutro
przyjechać.

- Nie możesz. To znaczy
możesz, ale Nicka tu już nie ma.

Laure opadają najdziksze
myśli. Miles uciekł przed nią do
Południowej Ameryki, wyemigrował
do Australii, popłynął do

Bulawayo albo na Borneo.

- Wyjechał do szkoły.

- Do szkoły! - więc już wrzesień. Laura śmieje się odprężona. - Więc jest w Londynie?

- Nie. Miles umieścił go w internacie.

Zdenerwowana Katie szybko tłumaczy, że Miles uznał, iż na razie tak będzie lepiej. Że Nicky bardzo się do tego pomysłu zapalił. Że jest to

niewielka sympatyczna szkoła, o której kilka zaprzyjaźnionych z nią osób wyrażało się bardzo pochlebnie, że wkrótce zaczną także przyjmować dziewczęta i wtedy pojedą tam również Maddy i Honour.

Laura jest tak wzburzona, że nie może złapać tchu. Czuje, jak nabrzmiwa jej twarz i krew uderza do głowy. Miles ośmiela się zmieniać bieg życia jej syna. Z czułością, jak nigdy dotąd, myśli o małej szkole Nicka i jej ciemnej, ciasnej szatni.

- Przepraszam, Katie. Jestem zbyt oburzona, żeby mówić. Podaj mi nazwę szkoły, zadzwonię do ciebie później.

Laura chodzi po mieszkaniu Martina tam i z powrotem. Nie ma tu nawet nic swojego, czym mogłaby cisnąć o ścianę.

Wchodzi Martin, więc nareszcie może wyładować swoją wściekłość. Martin robi sobie drinka. Laura pije obecnie tylko sok pomarańczowy.

- To oczywiste, że musisz zadzwonić do szkoły - mówi

Martin. Po raz pierwszy wkracza w jej poprzednie życie. Zresztą może ta nowa szkoła jest już częścią jej nowego życia.

Trzy dni później Laura dzwoni do szkoły. - Moje nazwisko Knight. - Ponownie nie rozumiem, dlaczego zwlekała. - Jestem matką Nicka Knight. Jest uczniem szkoły od nowego roku szkolnego. Chciałabym mówić z dyrektorem.

- Niestety pan Stuart ma teraz lekcję. Czy mam mu coś przekazać?

- Nie. - Właściwie dlaczego ma być uprzejma?

- Wobec tego poproszę, żeby do pani zadzwonił. Myślę, że mamy pani numer.

- Źle pani myśli. Nie, nie macie. Podaję swój numer: 435-8868.

Dyrektor Stuart dzwoni dopiero następnego dnia. Przeprasza, jest

niezwykle miły, o wiele miłszy od cierpkiego dyrektora poprzedniej szkoły. To sprawia, że Laura jest bardziej wzburzona niż kiedykolwiek. Na domiar wszystkiego nazywa Nicka Nicholasem.

- Imię syna brzmi Nicky. Takie imię otrzymał na chrzcie. Tyle ma wspólnego z imieniem Nicholas, ile pan z nazwiskiem Smith.

Ta arogancja powoduje jedynie wzmożoną uprzejmość i dodatkowe ujmujące przeprosiny. - To bardzo rozsądny chłopczyk, zawsze, we wszystkim, potrafi zachować umiar. Bardzo dojrzały jak na swój wiek. - Wyraźny nonsens. Laura dobrze wie, że

Nicky jest dzieckiem bardzo nerwowym, wrażliwym i uczuciowym. Zapewne pan Stuart myli go z kimś innym. Ta sugestia zostaje skwitowana wesołym śmiechem.

P Ostanawia z miejsca powiedzieć, o co jej chodzi. - Nie życzę sobie, żeby moje dziecko było uczniem waszej szkoły. Z Ostał przywieziony bez mojej zgody i chciałabym teraz odebrać go z internatu.

- Rozumiem. Istotnie pan Knight wspomniał, że są... ee... pewne problemy. - Spokój pana Stuarta jest zaiste kamienny. - Chodzi o to, iż pan Knight był zdania, że dopóki te... ee... problemy nie zostaną rozwiązane, byłoby lepiej dla państwa syna, żeby się uczył w szkole naszego typu, gdzie może żyć własnym życiem. Jesteśmy tak niewielką szkołą, że lubimy uważać się za rodzinę. W samej rzeczy można by powiedzieć, że zyskaliśmy pewną renomę jako szkoła niosąca pomoc dziecku, którego rodzina przeżywa wstrząs.

Laura słucha uprzejmego głosu z zapamiętałą nienawiścią. Wyobraża sobie tego dyrektora jako młodego jeszcze mężczyznę w tweedowym ubraniu z fajką. Bez

zdziwienia słucha opowieści o jego żonie Jacqueline i czworgu dzieciach. Z tego, co słyszy, wyłania się w jej wyobraźni obraz przytulnego domu w stylu georgiańskim, z dobudowanymi skrzydłami, widzi świetnie utrzymane trawniki, wyobraża sobie opiekuńczą wychowawczynię,

panią McFaddon, i znakomitego filologa klasycznego, doktora Runyona. Zdaje sobie sprawę, że przy tylu walorach tego miejsca doprawdy nie ma nic do zaoferowania.

- Rzeczywiście Nicky czuje się u was szczęśliwy? - pyta w końcu.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Odradzałbym pani przyjazd przed upływem co najmniej połowy semestru.

Decydując się całkowicie zawierzyć panu Stuartowi, musi się dostosować do tego zalecenia.

- Zauważyliśmy, że takie wizyty wytrącają nieco z równowagi świeżo przyjętych chłopców i opóźniają proces całkowitego przystosowania się do nowego środowiska.

- Rozumiem.

- W połowie semestru powinno być doskonale. To samo powiedziałem pani mężowi. Poza tym jest to naprawdę bardzo krótki semestr.

Krótki okres, długie dni. Każdego wieczoru około siódmej Laura krąży myślami wokół Nicka. Kto go kładzie do łóżka? Żadnych całusów. Znow śnią się jej płonące zagony ściernisk i drobna postać w piżamce. Ale dni zaczynają biec coraz szybciej, Laura znowu pracuje, rano odczuwa zwykle dolegliwości ciążowe, przemeblowuje mieszkanie przystosowując je do potrzeb dwu osób. Dla trzech nie będzie się nadawało, stanowczo. Zaczyna bez udziału Martina spotykać się z przyjaciółmi. Jego miłość nie słabnie.

Pisze do Roya, dziękuje mu za gošcinę i wyznaje, że nie potrafiła patrząc mu w oczy przyznać się do ciąży. Długi list, jaki dostaje w oodpowiedzi, jest przygnębiający. Jego przemyślenia na temat małżeństwa, macierzyństwa, ojcostwa, tak uczciwe i krytyczne w stosunku do siebie, a tak wielkoduszne wobec innych, sprawiają Laurze ból.

Roy przeniósł ją z jednego piedestału na drugi. Obecnie jest Marią Magdaleną, podczas gdy poprzednio była Marią wybraną spośród wszystkich kobiet świata. On natomiast jest nadal niewiernym Tomaszem, laodycejskim filozofem, ani zimnym, ani gorącym, * intelektualistą z błotem na gumowcach, który dotąd nie znalazł własnej drogi w "Wędrownce pielgrzymy". * Jego pokora jest równie tragiczna jak absurdalna.

"Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś. Obyś był zimny albo gorący! A tak, skoro jesteś letni ani gorący, ani zimny, chcę cię wyrzucić z mych ust." (AP. 3, 15_#16). Cytat według Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Poznań_Warszawa 1980.

Aluzja do "Pilgrim's Progress from this World to that which is to Come". ("Wędrownka pielgrzymy z tego do przyszłego świata"). Jest to opowieść alegoryczno_dydaktyczna prozą Johna Bunyana (1628_#88), w formie snu autora przedstawiająca alegoryczną wędrownkę chrześcijanina z Miasta

Zniszczenia, wśród
niebezpieczeństw i pokus, do
Miasta Niebieskiego. Polski
przekład: "Wędrówka pielgrzyma",
tłum. Józef Prower, Warszawa
1961. Przyp. tłum..

Pod wpływem impulsu pisze do

Roya i prosi, żeby przyjechał do
Londynu, kiedy już przygotowuje
farmę do zimy. Naiwnie wyobraża
sobie, że wszystko, czego mu
trzeba, to miła żona i kilkoro
dzieci.

Pod koniec października Laura
pisze do szkoły, zawiadamiając
pana Stuarta, że przyjeżdża w
połowie semestru w piątek i
zabiera Nicka. Po upływie dwóch
dni dzwoni telefon. Martin i
Laura jedzą właśnie obiad,
siedząc przy rozstawionym w
pokoju Martina karcianym
stoliku, na którym płonie
świeca.

Żołądek Laury zaczął się
ostatnio zachowywać normalnie.
Laura siedzi przyglądając się
czerwieni wina podświetlonego
płomieniem świecy, telefon
odbiera Martin.

- Dzwoni szkoła.

Znowu ten sam głos, niezwykle
miły, zdecydowany, a
jednocześnie przepraszający.
Nicky został zwolniony z zajęć
szkolnych kilka dni wcześniej na
prośbę ojca, który prowadzi w
Hongkongu jakąś sprawę i zabiera
chłopca z sobą. Okazja wydała
się panu Stuartowi tak
wyjątkowa, że zgodził się, mimo
iż normalnie bardzo ściśle
przestrzega terminów szkolnego
kalendarza.

Laura czuje się zupełnie bezradna. Wyprowadzona w pole. Nie mówi nic. Spokojnie wraca do karcianego stolika, który nagle wydaje się jej zgoła idiotyczny.

Martin komentuje: - Będziesz musiała wziąć dobrego adwokata.

Laura wybucha śmiechem: - Miles jest najlepszym adwokatem, jakiego znam.

Dzwoni do Johna, prosząc, żeby się z nią umówił na lunch. Johnny odpowiada na jej prośbę z nerwową wylewnością. Proponuje spotkanie dopiero za dziesięć dni i wybiera bardzo drogą restaurację. Laura wie, jak wielką wagę Johnny przykłada do

zewnętrznego wyglądu, wybiera więc jeden ze swych najelegantszych kostiumów. Zmieszana stwierdza, że spódniczka się nie dopina. Jest w czwartym miesiącu ciąży. Obciąża na sobie żakiet w nadziei, że ukryje deformację figury.

Johnny siedzi w rogu sali rozpromieniony. Ani śladu poprzedniej nerwowości. Jest już po jednym dżinie z tonikiem.

- Wyglądasz cudownie, bajecznie, lepiej niż kiedykolwiek! - Mówi witając się z siostrą.

- No, cóż - Laura siada naprzeciw niego, zauważając jednocześnie, że z wrodzonym sobie pełnym wdzięku egoizmem nie zaoferował jej miejsca pod ścianą. - Dobrze się czuję. Ty także wyglądasz świetnie.

- Jestem za gruby, za gruby - Johnny poklepuje się po brzuchu.

- Czy od razu coś zamawiamy?

Laura dostrzega w jego oczach błysk przerażenia. co też ta jego świeżo zdemoralizowana siostra powie, burząc jego spokój? Z czułością myśli, że jej brat jest nie tylko egoistą, ale także tchórzem. A jednak ten prosty fakt, że siedzi tu razem z nim, ogromnie poprawia jej samopoczucie, czuje się szczęśliwsza, a nawet skłonna robić wyłącznie to, na co on ma ochotę, zjeść smakowity lunch, pić wino nie licząc kieliszków i rozstać się z nim, nie podnosząc żadnych drażliwych kwestii.

Decyduje się powiedzieć, o co jej chodzi, w najprostszej formie. - Chcę zobaczyć Nicka. - Oświadcza.

- Uroczy chłopak - odpowiada Johnny z miną znawcy.

- Nie, Johnny, tak nie można. Jakkolwiek byś to chciał nazwać, Miles po prostu go uprowadził. Nie widziałam Nicka od lipca.

- Hm - Johnny popija różowe wino sancerre, nagle uśmiecha

się. - A może wystarczyłoby ci jedno z moich dzieci w zamian? Powiem ci, że co do mnie, to mam ich widoku aż za dużo...

- Johnny! - przerywa Laura wściekła.

- Przepraszam. - Nareszcie zrezygnował ze swojej jowialności. Widać, że jest speszony, naprawdę poważnieje. Ze skruszoną miną stawia na stole kieliszek. Marszczy brwi. Laura nie mówi ani słowa. Przez kilka chwil panuje milczenie. W pewnym momencie twarz Johna się

rozpogadza. POsyła Laurze
uśmiech pełen otuchy.

- Jeśli go chcesz zobaczyć,
jedziemy do niego.

- Co takiego?

- Moje popołudnie należy do
ciebie. - Johnny sięga ponownie
po kieliszek z miną człowieka,
któremu się udało rozwiązać
wszystkie problemy.

Żadne z nich nie ma samochodu,
ale to Johna nie odstrasza. Biorą
taksówkę do dworca Waterloo,
łapią lokalny pociąg do
Woodfield i znowu taksówkę po
przybyciu na miejsce. Dopiero
kiedy Laura pochyla się, żeby
wejść do samochodu, Johnny,
spojrzawszy na nią po raz
pierwszy bez różowych
alkoholowych okularów, robi
uwagę: - Zdaje się, że ty też
trochę przytyłaś.

- Och, Johnny - Laura usadawia
się na tylnym siedzeniu, zbyt
pochłonięta czekającym ją
spotkaniem, żeby myśleć o czymś
innym. - Chyba widzisz, że
jestem w ciąży.

Johnny podaje taksówkarzowi
adres i siada obok Laury. - Tak,
rzeczywiście, teraz widzę. -
Jest poważniejszy niż zazwyczaj.

- Czy Nicky wie o tym?

- Ależ nie, nie wie. Nie
widziałam go od kilku miesięcy.
Zresztą co to ma do rzeczy.

- Hm.

- Jak mam rozumieć to "hm"?

- Chłopcy mają dość bystre

oko. Zwłaszcza, że cię tak długo
nie widział.

- Przecież nie przyjechałam
tu, żeby wrócić nie zobaczywszy

się z nim.

- Istotnie.

Laura nie przestaje patrzeć przez okno. Uważa, że krajobraz z dość przyjemnym lasem, mieniącym się złotem i purpurą jesieni, jest ładny.

Przypuszcza, że są ludzie, którym się bardzo podobają małe domy kryte strzechą, osadzone wśród zielono_żółtej szachownicy pól. Co do niej, uznaje, że jest to pejzaż w najwyższym stopniu monotony.

Skręcają w podjazd gęsto obsadzony rododendronami. Taksówka zatrzymuje się przed domem bardzo podobnym do tego, jaki sobie Laura wyobrażała, tyle że rabaty kwiatowe i trawnik nie są utrzymane z przesadną pedanterią.

- Stary Stue to jeden z moich najbliższych kolegów - mówi Johnny, przyglądając włosy. - Mieszkaliśmy w tym samym domu w latach szkolnych.

- Nie rozumiem - Laura trzyma rękę na klamce drzwi.

- Pan Stuart. Dyrektor. Tak. Nie będziemy mieli żadnych kłopotów ze starym Stue. Dobry chłop, choć na mój gust cokolwiek zbyt uczuciowy.

Laura wychodzi z samochodu z posepną miną i obciąga na sobie żakiet. Czy powinna mu podziękować za pomoc, czy zwymyślać za spiskowanie przeciwko niej? Rezygnuje z jednego i drugiego.

- Czy bardzo widać, że jestem w ciąży?

- Cóż, może Nicky pomyśli, że utylaś. Z początku ja też tak sądziłem.

Pociągają za osadzoną w ścianie przy drzwiach gałkę i w tej samej chwili rozlega się przeraźliwy głośny dzwonek.

Czekają bardzo długo, po czym

pojawia się młoda kobieta z na
pół gołym niemowlęciem na ręku.
Z niepokojem utkwiała wzrok
gdzieś za plecami Laury.

- Mój Boże. Zdaje się, że
rozgrywają mecz. Mąż jest na
boisku sportowym. Wszyscy są na
boisku. Czy pani była umówiona?

- Nic się nie martw, Jacky. To
tylko ja.

Kobieta, prawdopodobnie żona
dyrektora, spostrzega stojącego
za Laurą Johna. - Chwała Bogu,
cieszę się, że cię widzę.
Musiałam przyrzec Stue, że nie
będę otwierała drzwi, kiedy
trzymam dziecko. On mówi, że
robi to fatalne wrażenie na
rodzicach, zwłaszcza na tych,
którzy do nas przyjeżdżają po
raz pierwszy.

- To moja siostra Laura.
Przejeżdżaliśmy tędy i
pomyślałem, żeby wpaść do ciebie
na herbatę. Jest u was jej syn.

- Przepraszam, że zaproszę
państwa do kuchni. - Zaaferowana
obraca się i prowadzi ich w
stronę korytarza, skąd dobiegają
głosy pozostałych dzieci.
Zatrzymuje się przed drzwiami
jasnej kuchni wypełnionej
zapachem grzanek i wędzonego
boczku. Uważnie patrzy na Laurę.

- Pani powiedziała, że uczy
się u nas pani syn?

- Tak. Ma na imię Nicky.

- Rozumiem. - Laura czuje, że
krew uderza jej do twarzy, ale
pani Stuart z życzliwym uśmiechem
wyciąga do niej wonną rękę. -
Proszę mi wybaczyć ten bałaggan.
Kiedy chłopcy wychodzą z domu na

mecz, ciągnie mnie, żeby
zostawić wszystko i nacieszyć
się trochę własnymi dziećmi.

Laura dostrzega, że mówiąc to
prześlizguje się wzrokiem po jej
figurze i drgnieniem powiek
zdradza, iż poznaje tak dobrze
znany jej samej stan.

- Tak mi przykro, że wpadliśmy
do państwa w ten sposób.

- Nic nie szkodzi. Johnny to
nasz stały przyjaciel.

Johnny stoi na środku pokoju,
z wyraźnym obrzydzeniem patrząc
na trójkę umorusanych dzieci,
pełny nocniczek i nie dojezdzony
podwieczorek. - Myślę, że
przejdę się na boisko. Pokaż
siostrze drogę, jak skończy pić
herbatę.

Laura siedzi przy stole. Pani
Stuart miota się po pokoju,
wyciera dzieciom buzie,
przygotowuje herbatę. Przypomina
to Laurze Katie, z tą jednak
różnicą, że podczas gdy Katie
jest zawsze na granicy totalnego
bałaganu, pani Stuart mimo
nieporządku znakomicie panuje
nad sytuacją. Ruszając się po
pokoju jednocześnie mówi,
opowiadając Laurze o Nicku, o
tym, jak się uczy, jak sypia i
jak się bawi. Bez wątpienia
poznała go już doskonale.

Laura słucha i wreszcie nie
może się oprzeć, by nie zapytać:

- Czy mówi coś o mnie?

- O, tak. Brak mu pani.

Laura czuje wzmożony poryw
tęsknoty.

- Ale nie jest tu
nieszczęśliwy. Dzieci
przystosowują się zdumiewająco

łatwo, naprawdę. Bardzo często obserwuję to w naszej szkole.

Laura patrzy na otoczoną gromadką dzieci panią Stuart i z goryczą myśli, że przecież taka kobieta nigdy nie zrozumie dramatów rodzinnych. Poczula się jednak nie w porządku po tej refleksji. - Jestem pani bardzo zobowiązana - mówi.

Podnosi się. - Gdzie mogę znaleźć Nicka?

- Prawda. - Pani Stuart urywa, niezdecydowana. - Pani go chce zobaczyć.

- Po to tu właśnie przyjechałam.

- Oczywiście. - Jej wzrok ponownie prześlizguje się po figurze Laury. - Może to być dla niego szok.

- Poszukam go.

- Proszę. Poszłabym z panią,

gdyby nie ta gromadka...

Laura wyrusza przez ogród na boisko sportowe. Jest piękny jesienny wieczór, zieleń trawnika przecinają długie ścielące się cienie, po niebie pokrytym pomarańczowymi smugami przelatuje kilka czarnych gawronów. W ostatnich promieniach słońca cała natura gra olśniewającymi kolorami.

Laura kieruje się odgłosami okrzyków. Dobiegają spoza gęstej kępy rododendronów podobnych do tych, jakimi obsadzono drogę wjazdową. Kiedy jest już bliska boiska, nagły, wyjątkowo głośny krzyk przechodzi w rozpoznawalne: hip hip hura. Laura odgaduje, że mecz dobiegł końca i z pewnością za kilka

sekund lawina chłopców przedrze
się przez ogrodzenie z zielonych
liści wylewając się na drogę,
którą i ona podąża.

Odsuwa się na bok z osobliwym
uczuciem, że staje się
niewidzialna. I rzeczywiście
nikt z przechodzącej grupy na
nią nie patrzy, chłopcy są duzi
i mali, wszyscy w granatowych
koszulkach z wyłożonymi
kołnierzykami i białych
spodenkach. Najpierw rzuca jej
się w oczy ten właśnie szczegół
umundurowania syna. Mają zdrowy
wiejski wygląd, różowe policzki,
rozprawiają donośnie, zuchowato.
Włosy mają przeważnie długie,
śpieszą się, jakby ich czekało
coś szczególnie miłego.
Prawdopodobnie kolacja, myśli
Laura, gorąca zupa z grzankami
przy stole w ciemnym hallu.

Teraz nieco wolniej zbliża się
grupa młodszych chłopców. Biegna
truchcikiem, zwalniając niekiedy
tempo do spacerowego kroku.
Rozmawiają z większym
ożywieniem, dobitnie
gestykulując, najwidoczniej
przeżywają na nowo każdy
szczeół meczu. Z pewnością
musiała wygrać ich drużyna, z
uśmiechem odgaduje Laura.

Dostrzega Nicka. W samym
środku grupy. Jest tak bardzo
częścią tej buńczucznej gromady,
że Laura przez chwilę zastanawia
się, czy to naprawdę on. Tuż
obok rozpoznaje inną znajomą
buzię i cofając się pamięcią do
ostatnich chwil spędzonych z
Nickiem, uświadamia sobie, że to
przecież chłopiec z angielskiej

rodziny w Viareggio. Co za przypadek. Bardzo to dziwne. Kiedy się nad tym zastanawia, chłopcy mijają ją tak szybko, że chcąc się z nimi zrównać, musi podbiec. Rzuca się naprzód, ale kiedy stała obserwując uczniów, jej eleganckie wysokie obcasy ugrzęzły w trawie. Straciwszy równowagę omal nie upadła, zostawiając za sobą pantofel.

Nagle uświadamia sobie, jaki przedstawia sobą obraz, czerwona na twarzy, ze zgubionym czółenkiem i nie dopiętą spódnicą. W jednej chwili rezygnuje z pościgu, obraca się i wyciąga z trawy pantofel. Wkłada go, poprawia zakiet i spódnicę, przygląda włosy. Stoi, ze spokojem przyglądając się ciągle przechodzącym obok chłopcom.

Za chwilę inni uczniowie, ubrani w czerwone koszulki i granatowe spodenki, dołączają do fali wracających kolegów, za nimi zaś zbliżają się nauczyciele i garstka rodziców. Wśród tej grupy Laura dostrzega Johna. Idzie w jego kierunku już zupełnie spokojna i opanowana. Wsuwa mu rękę pod ramię.

- Widziałam Nicka. Był rozpromieniony i szczęśliwy.

- Świetnie - mówi Johnny z umiarkowanym zainteresowaniem, jak gdyby go to niewiele obchodziło.

- Nie rozmawiałam z nim. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

- Masz rację. Poczekaj. Jeśli mi się uda choć na chwilę odwrócić uwagę starego Stue od

jego wielkiego zwycięstwa,
przedstawię ci go.

Potem, w nocy, Laura leży w łóżku, Martin głaszcze ją po zaokrąglonym brzuchu. Laura czuje, jak pod dotknięciem jego dłoni napina się jej skóra. Ujmuje tę dłoń i wodzi nią po całym ciele, po ramionach i w dół pod pachami, po piersiach, biodrach, pośladkach.

- Taka jesteś dzisiaj miękka, rozluźniona - mówi Martin. - Zdaje mi się, że znów do mnie wróciłaś.

- Nigdy się nie oddalałam.

- Tak. Tak - całuje ją, gładzi po całym ciele, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

- Musisz mi wybaczyć. -

Przyznaje mu rację. - To przez Nicka. Teraz czuję się znacznie lepiej. Widziałam go. - Zaróżowiona buzia, gęste kędzierzawe włosy, śmiejący się, rozszczebiotany. Już nie jest małym dzieciątkiem. - Kocham cię - mówi przymykając powieki. Cała jej terażniejszość jest teraz tu, przy nim.

Ciąża służy Laurze, wygląda wspaniale. Jest dość speszona sobą, tą majestatyczną matroną, gotową do wydania na świat potomstwa. Ma wrażenie, że jest kimś zupełnie innym. POtrafi spać jak kamień przez dwanaście godzin i wstać z nadal ciężkimi powiekami, resztę dnia spędzając niemal w półśnie. Tak jak we Włoszech całkowicie poddała się słońcu, teraz bez reszty pozwoliła opanować się ciąży.

Pod koniec listopada Martin musiał wyjechać do Ameryki na kilka dni i zapytał, czy Laura ma ochotę mu towarzyszyć.

Spojrzała na niego zdumiona,
jakby nie rozumiejąc, o co
chodzi, postanowił więc nie
namawiać jej na tę podróż. Po
jego odlocie, rozpamiętując swój
ostatni pobyt w Stanach, nie

dostrzegła żadnego podobieństwa
między swym obecnym wcieleniem,
przypominającym klacz pod
siodłem z aksamitu i
złotogłowia, a tamtą zaaferowaną
osóbką w czerwieni i bieli, jak
kłusak drobnym krokiem
przemierzającą Piątą Aleję.
Przesłała Ellen dużo czułości.

Do niewielu spraw, które
docierały do niej spoza obrębu
jej prywatnego świata, należało
żywe i rzeczywiste Boże
Narodzenie. Zawsze przepadała za
tymi świętami, ich rytuałem i
tradycją podkreślającą
znaczenie rodziny. W tydzień czy
dwa po jej wizycie w szkole
otrzymała list od Nicka.
Patrzyła na jego pismo bez
przyśpieszonego bicia serca i
odczytywała je bez śladu
rozpaczy, sprawiło jej
przyjemność. Przeobrazila się
do tej pory w imponującą górę o
opóźnionych reakcjach
uczuciowych. Nicky wyjaśniał, że
pan dyrektor poradził mu napisać
do niej list i że ma nadzieję,
iż mama mu odpisze. Poza tym
donosił, że Boże Narodzenie
spędzi u cioci Katie i że ma do
niego przyjechać tatuś.

Zaczęli korespondować. Zajęcie
w tonacji minorowej, które
jednak nie rzucało smutnego
cienia na sprawy bieżącego dnia.
Wśród czynności wpisanych na

codzienną listę, takich jak zakupy, spacer, praca, Laura znajduje czas, by mu z całym spokojem napisać: "Oczywiście przyjadę do ciebie w czasie świąt Bożego Narodzenia, zobaczysz, jak utylam. To dlatego, że urodzę dzidziusia. Będzie Twoim przyrodnim bratem albo siostrą. Będziesz się przy nim czuł bardzo dorosły!"

Martin przylatuje z Nowego Jorku. Ma grypę i w ogóle jest przygnębiony. Pertraktacje z telewizją nie zostały doprowadzone do końca,

transakcja, na którą liczył, została odłożona do NOwego Roku. Kładzie się do łóżka, zgadzając się, by Laura przynosiła mu niezliczone filiżanki gorącego rosółu na zmianę z whisky z cytryną. Jest zachwycona widokiem Martina w piżamie w paski, opartego wysoko o poduszki. Wygląda jak grzeczne dziecko. Po kilku dniach, dochodząc do zdrowia, Martin prosi Laurę, żeby mu przyniosła z biur podróży kilka broszur reklamujących wyjazdy na narty. Wkrótce łóżko zarzucone jest olśniewającymi kolorowymi zdjęciami, Martin zaś z ożywieniem prowadzi telefoniczne rozmowy z agentami podróży i z przyjaciółmi.

Laura obserwuje go, siedząc w nogach łóżka. Martin odkłada słuchawkę i dopiero teraz jakby przypomina sobie o jej istnieniu.

- Zawsze wyjeżdżam na narty -

mówi. - Chciałabyś przecież spędzić Boże Narodzenie w Szwajcarii, prawda?

W pierwszej chwili Laura nie odpowiada, nie przestaje obserwować Martina przerzucającego jedną broszurę po drugiej. Wybiera dwie. - Davos jest świetne, jeśli się nas zbierze osiem, dziesięć osób. Można wtedy wynająć naprawdę dobry górski szałas. Jeśli nas będzie mniej, najlepiej będzie ulokować się w jakimś hotelu w Klosters. Wjazd samochodami jest tam zabroniony.

- Obiecałam Nickowi, że przyjadę do niego w czasie Świąt
- łagodnie oświadcza Laura. Jej zdecydowany ton nie zdradza wahania.

Martin jest także spokojny.

- Nie mógłby pojechać na narty razem z nami? To najlepszy wiek dla początkującego narciarza. Byłoby to dla niego wspaniałe.

- Myślałam, że będziesz chciał spędzić Świąta z mamą.

- Zaproszę ją przed wyjazdem na elegancki obiad.

Laura myśli, że tym, co ją w Martinie najbardziej pociąga, jest jego pewność siebie. Miles, mimo życiowych ambicji i sukcesów, przy całej swojej inteligencji, nie był mocną osobowością. W ich małżeństwie to ona była opoką, na której budowali wspólne życie. Natomiast Martin ani tego od niej nie potrzebował, ani nie oczekiwał. Dla niego liczyła się tylko miłość. Nic więcej. Pragnął tylko jej miłości.

- W najgorszym razie zawsze
mogę przyjechać do was później.
- Wie, że Miles nie dopuściłby
do tego, by będąc w ciąży z
innym mężczyzną zabrała na narty
ich syna.

Laura jedzie pociągiem do
Katie i Johna. Wigilia. W
zatłoczonych wagonach jest
bardzo duszno. Widok z okna
monotonny, pola uprzątnięte,
szare, ołowiane niebo nawisłe,
jak gdyby zapowiadało śnieg.
Dzieci byłyby zadowolone, myśli
Laura, zauważając równocześnie,
że już przestaje automatycznie
patrzeć na świat oczyma dziecka.
Przykłada dłoń do pałających
policzków. Ciekawe, kto wyjdzie
po nią na stację.

Wysiada z pociągu. Wygląda
bardzo ładnie. Ma na sobie
obszerny purpurowy płaszcz i
czarne zamszowe kozaczki. Ciemne
włosy nosi teraz dłuższe,
odrzucone do tyłu i przytrzymane
wpiętymi grzebykami. Oczy jej
błyszczą nadzieją na bliskie
spotkanie, chociaż ruchy ma
powolne.

- Jest, tam! - woła piskliwy
chłopięcy głosik. ZObaczyła go,
biegnie w jej kierunku, wysoki,
ufny, ma na sobie skafander z
kapturem i gumowe buty. Jest
zaskoczona jego męską postawą,
bez śladu kobiecej miękkości tak
częstej u małych chłopców. Już

teraz wygląda, jakby był o
dziesięć lat starszy.

- Jaki jesteś duży! - Mówi
Laura, kiedy zatrzymuje się
przed nią nagle z niemal

uroczystą miną.

- Ty też jesteś duża.

Patrzą na siebie. "Proszę Cię, Panie Boże, nie pozwól, żeby mnie znienawidził" - pośpiesznie, niemal z podświadomości wyrywa się jej żarliwa modlitwa.

Za Nickiem podbiega dwójka dzieci Johna i wreszcie on sam, w tweedowej czapce głęboko nasuniętej na zaróżowione policzki.

- Witaj! Witaj! - woła.

Nicky rzuca się do przodu, całuje mamę i patrzy na nią uśmiechnięty. - Tak się cieszę, że jesteś - mówi i natychmiast podnosząc głos tak, by każdy mógł go słyszeć, woła: - Święta będą wspaniałe! - Chwyta stojącą obok walizkę Laury i niesie ją w kierunku stacji. - Jeszcze nigdy nie dostałem tak wypchanej skarpety jak od cioci Katie - mówi, dźwigając walizkę.

Laura odzwyczała się od energii dzieci. Ma wrażenie, że słyszy szum motorów samolotu. Ona siedzi nieruchomo, a Nicky przelatuje to nad nią, to dokoła niej, to znów gdzieś z boku, bombardując ją oderwanymi zdaniem. Odpowiada, ale wcale nie jest pewna, czy coś z tego do niego trafia. Może to w końcu nie ma znaczenia, zastanawia się. Liczy się sama jej obecność. Przy następnym spotkaniu może bardziej się do niej zbliżyć, ale nawet jeśli tak się nie stanie, musi sobie powiedzieć, że jej syn wyrósł, stał się samodzielny i powinna być z tego dumna. Nie jej potrzeby się tu liczą.

Po Świętach wybiera się do Nell. Nie widzi sensu w wyjeździe do Martina. O nartach w jej sytuacji przecież nie ma

mowy. Zastanawia się, czy zrewanżować się Milesowi i zabrać z sobą Nicka bez uprzedzenia. Ale chłopcy Nell są już starsi. Ma w pamięci tych milczących blondynów z nieodłącznymi książkami pod pachą, nie widzi Nicka na ich tle. Czuje się szczęśliwy w swojej wesołej gromadce.

- Kupiłam ci nowy zestaw narzędzi budowlanych - mówi Laura. - Wspaniale! Tatuś kupił mi wrotki. Nigdy nie miałem dwóch prezentów naraz.

W zimnej sypialni Laura rozpakowuje swoje rzeczy. Wszystko, co kupiła dla Nicka, układa w zgrabny krąg. Jest tego bardzo dużo. Zawsze największą przyjemność sprawiało jej wybieranie najdrobniejszych podarków, ale tym razem czuje się nagle na ich widok ogromnie samotna.

Wchodzi Katie z kieliszkiem sherry. - Chcesz pójść z nami na pasterkę?

- Nie. Raczej nie. Rano zabiorę Nicka do kościoła.

- Ale widzisz, chodzi o to, że obiecałam dzieciom...

- Rozumiem. - Laura wręcza Katie niewielką paczuszkę. - Kupiłam kilka śmiesznych maskotek, żebyś włożyła do ciasta.

Katie patrzy na nie skonsternowana. - Prawdę mówiąc, już...

- Drobiazg. - Laura upija łyk sherry z kieliszka.

W drugi dzień Bożego

Narodzenia rano Laura wyrusza do Nell.

Wszyscy wyszli przed dom zobaczyć, jak odjeżdża. Jest bardzo zimno. Ktoś mówi: - Jest za zimno, żeby spadł śnieg. - Ale właśnie w tym samym momencie ogromne białe płatki zaczynają leniwie unosić się w powietrzu. Opadają tak powoli, że niekiedy wydaje się, iż wiszą nieruchomo,

niektóre przesuwają się w bok to w jedną, to w drugą stronę, kreśląc w powietrzu jakieś wzory.

Dzieci piszczą z zachwytu. Biegają dokoła przedstawiając złożone do chwytania rączki, otwierają buzie w nadziei, że uda im się pochwycić w ten sposób choć jeden płatek. Laura przygląda się Nickowi. - Chodź, Johnny. Jedziemy na stację. - Energicznie rozciera dłonie. - Niech Nicky zostanie. Wolę zapamiętać go takim jak w tej chwili. - Jest zbyt zimno, żeby popłynęły łzy, ale czuje pod powiekami jakby klucie małych soplek lodu.

Laura chwytą Nicka, który odkąd płatki śniegu zaczęły wirować, kręci się dokoła coraz szybciej. Pochyla się nad synkiem. Jej obszerny płaszcz wygląda jak przykrywający ich dzwon. - Nie zapominaj napisać i pamiętaj, że mogę do ciebie przyjechać, kiedy tylko będziesz chciał. - Wyrwał się, ślizga się, upada, znowu biegnie zapomniawszy o całym świecie.

Laura z uśmiechem przygląda mu się przez okno samochodu. Johnny

naciska klakson i ruszają.
Jeszcze jedno spojrzenie i
zostawiają za sobą stojące
szeregiem dzieci, ciemne figurki
na białym tle, machające
rączkami i coś tam
wykrzykujące. - Mam uczucie,
jakbym odjeżdżała z własnego
ślubu, obsypywana ze wszystkich
stron konfetti - cicho mówi
Laura.

- Ze ślubu? - żywo reaguje
Johnny ostrym, drwiącym głosem.

- W obecnej sytuacji warto na
ten temat porozmawiać!

Laura poklepuje go po rękawie
płaszczka. Nawet Katie nie
ośmieliła się ją o to zapytać.

XIX

Śnieg okrył wrzosowisko Nell
białą płachtą. Krucha to osłona
dla dzikiej trawy, janowców i
ciemnych ostro zarysowanych
drzew. Kiedy się po nim
chodziło, przylepiało się do
podeszew, zostawiając za idącym
czarne ślady. Dotknąwszy ręką,
można było sprawdzić, że był
twardy jak lód. Na białym tle
ludzkie postaci ogromniały,
przypominając wycięte z czarnego
papieru wiktoriańskie sylwetki.

Chłopcy Nell są ogromni.
Wolnym krokiem oddalają się od
domu, ich poważne, skupione
twarze z daleka sprawiają
wrażenie ponurych. Jeden z nich
niesie na ramieniu strzelbę,
książkę chwilowo wsunął do
kieszeni.

- Chwała Bogu, wyszli. - Nell
stoi z Laurą na progu niskich
drzwi wejściowych. - Teraz

możemy porozmawiać. - Obserwuje,
jak odchodzą. Obraca się, żeby
wejść do domu. - Nie ma chyba
ani jednego ptaka czy innego
stworzenia, które by ich nie
dostrzegło. - Laura nadal
przygląda się chłopcom, nie
kwapiąc się do rozmowy z Nell.
- Nastawiam czajnik, a ty ułóż
wysoko stopy.

Powolnym krokiem Laura idzie
do pokoju. Panująca wokół niej
natchnęła Nell myślą, by
pomalować w nim ściany na biało.
Maluje kolejno po jednej
ścianie, nie przejmując się
stosem rzeczy, które trzeba
przesuwać z kąta w kąt. Cały dom
jest przesiąknięty zapachem
farby i terpentyny. Nell ma na
sobie drelichowy kombinezon
upstrzony białymi plamkami,
wygląda jak skała, na której
przesiadują ptaki. Rude włosy
przewiązuje teraz
jaskrawą przepaską, różową,
przetykaną złotą nicią.

- Musiałam wymyślić chłopcom
jakieś zajęcie na okres
święteczny - wyjaśnia.

Nie wygląda na to, by chłopcy
robili coś więcej poza
przesuwaniem mebli. Całe godziny
spędzają w swoim pokoju na
słuchaniu muzyki, tylko od czasu
do czasu schodzą na dół, żeby
pochłonąć ogromne porcje
spaghetti albo ryżu z przecierem
pomidorowym, które sobie sami
przyrządzają. Laura
przypuszczała, że robią to
głównie w nocy, bo rano nad
zapachem farby góruje
charakterystyczna dla chłopców

woń przepoconych ubrań i
palonych w tajemnicy papierosów.

Przedtem nigdy nie wychodzili
z domu.

Nell leży na podłodze na
plecach, zgrabnie upozowana,
zupełnie jakby się opalała na
trawniku.

- Co słyszeć z twoim
wielbicielem? - pyta Laura, gdyż
Nell wbrew zwyczajowi dotąd nie
rozpoczęła rozmowy. - Ciągłe
nalega?

- Ha, ha! - Jednym skokiem
Nell zrywa się na równe nogi i
nakrywając jakiś mebel, walczy z
pokrowcem robiąc z tego całe
przedstawienie. - Po co mam sobie
urabiać ręce po łokcie? W imię
czego? - Podnosi pędzel i
wymachuje nim nad głową. -
Sprzątanie, malowanie,
gotowanie. Wieczne borykanie
się, wieczne! Walka o jakieś
okropne zamówienie na moje gary.
A potem wyścig z czasem, żeby je
wykonać. Czy to ma jakiś sens?
PO co to wszystko? Inne kobiety
tego nie znają. Mają mężów,
służbę, kochanków. Nie spędzają
Bożego Narodzenia w zapadłej
dziurze na wrzosowisku,
zameczając się dla dwóch
wrostków. Czy ty wiesz, że
nawet drzewo muszę rąbać sama? A
to - szerokim gestem wskazuje na
przewrócony do góry nogami i
poprzykrywany pokrowcami pokój.

- Czy jest ktoś poza mną, kto
spędza drugi dzień Świąt
malując ściany białą emulsją?

Laura popija kawę. Tyrada Nell
z wyliczaniem ciężących na niej
obowiązków niewiele ma wspólnego

z rzeczywistością. Nell zawsze robiła to, na co miała ochotę. Może później wyjawia Laurze, o co jej właściwie chodzi.

- Co powiesz na to, żebyśmy skończyły tę ścianę i doprowadziły pokój do porządku?
- decyduje się zaproponować Laura.

- Jak chcesz - zgadza się Nell bez szczególnego zainteresowania, utwierdzając Laurę w przekonaniu, że bardziej chodzi jej o malowanie aniżeli o czyste ściany. Ukończona rzecz nigdy nie przedstawiała dla Nell tej wartości co praca nad nią. Życie - to była jej prawdziwa przyjemność.

Ustawiają się twarzą do ściany. Każda z pędzlem w ręku. Zaczynają malować, to wspinając się na palce, to zginając w pół, zupełnie jakby wykonywały jakiś wschodni taniec. Laura, która dawno nie miała żadnego ruchu, czuje, jak ją ta praca uspokaja, jak rozciąganie mięśni brzucha dobrze jej robi. - Dopuszczałam do tego, że jestem tęga i ociążała - mówi cichym głosem w przerwie między skargami Nell.

- Rzeczywiście, bardzo utylaś.
- Nell przestaje malować, opierając rękę z pędzlem na biodrze. - Co na to Martin, jest zadowolony?

- Nie wiem. - Laura nie przerywa rytualnego gestu, klaps pędzlem o ścianę i pociągnięcie w dół. Uważa, że Nell, mimo młodego kochanka z kempingu, mimo bogatego adoratora, niespożytej kobiecej energii i determinacji, nie będzie się mogła zdobyć na właściwą ocenę nie dającej się wyrazić słowami namiętności, która jest udziałem jej i Martina. Jest to miłość

spowita w purpurową mgłę, myśli z rozmarzeniem i tęsknotą. Nie rozwieje tej mgły nawet dla Nell.

- Jak zechcę, rzucę to wszystko! - buńczucznie oświadcza Nell, końcem pędzla sięgając do gzymsów. Ale Laura, zajęta swoim tańcem w górę i w dół, w górę i w dół, straciła wątek, nie wie, o co jej chodzi. Z Katie może przynajmniej spokojnie zastanowić się nad tym, co podać na stół.

W nocy, leżąc w wąskim wiejskim łóżku, Laura czuje wzrastający niepokój, którego nie doznawała od dawna. Może to wpływ Nell, a może ruch, do którego nie była przyzwyczajona.

Nie śpi. Pogrążona w dzwoniącej w uszach ciszy przywołuje obraz twarzy Martina. Cisza wydaje się jej dobrym tłem, jak na ekranie telewizyjnym pojawiają się rozedrgane kontury jego twarzy.

POdciąga się i przybiera pozycję siedzącą. Natychmiast wyjaśnia się przyczyna jej niezwykłego podniecenia. Czuje między nogami wypływającą ciepłą ciecz. Nie dobywa głosu i nie porusza się, przez co najmniej pięć minut siedząc jak lalka z rozstawionymi nogami. Ostrożnie, powoli opada na posłanie.

Nadal nie chce wzywać pomocy. POddała się swemu przeznaczeniu. Żadne działanie nie wydaje się możliwe ani konieczne. Czuje, że ilość wydzieliny stopniowo maleje. Zaczyna myśleć o modlitwie. O grzechu i karze, i nowym życiu, które się w niej

poczęło. Nie umie sobie
odpowiedzieć na pytanie, czy
wierzy w cokolwiek. Nawet
dziecko, mimo że to z jego
powodu leży teraz nieruchomo,
wydaje się zupełnie oderwane od
rzeczywistości.

Czarna noc szumi w uszach, ale
twarz Martina już się nie
pojawia, ustąpiwszy miejsca

wzmoczonemu brzęczeniu.
Zastanawia się, czy nie
wyciągnąć ręki, żeby zapalić
nocną lampkę. Brzęczenie może
by ustało. Ale nawet taki ruch
wydaje się zbyt śmiały. Jeśli
potraktuje swoje ciało jak
naczynie, twardy futerał, który
może być jedynie osłoną
złożonego w niej życia, może
wtedy Bóg przebaczy jej
grzesznemu sercu i sprawi, że
zarośnie otwór w pęcherzu
płodowym.

chyba że Bóg zechce, żeby z
niej wyciekło całe wnętrze i
została jedynie powłoka. Może
się już nią stała. Może jest
jedynie wydmuchaną skorupką od
jajka.

Zapadła w drzemkę. W głęboki
letargiczny sen, w którym jednak
zachowała świadomość delikatnego
sączenia się wydzielin. Budzi
się, więc domyśla się, że spała,
za cienkimi zasłonami widzi
światło dnia. Jeszcze szare,
niewystarczająco jasne, żeby
pokryć ściany kwiatowym wzorem
okiennych zasłon. Przychodzi jej
na myśl, że jasność dnia
spotęgowana jest odbiciem
światła od białego krajobrazu,
nagle pojawia się też

wyobrażenie czerwieni krwi na śniegu.

- Nell! - woła ostrożnie. -

Nell!

Dzień ożywa. POjawia się Nell z ręcznikami. Za nią chłopcy niosąc książki, żeby oprzeć na nich koniec podniesionego na nogach łóżka. Wreszcie przychodzi lekarz. - Nie ma bólów? Nie czuje pani żadnego bólu? - Młody i szczupły, stoi na środku pokoju. Zza jego pleców ciekawie patrzą oczy Nell, która mimo niepokoju w tej dramatycznej chwili jak dziecko nie potrafi ukryć swego podniecenia.

- Nic nie czuję - mówi Laura, zdziwiona, że w ciągu całej długiej nocy w ogóle o tym nie

pomyślała. - Nie mam żadnych bólów. Ustało także krwawienie.

- Według mnie - mówi ciepło lekarz - jest to klasyczny przypadek placenta praevia, łożyska przoduującego.

- Czy to dobrze? - pyta Nell.

- Zależy od tego, czy ma pani ochotę bez przerwy leżeć - z uśmiechem patrząc na Laurę, odpowiada pytaniem na pytanie doktor.

Laura myśli, że sama do tego doprowadziła, do wyroku skazującego ją na leżenie przez pozostałe trzy miesiące. Jest to punkt szczytowy narastającej w niej w ostatnich kilku miesiącach niechęci do ruchu. Rozumowanie lekarza nie jest dla niej ważne, nie przekonuje jej.

- Powinna pani zgłosić się na jakiś czas do naszego szpitala,

na wypadek ponownego krwawienia
- oświadcza lekarz, który
nieodparcie sprawia na Laurze
wrażenie weterynarza. Ma
dobroduszną, otwartą twarz, a
tweedowa marynarka, którą ma na
sobie, przesiąknięta jest
zapachem siana i jodyny.

Następnego dnia lekarz łagodzi
swoje zalecenie, mówiąc, że
jeśli wszystko pójdzie dobrze,
za kilka dni będzie mogła
pojechać do któregoś ze szpitali
w Londynie, jednak nie wolno jej
wstawać z łóżka. Bez specjalnych
emocji Laura zastanawia się, czy
ktoś poinformował go o jej
sytuacji życiowej.

- Bardzo chcę tego dziecka -
mówi łagodnie. Przypuszcza, że
to prawda, skoro tak nieruchomo
przeleżała tę noc.

- Moje obawy dotyczą pani -
nie patrząc na nią oświadcza
lekarz. - Jeżeli będzie pani
chciała z jakiegoś powodu wstać,
proszę chodzić opierając się
jednocześnie na rękach i
kolanach, na czworakach.

- Jak zwierzę - mówi Laura.

- Istotnie, zwierzęta są
znacznie lepiej przystosowane do

cięży aniżeli ludzie.

Jestem więc bardziej
nieporadna niż zwierzę, myśli
Laura. Dobrze, że Martin
wyjechał na narty. Nie chcę,
żeby w tym czasie był blisko
mnie.

Szpital nie był bardzo duży.
Zbudowany z czerwonej cegły,
stał między jedną z najszerszych
i najhałaśliwszych ulic Londynu

a pięknym architektonicznie kościołem, którego zegar bił co kwadrans. Laura czuła się uwięziona między wiekiem dwudziestym z jednej strony i osiemnastym z drugiej. Znalazła się na ziemi niczyjej, w poczekalni, nigdzie nie tkwiła korzeniami, jedyne, co miała, to dziecko w jej ciele. Martin nie skrócił pobytu, ale nalegał, żeby wzięła osobny pokój. Ten luksus z deseniem w róże zwiększał jej uczucie osamotnienia. Kiedy Martin wróci, wytłumaczy mu, o ile przyjemniej byłoby jej na sali ogólnej. Wyobrażała sobie, że włączyłaby się w nurt życia, będąc w tej samej sytuacji co tyle innych kobiet dokoła.

Pewnego wieczoru około szóstej, kiedy na dworze jest już ciemno i Laura bez przekonania patrzy na cynowe pokrywki na talerzach ze świeżo przyniesioną kolacją, rozlega się energiczne pukanie. Skrzydło podwójnych drzwi jest otwarte dzięki czemu przez matową szybę można dostrzec twarz gościa, przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że to ktoś wysoki i nosi okulary.

Nieoczekiwana szansa porozmawiania z kimś poza dyżurną, zawodowo uśmiechniętą pielęgniarzką natychmiast sprowadza na policzki Laury rumieniec ożywienia. Podciąga się wyżej na poduszki.

- Proszę.

W drzwiach zjawia się Miles.

Zatrzymuje się raptownie. - Czy mogę wejść?

- Gdybym powiedziała "nie", wyszedłbyś?

Miles wskazuje na tacę, z której unosi się słaba woń groszku i pieczeni. - To pora twojej kolacji.

Laura orientuje się, że nie ma w nim śladu wrogości czy chęci ostrej wymiany słów. Teraz kiedy jest unieruchomiona, mogłaby się pojawić taka pokusa. W samej rzeczy jest tak bardzo zmieszany, że prawdopodobnie najchętniej by uciekł, wymówiwszy się tym, że jej przeszkodził w kolacji.

Laura odsuwa na bok stolik z tacą. - Nie przejmuj się tym. Weź krzesło i usiądź. - Czyżby korzystając z faktu, że znajdują się na gruncie neutralnym, przyszedł, żeby się rozsądnie porozumieć? Serce mówi jej, że chodzi o Nicka, jednak patrzy na Milesa z całym spokojem, tylko rumieńce na policzkach ma coraz intensywniejsze.

Miles siada. Ma na sobie beżowy prochowiec, którego Laura nie pamięta, i jeden ze swych ciemnych garniturów. Kładzie na kolanach teczkę, z którą przyszedł, i otwiera ją. Wyjmuje okazałą kiść winogron owiniętą w cienki papier. - Zdaje się, że się nie pogniotły.

- Są piękne. - Laura kładzie winogrona przed sobą, na wygórowanej na brzuchu pościeli. Wyglądają jak wielkie purpurowe rzeźby wykute w zboczu pagórka. Co za pospolite i trywialne wyciągnięcie ręki do zgody. Laura siedzi i czeka.

Ostatecznie to on przyszedł do niej. Niech mówi. Urywa jedną jagodę i kładzie do ust. Sok płynie przez przełyk prawie jak

alkohol.

- Może mam je oplukać?

Laura drgnęła. Jest w stanie oszołomienia. - Rzeczywiście,

może byś je umył.

Miles bierze purpurowe grono i puszcza na nie silny strumień wody. Układa na złożonym papierze i wraca na swoje miejsce. Za drzwiami jest jakiś ruch, do pokoju energicznie wchodzi pielęgniarka. Podnosi pokrywki. - Jeszcze pani nawet nie zaczęła jeść.

- Nie jestem głodna. Może siostra zabrać tacę.

- Kawa, herbata, a może ziółka?

- Proszę przynieść kawę, jeśli łaska.

Pielęgniarka wychodzi z tacą. Miles, który wstał po jej wejściu, teraz szybko siada z powrotem i zaczyna mówić.

- Bardzo się zmartwiłem, że nie czujesz się dobrze, powiedział mi o tym Johnny. No i oczywiście Katie. Musi to być dla ciebie okropne. Przez cały czas leżeć w tym pokoju.

- Spodziewam się dziecka.

Po twarzy Milesa przebiega grymas cierpienia, odwraca wzrok. Laura wstydzi się własnego okrucieństwa. - Wiem o tym. - Chwila ciszy. Laura urywa następną jagodę.

- Cieszę się, że przyszedłeś - mówi.

- Johnny mi powiedział... -

Laura myśli, że Johnny musiał mu powiedzieć, że Martina nie ma w Londynie, w innym razie Miles nigdy by się nie odważył

przyjść.

- Strasznie tęsknię za Nickiem. Strasznie - wrywa się Laurze niespodzianie. Zmieszana czuje napływające do oczu łzy.

- Tak. Mogę to sobie wyobrazić. Nicky ma się dobrze. Polubił nową szkołę. Właśnie go do niej odwiozłem po feriach. Dał mi coś dla ciebie. - Znowu szpera w teczce i wyjmuje pękata, pomiętą kopertę. - Włożył tu kamyk szczęścia.

Laura bierze kopertę i odkłada na bok, lekko wsuwając pod

okrywający ją koc. Osądza, że tak spokojne nawiązanie kontaktu z Milesem warte jest nawet takiego poświęcenia, jakim było nie widywanie Nicka. Gniew Milesa się wypalił.

- Przykro mi, że spadły na ciebie takie kłopoty. - Miles pochyla się i kładzie rękę na łóżku. - Nie ma we mnie najmniejszej chęci zemsty, wierz mi.

Laura zupełnie nie wie, co ma powiedzieć. Teraz, kiedy się przybliżył, jej wydatny brzuch, tak bezpośrednio między nimi, zaczyna być krępujący.

Ostatecznie jest przecież jej mężem, patrzy na nią - Laura spostrzega to zupełnie nagle - z męzkim ciepłem i uczuciem.

- Myślałam o tym, żeby wziąć Nicka w czasie ferii zimowych, ale teraz to wykluczone - oświadcza nerwowo.

- Oczywiście. Bardzo ci współczuję. - Pozornie Miles słucha jej z uwagą, Laura jednak zdaje sobie sprawę, że wcale nie

myśli o Nicku. Przygotował sobie przemowę i zbiera się do jej wygłoszenia. Tknięta złowrogim przecuciem próbuje się lekko odsunąć.

Za późno. Miles chwyta jej dłoń obiema rękami. Krzesło zgrzyta o podłogę.

- Jestem gotów o wszystkim zapomnieć. O wszystkim! Wybaczyć ci nawet dziecko. Jeśli je będziesz miała, postaram się je pokochać jak własne. Rozmawiałem z lekarzem. Twierdzą, że o lasce mogłabyś pójść do domu, to przecież niedaleko, wypuszczą cię przynajmniej na miesiąc. Wszystko nadal na ciebie czeka. Cały dom, w którym się zawsze czułaś szczęśliwa. Wciąż cię kocham. Nie robię ci żadnych wyrzutów. To zupełnie naturalne, że kobiety w twoim wieku odczuwają pewien niepokój. Za dużo dokoła pokus. Zbyt pochłonięty byłem swoją pracą.

Nie dość poważnie odnosiłem się do twojej. Sądziłem, że Nicky wypełnia ci cały świat. No, już dość. Nicky byłby taki szczęśliwy, gdybyś wróciła. I ja byłbym szczęśliwy. Jestem twoim mężem. Przecież wierzysz w małżeństwo. Wiem, że tak jest. I ty wiesz także. twój katolicyzm. Kościół. Przyjaciele. Roy, Katie, Lizzie. Nie zrobiłabyś mu żadnej krzywdy. Przeżyłby to. Nie jesteś mu tak potrzebna jak nam. My także jesteśmy ci potrzebni. Spójrz tylko na siebie. Gdzie się znalazłaś? Kim właściwie jesteś? Po co to wszystko? Przestałaś być sobą.

Zagubiłaś się. Jesteś zagubiona.
Twój dom ciągle na ciebie
czeka. Och, Lauro, Lauro, moje
biedne zbłąkane kochanie,
Lauro...

Ogarnięty siłą uczucia i
wyczerpany napięciem, z jakim je
wyraził, Miles tuli głowę do
piersi Laury. Zmierzwił
rzadkie kosmyki włosów i krople
potu na jego czole sprawiają, że
leżąc na pościeli głowa wydaje
się nie mieć nic wspólnego z
elegancką czarną postacią zgiętą
wzrostem na krześle. Chłodna teraz
jak lód Laura czuje się jak
Judyta trzymająca głowę
Holopernesa.

Odgarnia włosy ze skroni.
Przychodzi jej na myśl, że oto
adwokat wygłosił mowę obrończą
we własnej sprawie. Czy była to
mowa jego życia, w pocie czoła
obmyślana noc w noc? Czy to
stopniowanie uczucia zamierzone
było dla wywołania jak
największego współczucia sądu?
Więc już nie siedziała na ławie
oskarżonych, jak starał się ją o
tym przekonać? Nie. Wszystko to
jest fałszem. Osądził, że
dostała dobrą lekcję i chce,
żeby teraz do niego wróciła,
biedna zbłąkana Laura, z głową
posypaną popiołem, w pokutnym
worku, dość obszernym, by
pomieścił i dziecko - jeśli je

urodzi. Miles nie wierzy, że ono
się urodzi. Wszystko to tylko
słowa. Opuszcza rękę
podtrzymującą włosy.

- Kocham Martina - oświadcza.
Głowa wraca powoli na swoje
ramiona. Usta się otwierają.

Twarz się zapada.

- Rozumiem.

I znowu Laura czuje się zawstydzona, jak poprzednio. Ale nie mówi nic. Miles z wysiłkiem podnosi się z krzesła. Wydaje się, że nie ma siły podźwignąć teczki. Wolnym krokiem idzie do drzwi. Laura boi się, że już się nie obróci i nie powie ani słowa. Poruszona, mówi: - Chcę, żebyś mi dał rozwód.

Patrzy na nią, Laura ma dość czasu, żeby zauważyć, jak czerwone są jego oczy za okularami. Prawdopodobnie, kiedy położył głowę na jej piersi, płakał. - Tak. Spodziewam się, że chcesz rozwodu.

Wychodzi, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Przez ich szybę Laura obserwuje, jak jego beżowy płaszcz znika w korytarzu.

Następnego dnia po wizycie Milesa jest niedziela. Laura przestała już myśleć o jego okropnej propozycji, ale kiedy za szybą drzwi znowu pojawia się blada twarz i czarny garnitur, zaczyna drżeć, jakby ujrzała śmierć. Pukanie, które się rozlega, nie zwiastuje groźby, jest tak nieśmiałe, że to raczej muskanie drzwi palcami aniżeli stukanie.

Mimo to drzenie nie ustępuje, ogarniając nawet jej twarz.

- Proszę wejść.

Drzwi się uchylają. - Nie chciałbym pani przeszkadzać. - Jest to ksiądz, który stojąc w korytarzu wsuwa głowę do pokoju.

- Na pani karcie chorobowej napisano: Katoliczka.

- Proszę wejść, jeśli ksiądz ma ochotę. - Namówiony przez Milesa przychodzi mnie straszyc krucyfiksem, myśli Laura.

Chociaż ten ksiądz nie potrafiłby prawdopodobnie przestraszyć nikogo.

- Czy mógłbym pani w czymś pomóc?

Laura zastanawia się. Czy ma mu opowiedzieć historię swego życia? Jak miało się przedtem z rzeczywistością, było grą bawiącego się dziecka, i dopiero teraz wkroczyła w świat prawdziwy. Czy ten ksiądz potrafi to zrozumieć? Czy raczej uzna, że chce w ten sposób tłumaczyć swoje niemoralne prowadzenie się? Przedtem cnotliwa, obecnie grzesznica. - Będę tu jeszcze bardzo długo - mówi z uśmiechem.

Ksiądz bierze to za odmowę, zgodnie zresztą z jej intencją. - Bywam tu tylko w niedziele. - Robi krok do tyłu. Jest przyzwyczajony do tego, że się go raczej odprawia z kwitkiem, aniżeli zaprasza.

Odzywa się dzwonek telefonu. Laura podnosi słuchawkę, nie przestając patrzeć księdzu w twarz. Jest to twarz młoda, okrągła i mimo braku pewności siebie optymistyczna.

- Laura, moje kochanie. Moje kochanie. - To Martin. Dzwonił już przedtem, ze Szwajcarii, ale tym razem Laura natychmiast wie, że wrócił. Wkrótce będzie u niej. Twarz księdza znika. Może go wcale nie było w tym pokoju. Może nawet rozmowa z nim była tylko wymysłem, sposobem na zabicie czasu. Teraz wie, że żyje naprawdę. Martin odpędzi od niej cień Milesa.

- Jestem u ciebie za pół godziny. Jak się czujesz?

Zdaje sobie sprawę, że jakieś drzwi zatraskują się w jej świadomości. - Miałam u siebie księdza.

- Ksiądz w twoim pokoju. - Martin jest lekko ubawiony, jakby podejrzewał, że z niego pokpiwa.

- Już poszedł. Przychodź

zaraz.

Martin nie zdawał sobie sprawy, że Laura musi leżeć aż do urodzenia dziecka. Jego głębokie współczucie dodaje jej nowych sił. - Możesz tu przychodzić po załatwieniu swoich spraw - mówi - i będziemy sobie urządzać uroczę kolacyjki z wędzonym łososiem i winem. - W trakcie mówienia zaczyna rozumieć, że separotka okazuje się jednak koniecznością.

- Ale jak ja wytrzymam bez ciebie tak długo?

Laura, która po upływie tygodnia weszła już w swoją rolę, uświadamia sobie, że nie przemyślała do końca, jak będzie wyglądało jej życie.

- Będzie po staremu - rozsądza bez przekonania, ale wspaniałomyślnie. - Będiesz wszędzie mile widzianym kawalerem, wydającym w swoim klubie eleganckie obiady i przyjmującym olśniewające zaproszenia od bogatych i znanych ludzi.

- Co wtedy z naszymi kolacyjkami?

- Będziemy je urządzać co drugi dzień. - Laura leży na plecach. Łzy toczą się po jej policzkach, lituje się sama nad

sobą. Płacze po raz pierwszy od tamtej mroźnej zimowej nocy, kiedy miała krwotok. - To okrutne - szepcze. - Jakież okrutne. I takie krzywdzące.

Martin obejmuje ją ramieniem i leciutko kołysze. - To nie jest tak strasznie długo. - Laura widzi, że Martin woli ją taką słabą. Daje mu to szansę zrobienia czegoś dla niej. Doprawdy wydaje się sobie śmieszna w próbach zachęcania go do większej swobody. I tak będzie je miał, ile zechce, bez względu na to, jak potoczą się wypadki. W jego ramionach czuje się krucha i bezpieczna, sprawia jej przyjemność to, że jego wiatrówka ma mokre plamy od jej

łez.

Martin siedzi u niej cały dzień, wyskoczył tylko kupić niedzielną prasę i zaraz wrócił. Laura odzyskała spokój na tyle, żeby mu się przyjrzeć i stwierdzić, jak świetnie wygląda i jaki jest przystojny. Jest jak ważka, która wleciała do jej ukwieconego pokoiku. Jest dumna, potulna i tylko troszeczkę zaniepokojona. Nie umie sobie wyobrazić, jak wygląda świat za oknami.

W miarę jak upływa tydzień za tygodniem, wzrasta jej poczucie utraty kontaktu z rzeczywistością. Ma coraz więcej gości. Ale wieści, jakie przynoszą ze stycznia, a potem lutego w Anglii, wydają się tak bardzo odległe od jej przytulnego kokonu z nieśmiertelnych róż, że z trudem

daje im wiarę. Z początku, kiedy
wpadali z czerwonymi nosami,
sztywnymi z zimna dłońmi, w
płaszczach przeważnie mokrych od
śniegu bądź deszczu,
przyłapywała się na tym, że
kuliła się niemal w panice. Nie
potrafi zrozumieć, jak inne
kobiety w ciąży radzą sobie z
otaczającym je hałasem, brudem
i zimnem. I jej dziecko, i ona
sama, każde z nich jest w swoim
łonie. W nocy śpi zwinięta w
kłębek, z dłońmi złożonymi tuż
przy ustach.

Martin nie ma z tymi
przeżyciami nic wspólnego. Jest
jednak częścią jej samej. Ale
nawet on, kiedy pewnego dnia
przyjeżdża wprost z lotniska po
podróży do Nowego Jorku, wydaje
się cuchnący i prostacki.
Pozwala mu się wziąć w ramiona i
dotknąć coraz okazalszego
brzucha, ale wyraz jej oczu
ponad jego ramieniem jest
obojętny. Nie pyta go również o
pracę ani o ludzi, z którymi się
spotyka.

Jej lekarz, wysoki
dystyngowany pan, który nosi

świetnie skrojone garnitury i
pastelowe jedwabne krawaty,
wydaje jej się o wiele
subtelniejszy. Jego szorstkość
ma w sobie coś niezwykle
ciepłego i dodającego otuchy.
Ręce ma tak czyste, że paznokcie
wyglądają jak polakierowane.
Laura nabrała zwyczaju rzucania
ukradkowych spojrzeń na ręce
swoich gości. Brud za
paznokciami budzi w niej
zdumienie.

Kiedyś Martin przychodzi w tym samym czasie co lekarz. Laura jest lekko zmieszana przysłuchując się ich wymianie zdań na temat miejscowości z dobrymi terenami narciarskimi. Później Martin zapewne pod wrażeniem kosztownego jedwabnego krawata - tym razem szarego w żółte kropki - pyta ją, czy jest ubezpieczona na wypadek choroby.

- Ubezpieczona? - Laura, która zaczęła trochę haftować, patrzy na niego znad kłębka jedwabnych wiśniowych nici. - Zawsze wszystkim zajmował się Miles.

- Wobec tego nie na wiele nam się to przyda.

Niemal przez całe życie Laura była na czyimś utrzymaniu. Do tego stopnia wydaje się jej to naturalne, że nigdy nie czuła najmniejszego skrępowania biorąc pieniądze od Martina. Swoją pensję aż do obecnej chwili przeznaczała na własne potrzeby.

- Boję się, że bardzo dużo na mnie wydajesz - mówi bez wielkiego przekonania.

- W życiu najmniej ważne są pieniądze.

Po upływie kilku dni Martin próbuje załatwić jej przeniesienie na ogólną salę. Laura wprawdzie się nie sprzeciwia, ale już nie pociąga jej perspektywa wmieszania się w wesołe towarzystwo. Jej cichy brak entuzjazmu peszy Martina. Zostaje w tym samym pokoju. Dziecko powinno przyjść na świat

za osiem tygodni.

Mijają dwa tygodnie i Laura

odczuwa w brzuchu lekki ból, nie większy niż przy energiczniejszych ruchach dziecka, ale zaczyna krwawić. Natychmiast dzwoni po pielęgniarkę.

- Czy to już poród?

Łagodna z natury siostra rzuca Laurze karcące spojrzenie. - Poród czeka panią nie wcześniej niż za sześć tygodni.

- Czy siostra wezwie doktora Lovella?

- Nie ma powodu do paniki.

W ciągu dnia krwawienie to pojawia się, to ustaje. Wieczorem wydaje się, że ustało zupełnie. Przychodzi Martin przynosząc salami i butelkę wina. Jest to jeden z raczej rzadkich ostatnio wieczorów, kiedy mogą mieć swoją kolację. Laura je i pije nie wspominając o niczym, mimo że jest całkowicie przeświadczona, że zaczęła rodzić. Ból po wypiciu wina złagodniał, ale czuje go nadal.

Wychodząc Martin całuje ją czule, Laura zauważa jednak, jak szybko jego wzrok prześlizguje się ku drzwiom. Za tymi drzwiami jest jego świat. Podjął się nowego poważnego zadania.

Zaczyna znowu krwawić. Pielęgniarka, widząc jej niepokój, daje jej valium i pigułki nasenne, po czym gasi światło. W środku nocy budzi ją nieodparte wrażenie, że coś traci, tym razem nie w prześladowających ją koszmarach, lecz na jawie. Na jej rozdzierający krzyk natychmiast pojawia się czarnoskóra pielęgniarka, której dotąd nie widziała. Przykłada głowę do brzucha Laury. Przez ułamek sekundy przypomina się Laurze odcięta głowa Milesa tak samo leżąca na jej piersiach. Obraz

znika tak szybko, jak się
pojawił.
Pielęgniarka prostuje się z

przestraszonym i skupionym
wyrazem twarzy. - Pani ma
skurcze - mówi. - Od jak dawna?
- Przez cały dzień. - Laurze
przynosi ulgę, że może mówić
prawdę.

- Było także krwawienie?
- Tak. Z przerwami.
- Zatelefonuję do doktora
Lovella. - Pielęgniarka w
pośpiechu opuszcza pokój.

Laura układa się na wznak,
wbrew wszystkiemu spokojna, a
nawet pogodna. Dowiodła
personelowi szpitalnemu, że ma
rację. Teraz oni niech się
martwią o resztę. Nie boi się i
nie przychodzi jej na myśl
wzywać Martina.

Niebawem pojawia się
anestezjolog i pyta, czy w ciągu
ostatnich ośmiu godzin coś jadła
bądź piła. Kiedy mu wskazuje na
salami i butelkę po winie, jest
tak zszokowany, że Laura nie
może powstrzymać uśmiechu.

Uśmiech nie znika z jej twarzy
także wtedy, kiedy korytarzem
pomalowanym na wszystkie kolory
tęczy wiozą ją na salę
operacyjną. Okrągłe świecące
spod sufitu lampy dziwnie
przypominają otaczające ją
zewsząd, mrugające
porozumiewawczo twarze.

Wszystkie zbudzone ze snu, żeby
spełnić dla niej swój obowiązek.

Potem, właśnie wtedy, staje
jej w pamięci Martin. Jego twarz
nigdy nie świeci bladością,
nawet w środku nocy. Przeciwnie,

pała czerwienią, tryska
młodością i energią.

Wwożą ją na salę operacyjną i
Laura całą nadzieję pokłada w
czarnej gumowej masce od
narkozy.

Kiedy się budzi, świta. Jest
to wrażenie silniejsze od
wszystkich doznanych dotychczas.
Czerń minionej nocy, jak się
zdawało, była potęgą nie do
zwalczenia. Potem słyszy głos
spokojnym, cierpliwym tonem
powtarzający raz po raz: - Masz

córeczkę. Masz córeczkę. - Co
chwila zapada się gdzieś
w ciemność i za każdym razem,
kiedy się budzi, ten sam głos
powtarza nowinę, coraz głośniejsz
brzmiącą w jej uszach.

Laura otwiera szeroko oczy,
podnosi głowę i wtedy dostrzega
siedzącego obok na krześle
Martina.

- Martin.

Martin ujmuje jej dłoń. -
Widziałem ją. Jest w
inkubatorze. Ale jest naprawdę
duża. Waży dwa i pół kilograma.

Laura dostaje torsji. Martin z
czułą troskliwością podtrzymuje
metalową miskę. Kiedy jest po
wszystkim, mówi do niej: - Byłem
tu prawie przez całą noc.
Widziałem, jak wieźli cię na
wózku z sali operacyjnej.

Laura spogląda w górę i widzi
wiszącą nad nią butelkę. - To
kroplówka.

- Twoje życie jest bezcenne.
Dostałaś także ponad półtora
litra krwi.

Laura znowu wymiotuje, czuje
ból w miejscu, gdzie jest

pooperacyjny szew. - Cieszę się, że dziecko urodziło się zdrowe - mówi, nie zdobywając się przy swoim wyczerpaniu na wznioślejsze słowa.

- Tak, zdrowa jak rybka.

Chciałem ci to powiedzieć pierwszy. Dlatego przy tobie zostałem. Ostrzegali mnie, że będziesz spała bardzo długo.

- Dziękuję. - Laura ponownie gdzieś odpływa. Jednak ciągle zachowuje świadomość, wie, że Martin odchodzi. Zdaje jej się, że mówi coś o śniadaniu i pracy, ale może to tylko wyobraźnia.

Jest taki zawsze samowystarczalny.

Dziecko jest nadzwyczaj udane. Już drugiego dnia wyjmują ją z inkubatora i jej głośny krzyk nie różni się od krzyku innych noworodków. Każdy gratuluje Laurze, że jej przedwcześnie urodzona córeczka jest taka

zdrowa i silna. Ale Laura patrzy na nią pełna obaw, których nie miała przed jej urodzeniem. Jest o tyle mniejsza od Nicka, tak leciutka, że pewnie nie waży więcej od pieluszek, w które jest owinięta. Na koszulkach, które Laura kupiła, trzeba robić głęboką zakładkę, a rękawki kaftaników podwija się aż po paszkę. Laura jest przerażona, kiedy ją chwilę dłużej ma na rękach. Jak można najszybciej oddaje ją pielęgniarce. Nie chce jej kapać ani karmić.

Trzeciego dnia przychodzi do niej siostra oddziałowa o stanowczym wyrazie twarzy

znamionującym przełożoną. - Na mojej liście zleceń mam zapisane, że pani wyraziła chęć karmienia dziecka piersią.

- Istotnie. Miałam taki zamiar - cicho potwierdza Laura, kuląc się wół, jakby się bała o swoją ranę. Miejsce po cięciu chirurgicznym ciągle ją boli, kiedy próbuje stać prosto.

- Pani Knight, wydaje mi się, że musi sobie pani narzucić pewną dyscyplinę.

- Myślałam, że może jutro...

- Zlecę pielęgniarce, żeby po południu zrobiła pani ciepły prysznic - energicznie przerywa siostra. - Nie powinna pani mieć po nim trudności z karmieniem dziecka o szóstej.

Laura jest zbyt słaba, żeby się czemukolwiek sprzeciwić. Płacz z litości nad sobą samą przyprawia ją tylko o migrenę i ból w brzuchu. Uczucie, które sprawia jej obecnie najwięcej zadowolenia i na jakie jedynie ją stać, to głucha nienawiść - do siostry, do pielęgniarek i, prawdę mówiąc, do całego szpitala. Jej obecne cierpienia przekreśliły wszystkie poprzednie tygodnie, które tu spędziła zadowolona.

Martin przychodzi tuż po szóstej. Uśmiecha się na widok

matki i córki przytulonych do siebie przy pierwszym karmieniu.

- Warto było jechać pięć godzin z Północy, żeby to zobaczyć. - Był tego dnia w Newcastle.

Laura patrzy na niego przygnębiona. - Tu są sami sadyści.

Martin śmieje się
dobrodusznie. - Widzę, że
czujesz się lepiej.

Laura opuszcza oczy na główkę
dziecka. Choć taka maleńka, ssie
zachłannie i skwapliwie, jak
gdyby wyczuwając opory matki
dopominała się swoich praw. Nie
wzbudza w Laurze miłości, w
przeciwieństwie do uczuć, jakie
natychmiast po porodzie miała do
Nicka, patrzy na nią z dziwnym
uczuciem chłodnego podziwu.
Siostra i dziecko tworzą
spisek, żeby ją siłą zmusić do
prawdziwego macierzyństwa. Takie
myśli przynajmniej uwalniają ją
do pewnego stopnia od
przerażenia (wszystkich matek),
że dziecku może się coś stać.

- Musimy pomyśleć o jakimś
imieniu dla niej - Martin nalewa
sobie trochę wina do szklanki
do płukania zębów. - Proponuję
Emilia.

- Och, nie! - Laura jest
przerażona. - Nie ma w niej nic
z Emilii.

- Daisy? Kate? Clarissa? Rose?
Chloe? Charlotte?

- Nie, to jest całkiem inny
typ dziecka.

- Hm. - Martin czeka.

- Nie jest taka ładna.

- Mnie się wydaje bardzo
ładna.

- Ale nie w takim
staroświeckim stylu.

- Co wobec tego proponujesz?

Laura jednak nie chce się
wiązać żadną propozycją.
Umyśliła sobie, że dowie się,
jak ma na imię pielęgniarka, i
tak nazwie małą. Nie wróciła
jeszcze całkiem do równowagi,
nie potrafi wyrazić, co ma na
myśli. Dużo czasu upłynęło,

odkąd byli razem.

Każdemu, kto ją odwiedza,
pokazuje dziecko z dumą,
stwarzając pozory, że je kocha.
Przychodzi Nell i Katie, i
kilka innych znajomych osób, o
których Laura niemal zapomniała,
a którzy pojawili się zwabieni
atrakcją, jaką jest noworodek.

Nell pochyla się nad
łóżeczkiem z zadumą na twarzy. -
Wiesz, ciągle jeszcze noszę się
z myślą, żeby mieć córkę. -
Spogląda na Laureę. - Chociaż nie
chciałabym przechodzić tego co
ty. Takie straszne przeżycia.

- O tak - przyznaje Laura. W
chwilach większej trzeźwości
umysłu doszła do wniosku, że
prawdopodobnie te "straszne
przeżycia" sprawiły, że nie może
pokochać małej. Wyglądało na to,
że cały zasób czułości dla tego
dziecka wyczerpała, jeszcze
zanim się urodziło. Została
pustka. Nie opuszcza jej uczucie
przymusu, w jakim teraz żyje.

Katie wchodzi zakrywając oczy
rękoma. - Nie wolno mi patrzeć!
Nie wolno mi na nią patrzeć.
Znowu będę chciała mieć dziecko.
Wiem, że tak będzie. - Nie może
się jednak oprzeć, odwija kocyk,
bierze niemowlę i tuli je do
siebie. - Jakie słodkie. Takie
maleńkie. Takie kruche.

- W rzeczywistości jest o
wiele silniejsza, niż się
wydaje.

- Nie to miałam na myśli. -
Katie pochyla się niżej nad
maleństwem. - Zawsze rodzę takie
duże, pospolite dzieci. A ona
jest taka piękna!

Laura uśmiecha się. Tak, z tym
się zgadza, istotnie jest
piękna.

Jednym z nieoczekiwanych gości jest matka Martina. Uprowadzona o jej wizycie, Laura wkłada na siebie i na małą najlepsze rzeczy. Poprawia kwiaty i gasi górną lampkę. Na pięć minut przed jej przyjściem wypija kieliszek wina. Potem siada i

czeka. Jest przekonana, że po tej wizycie może się spodziewać tylko arogancji.

Pani Keane wchodzi pierwsza, przed synem, z niewielkim pudłem w ręku. - Winszuję, kochanie - mówi z bladym uśmiechem. Pudło kładzie na stoliku obok łóżka.

Laura dziękuje takim samym uśmiechem. - Może pani będzie łaskawa usiąść?

- Nie, dziękuję. Chciałabym...
- rozgląda się po pokoju i dostrzega wreszcie stojące po drugiej stronie łóżka dziecinnie łóżeczko. Natychmiast do niego podchodzi i odchyła kocyk śpiącej małej, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Ta skwapliwość u kobiety zawsze tak opanowanej wprawia Laurę w zakłopotanie. Decyduje się otworzyć pudło.

Martin podchodzi do matki i stoją razem, z dumą spoglądając w łóżeczko. - Moja pierwsza wnuczka - szepcze pani Keane. Obraca głowę i patrzy na Laurę uśmiechając się swobodnie i serdecznie.

Laura jest zaskoczona. Rozpościera haftowaną suknię, którą wyjęła z pudła. - Dziękuję. Jest śliczna.

Pani Keane odwraca się znowu do dziecka. - Zawsze tak marzyłam

o dziewczynce. - W jej głosie brzmi nuta melancholii.

Podchodzi do łóżka Laury. -
Dziękuję, że pozwoliłaś mi ją zobaczyć.

Laura czuje, że musi zrobić jakiś krok w tym wstępnym nawiązaniu kontaktu. - Może jednak zechce pani łaskawie usiąść? - prosi ponownie.

Pani Keane spogląda na zegarek, ale siada na wysuniętym przez Martina krześle. - Nie powinnam przedłużać tej wizyty.

Zapada niezręczna cisza.

Przerywa ją Martin. - Nie możemy się zdecydować, jak ją nazwać.

- Tak. To nie takie proste. -

Matka Martina patrzy na Laurę ze zrozumieniem. Laura nie dowierza tej uprzejmej łagodności, mimo to daje się zaskoczyć następną uwagą, wypowiedzianą donośnym, niemal wyzywającym głosem: -
Domyślam się, że będzie nosiła nazwisko mojego syna!

Laura patrzy na Martina bezradnym wzrokiem. Jest tak zmieszana, że nawet nie przypomina sobie, czy w swoich rozmowach brali taką możliwość pod uwagę. Sądzi, że nie było o tym mowy.

Nie wydaje się jednak, żeby pani Keane oczekiwała odpowiedzi. Wstaje, zbierając swoje rzeczy. Martin otacza ją ramieniem. - Pójdę z tobą i zwołam taksówkę.

Po ich wyjściu mała budzi się i krzyczy wniebogłosy. Laura kołysząc łóżeczko dochodzi do wniosku, że nie powinna wracać

do sprawy nazwiska, jeżeli nie
zacznie o tym mówić Martin.

Wraca Martin. - Mama ogromnie
się wzruszyła. Jeszcze nie
widziałem, żeby coś zrobiło na
niej takie wrażenie, była bardzo
przejęta. Biedactwo. Jest taka
samotna.

Laura nie mówi nic. Czuje się
otoczona wrogami i ludźmi
obcymi. Nawet Martin wydaje jej
się podejrzany.

Martin z entuzjazmem opisuje
niewielki dom, który dla nich
wynajął. Stoi na miejscu dawnych
stajen. Z tyłu są bloki
mieszkalne, od frontu, naprzeciw
garaże. Traktuje ten dom jako
mieszkanie tymczasowe. Laura
uważa, że "tymczasowy" jest
najbardziej przerażającym
wyrazem ze wszystkich.

Wprowadzają się tam kilka dni
później, Laura z nerwową
rezygnacją niesie małą na
rękach. Martin ma tyle
obowiązków, ciągle coś dźwiga,
kupuje, przynosi, trudno się
zorientować, co czuje. Dziecko
tego pierwszego dnia jest

cichutkie. Kiedy nadchodzi
wieczór, Laura zdobywa się na
odrobinę energii, by znaleźć
czystą suknię i usiąść naprzeciw
niego przy nakrytym do kolacji
stole.

- Za twój powrót! - Martin
podnosi kieliszek.

Laura domyśla się reszty. Z
ogromnym trudem pokonując
wewnętrzne opory patrzy mu
prosto w oczy. - Co robiłeś,
kiedy mnie nie było?

- Zarabiałem na życie.

Ta iskierka porozumienia
dodaje Laurze odwagi. - Musimy
zarejestrować małą, inaczej
zapłacimy grzywnę. Chcę, żeby
się nazywała Matyllda.

- Matyllda! - pogodna twarz
Martina tężeje, co sprawia
Laurze przewrotną przyjemność.

- Możesz na nią mówić Tilly.

Ton, jakim to mówi, jest tak
zdecydowany, że Martin, który
już otwiera usta chcąc
zaoponować, rezygnuje.

- Może być jeszcze inne
zdrobnienie, "Mat" - mówi bez
przekonania.

Matyllda nie było imieniem
pielęgniarki, ale Laura
zdecydowała się na nie uznając,
że z Ireną, bo takie imię nosiła
siostra, naprawdę trudno się
pogodzić.

Następnego dnia Martin ma
zarejestrować dziecko, jadąc do
pracy. Laura, kąpiąc maleństwo
namydlonymi rękoma, z bijącym
sercem, próbuje spokojnie
zastanowić się nad tym krokiem.
Można przypuszczać, że to
oznacza, iż Martin zamierza jej
dać swoje nazwisko. Słuchając
kwilenia Matylldy, która się
czuje równie niepewnie
przy tej kąpieli jak jej mama,
Laura próbuje zrozumieć,
dlaczego o tym nie rozmawiali.
Ma wrażenie, że to jej wina.

Nie może się powstrzymać, żeby
nie wrócić pamięcią do tamtych
chwil niezmaconego szczęścia,
kiedy zgłaszała narodziny Nicka.

Wsuwając opierające się rączki w
stawiający opór kaftanik,
wspomina, jak nalegała, żeby go

zarejestrować pod zdrobniałym imieniem Nicky. Tak bardzo go kochała. Uwielbiała siebie w nowej roli. Młoda mateczka przyjmująca gratulacje, taka pewna siebie i tak odmienna od swej obecnej postaci.

Laura siedzi w swojej maleńkiej sypialni urządzonej przez kogoś innego i karmiąc Matyldę obficie skrapia łzami jej główkę. Łzy i mleko płyną równą struzką. Nicky ochrzczony był na wsi, gdzie aż do śmierci, która miała miejsce kilka lat później, mieszkała jej matka. Ksiądz był sędziwy i trudno wyrazić, jaki ciepły, odnosił się do Nicka jak do pierwszego noworodka, którego mu się zdarzyło chrzcić. Potem był lunch z pieczonymi kurczętami podanymi na zimno i kabaczkami z własnego ogrodu. Nicky, okazały i pogrążony w błogostanie, leżał w swoim wózek z przymkniętymi, ale nie całkiem opuszczonymi powiekami. Była pewna, że wszystko cieszy go w tym samym stopniu co ją. Z pewnością był tam także Miles.

Nigdy nie kochała Milesa.

Laura kładzie najedzone, śpiące maleństwo do łóżeczka i sama wyciąga się na łóżku. Ta pozycja, po tylu miesiącach leżenia, wydaje się jej najbardziej naturalna. Kiedy stoi, czuje się zagrożona, ma nawet zawroty głowy. Ćwiczenia zalecone po porodzie wykonuje chaotycznie. Nie widzi w nich wiele sensu teraz, kiedy dodatkowe kilogramy opasują jej talię jak obręcz.

Może dopiero dotyk Martina, tak długo niedozwolony i nie chciany, sprawi, że ta obręcz zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Może

wtedy powróci do tego stanu
rozbudzonej świadomości, dla

którego opuściła męża. Miłość.
Miłość przemija. Wiedzą o tym
nawet ludzie zupełnie
niedoświadczeni.

Chwat Jureczek, słodki zuch,@
płakały za nim panny,@ całował
je za dwóch.@ Kiedy skorzy do
rozprawy@ chłopcy się zjawili,@
słodki chwat Jureczek@ prysnął w
jednej chwili.@

Ona i Martin nie mają nic na
miejsce tej miłości.

Laura miała zamiar zadzwonić
tego dnia do Bena Caseya i
wyjaśnić mu, że chciałaby zacząć
pracować od zaraz, ale na razie
w domu. Zamiast tego jednak
ubiera siebie i Matyldę do
wyjścia. Nie ma jeszcze wózka,
więc bierze ją na ręce.

Dzień jest chłodny, ale świeci
słońce. Po białych matowych
zasłonach szpitala ulice rażą
zimnym blaskiem. Również hałas
wydaje się osaczać ją, atakując
ze wszystkich stron. Mimo to na
drżących nogach i z pękającą
głową dociera do kościoła. Nie
obchodzi ją, jaki to kościół, do
jakiego należy wyznania; wchodzi
do środka i siada w ostatniej
ławce.

O co w tym wszystkim chodzi?
Jakie to ma znaczenie? Dlaczego
tu się znalazłam czy zresztą
gdziekolwiek indziej? Dlaczego
mam to dziecko? Tego mężczyznę,
dom, pracę?

Nikt nie zwraca na nią uwagi;
po chwili Laura wstaje i wraca do

domu.

Wieczorem próbuje opowiedzieć o tym Martinowi w żartobliwej formie. Ale on przerywa jej. - Przestań! - mówi, ujmując jej dłoń.

Siedzą więc razem w ciszy i Laura wyraźnie czuje, jak jej miłość do niego powraca.

Potem Martin wprowadza do swojego komputera program oparty na genach Matyldy i odczytuje, że ma być piękna i niezwykle

utalentowana.

XX

Życie Laury układało się teraz ciekawiej, stało się pogodne. Miała niewielki dom, śliczne dziecko, interesującą i niezbyt dokuczliwą pracę, no i Martina. W opinii ludzi przybycie Matyldy jak gdyby przemieniło ich w rodzinę. Martin występował w roli męża. Ich ucieczka straciła posmak skandalu. Tylko Miles ciągle nie godził się na rozwód. Pozwolił jednak Nickowi odwiedzić mamę. Nicky przyszedł wyświeżony, wyglądał pięknie i Matylda ogromnie mu się podobała. W powściągliwości, z jaką pochylił się nad łóżeczkiem, Laura widziała całego Milesa. Energiją, która w czasie świąt Bożego Narodzenia zrobiła na Laurze takie wrażenie, zachowywał prawdopodobnie na boisko. W czasie swej pierwszej wizyty prawie przez cały czas opowiadał, że pragnie tak dobrze grać w rugby,

żeby wejść do drużyny Rugger XV.
Poszła z nim kupić mu buty i
okazało się przy tej okazji, że
ma stopy prawie tak duże jak
ona.

Właśnie Nicky powiedział
Laurze, że Miles ma
przyjaciółkę. - Jest całkiem
miła - mówi apatycznie bez
najmniejszego zainteresowania -
ale Maria ciągle przez nią
płacze.

- Naprawdę? Właściwie
dlaczego?

- Jest uczulona na kurz.
Natychmiast kicha.

Laura stara się, żeby jej
zainteresowanie wypadło
naturalnie, ale poznaje po
uciekającym w bok spojrzeniu
Nicka, że w lot zorientował się,
z jakim napięciem go słucha.

- Właściwie jest uczulona na
wszystko. Kwiaty, zwierzęta,

płatki kukurydziane. Czasem
dziwię się, jak ona w ogóle
żyje. - Zamyśla się przez
chwilę. - Kupiła mi
kalkulatorkę.

- To ładnie z jej strony. I
dobrze, że tatuś ma kogoś
bliskiego.

- Nie jest w niej zakochany. W
każdym razie nie tak jak ona.
Ona ciągle powtarza, że zawsze
miała bzika na punkcie starszych
mężczyzn.

Laurze udaje się roześmiać,
nie może się jednak powstrzymać
przed zadaniem pytania. - Musi
być wobec tego młoda?

- O, tak. I ma długie włosy,
którymi się bez przerwy zajmuje.

- Rzeczywiście nie jest chyba

typem taty - mówi Laura, która już zaczęła widzieć w wyobraźni trzydziestokilkuletnią astmatyczkę.

Idzie do kuchni i dokładnie, właściwym matkom ruchem zaczyna smarować masłem kromki chleba. Nicky włącza telewizor. Laura wyraźnie słyszy płynące z aparatu dźwięki. Jest to program, który ostatecznie toleruje, więc nie zabrania Nickowi go oglądać.

Po kilku dniach, które wystarczyły, żeby się z tą wiadomością oswoić i mieć ochotę o tym mówić, Laura opowiada Martinowi o długowłosej astmatycznej przyjaciółce Milesa.

Martin uśmiecha się. - Hm, to postęp.

Laura zastanawia się nad znaczeniem tych słów. Nie wie, czy Martin naprawdę chce, żeby uzyskała rozwód. Nie wie, czy ta sprawa jest jasno postawiona między nimi. Na jakiej stoi platformie, czy na szczycie, czy na kolejnym szczeblu wiodącym na szczyt?

Martin mówi: - Znałem kiedyś dziewczynę, która miała okropną astmę. Skutek był taki, że była nadzwyczaj czysta.

Ale Laura słucha jednym uchem. Postanawia porozmawiać z Katie.

Katie lubi odwiedzać Laurę. Patrzy na jej mały dom jak na dom lalek, myszkując po półkach i przesuwając meble. Nie może uwierzyć, że używane są zgodnie z

przeznaczeniem. W duchu uważa, że stwarzają nastrój niepoważny, przez jedno poruszenie mebla wewnątrz może się całkowicie przeobrazić, stać się innym mieszkaniem. Ale przed Laurą zachwyca się jej domem. - Jakże to niezwykle, że w żadnym kącie nie ma kurzu, nigdzie ani śladu próchniejącej podłogi.

- Mamy wszystko zastrzeżone kontraktem - uśmiecha się Laura.

- I konserwację, i remont.

- Marzenie! - wzdycha Katie. Trzeba powiedzieć, że w ciągu ostatniego roku w jej życiu zapanował pewien porządek. Znalazła wreszcie miłą wiejską dziewczynę, która do niej dojeżdża z pobliskiej wioski we wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem niedziel. Jeździ na motorowerze. Wyraz twarzy Johna, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej masywne ciało przybrane ochronnym kaskiem, wyraźnie mówił, że nawet on nie będzie miał wobec niej pokus.

Najmłodsze dziecko ma półtora roku, już chodzi i prawie nauczyło się prosić o nocniczek.

Katie oddycha głęboko i rozgląda się dokoła. Od dawna nie miała dość energii, by pomyśleć o innych. Przed jazdą do Londynu, mimo wysokich obcasów, poszła z małym Tobym do ogrodu i zerwała duży bukiet kremowych żonkili. Kiedy teraz na nie spojrzała, ogarnęła ją nostalgia, zwykła u niej tęsknota za domem. Za chwilę Katie przypomina sobie jeszcze coś innego. Tamten tydzień, kiedy jej życie legło w gruzach. Wtedy przyjechała do niej Laura,

przekonała ją, że nie powinna rzucać Johna, ale spróbować jeszcze raz. Laura wypełniła potem cały dom takimi samymi kremowymi kwiatami.

Ale melancholijny nastrój Katie nie wynikał tylko ze wspomnienia o własnych dramatycznych przeżyciach. Brał się z niejasnego uczucia, że Laura obecnie jest nieszczęśliwa. Że ta inteligentna, mocna kobieta, jaką kiedyś była, stała się kimś zupełnie innym, obcym i tajemniczym. Uczuciu temu jak zwykle zadało kłam spotkanie z Laurą. Ma ją teraz przed sobą, tęższą po urodzeniu dziecka, ale ciągle piękną, opanowaną, zręcznie dającą sobie radę z obowiązkami.

Więc Katie mówi, jak podziwia domek lalek i śpiące dziecko, a Laura nakrywa tymczasem do stołu.

Siedzą naprzeciw siebie, obie spokojne, Katie dopiero od niedawna nauczyła się tego opanowania. Mówią o dzieciach, Katie bowiem nie potrafi rozmawiać o niczym innym, chyba jeszcze tylko o mgle spowijającej wzgórze, kiedy je odwozi wczesnym rankiem do szkoły, a to wprawiłoby ją w zażenowanie. Laura opowiada Katie o pracy swojej i Martina, a także o decyzji, żeby rozszerzyć kontakty zawodowe z Nowym Jorkiem. Tutaj ciągle traktowany jest trochę jak ekscentryk. Pracuje mu się lepiej z Amerykanami.

Katie jest nieco zaskoczona sposobem bycia Laury, jej ożywieniem i towarzyskim tonem. Wszystko to jest do niej

niepodobne. Laura wstaje, żeby sprzątnąć talerze. - Nicky mi mówił, że Miles ma przyjaciółkę.

Katie, niezbyt rozgarnięta w niektórych sprawach, tu natychmiast orientuje się, o co

chodzi. Nie musi się maskować ze swoim współczuciem i zrozumieniem sytuacji, gdyż Laura stoi przy zlewozmywaku obrócona do niej plecami.

- Trudno określać tym mianem Philippę. - Udaje jej się to powiedzieć tonem rzeczowym. - Raczej jest przyjazną duszą. Philippa lubi towarzystwo inteligentnych mężczyzn, jeżeli się na to zgadzają. Miles pozwala jej gotować, sprzątać i myśleć o rozrywkach dla Nicka. O ile wiem, nie ma między nimi nic więcej. Johnny ją zna od dawna.

Kiedy Laura odwraca się od zlewozmywaka, Katie nagle oblewa się szkarłatem. - Między nimi także do niczego nie doszło. - Ale Laura jest jak najdalsza od myśli o zdradach swego brata. - Philippa - powtarza. Idzie postawić czajnik na kawę. Nagle zatrzymuje się i z czajnikiem w ręce patrzy na Katie. - Wiesz, Miles błagał mnie, żebym do niego wróciła. Kiedy byłam w szpitalu, czekając na urodziny Matyldy. Płakał z głową opartą o mój brzemienny brzuch.

- Jakie to okropne! - Katie jest przerażona obrazem wywołanym tymi słowami. Miles, zawsze taki opanowany, taki majestatyczny. PO tym upokorzeniu nic dziwnego, że

nawet nie chce wymieniać imienia
Laury. Co do niej, wolałaby nic
więcej na ten temat nie
wiedzieć, ale rozumiejąc, że
Laura, zawsze taka dyskretna,
czuje zapewne potrzebę
powiedzenia czegoś więcej, pyta:
- Jak postąpiłaś?

Tymczasem Laura znowu obraca
się plecami, jakby ją to
przestało interesować. -
Odprawiłam go. Co innego mogłam
zrobić? Przecież to było po
prostu śmieszne.

Zapada cisza, w czasie której
Laura przyrządza kawę i przynosi
ją Katie. - Więc sądzisz, że nie
myśli o małżeństwie?

- Nie, z całą pewnością - mówi
Katie zdecydowanym tonem,
dodając po chwili to, co jej
nagle przyszło do głowy. -
Jedyną rzeczą, o jakiej myśli, to
żeby dostać fotel sędziowski.

Obie milkną zastanawiając się
nad słowami Katie i bez dalszych
komentarzy każda z nich wie, że
właśnie w tym tkwi istota
rzeczy. Miles nie da rozwodu
Laurze z obawy, że może to
osłabić jego szanse zostania
sędzią.

Laura bierze leżący z boku
stos czystych pieluszek. - Pora
nakarmić Tilly. - Przez chwilę
waha się, po czym mówi jakby do
siebie: - Gdybym sobie mogła
przypomnieć, o co właściwie w
małżeństwie chodzi.

Katie patrzy na nastroszony
stos pieluszek i mówi
wymijająco: - Myślałam, że
używasz jednorazowych.

- Twoje piersi są takie ciężkie.
- To z powodu mleka. Może mam przestać karmić?
- Kto chce, żebyś miała małe?
- Nigdy nie będę miała małych piersi.

Laura leży przy Martinie, zastanawiając się nad tym, o ile ponętniejsze od kobiecego jest ciało mężczyzny. To znaczy, młodego mężczyzny. Śmiała, nie ulegająca zmianom linia ciała. O urodzenia dziecka czuje odrazę do swego wyglądu. Przed urodzeniem Tilly była wielka jak góra, ale potrzebne to było jej organizmowi, teraz zaś ten nadmiar ciała jest miękki, jak gdyby się przelewał. To niezadowolenie z siebie jest dla niej przy stosunku poważną barierą. Następnego dnia Laura postanawia przestać zajmować się pielęgnacją Tilly i oświadcza, że ma zamiar poszukać kogoś, kto przychodziłby trzy razy w tygodniu przed południem, tak żeby mogła pracować w biurze. Martin wydaje się z tego

zadowolony, co zresztą jest regułą przy wszystkich jej decyzjach. Niekiedy Laurze się zdaje, że Martin patrzy na nią jak na piękne przedstawienie, w którym niczego nie można zmienić. Zaczyna się nawet zastanawiać, czy nie prowadzi podwójnego życia. Tak niewiele o nim wie. Boi się jednak wiedzieć więcej. Poza tym Martin jest bardzo zamknięty w sobie. O Milesie wiedziała wszystko.

W czerwcu wybierają się do

Nowego Jorku. Laura miała zamiar zostawić Tilly pod opieką Katie, ale w ostatniej chwili postanawia ostatecznie zabrać ją z sobą. Wie, że to tchórzostwo. Że Tilly to tarcza ochronna przed zetknięciem się z życiem. Tego ranka, kiedy odlatują, przychodzi list od adwokata Milesa, zawiadamiający ją, że Miles zamierza sprzedać dom i byłby wdzięczny, gdyby jak najwcześniej zabrała resztę swoich rzeczy. Osobliwe jest, że się tym bardzo ucieszyła. Daje jej to możliwość zetknięcia się z niezaprzeczalną rzeczywistością, jaką jest istnienie rzeczy. Poza tym zawsze niepokoiła ją myśl o tym domu, który niemal sama stworzyła, bolało ją, że może być opuszczony lub pod opieką innej kobiety. Znacznie bardziej odpowiada jej myśl sprzedaży, pozbycia się go na zawsze. Ciężko jej było przyznać się przed sobą, że często była w tym domu bardzo szczęśliwa.

Podaje list Martinowi, który czyta go z uwagą, co zresztą jest jego zwyczajem, gdy sprawy dotyczą interesów. Trzeba z tym poczekać do naszego powrotu.

- Dobrze - z żalem zgadza się Laura. Ma wielką ochotę już, w tej chwili, popędzić tam i ściągnąć ze ścian obrazy. - Będziemy musieli znaleźć jakieś pomieszczenie na te rzeczy.

- Może w Nowym Jorku? - Martin uśmiecha się tajemniczo. Laura wie, że jest bliski załatwienia jakiegoś poważnego interesu z

Amerykanami, ale jeszcze nie wie, jakie z tego mogą wynikać konsekwencje.

Tym razem w Nowym Jorku nie było takiego piekielnego upału. Dni płynęły wesoło. Niebo było bezchmurne, niebieskie, powietrze lekkie i rześkie. Martin wynajął od jednego z przyjaciół mieszkanie. Talent organizacyjny Martina i jego umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji ciągle na nowo zdumiewają Laurę. Zastanawia ją, czy to nie sprawa różnicy pokoleń. Nie mając jednak zaufania do wszystkich tych łatwych przyjaźni, nie potrafi odnieść się do odstąpionego im mieszkania z entuzjazmem. Jest położone w bogatej dzielnicy East Side, ale zupełnie pozbawione charakteru. Portier, widząc ją z koszykiem, w którym nosiła Tilly, natychmiast spieszył jej z pomocą. Któregoś dnia rzuciła okiem na swoje odbicie w dużym lustrze zawieszonym w hallu. Zobaczyła tęgą bladą kobietę, borykającą się z późnym macierzyństwem. Zaczęła bez szczególnego planu rozglądać się za jakąś możliwością urzędzenia własnego domu. Było niemal pewne, że Martin będzie chciał osiedlić się w Ameryce. Mieszkał w Stanach przez kilka lat tuż po ukończeniu uniwersytetu i w jakiś czas później wrócił tam jeszcze raz, nabywając doświadczenia przy wykonywaniu zlecanej pracy w pewnym przedsiębiorstwie programowania komputerów.

- Nauczyłeś się wymawiać samogłoski z nosowym rezonansem, jak nowojorczyści. - Laura i Martin siedzą obok siebie na

kanapie. Małą trzyma Martin.

- Nonsens! Mówię z okropnym grzechotem.

- To dlatego, że masz tylu przyjaciół wśród Amerykanów.

- Dużo? Liczymy. - Zaczyna obliczać na paluszkach Tilly. - Hal i Jeannie. Ale odkąd przenieśli się na zachód, nie widuję ich często, a Hal wyszedł z branży. Biedna Jeannie. Dalej Eddy i Ellen, Eddy i Ellen, i Ellen...

Laura się śmieje. Bardzo zaprzyjaźniła się z Ellen. Ellen jest w ciąży i wielka jak balon biega po ulicy zadowolona, nic sobie z tego robiąc, co przywodzi Laurze na myśl okres, kiedy się spodziewała Nicka. Ellen ma już dwoje dzieci i jest o dwa lata starsza od Laury. Ale przygotowuje się do macierzyństwa z gorliwością neofitki. Zrezygnowała z pracy, od miesiąca już nie uczy, a ponieważ z natury jest bardzo energiczna, ma pełno niewyczerpanej werwy. Biega po różnych rozległych strychach sprawdzając, czy nadają się do przebudowy na mieszkanie, ogląda eleganckie małe mieszkania i wykrzywia się to na dzielnicę, to na metraż, to narzeka, że nie dość widne. Laura, znacznie bardziej nieśmiała, nie jest przyzwyczajona do planowania na tak wielką skalę. Zdaje sobie sprawę, że nigdy nie wybiegała wyobraźnią poza tradycyjnie zaprojektowany dom z tradycyjnymi pokojami. Z pewnym zażenowaniem mówi o tym Ellen, która z pogodą ducha odpowiada:

- Nigdy się nie zdobędziecie na wille z piaskowca, więc cóż, musicie się jakoś dostosować do możliwości.

Laura jest potulna. To nie jej kraj. Czasem chwyta (ukradkowe) spojrzenia Ellen, która patrzy na nią z pełnym podziwu zakłopotaniem. Z początku przypuszczała, że wynika to z różnic kulturowych, z oddzielającej oba kraje bariery,

jaką jest Atlantycką. Uświadomiła sobie jednak, że także Martin przychodząc do domu rzucał na nią podobne spojrzenia, kiedy zastawał ją układającą Tilly w łóżeczku albo po prostu wyciągniętą na łóżku z książką. Było to identyczne spojrzenie, jakim patrzył na nią Miles, kiedy ją zastawał cicho siedzącą w jej ulubionym ślicznym saloniku.

Czy tak będzie zawsze? Czy samotność jest jej przeznaczeniem?

Zaczęła więc pić. Martin lubił, kiedy była trochę wstawiona, chętnie dolewał jej wina i uśmiechał się widząc jej płonące policzki i donośny głos. Z większym entuzjazmem oddawała mu się w łóżku.

Zawstydzona energią Ellen, Laura ubiera się w najlepszą suknię - białą - czerwony kostium jest za ciasny - i udaje się jak ongi na Piątą Aleję. Odbywa pielgrzymki do tych samych biur w sięgających nieba drapaczach i tym samym urzędnikom w niebieskich koszulach referuje problem osiemnastowiecznych

gołębników. Ale czar przysł.
Nawet nie to, żeby okazywali brak
zainteresowania, ale ciągle
nadają sprawie bieg urzędowy,
odsyłając ją do odpowiednich
wydziałów. Jeden z rozmówców
zaprasza ją nawet na weekend na
Martha's Vineyard.

Pamiętając o corocznych
pobytach matki Martina na tej
wysepce, Laura mówi mu o tym z
uśmiechem. W ubiegłym roku
zaproszenie do Cape Cod wydawało
się wspaniałym snem, zupełnie
nieosiągalnym, tak bardzo
pożądanym. W tym roku Martha's
Vineyard wydaje się tak samo
nieosiągalna, chociaż z innych
powodów. I prawdę mówiąc, wcale
nie pożądana. Laura wyobraża
sobie, jak Ellen zgromiłaby ją za
takie bezsensowne myśli.

Ale Martin z miejsca odnosi

się do tego pomysłu z całą
powagą. - Kto to taki? - pyta. -
Można go znieść przez jeden
weekend?

- Z pewnością. Jest dość
młody. No i na pewno bogaty.

- Wcale nie trzeba być
bogatym, żeby spędzać weekendy
na Martha's Vineyard - stwierdza
Martin szorstkim tonem.

- Sądzę, że masz rację. Chodzi
pewnie o skromny angielski
weekend za miastem.

- W każdym razie przyjąłbym to
zaproszenie.

Następnego dnia Henry
Cartwright telefonuje i ponawia
propozycję. Laura przyjmuje ją,
mówiąc, że pojawią się w trójkę

- ona, jej kilkumiesięczna
córeczka i "bardzo bliski

przyjaciel". Wzmianka o bardzo bliskim przyjacielu wcale nie peszy Cartwrighta, czemu się trudno dziwić, skoro ona sama widzi, jaka jest obecnie tęga i ociężała, a do tego jeszcze skrepowana obowiązkami jako matka. Postanawia, że nie będzie pływać, gdyż sama myśl o pokazaniu się w kostiumie jest dla niej nie do zniesienia. Trudno uwierzyć, że w ubiegłym roku spędziła całe lato w kostiumie bikini, opalona na brąz i szczupła.

Ku jej zdziwieniu Ellen wzdycha z zazdrością. - Chciałabym móc wyjechać z miasta.

- To tylko jeden weekend.

- Och, poleżeć na słońcu!

Zamiast ciągle pamiętać o tym, że trzeba go unikać.

Laura zamyśla się nad sobą. Co się stało z jej pogodą ducha, z jej radością życia, które pozwoliłyby jej beztrąsko poleżeć na słońcu? Ellen jeszcze tego nie straciła. Odbijało się to w wyrazie jej szerokiej bladej twarzy, w bystrych niebieskich oczach, w sposobie, w jaki się poruszała, mówiła czy siadała. A przecież życie nie

potraktowało jej lepiej od Laury. Przy tym Eddy, "jej najbliższy przyjaciel", był o wiele bardziej wymagający od Martina.

Martin wydawał się Laurze mężczyzną zupełnie nieskomplikowanym. Jego cele, ambicje, uczucia, jakimi darzył ludzi, ocena ich charakterów,

były zawsze proste i jasne. Na przykład zdaje się, że w ogóle nie zauważał żadnej zmiany w wyglądzie Laury czy w jej zachowaniu.

Przypuszczała, że może to mieć jakiś związek z logiką komputerów, z ciągłym przebywaniem wśród tych aparatów, których ona nigdy nie zrozumie. Według jej własnej teorii, raz obdarzywszy ją gorącym uczuciem, po prostu nie potrafił spojrzeć na nią obiektywnie. Konsekwencją tego poglądu było przeświadczenie, że wprawdzie daje jej to poczucie bezpieczeństwa, ale jednocześnie jest sygnałem, że może się spodziewać na swej drodze nagłej otchłani. Że tak samo gwałtownie, jak się w niej zakochał, może pewnego dnia bez ostrzeżenia otrząsnąć się z tej miłości. Miała niekiedy wrażenie, że jej bierność ma bezpośredni związek z paraliżującym strachem przed taką chwilą. Każdy, kto widział ją ustawicznie zajętą dzieckiem, nie domyślał się tej bierności. Dotyczyła ona głównie jej psychiki, co zwiększało zagrożenie.

Rankiem przy pięknej słonecznej pogodzie Martin, Laura i Matylda lecą samolotem do Bostonu i stamtąd mniejszym na wyspę. Wita ich gospodarz, w którym Martin natychmiast rozpoznaje starego znajomego. Laura, szczęśliwie zwolniona z obowiązku przedstawienia sobie obu panów, rozgląda się ciekawie

i z ulgą głęboko wdycha rześkie
ranne powietrze. Przychodzi jej
na myśl, że być może
przygnębiająco działa na nią
Manhattan z ciasno stojącymi
drapaczami chmur. Spogląda na
spokojnie śpiącą Tilly i myśli
ze szczerą matczyną dumą, że już
prawie wyrosła ze swego kosza.
Nie tłumi w sobie nawet
refleksji - co stało się jej
nawykiem - że Nicky byłby tą
wyspą oczarowany. Wysyłając do
niego jak co tydzień list,
opisze mu ją dokładnie.

Kiedy wsiadają do wielkiego,
dość sfatygowanego kabrioletu,
Laura wesoło uśmiecha się do
Martina. Martin ciepło ściska
jej dłoń. Nie uszło to uwagi ich
gospodarza, który także reaguje
na ten widok uśmiechem.

- Są u mnie jeszcze trzy inne
osoby - mówi. - Niestety, tak
się niefortunnie złożyło, że
moja żona wyjechała. Jest w
Meksyku. Zawsze wolała Meksyk od
Martha's Vineyard. Ale jest moja
córka z koleżanką. - Patrzy
przez ramię na Laurę. -
Doskonale zajmą się dzieckiem.

Biel domu potęguje wrażenie
chłodu, jakie ofiarowuje jego
wnętrze. Przez cały czas nie
przestaje się krzątać po nim w
trosce o wygodę gości małżeńska
para Filipińczyków. Cała
środkowa ściana głównego pokoju
odslania widok na błękitne morze
wznoszące się nad bujną trawą,
która łagodnie faluje w
powiewach bryzy. Gdyby nie to
falowanie, można by sądzić, że
to tylko obraz przedstawiający
morze.

Pozostali goście, w białych
tenisowych strojach kręcący się
leniwie po pokoju, to Jack i
Alice, małżeństwo, podobnie jak

gospodarz około pięćdziesiątki,
i niesłychanie efektowna młoda
blondynka, Mary. Laura, w której
już odezwała się zazdrość, jest
zupełnie rozbrojona widząc jej
zachwyty nad Matyldą. - Co za

ciałko! Ta skórka! Co za rzęsy!
Jaki uśmiech! - Obie dziewczyny,
Cissie i Luiza, przyłączywszy
się do niej tworzą zgodny chór,
budząc w Laurze refleksję, że
może warto było zamienić smukłe
brązowe nogi na piękną córeczkę.

Henry i Martin ulatniają się,
żeby zagrać w tenisa, Mary idzie
popływać, a Jack i Alice
wychodzą odwiedzić jakiegoś
przyjaciela. Laura, uznając, że
słońce jest tego dnia za mocne
dla Tilly, bawi się z nią
siedząc na białym dywanie w
pobliżu okna. Cissie i Luiza
dotrzymują jej przez chwilę
towarzystwa, łaskocząc Tilly po
brzuszkę i przewracając po
dywanie. Niebawem jednak biegną
popływać w morzu razem z Mary.
Laura zostaje z córeczką sama.
Tilly zaraz usypia. Laura
kołysze ją leciutko, sama na
współ śpiąca i prawie szczęśliwa.

Martin i Henry wracają zlanymi
potem, ale zadowoleni. Z
szacunkiem patrzą na piękny
obraz macierzyństwa. - To się
nazywa prawdziwa kobieta - mówi
Henry.

Lunch podano na szerokim
ocienionym tarasie. Potem rozmowa
toczy się na temat interesów,
teatru, polityki i ludzi. Laura
spozstrzega, że Mary mimo swego
wyglądu wcale nie jest głupia.
Pracuje w Waszyngtonie, w

biurze pewnego młodego senatora.

Później pomaga Laurze kąpać Tilly. Opowiada jej, że jest najstarsza z sześciorga rodzeństwa i póki nie wyniosła się z domu, zawsze kąpała najmłodsze dziecko. Nie godzi się to z wyobrażeniem Laury o niezależnych długonogich pięknościach, burzy jej równowagę umysłu.

- Od razu, zdaje się, można się domyślić, że pochodzę z rodziny katolickiej - mówi Mary ze śmiechem.

- Ja bym na to nie wpadła! - Laura nie wie, dlaczego

powiedziała to tak głośno i impulsywnie. Mary spogląda na nią zdziwiona. Laura tłumaczy sobie, że była to reakcja na jej domniemanie, że Mary jest młodą i piękną przyjaciółką podstarzałego bogatego Henry'ego. - Chyba już nie uważasz się za katoliczkę?

- Bardzo długo myślałam o tym, żeby pójść do klasztoru, w końcu jednak zdecydowałam się wejść w świat polityki. Sądzę, że w ten sposób mogę działać efektywniej. Myślę tak w tej chwili. Ale jeszcze nie wiem, czy nie zmienię zdania.

Laura kończy kąpać Tilly, karmi ją, kładzie spać i sama przygotowuje się na resztę wieczoru. Przez cały czas nie opuszcza jej myśl o Mary. Młoda piękna kobieta z tego samego mniej więcej środowiska co ona, która nie z próżności, bez szczególnych pretensji, czy chęci popisywania się, kieruje

swym życiem tak, by mogła "działać efektywniej". Laura nie potrafi ściślej zdefiniować tego określenia, tak samo zresztą jak nie zrobiła tego Mary, ale domyśla się, że chodzi o dobro ogólne, o czystsze domy, czystsze, nie zatrute powietrze, czystsze obyczaje. Jest to śmiałość przyprawiająca o zawrót głowy. Laura, którą zawsze traktowano jak królową pośród kobiet, jest zbita z tropu i pełna podziwu.

Kiedy Martin przychodzi, żeby wziąć prysznic, mówi do niego: - Uważam, że Mary jest nadzwyczajna.

- O, jej nogi z pewnością! - krzyczy w odpowiedzi Martin, odkręcając kurki.

Hałaśliwy szum wody uniemożliwia dalszą rozmowę i Laura ma czas, żeby uznać uwagę Martina za niesmaczną. Jest dla niej jeszcze jednym dowodem jego powierzchownego sposobu myślenia. Kiedy Martin znowu się

pojawia, obrzuca go chłodnym wzrokiem. - Wiesz, ona jest naprawdę poważnym człowiekiem.

- Kto? - Wyciera się energicznie rękawkiem i dopiero potem, obróciwszy się, żeby spojrzeć na Laure, śmieje się jej prosto w twarz. - Ależ kochanie, nie mam co do tego wątpliwości. Mówię tylko, że jej nogi bardziej rzucają się w oczy.

Laura daje się pocałować, ale jest uparcie zachmurzona. Nie tylko płytki, ale do tego prostacki, uznaje.

Kolacja składa się z dwóch olbrzymich homarów. Leżą na kamiennej posadzce tarasu. Henry przykuca nad nimi z tasakiem w rękę. W ciemności, którą rozprasza tylko światło odstraszaających komary świec, wygląda jak jeden z Nibelungów Wagnera. Laura nigdy dotąd nie widziała takiej masy homara, tak różowego i tłustego mięsa. Zjadają je, coraz to sięgając do salatek z majonezem i sałatą i energiczniej oblizując palce. Nalewane do dużych kieliszków białe wino piją jak wodę, zaspokajając pragnienie. Robi im się gorąco od tego jedzenia, na czołach zaczynają się pojawiać krople potu. Teraz Martin bierze tasak i celnymi uderzeniami rozbija skorupę następnego homara. Laura patrzy na niego z dumą, choć zdaje sobie sprawę, jakie to śmieszne.

Martin podaje jej różowe, pięknie wyjęte w nie naruszonym stanie mięso z kleszczy. Przed włożeniem go do ust Laura zanurza je w misce z majonezem. Tym razem nie sprawia jej to jednak przyjemności. Mięso jest zbyt kaloryczne, niepokoi ją, że znowu utyje. Udaje jej się zjeść ten kawałek tylko dzięki temu, że popija winem.

Zaczyna ją lekko boleć głowa, na dodatek świece, które mają odpędzać komary, jeśli chodzi o

nią, nie zdają egzaminu. Ukradkiem drapie się w kostkę dużym palcem drugiej stopy, by za chwilę pocierać całą stopę jedną o drugą, jak konik polny.

Niewiele to pomaga. Za chwilę komary wyfruwają spod stołu i atakują jej szyję.

Spogląda na innych, ale nikt się nie drapie. Mary, cała ubrana na biało, biała koszuulowa bluzka, białe dżinsy, białe bransoletki, sandaalki, nawet opaska na włosy, tylko twarz i ręce złote - opowiada o tym, jak było dawniej na Martha's Vineyard. - Moja matka - mówi - nigdy nie wchodziła do wody między dwunastą a trzecią po południu, nie zostawała też na dworze po szóstej. Komary urastały w jej wyobraźni do rozmiaru potworów karmiących się ludzkim mięsem.

Zanim Laura zdążyła zabrać głos w dyskusji, która zaczęła ją interesować, odezwał się Martin opowiadając Mary, że jego matka bywała na tej wyspie każdego roku. Mary przypomina sobie jej nazwisko, a nawet jest pewna, że poznała panią Keane osobiście. Za chwilę oboje pograżają się w ożywionej rozmowie.

- Ale dlaczego ty nie przyjeżdżałeś? - mówi Mary. - Natychmiast zakochawałam się w każdym przystojnym mężczyźnie. Byłam potwornie romantyczną panienką.

- I z pewnością siejącą spustoszenie. - Martin proponuje jej więcej majonezu.

Laura drapie się jak szalona. Henry patrzy na nią z uprzejmą miną. - Ojej! One zawsze poczują angielską krew. Cissie, idź i przynieś jakiś spray.

- Jakie pani ma spokojne dziecko! - odzywa się Alice.

Dziewczęta pojawiają się z kilkoma puszkami różnych sprayów i maścią na komary.

- W Indiach - mówi Jack -

używaliśmy do tego celu węży.
Nieżywych oczywiście. Niewielkie
ilości zielonego proszku z
węży. Był to środek
najskuteczniejszy.

Mary i Martin nie przerywają
rozmowy.

Laura używa wszystkich sprayów
po kolei. Jednym spryskuje
głowę, drugim nogi, jeszcze
innym miejsca, gdzie jest
pogryziona. Rozpryskuje wokół
siebie pas ochronny z wszystkich
tych środków, dopóki nie odnosi
wrażenia, że już żaden insekt,
duży czy mały, nie odważy się
przekroczyć granicy dziesięciu
metrów. Daje jej to szczególny
rodzaj satysfakcji. Wraca na
swoje miejsce i siada obstawiona
bronią na komary jak baterią
głowic nuklearnych.

Jej stan psychiczny nie
przypomina jednak nastrojów
obleganego przez nieprzyjaciela
kraju, raczej podobny jest do
przeżyć nastolatki, która robi
wszystko, żeby się uczynić jak
najmniej pociągającą i zapobiec
ewentualnym umizgom chłopców,
usprawiedliwiając jednocześnie w
ten sposób brak tych umizgów.

- Nie sądzę, żeby małżeństwo
było absolutną katastrofą -
bystro zauważa Mary - ale
pochłania dużo czasu.

Laura sączy swoje wino, które
ma teraz wyraźny posmak środków
owadobójczych, ma jednak
nadzieję, że nie jest ich aż
tyle, by się śmiertelnie zatruć.

- Więc naprawdę osiedlicie się
na dłuższy czas w Nowym Jorku! -
Henry pochyla się w jej kierunku

z takim przejęciem, że gdyby nie
bateria głowic, posądziłaby go
o zalecanie się do niej.

Natychmiast podnosi ją to na
duchu.

- Ach, nie! - odpowiada,
ciskając Martinowi lekceważące
spojrzenie. - Nie sędzę, żebym
tam mogła długo wytrzymać. Poza
tym mam w Anglii syna, któremu
jestem potrzebna. To tylko

rodzaj miłego wypadu dla
urozmaicenia. - Przy ostatnich
słowach, które mówi specjalnie
głośno, z zadowoleniem
przechyla głowę do tyłu.

Osiąga zamierzony efekt.

Henry wraca nerwowo do pionowej
pozycji, a Martin i Mary
przystają rozmawiać.

Martin patrzy na rząd
ustawionych puszek, jak gdyby je
dopiero teraz zobaczył. - Co to
ma znaczyć? Jakies zamczyska na
stole?

Laura mierzy Mary
piorunującym spojrzeniem. - To
tylko barykada przed potworami
żywiącymi się ludzkim mięsem. -
Sama jest zdumiona, że stać ją
na taki zjadliwie ironiczny ton.
Twarz jej się ściąga w liczne
fałdy, wokół wykrzywionych ust
pojawiają się linie pełne
gorzoty. Przynajmniej -
przebiega jej przez myśl - nie
będą mnie uważali za kobiecinę
dobroduszną jak matka ziemia.

Zapada cisza. Po chwili, kiedy
nawiązuje się rozmowa, Laura
zauważa, że wszyscy traktują ją
z niejakim respektem, jak
odbezpieczoną bombę. Sprawia jej
to satysfakcję. Sączy wino i

słucha, jak rozmowa stopniowo się rozkręca.

Martin i Laura wychodzą razem do pokoju, w którym mają spać. Odruchowo spojrzawszy na łóżeczko, w którym leży pogrążona w głębokim śnie Matylda, Laura rzuca się na łóżko. Fałdy jej obszernej jak chałat, powiewnej sukni powoli opadają, układając się w liczne fale. Wyobraża sobie romantycznie, że jest podobna do wiktoriańskiej lalki. Jej nogi, różowe i okrągłe, mają skórę gładką jak porcelana. Z zadowoleniem przesuwa dłoń po łydce.

Martin zrzuca ubranie niemal jednym ruchem. Zerka na Laure. - Co ci przyszło do głowy zachować się w ten sposób? - To pozornie

zdawkowe pytanie zadaje tonem krytycznym. Dotąd nigdy nie zdobył się w stosunku do niej na żadną krytykę. Był to jeden z faktów nadających ich związkowi cechy iluzoryczne. Jest więc teraz bardzo wstrząśnięta. Przez chwilę leży całkiem nieruchomo, czując gorzki smak kolejnych faz szoku, i kiedy uświadamia sobie, że się z tego nie otrząśnie tak łatwo, siada wyprostowana topiąc w Martinie harde spojrzenie.

- Co masz na myśli?

- Twoje wykrzykiwanie "miły wypad dla urozmaicenia" i wszystkie inne bzdury.

Więc to go tak zabolalo. Laura odczuwa nieklamana radość. - A co ja mam powiedzieć o tobie? I o Mary? To było odrażające. Ośliniałeś ją od stóp do głów.

Pewnie myśli o tobie jak o ostatnim głupcu.

Martin bierze leżącą na łóżku piżamę i odwraca się tyłem do Laury. Przez chwilę stoi nieruchomo, jak gdyby coś rozważając w myślach, następnie idzie do łazienki. Wychodzi z niej w piżamie i spokojnie siada na łóżku.

Laura nie zmienia pozycji. W magiczny sposób czas przestał dla niej istnieć. Przez całą noc mogłaby tak siedzieć wyprostowana i patrzeć przed siebie. Czuje się obecnie nie jak wiktoriańska lalka, ale raczej jak porcelanowy Budda z białym tłustym brzuchem. Kiedyś widziała przed jubilerskim sklepem taką figurę Buddy naturalnej wielkości, która miała zawieszoną na szyi tabliczkę z napisem: "Dotknij mojego brzucha i wypowiedz jakieś życzenie". Jako dziecko często pocierała brzuch tego Buddy.

- Dotknij mojego brzucha i wypowiedz jakieś życzenie - odzywa się do Martina, patrząc gdzieś w górę nad jego lewą brwią. Odległości, tak jak czas,

rozpływają się we mgle.

- Co się z tobą dzieje? -
Martin bierze ją za rękę. -
Wypiłaś za dużo wina?

Odsuwa jego rękę. - Nic się ze mną nie dzieje. Miałam cudowny wieczór. Zupełnie fantastyczny!

Martin ponownie wstaje. Podchodzi do łóżeczka. Pochyla się i podkłada dłoń pod plecki dziecka, żeby je wyjąć.

- Zostaw ją! - ostro reaguje

Laura.

- Dlaczego?

- Może się obudzić.

Martin przytula twarz do Matyldy. Dziecko ma oczka mocno zamknięte, ale zaciska paluszki na jego palcach. Laura patrzy na nich zupełnie obojętnym wzrokiem, wydają jej się obcy.

Martin kładzie Matyldę i wraca do Laury. - Dlaczego się nie rozbierasz?

- Bo nie mam ochoty.

Martin wydaje się nerwowo wyczerpany. Laura z przyjemnością dostrzega, że nie jest już taki młody jak dotąd. Linia włosów nad czołem rysuje się coraz wyżej, nos jest wydatniejszy niż dawniej i czerwieńszy od policzków. To ona go do tego doprowadziła. Nie jest już taki krzepki, przystojny i pewny siebie.

- Dlaczego mi nie powiesz, o co ci chodzi?

- O nic mi nie chodzi.

Wszystko jest wspaniałe i cudowne. Mam wspaniałego kochanka, wspaniałe dziecko i wspaniałą pracę. Wszystko wspaniałe.

- Patrzysz na mnie takim wzrokiem, jak gdybyś mnie nienawidziła.

- Nie ma takiego człowieka, który mógłby cię nienawidzić.

- Czy chcesz, żebyśmy się rozstali?

Nareszcie to powiedział. Doprowadziła go do tego. Słowa, których nie będzie można nigdy wymieść z pamięci ani zapomnieć.

Ma teraz, czego chciała. Wstaje i z dumnie podniesioną głową przechodzi obok Martina. Tak samo jak on przebiera się w łazience i wraca, ciągle powolnym krokiem, w nocnej koszuli.

Martin kładzie się do łóżka, zakopując się w pościeli. Laura czuje się jak Lady Macbeth w środku nocy. Z krwią ofiary na dłoniach. POdchodzi do okna i wygląda spoza story. Ze zdumieniem za ciemnościami widzi morze połyskujące srebrem w świetle księżyca. Wyteża wzrok podekscytowana. Jak skarb chowa w pamięci ten zimny niczym lód moment przerażenia, jak gdyby to była najwyższa radość. Bezruch wody, który zrobił na niej takie wrażenie w ciągu dnia, wyraźnie trwa przed jej oczyma. Przez chwilę wspomina wietrzny brzeg morza, gdzie kochali się z Martinem po raz pierwszy. Wtedy jego miłość sprawiła, że zanurzyła się w spokoju i ciszy, mimo że wokół były chmury, trawa i ptaki, a fale ostro biły o brzeg. Teraz wokół panuje bezruch i to ona jest tą, która się miota i kracze, i ciska.

Obróciwszy się nagłym ruchem, idzie do łóżka. Otacza Martina ramionami. - Nikogo nigdy tak nie kochałam jak ciebie.

- Ale nie jesteś szczęśliwa.

- Co to takiego szczęście?

- Dawniej czułaś się szczęśliwa.

- Zmieniłam się.

- Nie rozumiem tego. Jeśli mnie kochasz.

- Nie jestem taka, jak myślisz. Przepraszam cię. Wydaje mi się, że przedtem mnie w ogóle nie było. Byłam pustą skorupą. Kto wie, czy nie zakochałeś się w pozorach. Nie byłam osobą, za

którą mnie brałeś.

- Nadal cię kocham.

- Och, Martin! - Laura

przytula twarz do jego policzka
i czuje, jak do oczu napływają

jej łzy. Rozumie, że wszystkie
jej myśli i słowa to stek bzdur.
Wszystko, czego pragnie, całe
życie, jest zawarte w jego
słowach. Martin ją nadal kocha.

- Kocham cię tak bardzo. Tak
bardzo - mówi Laura przez łzy.

Kochają się. Odpadają od
siebie, od razu pogrążając się w
sen.

W środku nocy Tilly budzi
Laure. Dochodzi do świadomości
stopniowo, słysząc, że dziecko
placze. Przyzwyczała się
obecnie sprawdzać swoje
odczucia, tym razem także czeka
chwilę i dopiero wtedy decyduje
się na pierwszy ruch. Wszystko w
porządku. Martin śpi obok, ich
nogi ciągle są jeszcze splątane,
jak gdyby na znak niezmiennej
miłości. Delikatnie wyślizguje
się, bierze wcześniej
przygotowaną butelkę i idzie do
Matyldy.

Z dzieckiem w ramionach siada.
Fotel stoi tuż przy oknie, ale
Laura nie ma ochoty odsuwać
zasłon. Tu, w tym pokoju jest
wszystko, czego pragnie. Myśli,
że gdyby cały świat przestał
istnieć, nawet Nicky, nie
miałoby to znaczenia. Żyliby w
trójkę jak ludzie pierwotni, w
jaskini bez światła.

Matylda łąpczywie opróżnia
butelkę, ale potem nie jest ani
trochę śpiąca. Laura zmienia
jej pieluszkę i jednak próbuje

ją położyć. Mała płacze.
Powtarza się to kilka razy.
Laura boi się, że obudzą cały
dom. Pokój ma ściany
weekendowego domu, cienkie i w
niczym nie przypominające
pierwotnej jaskini.

Z dzieckiem w ramionach Laura
chodzi po pokoju. Martin porusza
się. Wyciąga rękę szukając jej
po omacku. Laura uśmiecha się na
ten widok. To jej dodaje
odwagi. Zawija Matyldę w kocyk,
lekko odsuwa zasłonę i otwiera
oszkłone drzwi.

Z głową pochyloną nad

dzieckiem wychodzi na dwór.
Spaceruje tam i z powrotem po
trawie przed tarasem, kołysząc
Tilly i cichutko śpiewając.
Stopniowo Matylda się uspokaja,
opuszcza powieki coraz niżej.
Laura może się teraz rozejrzeć,
czuje na skórze chłodne
powietrze nocy i nagle z
przerażeniem zdaje sobie sprawę,
że jest zupełnie naga.

Rozgląda się nerwowo dokoła,
ale po chwili uśmiecha się.
Trudno sobie wyobrazić, żeby ją
tu ktoś zobaczył o trzeciej czy
czwartej nad ranem.

Tilly teraz śpi i Laura kieruje
się ku domowi. Jednak nocne
powietrze opływające jej ciało
jest zbyt rześkie. Zamiast
wracać, spogląda na srebrzące
się morze, nadal nieruchome, ale
teraz tak bliskie i kuszące.

Nie odważając się zostawić
Matyldy z obawy, że się zbudzi,
przytula ją mocniej i szybkim
krokiem idzie w kierunku morza.

Tak więc Mary, która wraca od Henry'ego przemykając tarasem jak wysmukła biała zjawa, widzi na tle srebrnego morza niezwykle obraz - sylwetkę matki z dzieckiem. Matka, otyła, nie opalona i zupełnie naga idzie śpiesznie w kierunku morza i księżycowej poświaty ze śpiącym dzieckiem owiniętym tak, że mogłoby znieść nawet angielską zimę.

Mary, której dewizą jest przekonanie, że każdy powinien robić to, na co ma ochotę, i która zdążyła zauważyć, jak dziwne są często ludzkie kaprysy, nie jest specjalnie zdziwiona. Mając jednak skłonności do dramatyzowania, bierze pod uwagę możliwość zamiarów samobójczych. Przystaje, obserwując, co będzie dalej.

Widzi, jak Laura delikatnie układa dziecko na piachu i wolnym krokiem wchodzi do wody.

W momencie, kiedy woda sięga jej po kolana, wyrzuca ręce do góry i przeciąga się z tak ekstatycznym zachwytem, że Mary niemal jej zazdrości. Powoli zanurza się w morzu, jej mokre ciało połyskuje w wodzie przypominając delfina. Nie ma sensu obserwować tej sceny dłużej. Mary wraca do swego pokoju.

XXI

Po powrocie do Nowego Jorku Laura zastaje czekającą na nią

pękata kopertę. Adres jest cały
w plamach, jakby na atrament
padały łzy. Uśmiecha się widząc
irlandzki znaczek. Droga od łez
w Nowym Jorku do deszczu w
Irlandii jest bardzo długa.
Widzi Roya kroczącego w
zielonych weelingtonach do
skrzynki pocztowej.

- List od Roya - mówi do
Martina i wkłada list do
kieszeni. Przeczyta go później,
wieczorem.

"Chciałem, żebyś była pierwszą
osobą, która się o tym
dowiaduje, gdyż spośród
wszystkich skomplikowanych
motywów mojej decyzji właściwie
z twego powodu ją podjąłem. Bez
ciebie nigdy bym nie zrozumiał.
Nie miałbym odwagi..." Pisze
czarnym atramentem, jego pismo
jest drobne, wygląda jak pasmo
ułożonych obok siebie na
szerokość storny maleńkich
sprężynek. Laura patrzy na nie i
nie może tego zrozumieć. Jak to
staranne pismo mogło wyjść spod
ręki osoby tak niezręcznej w
ruchach? Jest w nim jednak
umysłowy niepokój Roya. "Muszę
ci się przyznać, że od jakiegoś
czasu byłem w stałym kontakcie z
duchownym, który mnie
przysposabiał do tego kroku, nie
śmiałem jednak myśleć o
pozytywnym zakończeniu tych
rekolekcji. Mam być ochrzczony

za trzy tygodnie. Byłbym taki
szczęśliwy, taki bardzo
szczęśliwy, gdybyś mogła
uczestniczyć w mszy świętej.
Zdaję sobie sprawę, że
chciałabyś wiedzieć, dlaczego

nalegam, powiem ci tylko, że niezależnie od tego, kim dla mnie jesteś, jesteś także jedyną w całym świecie katoliczką, jaką znam".

Laurze wrywa się okrzyk: -

Roy przyjmuje katolicyzm!

Martin odkłada gazetę. -

Dlaczego jesteś taka zdziwiona?

- Sama nie wiem. Zawsze zdawało mi się, że jego naczelną cechą jest niemożność podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

- Musiał znaleźć dobrego kaznodzieję.

- Co masz na myśli?

- Wspominał coś na ten temat, kiedy byliśmy u niego.

- Ach, tak. - Laura jest zaskoczona. Nie może sobie wyobrazić, jak Roy mógł chcieć się zwierzać Martinowi, jej wyzywającemu, nieskomplikowanemu, żyjącemu wśród komputerów kochankowi. Uważa, że subtelności natury Roya są zastrzeżone wyłącznie dla niej. - Chce, żebym przyjechała. Na specjalnie uroczystą mszę. Do Londynu.

- Kiedy?

Laura sprawdza w liście. - Za trzy tygodnie. Mogłabym się przy okazji zobaczyć z Nickiem.

Zabrać z domu swoje rzeczy. -

Nie podnosi wzroku, żeby Martin nie poznał, jak się do tego pali. Zaczyna się chować przed nim ze swymi głębokimi uczuciami.

- Naturalnie, jesteś katoliczką.

Laura obrzuca go szybkim spojrzeniem. - Przynajmniej zostałam tak ochrzczona.

- RAz katolik, do końca życia katolik. - Martin wstaje i podchodzi do Laury. Przykuca i obejmuje ją ramionami. - Uważam

cię za wyjątkowo prawdziwą katoliczkę.

- Dlaczego tak mówisz?

- Sądzę tak po twoim sposobie myślenia. Zło i dobro. Wina. Szczególnie wina.

Laura próbuje się poruszyć, zmieszana. - Musiałeś chyba otrzymać jakieś religijne wychowanie?

- Rzeczywiście, zostałem ochrzczony i też jestem katolikiem. - Martin śmieje się, widząc, jak Laura prostuje się gwałtownie z niemal przestraszonym wyrazem twarzy. -

Pamiętaj, że moja matka jest Francuzką. Ochrciła mnie i wtedy ojciec postarał się, żeby mnie wychowano na dobrego angielskiego katolika w dawnym stylu. Trwało to do trzynastego roku życia. POtem odstąpiłem od wiary. Szkoła z internatem, gdzie mnie umieszczono, była bardzo postępową. Nie zmuszała dzieci do uczęszczania na nabożeństwa. Dyrektor był agnostykiem, chwalił się tym przed uczniami szóstej klasy. -

Całuje Laurę w policzek. -

Bezwzględnie musisz być na uroczystości Roya. Ja także postaram się przyjechać.

- Nie wiem, gdzie moglibyśmy się zatrzymać. - Laura próbuje lekkim tonem pokryć swoje absolutne zdecydowanie.

Przytuliwszy policzek do twarzy Martina pyta: - Więc ty także jesteś agnostykiem, hm?

- Nie. Wierzę w Boga. - Mówiąc to, wstaje. - Wierzę, "bowiem brodzimy w ciemnościach", według słów pewnej dobrej książki.

Laura próbuje sobie wyobrazić,
jak to jest, kiedy ktoś decyduje
się na tak poważny krok w swoim
życiu duchowym. Wydaje jej się,
że zanim odeszła od Milesa, żyła
kierując się pewnymi zasadami.
Było to jednak tak naturalne
i łatwe, że nawet tego nie
zauważała. Była skoncentrowana
na sobie i jedyną okazję do

manifestowania chrześcijańskiego
światopoglądu stwarzali jej
najbliżsi, ci, których kochała.
Nie interesowały jej
zapatrywania innych ludzi.

Jest słoneczne popołudnie,
Laura idzie Piątą Aleją
pchając spacerówkę. Do jednej z
rączek wózka przytwierdziła
biało_czerwoną parasolkę z
falbankami, osłaniającą Tilly
przed ostrym słońcem. Po lewej
stronie widzi kamienne stopnie.
Obraca wózek i wchodzi po nich,
ciągnąc tyłem podskakującą na
każdym stopniu spacerówkę.
Wchodzi przez ogromne ciemne
odrzwia.

Dziwne uczucie ogarnia,
kiedy nagle z szerokich
ruchliwych chodników
zatłoczonych ludźmi biegającymi
od Tiffany'ego do Bergdorfa czy
Saksa wejdzie się do
olbrzymiego, o bogatym wystroju
kościółka. Odruchowo Laura
spodziewa się raczej pólki z
kapeluszami i apaszkami aniżeli
pustych rzędów ławek. Siada w
jednej z nich, przy końcu,
ociągając się z klęknięciem.
Jeśli uklęknie, będzie się
musiała modlić. O co ma się
modlić? Ale miły jest ten chłód

kościół, miły nawet mrok po
ostrym blasku na zewnątrz. A
spokój jest wprost cudowny.
Tilly siedzi zachwycona,
wymachując bladymi paluszkami
przy twarzy.

Laurze przychodzi na myśl, że
powinna podziękować Bogu za to,
że przywiódł Roya do wiary, co
było jego wielkim pragnieniem.
Więc modli się wsparłszy głowę
na rękach, uszczęśliwiona
wewnętrznie altruizmem tej
modlitwy. Po kilku chwilach
słyszy miauczące gaworzenie
Tilly. Patrzy na nią i dostaje w
odpowiedzi uśmiech odsłaniający
jedyne ząbek córki. Nie można
się nie uśmiechnąć na ten widok,
co więcej, Laura błyskawicznie
podejmuje decyzję, że nie tylko

polecą na uroczystość Roya, ale
zrobi wszystko, żeby
jednocześnie ochrzcić Matyldę.

W przyływie energii i dobrych
intencji pospiesznie robi znak
krzyża, pada na kolana, po czym
szybko pchając wózek z dzieckiem
opuszcza kościół.

Uczucie, że zdecydowała się na
coś naprawdę szlachetnego, psuje
nieco zdziwienie Ellen i
wątpliwość Martina. - Sądziłem,
że wasz kościół domaga się od
rodziców ślubu.

- Teraz już nie - mówi Laura z
pewną siebie miną. - Może tylko
w środowiskach tradycyjnych. Ale
ty nie masz zastrzeżeń, prawda,
Martin?

- Nie chcę cię zasmucać. Tak,
ochrzczymy Tilly.

- Więc chcesz, żeby była
ochrzczona. Świetnie. - Laura

krząta się, robi porządki,
zaprowadza ład we wszystkich
sprawach. Odkąd zdecydowała się
wrócić do Anglii, rozsadza ją
energia. Nawet tusza nie
przeszkadza jej w organizowaniu
podróży. Dopilnowuje trzech
amerykańskich kontaktów, żeby
miała się z czym pokazać w swoim
biurze Ligi Ochrony Kultury
Rolnej.

Pisze do szkoły Nicka, do
adwokata Milesa, do Katie, do
Nell i oczywiście do Roya,
zawiadamiając wszystkich o swoim
przyjeździe i zamiarze
ochrzczenia Tilly. Życie, które
wydawało się nie do ułożenia w
warunkach angielskich, teraz z
perspektywy Ameryki okazuje się
możliwe i nie nastęczające
trudności.

W niejasny sposób jest
zadowolona, kiedy Martin
oświadcza, że nie może tak
ułożyć swoich spraw, żeby
polecieć jednocześnie z nimi,
dołączy trochę później. Laura
myśli, że bez niego będzie miała
większą swobodę działania.
Ponieważ trudno było
przewidzieć, kiedy wróci do

Nowego Jorku, przestała szukać
innego mieszkania. Jest nieco
zaskoczona widząc, że Ellen
czuje się urażona perspektywą
jej nieobecności w czasie, kiedy
spodziewa się rozwiązania. Mówi
do Ellen: - Jeśli nie wrócę do
września, musisz przyjechać z
dzieckiem do mnie. Będę
uszczęśliwiona mogąc ci pokazać
Anglię.

Na to Ellen: - Ale Martin

mieszka w Nowym Jorku.

Laura odwraca twarz. - Tak, naturalnie.

Opuszcza Martina późnym wieczorem. Upał panujący na lotnisku Kennedy'ego, podniecenie i niepewność najbliższej przyszłości nadają ich uściskowi przy rozstaniu szczególną wymowę.

- Nie chcę odjeżdżać.

- Wiesz, że chcesz - łagodnie mówi Martin. Wypuszcza ją z objęć i poklepuje buzię Tilly. - Wracaj prędko.

- Ale ty do nas przylatujesz?

- Oczywiście. Kocham cię.

Tilly zaczyna popłakiwać, wyciągając do niego rączki.

Laura nie chce płakać. Odsuwa się o krok i patrząc nad ramieniem dziecka, mówi: - I ja ciebie kocham.

Całują się jeszcze raz. W same usta. Miękkie wargi przywierają do siebie. Tilly krzyczy, popłakiwanie przeszło w głośny płacz. Energicznie każde z nich odrywa się i rusza przed siebie, Laura lekko potrąciwszy wózek. Ale zaledwie po kilku krokach, gdy Laura już jest przy odprawie celnej, odwraca się tylko Martin. Zdaje mu się, że słyszy płacz Tilly, ale wszystko zagłusza informacja podawana przez megafon. Martin idzie nieco wolniej niż zazwyczaj. Odzwyczaił się od samotności.

Laura stoi przed domem pani Keane w Chelsea. Ma u niej mieszkać. Nie można było wynająć

domu, który zajmowali przed

wyjazdem, a w mieszkaniu Martina, ciągle według umowy, mają prawo mieszkać obecni lokatorzy. W Nowym Jorku plan zatrzymania się tutaj wydał jej się dobry, przy obecnej pewności siebie. Było to jakby schwywanie byka za rogi. Matka Martina jest ostatecznie babką Tilly.

Ale kiedy Laura stoi tu o ósmej rano, w deszczu, w którym połyskują szaro chodniki i asfalt ulic, nie jest pewna, czy był to rozsądny pomysł. Pani Keane jej nienawidzi. Taksówka, czarna i lśniąca od deszczu, rusza sprzed domu. Rzęsisty deszcz moczy włosy Laury, które opadają strakami wokół twarzy. Laura naciąga Tilly kapturek aż na oczy. Bagaż, zresztą niewielki, stoi u jej stóp. Laura czuje się jak wiktoriańska ilustracja wyobrażająca opuszczenie.

Drzwi się otwierają i staje w nich pani Keane w długim brązowym szlafroku. Patrzy na nie obie z takim zdumieniem, że Laura zastanawia się, czy Martin czegoś nie poplątał. Nie nalegała, żeby się u niej zatrzymały. Ale po chwili pani Keane Bierze Laurę za rękę i wciąga do przedpokoju.

- Całkiem przemokłaś! - mówi to z wielkim przejęciem i niedowierzaniem, jak gdyby to przemoczenie było skutkiem złego zachowania, którego się po Laurze nie spodziewała. Uścisk jej kościstej ręki jest twardy. Laura ma wrażenie, że jakiś hak wbił się w jej miękkie ciało. Uśmiecha się blado, usuwając się trochę na bok. Pani Keane robi krok do przodu, chwytając walizkę i wózek, przeciągając go przez próg. Delikatnie popycha Laurę lekkim potrąceniem w plecy.

- Chodź od razu na górę. Potem
zejdziemy na dół. Musisz się
osuszyć. Śniadanie jest już
gotowe.

Idą schodami wyłożonymi
czerwonym chodnikiem. Pani Keane
zajmuje dwa górne piętra
niewielkiego domu.

Laura siedzi w ciepłej kuchni
karmiąc Tilly butelką, podczas
gdy pani Keane krząta się zajęta
jakimiś rondelkami czy dzbankami
na kawę. Brązowy kolor tego
szlafroka i zręczne ruchy w
kuchni wydają się Laurze
znajome, są jak gdyby
powtórzeniem jakiejś sceny.
Głaszcze miękkie włoski dziecka.
Nagle przypomina sobie ich
spotkanie w domu na wsi, gdzie
po przedstawieniu opery i
tańcach natknęła się na panią
Keane, która w tym samym
szlafroku robiła kakao.

Pani Keane obraca się od
lodówki. - Wiesz, mów mi po
imieniu, Helen.

- Dziękuję.

- Tak długo mieszkam sama, że
się czuję raczej jak stara
panna.

- To okropne, tak się do kogoś
wprosić jak my.

- Nic podobnego. - Stawia na
stole słoik apetycznej
marmolady domowej roboty. - Idę
się teraz ubrać.

- Nie jesz ze mną śniadania?

- Piłam już kawę.

Nienadzwyczajnie sypiam. -
Wychodzi, stukając po linoleum
zgrabnymi rannymi pantoflami.

Laura przestaje udawać, że nie
widzi, jak stara, samotna i

zależniona jest matka Martina.
Wzdycha i rozsmarowuje na
grzance cienką warstwę
marmolady. Naprawdę nie ma
ochoty wchodzić w zażyłość z tą
kobietą. Chce odpocząć od tego
rodzaju spraw.

Helen wraca i zaczyna sprzątać
ze stołu. Laura obserwuje ją
przez chwilę i nagle ku własnemu
zdumieniu mówi: - Nie wiem, co
będzie dalej ze mną i Martinem.

Helen odkłada talerzyk,
podchodzi do Laury i kładzie
rękę na jej ramieniu. Obie nic

nie mówią.

Pociesza mnie, myśli Laura.

Nagle Helen odsuwa się i
energicznym tonem oświadcza: -
Nie rozmawiajmy na ten temat. Od
dawna nie jestem z Martinem
dość blisko. - Oplukuje talerzyk
pod kranem. - Opowiedz mi o tym
niezwykłym chrzcie. Chyba wiesz,
że w pewnym sensie jestem
katoliczką. Im dłużej jestem w
Anglii, tym bardziej francuski
staje się mój sposób bycia. Tak
samo zresztą jak moja gramatyka.

Po raz pierwszy uśmiechają się
do siebie.

Po południu Laura wychodzi,
zostawiając śpiącą Tilly pod
opieką Helen.

Idzie do swego domu. Deszcz
ciągle pada, ale Laura
dostrzega, że ogródek od frontu
jest zadbany, lawenda zgrabnie
przycięta. Lepiej, aniżeli jej
się to udawało. Mimo że ma
jeszcze klucze, postanawia
zadzwoić. Drzwi otwierają się
niemal natychmiast. Stoi w nich
długowłosa dziewczyna w

dżinsach.

- Laura. Jestem Philippa.

Proszę, wejdź. - Ma drobną twarz, ładne rysy i proste jasne włosy. Mówi: - Spotkałyśmy się już kiedyś, chyba pamiętasz?

Stoją w hallu naprzeciw siebie. Laura postanawia, że zaprzeczy. - Nie pamiętam.

- U Martina, na obiedzie. W jego klubie. - Dziewczyna nie rezygnuje.

Laura rozumie, dlaczego potrafiła się narzucić Milesowi.

- Nie pamiętam - powtarza.

- Tak, spotkałyśmy się. Drugi raz na dyskotecze, w namiocie.

Laura przesuwa się obok niej, wchodząc dalej. Ta astmatyczna Philippa była dziewczyną Martina, jej szlafrok w kwiaty wisiał na drzwiach jego łazienki, pamięta jej pretensje i błagalny głos w słuchawce telefonu. Tamtego wieczoru w klubie nie widziała nikogo poza

Martinem.

- Pisałam do adwokata z Nowego Jorku.

- Wiem. Dlatego tu jestem.

Philippa idzie za nią i znowu staje tuż przy Laurze. - Obecnie tu mieszkam.

Laura ponownie odsuwa się od niej. Wchodzi do swego saloniku.

- Zacznę od tego pokoju. - Nie zapyta oczywiście Philippy, ale umiera z ciekawości, czy Nicky jest w domu. Rozgląda się, szukając w pokoju śladów pobytu małego chłopca. Wszędzie panuje jednak wzorowy porządek, wydaje się, że nic się tu nie zmieniło, a mimo to pokój jest całkiem

inny. Nie chce stąd wziąć ani jednej rzeczy.

- Może przyniosę papier i ołówek?

- Tak, proszę. - Przynajmniej wyjdzie z pokoju. Laura siada na krześle, na którym nigdy dawniej nie siadała.

- Nicky jest u ciotki. - Philippa wróciła. Dziewczyna, która przedtem mieszkała z Martinem. Teraz mieszka z Milesem.

- Dziękuję.

Laura nie wstając bierze od niej papier. Jutro pojedzie pociągiem do Katie i odwiedzi Nicka. Pisze na kartce papieru.

Philippa siada naprzeciw niej. Ma napięty, wyczekujący wyraz twarzy. Laura pamięta tę twarz z festynu. Pisze: "Sześć poduszek" i zaraz przekreśla to, co napisała. Co ona zrobi z sześcioma poduszkami? Pamięta, jaka była podniecona i jak się zastanawiała przy ich wyborze. Przez długi czas, całe tygodnie, ogromnie się nimi cieszyła. Tygodnie, może nawet lata. Przekreśla, co napisała, jeszcze grubszą kreską.

- Zdaje się, że zawsze miałas wszystko, czego chciałaś, prawda?

Laura podnosi oczy zdumiona. Głos Philippy jest ostry i

przepojony nienawiścią. Siedzi na brzegu kanapy z mocno zaciśniętymi dłońmi. Laura zastanawia się, czy ma jej w ogóle odpowiadać. Nie czuje do niej nienawiści, jest tylko rozgoryczona, że właśnie ta

Philippa może swobodnie przebywać z Nickiem.

- Nie - odzywa się po długiej przerwie. Wstaje. - Jeśli pozwolisz, zajmę się swoją sprawą sama.

Philippa pochyla głowę i zaczyna gryźć zaciśnięte do białości palce. Laura stoi, czekając.

- Każdy natychmiast się w tobie zakochuje. Każdy!

- Myślę, że zacznę od sypialni. - Laura rusza w kierunku drzwi, ale nie dochodzi do nich, bo Philippa zrywa się jednym skokiem i zabiega jej drogę.

- Między mną i Martinem wszystko układało się doskonale! Doskonale. Dopóki ty się nie pojawiłaś. A byłaś przecież zupełnie szczęśliwa z Milesem. Uwielbiał cię. Dotąd uwielbia. To nie w porządku w stosunku do niego, przyznasz. Bardzo krzywdzące. Nawet nie wiesz, jak cię nienawidzę. Jak ja ciebie nienawidzę!

Laura odczuwa to wyznanie jak rzuconą na siebie klątwę. Myśli: Ta kobieta mieszka pod jednym dachem z moim synem. Z całym spokojem pyta: - Jakim prawem właściwie tu mieszkasz?

- Ponieważ Miles mnie potrzebuje! - Słowa wyskakują jak żaby z ust czarownicy. - Twój mąż mnie potrzebuje.

Laura podejmuje decyzję. Uznaje, że dziewczyna jest nieobliczalna. Przeciska się przez drzwi obok niej. - Nie chcę ani jednej rzeczy z tego domu. Możesz to oświadczyć Milesowi w moim imieniu. - Szybkim krokiem idzie do frontowych drzwi. Deszcz ciągle

pada.

Philippa stoi na progu i krzyczy: - Jesteś niegodziwą, z gruntu złą kobietą! Niszczysz wszystkich dokoła siebie!

Laura obraca głowę, żeby na nią spojrzeć. Nie może uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Na progu jej własnego domu. Nagle Philippa dostaje ataku kaszlu. Zgina się wół, rozpaczliwie chwytając oddech. Z zamkniętych oczu płyną strumienie łez. Laura nie może teraz uciec. Nie może pozwolić, żeby umarła. Wraca i obejmuje ją wół ramieniem. Wprowadza do domu. - To lawenda - wykrztusza z siebie Philippa.

- W czasie deszczu? - mówi Laura z powątpiewaniem. Uważa, że to z nadmiaru nienawiści. Nicky mówił, że jest uczulona na kurz. Prowadzi ją do kuchni i podaje szklanę wody. Wszędzie jest bardzo czysto. Znacznie czysćiej aniżeli za jej czasów.

Philippa wraca do siebie. Nabrzmiała i czerwona twarz stopniowo przybiera normalny wygląd. Laura ponownie zabiera się do wyjścia.

- Przepraszam. - Philippa wyciera nos.

Laura zastanawia się, za który atak przepasza. - Nie ma o czym mówić. - Korzystając z tego, że Philippa jest jeszcze osłabiona, kieruje się ku drzwiom.

Philippa wstaje i idzie za nią, tym razem niezwykle dla niej grzeczna. Przytrzymuje dla Laury otwarte drzwi. Tuż przed jej wyjściem mówi, jakby to był dla Laury komplement: - Miles jest takim wspaniałym

człowiekiem. Jestem dumna, że
mogę mu w czymś pomóc.

- Bardzo mi miło. - Laura,
łaskawie skinąwszy głową,
jeszcze raz opuszcza dom.

Nareszcie nie pada. Ale
wszędzie kałuże, przez które
trzeba przebrnąć, z liści kapia
jej na głowę wielkie krople.

Uważając, że nie ma już nic do
stracenia, siada na ławce w
pobliżu przystanku autobusowego.
Nie jest zimno, jest tylko
bardzo mokro. Prawdziwy
irlandzki dzień.

Zaledwie to pomyślała, z
chodnika wyrasta przed nią
okazała postać. - Ha, ha! Więc
jednak cię dogoniłem.

To Roy, twarz czerwona, cały
promienieje. Kiedy się pochyla,
żeby ją ucałować, okulary,
zsunąwszy mu się z nosa, lądują
Laurze na kolanach przełamane na
pół. - Roy! Jak się cieszę, że
cię widzę.

- Domyślam się. Żadna rozkosz
siedzieć tak na mokrych deskach
jak włóczęga. Chodź, postawię ci
kawę. - Jedną ręką przytrzymując
okulary jak lornetkę, drugą
mocno ujmując Laurę pod rękę i
energicznym krokiem prowadzi ją
ulicą. - Może być tu. - Skręca
do kawiarenki, obok której Laura
jako mężatka przechodziła przez
dziesięć lat i nigdy nie
przyszło jej na myśl, żeby wejść
do środka.

- Najpierw poszedłem do tego
smoka, matki Martina, która mi
powiedziała, że poszłaś do domu.
Ale tam zastałem tylko to żółte
syczące stworzenie. Zadała mi ze

dwa tuziny pytań, które jej
zabrały tyle czasu, ile jedno
moje pytanie: "Gdzie jest
Laura?" Któż to taki?

- Dziewczyna Milesa - mówi
Laura ze wspaniałym uczuciem
ulgi. Tak, Philippa to po prostu
waż. - Ma okropną astmę.

- Hm, to tłumaczyłoby ten
świszczący oddech. Noszę w
kieszce trochę ziarna, jako
talizman. Mam cudowne zbiory w
tym roku.

- Nie pamiętam, że bym cię
widziała w takim humorze.

- A ja nie pamiętam, że bym
kiedykolwiek podjął tyle
decyzji. - Roy mówi to z chytrym
uśmieszkiem, jakby się na razie
nie chciał zdradzać do końca.

- Bardzo jestem szczęśliwa z
twojego powodu, wierz mi, Roy.
Bardzo!

- Wiem, wiem. Do tego chrzest
małej. Co za uświetnienie
uroczystości. To już pojutrze. -
Tym razem jednak pewna nerwowość
i lekki ton jego głosu każą się
domyślać, że myśli jeszcze o
czymś znacznie dla niego
ważniejszym. - Jak się czujesz?
- pyta, jakby dla odwrócenia
uwagi.

Euforia Laury opada. Jest coś,
co go interesuje znacznie
bardziej aniżeli ich spotkanie.
- Czuję się bardzo dobrze.
Musisz zobaczyć Matyldę. Jest
naprawdę słodka.

- Och, nie mam żadnych
wątpliwości. Córnka takiej mamy.

- Nawet to pochlebstwo nie brzmi
przekonywająco.

Pojawia się ich kawa,

regeneruje siły Laury.
Pokrzepiona uśmiecha się do
siedzącego naprzeciw Roya. -
Wiesz, wąż mnie zaatakował.
Oskarżył o przeróżne rzeczy.
Nazwała mnie niszczycielką.
Sądzę, że była naprawdę
zakochana w Martinie. Wiem o
tym. Zresztą była jego kochanką.
Mieszkała w jego mieszkaniu.

- Cóż, w sumie godna pogardy.

Laura widzi, że Roy nie chce
tego słuchać. Wprawia go to w
zakłopotanie, burzy jego
wyobrażenie o naturalnym
porządku rzeczy. Ujawnia się w
tym cała skomplikowana natura
dawnego Roya.

- Kiedyś zatelefonowała do
niego, gdy leżeliśmy z Martinem
w łóżku.

- Uważam, że kobiety ogromnie
różnią się od mężczyzn. - Laura
nie zdążyła złapać oddechu,
kiedy odezwał się Roy donośnym,
niemal grzmiącym głosem. - Lubią
się grzebać w takich sprawach. W
różnych paskudztwach.

- Och, Roy. - Laura jest
speszona. Wprost nie wierzy
własnym uszom, słysząc tę

zjadliwą krytykę. - Naprawdę nie
sprawia mi to żadnej
przyjemności. Wierz mi.

Jednak na twarzy Roya pojawia
się wyraz nieprzejednanej
zawziętości. - Kobiety mają
pragmatyczny stosunek do życia -
stwierdza ponuro. - Nie stać ich
na zrozumienie jakichś zasad, a
cóż dopiero na stosowanie się do
nich. - Odsuwa filiżankę z nie
wypitą kawą i nieruchomym
wzrokiem wpatruje się w obrus.

Laura zupełnie nie wie, co powiedzieć. Widzi, że oto przyszedł dzień, kiedy ze wszystkich stron spotyka się z samymi atakami. A była taka zadowolona, kiedy go zobaczyła.

- Oświadczyłem się Lizzie.

- Co takiego?

- Poprosiłem Lizzie, żeby została moją żoną. - Roy nieśmiało uśmiecha się do obrusa. - Po tym, jak zdecydowałem się zostać katolikiem, ogarnęło mnie ogromne wewnętrzne zadowolenie. Poczułem, że stać mnie na wszystko. - W przyływie emocji potrząsa głową tak silnie, że okulary spadają, tym razem na podłogę. Nie zwracając na to uwagi, mówi dalej: - Nagle zdałem sobie sprawę, że Lizzie nigdy nie znajdzie męża lepszego ode mnie. Mogę jej ofiarować wszystko, co każdej żonie potrzebne jest do szczęścia: miłość, zdrowie, zrozumienie, dom i wiarę w małżeństwo. Więc poszedłem do jej pokoju w tej okropnej uczelni i powiedziałem jej to. Nie miałem najmniejszych oporów. Powiedziałem jej, że jestem człowiekiem, którego potrzebuje, i że jeśli nie zrozumie tego w tej chwili, zrozumie to później.

- Roy! I co na to Lizzie?

- Dała mi się napić czegoś okropnego z puszki i poprosiła, żebym usiadł. Powiedziała, że musi iść na zajęcia z opiekunem roku i żebym poczekał, aż

wróci. Przyszła z koleżanką, wyjątkowo głupią dziewczyną z

rudymi włosami skręconymi na barana, która, jak się zorientowałem, wiedziała o wszystkim.

- Biedny Roy.

- Nie powiedziałbym. To mnie jeszcze bardziej utwierdziło w przekonaniu, że mam rację. Nigdy nie znajdzie kogoś takiego jak ja.

- Co w końcu powiedziała?

- Powiedziała, że chce zrobić dyplom.

- To wszystko?

- Mniej więcej. Nie słuchałem bardzo uważnie. Kiedy sobie raz zdałem sprawę, że to, co jej powiedziałem, nie wywarło na niej większego wrażenia, postanowiłem nic więcej nie mówić. Kobiety myślą tylko o sobie, są praktyczne.

- Roy, tak mi przykro.

- Całkiem bez potrzeby. W życiu jest wiele ważniejszych rzeczy. W południe msza i chrzest. A potem lunch.

- Bardzo już na to czekam. - Laura schyla się i podnosi okulary. Czuje, że nie jest to odpowiednia chwila, żeby mówić o własnych sprawach.

Kiedy wychodzą z kawiarni, znowu pada.

Pada także następnego dnia. Laura telefonuje do Katie i rozmawia również z Nickiem, który mówi: - Właśnie napisałem do ciebie do Ameryki, ale cieszę się, że już jesteś z powrotem. Tilly musi być bardzo duża.

Ostatecznie wydaje się, że rozsądniej jest poczekać i zobaczyć się z nim w czasie chrztu.

- Złożyliśmy się wszyscy i kupiliśmy jej super prezent.

Laura telefonuje do Nell, która podobno mieszka teraz w

Londynie. Nell wydaje się Laurze
tajemnicza i szczęśliwa. -
Spotkajmy się w Tate Gallery.

Uwielbiam rozmowy przed
obrazami. Wszystko, co się mówi,
nabiera wtedy jakby dodatkowej
głębi.

Laura wprawdzie woli
przyglądać się obrazom, ale nie
ma dość siły, by jej odmówić.
Przychodzi nieco później,
wiedząc z doświadczenia, że Nell
spóźnia się zawsze i wszędzie.
Ze zdumieniem jednak zastaje
Nell stojącą już w ekstazie w
półmroku sali Blake'a. Mimo że
ma na nogach, jak kokota, swoje
ulubione wysokie szpilki i
mocno ścisnęła się w pasie i
mimo że jej nieprawdopodobnie
płonące rude włosy nadal sięgają
jej aż po biodra, Laura
natychmiast wyczuwa w niej jakąś
zmianę. Jej ubiór nie ma cech
buntu. Na swój sposób Nell
wygląda naprawdę elegancko.
Nawet szacownie.

- Laura! - Nell obraca się i
biegnie uściskać przyjaciółkę.
Jej serdeczność się nie
zmieniła. Przez chwilę patrzą na
siebie i Nell już ciągnie Laurę
na środek sali, gdzie stoją
ławki. - Coś ci pokażę!

Otwiera torebkę, skórzaną,
najwidoczniej niedawno kupioną,
i na tej jakości - stwierdza
Laura na początek - polega
różnica w jej wyglądzie. Nell
nosi teraz rzeczy w dobrym
gatunku, skóra zamiast plastyku,
czarne obcisłe spodnie szyte na
zamówienie, a nie, jak dotąd,
spięte agrafką.

- Spójrz! - Nell wciska jej w rękę dużą białą kopertę. Nawet wtedy Laura się nie domyśla, o co chodzi. - No, szybko. Otwórz ją.

Zaproszenie na ślub. Laura osłupiała. Nie tyle z powodu samego faktu, że Nell wychodzi za mąż, co na widok zaproszenia wydrukowanego tłoczoną czcionką, z zachowaniem pełnej etykiety: "Eleonor Gray i sir Peter Potter zapraszają Panią na uroczystość zawarcia związku małżeńskiego,

która odbędzie się dnia 12 września".

- Sir Peter? - pyta zdumionym głosem Laura.

- Tak. Ale to nie ma znaczenia - zniecierpliwionym tonem odpowiada Nell. - W dzisiejszych czasach tytuł szlachecki nadaje się każdemu, komu się uda sprzedać więcej niż paczkę papierosów.

- No, chyba nie papierosów.

- Nie o to chodzi.

Przyjdiesz, prawda?

Laura jest coraz bardziej oszołomiona. Przygląda się płótnom Blake'a: "Szatan zaraża Hioba wrzodami", "Wąż atakuje Buoso Donatego". Nagie ciała ogarnięte płomieniami, upadające, skręcające się z bólu, wznoszące się w górę, latające, śpiące, konające. Czy to ma nadawać ich rozmowie głębię, o której mówiła Nell? - Zawsze sądziłam, że chcesz zachować niezależność - zwraca się do przyjaciółki.

- Chciałam. I chcę nadal. Nie ma to nic do rzeczy. Chciałabym,

żebyś poznała Petera. On także tego chce. To zupełnie niezwykle uczucie mieć kogoś, kto naprawdę cię kocha. Oczywiście ty to znasz, zawsze tego doznawałaś. Jest przy tym taki dobry. Taki uczciwy. Mimo że, jak mi się wydaje, nigdy nie mogłabym się w nim romantycznie zakochać, szczerze go podziwiam. Prawdę mówiąc, cała ta historia jest istnym cudem.

Nell zakłada nogę na nogę, z ostrym trzaskiem zamyka torebkę i patrzy przed siebie z widoczną satysfakcją.

Laura przygląda się przez chwilę jej profilowi i czuje, że musi to powiedzieć: - Sądziłam, że nie wierzysz w małżeństwo.

Nell obraca twarz ze zdziwieniem. - Nie wierzę. Nie jest tak, jak myślisz. Odmawiałam Peterowi od samego początku. Wiesz, że niemal z

miejsca mi się oświadczył. Ale później nalegał z takim entuzjazmem, chłopcy także okazywali tak wielką radość z tego powodu - wiesz, ma dwie córki w tym samym wieku co oni - że wprost śmieszne było się dłużej opierać. Pomyśl, nie lepić dłużej tych garów. Nigdy!

Laura wstaje. Niemal szeptem składa Nell gratulacje. - Ogromnie się cieszę, wierz mi. - Idzie obejrzeć więcej płócien Blake'a. "Dobre i złe anioły walczą o duszę dziecka", "Bluźnierca", "Pan Bóg sędzi Adama".

Pamięta, jak Miles negatywnie oceniał Nell. Widział w niej

kusicielkę, która chce sprowadzić ją z uczciwej drogi życia małżeńskiego i rodzinnego na występłą ścieżkę pogoni za przyjemnościami, dążenia do niezależności i zdrady. Uważał, że jest osobiście zagrożony przez jej mini_spódniczki i obcisłe, błyszczące, czarne spodnie. Osądzał ją jeszcze surowiej, kiedy zajęła się ceramiką artystyczną i zaczęła nawet odnosić skromne sukcesy. Miles nienawidził każdego, kto łamał uznane przez niego zasady postępowania.

I proszę, Nell wychodzi za mąż za sir Petera Pottera (Laurze zdaje się, że natknęła się w prasie na kilka niezwykle pochlebnych artykułów na jego temat), wybitnego przemysłowca, o którym nawet Miles wyrażałby się pewnie z podziwem. Ślubne przyjęcie ma się odbyć w bardzo ekskluzywnym klubie na Picadilly.

- Może byśmy coś przekąsiły? - proponuje idąca z tyłu Nell. Laura odrywa oczy od ognia otchłani piekielnych. Nell bierze ją pod rękę. - Peter lubi, kiedy się zaokrąglam. - Z ciemności malarstwa Blake'a udają się w pełen słońca świat sir Joshuy Reynoldsa.

Laura nie ma ochoty jeść lunchu z Nell. Tęskni za miękkim, ciepłym ciałkiem Tilly. Nie chce mówić o Martinie, zwłaszcza teraz, kiedy sama nie wie, co o nim myśleć. Chciałaby się znaleźć w atmosferze niewątpliwie szczerzej

życzliwości Helen. Nie chce
więcej wysłuchiwać zachwyków
Nell nad czekającą ją
przyszłością. Oświadcza: -
Wybacz, Nell. Umówiłam się na
lunch z Benem Caseyem, mamy
omówić sprawy służbowe.
Przepraszam.

- Ledwo cię zobaczyłam, już
uciekasz!

Laura czuje się trochę winna
słyszając, jak rozczarowana jest
Nell, ale nie czuje skruchy.
Spogląda na cukierkowy obraz
dziewczynki zatytułowany "Wiek
niewinności". Reprodukacja tego
obrazu wisiała w jej dziecięcej
sypialence. Odwraca się do Nell,
mówiąc: - Przyjdź jutro na
chrzest Tilly. Będzie ochrzczona
zaraz po uroczystości przyjęcia
Roya do Kościoła.

Usta Nell krzywią się w
ironicznym grymasie, trudno
określić, czy z powodu Laury,
czy naiwnego obrazu. Mimo to
Laura uzupełnia informację. - O
dwunastej w kościele
Wniebowzięcia na Cromwell Road.
Chciałabym, żebyś przyszła.

Laura nie widzi sensu we
własnym życiu. Ani w życiu
innych. Ubiera Tilly w długą
białą koszulkę do chrztu, którą
jej podarowała Helen. Jest to
koszulka, w której był ochrzczony
Martin. Helen nie pyta,
dlaczego Martin nie przyleciał
na chrzest. Laura sama nie wie,
dlaczego, więc i tak nie
potrafiłaby jej tego
wy tłumaczyć. Mgliście przeczuwa,
że obie z Helen należą do tego
samego typu kobiet.

Znowu pada deszcz. Po miesiącu
pogody w NOwym Jorku Laurze ta

bezustanna monotonna wilgoć
wydaje się przygnębiająca,
trudna do zniesienia. Jedną z
rzeczy, których nie może pojąć,
jest to, jak ludzie znoszą ją,
nie krzyżąc wniebogłosy. Helen
bez słowa skargi rozkłada swoją
elegancką parasolkę z rączką
inkrystowaną masą perłową. Laura
uważa, że jest to rodzaj
szaleństwa.

Rozmawiała z księdzem, który
ma ochrzcić Tilly, ale nie zna
go osobiście. To także wydaje się
jej dziwne. Wszystko załatwił
Roy, kiedy była w Ameryce.
Podjęła tę decyzję z powodów,
których już dziś nie pamięta, i
cała sprawa toczy się dalej. Czy
wszystkimi decyzjami rządzi
przypadek? - zastanawia się.
Sądząc z wczorajszej rozmowy z
Nell, wydaje się, że tak. Ale
nie w sytuacji Roya. Roy
zastanawiał się przez
dwadzieścia lat, zanim
zdecydował, że chce być
katolikiem. Nie było ani jednego
aspektu tego zagadnienia,
którego by nie przemyślał. W
jego przypadku jest to
rzeczywista i godna podziwu
zmiana światopoglądu.

Podniesiona tą myślą na duchu
Laura żegna się z Helen, która
niebawem z białym wystrojonym
dzieckiem ma za nią wyruszyć w
drogę do kościoła. Laura chce
spotkać się wcześniej z Katie,
jej dziećmi i Nickiem.

Pierwszą osobą, którą
dostrzega, jest Roy z wyrazem
przerażenia na twarzy stojący na
schodach, przed kościołem.
Wydaje się, że uszy wyrastają
mu wprost z twarzy, która stała
się nagle mała i blada jak buzia

dziecka. Podchodząc bliżej Laura widzi, że po części jest to wrażenie wywołane bardzo krótko ostrzyżonymi włosami i nową drucianą oprawką okularów. W rzeczywistości, kiedy Laura podchodzi bliżej, Roy uśmiecha się szeroko i jego przerażenie

okazuje się radością. Nieco drżącą dłonią ściska na powitanie rękę Laury. - Czy wierzyłaś choć przez chwilę, że to się może stać? Czy uważałaś to za możliwe?! - Za okularami, najchętniej noszonymi przez staruszków, jego brązowe oczy lśnią, jakby zachodziły łzami.

- Roy, jestem niezmiernie szczęśliwa. Niezmiernie. - Laura odwraca oczy. Tak jawne okazywanie uczuć w biały dzień na ulicy nie wydaje się przyzwoite. W wyobraźni widzi go, jak pada przy swoim łóżku na kolana, i w tej samej chwili na ten obraz nakłada się drugi, ona i Martin nadzy w łóżku. Pyta: - Czy jest już Nicky? - Z pamięci Laury wyłania się obraz Blake'a: Nabuchodonozor, nagi i na czworakach, król zwierzęciem.

- Nie. Katie telefonowała, że się spóźniła. Chodź ze mną. Chciałbym cię zapoznać z ojcem Jamesem.

Wielki kościół jest pusty. Laura, podświadomie spodziewając się atmosfery ślubu, jest zaskoczona. Roy szybkim krokiem prowadzi ją przez główną nawę. Z zakrystii wychodzi wysoki młody ksiądz z szerokim uśmiechem na twarzy. Laura wyobraża sobie, jakie to święto dla Kościoła

przyjmować do swego grona taką duszę jak Roya.

- Więc to pani jest matką Matyldy - zwraca się do Laury ksiądz, uprawiając Laurę w zakłopotanie tą bezpośredniością. - Roy opowiedział mi pani historię. - Wodzi spojrzeniem dokoła. - A gdzie jest dziecko?

Laura uśmiecha się. Jego irlandzki akcent wydaje się bardzo na miejscu. - Babcia przyniesie ją trochę później. Nie chciałam, żeby przeszkadzała w czasie uroczystości Roya.

- Dziecko nigdy w niczym nie przeszkadza. Pani ma, jak zrozumiałem, jeszcze jedno

dziecko. Dużego chłopca.

- Ma dziewięć lat. Został ochrzczony tam, gdzie mieszkała moja matka. - Laura czuje, że się czerwieni, jakby była czemuś winna, jest zła na siebie. - Niedługo mój syn tu będzie.

- To dobrze. Potrzebny mi jest ministrant. Może on zechciałby...?

- Boję się, że... - Laura urywa zmieszana. Niezbyt słuszne wydaje się powiedzenie księdzu, który za chwilę ma ochrzcić jej drugie dziecko, że pierwsze nie jest wychowywane w duchu katolickim. Patrzy na Roya błagalnym wzrokiem.

Ale zanim Roy może otworzyć usta, choć co prawda Laura zastanawia się, czy w swojej euforii zwraca uwagę na takie drobiazgi, ksiądz się odwraca. - Proszę się nie kłopotać moimi nagłymi pomysłami. - Rusza w

kierunku bocznej nawy. - Muszę się już ubrać w liturgiczne szaty, bo jeszcze chwila i będziemy mieli przed konfesjonalem kolejkę.

Więc jednak zrozumiał. Laura nie jest pewna, czy ma być zadowolona, że nad jej głową nie śmignął ognisty miecz. Teraz wie na pewno, że Kościół zmienił się od czasów grożącego otchłania piekielną Blake'a. Mówiła o tym Martinowi.

Nieoczekiwanie ławki zaczynają się zapełniać. Siostra Roya, której Laura dotąd nie знаła, z mężem; Nell, również tym razem niezwykle punktualna i elegancka; grupa przyjaciół Roya, wszyscy w ciemnych garniturach, z tym samym wyrazem zakłopotania na twarzach. Dwóch nosi czarne krawaty jak na pogrzebie.

Nagle Laura widzi Katie, która przypomina wkraczającą na scenę księżnę w otoczeniu paziów. Jednym z nich jest Nicky. Podchodzi do Laury, wysoki i krzepki.

- Cześć, mamusiu. A gdzie jest Tilly? Długo to będzie trwało? Wcale nie jesteś opalona. Pisałaś przecież, że w Ameryce są upały.

Laura widzi, że Nicky jest zaziębiony. Ma czerwony nos i jest zachrypnięty. Bierze go za rękę, nie chce go całować w kościele.

- Ja jestem blada, ale ty zaziębiony. Nareszcie cię znowu widzę. - Ściska trzymaną dłoń synka.

Nicky nie reaguje na uścisk. -
Gdzie usiądziemy? W szkole
chodzimy do kościoła dwa razy w
tygodniu. Nabożeństwa są
okropnie długie.

Przednie ławki są prawie
pełne. Kościelny zapala na
ołtarzu dwie świece. Roy
zrezygnował z witania gości
i lekko się chwiejąc klęczy prawie
na środku głównej nawy. Laura,
siedząc tuż za nim, zauważa, że
kołnierz marynarki Roya jest źle
odwinięty. Ma wielką ochotę
pochylić się i poprawić go, ale
czuje, że nie powinna
przeszkadzać Royowi w modlitwie.
Chciałaby się także pomodlić,
ale nie może się skoncentrować,
zbyt rozpraszają jej uwagę
szepty dzieci i zamęt w myślach.
Co ona robi w tym kościele? Co
robi w ogóle na tym świecie?

Przyszła tu na zaproszenie
Roya i na chrzest własnego
dziecka. Próbuje znowu skupić
uwagę na religijnych przeżyciach
Roya, ale źle leżący kołnierz
nie daje jej spokoju, jakby go
odwinał sam szatan. Nie potrafi
myśleć o niczym innym. Wreszcie
nie może dłużej wytrzymać i
pochyla się do przodu, ale
właśnie w tym momencie wchodzi
ksiądz i Roy podnosi się
gwałtownie z klęczek. Laura cofa
się, kołnierz nadal źle leży.

- O co chodzi? - szepcze
Katie, która zauważyła ruch
Laury.

- Kołnierz Roya -

zrozpaczonym szeptem odpowiada
Laura.

Katie idzie za jej

spojrzeniem, uśmiecha się. -
Kochany Roy - mówi wzruszona.
- W imię Ojca i Syna, i Ducha
Świętego - zaczyna ojciec James.
Nie mam żadnego życia
wewnętrznego - rozmyśla Laura. -
Ani śladu. Pod żadnym względem
nie można mnie uważać za osobę
poważną. Mój realny byt obejmuje
krótki okres, kiedy byłam
częścią składową instytucji
małżeństwa. Obecnie jestem
nikim. I w nic nie wierzę. W
imię czego to wszystko? Dlaczego
się tak stało? W imię miłości.
Ponieważ się zakochałam. Jaki
jest sens tej miłości? Co
dobrego przyniosła każdemu z
nas? Jedno jest pewne,
przyniosła mnóstwo szkody. Poza
tym, jak ją właściwie ocenić,
jak scharakteryzować? Jestem tu
z owocem tej miłości, dzieckiem,
które oddziela od ojca cały
ocean. Dlaczego nie jesteśmy
razem? Nie ma potrzeby. On chce
pracować, a ja chcę ochrzcić
Tilly. Jednak nie są to istotne
przyczyny naszego rozstania.
Więc dlaczego jesteśmy daleko od
siebie? Ponieważ już się nie
kochamy. Ponieważ wygasła w nas
miłość. Przemineła. Okazała się
płytką namiętnością.

Laura stoi ze złożonymi
rękoma, zaprzątnięta własnymi
myślami, gdy tymczasem ksiądz po
modlitwach u stopni ołtarza
zaczyna odmawiać confiteor.

- Spowiadam się Panu Bogu
Wszechmogącemu i wam, bracia i
siostry, że bardzo zgrzeszyłem
myślą, mową, uczynkiem i
zaniedbaniem...

XXII

Laura ma uczucie, że się
gwałtownie zapada w czarną

otchłań.

Z tego trwającego w

nieskończoność stanu wyrywa ją
jakiś hałas za plecami.
Przywraca jej także zdolność
widzenia, gdyż dostrzega ostro
zarysowaną sylwetkę wysokiego
mężczyzny. Stoi w drzwiach,
dobrze widoczny na tle światła.
Robi mały krok do przodu i Laura
widzi, że jest przystojnym
blondynem, młodym i mocno
zbudowanym.

Złudzenie, że powtarza się ongi
przeżyta sytuacja, grozi jej
powrotem do czarnej otchłani.
Gdzie widziała już tego
mężczyznę w pikowanej sportowej
kurtce, stojącego tak
nieruchomo, jakby na coś czekał?
Uświadamia sobie, że to przecież
Martin taki, jakiego widziała po
raz pierwszy na stacji
kolejowej.

Idzie w jego kierunku,
trzymając na rękach dziecko.
Znalazłszy się bliżej, czuje, że
wrażenie obcości i rezerwa
zostają przełamane.

- Martin, to cudowne!
Przyleciałeś. - Jej głos brzmi
ciepło na powitanie.

- Tak. Nie mogłem się oprzeć.
Lody stopniowo topnieją i
Laura doświadcza osobliwego
uczucia, że przenika na wskroś
tego Martina, którego spotkała
po raz pierwszy i nigdy nie
utraciła, i widzi w nim zupełnie
innego mężczyznę. Ten mężczyzna
stoi teraz przed nią. Mężczyzna
o ogorzałej twarzy, zmęczony i
patrzący na nią życzliwie.
Mężczyzna, który nie jest ani

stary, ani młody, raczej już
niemłody. Mężczyzna, który
przeleciał Atlantyk, żeby ją
zobaczyć, i w którego kurtce
spozstrzega niewielkie rozdarcie.

- Spóźniłem się na chrzest?

- Tak. Ale to nic nie szkodzi.

- Laura uśmiecha się i ujmuje go
za rękę. - Już po chrzcie.

Chodź, przedstawię cię ojcu
Jamesowi.

Laura doznaje wrażenia, że
zeszła z wielkiej płonącej

światłami sceny w prozę życia.
Martin wygląda pospolicie, jak
inni mężczyźni, niczym się nie
wyróżnia.

Z lekkim wstrząsem dosięgła oto
dna tunelu i znalazła się w
przytulnym, gustownym pokoju na
kanapie.

- Dopiero co przyleciałeś?

- Przyjechałem wprost z
lotniska.

- Musisz być bardzo zmęczony.

Padają słowa proste, pełne
czułości. Laura patrzy na
Martina serdeczym wzrokiem.

- To jest ojciec Matyldy -
zwraca się do ojca Jamesa.

- Ach, tak. Winszuję. To
wielki dzień.

Wielki dzień. Laura rozgląda
się po kościele wypełnionym
starymi przyjaciółmi i rodziną.
Roy ująwszy rękę Martina
potrząsa nią z wylaniem. Laura
odruchowo pochyła się i poprawia
mu kołnierzyk. Roy tego nie
zauważa.

- Teraz, kiedy załatwiliśmy
sprawy duszy - oświadczają - nie
możemy zapomnieć o ciele.

Lunch został zamówiony w

pobliskiej restauracji. Dzieci
jedno przez drugie porywają ze
stołu francuskie różki i
ponczowe babeczki. Tilly ssie
kawałek kielbasy. Pierwszy raz
Laura dostrzega pewne
podobieństwo między nią a
Nickiem. Uświadomiła sobie, że
do tej pory nie mogła ich znieść
razem, obok siebie, jedno takie
ukochane i poniechane, drugie -
owoc jej występnej miłości. Nie
wydawało jej się możliwe, nawet
w odległej przyszłości, żeby
kiedyś tworzyli prawdziwą
rodzinę. Spojrzała na Martina.
Nie jadł i nie pił, słuchał z
uwagą, co do niego mówi ksiądz.
Jego skupiona, poważna twarz
daleka była od wyobrażeń o
romantycznych bohaterach. Wyczuł
na sobie spojrzenie Laury i
podniósł na nią wzrok. Nie
uśmiechnął się, nadal

przysłuchiwał się słowom
księdza.

Laurze przemknęła myśl: Nie
kocha mnie tak jak dawniej. Ale
ta myśl nie była dla niej
katastrofą. Sprawiała jej
zaledwie tępy ból. Ciągłe
jeszcze się kochają. Może teraz
potrafią z sobą rozmawiać.

Nie przestając obserwować
Martina, Laura widzi, że teraz
on mówi, a ojciec James słucha.
Widocznie Martin jest
człowiekiem inteligentnym, już
to samo jest dla niej odkryciem.
Do tej pory stawiała go na
przecíwnym biegunie w stosunku
do Milesa. Martin był według
tego schematu mężczyzną
dynamicznym, ale obdarzonym

niezbyt wielką inteligencją.
Natomiast Miles, górując nad nim
niepospolitym rozumem, nie
najlepiej się czuł w świecie
praktycznym. Laura roześmiała się
niemal w głos, uświadamiając
sobie idiotyzm tej koncepcji.
Wymyśliła to zapewne, żeby móc
pogardzać Martinem.

Przypomina sobie, jak kiedyś
osądzała jego matkę. Jak
czarownicę ze złej bajki. Zimną,
twardą i bezlitosną. Piękną.
Obecnie rozumie, że jest to
smutna, samotna kobieta w
brązach, którą śmierć męża
skazała na samotniczy żywot w
obcym kraju. Która sobie nie
potrafiła ułożyć stosunków z
jedynym synem. Która próbowała
ostrzec go przed trudną
miłością, nie będąc nią
zachwycona. Matylda wyzwoliła w
niej wielkoduszność.

Laura zastanawiała się, czy są
jeszcze przed nią jakieś
szanse. Odchodząc od Milesa
zerwała ze swym dotychczasowym
życiem. Czy zostało z tego coś,
z czego mogłaby skleić nowe
życie? Przed jej oczyma przesuwa
się korowód drogich postaci, z
których każda jest jakby
fragmentem drogocennej wazy.
Nicky, Matylda, Roy, Nell,

Katie, Martin, także jego matka,
Nawet ksiądz, Johnny, który
zdażył przyjść na czas, by
jeszcze coś przekąsić i wypić.
Wszyscy zebrani wokół niej, jak
w wielkim finale jakiejś
groteskowej pantomimy. Brakowało
tylko, żeby w drzwiach ukazał
się Miles i Philippa kaszłąca z

powodu kwiatów.

- Nad czym tak rozmyślasz? -
Martin podszedł do niej i wbrew
wszystkiemu serce zabiło jej
mocniej na dźwięk jego głosu.
Otoczył ją ramieniem. - Przemiała
uroczystość.

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale
Laura mówi, ważąc każde słowo: -
Myślałam o tym, jak wszystko
pogmatwałam.

- O czym ty mówisz?
- Robiłam różne rzeczy,
zupełnie nie rozumiejąc, co
robię. Jak dziecko, nie
panowałam nad nimi. Nie można
zapanować nad swymi czynami,
jeśli się nie ma w nich
rozeznania. Zakochałam się w
tobie i to był początek
wszystkiego.

- A teraz przestałaś mnie
kochać? - dopowiedział Martin
cichym głosem, ale Laura nie
chciała w tej chwili o nim
myśleć. Chciała iść tropem
własnych rozważań.

- Nie to. Nie chodzi dokładnie
o to. Nie potrafię tego
dokładnie wytłumaczyć. Nie
tutaj.

- Tak.- Laura spojrzała na
Martina i pomyślała, że dziwnym
trafem nigdy nie kochała go tak,
jak w tej chwili. - W kościele
zapraǳnęłam umrzeć.

Martin nie odpowiedział, może
rozważał, co ma powiedzieć, gdy
w tym momencie z tyłu za ich
plecami rozległo się głośne
stukanie.

- Wasze lordowskie mości,
panie i dzieci, nie ma uczy bez
biesiadnych mów, szczególnie
wtedy, kiedy ja jestem jednym z
gości! - Johnny stał na krześle

z kciukami wsuniętymi pod
czerwone szelki. Jego
wystąpienie powitał zadowolony
pomruk i oklaski zebranych.

- Dziękuję. Dziękuję. Tym
razem jednak zająłem to miejsce,
żeby zapowiedzieć innego...

- Wstyd! Hańba! Nie wykręcaj
się!

- Co nie znaczy, że moja
zapowiedź innego mówcy nie
będzie wyjątkowo długa i
dowcipna... - Znowu rozbawiony
pomruk - gdyż nikt mi nie może
zarzucić, że kiedykolwiek
pomiąłem okazję do podzielenia
się swoim zdaniem na jakiś
temat. Szczególnie kiedy nic nie
wiem w sprawie, która wszystkich
interesuje...

- Uwaga! Uwaga!

- ...choć tak się składa,
że i ja przeszedłem przez
święconą wodę chrztu w Kościele
katolickim. I mimo że niektórzy
sądzą zapewne, że nie jestem
najlepszym przykładem
świadczącym o budującym
działaniu święconej wody,
pomyślcie, co by ze mną było bez
jej pomocy!

TA dowcipna puenta skwitowana
gromkim śmiechem skłoniła Laurę
do niespokojnych spojrzeń na
ojca Jamesa, ale on także się
uśmiechał.

- Tak jest. Ja także, podobnie
jak moja piękna siostra, mogę
się wydawać w pewnym sensie
upadłym aniołem...

- Słuchajcie, co on wygaduje!

- Pozwólcie jednak, że
przypomnę słowa wielkiego
ateisty i eksperta morskiego w
służbie jego królewskiej mości,
Voltaire'a, który powiedział:
"Każdy człowiek jest wyspą".
Innymi słowy jeden tylko Bóg

wie, co się dzieje w naszych
sercach. Któż bowiem odgadłby,
że nasz kochany przyjaciel Roy,
jeszcze większy ateista niż
sługa jego królewskiej mości
mistrz Voltaire, miał tak
wielkie aspiracje duchowe? A

teraz poproszę państwa o
napelnienie kieliszków. Wznoszę
bowiem toast za dwie świeżo
ochrzczone dusze, dzisiaj czyste i
białe, a jutro...? Zdrowie Roya
i, e... e... Mary!

- Matyldy! - syknęła Laura.

Ale Johnny już zeskoczył z
krzesła i z zadowoloną miną
usiłował namówić do wystąpienia
Roya.

- Biedny Roy - powiedziała
Laura do Martina.

Roy stanął przed krzesłem. Do
obu kieszeni marynarki wsunął
pokaźnych rozmiarów książki do
nabożeństwa, w rezultacie miał
biodra rozłożyste jak tęga
kobieta. Laura dostrzegła, że
mimo szerokiego uśmiechu ma w
oczach łzy. Nagle uśmiech znikł
z jego twarzy. - Pragnę tylko
podziękować wszystkim, którzy
się tutaj zebrali i przyszli do
kościółka. Składam także
podziękowania ojcu Jamesowi i
Kościołowi katolickiemu, że
pozwolił mi przyłączyć się do
grona wiernych. Nie powiem, że
to mój najszczęśliwszy dzień. Bo
jest to jedyny szczęśliwy dzień
w moim życiu.

Zdecydowanym ruchem usiadł na
stojącym za nim krześle i
zwiesił głowę. Nastąpiła cisza
pełna szacunku czy może
zakłopotania. Jego zachowanie

wszyscy odebrali jak modlitwę.
Nieoczekiwanie ciszę przerwała
Laura, która sama mając łzy w
oczach nawiązała do wypowiedzi
Roya, podejmując jego myśl.

- Matyllda jest za mała, żeby
sama mogła mówić, więc ja
podziękuję w jej imieniu. Dziękuję
ojcu i dziękuję każdemu z
obecnych. Może kiedyś i ona
stanie się "upadłym aniołem" jak
jej wuj i matka. Ale wiem jedno,
że lepiej być aniołem upadłym
aniżeli żadnym.

XXIII

Nareszcie przestało padać.
Nagle znowu było lato, jeszcze
tylko trawa moczyła im, jak
szczotką, nosy butów, a z
ciężkich od wody drzew spadały
krople wielkości gołębic jaj.
Słońce, mimo że był już wieczór,
kładącymi się cieniami wydłużało
pnie drzew i przebijało się
przez parasol ich koron. Na
pantoflach Laury tańczyły jasne
plamki mieniające się różnymi
barwami.

Szybkim krokiem szli z
Martinem przez Hyde Park.

- Co teraz zamierzasz? -
powiedział Martin. Zdjął
marynarkę, zarzucił ją na
ramiona. - Naprawdę zrobiło się
ciepło.

Laura myślami była przy
skulonej w łóżeczku Matyldzie i
Nicku wracającym do Katie. - Nie
chodzi tylko o mnie.

- Jeśli ci to ma pomóc w
powzięciu jakiejś decyzji, to

powiem ci, że miałem w Nowym Jorku romans. Po twoim wyjeździe.

- Och - Laura miała przerażające uczucie, że za chwilę dławiące łzy nie pozwolą jej mówić. - To niewielka pomoc - wykrztusiła z siebie po kilku minutach.

- Przykro mi.

- Nie, nic nie mów. - Ani przez chwilę nie wątpiła, że to tamta dziewczyna, Mary. Z całych sił starała się nie myśleć o jej długich opalonych nogach. Banalna, ciągle powtarzająca się sytuacja. - To nie ma nic do rzeczy.

- Czułem się bardzo samotny.

- Proszę cię. Nie mam do ciebie żalu.

Martin zatrzymał się. Stali nie patrząc na siebie. Świejące prosto w oczy słońce zmuszało Laurę do mrużenia powiek, mimo to nie ruszała się z miejsca.

- Nie umiałem się zorientować, czego ty właściwie chcesz. Sądziłem, że może nawet do tego

dążysz. Że gdy cię zdradzę, ułatwię ci odejście ode mnie. Wydawało mi się, że byłaś bardzo nieszczęśliwa.

- Przepraszam.

- Ale właściwie nie mówię ci prawdy. Zrobiłem to, bo jej pragnąłem, a ona się zgodziła. Nie podchodzę do tych spraw tak jak ty. Nie jesteśmy tacy sami. Nie ma we mnie nic z anioła.

Laura podniosła rękę, żeby przysłonić oczy, ale nadal stała nieporuszona. - Zachowałam się bardzo źle w stosunku do

ciebie.

- Staralem się dać ci wszystko.

- Tak. Wiem o tym.

- Kocham cię ciągle. Sam nie rozumiem, dlaczego. Czy naprawdę chciałaś umrzeć, tak jak mówisz?

- Tak.

Nagle Martin znowu zaczął iść bardzo szybko. Laura musiała biec, żeby dotrzymać tempa. Idąc wielkimi krokami zgubił marynarkę. Laura schyliła się, żeby ją podnieść, po czym pobiegła za nim, trzymając ją mocno w rękach.

Dogoniła go dopiero nad stawem. Rzucił jej przez ramię szybkie spojrzenie. - Sądzę, że powinniśmy się rozstać - powiedział.

- Nie wiem. Nie mówmy więcej o niczyjej winie. Gdybyś się zdecydował jeszcze jakiś czas poczekać...

- Mieliśmy przynajmniej piękne przeżycia. - Głos Martina był zachrypnięty. - Zwłaszcza na początku. Było to coś - przerwał, wpatrując się w gładką powierzchnię wody - coś nieporównywalnego z niczym na świecie. Teraz spadliśmy na ziemię.

- Kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Wkrótce. - Jeszcze raz Laura ze wszystkich sił starała się odsunąć od siebie obraz opalonych nóg rozłożonych w

ekstazie jak skrzydła anioła. - Ostatecznie zanim cię spotkałem, byłem dość długo kawalerem.

- Uważasz, że mógłbyś wrócić

do poprzedniego trybu życia?

- Mam swoje aparaty.

Z kolei Laura zapatrzyła się w wodę stawu Serpentine. Myślała o zimnym jak lód morzu, w którym się obmyła po ich pierwszym stosunku, o zielonych wodach Morza Śródziemnego, w których razem pływali, kiedy ich miłość osiągnęła apogeum, wreszcie o rozszrebrzonym nocą morzu na Martha's Vineyard. Sny o cudownym szczęściu aż do śmierci sprowadzone do tego skrawka płytkiej, mętnej od mułu wody.

- Gdybyśmy mieli więcej czasu.

- Nie muszę wracać natychmiast. - Po raz pierwszy obrócił się do niej twarzą. - Ostatecznie oboje jesteśmy ludźmi całkowicie wolnymi.

Laura zastanowiła się, czy chodzi mu o to, że mogą być wolni od siebie nawzajem. - Nie rozumiem, co masz na myśli.

Martin zrobił zdziwioną minę. - To znaczy, że mamy wolną rękę w wyborze takiej decyzji, która jest dla każdego z nas najlepsza.

- A co z Tilly, z Nickiem?

- Trudno znaleźć rozwiązanie dobre dla obojga równocześnie. Może by się zresztą znalazło. Gdybyś wróciła do Milesa, Tilly nie dowiedziałyby się nigdy, kto jest jej prawdziwym ojcem.

- Naprawdę chcesz, żebym to zrobiła?

W głosach obojga brzmiały rozdrażnienie i gorycz.

- Próbuję znaleźć rozwiązanie, które byłoby dla ciebie najlepsze.

Laura podeszła bliżej, do samego skraju stawu i obserwowała, jak białe drobniutkie fale opływają czubki jej pantofli. Stopniowo narastał w niej gniew. - Miles ma

kochankę! - powiedziała donośnym

głosem.

- To niespodzianka. - Martin nie przybliżył się ani o krok. - Jestem pewny, że to nic poważnego.

- Właściwie powinienes to wiedzieć lepiej ode mnie. Ta dziewczyna to pozostałość z twoich kawalerskich czasów. Philippa, ta, która ma astmę. Wspomniałam ci już kiedyś o niej, chyba pamiętasz. - Laura z prawdziwą przyjemnością czuła, jak jej gniew przemienia się w namiętą nienawiść.

- Philippa. Biedna, poczciwa Philippa. Cóż, nie jest to dla ciebie żadna rywalka. Należy do dziewczyn, które mężczyźni zapraszają, kiedy nie ma co oglądać w telewizji.

- To wstrętne.

- Dlaczego? Ona zwyczajnie trzeźwo ocenia swoje szanse. I jest gotowa godzić się na wszystko.

- Mówisz o tym, jakby to był jakiś sport.

- Jestem po prostu realistą.

Laura z satysfakcją wyczuwa w jego tonie nutę bezlitosnego szyderstwa. - Jeśli tak do tego podchodzisz, w takim razie romans z dopiero co poznaną dziewczyną w Nowym Jorku był także wynikiem twojego realizmu.

- Oczywiście.

- Cóż, mnie taki rodzaj realizmu nie interesuje.

- Bardziej cię bawi fantazjowanie.

- Jeśli masz ochotę tak to nazwać. Chociaż nie jest to

żadna zabawa ani gra. Nigdy nie uprawiam gier.

- Szkoda. Miałabyś w życiu więcej radości.

Laura popatrzyła wokół na miękką linię parkowych alei, ciemne drzewa, wodę odbijającą światło kończącego się dnia i zaróżowione już niebo. Pomyślała o czułości, jaka ją ogarnęła na widok Martina zaledwie kilka godzin temu. Patrzyła na niego

teraz takim samym trzeźwym okiem, ale tym razem wywoływał w niej tylko niechęć. Uświadomiła sobie, że ciągle trzyma w rękach jego marynarkę.

Nie znajdując słów na odpowiedź, ujęła ją prawą ręką i cisnęła wysoko w górę. Kiedy z łopotem wyleciała w powietrze i jeszcze szybciej spadała na mętą wodę, Laurze przemknęło przez myśl, że był to lepszy pomysł, aniżeli mogła się spodziewać.

- Spójrz teraz, kto lubi gry i zabawy! - krzyknęła do niego wesoło.

Kosztowna marynarka z szarego lnu lądowała na powierzchni stawu wywołując popłoch wśród stadka zielonych kaczek. Laura spojrzała na wyraz twarzy Martina i wybuchnęła śmiechem. - Widziałeś kiedy większą mewę? I to o dwóch głowach?

- Tylko w snach. - Martin niczym zahipnotyzowany patrzył, jak jego marynarka nabiera wody i powoli zaczyna tonąć.

Jego spokój wywarł na Laurze wrażenie. Ten wybryk rozładował jej gniew i była teraz w

doskonałym humorze. Trudno się było jednak spodziewać podobnego humoru po Martinie.

- W tej marynarce - rzekł Martin spokojnie - są moje klucze, portfel z dużą sumą pieniędzy, dolarów i funtów, co najmniej sześć kart kredytowych i paszport. Aha, i jeszcze mój kalendarzyk z naszym zdjęciem zrobionym na tle morza w Viareggio.

Ku zdumieniu Laury podszedł do żelaznej ławki zwróconej w stronę stawu i spokojnie usiadł. -

To nawet interesujące siedzieć i obserwować, jak tonie własne życie. - Spojrzał na Laurę. - Naprawdę bardzo się zmieniłaś.

Laure ogarnęły nieco przesadne wyrzuty sumienia. - Martin! Przecież nie możesz pozwolić, żeby ta marynarka zatонуła.

Nie odpowiedział ani słowem. Laura nie wahała się dłużej. Zdjąwszy sandały zaczęła brnąć przez wodę. Była ciepła, pod stopami czuła muł. Dla utrzymania równowagi podniosła w górę ręce i zawołała: - Szu, szu! - Do kaczek, które podpływały z kwakaniem, ciekawe, co się dzieje.

Marynarka prawie cała była już pod wodą, tylko jeden rękaw sterczał w górę, jak dziób "Titanica". Pociągnęła za ten rękaw, co przyszło jej z pewną trudnością, gdyż nasiąknięta wodą marynarka była ciężka. Obróciła się twarzą do Martina trzymając w górze ociekającą wodą zdobycz, uradowana zwycięstwem. - Wyrwana duchom

głębin! Uratowana od zagłady!

Czuła obijający się o jej kolana ciężki od wody dół sukni. Włosy miała potargane, w opadających strąkach, ręce powalane mułem, twarz gorącą i czerwoną. Zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać śmiesznie. Krzyknęła ponownie w stronę Martina: - Nie należą mi się oklaski?

Nareszcie Martin się roześmiał. Podniósł się z ławki i stanął na brzegu z rozpostartymi ramionami. - Dość tego. Nie chcę, żebyś się pośliznęła i utonąła.

- Drżysz o swoje pieniądze, przyznaj się. - Rozpryskując wodę, Laura szła prosto do niego z uszczęśliwioną miną.

- Nie wiesz, że pieniądze zawsze wypływają na powierzchnię?

Usiedli obok siebie na ławce. Słońce zsunęło się za korony drzew i zapadło za okalające park domy z czerwonej cegły. To dziwne, ale wydawało się, że teraz przed zapadnięciem zmroku było tu więcej ludzi aniżeli wtedy, kiedy jeszcze świeciło słońce. Chociaż co prawda, może Laura zwracała teraz na nich

większą uwagę. Możliwe też, że dość dziwny wygląd Laury i Martina, i rozłożone na ławce szeregi banknotów, przyciągały uwagę spacerujących osób.

- Poszedł! - krzyknęła Laura na psa obwąchującego ich ciekawie. Za psem pojawiła się jego właścicielka, wyprostowana staruszka z nastroszonymi siwymi

włosami i z laską w ręku.
Zbliżywszy się do Martina i
Laury, wskazała laską na ławkę.

- Czy to miejsce jest wolne?

Laura usłużnie zaczęła
zgarbiać banknoty. Ale Martin
nie ruszając się z miejsca
spojrzał na nieznajomą i
zdecydowanym tonem powiedział: -
Nie.

- Muszę się z tym zgodzić. -
Starsza pani, pokonana, odeszła
gderając pod nosem.

- Natychmiast rozpoznaję te
wścibskie staruchy - powiedział
Martin uśmiechając się.

- Przecież musi być mnóstwo
pustych ławek - zdziwiła się
Laura, na nowo rozpościerając
banknoty, niezadowolona z
siebie, że tak głupio chciała je
od razu pozbierać.

Automatycznie oboje rozejrzeli
się wokół. I dziwna rzecz. Nad
stawem i między drzewami było
bardzo dużo ławek, ale na każdej
siedziały ciche, przytulone do
siebie postaci, czarne w
wieczornym mroku.

- Wyglądają jak ślimaki, które
wypełzły po deszczu ze swych
nor.

- Zakochane pary - odparła
Laura. Sugestia Martina zmroziła
ich nieco, kiedy uświadomili
sobie, że sami również należą do
tego mrocznego, podziemnego
świata.

Laura nadal przesuwiała wzrok z
ławki do ławki, kiedy w całym
parku pary niemal równocześnie
zaczęły się podnosić i wolnym
krokiem, sznurem kroczyły w
kierunku bramy.

- Powinniśmy już iść.

Martin zbierał pieniądze.
Laura wachlowała brzegiem
spódnicy, ciągle jeszcze mokrej.
Po chwili wstali z ławki. Martin
ujął Laurę za rękę. Ruszyli w
kierunku bramy na Kensington
High Street.

Laura myślała o tym, jak
często pchała wózek z Nickiem
przez tę bramę, kiedy był mały.
Ich dom znajdował się bardzo
blisko parku.

Ledwo to pomyślała, zobaczyła
idącą przed nimi wysoką, ciemną
postać mężczyzny. Szedł wolnym
krokiem, dźwigając ciężką
teczkę. Samotny mężczyzna,
wracający do domu po całym dniu
pracy. Bez najmniejszego
zdziwienia Laura powiedziała do
Martina: - Miles idzie przed
nami.

Martin zatrzymał się. - Co
chcesz zrobić?

- Powiedzieć po prostu "dzień
dobry".

- Czy mam się ulotnić?

- Ależ skąd!

Przyspieszyli kroku. Laura
prawie biegła. Poklepała Milesa
po ramieniu. Obrócił się. Oczy
miał puste, nie spodziewał się
żadnego spotkania. - Witaj,
Lauro.

Wypadało się pocałować. Był to
pełen rezerwy pocałunek, oboje
stali w znacznym oddaleniu.

- Przypominasz sobie Martina?

- Nie widzieli się od tamtej
gry w tenisa w słoneczne
przedpołudnie.

- Trzeba zażyć trochę
powietrza - wyjaśnił Martin.
Obaj mężczyźni chłodno podali
sobie dłonie.

Miles znowu zwrócił się ku
Laurze. - Cieszę się, że cię
widzę w takiej dobrej formie.

Powiedział to ze szczera

życzliwością, na którą Laura nie była przygotowana. Mimo woli przypomniały jej się ich dwa ostatnie spotkania. Przy pierwszym wznosił rękę do góry i przeklął ją na zawsze. W czasie

drugiego płakał w najwyższym upokorzeniu na jej wzniesionym ciężą brzuchu.

- Dziękuję - powiedziała. - Ty także dobrze wyglądasz.

Nie była to prawda. Miles był kredowo blady, co się szczególnie rzucało w oczy przy brązowej, olśniewającej opaleniznie Martina.

- Prawdę mówiąc, nie czuję się ostatnio zbyt dobrze.

- Za dużo pracujesz.

Zapadła na chwilę cisza, więc ruszyli naprzód.

- Słyszałem, że się dziś widziałas z Nickiem - odezwał się Miles.

- Tak. Był taki kochany! I tak urósł. - Laura postanowiła nie wspominać szczegółowo, w jakich okolicznościach go widziała. To jasne, że wszystko wie od Katie.

- Trochę za długo go nie odwiedzałam.

- Mieszkasz w Nowym Jorku?

- Tak. - Laura zastanawiała się, czy to w obecnej chwili jest prawdą.

- Philippa mówi, że nie chcesz wziąć nic z domu. Trochę mnie to zdziwiło.

- Dlaczego? - Laura powiedziała to i w następnej chwili tego pożałowała. Znaleźli się na niebezpiecznym gruncie. Laura zauważyła, że Miles także się spieszył, ale zawodowa

skrupulatność nie pozwoliła mu
zostawić pytania bez odpowiedzi.

- Bardzo kochałaś ten dom.

Dotknęło ją to zbyt
bezpośrednio. Schyliła głowę.
Wyszeptała z nadzieją, że może
nie dosłyszysz: - Może właśnie
dlatego nic nie chcę.

- Właściwie, jeżeli zechcesz,
możesz przejąć cały dom. Jest mi
zupełnie niepotrzebny. Chociaż,
mieszkając w Nowym Jorku... -
Urwał, po twarzy przebiegł mu
grymas cierpienia.

- Nie wiem jeszcze, jak będzie
z tym Nowym Jorku - powiedziała
Laura, starając się nie patrzeć

na wyraz twarzy Milesa, chociaż
jednocześnie nie mogła się
oprzeć triumfującej myśli, że
ciągle mu na niej zależy. -

Wszystko jest dość
skomplikowane. - Pomyślała, że
musi skorzystać z okazji i
zapytać go o rozwód. Cokolwiek
zajdzie między nią a Martinem,
musi mieć tę możliwość otwartą.
Zanim jednak zdążyła się
zastanowić, w jaki sposób ma mu
to powiedzieć, Miles obrócił się
do niej, ujął ją za rękę i
uśmiechnął się, co przy jego
wymizerowanej twarzy dało efekt
dość ponury.

- Mam dobrą nowinę. - Umilkł.

Laura pochyliła ku niemu głowę
w nerwowym oczekiwaniu. Dlaczego
się waha? Czy to dotyczy jej
osoby?

- Byłem dzisiaj u prezesa
sądu.

To oświadczenie, które
najwyraźniej miało jej wszystko
tłumaczyć, nie mówiło jej nic.

Czekała, spodziewając się wyjaśnienia.

- U prezesa sądu?

- Dostałem nominację na sędziego. - Nie ukrywał dumy i przyjemności, że może jej to powiedzieć. - W Wydziale Spraw Rodzinnych, co nie jest dokładnie specjalnością, którą sobie obrałem.

- To cudownie. Bardzo się cieszę.

- Na początek oznacza to oczywiście zmniejszenie zarobków. - Rzucił jej dziwne, filuterne spojrzenie. - Muszę przyznać, że nigdy nie prosiłaś mnie o pieniądze.

- I nadal nie mam takiego zamiaru - odparła ostrym tonem. Czy skończy się na tym, że wyjdzie za Martina dla pieniędzy?

Martin zrównał się z nimi. Laura spostrzegła, że już skręcają w stronę domu. Spojrzała na Milesa. Spuścił głowę.

- Może wstąpicie na drinka?

Z twarzy Martina nie można się było zorientować, co myśli.

- Dobrze. - Zamilkli wszyscy troje.

Kiedy doszli do domu, Laura przypomniała sobie z bolesnym skurczem serca dzień, kiedy Martin pocałował ją przed drzwiami wejściowymi. Kochał ją wtedy tak bardzo, że mówił głosem zmienionym i ochrypłym.

Drzwi otworzyła Philippa. Miles wprowadził ich, zostawiając teczkę w hallu. - Zaprosiłem gości na drinka.

Philippa unikała ich wzroku. -
Zobaczę, co mamy.

Z opuszczoną głową poszła do
kuchni.

Laura udała się prosto do
saloniku, czekając, aż będzie
obsłużona. Miles i Martin
podażyli za nią.

Uśmiechnęła się do Milesa. -
Prawdę mówiąc, wypiliśmy przy
lunchu trochę za dużo szampana.

- A ja na dodatek mam za sobą
lot odrzutowcem i różnicę w
czasie między Ameryką a Europą.

- Rozumiem. - Miles zagłębił
się w swoim ulubionym fotelu. We
własnym domu czuł się o wiele
swobodniejszy. Jego twarz
straciła śmiertelną bladość, a
ubranie z grubej wełny nadawało
mu pozór męczyzny mocniej
zbudowanego. Z kuchni dobiegał
brzęk kieliszków i butelek
świadczących o krzątaniu
Philippy.

- Philippa jest bardzo dobrą
gospodynią - powiedział Miles.

- Chodzi gdzieś do pracy? -
zapytał Martin uprzejmym tonem
zwykłego znajomego.

- Bardzo ją zainteresowała praca
w kancelarii adwokackiej, myśli
o jakimś kursie przygotowawczym.

- Rozumiem. - Martin
grzecznie skinął głową.

- Miles dostał nominację na
sędziego! - niemal wykrzyknęła
Laura, nie mogąc dłużej znieść
tej idiotycznej rozmowy.

- Gratuluję - powiedział
Martin, z lekkim zdziwieniem
spojrzawszy na Laurę, po czym
przeniósł wzrok na Milesa z
widocznym podziwem. - Sir Miles

Knight. To brzmi bardzo dystygowanie.

- Jak to?

Miles uprzejmie zwrócił się do Laury. - Wszyscy sędziowie automatycznie dostają przy nominacji tytuł szlachecki. Nie jest to więc szczególny honor.

- No, nie przesadzajmy! - dobrodusznie zaprotestował Martin.

Weszła Philippa z alkoholami. Z uśmiechem spojrzała po obecnych. - Widzę, że Miles podzielił się z wami tą cudowną nowiną.

- Masz na myśli to, że zostałam lady? - Laura wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. - Lady Laura Knight! - było to odpowiednie ukoronowanie tego zupełnie niezwykłego dnia.

- Tylko Miles potrafi być podwójnym lordem! *

Gra słów. Nazwisko Milesa, Knight - rycerz, oznacza także godność szlachecką dającą prawo do tytułu "sir". Przyp. tłum.

Philippa postawiła tacę, w pokoju zapanowała nieprzyjemna cisza. Nic sobie z tego nie robiąc, Laura znowu zaczęła się śmiać.

- Nie powiedziałem ci jeszcze drugiej dobrej nowiny. - Miles mówił takim tonem, jak gdyby miał zamiar oznajmić o grożącej katastrofie. Laura przestała się śmiać. Martin oparł głowę na kanapie i wyciągnął przed siebie nogi. Laurze przemknęło przez myśl, że jest w tym pokoju po raz pierwszy.

- W czasie wizyty u prezesa sądu skorzystałem ze sposobności, żeby z nim omówić sprawę mojego małżeństwa. Zresztą powiedziałem mu o swojej sytuacji jeszcze przed nominacją, uważałem to za swój

obowiązek. Zwłaszcza, że mam prowadzić sprawy rozbitych rodzin.

W tym momencie Laura znowu parsknęła śmiechem, szybko się jednak opanowała. Miles mówił dalej, nie zwracając na to uwagi.

- Otóż zagadnąłem go w sprawie rozwodu. To znaczy, mojego rozwodu. - Tu głos mu się załamał, zawiodła go profesjonalna biegłość w wysławianiu się, rozpaczliwym wzrokiem spojrzął na balkonowe drzwi, jak gdyby zamierzał przez nie uciec. - No więc, mówiąc krótko, nie miał żadnych zastrzeżeń. - Wyraźnie teraz podniecony, podniósł się z fotela i stanął na wprost Laury. - To znaczy, uważa, że możesz wnieść pozew o rozwód przeciwko mnie. No i tak. To jest ta dobra nowina dla ciebie.

Jakby wyczerpany podnieceniem opadł z sił i niemal bezwładnie znowu zagłębił się w fotelu.

Laura popatrzyła na swoje nogi i pantofle. Spostrzegła, że tu i tam są na nich smużki mułu ze stawu Serpentine. Czuła, że powinna coś powiedzieć. Może podziękować. Nie chciała jednak powiedzieć czegoś zobowiązującego. Spojrzała na Martina, ale Martin miał oczy zamknięte, trudno powiedzieć, czy zasnął, czy może dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie mieć nic wspólnego z tym, co się tutaj dzieje.

Rozległ się rzeński głos Philippy: - No więc co pijemy?

Miles, jak gdyby mówiąc do siebie samego, powiedział:

- Ponieważ nie mam zamiaru się żenić, nie zgłaszam szczególnych uwag w kwestii rozwodu, z wyjątkiem jednej sprawy. Że do mnie będzie należała opieka i wychowanie Nicka, podczas gdy ty będziesz miała prawo do widywania się z nim w odpowiednim czasie. Rozumie się

samo przez się, że wyobrażam sobie, iż wszystko odbędzie się w przyjaznej atmosferze, bez zamieszania.

Kolejną dramatyczną przerwę w rozmowie spowodowała Philippa upuszczając butelkę na tacę i wybiegając z pokoju. Miała zapewne nadzieję, że Miles się z nią ożeni - pomyślała Laura. Mogłam jej powiedzieć, żeby nie miała złudzeń. Prawda jest taka, że Miles nie lubi kobiet. Zdarzyło mu się zakochać tylko raz, we mnie.

Martin wstał z kanapy. - Przepraszam bardzo. Naprawdę jestem okropnie zmordowany. Mam nadzieję, że nie posądzicie mnie o niegrzeczność. - Wolnym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Laura obserwowała go. Nawet się na nią nie obejrzał. Nie spuszczała z niego wzroku, dopóki nie wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

- A gdzie jest Philippa? - spytała po krótkiej ciszy.

- Nie mam pojęcia. - Miles przesunął dłonią po włosach. - Ma na dole swój pokój. Bardzo mi pomaga w opiece nad Nickiem. I w

ogóle we wszystkim.

- Rozumiem. - Siedzieli chwilę w ciszy. Laura przypomniała sobie, że w jego obecności czuła się zawsze jak uczennica, która ma nieczyste sumienie. Teraz wzbudzał w niej litość.

- Zepsułam wszystko - odezwała się.

- Nie myśl tak. - Spojrzał na nią mrużąc zamglone oczy. Zrozumiała, że zdjął okulary, które teraz trzymał w prawej dłoni. - Nie potępiam już twego postępowania. Przedtem istotnie przypisywałem ci całą winę. Ale zrozumiałem, że dużą część muszę wziąć na siebie. Za mało ci poświęcałem uwagi. Widzisz, zdawało mi się, że jesteś szczęśliwa. Zawsze wydawałaś się taka szczęśliwa.

- I byłem bardzo szczęśliwa, byłem naprawdę! - Laura czuje, że się za chwilę rozpłacze. - Proszę cię, nie myśl, że było inaczej. I nadal byłabym z tobą szczęśliwa, przez całe lata. Tylko po prostu, tylko po prostu... - Wydawało się jej zbyt okrutne wyznać, że się po prostu zakochała. Mimo to zdecydowała się powiedzieć. Może to było nawet mniej bolesne niż wymienianie innych przyczyn. - Zwyczajnie zakochałam się.

- Tak, rozumiem doskonale. - Przetarł oczy i ponownie włożył okulary. - Zorientowałem się od samego początku. Zaraz na początku. Nie wierzyłem jednak, że stać cię na to, żeby odejść w ten sposób. Myślałem, że byłem dla ciebie ważniejszy. Że Nicky

był ważniejszy. Że ważniejsze było nasze małżeństwo.

- Byłeś! Byłeś ważniejszy! -

Laura zsunęła się na brzeg fotela i błagalnym gestem wyciągnęła do niego rękę. -

Byłam szalona. Czy możesz to zrozumieć? Przestałam myśleć normalnymi kategoriami. To nie byłam ja. Stałam się inną osobą.

- Tak. Tak. Rozumiem. - Miles wstał i nalał sobie whisky.

Znowu usiadł. Laura nie spuszczała z niego wzroku, była jak zahipnotyzowana.

- A teraz? Nadal tkwisz w swoim szaleństwie?

- Nie. Tak. Co masz na myśli?

- Od tamtej pory upłynęło dużo czasu. Masz z nim dziecko. Teraz tam czekają na ciebie obowiązki. Nowa odpowiedzialność i nowe obowiązki.

- Tak - wyszeptała Laura. Pomyślała o Tilly, całej w bieli, i o święconej wodzie spływającej po małej główce, podczas gdy ona, jej matka, toczyła walkę z aniołami śmierci.

- Widzę poza tym, że się zmieniłaś. Nie jesteś taka sama jak przedtem. Jest jakaś

nieuchwytna różnica, która cię upodabnia do innych.

- Och.

- Nie miałem na myśli nic złego. Może zmiana jest pozytywna. Wiem, że ludzie zawsze uważali mnie za człowieka napuszonego, zbyt zadowolonego z siebie. Tymczasem bardzo się zmieniłem. Nie jestem już taki pewny siebie. Czy wiesz, że

zastanawiałem się, czy nie
zrezygnować z fotela
sędziowskiego? Pomyślałem: jak
mogę sądzić innych ludzi, kiedy
samemu nie udało mi się
zrozumieć własnej rodziny?

- To nieprawda! Mówiłam ci
już! Tak się stało, że
zwyczajnie zakochałam się! -
Wszystko, tylko nie ten
patetyczny ton u Milesa, tego
nie mogła znieść.

- Miłość. Mówisz o niej, jakby
to był czarodziejski eliksir.

- Kto wie, czy go nie
przypomina.

- Więc ciągle go kochasz?

- Tak. - Głos Laury był
przytłumiony i nieprzekonywający
nawet dla niej samej.

- I chcesz dostać rozwód?

- Chyba tak.

Miles spojrzał na nią
pytającym wzrokiem. Znowu wstał.

- Napijesz się?

- Nie. Zresztą dobrze. Trochę
koniaku.

Bez słowa podał jej kieliszek.
Zaczęła mówić, jakby
odpowiadając na jego pytanie,
którego przecież nie postawił. -
Jest tak, że przestałam być
pewna czegokolwiek. Kiedy
byliśmy razem, wierzyłam w tyle
rzeczy. Czułam grunt pod nogami.
Obecnie nic już nie wiem. Nie
wiem, kogo Kocham, kogo
nienawidzę. Nie wiem, gdzie chcę
być, i nie wiem, co chcę robić.
Na przykład nie potrafię
powiedzieć, co czuję w stosunku
do ciebie. Miłość, nienawiść,
obojętność, nie wiem. Prawie to
samo, no, może niezupełnie, mogę

powiedzieć o Martinie.
Rozumiesz, on nie kocha mnie w ten sposób co ty. Nie widzę, do czego to zmierza. Nic a nic nie wiem. Miał już jeden romans, a przecież przyjdą następne. Są to sprawy, które obecnie potrafię zrozumieć. Ludzie. Roy. Pamiętasz, jak się miotał od jednej religii do drugiej i właściwie w żadną nie wierzył? Albo Nell. Żyła w jakiejś próżni. Liczyła się dla niej tylko chwila obecna. Rozumiem ich teraz w taki sposób, na jaki nigdy przedtem nie mogłabym się zdobyć. I jak na ironię oni oboje znaleźli swoje miejsce w życiu. Roy w katolicyzmie. Nell w jak najbardziej konwencjonalnym małżeństwie. Jej przyszły mąż jest także lordem. Nie uwierzyłybyś, jak teraz Nell wygląda. Tymczasem ja, poczciwa Laura, na której zawsze można było polegać... - Zaczęła się śmiać.

Miles zareagował ostro. -
Przestań! - Przestała natychmiast.

- Bardzo mi ciebie żal. Nie spodziewałem się, że tak się stanie. Nigdy ci jednak nie wybaczę tego, co zrobiłaś Nickowi.

- Zabrałeś mi go - bez przekonania zaproponowała Laura.

- Jeśli naprawdę chciałybyś, znalazłabyś do niego drogę. Ale ty nie chciałaś.

- Nie można zrobić jajecznicy, nie rozbijając jaj.

Nastąpiła długa cisza. Słowa Laury odbijały się wulgarnym echem.

- Więc co w końcu zamierzasz?
- Głos Milesa był znowu uprzejmy.

- Nie wiem. Przypuszczam, że

kocham Martina bardziej od innych. Powrót do ciebie nie wchodzi w grę. Nie można cofnąć zegara.

- Tak.

Laura wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Dotykała kolejno przedmiotów, które w przeszłości tak bardzo ją cieszyły. Zapaliła światło i natychmiast zimny, mroczny pokój stał się przytulny i ciepły. Jeszcze raz jej poduszki zagrały barwami, tak samo obrazy na ścianie i czerwone świece na gzymsie kominka, wyłoniły się z ciemności stoliki z marmurowymi blatami, kilimy, które zbierała w ciągu wielu lat. Każdy z tych przedmiotów był częścią jej samej, tej Laury, którą kiedyś była.

Podeszła do fotela, na którym zawsze lubiła siedzieć.

- Czy przypominasz sobie tamten weekend, kiedy pojechałam do Katie ratować jej małżeństwo?

- Nie. Nie przypominam sobie.

- Pojechałam sama. Ty miałeś gdzieś jakąś sprawę. Zdaje się, że w Manchesterze. Byłeś zajęty.

- Tak, miałem tam poważną sprawę, chodziło o oszustwo.

- Właśnie. Wtedy się wszystko zaczęło. Kiedy go tam po raz pierwszy zobaczyłam.

Pojechaliśmy potańczyć.

Właściwie obejrzeć operę.

- Lauro, nie opowiadaj mi. Nie chcę tego słuchać.

- To jest interesujące. Nie będziesz mógł być taki wydelikacony na rozprawach w Wydziale do Spraw Rodziny.

Miles wstał porwany gniewem. -
Dotykasz mojego życia!

- Przepraszam cię. - Laura
zrozumiała, jak źle zachowała
się przed chwilą.

Miles stanął przy kominku,
bezmyślnie bawiąc się leżącymi
na gzymsie bibelotami.

- Chciałam tylko powiedzieć -
podjęła Laura - że tak łatwo
mogłoby do tego nie dojść. Znasz
stare określenie katolików
"Okazja do grzechu"?

Miles podniósł na nią oczy,
ale nie odpowiedział.

- Wiem, że nie lubisz

katolicyzmu, zresztą tak jak
innych doktryn religijnych, ale
to może ci się spodobać. Twój
precyzyjny sposób myślenia chyba
się z tym zgodzi. Kościół
katolicki mówi, że jeżeli
godzisz się znaleźć w sytuacji,
o której wiesz, że zagraża twemu
sumieniu, już tym samym
zgrzeszyłeś. Więc rozumiesz,
byłam zgubiona decydując się na
spotkanie Martina po raz drugi.
Wojna została przesądzona już w
pierwszej bitwie, przesądzona i
przegrana.

- Przegrana! - krzyknął Miles,
plując śliną przez cały pokój. -
Przegrana! Przegrana! O czym ty
mówisz! Operujesz śmiesznie
emocjonalnymi słowami. To
bzdury! Bzdury! Po co w to
mieszać pojęcie grzechu? Tak jak
ja to rozumiem, używasz tego
słowa na usprawiedliwienie
swojego nurzania się w chlewie!

Była zadowolona, że go
doprowadziła do takiego gniewu.
Spodziewała się, że to mu dobrze

zrobi. Co do niej, nie czuła się dotknięta.

- Cóż, jest to mój punkt widzenia. Sądziłam, że wyda ci się interesujący.

- Pozbawiony jakiegokolwiek sensu, niebezpieczny obłąd! - Miles przemierzył pokój wielkimi krokami kilka razy, po czym znowu usiadł.

Żadne z nich nie miało nic więcej do powiedzenia. Za wysokim oknem było już zupełnie ciemno. Laurze przyszło na myśl, że każdy, kto spojrzałby z ulicy, zobaczyłby miłą rodzinną scenę - mąż i żona odpoczywają po całym dniu pracy.

Istotnie, pokój był obecnie bardziej wystawiony na spojrzenia przechodniów. Na stole nie było kwiatów. Laura zawsze stawiała na nim, na wprost okna, duży wazon z kwiatami. Teraz leżało na tym miejscu coś wypukłego, szarego. Przez chwilę Laura nie mogła się

zorientować, co to jest, i dopiero kiedy zobaczyła opadającą na dywan kroplę wody, wiedziała. Była to mokra marynarka Martina.

XXIV

Pociąg zwolnił i stanął. Krople deszczu poziomo przebiegające po szybie w beznadziejnym pościgu jedna za drugą, teraz nabrzmiące, szybko, jakby z ulgą, spadały pionowo.

Laura przyglądała im się zbliżywszy twarz do szyby, żeby

czuć chłód wilgoci. Nie myślała o niczym. Nie była nieszczęśliwa, miała raczej wrażenie, jakby zawisała w próżni, co właściwie równało się nieszczęściu. Obok niej spała Tilly, bezwładnie oparłszy o kocyk pochyloną do przodu główkę.

Stali na nieczynnej od lat stacji. Ze szpar w betonie sterczały chwasty. Peron zasłany był odłamkami dachówki. W nie przycinanym żywopłocie swobodnie wyrastały nowe pędy. Wśród nich nieoczekiwanie jaśniał delikatnym kolorem krzak róży, z trudem przebijający się do światła.

Nagle Laura zapragnęła wyjść na powietrze. Tylko na chwilę. Tylko przez sekundę stanąć na ziemi niczyjej. Czowała, że to dla niej bardzo ważne. Oparła Tilly mocniej o siedzenie i podeszła do drzwi. Spuściła szybę w oknie i wyjrzała na zewnątrz. Natychmiast uderzył w nią zapach ciepłych, zmoczonych deszczem pól.

Szarpnęła klamkę otwierając drzwi i wyskoczyła. Dotknąwszy stopami ziemi, miała ochotę roześmiać się na cały głos. Uczucie, że jest wolna, wyzwolona, było tak potężne, że chciała biegać, śmiać się i płakać. Miała wrażenie, że to

dotknięcie stopami ziemi nieznanej, niczyjej, było pierwszą nieskrępowaną decyzją, jaką podjęła w życiu.

Ze względu na Tilly przytrzymała otwarte drzwi,

nie ruszając się z miejsca.
Tylko głowę przechyliła do
tyłu, wystawiając na deszcz
twarz, po której obficie
spływały oczyszczające krople.

Pociąg drgnął nieznacznie.

Dosyć. Laura jechała do Katie.
Nicky powinien jeszcze tam być.
Gdyby nawet nie miała przy sobie
śpiącej Tilly, wróciłaby do
przedziału, jak to zrobiła przed
chwilą, mocno zatrzaskując za
sobą drzwi.

Pociąg ruszył.